

STELLA CAMERON

PANNA DO TOWARZYSTWA

PROLOG

7 MAYFAIR SQUARE, LONDYN, 1821 ROK

Tu sir Septimus Spivey.

Nie jest łatwo duchowi.

Trzeba się pogodzić z byciem niewidzialnym, ignorowanym, zapomnianym, a co najgorsze: słuchać, jak inni mówią o tobie z rażącym lekceważeniem, jakby cię tu nie było.

No, prawdę powiedziawszy, rzeczywiście mnie tu nie ma, ale w świetle tego, kim jestem... kim byłem, moje nazwisko powinno budzić jedynie szacunek.

Zbyt wiele i za długo już cierpię, dlatego najwyższy czas z tym skończyć.

Powinienem był słuchać ojca. O, on mnie ostrzegał, że moja szczodra natura nie przyniesie mi nic oprócz rozczarowania.

Hm. Naturalnie mój ojciec nigdy nie odniósł takich sukcesów w życiu jak ja ani nawet się do nich nie zbliżył. Mimo to akurat w tej kwestii miał rację. Zbudowałem piękny dom dla mojej rodziny - i tylko dla mojej rodziny. To, że okoliczności zmusiły mnie do zamieszkania gdzie indziej, jeśli mogę tak się wyrazić, w niczym nie usprawiedliwia zachowania mojej wnuczki, która wespół ze swoim siostrzeńcem postępuje teraz najwspanialszy klejnot w koronie moich profesjonalnych osiągnięć.

Za swoje osiągnięcia w dziedzinie architektury otrzymałem tytuł szlachecki. Dom przy Mayfair Square pod numerem siódmym stanowi najwybitniejszy z moich nadzwyczajnych projektów. Tymczasem Hester i jej siostrzeniec, młody Hunter Lloyd, plugawią swoje dziedzictwo. Narazili na szwank własną reputację, pozycję towarzyską i w ten sposób zatruli klimat otaczający moje bezcenne dzieło. Co

gorsza, skalali pamięć nieskazitelnego człowieka... moją.

Na Mayfair Square, w tym miejscu nie mającym sobie równych, stanowiącym przedmiot marzeń tych, którzy patrzą z tęsknotą, lecz wiedzą, jak bardzo są niegodni, otóż na tym właśnie placu, w jego kulminacyjnym punkcie, czyli krótko mówiąc, w domu numer siedem, pojawili się lokatorzy!

Hester i Hunter wynajmują pokoje!

Jestem taki wściekły, że bardziej nie można, i stanowczo odmawiam dalszego tolerowania tego stanu rzeczy.

To jest nie do przyjęcia, chyba sami rozumiecie. Osiągnąłem stadium, w którym nie powinienem robić niczego innego, jak tylko zajmować swój ulubiony punkt obserwacyjny w bajecznie rzeźbionej tralce schodów, których projekt sporządziłem osobiście i dałem do wykonania rzemieślnikom. Tralki przedstawiają odwzorowane z największym pietyzmem twarze członków mojej rodziny, w tym moją. Tu właśnie skryłem się, by odpocząć, i tu powinno się mnie zostawić w spokoju, bym mógł oddawać się zachwytom nad swoim dziełem. Lecz nie, niestety, za sprawą moich niewdzięcznych krewnych tymczasem nie mogę nawet o tym marzyć. Co tam, w końcu i tak moje będzie na wierzchu.

Mam przecież plan.

Meg i Sibyl Smiles mieszkają pod numerem siedem B. Są to siostry, sieroty po jakimś prowincjonalnym duchownym. Nawet nie umiem przypomnieć sobie nazwy wsi, z której pochodzą. Zdaje się, że to jakaś dziura w Cotswolds. Och, to wszystko jest jedna wielka kompromitacja. Otóż te panny starają się ukryć prawdę o numerze siódmym, traktowanym teraz jak nędzny pensjonat, jego mieszkańców nazywają bowiem „protegowanymi rezydentami” lady Hester. Czy możecie sobie wyobrazić większą nedorzeczność? Od kiedy protegowani płacą swoim protektorom? I kto, jeśli mogę spytać, bierze pod swoje opiekuńcze skrzydła krawcowe, nauczycieli gry na fortepianie albo sklepikarzy... albo na przykład niespełnionych malarzy? Tak, tak, moi drodzy, wszystkich ich mamy tutaj, na Mayfair Square pod numerem siódmym.

Meg Smiles, o ile wiem, boryka się z pewnymi problemami. Jest mi bardzo przykro z tego powodu. Wolałbym, aby życie traktowało ją łaskawiej. Niemniej jednak pragnę przyłożyć rękę do usunięcia jej z mojego domu i przeniesienia na inną posesję. Sibyl będzie jej towarzyszyć. Mając ten cel na uwadze, postanowiłem co

następuje:

Pod numerem siedemnastym zamieszkał ktoś nowy, niejaki hrabia Etranger... Jean-Marc. Wydaje mu się, że jest bardziej Anglikiem niż... niż... och, wszystko jedno, jak mówi się o mieszkańcach Mont Nuages. To taki kraik mniej więcej rozmiarów Hyde Parku, leżący na granicy Francji i Włoch. W każdym razie wiem, że Etranger chce mieć dom daleko od ojczyzny, dlatego przed sezonem sprowadził do Londynu swoją siostrę. Zamierza ją wydać za najbogatszego, najdostojniejszego kandydata do jej ręki i wykorzystać zawiązane w ten sposób koneksje, by za ich pomocą zaskarbić sobie łaski przedstawicieli najelegantszych kręgów. Niech tam, życzę mu powodzenia.

Jego siostrą jest księżniczka Desiree. Księżniczka dobrze rozumie, jak bardzo arkana życia towarzyskiego w Londynie opierają się na pozorach, a Etranger także zdaje sobie z tego sprawę. Dlatego potrzebuje godnej najwyższego zaufania panny do towarzystwa, która pomogłaby księżniczce przygotować się do debiutu. Kogoś, kto może wprowadzić młodą damę we wszystkie podstawowe zagadnienia, lecz jednocześnie jest pozbawiony własnych ambicji. Kto lepiej spełnia kryteria do objęcia tej posady - tych posad - niż siostry Smiles?

Nadają się całkiem dobrze na kompetentne doradczynie w kwestii stylu (choć same nie mają go ani trochę), pięknej wymowy, śpiewu i gry na fortepianie. Bądź co bądź, ile doświadczenia może być potrzebne do objęcia takiej posady?

Naturalnie panna do towarzystwa, jak sama nazwa wskazuje, ma również obowiązek towarzyszyć swojej podopiecznej. W tym celu panny Smiles muszą się przeprowadzić pod numer siedemnasty. Moja w tym głowa, żeby Meg i Sibyl już nie wróciły pod numer siódmy.

Nie wrócą. Możecie mi wierzyć.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Panny nie powinny w rozmowie o dżentelmenach stanu wolnego wspominać tak intymnych szczegółów - oznajmiła Sibyl Smiles swojej siostrze Meg.

Meg, siedząca na bardzo już zużyтым, różowym szeslongu w salonie mieszkania przy Mayfair Square siedem B, poprawiła czarną, koronkową mantylkę, która okrywała jej głowę i ramiona, i powiedziała:

- Kto wobec tego ma wspominać intymne szczegóły? Mężatki?

- Och, banialuki - odrzekła Sibyl. - Myślę, że chcesz mnie zgorszyć, i muszę powiedzieć, że nie przynosi ci to chluby.

- Chcę wypowiadać swoje myśli... wtedy, kiedy przychodzą mi do głowy. A to znaczy zawsze, gdy jestem zmuszona porzucić medytację dla spraw przyziemnych. Poza tym, do kaduka, nie mówię o konkretnym mężczyźnie, tylko o mężczyznach w ogóle, a w szczególności o tym, dlaczego komuś pewien mężczyzna może się wydawać mniej lub bardziej atrakcyjny niż inny. Muszę tę kwestię rozstrzygnąć z dużą jasnością, i to szybko.

- Dlaczego? - Jasnowłosa i eteryczna, urocza Sibyl z niepokojem stanęła nad Meg.

Tu był punkt, w którym ostrożność stanowiła wymóg absolutnie niezbędny.

- Nie martw się, Sibyl. Po prostu zbieram informacje, chcę bowiem poszerzyć moje rozumienie tematu. - Drobne niedomówienie lub nawet minięcie się z prawdą można czasem usprawiedliwić. - Jestem skłonna sądzić, że u mężczyzny najważniejsze są dłonie, a ty?

- Też

- Ale dlaczego tak sądzisz, Sibyl?

- Ja... No, skoro musisz wiedzieć, to w ogóle nie podobają mi się mężczyźni z miękkimi dłońmi. Czyli już wiesz. Oni nie wydają mi się męscy. I nie lubię małych dłoni. To trudniej wytłumaczyć, mogę tylko powiedzieć, że gdybym była

zainteresowana mężczyzną i gdybym zwróciła na niego uwagę, to chciałabym, żeby miał dłonie większe od moich. Dużo większe. Coś mi mówi, że to jest ważne, chociaż nie rozumiem dlaczego. Tak, dłonie muszą być duże, mocne, kształtne, z długimi palcami, paznokcie chyba krótko obcięte... tak, właśnie takie powinny być dłonie.

Widząc na twarzy siostry głębokie skupienie, Meg musiała się uśmiechnąć.

- Hm, zgadzam się. - I to wszystko usłyszała od drogiej Sibyl, która zwykle nie uważała za stosowne wyrażanie jakiegokolwiek poglądu o dżentelmenach.
- Nie podobają mi się też małe stopy, jakimi niektórzy dżentelmeni zdają się szczyścić. I w tym jednak nie potrafię dociec przyczyny. Po prostu wiem, że to może być ważne.
- To prawda.
- Wzrost nie jest już taki istotny. Ale proste plecy, owszem, mają zasadnicze znaczenie. I ładne, muskularne ramiona... no, i nogi, żeby wyglądały dobrze bez krawieckich sztuczek, zwłaszcza kiedy dżentelmen siedzi na końskim grzbiecie i ma napięte mięśnie. Tak, to przyjemny widok. Naturalnie torsu mężczyzny raczej się nie widuje, chyba że mężczyzna poprawia kamizelkę, no, ale takie chwile się zdarzają. Tors musi wyglądać krzepko. Też powinien być muskularny. Zdecydowanie tak. Lubię też czarujący uśmiech. Nie zainteresowałabym się mężczyzną, który uśmiecha się przez cały czas, bo utrzymując znajomości, cenię sobie powagę, ale czarujący uśmiech bardzo dobrze pasuje do milej twarzy dżentelmena, nie sądzisz? Taki, żeby były dołki, o tu. - Dotknęła swoich policzków.

Meg bała się poruszyć czy choćby cicho odetchnąć, żeby nie wyrwać Sibyl z transu, w jakim się znalazła. Okazało się, że Sibyl jest człowiekiem. Ma swoje tęsknoty. Sibyl nie różniła się bynajmniej od Meg w reakcjach na niektóre cechy męskiej urody.

- Meg? Zgadzasz się ze mną?
- Och, tak. Stanowczo tak. Trudno o większą zgodność. Ale mów dalej.
- Dalej? Co masz na myśli? Tru-tu-tu-tu pęczek drutu. Czar prysł.
- Nic takiego. Nie chciałam ci przerwać, ale zastanawiałam się, czy masz jakieś zdanie na temat... hm... siedzenia dżentelmena.

Na twarzy Sibyl odmalowała się zgroza.

- No, nie - szybko powiedziała Meg. - Widzę, że nie masz zdania. A ja mam. Mięśnie są ważne również w tym miejscu, naturalnie po to, żeby spodnie ładnie leżały. Cóż, nieistotne, powiem ci teraz coś innego: zamierzam trochę ułożyć nasze sprawy. Dlatego powinnam się tego i owego nauczyć, najlepiej szybko. Bo musisz wiedzieć, że mam pewien plan.

W niebieskich oczach Sibyl odbiło się zatroskanie.

- Och, nie, Meggie. Nie wiem, co zamierzasz, ale już mnie przerażasz. To wszystko jest częścią tego... tego... - nerwowo machnęła ręką

- ...tego zaabsorbowania dziwnymi, niebywałymi pojęciami. Och, Meggie, wybij to sobie z głowy. Nie mam pojęcia, co cię ostatnio naszło. Zmieniłaś się nie do poznania.

- Wdzięczna parafianka oddała papie mantylkę - powiedziała z nadzieją, że opanuje w ten sposób popłoch Sibyl. - Wróciła z długiej morskiej podróży. Ta mantylka nigdy do niczego nie była potrzebna. Ale teraz znalazła zastosowanie. Uspokaja mnie wewnątrz i pomaga mi uzyskać stan błogości. Znajome przedmioty mogą mieć takie działanie, Sibyl. A zmieniłam się dlatego, że świat mnie zmienia... chciałabym wierzyć, że na lepsze. Jestem kobietą z ikrą, z kręgosłupem. Jestem kobietą, która nie będzie siedzieć i załamywać rąk, czekając, aż stanie się katastrofa, która pozbawi ją wszelkiego mienia. Jestemmmm.

- Zamknęła oczy i głęboko odetchnęła.

- Jesteś... ale czym? - szepnęła Sibyl.

Meg jeszcze raz głęboko odetchnęła przez nos i powtórzyła:

- Jestemmmm, to wszystko. Któregoś dnia, gdy do tego dojrzejesz i przestaniesz cierpieć na dystrakcję wywołaną lękiem przed tym, czego nie rozumiesz, zacznę cię wprowadzać w tajniki abstrakcji.

- Nie wytrzymam tego - jęknęła Sibyl, nerwowo przemierzając wyliniały dywan, kiedyś ozdobiony roślinnym ornamentem. - Gdyby papa żył, szybko położyłby temu kres. To jest właśnie skutek chodzenia przez kobiety na wykłady cudzoziemców. Przyswajają sobie obce idee. Wcale nie jestem przekonana, czy całe to twoje abstrakcyjne myślenie i mamrotanie mantry, czy jak tam nazywasz te bezsensowne słowa, które mruczysz pod nosem, no właśnie... Myślałam, że

mamrocze tylko wtedy, kiedy sądzisz, że jesteś sama, ale ostatnio sprawiasz takie wrażenie, jakbyś znajdowała upodobanie w trapieniu mnie swoimi pomrukami i buczeniem, a co gorsza w całkiem niespodziewanym przybieraniu póz, które na pewno nie przystoją dobrze wychowanej pannie. Nie masz pojęcia...

- Mam - zaprotestowała Meg.

- O, widzisz? - Sibyl aż przystanąła z wrażenia i wskazała siostrę palcem. - Robisz to bez przerwy. Ja naprawdę już nie wiem, co z tobą począć. W każdym razie dzisiaj nie będziemy rozwijać tego tematu.

- Słusznie - przyznała Meg. - Teraz usiądź, proszę, Sibyl. Mam ci coś wspaniałego do zakomunikowania. Zamierzałam z tym poczekać, ale może cię to pokrzepi, a ponieważ w każdej chwili spodziewam się wiadomości w tej sprawie, tymczasem wytłumaczę ci, w czym rzecz.

Sibyl pokręciła głową. Jej praktyczna suknia całkiem ładnie się na niej prezentowała.

- Czegoś się obawiasz - powiedziała. - Nie, nie przerywaj mi, proszę. Już od dawna eksperymentujesz z tymi dziwactwami, ale teraz... po prostu przestałaś się czymkolwiek krępować, odkąd... och, sama wiesz odkąd.

Odkąd ktoś próbował wepchnąć mnie pod powóz niedaleko Burlington Arcade, pomyślała Meg.

- Nie będę cię okłamywać. Są chwilę, gdy chciałabym mieć całkiem zajęty umysł, byle nie było w nim miejsca na lęk.

- Gdyby tylko wypełniały go właściwe myśli - stwierdziła Sibyl - wtedy zapewne nie miałybyśmy powodów do obaw.

Z najwyższym wysiłkiem Meg powstrzymała się od ciętej odpowiedzi, która z pewnością zaszkodziłaby nerwom kochanej, poczciwej Sibyl.

- No, widzisz? - Głos Sibyl zabrzmiał triumfalnie. - Nie możesz zaprzeczyć prawdzie. Papa, niech Pan świeci nad jego duszą, byłby z ciebie taki dumny, że chcesz zastanowić się nad pobudkami swojego zachowania.

- Chciałabym, żeby papa był teraz z nami.

- Och, ja też.

- Gdyby był - ciągnęła Meg - powiedziałałabym mu do słuchu, co z pewnością nie spotkałoby się z jego ukontentowaniem.

- Meggie, gdzie twój szacunek?!

- Jestem praktyczna. Gdyby papa wykazał dość rozsądku, by znaleźć kruczek uniemożliwiający przejęcie domu naszemu nikczemnemu krewnemu, to nie miałybyśmy teraz problemu. Przede wszystkim ja nie miałabym problemu. Powinnyśmy dalej mieszkać w Puckly Hinton bez lęku o jutro, zamiast przebywać w wynajętych pokojach w Londynie i gorączkowo szukać sposobu na związanie końca z końcem, podczas gdy ktoś... usiłuje mnie zabić. - Był najwyższy czas, by przestać owijać w bawełnę.

Sibyl znów przerwała swą nerwową przechadzkę. Promienie słońca, wpadające przez okno, podświetliły jej włosy. Usta jej zadrżały.

- Nie możesz być pewna tego, że ktoś cię popchnął. Jest również całkiem możliwe, że w takim tłoku potknęłaś się albo tylko wydawało ci się, że ktoś cię popycha. Zwykle jesteś bardzo zaabsorbowana, Meggie.

- Nie będziemy dzisiaj ciągnąć tego tematu. Swój plan powzięłam w związku z listem ze Szkocji, który dostałam od Finch.

- Dostałaś wiadomość od Finch? - Sibyl natychmiast zapomniała o wszystkim innym. Usiadła obok Meg na szezlongu. - Nie powiedziałaś mi wcześniej, że napisała. Jak się miewają Finch i jego lordowska mość? Co słychać u Haydena... i u drogiego, małego Oswina?

Finch, gdy ją poznały, nazywała się More. Jej brat, Latimer More, wciąż zamieszkiwał pokoje piętro niżej niż Meg i Sibyl. Jego mieszkanie nosiło numer 7A, podczas gdy panny Smiles zajmowały numer 7B. Jeszcze wyżej mieszkali lady Hester Bingham, właścicielka domu, i jej siostrzeniec, Hunter Lloyd, adwokat. Adam Chillworth, malarz i przyjaciel Meg, rezydował na poddaszu. Przydzielono mu numer 7C. Lady Hester zajmowała drugie piętro, ale przysługiwał jej pełny numer 7, jako że to do niej należał dom. Finch poślubiła Rossa, wicehrabiego Kilrood, który był właścicielem domu numer 8, a obecnie oboje przebywali w jego szkockich włościach.

- Meggie? Odpowiedz.- Przepraszam. Zamyśliłam się. Mam tyle spraw na głowie. Miewają się dobrze. Finch pisze o Haydenie i jest zadowolona, że jego lordowska mość wzięła go pod swój dach. - Hayden, mały ulicznik, nosił w swoim

czasie liściki do wicehrabiego Kilrood. No, i stał się jednym z jego domowników wraz ze swym pieskiem Oswinem. - Tęsknię za nimi wszystkimi. Nie wątpię jednak, że podczas sezonu ściągną do Londynu. - Początek sezonu zbliżał się wielkimi krokami, a Meg zamierzała z tego skorzystać, by poszukać sposobności, której obie siostry Smiles pilnie potrzebowały.

- Byłoby wspaniale znów ich zobaczyć - powiedziała Sibyl. - Meggie, wybacz mi, że czasem bywam dla ciebie zbyt surowa. Wiesz, jest ci naprawdę ładnie w tej mantylce. Tak tajemniczo lśnią ci oczy zza woalki.
- Dziękuję. - Meg chciała objąć siostrę.
- Ojej, twoje włosy! - Sibyl szeroko otworzyła usta ze zdumienia. To było nieuniknione.
- Zaraz ci wyjaśnię, co nas czeka.
- Co zrobiłaś z włosami, Meg? - Tym razem Sibyl nie pozwoliła odwrócić swojej uwagi. Zajrzała pod mantylkę. - Jak to się stało, że nie zauważyłam tego wcześniej? Meggie, one są całkiem rude!
- Skąd znowu, są kasztanowe! - zaoponowała Meg. - List od Finch przyszedł wczoraj. Wiesz, ona zna ludzi, którzy wprowadzili się pod numer siedemnasty, po drugiej stronie placu. Pochodzą z małego kraju na granicy... oj, chyba Francji i Włoch. Mont Nuages.
- Masz rude włosy - oznajmiła stanowczo Sibyl. - Pada na nie słońce i widzę, że są rude.
- Zamieszkał tam niejaki hrabia Etranger, który przywiózł z sobą na sezon młodszą siostrę. W każdym razie hrabia nie ma pojęcia, jak należy przygotować debiutantkę do tego całego zamieszania, więc potrzebuje pomocy. Musi zatrudnić pomoc, damę do towarzystwa, która udzieliłaby jego siostrze wskazówek w przedmiocie mody i właściwego zachowania. Poza tym, choć trudno mi to zrozumieć, panna nie jest biegła w sztuce gry na fortepianie i nie umie pięknie śpiewać, chociaż ma przyjemny głos.
- A ty wspaniale szyjesz, Meg - powiedziała dość nieprzytomnie Sibyl. - I nikt nie dorówna twojemu wyczuciu stylu. A ostatnią modę znasz od podszewki. - Właśnie umiejętność szycia, jakiej Meg nabyła jeszcze w Puckly Hinton, była dla nich źródłem skromnych, ale jednak jakichś dochodów, odkąd zamieszkały w Londynie.

Meg nie cieszyła się jednak sławą i wcale o nią nie zabiegała, dlatego damy, dla których szyła, bezlitośnie to wykorzystywały i za jej pomysłowe kreacje płaciły żałośnie mało.

- A ty doskonale grasz na fortepianie - odpowiedziała Meg. - I świetnie śpiewasz. Czyż nie wspaniale się składa?

- Proszę, powiedz mi, co stało się z twoimi włosami.

- Och, nie dasz się zniechęcić do tego tematu, co? - Meg skapitulowała. - Trudno. Powiem ci, ale potem nie chcę już słyszeć o tym ani słowa. Na Bond Street, za zakładem modniarki, jest pewien niewielki sklepik. Znają go młode, a czasem i nieco starsze damy, w każdym razie jest to miejsce, gdzie można dyskretnie zasięgnąć rady w sprawach delikatnej natury. U madame Suzanne nie należy się obawiać żadnych zwierzeń i można sobie zażyczyć dostownie wszystkiego. Gdy więc tam poszłam, właścicielka okazała się nadzwyczaj skora do pomocy. Sama wiesz, że normalnie mam ciemne włosy w trudnym do nazwania odcieniu, całkiem nieciekawe. Mało atrakcyjne. Potrzebuję urozmaicenia, Sibyl. Potrzebuję tajemniczości, o której wspomniałaś. Rude włosy są tajemnicze.

Sibyl opadła na oparcie szeszlangu.

- Ależ... ależ dobrze wychowane panny nie robią z włosami tego co ty. Po co ci to było, Meg? Po co?!

- Powiedziałam ci, co zrobiłam z włosami. Teraz muszę się zająć ważniejszymi kwestiami. Zanim przyjdzie tu postaniec z listem.

- Kto taki? - jęknęła Sibyl. - O czym ty mówisz? Co się z tobą dzieje? Co będzie z nami?

Meg przysięgła sobie w duchu, że zachowa spokój.

- Dziś z samego rana wysłałam list pod numer siedemnasty do hrabiego Etrangera. Napisałam, że o ile wiem od naszej wspólnej znajomej, wicehrabiny Kilrood, szuka dla siostry panny do towarzystwa. Zaoferowałam więc swoje usługi w tym charakterze i zapewniłam go, że dzięki mojej pomocy nie będzie musiał dłużej się troszczyć o garderobę księżniczki, jej maniery ani wtajemniczenie w zawile obyczaje towarzyskie panujące w Londynie.

- Nie zrobiłaś tego - powiedziała Sibyl słabym głosem.

- Uszy do góry, siostro! Zrobiłam, tego możesz być pewna. Jesteśmy już prawie bez pensa, a ja nie zostanę w tym domu ani dnia dłużej ponad to, za co jesteśmy w stanie zapłacić.

- Lady Hester za nic nie kazałaby nam się wyprowadzić.

- To prawda. Wiem też, że sprawia jej przyjemność traktowanie wszystkich lokatorów jak rezydentów. Ale i ona bez wątpienia potrzebuje pieniędzy, a my dobrze rozumiemy takie sytuacje, prawda? No, rozumiemy. Dlatego postanowiłam znaleźć sobie posadę.

- Chcesz uczyć... księżniczkę? Zdaje się, że wspomniałaś o księżniczce, czy tak?

Meg opanowała zdenerwowanie i usiadła absolutnie nieruchomo.

- Księżniczkę Desiree z Mont Nuages.

- Ty zgłosiłaś się na jej pannę do towarzystwa?

- Lepszej nie znajdą. Sibyl zakryła twarz dłońmi.

- Ubiegasz się o posadę. Och, na co nam przyszło? Co z nami będzie? Może powinniśmy pojechać do kuzyna Williama i poprosić...

- Williama Godly-Smythe'a nie będziemy o nic prosić. Zostaniemy doradczyniami hrabiego Etrangera, a hrabia z wdzięczności wynagrodzi nasz trud.

- My? - zdziwiła się Sibyl.

- Przecież to ty jesteś nauczycielką śpiewu i gry na fortepianie, nie ja. To znaczy, że hrabia ma podwójne szczęście. We dwie zamienimy jego myszowatą, pozbawioną wdzięku, humorzastą siostrę w czarującą pannę.

Sibyl wlepiła w Meg oczy, zaraz jednak uśmiechnęła się blado, potem szerzej, następnie zachichotała, wreszcie wybuchnęła głośnym śmiechem, jakiego Meg u niej nie pamiętała jak świat światem. Gdy w końcu Sibyl odzyskała panowanie nad sobą, osuszyła oczy koronkową chusteczką i powiedziała:

- Jesteś niepoprawna. Przerażasz mnie swoim nieposkromionym językiem. Bez wątpienia winę za to ponosi abstrakcyjne myślenie. Przez nie wydaje ci się, że twoje marzenia są rzeczywistością. Doprawdy jestem głupia, że ci uwierzyłam. Tylko na chwilę, ale jednak.

- Wierz mi.
- Tak, tak, naturalnie. Napisałaś do nieznanego człowieka, księcia z Mont Nuages, i zaproponowałaś swoje usługi jego siostrze, czyli księżniczce, której doradzisz, w jaki sposób odnieść pewny sukces podczas debiutu w londyńskich salonach. Wierzę ci bez zastrzeżeń. Przypuszczam też, że to, co zrobiłaś z włosami, żeby stały się rude, jest częścią twojego planu.
- Teraz tak.
- Rozumiem. - Sibyl znowu zachichotała.
- Niczego nie rozumiesz. - Meg wcale nie chciała, żeby zabrzmiało to tak kwaśno.
- Zamierzam wykorzystać tę wyśmienitą okazję dla naszych celów. Aby tak się stało, muszę jak najlepiej spożytkować to, co we mnie jest najmniej pospolite. Podobno mam gładką skórę, więc poświęcę jej szczególnie dużo uwagi. O ile wiem, mam też ładne oczy. Zastanawiam się właśnie, co z nimi zrobić. Miło mi słyszeć, że przy okazji może się przydać mantylka. Włosy mam gęste i lśniące, ale bure. Jak już ci powiedziałam, musiałam to zmienić. A poza tym... - Spuściła wzrok i poczuła, jak płoną jej policzki. - Ech, co tam, powiem i to. Bądź co bądź, obie jesteśmy kobietami i w dodatku siostrami. Powinnyśmy móc powiedzieć sobie wszystko. Mam znośną figurę. Zawsze mi się zdawało, że jestem trochę zbyt obfita z przodu, ale ponieważ zewsząd słyszę, że dżentelmeni są czuli na takie wdzięki, hm, zamierzam podkreślić tę cechę mojej osoby.
- Meggie!
- Tylko nie mdlej, moja droga. Nie teraz, kiedy tyle mamy do przemyślenia.
- Meggie, ty nie jesteś sobą. Niemożliwe. Nadmiar zmartwień pomieszał ci w głowie. Gdzie ja mam się zwrócić o pomoc?
- Pomoc może się tu zjawić w każdej chwili - powiedziała rzeczowo Meg. - Oczekuję niezwłocznej odpowiedzi na mój list. Przecież napisałam hrabiemu, że jestem przyjaciółką Finch, która jest żoną jego długoletniego znajomego, wicehrabiego Kilrood. To właśnie wicehrabia Kilrood pomógł ojcu hrabiego znaleźć odpowiedni dom, z którego jego córka mogłaby wyruszyć na podbój londyńskich salonów.- Chcesz powiedzieć, że to Finch zachęciła cię do nawiązania kontaktu z hrabią?
- No, niezupełnie.

- Czy to znaczy, że w tym liście natęgałaś? Daaś hrabiemu do zrozumienia, że właśnie tak przedstawia się sytuacja?

Sibyl była zbyt bystra, by Meg powiodły się wysiłki ukrycia prawdy.

- Owszem. Trochę dodałam od siebie. Ale to z desperacji.
- Nic z tego nie wyjdzie. - W głosie Sibyl było więcej nadziei niż pewności. Wstała, wzięła pogrzebacz i podeszła do kominka, w którym płonął nieduży ogień. Marzec, zawsze kapryśny miesiąc, był tego roku pogodny, lecz chłodny. - Mam nadzieję wkrótce znaleźć nowych uczniów. Lady Chattam jest bardzo zadowolona z postępów Teddy'ego. Obiecała zarekomendować mnie swoim przyjaciółkom, które mają trudności ze znalezieniem dobrego nauczyciela muzyki.

Biedna Sibyl. Taka utalentowana, lecz mimo to skazana na spędzanie niezliczonych godzin z tępyimi i rozkapryszonymi dziećmi bogatych ludzi.

- Nie będziesz musiała wyszukiwać sobie nieznośnych Teddych. Już ja się o to postaram.

Sibyl upuściła pogrzebacz. Z brzękiem zawadził o palenisko. Odwróciła się do siostry.

- Och, nie. Nie możesz mieć takich planów. Powiedz, że to nieprawda.

Meg zmarszczyła czoło, choć spod mantylki nie było tego widać.

- Co nie jest prawdą?
- Nie wyobraziłaś sobie chyba, że... - Chwiejnym krokiem doszła do szeslongu i z powrotem usiadła przy Meg. - Nie masz chyba zamiaru... nie zamierzasz starać się skłonić tego hrabiego do... do małżeństwa.

Tym razem to Meg wybuchnęła śmiechem. Gdy wreszcie odzyskała głos, powiedziała:

- Ty głupia gąsko, obie dobrze wiemy, że takiemu człowiekowi nawet nie przyszłoby do głowy ożenić się z córką wiejskiego duchownego. O niczym takim nie myślę.

Sibyl odetchnęła.

- To dobrze. Ale... Meg, nie zrobiłabyś czegoś takiego. Nie mogłabyś, prawda?

- Nie płacz się, Sibyl. Jestem zmęczona abstrakcyjnym myśleniem, a jeszcze bardziej przyziemnymi sprawami, które przeszkadzają mi w wewnętrznym doskonaleniu. Nie mów zagadkami.

- No, dobrze. - Z zapędzonej do rogu Sibyl mógł znieńacka wyskoczyć mały, nieustępliwy tyran. Rzeczywiście, usiadła wyprostowana i zacisnęła usta tak, że pobladły jej wargi. - Czy chcesz zostać kochanicą hrabiego Etrangera?

Rzadko zdarzało się, żeby Sibyl zgorszyła Meg, tym razem jednak właśnie tak się stało. Meg, spowita w luźną, fioletową szatę, którą uszyła sobie specjalnie do medytacji, podciągnęła nogi na szeslong i usiadła po turecku.

- Tajemnica - powiedziała. - Oto odpowiedź. - I oparła dłonie zewnętrzną stroną o kolana, w sposób podpatrzony w książce, którą potajemnie kupiła i trzymała w sobie tylko znanym miejscu.

- A więc nie zaprzeczasz?

Pukanie do drzwi zapowiedziało pojawienie się Coota, kamerdynera lady Hester, zwanego przez domowników Tumanem. Sługa wlepił wylupiaste oczy w Meg i pokręcił głową.

- Niestosowne zachowanie - powiedział, jak zwykle niezbitcie pewny swojej pozycji w świecie i prawa do mówienia wszystkiego, co przyjdzie mu do głowy. - Nie wyobrażam sobie, czym to się skończy. Przyszła jakaś osoba do panienki. Czy panienka Meg przyjmuje?

- Naturalnie - szybko odpowiedziała Meg.

- Wobec tego przyślę pana Verbeux na górę.

Tuman wycofał się za drzwi, a na jego miejscu wnet pojawił się smukły, ciemnowłosy mężczyzna z czarnym wąsikiem zawiniętym ku dołowi przy obu kącikach ust. Nosił okrągłe okulary w wąskiej oprawce, niewiele większe od jego zadumanych, ciemnych oczu. Pan Verbeux był... interesujący.

- Och, Meggie - szepnęła Sibyl.

Pan Verbeux nawet na nią nie spojrzał.

- Panna Meg Smiles - zwrócił się do Meg z ledwo zauważalnym francuskim akcentem.

Meg zdołała się powstrzymać przed opuszczeniem nóg na podłogę.

- To właśnie ja, jeśli mnie pan szuka.

Pan Verbeux przyjrzał się trzymanej w ręku kartce czerpanego papieru i chrząknął.

- Przyjmie panią. Teraz. Proszę ze mną.

- Pan hrabia? - Głos wiązał Meg w gardle.

- Tylko odpowiedzi. Żadnych pytań. On nie toleruje niczego poza tym. - Pan Verbeux pokazał im swoje smukłe plecy i znikł za drzwiami.

- Pomóż mi się przebrać - powiedziała Meg w chwili, gdy drzwi się zamknęły. Drżącymi rękami rozpiniała haftki swojej szaty. - Muszę się pośpieszyć.

- Spiesz się do gburowatego mężczyzny z innym gburowatym mężczyzną, który cię nie zna, ale rozkazuje ci, jakbyś była służącą?

- Jestem przygotowana na bycie służącą - powiedziała Meg, odrzucając na bok szatę, i weszła do sypialni, którą dzieliły z Sibyl. - Jestem przygotowana na bycie najlepszą służącą hrabiego, za co zostanę sownie wynagrodzona.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dom pod numerem siedemnastym w niczym nie przypominał numeru siódmego. Drugi z nich stanowił zamkniętą całość w rzędowej zabudowie i mimo zaniedbania wyróżniał się eleganckimi proporcjami. Natomiast numer siedemnasty składał się z dwóch domów, które połączono w jeden, toteż adres Mayfair Square 16 już nie istniał.

Nazwanie domu pod numerem siedemnastym „wspaniałym” bynajmniej nie oddawało mu sprawiedliwości.

Meg usiadła na miejscu wskazanym jej przez pana Verbeux. Rozmiary brązowego fotela tapicerowanego skórą nabijaną mosiężnymi guzami doprawdy budziły podziw. Meg, która nie mogła się poszczycić okazałym wzrostem, przycupnęła sztywno wyprostowana na samej krawędzi fotela i zaczęła się rozglądać po pokoju z ciemną, lśniącą boazerią, stanowiącym jednocześnie bibliotekę i gabinet. Przed sobą miała cztery wąskie okna z zielonymi, aksamitnymi zasłonami. Ale wpadająca przez nie plama światła nie sięgała nawet czubków stóp Meg.

Zresztą Meg ledwie mogła dosięgnąć czubkami palców pięknego, zielono-złotego dywanu z Aubusson.

Może jednak postąpiła nieco pochopnie, wysyłając list do hrabiego.

Z wyłożonej kamiennymi płytami sieni, znajdującej się za jej plecami, doleciał ją rytmiczny stuk kroków. Bez wątpienia nadchodził mężczyzna w wysokich butach. Kroki ucichły gdzieś niedaleko, Meg nie odważyła się jednak zerknąć ponad oparciem fotela, by sprawdzić, czy ktoś pojawił się w polu widzenia.

Kroki rozległy się ponownie, znacznie bliżej, po chwili zmienił się odgłos, mężczyzna stąpnął na drewniane podłogę, a potem wszedł na dywan.

Meg siedziała wyprężona jak struna, starając się dodać sobie wzrostu.

Może jednak powinna wstać. Postanowiła tak właśnie zrobić.

Przesunęła się jeszcze bardziej ku krawędzi siedzenia, starając się, by wypadło to elegancko, a potem z głośnym „pac” zeskoczyła na podłogę i przygotowała się do

dygnięcia.

- Proszę siedzieć - polecił jej męski głos. Dźwięczny, niski głos z nieznacznym francuskim akcentem.

Intrygujący.

Przeróżający.

Meg, wspinając się z powrotem na fotel, zdążyła zerknąć na człowieka, który bez wątpienia posiadał prawie wszystkie zalety z listy pożądanych męskich cech, którą sporządziła Sibyl. Nie uśmiechał się jednak, Meg nie umiała więc ocenić jego uśmiechu ani ewentualnych dołków w policzkach.

Splótł dłonie za plecami.

- Panna Smiles, jak wnoszę.

To nie był odpowiedni czas ani miejsce dla strachliwych.

- Owszem, jestem Meg Smiles.

- No tak, naturalnie. - Skłonił się nieznacznie. Meg chciała podnieść rękę, lecz mężczyzna zdążył ująć jej palce i przesunąć ustami tuż ponad wierzchem jej dłoni. Poczwała ciepło jego oddechu. - Bardzo mi miło.

Meg odważyła się unieść głowę. Oczy mężczyzna miał tak samo ciemne jak włosy. Wyraz jego twarzy budził respekt.

- Hrabia Etranger - przedstawił się i puścił jej dłoń.

Meg nie przypominała sobie, by kiedykolwiek hrabia pocałował ją w rękę. Nie przypominała sobie zresztą, by pocałował ją ktokolwiek.

Wykazała jednak dość opanowania, by oprzeć ręce na kolanach i powstrzymać się przed natarczym wpatrywaniem się w tego wysokiego, postawnego, ciemno ubranego mężczyznę, który mógłby wprawić Sibyl w ekstazę. Na Meg nie wywarł żadnego wrażenia. No, prawie żadnego.

Odsunął się nieco, nie spuszczać jednak z niej wzroku.

Jean-Marc uznał, że panna Smiles zachowuje się bez zarzutu, choć niemało ją to kosztuje. Zważywszy na jej niekonwencjonalny, wręcz zuchwały list, spodziewał się zobaczyć kogoś zupełnie innego... śmielszego. Zresztą mimo wzmianki o jego

starym przyjacielu Kilroodzie, nie zwróciłby na ten list uwagi, gdyby panna Smiles nie zaproponowała mu dokładnie tego, czego w owej chwili najbardziej potrzebował. Nie miał nawet pojęcia o istnieniu tylu niezbędných umiejętności.

Oparł łokieć na dłoni drugiej ręki i poklepał się po brodzie. Pytanie brzmiało, czy ta panna rzeczywiście jest w stanie osiągnąć to, co obiecywała. I czy będzie umiała wyrobić sobie dostateczny autorytet, by uwolnić go od koszmarnego obowiązku poświęcania mnóstwa czasu na sprawy związane z debiutem Desiree. Naturalnie znał swoje podstawowe zadania, jednak ogólnie rzecz ujmując, jego wiedza o wprowadzaniu młodej panny na salony była bardzo ograniczona.

Panna Smiles niczym szczególnym się nie wyróżniała, jeśli nie liczyć gęstych, rudych włosów, wychylających się spod modnego, cytrynowego czepka. To było zresztą coś zaskakującego... takie kontrasty. Panna bardzo błyskotliwie wykoncypowała, że jaskrawy kolor będzie ciekawie wyglądał w zestawieniu ze wspaniałymi włosami. Obszedł fotel, żeby zerknąć na nią z drugiej strony. Dopiero wtedy spojrzała prosto na niego. Miała bardzo ładne oczy, jasnobrązowe, o odcieniu dobrego koniaku. I ładne usta. Pełne, ale bez przesady. I gładką skórę, jasną, ale przy tym rumieńce na policzkach, istny okaz zdrowia. A przecież to ważne, żeby panna była zdrowa. Jej żółta narzutka miała stojący kołnierz oblamowany atłasem. Jean-Marc rzadko zwracał uwagę na takie szczegóły, ale wrażenie, jakie wywiera ta osoba, miało dla niego wyjątkowe znaczenie.

Jej strój wydał mu się bardzo modny. Dobrej jakości, choć pozbawiony kosztownych dodatków. Pierwszy raz od przyjazdu do Londynu Jean-Marcowi zrobiło się źle na sercu.

Meg z najwyższym trudem siedziała nieruchomo i poddawała się jej zdaniem dość grubiańskim oględzinom hrabiego. Najpierw obejrzał ją z jednej strony, potem z drugiej. Czują, jak spojrzenie hrabiego prześlizguje się z jej twarzy na inne części ciała. Strój, który tego dnia przywdziała, skończyła szyć bardzo niedawno. Korzystała przy tym z francuskich wykrojów. Kostium mógł wydawać się nieco dziewczęcy i trochę zanadto ostentacyjny, ale był utrzymany w lansowanym ostatnio stylu, więc hrabia mógł się na własne oczy przekonać, że kandydatka na pannę do towarzystwa będzie umiała zadbać o stosowną garderobę jego siostry. Naturalnie księżniczka mogła już mieć zgromadzone potrzebne kreacje, ale w takim okresie dodatkowe zakupy zawsze są potrzebne.

Meg wsunęła rękę do torebki z koralików w poszukiwaniu chusteczki i delikatnie dotknęła nią nosa. Siedzieć tak i poddawać się oględzinom... To przyglądanie się jej

osobie doprawdy było niegrzeczne.

Tymczasem hrabia przyjął nowy punkt obserwacyjny i skierował wzrok na jej półbuciki. Meg spłonęła rumieńcem. Nie były nowe i nawet żółte, atlasowe różyczki, które naszyła dla ozdoby na kostkach, nie mogły tego ukryć przed przenikliwym spojrzeniem. Naturalnie zauważył też, że stopy panny sięgają podłogi tylko czubkami palców. Trudno było w tej sytuacji zachować godność.

Panna Smiles była niska.

W innych okolicznościach nie miałoby to znaczenia. Ale w obecnych mógł to być prawdziwy problem. Musiałaby umieć nadrobić niedostatek wzrostu odpowiednią postawą.

- Proszę łaskawie stanąć, panno Smiles, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Sposób, w jaki przemieściła dolną część swego ciała na krawędź mebla przed zeskoczeniem na dywan, był mało fortunny. Tym bardziej niefortunny, że zestawienie tego skoku z wyrazem skupienia widocznym na jej twarzy mogłoby przyprawić mniej opanowanego mężczyznę o wybuch śmiechu.

Stanąwszy na dywanie, panna Smiles śmiało spojrzała w twarz hrabiego i powiedziała:

- Ten fotel jest przeznaczony dla osoby znacznie pokaźniejszej postury, milordzie. Obawiam się, że zrobiłam z siebie widowisko. - Uśmiechnęła się i Jean-Marcowi natychmiast spodobał się jej uśmiech. Udzieliwszy tego wyjaśnienia, panna znów przybrała godną pozę, czym zaskarbiła sobie jego podziw. Niewątpliwie jednak cierpiała na brak gotówki. Coś trzeba było zrobić z jej znoszonymi półbucikami... naturalnie gdyby zdecydował, że warto spróbować szczęścia.

- Chciałbym, żeby panna przeszła kilka kroków. Na przykład do biurka i potem wokół biurka do okien. Proszę odchylić zastonę i wyrzeć na ulicę.

Meg nie była pewna, czy uda jej się w ogóle ruszyć nogą. Nijak nie umiała dociec powodu tych nieznośnych oględzin. Musiała jednak się przyzwyczaić nie tylko do tolerowania uwagi dżentelmenów, lecz również do jej przyciągania. Ta myśl sprawiła, że jej rumieniec stał się jeszcze bardziej intensywny.

Zdołała jednak zapanować nad sobą, skłoniła głowę przed hrabią, wyprostowała plecy i z dumnie podniesioną głową ruszyła w stronę biurka. Przy drugim kroku się

potknęła.

Hrabia natychmiast znalazł się przy niej i złapał ją wpół, żeby uchronić przed upadkiem.

- Powinna panna oddać buciki do szewca - powiedział. - Pewnie puścił w nich jakiś szew. - Pomógł jej odzyskać równowagę i natychmiast cofnął ręce.

A więc zauważył, że jej półbuciki są znoszone. Co gorsza, przed chwilą objął ją w talii.

- Dziękuję - powiedziała. - Skorzystam z tej rady. - Podnosząc nogi z przesadą, która jej samej wydała się śmieszna, dotarła do biurka, a następnie do okna. Tam odsunęła ciężką draperię i spojrzała na lśniące, czarne, metalowe ogrodzenie wzdłuż linii chodnika. Furtka prowadziła do schodków, którymi schodziło się do piwnicy i pokoiów służby.

Meg czekała, aż dostanie polecenie powrotu na swoje miejsce. Ale hrabia milczał. Stał jakieś dwa metry od niej z ramionami skrzyżowanymi na piersi i marsową miną. Przechyliła głowę, jakby chciała spojrzeć na ogród zajmujący środek placu.

- Mamy miłą porę roku - zauważyła, choć zaszczo jej w gardle. - Są już krokusy i pierwiosniki, i tyle pąków. Wiosna jest piękna.

- Ładnie panna mówi - stwierdził.

- Pan też, milordzie. - W chwili gdy wyrwały jej się te słowa, spojrzała na niego przerażona.

Ale hrabia się uśmiechnął i okazało się, że robią mu się wtedy dołki w policzkach.

- Bardzo przepraszam - powiedziała szybko. Dlaczego nigdy nie udaje jej się ugryźć w język wtedy, kiedy trzeba?

- Może jest panna nieco zanadto szczera, ale przyjmuję przeprosiny.

Co za wielkoduszność, pomyślała Meg. Czy jednak uda jej się skutecznie ominąć rafa tej trudnej rozmowy, zdobyć posadę i doprowadzić wszystko do rozwiązania, które pozwoliłoby jej i Sibyl żyć w poczuciu względnej godności?

- Jestem półkrwi Anglikiem - odezwał się znowu hrabia, zaskakując Meg. - Dzięki temu władam angielskim. Odebrałem wykształcenie w Anglii i mam tu swoje włości... w Windsorze nad Tamizą. Uwielbiam spędzać tam czas.

Skinęta głową szczerze zainteresowana i uśmiechnęta się.

- Co do mnie, podróżowałam tylko po kraju, i to na nieduże odległości, ale darzę Anglię głęboką miłością, która daje mi wiele zadowolenia.

Hrabia długo zastanawiał się nad tą odpowiedzią, przez cały czas jednak wpatrywał się w Meg w sposób bardzo dla niej krępujący.

- Myślę, że nadaje się panna całkiem dobrze na towarzyszkę mojej siostry - powiedział. - Przynajmniej jeśli sądzić na podstawie tego, jak tu się panna przedstawia. Opowiedz mi, proszę, o swoich umiejętnościach.

W liście Meg potraktowała ten temat dość zdawkowo.

- Mam zdolności... mam zdolności do kroju i szycia. Szyję damskie stroje. Sama się tego nauczyłam, byłoby niemądrze, gdybym udawała, że jest inaczej. Wiem, co jest na czasie, i umiem szybko uszyć wiele rzeczy z żurnali. Moje klientki, choć nieliczne, są ze mnie bardzo zadowolone.

- To znaczy, że nie jest panna szeroko znana? Odwróciła głowę.

- Nie. Mój ojciec nie żyje, ale gdy jeszcze żył, nie pochwalał zwracania na siebie uwagi. Był duchownym. Nie pogodziłby się z tym, że Sibyl, czyli moja siostra, i ja musimy ciężko pracować. - Spojrzała na hrabiego. - Jesteśmy do tego zmuszone, milordzie. Odebrałyśmy dobre wychowanie, ale nie stanowi to dla nas dostatecznej gwarancji spokojnego życia pod czyjąś opieką. Jesteśmy niedocenione, choć na miarę swoich możliwości radzimy sobie znakomicie.

Hrabia wciąż przyglądał jej się z zyczliwym zainteresowaniem. Nie poruszyły go te wynurzenia. Meg czuła, jak rośnie w niej napięcie. Potrzebowała tej posady, chciała z niej uczynić kamień węgielny do budowy czegoś nowego, bo inaczej były bez wątpienia skazane z Sibyl na życie w biedzie.

- Zrobię dla księżniczki co tylko w mojej mocy - powiedziała, choć wydawało jej się, że mogło to zabrzmieć zbyt natarczywie. - Wierzę, że zdobędę jej zaufanie i pomogę wkroczyć z niezbędną pewnością siebie w nowy okres życia, który dla niej musi być ze wszech miar trudny.

- Budująca przemowa - powiedział, ale znów zmarszczył czoło.

- Po śmierci ojca przenieśliśmy się z Sibyl do Londynu. Brzmi to dość głupio, ale postanowiliśmy poszukać szczęścia, bo już nie miałyśmy domu. Zamierzałyśmy

wykorzystać posiadane przez nas talenty. Sibyl ma niemałe umiejętności muzyczne, jest wyborną nauczycielką gry na fortepianie i śpiewu. Siostra milorda niewątpliwie będzie potrzebować pomocy także w tej materii, więc dobrze się składa, że moja siostra może się tu przydać, zwłaszcza że ma duże sukcesy w pracy z młodymi pannami.

- W żółtym jest pannie do twarzy.

Meg z wrażenia zapomniała dalszego ciągu. Zerknęła na swoją narzutkę i powiedziała:

- Dziękuję.

A to pasztet, pomyślał Jean-Marc. Córka duchownego, zapewne z prowincjonalnej parafii, gdzie życie towarzyskie ograniczało się do okazjonalnych wieczorków muzycznych w mało eleganckim otoczeniu. Z drugiej jednak strony panna była odważna i miała styl. Czyż nie były to wystarczające przesłanki, by sądzić, że podoła zadaniu?

Zresztą do tej pory nie miał szczęścia spotkać nikogo bardziej wykwalifikowanego, kto byłby zainteresowany tą posiadą.

- Poza tym bardzo ładnie panna chodzi. Czy czujesz się na siłach zapewnić mnie, że maniery księżniczki będą bez zarzutu?

- Tak, milordzie - powiedziała Meg. Postanowiła w razie potrzeby zwrócić się o radę do lady Hester Bingham. - Stanowczo tak. - Zastanawiała się, czy często będzie widywała hrabiego Etrangerera... jeśli ten zdecyduje się ją przyjąć. Miała nadzieję, że bardzo często, chociaż w ogóle nie powinna dopuszczać do siebie takich myśli.

- Teraz kwestie toalety. Fryzura i tak dalej. Co panna powie na ten temat?

- Jestem pewna...

- Proszę łaskawie zdjąć czepek.

Meg posłusznie rozwiązała tasiemki i zsunęła nakrycie z głowy. Sibyl miała rację, gdy powiedziała, że eksperymenty z miksturą madame Suzanne dały zaskakujący rezultat. A co będzie, jeśli hrabiemu odcięć jej włosów wyda się nieskromnie krzykliwy?

Hrabia Etranger podszedł do niej i skłoniwszy głowę, zaczął studiować jej urodę z

bardzo małej i niezwykle krępującej odległości.

- Tak, panna ma doprawdy intrygujące włosy. Czy sama je układasz?
- Tak - odrzekła Meg. Czyżby sądził, że ubiegałaby się o posadę damy do towarzystwa, gdyby stać ją było na służącą?

Etranger znowu wolno obszedł ją dookoła, tym razem pochłonięty studiowaniem jej fryzury.

- Chyba jeszcze nie widziałem tak jaskrawego odcienia rudych włosów. Nadzwyczajne.

Ale sztuczne, pomyślała.

- Dziękuję.
- Pięknie pasują pannie do jej mleczej skóry.
- Dziękuję. - Skóra mimo swej mleczej gładkości paliła ją w tej chwili jak poparzona.
- Nie ma za co. - Stał o centymetry od jej prawego ramienia i Meg musiałaby być ślepa, by nie zauważyć, że w tej chwili uwagę hrabiego przyciąga miejsce na jej ciele, które w chwili śmiałości postanowiła dodatkowo wyeksponować, wzbogacając wykrój o wycięcie, przypominające dziurkę od klucza. Bądź co bądź, postanowiła nie ukrywać, że natura hojnie obdarzyła ją wdziękami.

Jean-Marc zorientował się, że zbyt długo przygląda się interesującemu, a nawet dość podniecającemu widokowi. Nie było w nim bynajmniej ostentacji. Przeciwnie, panna Smiles po prostu wycięła poniżej kołnierza narzutki niewielki otwór, przez który można było dostrzec wierzch jej apetycznie zaokrąglonych piersi.

- Naprawdę mlecza - mruknął. - Ma też panna piegi. - Przeniósł wzrok na jej nos. - Tak, chyba jesteś osobą, jakiej potrzebuję... dla mojej siostry.

Jeśli panna Smiles nawet zauważyła, że ostatnie słowa zostały wypowiedziane po pauzie, to nic po sobie nie pokazała. Co więcej, wydawała się nieco rozbawiona.

- No, dobrze, moja droga - powiedział Jean-Marc z zamierzoną jowialnością. - Porozmawiamy o tym, czego będę od ciebie wymagał, zgoda?
- Tak - odpowiedziała Meg. Sprawilo jej przyjemność, że hrabia ujął ją pod łokieć

i prowadzi do krzesła znajdującego się przed olbrzymim, hebanowym biurkiem, którego nogi były zakończone złotymi pazurami. Sam usiadł naprzeciwko niej i położył przed sobą czystą kartkę. Trzasnęło wieczko kałamarza, hrabia zanurzył czubek pióra w atramencie. - Sibyl... moja siostra... jest bardzo utalentowana muzycznie i...

- Już to panna mówiła. Zastanowię się nad daniem jej okazji do popisania się swoimi umiejętnościami. Najpierw jednak musimy jasno ustalić, jakich wyników oczekuję od panny, i zaplanować, jak spożytkujesz otrzymane ode mnie wskazówki.

Hrabia stanowczo musiał się zgodzić również na przyjęcie Sibyl. Nie dość, że Meg potrzebowała wsparcia siostry, to jeszcze przyrzekła jej pomoc w uwolnieniu się od przykrego obowiązku uczenia nieznośnych dzieci.

Jean-Marc sięgnął do szuflady biurka i wyjął z niej list Meg... zręcznie ułożony, napisany zdecydowanym, równym pismem, z rzucającą się w oczy znajomością obowiązujących form w kontaktach z wyżej postawionymi ludźmi.

- No, dobrze. - Położył dwie kartki eleganckiego czerpanego papieru na bibularz. - Pomówmy o szczegółach. Księżniczka Desiree niedawno skończyła siedemnaście lat i wykazuje ogromne zdolności. Jej wiedza o świecie jest prawdopodobnie bogatsza niż wiedza wielu mężczyzn, nawet takich, którzy wywodzą się z jej klasy i dorównują jej pozycją.

Meg wymruczała wyrazy uznania. Ale czyż z listu Finch nie wynikało, że usposobienie księżniczki nie należy do najprzyjemniejszych?

- Księżniczka Desiree jest z natury bardzo spokojna - powiedział niedbale Jean-Marc. - Ma również mnóstwo wdzięku i nie brak jej zapału do zdobywania potrzebnych umiejętności. Naturalnie jej manierom niczego nie można zarzucić, lecz jak dotąd miała niewiele okazji, by zaprezentować się w towarzystwie. Nasza ojczyzna, Mont Nuages, to bardzo mały kraj. Także krąg osób kontaktujących się z rodziną księżęcą jest wąski.

Panna Smiles ponownie mruknęła coś pod nosem.

- Księżniczka Desiree jest wesół. Prawdę mówiąc, gdy wpadnie w dobry nastrój, może się zdarzyć, że będzie panna musiała utemperować jej skłonność do nadmiernego ulegania ekscytacji i do zbyt częstego i głośnego śmiechu.

- Rozumiem.
- Naturalnie trzeba być wyrozumiałym dla jej entuzjazmu rozbudzonego perspektywą bywania w towarzystwie. Poza tym księżniczka uwielbia stroje. Ma ich bardzo wiele. Wypada jednak, żeby z okazji debiutu sprawiła sobie zupełnie nową garderobę. Czy jest panna pewna, że potrafi uporać się z tak znacznym przedsięwzięciem?
- O, tak. Zajmę się tym z przyjemnością.
- To dobrze. - Nawet bardzo dobrze, pomyślał Jean-Marc. Myśl o tym, że jego udział w tym mitręzeniu czasu mógłby okazać się konieczny, była dlań trudna do zniesienia. - Proszę nie szczędzić wydatków. Księżniczka Desiree uczy się szybko, więc jeśli zauważy panna przedmiot wymagający jej szczególnej uwagi, nie wpadaj w panikę, księżniczka zrozumie twoje troski i z chęcią skorzysta z udzielonych jej wskazówek.
- Nie mam zwyczaju ulegać panice.
- To dobrze. Księżniczka Desiree jest łatwa w prowadzeniu. Lubi zadowalać innych, będzie więc chciała zadowolić również ciebie. Natomiast musi panna robić wszystko, cokolwiek uważa za konieczne, by księżniczka stała się objawieniem tego sezonu.

Meg uśmiechnęła się.

- Zrobię wszystko co w mojej mocy - zapewniła. Najwidoczniej źle zrozumiała Finch. Zaczęła się nawet cieszyć na myśl o współpracy z taką radosną osobą. - Jeśli wolno mi coś wtrącić, to pański podziw dla siostry, milordzie, jest doprawdy budujący.

Unióst brwi i spojrzał znad swoich notatek.

- Miło mi. - Chwilę wcześniej uśmiechał się i wydawał całkiem przystępny, teraz znów bił od niego chłód. - Lojalność w rodzime jest nieodzowna, czyż nie?

To była przygana, dobitne przypomnienie o zajmowanym przez Meg miejscu.

- Mój ojciec uczył nas, że miłość do rodziny ustępuje miejsca tylko miłości do Boga.

Najwidoczniej hrabia Etranger uznał jej komentarz za właściwy. Przez dłuższy czas coś pisał. Meg podobała się jego wyrazista twarz z ostrymi rysami i sposób, w jaki

unosił koniuszki brwi. Biały, wykrochmalony halsztuk miał prosty węzeł i efektownie kontrastował z czarną kamizelką i czarnym surdudem.

Nie mogła jednak pozwolić, by hrabia złapał ją na natrętym przyglądaniu się jego osobie.

- To doprawdy fortunne zrządzenie losu, że znalazłeś taki uroczy dom do wynajęcia, milordzie - powiedziała, zachwycona połyskiem biurka, mnóstwem oprawnych w skórę tomów i eleganckimi, francuskimi meblami.
- O ile wiem, bez umeblowania nie był taki uroczy. Ale ma panna rację, teraz jest całkiem przyjemny.
- Jest... Tak, to prawda. - A więc wszystko to należało do niego. W zasadzie jednak nie powinno jej dziwić, że hrabia dokonał tak znacznego przemeblowania na okres zaledwie paru miesięcy.
- Wnoszę, że panna wie, kim jesteśmy - powiedział, nie przerywając pisania. - Nasz ojciec, książę Georges, jest władcą Mont Nuages. Czy orientujesz się, gdzie to jest?
- Tak - odrzekła Meg.
- To dobrze. Ojciec nie ma więcej dzieci oprócz księżniczki Desiree i mnie. To właśnie na jego życzenie jestem tutaj, by zająć się debiutem siostry.

Sposób, w jaki poinformował ją o tych faktach, nie zachęcał do odpowiedzi.

- No, tak. - Odsunął krzesło od biurka i wstał. - Przyślę do panny księżniczkę Desiree. Musicie się poznać.

Meg zaniepokoiła się z lekka.

- Czy będziesz towarzyszył siostrze, milordzie? Dla pewności, że księżniczka czuje się swobodnie w mojej obecności? - Jak na jeden dzień miała stanowczo zbyt dużo kontaktów z obcymi osobami.
- Nie. Musi panna zdobyć autorytet. Naturalnie nie bez szacunku dla pozycji mojej siostry, ale autorytet jest niezbędny. Mam nadzieję, że wasze stosunki ułożą się dobrze i nawet zaprzyjaźnicie się na tyle, na ile można. Jednak w takiej sytuacji, gdy jedna osoba musi się bez dyskusji stosować do poleceń drugiej, podkreślam, bez dyskusji, konieczna jest hierarchia.

Meg nie była do końca pewna swego zdania w tej kwestii.

- Być może...

Hrabia uciszył ją, grożąc jej palcem.

- Pomyśl, droga panno, o bitwie. Jak by to było, gdyby żołnierz w ogniu walki kwestionował rozkazy oficera? No, sama powiedz, hm?

- Bitwa...

- To byłaby klęska. - Nie odwracając się już w jej stronę, hrabia ruszył do drzwi. - Z szacunkiem, ale autorytatywnie: laka będzie istota twojej pozycji wobec Desiree. Aha, czy znasz francuski?

Modląc się, by hrabia nie zmienił zdania, Meg odpowiedziała:

- Na tyle, na ile może go znać osoba uczona przez ojca Anglika. Osoba, która nigdy nie rozmawiała po francusku z Francuzem. Myślę, że posiadam szkolną znajomość tego języka.

- Aha. - Przystanął i zwrócił do niej twarz. - Wobec tego przypomnę ci, że dostajesz tę posadę nie po to, by doskonalić swoją znajomość francuskiego. Pod żadnym pozorem nie wolno ci pod tym dachem rozmawiać z księżniczką po francusku. Czy to jest zrozumiałe?

Co za irytujący Człowiek. Pełen sprzeczności. Trudny do zrozumienia.

- Nie myślałam...

- Proszę więc o tym pomyśleć, panno Smiles, a wszystko będzie dobrze. Angielski Desiree jest nieskazitelny. Prawie nieskazitelny. Jeśli nie jest czegoś pewna, miewa drobne kłopoty. Ale na pewno będzie chętnie ćwiczyć się w mówieniu, zresztą po prostu musi. Musi bardzo dużo ćwiczyć. Czyli... - skłonił głowę i uśmiechnął się - ani słowa po francusku. Zgoda?- Zgoda - odpowiedziała Meg z nadzieją, że hrabia nie usłyszy ulgi w jej głosie.

Wkrótce energiczne kroki zastukały o kamienne płyty sieni i Meg usłyszała niedaleko skrzyp otwieranych drzwi, a potem szmer cichej rozmowy.

Wysoki zegar głośno tykał. Meg wpatrywała się w drzwi z uśmiechem przyklejonym do twarzy. Księżniczka z pewnością miała niezbędną dozę pewności siebie, lecz naturalnie zawsze miło okazać komuś życzliwość, zwłaszcza na

powitanie.

Tykanie wydawało się coraz głośniejsze. Meg prawie nie słyszała już głosów.

Minuty mijały, jedna za drugą. Meg wstała i wykonała kilka tanecznych kroków, podśpiewując walca, którego grywała Sibyl. Wypełnienie oczekiwania tanecznymi ćwiczeniami wydało jej się dobrym pomysłem. To się mogło przydać. Naturalnie walc był nowością i bardzo śmiałym tańcem, wątpiła więc, czy sama kiedykolwiek będzie miała okazję go zatańczyć.

Wyciągnęła ramiona tak, jakby prowadził ją dżentelmen, i wykonała kilka obrotów. Całkiem dobrze jej szło, mogłaby dojść w tym do dużej wprawy.

- Dziękuję - powiedziała do wyobrazonego partnera i roześmiała się. - Jest pan bardzo uprzejmy. Pan też tak myśli? - Znowu się roześmiała. - Naturalnie, ma pan rację.

Przy następnym obrocie zaczęła okrążyć wielki skórzany fotel. Zawsze lubiła muzykę.

Hrabia Etranger stał przy drzwiach, na krawędzi dywanu.

Na jego widok lekko zadyszana Meg znieruchomiła. Nic nie mogła poradzić na rumieniec, który oblał jej policzki, ani na przyspieszone bicie serca. Och, co za upokorzenie!

- Ćwiczę - powiedziała łamiącym się głosem, który wprowadził ją w jeszcze większe zakłopotanie.

- Widzę - powiedział hrabia, a kąciki jego ust bez wątpienia się uniosły. - Bardzo jest panna przedsiębiorcza. Przemyślałem to, o czym wcześniej rozmawialiśmy, i postanowiłem, że skorzystam z twojej sugestii. Pozwól tu, Desiree.

Przez chwilę opierał się o ścianę, a potem znikł za progiem, by wrócić, trzymając siostrę za nadgarstek.

- Desiree, to jest Meg Smiles. Panno Smiles, Jej Wysokość księżniczka Desiree z Mont Nuages. Proszę pamiętać o wszystkich moich uwagach, zwłaszcza tych o randze i bitwie.

Zamknął za sobą drzwi, a Meg została w bibliotece sam na sam z młodą dziewczyną.

Wykonała głęboki dyg, zastanawiając się jednocześnie, jak w takiej pozycji można wydawać polecenia. Ponieważ księżniczka nie odezwała się ani słowem, Meg wyprostowała się i ponownie uśmiechnęła.

- To dla mnie zaszczyt poznać Waszą Wysokość, księżniczko Desiree. Brat wiele mi o Waszej Wysokości opowiedział. Mówił, że jesteś bardzo przejęta tym, co cię czeka w Londynie. Będziemy razem pracować, ale tylko tyle, ile trzeba, by przygotować Waszą Wysokość do wszystkich wspaniałych przyjęć i balów, jakie się tu odbędą. Pan hrabia zażyczył sobie, żebyś miała nową garderobę na sezon w Londynie, więc z przyjemnością pomogę Waszej Wysokości w dokonaniu odpowiedniego wyboru.

Księżniczka Desiree patrzyła na Meg i wydawało się, że słucha, choć bynajmniej nie okazywała ożywienia, które zapowiadał jej brat.

Meg ogarnęło złe przeczucie. Czyżby jednak miało jej się nie udać? Jeśli tak i jeśli zostanie to zbyt szybko zauważone, nie będzie miała czasu uzyskać nawet drobnych korzyści z posady, o którą wystarała się z takim trudem.

- Kwestia ułożenia naturalnie będzie łatwa. Podobnie jak tak zwane maniery. Z pewnością Wasza Wysokość wie na ten temat prawie wszystko.

Znowu milczenie.

Przed Meg stała chuda panna, przynajmniej piętnaście centymetrów wyższa od swojego nowo przyjętego oficera od musztry. Włosy księżniczki nie były ani ciemne, ani jasne. Dość pospolity odcień ciemnoblonde. Podzielone przedziałkiem i zaczesane na uszy, z tyłu tworzyły dwa warkoczki opadające na wąskie ramiona. Cera Desiree nie zdradzała ani śladu rumieńca. Osoba mniej litościwa niż Meg nazwałaby ją zapewne „ziemistą”.

- Czy Wasza Wysokość lubi muzykę? - spytała. Księżniczka wbiła wzrok w ziemię.

Meg zaczęła się zastanawiać, w jaki sposób poradzić sobie z widoczną nieśmiałością tej panny. I jak niemal w jednej chwili zamienić takie chuderlawe brzydkie kaczątko w łabędzia? Ta metafora nie była pochlebna. Ale księżniczka rzeczywiście była chuda, blada, bardzo zwyczajna i ubrana w same szarości. Przypominała pensjonarkę, która strasznie zmokła, a potem wyschła, nie zdejmując z siebie ubrania. W dodatku nadal nie zdradzała żadnych oznak ożywienia. Wszystko w niej wydawało się bezwładne i bezwolne. Jeśli miała jakąkolwiek figurę, to luźna, workowata suknia doskonale to maskowała.

Mimo że Sybil nie okazywała zachwytu planem Meg, to przecież jedyną dla niej szansą było powodzenie tego, zdawałoby się, beznadziejnego przedsięwzięcia. A kluczem do sukcesu musiała być wytrwałość.

- Proszę tu podejść, Wasza Wysokość - powiedziała Meg, starając się, by zabrzmiało to autorytatywnie. Nie czekała jednak na wykonanie polecenia, które zresztą nie wywołało żadnej reakcji, lecz podeszła do księżniczki i spojrzała jej prosto w twarz. - Masz piękne oczy. Szare. To ładny kolor. Musimy zrobić jakiś eksperyment z włosami. Najwyższy czas je ułożyć. Niektóre damy lubią mieć mnóstwo loków. Jednak osobiście za tym nie przepadam, więc myślę, że dla Waszej Wysokości poszukamy gładkiego uczesania. Masz ładne włosy, ale... - Cienkie i słabe, dodała w myślach. - Zobaczymy, co nam się uda z nimi zrobić. Na początek może lepiej się poznamy? Pierwsze godziny naszej znajomości najchętniej poświęciłabym konwersacji. Gdyby Wasza Wysokość wolała mniejszy, bardziej przytulny pokój, to jestem pewna, że pan hrabia nie będzie stwarzał trudności. Chciałabym, żebyś opowiedziała mi o swoich oczekiwaniach. O swoich nadziejach. O tym, co ci się podoba i nie podoba w Londynie. Przede wszystkim zaś musimy zająć się tymi wszystkimi sprawami, których Wasza Wysokość nie rozumie. Reszta będzie dziecinnie prosta. - Meg uśmiechnęła się jeszcze szerzej, chociaż księżniczka wcale na nią nie patrzyła. - Czy powinniśmy wezwać brata Waszej Wysokości?

Księżniczka Desiree odwróciła wzrok.

- Spokojnie - powiedziała Meg i poczuła niemiłe ściskanie w żołądku. - Podejmę decyzję za nas obie. Znajdziemy bardziej kameralny pokój. Zaraz na kogoś zadzwonię.

- *Qu'est-ce que vous pouvez bien faire ici? Qu'es-ce que vous vou-lez?*

Meg zmartwiła z ręką na jedwabnej taśmie dzwonka. Zaczęła powoli analizować to, co usłyszała. Co, u licha, tutaj robi i czego chce? Ani słowa po francusku, tak zarządził hrabia. Wspomniał też, że angielszczyzna księżniczki jest bez zarzutu.

- Musimy rozmawiać po angielsku - powiedziała Meg. - Nalegał na to brat Waszej Wysokości.

Meg została zaszczycona beznamiętnym spojrzeniem szarych oczu nowej podopiecznej.

- *Je n'y comprends absolument rien.*

Nic? Z pewnością zaszło jakieś nieporozumienie. Księżniczka Desiree nie mogła twierdzić, że nie rozumie ani słowa po angielsku.

Drzwi otworzyły się po raz kolejny i do pokoju wrócił hrabia Etranger. Uśmiechał się promiennie, co jednak nie złagodziło trwogi Meg przekonanej o swojej niechybnej klęsce.

- Widzę, że rozmawiacie - odezwał się hrabia. - To dobrze, naprawdę dobrze. Zawsze byłem przekonany, że w takich sprawach mogę polegać na swoim instynkcie. Czy panna może niezwłocznie przystąpić do wypełniania swoich obowiązków? - zwrócił się do Meg. - Od dzisiejszego popołudnia?

Meg spojrzała na hrabiego, potem na księżniczkę.

- Jeśli życzy pan sobie tego, milordzie...

- Naturalnie. - Pochylił się, by pocałować siostrę w policzek. - Proszę pamiętać, co powiedziałem, panno Smiles. Moja siostra jest bardzo cicha i spokojna, ale wkrótce obdarzy cię takim samym zaufaniem jak mnie. A dziś wieczorem po powrocie do domu chciałbym obejrzeć nową fryzurę. Zaprezentujesz ją przy kolacji, Desiree. Panna Smiles ma ci znaleźć krawcową... całą armię modniarek. Jest bardzo dobrze zorientowana w tych sprawach i będzie nadzorować wszystkie decyzje. Tak. Już się cieszę na kolację. Panna naturalnie przyłyczysz się...

- *Jean-Marc, je suis...*

- Po angielsku - grzmącym głosem polecił hrabia. - O ile pamiętam, miałaś wystawiać się jedynie w tym języku, dopóki nie zdecyduję inaczej. Zdaje się, że oboje o tym wiemy równie dobrze. Muszę jechać do Windsoru - zwrócił się do Meg. - Ale tylko na krótko. Spodziewam się jednak zobaczyć pannę na kolacji. Jeszcze nie do końca wszystko omówiliśmy. Wynagrodzenie. Tę kwestię zostawi panna mnie. Zapewniam, że będzie godziwe. Siostra panny otrzyma tę samą kwotę.

- Dziękuję, milordzie. - Meg zawisła na granicy między ekstazą a czarną rozpaczą. Hrabia zatrudni je obie i obu im zapłaci. Znowu będą mogły związać koniec z końcem... dopóki ona, Meg, się nie załamie.

- Druga panna Smiles może pozostać tam, gdzie obecnie mieszka, pod numerem siódmym, prawda?

Meg skinęła głową.

- Panno Smiles, proszę wyznaczyć godziny lekcji muzyki dla Desiree. Naturalnie jako jej towarzyszka i prawa ręka, moja prawa ręka, jej nauczycielka, powierniczka i zastępcza matka w czasie, gdy Desiree jest z nią rozdzielona, skorzysta panna z jej apartamentów i będziesz z nią bez przerwy. Bez przerwy! Zamieszka panna u nas.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZECI

- Tuman powiedział mi, że Barstow odchodzi od zmysłów - oświadczył Hunter Lloyd, gdy Sibyl otworzyła mu drzwi. - Wydaje mi się mało prawdopodobne, by Meg pozwoliła się zwabić i porwać podejrzanemu, a może nawet niebezpiecznemu obcokrajowcowi, ale i ja sądzę, że musiało się stać coś niezwykłego.

Zachowanie dyskrecji pod numerem siódmym graniczyło z niemożliwością. Pani Barstow, wieloletnia gospodyni i osobista służąca lady Hester - która, jak powszechnie wiadomo, łączyła te dwie funkcje ze względów oszczędnościowych - niemal zawsze wiedziała wszystko o każdym kroku mieszkańców.

- Wejdz, proszę. Mam nadzieję, że Barstow nie zaalarmowała twojej ciotki.

- Ciotka uwielbia być alarmowana - odparł Hunter, ale przekroczył próg tylko jedną nogą. - Rzekłbym, że z utęsknieniem czeka na plotki przynieszone jej przez innych. Mimo to ją kochamy, prawda? Niektórzy ludzie żyją własnym życiem. Inni czują się zagrożeni przez otaczającą rzeczywistość. Moja ciotka należy do tych drugich.

Sibyl bardzo lubiła Huntera. Osiągnął pozycję uznanego adwokata, lecz mimo to nie zadzierał nosa. Powód, dla którego wciąż zamieszkiwał pod numerem siódmym, stanowił dla wszystkich zagadkę. Chociaż nigdy nie słyszano, by Hunter się żalił, lady Hester musiała nie na żarty uprzykrzać mu życie. Hunter z pewnością nie narzekał na brak dochodów, a do tego był przystojny. Meg i Sibyl od dawna oczekiwały, że dowiedzą się o jego planowanym małżeństwie i przeprowadzce.

Hunter schylił głowę i powiedział:

- Czym właściwie gorączkuje się Barstow?

- Chyba nie ma powodu - odparła Sibyl. - Przynajmniej... właśnie nie ma powodu. - Tak bardzo bała się o Meg, że chętnie zasięgnęłaby rady i skorzystała z czyjegoś wsparcia, ale Meg byłaby oburzona, gdyby odkryła, że Sibyl omawiała z kimś ich problemy.

- Sibyl - rzekł Hunter, mierząc ją bardzo poważnym spojrzeniem swych zielonych oczu. - Barstow powiadomiła Tumana, że od dłuższego czasu stoisz w oknie. Powiedziała też, że Meg wyszła z domu w dużym pośpiechu, jej zdaniem ubrana jak, hm, na schadzke. To naturalnie słowa Barstow, nie moje.

Sibyl poczuła zimny dreszcz.

- Meg wyglądała uroczo. Zawsze wygląda uroczo. Jak Barstow mogła coś takiego wymyślić? Tylko dlatego, że Meg włożyła swoją nową, żółtą narzutkę, a włosy... - Sibyl zasłoniła usta dłonią.

- Co z włosami?

- Nic takiego. - Sibyl wydeła wargi i uciekła przed spojrzeniem Huntera. - Och, trudno. I tak będę musiała to wyjaśnić. Wiem, że nie muszę cię prosić o dochowanie tajemnicy. Meg stara się o posadę.

- O posadę? - powtórzył Hunter tak, jakby nie zrozumiał.

- Jako... zdaje się, że ma służyć radą... no, być czymś w rodzaju doradcy. Dowiedziała się o wolnym miejscu od Finch. Powinnam była od razu o tym wspomnieć. Finch dała znać Meg, że do Londynu przyjechała na sezon księżniczka z Mont Nuages i potrzeba jej znawcy przedmiotu, który nauczyłby ją wszystkiego, czego księżniczka jeszcze nie umie.

- Ale... - Hunter rozsunął poły ciemnoniebieskiego surduta i wsparł się pod biodra. Pokręcił głową. - Masz dziwaczne poczucie humoru, Sibyl.

- Wcale nie żartowałam. Zrozum, że potrzebujemy pieniędzy, jeśli nie chcemy zostać bez pensa przy duszy... - Zaśmiała się w wymuszony sposób, choć miała nadzieję, że zabrzmiało to dość bez trosko. - No, nie. Teraz żartuję. Ale poprzednio nie żartowałam. Meg robi właśnie to, co powiedziałam. Składa wizytę hrabiemu Etrangerowi, który również przyjechał z Mont Nuages i jest bratem księżniczki.

- I co ona mówi, Lloyd? - Za Hunterem stanął Adam Chillworth, malarz spod numeru 7C, który żywił do Meg znacznie bardziej przyjazne uczucia niż do kogokolwiek innego w tym domu. Był znany ze swoich surowych min, ale zawziętym wyrazem twarzy tego popołudnia o niebo przewyższył swoje dotychczasowe osiągnięcia w tej materii. - Wszystko jest w najlepszym porządku, dziękuję, Adamie - powiedziała Sibyl. W duchu powtarzała sobie, żeby powstrzymać się już od głupiej, lęklivej paplaniny i zachować nędzne resztki godności własnej i siostry, póki jeszcze nie została utracona na zawsze. - Dziękuję wam obu za zainteresowanie i odwiedzin.

- Nic z tego, Sibyl - zaproponował Hunter. - Byłbym wdzięczny, gdybyś mi pomógł, Chillworth. Może dwie głowy znajdą w tym jakiś sens, bo dla jednej jest to zbyt

trudne.

Sibyl błagała siły wyższe, by spowodowały rychły powrót Meg, niestety, na próżno, nie pozostawało jej więc nic innego, jak pozwolić wejść Hunterowi i Adamowi do salonu.

Hunter rozwlekle i z najdrobniejszymi szczegółami powtórzył Adamowi to, co usłyszał wcześniej. Adam był zdecydowanie najwyższym mężczyzną znanym Sibyl. Miał dość długie, czarne włosy i oczy zwykle szare, teraz jednak o odcieniu zbliżonym do koloru włosów. Sibyl zawsze dziwiła się przyjaźni Meg z człowiekiem o tak przytłaczającej osobowości. Prawda, że ostatnio rzadziej widywano tych dwoje zaśmiewających się z czegoś do rozpuku, choć kiedyś zdarzało się to niemal codziennie, lecz mimo to Meg nadal wysoko ceniła Adama.

- Do licha! - powiedział Adam, gdy Hunter wreszcie zamilkł. Adam pochodził z północy, a ślady jego charakterystycznego akcentu przydawały mu wdzięku. - Tak to się kończy, kiedy kobiety są zdane tylko na siebie w sytuacjach, które wymagają obecności mężczyzny. Nie dalej jak tydzień temu Meg omal nie zginęła pod kołami powozu. Czy znowu chce narażać życie? Gdzie ona się podziała?

Sibyl była bliska łez.

- Usiądź, proszę - zwrócił się do niej Hunter. - Chillworth po prostu martwi się o ciebie i Meg, to wszystko. Wcale nie chce cię niepokoić.

- Bądź cicho, Lloyd! Nie mów za mnie, czego chcę, a czego nie. Właśnie, że chcę zaniepokoić Sibyl, jeśli w ten sposób możemy dojść do sedna sprawy. Mów, Sibyl. Gdzie jest Meg?

Sibyl odwróciła się i szybko podeszła do okna. Pod żadnym pozorem nie wolno jej było wybuchnąć płaczem. Gdyby Meggie była na jej miejscu, nie płakałaby na pewno, więc i ona nie będzie.

- Niedobrze - odezwał się znowu Hunter, wyraźnie bardzo zatroskany, czym jeszcze zwiększył desperację Sibyl. - Proszę, Sibyl, pomóż nam. Nie możemy zostawić cię w takim stanie i nie możemy...

- Nie wyjdziemy stąd, póki nie będziemy wiedzieli, co zrobić, żeby wydostać Meg z tarapatów - przerwał Hunterowi Adam i stanął obok dziewczyny. - Płacz, jeśli musisz, ale odpowiedz mi na pytania. Gdzie jest Meg?

Sibyl przełknęła ślinę i wyciągnęła przed siebie rękę.

- Co pokazujesz? - spytał ostro Adam. - No, mówże!
- Numer siedemnasty - wyjąkała Sibyl. - Kiedyś były tam numer siedemnasty i szesnasty, ale...
- Dwa domy połączono w jeden - dokończył Adam. - Dobrze to wiemy. Czy chcesz nam powiedzieć, że Meg jest w tym domu?

Skinęła głową.

- Przecież ten dom jest pusty - zdziwił się Hunter. Sibyl zaprzeczyła ruchem głowy.
- Nie jest - powiedział Adam. - Barstow plotła coś o tym, że od kilku tygodni wieczorami robi się tam gwaro. Podobno do domu dostarczono dużo pięknych mebli, przychodzili też rzemieślnicy. A potem Tuman wspomniał coś o przyjeździe ważnych osobistości. Dotąd nie zwracałem na to szczególnej uwagi. A powinienem być. Może jedynie przemknęło mi przez myśl, że warto byłoby coś zrobić z naszym domem, ale do tego się ograniczyłem. No, jeszcze po cichu marzyłem, że któregoś dnia zbudzę się i przekonam, że ktoś ukradł te ohydne urny w kształcie zwierząt, ustawione na jeszcze ohydniejszych cokółach. Człowiekowi robi się niedobrze, gdy przed swoim domem potyka się o takie paskudztwo.

Adamowi nieraz zdarzało się wygłaszać tyrady na temat upadku domu pod numerem siódmym, ale nikt nigdy ich nie słuchał.

Adam odsunął na bok koronkową firankę.

Hunter zrobił to samo z jej drugą połową.

Stanęli po obu stronach Sibyl i zapatrzili się w przeciwległą pierzeję placu, widoczną za ogrodem pośrodku, gdzie zaczynały kwitnąć pierwsze wiosenne kwiaty. Obaj zatrzymali wzrok na białej, kamiennej fasadzie numeru siedemnastego.

- Rzekłbym, że Meg nie ma kwalifikacji do objęcia takiej posady powiedział Hunter.
- Masz rację - przyznał Adam - ale to nie powstrzymałoby jej przed przedstawieniem swojej kandydatury, gdyby miała po temu dostatecznie ważny powód.
- Jaki powód może być dostatecznie ważny, gdy istnieje niebezpieczeństwo

wystawienia się na pośmiewisko?

- Tego musimy się dowiedzieć - stwierdził Adam. - I to szybko, zanim Meg wplącze się w jakąś niedorzeczną sytuację, z której trudno jej się będzie wywikłać.
- Jestem tego samego zdania. Czy uważasz, że powinniśmy tam iść? Zjednoczyć siły jako przyjaciele młodej damy i zażądać jej natychmiastowego wydania?
- Ano tak. Księżniczki i hrabiowie. Ech, co też jej się roi? Trzeba by usiąść i pomyśleć. Na coś tu się zanosi, a ja chciałbym wiedzieć, na co takiego. Najpierw jednak powinniśmy ją tu sprowadzić, Lloyd. Ruszajmy!

Sibyl wykrzesła z siebie całą odwagę.

- Niczego takiego nie zrobicie - powiedziała, zagradzając im drogę. - Kiedy Meggie wróci do domu, wytłumaczy, co ją skłoniło do szukania posady. A ponieważ obaj bardzo skwapliwie wyraziliście swoje zdanie o nieprzydatności mojej siostry w tej materii, to powiem wam, że wprawdzie Meg nie miała debiutu w towarzystwie, ale bardzo dobrze się orientuje we wszystkim, co jest z tym związane. Powinniście pamiętać, że szyła kreacje kilku młodym damom wstępującym na salony. Poza tym jest spostrzegawcza i ocytana. I ma dobre maniery. Nawet jeśli ktoś nie cieszy się tyloma przywilejami co inni, nie oznacza to, że nie może przyjąć nawet mało znaczącej funkcji związanej z pokazywaniem się w towarzystwie.

Hunter zaczerwienił się.

- Naturalnie, że nie, Sibyl. Bardzo przepraszam, jeśli wypowiedziałem się obraźliwie. Sama wiesz, że nie miałem takiego zamiaru.
- Ocytanie to jedno - powiedział Adam, bynajmniej nie zakłopotany - a bywanie w salonach to zupełnie co innego. Przypuszczam, że Meg chce zostać u księżniczki panną do towarzystwa. Wątpię, czy jej się uda, ale gdyby do tego doszło, to jak nasza Meggie poradziłaby sobie, na przykład, z tańcem. Nigdy nie była na balu, najwyżej na jakimś wieczorku tańczącym we wsi, z której przyjechałyście. Trudno nie zauważyć różnicy.
- Meggie tańczy dobrze - zaproponowała Sibyl, urażona uwagami Adama.
- A jeśli księżniczka zażyczy sobie, żeby panna do towarzystwa czy jak ją nazwać, udzieliła jej rad w kwestiach, hm, delikatnej natury?

- Nie przesadzaj, Chillworth - powiedział Hunter.
- Och, Meggie ze wszystkim sobie poradzi - zapewniła Sibyl, coraz bardziej przekonana o umiejętnościach siostry.
- Czyżby? - Adam wyraźnie się zirytował. - Z tego, co o niej wiem, wątpię, czy czułaby się swobodnie, gdyby przyszło jej rozmawiać o szczegółach stanu małżeńskiego.
- Chillworth! - Głos Huntera zabrzmiał ostrzegawczo.
- Uważam na to, co mówię. I ty, Sibyl, i Meg odebrałyście dobre wychowanie. Za dobre dla tego nieprzyjemnego miasta. Osobiście sędzę, że gdyby księżniczka przypadkiem spytała Meg, co robić w noc poślubną, Meg byłaby wstrząśnięta. Ja też zresztą jestem wstrząśnięty, gdy myślę o tym, że mogłaby się znaleźć w takiej sytuacji. Nie, to jest fatalny pomysł i nic mnie do niego nie przekona. Musimy iść i sprowadzić ją tu z powrotem.

Adam zawsze spodziewał się najgorszego. Sibyl załamała ręce i zwróciła się do Huntera:

- Proszę, nie róbcie tego. Przyznaję, że bardzo się o nią martwię, ale jeśli się wieszacie, ona nigdy mi nie wybaczy tego, że wtajemniczyłam was w jej prywatne sprawy.
- Co więc możemy zrobić, żebyś na to przystała? - spytał Hunter.
- O nic was nie prosiłam. Wszystko zaczęło się od plotek Barstow. Od jej niestosownych uwag. To one was tutaj sprowadziły. Naturalnie jestem wam wdzięczna za gotowość przyjscia z pomocą Meg, gdyby okazało się to konieczne.
- Chcesz powiedzieć, że będziemy mogli pomóc, jeśli jakiś zagraniczny hrabia wyjedzie z Meggie i...
- Chillworth, proszę cię - przerwał mu Hunter. - Może porozmawiamy o tym we dwóch gdzie indziej? Obiecuję, że nie zrobimy niczego bez twojej zgody, Sibyl.
- Ano, nie - potwierdził Adam kierując się w stronę drzwi. Zawsze lubił rozważać możliwości mało prawdopodobnych, lecz dramatycznych wydarzeń. - Mamy też nadzieję, że bogaty, ustosunkowany pan hrabia nie zechce wykorzystać Meg, zanim wyrazisz na to zgodę, Sibyl.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jean-Marc uderzył szpicrutą o wierzch wysokiego buta.

- Gdybym chciał, żeby ktoś mnie ciągle strofował, wziąłbym sobie żonę, Verbeux, nie sądzisz?
- Cóż ja mogę o tym powiedzieć? - odrzekł Verbeux.
- Właśnie. To, czego nie mówisz, jest jak milczące strofowanie. Postawiłeś sobie za cel wprawiać mnie w zakłopotanie. Powiniennem cię zwolnić, nie sądzisz?
- Cóż ja mogę o tym powiedzieć?

Jean-Marc zamknął oczy i położył się na łożu nakrytym kapą. Zaczął rozważać, jak stawić czoło swojemu kamerdynerowi. Bez niego byłby zgubiony, lecz jednocześnie decyzje Verbeux zbyt często budziły jego wątpliwości. Poza tym był to chyba jedyny kamerdyner na świecie, który miał własnego osobistego służącego, niejakiego Pierre'a, solidnego człowieka, który jednak nie mógł usiedzieć na miejscu i wydawał się nieustannie czymś zafrasowany. Szukając przyczyny tego stanu, Jean-Marc nabrał podejrzeń, że Verbeux jako pan jest tyranem. Tak, Verbeux ponad wszelką wątpliwość pozwalał sobie za dużo, lecz zarazem był nieodzowny.

- Panna Smiles jest młoda - powiedział Verbeux. - Pocziwa.
- Sam to powiedziałeś. A ja potwierdzam. Z moich obserwacji również wynika, że panna Smiles jest pocziwą, młodą kobietą.
- Księżniczka jest trudna.
- Ani trochę - zaproponował Jean-Marc, lecz gdy Verbeux mruknął powątpiewająco, dodał: - Panna Smiles jest silna, czuję to. Mogę tylko dać jej władzę, żeby zrobiła wszystko to, co trzeba zrobić, i ufać, że podoła zadaniu. Jeśli będę się wtrącał, podkopię jej wiarę w siebie i przedłużę okres okietznania Desiree.- Skoro pan tak mówi...
- Tak mówię.

- Ale pan w to nie wierzy.
- Wierzę, do diabła!
- Niech będzie. - Verbeux podszedł do drzwi. - Może pan uciec. A panna Smiles niech cierpi. Pan jej nic a nic nie pomoże.
- Stój - powiedział stanowczo Jean-Marc. - I natychmiast wróc. Czy twoim zdaniem Desiree, świadoma, że jestem w pobliżu, będzie mniej krnąbrna? Zgoda, wygrałeś. Zrobimy po twojemu. Poczyń, proszę, niezbędne przygotowania, żeby księżniczka mogła pojechać ze mną do Windsoru. Zmarnowałeś już tyle mojego czasu, że będziemy musieli tam przenocować. Naturalnie nie wiem, czy panna Smiles zechce z nami pojechać, ale w każdym razie złóż jej taką propozycję. Gdyby to nie był jej pierwszy dzień u nas, nie dałbym jej wyboru, ale w tej sytuacji muszę zachować się lojalnie. Jeśli mimo wszystko postanowi nam towarzyszyć, pozwól jej napisać liścik do siostry.
- Jak pan sobie życzy. - Verbeux opuścił obszerną sypialnię.

Jean-Marc wbił wzrok w ciężkie draperie z brązowego atlasu, tworzące wyszukany baldachim nad łóżem. To łóże dostał w prezencie od swojego ojca, księcia Georges'a. Gdy przybył do Londynu z Desiree, już na niego czekało. Wprawdzie wydawało mu się zanadto ozdobne, ale lubił się zastanawiać nad tym, jakie tajemnice z epoki Jakuba I może skrywać.

- *Mon Dieu* - powiedział na głos, dając upust irytacji. - Nie jestem jej ojcem. Dlaczego więc muszę odgrywać taką rolę wobec mojej pozbawionej wdzięku przyrodniej siostry? - Ponieważ, odpowiedział sobie w myślach, gdy wuj Ludwik, wcześniej uważany za następcę tronu, wypadł z łask, księżę Georges uznał, że woli osadzić na tronie swego syna z nieprawego łoża niż córkę, której nie darzy ani szczególnym szacunkiem, ani uczuciem. A ja podchwyciłem pomysł wystania Desiree na sezon do Londynu przede wszystkim po to, by pokazać światu, że jestem kandydatem do korony. Nieważne, że prawie nie znam swojej przyrodniej siostry i nieważne, że Desiree nie ma zamiaru traktować mnie inaczej niż jako irytującego, obcego człowieka, który na domiar złego może jej wydawać polecenia. Przy odrobinie szczęścia panna Smiles odmówi absurdalnej propozycji Verbeux i nie pojedzie dziś do Windsoru.

Z drugiej strony, czy byłoby tak źle, gdyby panna Smiles przyjęła zaproszenie? Może jest pospolita, ale na pewno nie brakuje jej odwagi ani pomysłowości. Lubił

te cechy u innych ludzi, a u kobiety wydawały mu się wręcz urocze. W najgorszym razie towarzystwo tej panny mogło oderwać jego uwagę od frustrujących spraw. Byle tylko panna Smiles nie dostrzegła, że ją obserwuje.

Verbeux wrócił.

- Za pół godziny - powiedział.
- Niech to! - odpowiedział Jean-Marc, bo tego oczekiwał od niego służący. - Nie znoszę czekania.
- Panna Smiles nie zostanie - powiedział Verbeux. Jean-Marc wstał z łoża.
- Ciekawe, co masz na myśli. Nie zostanie? Czy chcesz powiedzieć, że nie pojedzie z nami do Windsoru?
- Pojedzie do Windsoru. Nie zostanie tutaj. Księżniczka jest zbyt trudna.
- Wciąż mi o tym przypominasz. Ona ma stare buciki. Trzeba sprawić jej nowe. Trzeba jej sprawić dużo nowych rzeczy.
- Księżniczce?

Jean-Marc poczuł, że traci cierpliwość.

- Myślę o pani Smiles. Ma zająć się garderobą Desiree, ale powinna przy okazji uzupełnić własną. A ty, Verbeux, pomożesz mi wymyślić stosowny sposób, w jaki można jej to zaproponować. Przypuszczam, że mimo niezwyklej śmiałości, jaką wykazała, zwracając się do mnie, panna Smiles ma swoją dumę i byłaby zakłopotana, gdybym oświadczył jej, że aby mogła pokazać się publicznie z Desiree, musi mieć lepsze stroje.

- Publicznie?
- Tak jak powiedziałem. Publicznie. Chodzi mi o te wszystkie przyjęcia, bale i wieczorki muzyczne, czyli całe mnóstwo nudnych zgromadzeń.

Verbeux cofnął się o krok, a na jego zazwyczaj poważnej twarzy odmalowało się rozbawienie.- Stara panna znikąd ma towarzyszyć księżniczce?

- Mam nadzieję, że to nie potrwa dłużej niż pół godziny - powiedział Jean-Marc, unikając spojrzenia Verbeux. - Chcę wyruszyć jak najszybciej do Riverside.

Gdy znowu spojrzął na Verbeux, przekonał się, że służący bez wątplenia nadal

wyczekuje odpowiedzi na wcześniej postawione pytania.

- Tak, do diabła! Stara panna znikąd będzie towarzyszyć księżniczce. A ja będę towarzyszyć im dwóm. Nie mam zamiaru jednak stać przy Desiree, jakbym był jej matką, którą, nawiasem mówiąc, można było tutaj przysłać razem z córką.
- Nie można było.
- Słucham?
- Księżna Marie. Dobra kobieta, nie śmie sprzeciwić się mężowi. Verbeux wiedział za dużo. Ale przynajmniej nie plotkował.
- Zajechał powóz.
- Dziękuję - powiedział Jean-Marc. - Upewnij się, czy kucharkę powiadomiono, że nie będzie nas dzisiaj wieczorem. Za to na jutrzejszą kolację niech przygotuje jakieś specjały. Będziemy mieli gościa, któremu trzeba zaimponować.
- Pannę Smiles?
- Właśnie pannę Smiles.
- Chce pan jej imponować? Pannie do towarzystwa? Szczerocść była na ogół najlepszym orężem w walce z Verbeux.
- Potrzebuję tej kobiety. Jeśli muszę ją zachęcić do tego, żeby tutaj została, to trudno. Powiedz kucharce co trzeba.
- Najwyższy czas, żeby kucharka miała nadzór. Naprawdę potrzebuje pan żony.
- Potrzebuję spokoju, Verbeux. I dość wtrącania się w moje sprawy. Aha, będę siedział na kozle, obok stangreta.

Verbeux zrobił zgorszoną minę.

- Bez względu na twoją opinię będę siedział na kozle.
- Zwraca uwagę. Ludzie mogą gadać. Na przykład, że pan nie lubi księżniczki.

Niestety, Verbeux miał rację.

- Znowu wygrałeś. Tylko nie próbuj tego wykorzystać. Nadal nie jestem skłonny do ustępstw. Teraz idę na dół.

Przynajmniej w Riverside będzie mógł uciec. Do tej pory musi jednak dbać o pozory. Co tam, jeśli spróbuje się zbliżyć do przyrodniej siostry, to może Desiree trochę złagodnieje. Postanowił właśnie tak zrobić.

Panna Smiles czekała na niego w holu. Całkiem ładnie się prezentowała. Było jej do twarzy w żółtym, a narzutka wydawała się nie najgorszej jakości. Z dodatkiem kilku... Albo nie. Powie Verbeux, niech da do zrozumienia pannie Smiles, że ładnie jest jej w żółtym i powinna sobie sprawić jeszcze jedną narzutkę oraz suknię w tym samym kolorze. Żółtą suknię balową! Coś takiego, żeby mogła pokazać się w towarzystwie... koniecznie z najlepszej strony. Nie inaczej.

Tymczasem Meg uznała, że hrabia wygląda jeszcze groźniej niż przy ich pierwszym spotkaniu. Był w granatowym surducie, brunatnych spodniach i butach do konnej jazdy. Na ramię miał zarzuconą pelerynę, a w dłoni trzymał szpicrutę. Spojrzał na nią badawczo. Oczy niebezpiecznie mu lśniły.

- Czy dobrze się czujesz, milordzie? - Może właśnie o to mu chodziło? Może był chory i pilnie potrzebował pomocy w przygotowaniu debiutu siostry, bo sam nie dawał sobie rady. Och, miała nadzieję, że odgadła trafnie.

Jean-Marc zmarszczył czoło, potem zaczął się zastanawiać, jak długo już stoi i wpatruje się w pannę Smiles. Była taka... kobieca. Miała w sobie naturalny wdzięk, bez pretensjonalnych póz. To właśnie go w niej pociągało. Nie zauważył u niej żadnego z tych irytujących drobnych nawyków, którymi kobiety próbują oczarować mężczyznę, a w rezultacie po prostu go nużą.

- Dziękuję, czuję się całkiem dobrze. Mam dużo spraw na głowie. Czy osiąga panna postępy z księżniczką Desiree? I gdzie ona jest? Pewnie jak zwykle poszła szukać pelerynki albo czegoś innego.

- Nie.

- Nie? Chce panna powiedzieć, że nie poszła szukać niczego cieplejszego do włożenia?

Meg zrobiłaby niemal wszystko, byle nie stracić uzyskanej posady.

Musiła ją zachować. Z niecierpliwością czekała, kiedy będzie mogła oznajmić Sibyl, że ich los się odmienił. Niespokojnie drgnęła. Przecież musiała powiedzieć siostrze również to, że do końca sezonu będą mieszkały osobno, bo hrabia życzy sobie, by ona zamieszkała pod jego duchem, podczas gdy Sibyl ma pozostać pod

numerem siódmym.

- Co z moją siostrą? - spytał hrabia nieco ostrzej. - Czy wróciła do swoich pokojów po coś, czego nie wzięła?
- Tego nie mogę powiedzieć. Istnieje taka możliwość. W każdym razie Jej Wysokość postanowiła nie czekać na mnie, lecz iść prosto do powozu. - Księżniczka Desiree była chłodna i pełna dystansu, ale przynajmniej przestała udawać, że nie zna angielskiego.

Okazja, by zrzucić z barków brzemień odpowiedzialności, jest tak nęcąca, iż nie sposób z niej nie skorzystać, pomyślał Jean-Marc.

- Księżniczka jest nieśmiała - powiedział. - Wiem, że z czasem zaczniesz pannę uważać za swoją najlepszą przyjaciółkę.
- Powiedziała mi, że nie ma żadnych przyjaciół.
- Wobec tego jest bardzo prawdopodobne, że zostanie panna jej najlepszą przyjaciółką. - Sarkazm nie był cechą, którą warto się chlubić, ale Jean-Marc był zdesperowany. - Powóz czeka. Powinniśmy przyłączyć się do mojej siostry.
- Powozu jeszcze nie ma. Jej Wysokość księżniczka Desiree poszła do stajni.
- Rozumiem. Mam nadzieję, że podróż do Windsoru sprawi panie przyjemność. Będziemy mijać po drodze zamek, a Riverside jest niewiele dalej. Następnym razem możemy wziąć pannę na przejażdżkę.
- Nigdy nie siedziałam na końskim grzbiecie. Nawet nie mam stosownego stroju do jazdy. Wystarczy mi, że popatrzę.

Chciał jej powiedzieć, że ma słuchać poleceń, ale ugryzł się w język.

- Zależy mi na tym, aby miała panna przekonanie, że w związku z ułożeniem Desiree może poruszać ze mną wszelkie kwestie. Jestem pewien, że gdy księżniczka nabierze do ciebie zaufania, praca z nią będzie naprawdę przyjemna. Naturalnie również wtedy zawsze służę radą, jeśli będzie to w mojej mocy.
- Dziękuję, milordzie.

Był pewien, że westchnęła. Czy to znaczyło, że postanowiła dotrzymać umowy i jest wdzięczna za ofiarowaną pomoc, czy raczej nie zamierza być z nimi dostatecznie długo, by taka oferta była potrzebna?

- Nie ma za co - powiedział. Torebka panny była zbyt duża i nadmiernie wypchana. Bardzo go ciekawiło, co jest w środku. - Muszę być lojalny wobec rodziny i dbać o jej interesy. Szczerze mówiąc, jestem też bardzo zadowolony z dokonanego wyboru towarzyszką dla Desiree. Mam wrażenie, panno Smiles, że jesteś więcej niż odpowiednią osobą.

- Jeszcze raz dziękuję, milordzie. - Może rzeczywiście dostanie tak potrzebną jej szansę. Może będzie miała okazję znaleźć życzliwego, dobrze sytuowanego męża, który nie jest na tyle atrakcyjny, by miał szansę u panien uważanych za najlepsze kandydatki na żonę. Musi istnieć taki mężczyzna. Wystarczy jeden, który chciałby poślubić pannę może nie piękną, lecz mającą w sobie coś tajemniczego. To pewne. Zresztą gdy owa tajemniczość spowszednieje, małżonek przekona się, że ma zgodną i niekrępującą towarzyszkę życia. No, w każdym razie niekrępującą, dopóki nie pochłonie jej studiowanie jakiegoś pasjonującego zagadnienia. Meg miała bowiem słabość do zgłębiania spraw, które wydały jej się interesujące.

Dodatkową atrakcją stanowiła niewątpliwie obecność Sibyl. Meg pamiętała bowiem, że dopóki z pomocą męża nie znajdzie dla siostry godnego kandydata na męża, będą cieszyć się jej towarzystwem.

- Panno Smiles? Drgnęła.

- Słucham?

- Czy zdarza ci się śnić na jawie?

- Nigdy. Dlaczego o to pytasz, milordzie?

- Tak się zastanawiałem. - Panna była niewątpliwie bardzo bezpośrednia. Musiał też przyznać, że, o dziwo, przemawia do niego jej prostolinijność. - Nie słyszała panna, jak powiedziałem, że powóz już czeka?

Spojrzała na ramię, które jej podał, i z wahaniem położyła na nim rękę. Milczący majordomus otworzył przed nimi drzwi i wykonał ukłon, eksponując łysinę prześwitującą przez rzadkie, siwe włosy.

- Dziękuję, Rench - powiedział hrabia Etranger. - Proszę, dopilnuj przygotowania pokoi dla panny Smiles w skrzydle księżniczki.

Zarzucił pelerynę na ramiona i wcisnął szpicrutę pod pachę. Przykrył dłoń Meg swoją ręką.

Meg powiedziała sobie, że to tylko przejaw uprzejmości... Akurat! Czyż nie byłoby jej przyjemnie, gdyby okazało się, że spodobała się hrabiemu? Trzeba zdobyć się na odrobinę szczerości. Naturalnie, że byłoby. Przecież tak przystojnego mężczyzny jeszcze nigdy nie spotkała. Przystojnego i dojrzałego.

- Nie spieszmy się po schodach - powiedział. - Są strome, nie chciałbym, żeby panna spadła.

Dojrzałego, uroczego, pociągającego. Budzącego pożądanie. Meg poczuła, że ma kłopoty z oddychaniem. Hrabia Etranger był zdecydowanie... smakowity. Słyszała to określenie w ustach kilku młodych dam, dla których szyła kreacje na sezon. Stanęli przed domem i Jean-Marcowi wydało się, że panna Smiles zadrżała.

- Czy na pewno jest pannie ciepło? - spytał. - Chwileczkę. - Zdjął rękawiczkę i ciepłymi palcami dotknął jej twarzy. Miała bardzo miękki, delikatny policzek, a patrzyła na niego z absolutnie rozbrajającym skupieniem. - O, nie. Na pewno nie jest ciepło. Chodźmy do powozu, tam leży koc.

Kolana się pod nią ugięły.

- Zaraz będzie dobrze - powiedział hrabia z uśmiechem, demonstrując urocze dołki w policzkach. Statecznym krokiem zbliżali się do chodnika. - *Mon Dieu!* - wykrzyknął poirytowany. - Należy jej się lekcja dobrego wychowania.

Serce Meg zabiło gwałtowniej. A więc nie tylko jej wydawało się, że praca z księżniczką Desiree stanowi niemałe wyzwanie. Bardzo jej się jednak nie podobało, że hrabia od początku nie zagrał z nią w otwarte karty.

Tymczasem Jean-Marc pomyślał, że gdyby pokazał, na jaki wybuch złości go stać, to panna Smiles niechybnie uciekłaby do domu.

- Księżniczka niewątpliwie zapomniała o manierach. Będziemy musieli wsiąść od strony jezdni. No, trudno. Chodźmy, pomogę pannie.

Stangret już podchodził do drzwi powozu. Otworzył je przed nimi i ustawił schodki.

Jean-Marc zajrzał do wnętrza powozu, przyciągając pannę Smiles do swego boku.

- Desiree - powiedział bardzo cicho. - Co ty sobie wyobrazasz? Dlaczego nie zwróciłaś uwagi na naszą obecność? Przez ciebie panna Smiles musiała wyjść na jezdnię. Przecież mogłaś się odsunąć.

W odpowiedzi księżniczka spuściła wzrok. Biedna, pozbawiona wdzięku istota.

Hrabia doszedł do wniosku, że odpowiedzialna za to zachowanie jest nie tylko buntownicza natura, lecz również smutny los księżniczki. Desiree nie miała czepka ani ciepłej peleryny podróżnej. Jednym kocem okryła ramiona, drugim owinęła kolana i stopy. Wyglądało na to, że więcej koców w powozie nie ma.

Meg czuła się coraz bardziej nieswojo, przytulona do hrabiego. Coś mówiło jej, że z okien domu po przeciwległej stronie placu ktoś może ją obserwować.

A jeśli Sibyl naprawdę wygląda przez okno? A jeśli przy oknie stoją wszyscy mieszkańcy numeru siódmego? Przecież nie wiedzą, że w powozie siedzi już księżniczka.

- Wygodnie? - spytał Jean-Marc. Było mu przyjemnie, że pomagając pannie Smiles wsiąść do powozu, może na moment zapomnieć o manierach, i skwapliwie z tego skorzystał.

- Bardzo - odpowiedziała Meg. Tymczasem hrabia okrył ją swoją peleryną. Nie mógł tego zrobić, nie dotykając jej, lecz naturalnie cały ten epizod był przypadkowy i bez znaczenia.

Meg zrobiło się przyjemniej, ciepło ogarnęło całe jej ciało. Miała wrażenie, że robi coś cudownie niemoralnego.

Hrabia wsiadł za nią do powozu, stangret schował schodki i zamknął drzwi.

Jean-Marc pomyślał, że Meg ma mnóstwo wigoru. Jest pełna życia, zdrowia i... namiętności? Tak, bez wątplenia namiętności. Pochylił się ku niej.

Meg poczuła na twarzy muśnięcie jego oddechu. Wiedziała, że wargi Jean-Marca są zaledwie o centymetry od jej twarzy. Poruszyła się zaniepokojona.

Jean-Marc zaśmiał się cicho. A to ci turkaweczka. Może sama nie zdaje sobie sprawy ze swojej kobiecości, jeszcze nie, ale ostatnie godziny z pewnością obudziły w niej zupełnie nowe doznania. Jean-Marc wiedział, że robi wrażenie na pannie Smiles.

Dlaczego on się ze mnie śmieje? - zastanawiała się Meg. W piersiach czuła dziwne mrowienie. Nie było ono nieprzyjemne, wręcz przeciwnie.

Dolatywał ją zapach krochmalonego płótna. Czuła siłę promieniującą od hrabiego.

Jean-Marc położył jej rękę na karku i szepnął:

- Pokładam w tobie wielkie nadzieje. Powinienem być wytłumaczyć ci wcześniej, że Desiree ciętym językiem maskuje poczciwą naturę. Czy wybaczy mi panna to przemilczenie, popełnione z troski o siostrę?

Skłoniła głowę niemal pewna, że wargi Jean-Marca musnęły jej skroń. Ho, ho, co za miłe uczucie. Przepyszne. Ale musiała uważać. Wiedziała, że jeśli nie zachowa ostrożności, hrabia zorientuje się, że wzbudził jej zainteresowanie.

- Czy wybaczysz mi, panno Smiles?

- Tak - szepnęła. - Naturalnie, milordzie. I będę się starała we wszystkim panu dogodzić.

Czyżby? To była bardzo podniecająca myśl.

- Dziękuję, moja miła. A ja ze swojej strony będę cię wspierał w twoich wysiłkach.

- Czy tak?

Mimo woli zatrzymała wzrok na jego ustach.

- Tak - zapewnił ją z uśmiechem. - Powinniśmy już odjechać, bo inaczej pani Floris nie będzie miała czasu ponarzekać na nie zapowiedzianych gości. Gdy o takie sprawy chodzi, jest to istny tyran w spódnicy.

Meg nie miała pojęcia, o kim mowa, ale zawtórowała śmiejącemu się hrabiemu. Z przyjemnością odnotowała też, że poprawił fałdy peleryny na jej ramionach.

Jean-Marc energicznie uderzył szpicrutą o dach pudła. Powóz szarpnął i ruszył. W uszach zadźwięczały im stukot końskich kopyt i skrzypienie kół.

Meg raptownie przechyliła się ku księciu, który przytrzymał ją, żeby nie spadła z siedzenia.

Zerknięcie przez szybę powozu potwierdziło jej najgorsze przeczucia. W oknach salonu pod numerem 7B było widać kilka twarzy.

Zaczną się plotki. Mieszkańcy domu będą snuli domysły na temat tego, co zobaczyli, a po jej powrocie zadręczą ją pytaniami.

Wreszcie naprawdę będzie tajemnicza. To z kolei była bardzo przyjemna myśl.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Tu Spivey.

Au! To boli. To jest doprawdy nie do pomyślenia. Sami wiecie, że zawsze wyróżniałem się we wszystkim, do czego tylko przyłożyłem ręki. Utrudnienia w wykonaniu tak prostych zadań, jak decydowanie o tym, gdzie chce się być, i przenoszenie się w to miejsce, irytują mnie w najwyższym stopniu. Jestem cały posiniaczony. Tylko sobie wyobraźcie: posiniaczony. Jak to możliwe? Obiektywnie zapewne niemożliwe. Zdaje mi się, że jestem posiniaczony, bo jeszcze pamiętam, jak się czuje człowiek w takiej sytuacji.

Odbiłem się od kamiennej ściany i upadłem na chodnik. Co za upokorzenie! Muszę dostać się pod numer siedemnasty i dobrze się tam rozejrzeć. Nie mogę czekać.

Nigdy nie zawiodłem w tak prostej sprawie. Z jednym wyjątkiem - nie udało mi się zachować kontroli nad poczynaniami rodziny. No, i teraz, gdy próbuję, hm, manewrów w mojej obecnej postaci. Ale nie ustąpię ani w jednym, ani w drugim. Słyszycie?!

Naprzód, na schody! Spróbuję jeszcze raz. Hm, sporo brakuje mi do perfekcji. Za dużo wstrząsów, choć udało mi się na nie wspiąć. Muszę popracować nad techniką ślizgu. Teoretycznie wydaje się to proste, skoro nie trzeba trzymać nóg na ziemi. Ale to nieprawda. Rany! Przypadkiem omal nie stanąłem na głowie. Słowo daję, że słono zapłaciłem tej duszy, która miała nauczyć mnie wszystkich niezbędnych umiejętności. To była Maria, królowa Anglii i Szkocji. Szarlatanka. Słyszałem plotki, że przy końcu... no, właśnie przy końcu stała się biedaczką. Wszystko, co miała, wydała na przekupywanie strażników w Tower, bo płaciła im za różne drobne przysługi. A w Tower siedziała naturalnie za knowania przeciwko Elżbiecie 1. I naturalnie właśnie z tego powodu zgodziła się dawać mi lekcje, choć ani razu przy tym się nie poruszyła.

Powiedziała mi, że tkwi w bezruchu, bo chce mieć zawsze głowę na karku... jakby musiała mi to tłumaczyć.

Dość gadaniny. Muszę wejść pod numer siedemnasty. Muszę podsłuchać, co mówi służba, i dowiedzieć się, jakie są plany tej głupiutkiej Meg Smiles. Jeśli naprawdę

widziałem to, co mi się zdawało, jeśli panna Smiles odjechała z hrabią Etrangerem bez przyzwoitki, to muszę zacząć wszystkie starania od nowa. Z jej reputacji zostaną strzępy, a hrabia z pewnością nie będzie tracił czasu na zajmowanie się skompromitowaną kobietą, chyba że się w niej zadurzy, co stanowi czystą niemożliwość. Wiem, że powinienem był tam wysłać tę drugą, tę nijaką Sibyl. Młodym ludziom Sibyl się podoba, bo rozbudza w nich instynkt opiekuńczy. Och, cieszę się, że już nie jestem młody.

Zrozumcie jednak, że Sibyl wydawała mi się nieodpowiednia. Ona wszystkiego się boi.

Powinienem już dawno udać się na spoczynek. Jestem skrajnie wyczerpany i chciałbym wrócić do swojej siedziby pod numerem siódmym, gdzie mam świetny punkt obserwacyjny. Mimo że los stawia mi tam twarde warunki, muszę bowiem bytować w jednej z tralek schodów, miejsce jest moje i tylko moje, a to mi daje dużo zadowolenia.

W towarzystwie, na które jestem obecnie skazany, są tacy, którzy uważają mnie za istotę nie na swoim miejscu. Uważają, że nie nadaję się na ducha, wyobrażacie sobie?! Co za nedoręczność. Potrzeba mi tylko więcej ćwiczeń. Muszę się skupić. Myśl, Spivey, myśl. Na czym to polega? Skąd się bierze to, że nie umiesz zrobić tego, co potrafi każdy szanujący się duch?

Mogę niepostrzeżenie wychodzić spod numeru siódmego i wracać do domu.

Mogę poruszać się po ulicach bez budzenia sensacji. No, raz czy dwa zdarzyło się, że ktoś mnie zauważył, ale ci ludzie wydawali się bardzo zadowoleni z siebie i przesyłali mi pozdrowienia. Ciekawe, co to za jedni.

Mogę wyjść z każdego budynku i w ogóle zewsząd, kiedy tylko chcę, ale... wejść mogę tylko pod numer siódmy na Mayfair Square, chyba że są otwarte drzwi albo pożyczę sobie czyjeś ciało. Nie jest to tak, jak wam się zdaje. Chcę powiedzieć, że w akcie miłosierdzia pożyczam swój umysł jakiejś nierozgarniętej osobie, lecz tylko wtedy, gdy jest ona samotna i potrzebuje towarzystwa. Doszedłem w tym do dużej wprawy. Rozglądam się za jakimś człowiekiem, którego braku nikt by nie zauważył, i... no, po prostu się wprowadzam. Naturalnie tylko czasowo. I zawsze oddaję w idealnym stanie to, co pożyczyłem. Sądzę nawet, że pod wpływem kontaktu ze mną wybrańcy nabierają wigoru.

„Przybierz majestatyczną pozę, gdy się zbliżasz” - tak poradziła mi Maria.

Wydawało mi się, że ona ma obsesję na punkcie majestatu i władzy. Miała się za Bóg wie kogo i nie mogła przestać mówić o tym, że pozbawiono ją prawa do brytyjskiej korony.

„Przed zbliżeniem się do wybranego celu przybierz majestatyczną pozę i płynnym ruchem dostań się do jego wnętrza. Myśl o tym, że na pewno ci się uda, a tak się stanie. Wyobraź sobie, że tam jesteś, a rzeczywiście tam się znajdziesz”.

Tak powiedziała ta wyniosła Maria.

Niech jej będzie. Chcę być pod numerem siedemnastym, w pokojach służby w suterenie. Tam z pewnością aż wrze od plotek o chlebodawcy.

Ciepła kuchnia... naturalnie ciepła już nie odczuwam... i poczerwieniałe twarze. Ogień trzaska w wielkim kominku, na rożnie obraca się kaczką, skapujący z niej tłuszcz strzela w ogień. Och, jakież poczułbym zapach, gdybym jeszcze miał powonienie. Tak, właśnie tam znajdę się za chwilę. Rozdrażniona kucharka, nadopiekuńcza gospodyni, czujny majordomus, szczebiotliwe służące. Prawdopodobnie wszyscy siedzą w kuchni i piją herbatę, korzystając z nieobecności pana.

Ujrzyć coś, to znaczy uwierzyć w coś i to urzeczywistnić.

Jestem tam, gdzie chcę być...

Niech to piekło pochłonie! Co za okropność! Kręci mi się w głowie, chyba zaraz zemdleję. Jak to możliwe, że wpadłem na drzwi, skoro mnie nie ma... zwyczajnie mnie nie ma!?

To załatwia sprawę. Wiem, co trzeba zrobić, i wiem, jak to zrobić, znam też wybornego kandydata, który może mi pomóc. Dzięki Bogu z lataniem nie mam problemów... na szczęście więc ze wszystkim zdążę na czas.

Do roboty! Och, co za nuda. Żaden dżentelmen nie powinien się tak umartwiać. Jestem w drodze do szkoły dla panienek. No, niezupełnie do szkoły. Pewna moja krewna ze zbiedniałej gałęzi rodziny Spiveyów, która przez wiele lat była w służbie, na stare lata otworzyła ten zakład i wkrótce potem odeszła z tamtego świata. Ale jej współpracownicy dzieliły z nią przekonania, które również mnie odpowiadają. Jakikolwiek przejaw radości życia u młodej damy należy natychmiast zdusić. Jakbym słyszał samego siebie.

Teraz już wszystko ułoży się dobrze. Dalej nie napotkam żadnych przeszkód. Ojej, ojej,

jakie okropne są te slumsy. Nawet oglądanie ich z góry budzi we mnie odrazę.

Do licha, ktoś leci w moją stronę. Krzyczy coś do mnie..

- Ej, ty, stój! Patrz lepiej, dokąd się pchasz.

Słyszycie go? Niech go diabli, to ten arogancki pyskacz Szekspir.

- Bardzo przepraszam, sir. Proszę spokojnie przelatywać, poczekam. - Phi, człowieka z takimi rzęsami nie sposób nie poznać.

Ależ on pozuje. Jak się popisuje pikowaniem i pętlami. To jeszcze jeden z tych, którzy muszą się wywyższać. Dlaczego ludzie nie umieją skończyć z życiem przeszłością?

Scandalous

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wbrew swym oczekiwaniom Jean-Marc wcale nie poczuł się radośniej, gdy ich oczom ukazały się zabudowania Riverside Place. Wręcz przeciwnie - popadł w jeszcze głębsze przygnębienie. Nieco wcześniej zobaczyli potężny, szary bastion zamku Windsor wieńczący zielone wzgórze. Och, jak swojsko czuł się Jean-Marc w tej okolicy. Z każdym obrotem kół powozu widział miejsca, które uwielbiał od chłopięcych lat, gdy Riverside należało do jego matki i jej męża. Na osiemnaste urodziny dostał od nich w prezencie ten olbrzymi dwór w stylu Tudorów. Jednocześnie musiał przysiąc, że dotrzyma umowy z następcą tronu księciem Georges'em, w myśl której tożsamość jego matki i jej męża miały pozostać tajemnicą.

Jean-Marc pomyślał, że nigdy nie usiłował zgłębić tej tajemnicy i z pewnością tego nie spróbuje. Po co miałby zabiegać o uznanie przez kobietę, która się go wyrzekła i wystawiła ten wspaniały prezent na sprzedaż, by wszyscy myśleli, że posiadłość przeszła w jego ręce w drodze zakupu. Drogi matki i syna nigdy się nie skrzyżowały, a Jean-Marc nie miał zamiaru podejmować starań, by zmienić ten stan rzeczy.

- Jak pięknie - powiedziała Meg. Wyrwało jej się to mimo woli. Riverside Place przypominało jej Puckly Hinton, miejsce, gdzie stał jej ukochany dom. Naturalnie posiadłość Ramblers była malutka w porównaniu z Riverside Place, lecz podobnie jak ona pochodziła z czasów Elżbiety I i znajdowała się w pięknej okolicy. Wśród katastrofalnie bujnych chwastów, którymi zarosła za czasów zarządzania własnością przez dalekiego kuzyna Meg, Williama Godly-Smythe'a, wciąż można było dostrzec ślady dawnej świetności.

Hrabia od dłuższego czasu milczał. Z ponurą miną śledził zmieniające się krajobrazy. Jego siostra nie odezwała się ani razu od wyjazdu z Mayfair Square. Meg cieszyła się więc w duchu, że ich pobyt w Riverside Place nie będzie długi, skoro mieli wrócić do Londynu przed zapadnięciem zmroku.

Powóz zatoczył łuk wzdłuż podjazdu obsadzonego pełnięcymi straż wiązami. Pod drzewami w trawie chwiały się błękitne dzwonki. Były też narcyzy, a tu i ówdzie kępki białych stokrotek.

- Porozmawiam z panią Floris - oznajmił hrabia. - A ty, Desiree, zaprowadź pannę Smiles do swojego skrzydła. Bądź miła i zachowuj się tak, żeby twoja nowa towarzyszką i przyjaciółką była zadowolona. W nadchodzących tygodniach panna Smiles będzie twoją prawą i lewą ręką. Potrzebujesz jej rad tak samo jak moich, a może nawet bardziej. Nie wahaj się zadawać jej pytań. Poproszę pannę Smiles, żeby dzisiaj zajęła się twoimi włosami. Myślę, że dzięki temu zaczniesz wyglądać bardziej jak kobieta, którą przecież już jesteś. Oczekujesz debiutu w towarzystwie, wkrótce masz sobie znaleźć męża. Dni warkoczy już minęły. A poza tym nigdy więcej nie będziesz próbowała udawać, że nie umiesz mówić po angielsku. Zrozumiano?

Meg przeniosła wzrok na twarz księżniczki. Wyraz buntu znikł, a jego miejsce zajęła mina pełna rozpacz. Dziewczyna skinęła głową jak istota, której ducha nieodwracalnie złamano. Meg wyprostowała się. Do niej należało wyrobić u księżniczki pewność siebie i nauczyć ją, jak podkreślać zalety swojego wyglądu.

- Rozumiesz, Desiree? - powtórzył książę takim głosem, że Meg przeszył zimny dreszcz. Gdy mówił tym tonem, francuski akcent stawał się wyraźniejszy, a chociaż melodia jego mowy bardzo się wtedy Meg podobała, to w tych okolicznościach budziła w niej duże zaniepokojenie.

Księżniczka kilkakrotnie skinęła głową i nawet zdobyła się na nikły uśmiech w kierunku Meg.

- Dobrze więc - powiedział hrabia. - Panno Smiles, gdybyś mnie potrzebowała, proszę niezwłocznie zadzwonić na służbę, która z pewnością mnie znajdzie. Sprawy mojej siostry mają dla mnie wyjątkowe znaczenie.

Powóz przystanął przy drzwiach frontowych, osłoniętych przed kaprysmi pogody gankiem zdobionym witrażami i przykrytym dwuspadowym daszkiem. Po ścianach domu pięły się róże, tu i ówdzie splątane z ciemnozielonymi gałęziami wierzby zastaniającej dużą część ceglanej fasady.

Hrabia nie poczekał, aż stangret otworzy drzwi, lecz zeskoczył na żwirowy podjazd, wyjął schodki i pomógł wsiąść najpierw Meg, a potem księżniczkę.

- Pani Floris - zawołał do pulchnej kobiety, która wyszła im na powitanie. - Cieszę się, że panią widzę. Przepraszam, że nie mogliśmy przyjechać wcześniej. Porozmawiamy w domu. Desiree, proszę, zajmij się panną Smiles. - Z tymi słowami wszedł do środka za panią Floris, nie poświęcając już Meg ani jednego spojrzenia.

Meg wiedziała, że nie ma powodu się smuć z powodu odejścia hrabiego, lecz nagle poczuła dziwną tęsknotę, zaczęła żałować, że nie może mu towarzyszyć. Cóż, im szybciej uda jej się znaleźć innego dżentelmena, interesującego i, co ważne, zbliżonego do niej pozycją społeczną, tym dla niej lepiej.

Desiree nie wykazywała najmniejszej ochoty do zmiany miejsca.

Tamizę było stąd zarówno widać, jak i słychać. W pewnym oddaleniu, między wierzbnymi płaczącymi, które właśnie okrywały się pąkami, lśniła powierzchnia płynącej wody. Riverside Place miało kilka kondygnacji i kilka skrzydeł. W dachu były widoczne mansardowe okna, rząd okienek ciągnął się też pod okapem. Z kilku wysokich kominów snuły się smugi dymu.

Meg zauważyła, że księżniczka raz po raz niespokojnie spogląda w stronę powozu, którego, o dziwo, jeszcze nie odprowadzono do stajni. Stangreta zatrzymało przy koniach coś, czego Meg nie potrafiła zrozumieć.

- Powinniśmy wejść do środka - powiedziała w końcu do księżniczki. - Brat Waszej Wysokości bardzo jasno wyraził swoje życzenie.

Pozbawiona koców Desiree zatrzęsała się z zimna w swojej paskudnej, szarej sukni.

- Kiedy znajdziesz się w sieni, pośrodku będą schody. Idź na pierwsze piętro. Tam w obie strony biegną galerie. Skręć eee... w lewo. Po tej stronie są pokoje gościnne, ale najpierw zobaczysz odchodzący w głąb korytarz prowadzący do mojego skrzydła. Dojdź do końca korytarza i otwórz ostatnie drzwi. Prowadzą do następnego korytarza, z którego wchodzi się do moich pokoi. Najwygodniej będzie ci chyba w buduarze. Trzecie drzwi po prawej. Możesz tam usiąść i odpocząć. Ja niedługo przyjdę.

Meg wysłuchała tej długiej przemowy w prawie nieskazitelnej angielszczyźnie i już chciała ponownie przypomnieć o życzeniu hrabiego, gdy nagle dostrzegła błagalny wyraz oczu księżniczki.

- Czy Wasza Wysokość dobrze się czuje? - spytała cicho. - Czy powinnam tu Waszą Wysokość zostawić? Pan hrabia może być zły z tego powodu.

Panna skinęła głową.

- Obiecuję, że to nie potrwa długo. Okaż mi odrobinę zaufania, jeśli możesz.

Meg nie była pewna, czy nie popełnia kardynalnego błędu, ale odwróciła się i

weszła do domu. Jej lęk, że natychmiast natknie się na Jean-Marca, okazał się nieuzasadniony. Pospieszyła do podnóża schodów i ku swemu zaskoczeniu usłyszała w pobliżu kobiecy śmiech. Po chwili zawtórował mu dźwięczny, radosny śmiech mężczyzny, niewątpliwie hrabiego Etrangerera. Nic dziwnego, że hrabiemu tak się spieszyło. Czekala na niego dama.

Meg głęboko odetchnęła i w pośpiechu zaczęła wdrapywać się na schody. Dwór był wspaniały. Na wszystkich ścianach wisały obrazy przedstawiające sceny z polowań oraz wizerunki wyniosłych dam i dżentelmenów, dzieci siedzących w sztywnych pozach, a także psów. Sień miała wysokość trzech kondygnacji. Obiegały ją galerie, a strop był pomalowany na niebiesko i ozdobiony chmurami. Pośrodku zwisał z niego na grubym łańcuchu masywny kryształowy żyrandol.

Wiedziała, że nie ma prawa wyrażać opinii o hrabim Etrangerze, a tym bardziej darzyć go uczuciami. Roześmiałyby się jej w twarz, gdyby usłyszał o jej zauroczeniu.

Księżniczka udzieliła jej bardzo precyzyjnych wskazówek. Droga do małego, kunsztownie urządzonego buduaru ze złotym szelongiem okazała się krótka. Meg zamknęła się w pokoju i usiadła na wygodnym krześle obitym różowym aksamitem.

Ogień płonął w kominku obłożonym ciemnoróżowymi kafelkami w różyczki. Różane motywy były widoczne także w owalnych sztukateriach na ścianach i na szklanych osłonach świec w żyrandolu. Sufit też był różowy, a u zbiegu ze ścianami zdobiła go ciężka, złociona sztukateria. Na środku kapy przykrywającej szelong pyszniła się haftowana róża, a ciężkie, różowe draperie były wykończone złotymi frędzlami i miały złote sznury, które je przytrzymywały.

Ten śliczny, kobiecy pokój zupełnie nie pasował do księżniczki, dla której go wyposażono.

Drzwi raptownie się otworzyły. Desiree wpadła do środka, wystawiła głowę na korytarz, ostrożnie rozejrzała się na obie strony i jeszcze ostrożniej zamknęła za sobą drzwi. Była zdyszana, a oczy miała szeroko otwarte. Meg zauważyła też rumieńce na jej policzkach. Księżniczka musiała mieć za sobą jakieś poruszające przeżycie, ale jej urodzie wyszło to tylko na dobre.

Meg spostrzegła również, bo trudno było tego nie spostrzec, że księżniczka trzyma duże, ruchliwe zawiniątko zrobione z koca, który był w powozie.

- Możesz teraz iść do siebie - powiedziała.

Meg odruchowo wstała, ale nie bardzo wiedziała, co dalej.

- Nie mam tu pokoju - zwróciła uwagę księżniczce. - Kazano mi pozostać z Waszą Wysokością.
- Naturalnie masz pokoje - odburknęła Desiree. - Jeśli ja mam tu pokoje, to twoje muszą być w pobliżu. Zawsze tak jest, gdy trzeba znosić towarzystwo przyzwoitki.
- Wasza Wysokość zachowuje się bardzo niestosownie - powiedziała Meg, zanim zdążyła się opanować. Co tam, przecież miała zdobyć autorytet. - Jestem tutaj na życzenie, nie, na wyraźne polecenie pana hrabiego. Mam pomóc Waszej Wysokości, a nie wysłuchiwać impertynencji. Moim zadaniem jest nauczyć Waszą Wysokość uprzejmie się zwracać do innych ludzi. Oczarować ich wdziękiem. Taka szorstkość jak teraz przejęłaby większość ludzi zgrozą. W każdym razie ja nie wyjdę. Zaczniemy od fryzury. Musimy w tej mierze niejedno sprawdzić i spróbować.
- Jestem księżniczka Desiree z...
- Wiem, kim jesteś, Wasza Wysokość. Ale jesteś też nie ułożoną i kapryśną panną. Powiedziałaś mi, że nie masz przyjaciół. Trudno się dziwić. Na szczęście nie ma człowieka, który nie mógłby się zmienić. To dotyczy również Waszej Wysokości. Gdzie możemy zająć się uczesaniem?

Zawiniątko trzymane przez księżniczkę zaczęło przybierać nowe kształty. Coś sterczącego mogło się kojarzyć na przykład z... koniuszkiem ogona.

- Tu jest jakieś zwierzę. Dlaczego Wasza Wysokość ukrywa zwierzę?
- To nie jest zwierzę - zaprzeczyła Desiree i ku zgrozie Meg zaczęła mrugać powiekami, starając się powstrzymać łzy.
- Och, to na pewno jest zwierzę. A Wasza Wysokość nie powinna go mieć, czy tak? Może jest niebezpieczne?
- To... to jest Karp. - Księżniczce zadrżała broda i łzy potoczyły jej się po policzkach. - On nie ma nikogo, kto by go kochał. Jest samotny i smutny... tak samo jak ja. Dlatego wzięłam go pod opiekę. I będę nim się opiekować. Jeśli spróbujesz mi go zabrać, to ucieknę.

Defekt dykcji, który nagle bardzo się nasilił u księżniczki, był szczególnie poniżający. Meg poczuła, że i jej łzy cisną się do oczu. Ta smutna istota próbowała

sobie pomóc, ale nie wychodziło jej to najlepiej.

Tymczasem zawiniątko wykonało dziki podskok, a Bogu ducha winny stwór wyswobodził się z koca oraz z ramion swojej pani.

Meg otworzyła szeroko oczy. Na dywanie w różany wzór wylądował największy kot, jakiego kiedykolwiek widziała. Natychmiast skoczył na kapę przykrywającą szezlong.

- Wielkie nieba! Jak... Gdzie Wasza Wysokość go chowa? Czy w jakimś ogrodowym budynku? Kto go karmi?

- Ja go karmię - powiedziała cicho księżniczka. - I ja go tu dzisiaj przywiozłam. Stangret jest dla mnie bardzo życzliwy i jeśli nie udaje mi się przemycić Karpa do pokoju, to trzyma go w stajniach przy Mayfaih Squahe. Dzisiaj Karp jechał schowany w skrzyni na koźle. Często tak podróżuje i nie ma nic przeciwko temu. Znalazłam go w dniu przyjazdu do Londynu z Mont Nuages. Był w ogródku za domem, ledwie żywy, ale gdy go wysuszyłam i dałam mu jeść, poweselał i zdobił się piękny. Sama zresztą widzisz. I chciał być ze mną, więc został. Ale ty na pewno powiesz o nim Jean-Marcowi, ja to wiem.

Meg spojrzała na Karpa. Miał mięciutkie, gęste futerko, naturalnie szare, z ledwo zauważalnymi białymi smugami po bokach i dwiema białymi łatkami. Bursztynowozłocistymi oczkami dumnie spoglądał przed siebie znad różowego nosa.

- Dlaczego on nazywa się Karp?

- Nie Karp, tylko Karp. Ryba. On lubi ryby.

Meg zadumała się na chwilę, potem podeszła do szezlongu i ostrożnie wyciągnęła rękę.

- Czyli Karp, tak?

- Tak, Karp.

Niewymawianiem r należało się zająć. Jasny, szorstki języczek zaczął oblizywać palce Meg.

- Jak Wasza Wysokość zamierza trzymać w ukryciu takiego wielkiego kota?

- Muszę. - Jej głos znów stał się tak cichy, że ledwie słyszalny. - Powiedziałam, że

nie mam przyjaciół. Skłamałam. Karp jest moim jedynym przyjacielem. Kocham go, a on mnie. Chcę być z nim. Nie próbuj...

- Wasza Wysokość... - przerwała jej Meg. - Proszę wymawiać r, jeśli wolno mi zwrócić uwagę.

- Nie chcę robić tego wszystkiego, co mi każą. Nie zniosę ceremonii. Jestem brzydka. Jak... jak mogę być ładna? Po co mam sobie układać włosy i wierzyć, że to mnie zmieni? Uczesanie nie zmienia ludzi. Ludzie są tym, co mają tutaj... - Położyła dłoń na sercu. - To jest niewidzialne. Ja chcę tylko mieć Karpia, ale wiem, że on na to nie pozwoli, jeśli się dowie.

- Wasza Wysokość ma na myśli swojego brata? - spytała Meg.

- Przyrodniego. Nasz ojciec nie był mężem jego matki, ale jest mężem mojej matki.

Meg przyjęła do wiadomości to zaskakujące oświadczenie i powiedziała:

- Hm, rozumiem. Mało znam hrabiego Etrangera, ale widzę, jak się o ciebie troszczy, Wasza Wysokość. Chce ci znaleźć kogoś wyjątkowego.

- Kandydata na męża. - Księżniczka Desiree spojrzała wymownie w sufit. - Co ja bym robiła z mężem?

- Robiła - poprawiła ją Meg.

- Co bym robiła? I co mąż robiłby ze mną? Kto by mnie zechciał? Nie mam wdzięku, nie jestem pociągająca. Gdyby na tym świecie kierowano się rozsądkiem, pozwolono by mi wrócić do moich książek. Jestem mołem książkowym. Nie chcę przez to powiedzieć, że zjadłam wszystkie rozumy, tylko że lubię się uczyć, studiować, dyskutować o problemach kraju mojego ojca i całego świata. Nie jestem typem kobiety, w jakim zakochują się mężczyźni. Wiem o tym i wcale się tym nie przejmuję.

I to była ta uległa panna podniecona perspektywą swojego debiutu, którą Meg miała przygotować w najbliższych tygodniach? Nie zanosilo się na to. Meg przewidywała, że jeszcze przed wieczornym powrotem będzie musiała powiedzieć hrabiemu o poglądach księżniczki, a wtedy hrabia bez wątpienia zrezygnuje z towarzyski dla siostry. Jak mogłoby być inaczej?

- Jesteś sympatyczną osobą - powiedziała księżniczka. - Na pewno znajdziesz

inną pannę, która potrzebuje towarzyszki.

- Wątpię - odparła Meg i wzięła Karpia na ręce, co skończyło się dla niej przymusową toaletą twarzy i szyi. Kot okazał się ciężki, ledwo mogła go utrzymać. - Dostałam tę posadę zrządzeniem losu. Ale teraz chyba powinnam powiedzieć panu hrabiemu, że Wasza Wysokość nie chce mieć debiutu.

Księżniczka otworzyła oczy jeszcze szerzej.

- I powiesz mi o moim kocie, i wtedy mi go zabiorą. Uśmiechając się nad głową Karpia i całując jego miękkie futerko

między uszami, Meg powiedziała:

- Nie. Nie będę wspominać o wielkim, szarym kocie, którego przecie/ nie mogłam widzieć. Kto by uwierzył w tak dziwną opowieść? Ale radzę Waszej Wysokości schować Karpia, żeby nie rzucał się w oczy. Przywiezienie go tutaj było niebezpieczne. Pomogę Waszej Wysokości ukryć go w powozie w drodze powrotnej, ale te podróże muszą się dla niego skończyć, bo inaczej prędzej czy później zostanie odkryty. A teraz powinnam chyba porozmawiać z panem hrabią.

- Zostań ze mną - powiedziała księżniczka. - Nie chcę, żebyś odeszła.

Meg wolała nie myśleć o powrocie do Londynu i o Sibyl, której będzie musiała powiedzieć, że ich ambitne plany spełzły na niczym.

- Proszę... proszę - nalegała Desiree. - Pokażę ci cały dwór i może część ogrodu.

Dlaczego księżniczka bała się hrabiego Etrangera? Bo bała się na pewno, jej lęk był widoczny.

- Zgoda - powiedziała Meg. Prawdę mówiąc, miała dużo większą ochotę na spacer po ogrodzie niż na oglądanie domu, gdzie w każdej chwili mogły natknąć się na hrabiego z jego znajomą.

Desiree otworzyła ławę pod oknem i Karp wskoczył do skrzyni.

- Udusi się - ostrzegła Meg.

- Na pewno nie. Widzisz?

Podszedłszy bliżej, Meg przekonała się, że kołeczki uniemożliwiają całkowite zamknięcie ławy.

- W środku jest miękki koc. On już tam mieszkał i myślę, że mu się podobało. Chodźmy.

Podczas szybkiego zwiedzania skrzydła Meg obejrzała kilka pięknie urządzonych pokojów. W końcu natknęły się na panią Floris, która dyrygowała grupką służących przygotowującą dwa pokoje, bez wątpienia przeznaczone do użytku panny towarzyszącej księżniczce przy następnych okazjach. Pani Floris uśmiechnęła się życzliwie do Meg, dygnęła przed księżniczką, lecz nie wykazywała chęci do nawiązania rozmowy.

Księżniczka szybko odciągnęła Meg na bok, a gdy znalazły się poza zasięgiem słuchu gospodyni, powiedziała:

- Proszę, nie mów im tylko, żeby przestali przygotowywać dla ciebie pokoje.

Meg uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Zachowanie dziewczyny wydawało jej się zagadkowe.

Riverside Place było uroczą i bardzo starą posiadłością. Czas naznaczył tu wszystko, od boazerii po srebra. Przez okno zamykające galerię na drugim piętrze Meg dojrzała dwie postacie na koniach, mężczyznę i kobietę. Natychmiast zorientowała się, że mężczyzną jest hrabia Etranger.

Desiree stanęła obok niej.

- On uwielbia jeździć konno. Osobiście wątpię, czy Ila dzieli jego namiętność do koni, ale z pewnością zrobiłaby wszystko, czego tylko Jean-Marc sobie zażyczy.

Jean-Marc. Meg zaczęła się zastanawiać nad imieniem hrabiego. Dobrze do niego pasowało.

- Oni długo się znają? - spytała, choć wiedziała, że to z jej strony zuchwałość.

- Niezbyt długo. I chyba niezbyt dobrze. Niewiele ich łączy... ale ona ma swoje zalety.

Meg wyczuwała, że nie należy drążyć tego tematu.

Spacer był krótki. Meg zobaczyła tylko mały ogród. Pod wysokim murem stała ustronna altanka, a przed nią znajdowały się różane rabaty, wśród których prowadziły ścieżki ułożone z kwadratowych kamiennych płyt. Krzewy miały już pąki, co zapowiadało w niedługim czasie wielobarwny spektakl.

- Powinnam wrócić do Kah... do Karpia - zauważyła księżniczka. - Na pewno zgłodniał.

- Wasza Wysokość ma dla niego jedzenie?

- Jedzenia tu nie brakuje.

To dyplomatyczne stwierdzenie nie zachęcało do dalszych pytań. Meg zawahała się i powiedziała:

- Powinniśmy porozmawiać, przynajmniej trochę, zanim wrócimy do domu.

- Dobrze.

Wcale nie cieszył jej niepokój bijący z oczu księżniczki.

- Muszę powiedzieć panu hrabiemu, że mnie nie potrzebujesz, Wasza Wysokość. Chyba że pozwolisz mi wypełniać obowiązki, jakie na mnie spoczywają. Decyzja należy do Waszej Wysokości.

Księżniczka przestąpiła z nogi na nogę, przygryzając wargę.

- Przyjmę życzenia Waszej Wysokości bez żadnych uwag - powiedziała Meg.

- Chciałabyś zostać?

To pytanie postawiło Meg w bardzo trudnej sytuacji.

- Tak, ale...

- Potrzebujesz tej posady?

- To nie powinno mieć wpływu na decyzję Waszej Wysokości.

- Ale potrzebujesz posady?

Przesłuchanie nie miało być niegrzeczne, nie wydawało się też dyktowane czczą ciekawością.

- Tak, potrzebuję. Uzgodniłam z panem hrabią, że zajmę się manierami Waszej Wysokości, kwestiami mody i wymowy, a poza tym będę odpowiadać na wszystkie twoje pytania, księżniczko. Moja siostra, Sibyl... och, anioł, nie człowiek... Sibyl ma muzyczne talenty i uczyłaby Waszą Wysokość gry na fortepianie oraz śpiewu. To oznaczałoby, że mamy dobrą pracę w trudnym dla nas okresie. Wprawdzie obie korzystamy z funduszków powierniczych, ale ostatnio wypłaty zmalały. Podobno

fundator zakładał, że do tej pory będziemy już mężatkami, a ponieważ nie jesteśmy, pieniądze muszą starczyć na dłużej. Moi rodzice zmarli, nie mamy też z siostrą własnego domu. Mieszkamy przy Mayfair Square pod siódmym jako lokatorki. Dom należy do lady Hester Bingham, która jest dla nas bardzo życzliwa. Obawiamy się jednak, że już wkrótce nie będzie nas stać na wynajem, a nie chcemy nadużywać dobroci lady Bingham, która na pewno z litości pozwoliłaby nam dalej mieszkać u siebie. Teraz Wasza Wysokość wie o nas więcej niż ktokolwiek inny. - Twarz Meg okryła się rumieńcem.

- Rozumiem. Widzę, że jesteś kulturalną osobą. Nie ze swojej winy popadłaś w tarapaty. Mimo to nie chcesz się poddać. To godne podziwu.

- Dziękuję. Znajdę inną posadę dla Sibyl i dla siebie. Zaraz poproszę pana hrabiego o rozmowę. Proszę się nami nie kłopotać, Wasza Wysokość.

- Nie kłopotuję się i nie będę - odrzekła księżniczka. - Jean-Marc bardzo się na mnie rozgniewa, jeśli z mojego powodu odejdziesz. Wprawdzie nasz ojciec wysłał go do Anglii po to, żeby przygotował mój debiut, ale jemu nie chce się spędzać czasu z przyrodnią siostrą, której prawie nie zna. Ma na głowie inne sprawy, daleko bardziej interesujące. Nie musisz odchodzić. Będę dla ciebie uprzejma, tak jak dyktują maniery. W zamian za to przekonasz Jean-Marca, że robię duże postępy i pilnie wypełniam wszystkie polecenia. Powinnyśmy już wrócić do domu.

Meg przyglądała się, jak księżniczka otwiera drzwi prowadzące z prywatnego ogrodu do domu.

- Proszę, panno Smiles. Miałaś ułożyć mi włosy.

Meg wreszcie zorientowała się, że stoi z otwartymi ustami.

- Tak, powinnam była to zrobić - przyznała. Ruszyła za księżniczką, rozmyślając o tym, jak egoistyczna okazała się znowu jej chlebodawczyni. Egoistyczna i władcza, chociaż chwilę wcześniej wydawała się całkiem inna. Meg postanowiła jednak wykorzystać sytuację i przekonać księżniczkę, że jest nieoceniona.

Po powrocie do buduaru księżniczka wyciągnęła Karpia ze skrzyni w ławie. Kot usadowił jej się na ramieniu, wyraźnie zadowolony z tej odmiany.

- Pospieszmy się - powiedziała księżniczka. - Pójdziemy do mojej sypialni. Wystarczy chwila i zmienisz mi fryzurę na tyle, żeby zadowolić Jean-Marca.

Meg nie powiedziała ani słowa. Posłusznie ruszyła za Desiree i Karpim do

słonecznej sypialni, utrzymanej w tonacji żółtej i złotej. Księżniczka wyciągnęła spod łóżka miseczkę ze świeżą rybą i postawiła ją Karpiowi na ślicznym, złotym stoliku.

- No, dobrze - powiedziała. - Teraz rób, co do ciebie należy.

Nieco później, gdy podopieczna Meg siedziała z naburmuszoną miną na stołku przed lustrem toaletki, rozległo się pukanie do drzwi. Weszła młodziutka służąca, dygnęła i powiedziała:

- Jego lordowska mość polecił Waszej Wysokości zejść na kolację. Pani też. - Znikła za drzwiami, zamiatając za sobą wykrochmalonym, białym fartuszkiem.

- Na kolację? - zdziwiła się Meg. - Nie możemy jeść tutaj kolacji. Musimy niezwłocznie wrócić na Mayfair Square, bo inaczej będziemy podróżować po ciemku.

- Nie bądź głupia - powiedziała Desiree, wpatrując się w swoje odbicie z bardzo kwaśną miną. - Po co mamy dzisiaj opuszczać Riverside? Nie zdążymy już bezpiecznie dotrzeć do Londynu.

Przerażona Meg wbiła wzrok w widoczne w lustrze szare oczy księżniczki, spoglądające z irytacją.

- Wasza Wysokość się myli. Naturalnie wrócimy jeszcze dzisiaj. Moja siostra dostanie palpitacji serca, jeśli nie pojawię się w domu.. Muszę wrócić.

- Nie będziesz w stanie. Chyba że lubisz bardzo długie i bardzo niebezpieczne spacerować. Poza tym dlaczego twoja siostra miałaby się martwić? Verbeux powiedział ci, żebyś wyszła do niej liścik, więc to zrobiłaś, prawda?

- Tak, ale...

- Sprawa załatwiona. Nie trapij się nią dłużej. Zdemontuj tę nedorzeczną konstrukcję na mojej głowie, z łaski swojej, i z powrotem zapleć mi warkocze.

Muszę wrócić do domu, pomyślała Meg. W liście do Sibyl wspomniała tylko o wyjeździe, nie o noclegu.

- Dobrze, sama to rozplączę.

- Nic z tego, Wasza Wysokość. Proszę tylko spróbować, a powiem hrabiemu o Karpiu. - Wstrząsnęła nią, że ucieka się do szantażu. - No, nie. Tego naturalnie nie

zrobię. Karp jest kochany i dobrze rozumiem, dlaczego Wasza Wysokość uważa go za swojego przyjaciela. Proszę jednak nie dotykać włosów. Może rzeczywiście taka fryzura nie jest wygodna i trzeba się do niej przyzwyczaić, ale Wasza Wysokość bardzo ładnie w niej wygląda. Proszę się przez chwilę nie ruszać.

Im szybciej uda jej się porozmawiać z hrabią i powiadomić go o swoim kłopotcie, tym lepiej.

Otworzyła drzwi do garderoby, choć bardzo się obawiała, że nie znajdzie tam nic stosowanego. Rzeczywiście, większość sukni była równie nieciekawa, jak ta szara, którą księżniczka miała na sobie. Meg jednak się nie poddała. Oglądała sztukę za sztuką, aż w końcu znalazła jedwabną suknię w pasy z dwóch odcieni brązu. Zdjęła ją z wieszaka, a potem wynalazła jeszcze szkatułkę bez wieczka, w której leżały różne dodatki.

- Proszę pozwolić, że pomogę zdjąć suknię. Myślę, że ta, którą znalazłam, znakomicie nada się do kolacji.
- Ta, którą mam na sobie, też się nada.
- Uprzejmie proszę zmienić suknię.

Zdawało jej się, że zauważyła na wargach księżniczki cień uśmiechu. Desiree wstała i odwróciła się tyłem do Meg, by umożliwić jej rozwiązanie tasiemek. Okazało się, że nawet bielizna księżniczki jest za duża.

- Proszę łaskawie zrobić krok do przodu.

Księżniczka posłusznie wyszła z szarego pierścienia i pozwoliła, by Meg odiała ją w suknię z brązowego jedwabiu. Z tyłu spódnica była wykończona sztywnymi atłasowymi wątkami, a długie, obciste rękawy miały bufki przy ramionach. Ta suknia była na szczęście mniejsza od szarej, a kwadratowy dekolty wykończony herbacianą koronką dobrze pasował do drobnego, lecz kształtnego ciała księżniczki.

- Hmm... - mruknęła zadowolona Meg. - Proszę teraz usiąść. Mam tu różne świecidełka. Czy mogę im się przyjrzeć?

Księżniczka wzruszyła ramionami, ale Meg zauważyła, że uważnie wpatruje się w lustro i wcale nie wydaje się znudzona.

- Ładnie Waszej Wysokości w tej sukni. Może jest trochę zbyt surowa dla młodej

panny, ale na szczęście Wasza Wysokość ma subtelną urodę. O, mam co trzeba.

Meg wyszczotkowała włosy księżniczki, by pięknie lśniły, a potem uplotła z nich kunsztowną koronę na szczycie głowy, eksponując długą, smukłą szyję i nieduże uszy. Szylkretowy grzebyk wysadzany perłami, który Meg znalazła wśród ozdób, wyglądał na hiszpański. Przytrzymała nim koronę na szczycie głowy, a potem uwolniła kilka kosmyków, żeby swobodnie opadły na boki.

- Wasza Wysokość jest bardzo ładna - powiedziała.
- Nie żartuj. Musimy zaraz zejść na kolację, bo inaczej Jean-Marc przyśle tu następną służącą i będzie na mnie zły. Pokażę się w tej głupiej sukni i z ułożonymi włosami, ale tylko dlatego, żeby Jean-Marc docenił twoje wysiłki.

Wyszły z sypialni. Meg już nie dbała o to, czy zadowoli hrabiego, a w każdym razie nie tak bardzo. Postanowiła zdać się na jego łaskę i prosić go, by niezwłocznie odwieziono ją do Londynu. Jeśli hrabia będzie zadowolony z jej pierwszego, drobnego osiągnięcia, to z większą ochotą jej pomoże.

- Och, co za nuda. On już jest w jadalni - zauważyła księżniczka, gdy zeszły na parter.

Lokaje stali po obu stronach zamkniętych, podwójnych drzwi, szybko jednak je otworzyli, widząc nadchodzące Desiree i Meg. Obie weszły do pokoju nie zauważone przez parę, która siedziała przy drugim końcu stołu, dostatecznie długiego i bogatego w krzesła, by mógł pomieścić przynajmniej po dwadzieścia osób z każdej strony.

Księżniczka skrzyżowała ramiona i tupnęła.

Meg myślała, że zapadnie się pod ziemię. Wolałaby być gdziekolwiek indziej, byle nie tutaj.

Przyjaciółka hrabiego siedziała mu na kolanach, obejmując go za szyję. Jej fioletowo-niebieska suknia eksponowała znacznie więcej pulchnego ciała, niż Meg dotąd widywała publicznie. Lśniące kasztanowe włosy miała upięte w baranie rogi, trzymane przy koronie spinkami w kształcie pączków białej róży. Na skronie opadały jej luźne, poskręcane kosmyki.

Meg zerknęła na służących, którzy stali gotowi do podania posiłku. Wszyscy patrzyli prosto przed siebie, jakby obejmująca się para nic ich nie obchodziła.

- Lady Upworth - mruknęła księżniczka Desiree. - To wdowa, która chce, żeby Jean-Marc ją poślubił. Jeśli on to zrobi, papa dostanie szau.

Meg usłyszała słowa księżniczki, to jednak nie oderwało jej uwagi od przeciągłego pocałunku tamtych dwojga i dłoni księcia, którą dama trzymała na swoim prawie obnażonym biuście.

- Jean-Marc - odezwała się napastliwie księżniczka. - Przyszłyśmy na kolację.

Przyjaciółka hrabiego przerwała pocałunek i odwróciła się, żeby sprawdzić, kto to powiedział. Zaczęła się śmiać, aż wreszcie udało jej się opanować wybuch radości przyłożeniem dłoni do ust.

Hrabia wydawał się zdezorientowany, lecz na wszelki wypadek się uśmiechnął.

- Chodź tu, mała księżniczko - powiedziała lady Upworth. - Chodź tu, żeby Ila mogła cię lepiej obejrzeć.

- Ty też - szepnęła księżniczka do Meg. - Musisz być ze mną. Przeszły do drugiego końca stołu, Meg o krok za księżniczką. Roześmiana lady Upworth usadowiła się wygodniej na kolanach hrabiego i splótła dłonie. - Ojej - powiedziała, gdy Desiree stanęła przed nią. - Ojej, ojej! Stanowczo nie powinnam była pozwolić ci zajmować się przygotowaniami twojej siostry do debiutu bez mojego udziału, Jean-Marc. Wyglądasz doprawdy pociesznie, biedulko - zwróciła się do dziewczyny. - Nieważne, od dzisiaj będę wszystkiego doglądać osobiście.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

- Sibyl? Czy to ty?

Drgnęła, słysząc wołanie mężczyzny. Upiętno już sporo czasu, odkąd wyczekawszy na właściwą chwilę, kiedy nikt z mieszkańców domu pod numerem siódmym nie mógł jej zauważyć, ukryła się na skwerze pośrodku placu. Wybrała ławkę, z której widziała zarówno dom pod numerem siódmym, jak i siedemnastym.

- Sibyl? - rozległ się znowu głos, tym razem bliżej. - To ty, prawda? Odpowiedz natychmiast.

Mężczyzna szedł ku skwerowi od strony numeru siódmego. Był mocnej budowy ciała, choć przeciętnego wzrostu.

Sibyl zamknęła oczy i usiłowała przepędzić go siłą woli. Dwa nieszczęścia w tak krótkim czasie to za wiele. Tymczasem nie ulegało wątpliwości, że zbliża się do niej kuzyn, William Godly-Smythe. Nie można było nie poznać ani jego postury, ani dudniącego, potężnego głosu, który stanowił dla niego powód do dumy.

Wszedł przez furtkę na skwer i skierował się prosto ku niej.

- Sibyl Smiles, co tu robisz sama o tej porze? Co wyobraża sobie Meg, że pozwala ci tu samotnie siedzieć... bez względu na godzinę? Jesteś dobrze wychowaną panną i zupełnie nie znasz życia. Czyż nie mówiłem ci wielokrotnie przy różnych okazjach, że Londyn nie jest odpowiednim miejscem dla delikatnych istot takich jak ty... albo Meg?

Odkąd William wprowadził się do domu, który ku swej radości odziedziczył w spadku po ich ojcu, weszło mu w nawyk zwracanie się do kuzynek bardzo autorytatywnym tonem.

- Dobry wieczór, Williamie - odpowiedziała. - Co porabiasz w Londynie?

- Łaskawie powstrzymaj się od wypytywania mnie o cokolwiek, skoro to ja zadałem ci pytanie. Oto jaki jest skutek tego, że pozwala się pannom mieszkać samotnie. Pantom, które odebrały staranne wychowanie. Takim jak ty, Sibyl. Samotnie, a w dodatku w Londynie, też coś! Nie pozwolę, żeby ten stan rzeczy

trwał dłużej. Jutro z samego rana odwiozę was do Puckly Hinton.

W każdym innym czasie Sibyl poinformowałaby kuzyna, jak niewielką władzę ma nad nią i Meg. Nie miał wręcz żadnej. Ale w tej chwili zależało jej tylko na tym, żeby William jak najszybciej sobie poszedł. Nie mógł się dowiedzieć o tym zdumiewającym fakcie, że Meg nie wróciła na noc do domu, ani w ogóle o jej eskapadzie, bo wtedy stałby się natrętny nie do zniesienia.

- Chodź, chodź - powiedział i pochyliwszy się, ujął ją za ramię. - Niezwłocznie porozmawiamy o tym z Meg.

- Meg jest chora. - Czy Bóg wybaczy jej kłamstwo?

- Chora? Zawsze miała żelazne zdrowie. Na co zachorowała? - William był zbyt silny dla Sibyl, by miała szansę stawić mu opór. Musiała wstać. - Och, naturalnie. Jak mogło mi to wylecieć z głowy, skoro właśnie z tego powodu tu przyjechałem? Wypadek przy Burlington Arcade. Dostownie poraziła mnie ta wiadomość, gdy do mnie dotarła. Przecież ona omal nie postradała życia. Właśnie dlatego rzuciłem wszystkie ważne sprawy i w pośpiechu przyjechałem do Londynu, by udzielić wam wsparcia. Meg niewątpliwie odczuwa jeszcze skutki tego tragicznego incydentu, gdy otarła się o śmierć. Tak, miałem rację, że przyjechałem, by nalegać na wasz powrót.

Nadęty osioł. Tego było dla niej naprawdę za wiele.

- Meg jest przeziębiona i ma silny kaszel. Śpi i nie wolno jej budzić. Doktor powiedział, że potrzebuje dużo snu, aby wyzdobrzeć. Tamto zdarzenie nie pozostawiło żadnych przykrych następstw. To był zwykły wypadek.

- Kto twierdzi inaczej? - spytał ostro. - Czyżby coś przede mną ukrywano?

- Stanowczo nie. Po prostu sam sugerowałeś, kuzynie... Jak właściwie usłyszałeś o wypadku Meg?

- Na pewno to wiesz. - William pochylił się nad nią tak, że ich twarze znalazły się o centymetry od siebie. - Jestem przekonany, że w tym wszystkim kryje się coś więcej, niż to się wydaje na pierwszy rzut oka. Wielebny Baggs twierdził, że Meg go nie poznała, ale powiedziałem mu, że z pewnością jest w błędzie. Teraz przychyliam się do poglądu, że powinienem był mu wierzyć.

Sibyl nie miała zielonego pojęcia, o czym mówi kuzyn.

- Wielebny Baggs? Z Puckly Hinton? Kiedy Meg go nie poznała?
- Na miejscu wypadku, rzecz jasna. Biedny Baggs był w Londynie w sprawach kościelnych. Wyobraź sobie, jaki przeżył wstrząs, gdy zobaczył Meg w takim stanie. Podszedł do niej i chciał się z nią przywitać, uściśnął jej rękę, a ona robiła wrażenie, jakby nie wiedziała, z kim ma do czynienia. Jak to możliwe, skoro poznali się zaraz po jego przyjeździe na wieś?
- Papa traktował go bardzo życzliwie, kiedy jeszcze byliśmy małe. To pamiętam. A potem pojawił się we wsi dopiero wtedy, kiedy zaofiarowałeś mu parafię po śmierci naszego ojca - powiedziała Sibyl. – Wkrótce potem wyjechałyśmy.
- I nie byliście tam dostatecznie długo, żeby poznać wielebnego przy ponownym spotkaniu?

Nie mogła dłużej udawać.

- Ja chyba bym go poznała.
- Naturalnie, że tak. Meg coś się stało, prawda? To dlatego była zamroczona i weszła prosto pod powóz.
- Nie - odparła Sibyl, śmiertelnie przerażona tą sugestią. - Nic złego się z nią nie dzieje. - Przynajmniej Sibyl miała taką nadzieję, bez względu na to, gdziekolwiek była teraz Meg.
- To ty tak twierdzisz - powiedział William, zaborczo ściskając jej ramię. Doszli do ogrodzenia skweru. - Mam powody przypuszczać, że brakuje wam pieniędzy i znalazłyście się w trudnym położeniu. To może być jedna z przyczyn dziwnego zachowania Meg. Ale obie możecie się już przestać martwić, bo podjąłem decyzję, jak rozwiązać ten problem.

Byli już blisko chodnika przed domem.

- Poczekamy do rana i wtedy powiemy Meg o naszych planach. Dziś przenocuję u was w salonie. Nie zniosę myśli o tym, że mogłybyście pozostać choćby jedną noc więcej bez mojej opieki.

Gdyby Meggie była na miejscu, pomyślała z rozpaczą Sibyl, potraktowałaby kuzyna z wielką stanowczością i dobrze wiedziałaby, jak skłonić go do wyjazdu w taki sposób, żeby zdawało mu się, że sam o tym postanowił.

Weszli na schody domu numer siedem. Frontowe drzwi otworzyły się jak za

pociągnięciem sznurka. Stał przed nimi Adam Chillworth, jeszcze bardziej rozdrażniony niż zwykle.

William wydał pomruk niechęci.

- Jeszcze nie wróciła, jak wnoszę? - odezwał się Adam. - A to kto?
- Nasz kuzyn, pan William Godly-Smythe - powiedziała Sibyl, gorączkowo szukając sposobu na powstrzymanie Adama przed następnymi ryzykownymi wypowiedziami.
- Ano, rozumiem - powiedział Adam i zdawkowo skinął głową Williamowi. - Pewnie mieszka w pobliżu, prawda? Nie słyszałem, żebyś kiedyś o nim wspominała. Ale naturalnie może okazać nam pomoc, czemu nie.
- Kim jest ten człowiek? - spytał William, który tymczasem wprowadził Sibyl do sieni i już zdejmował kapelusz.
- Adam Chillworth - powiedział Adam, mierząc Williama wzrokiem od stóp do głów. - Z lokalu siedem C. Sibyl i Meg są ze mną w przyjaźni.
- Bo jesteście lokatorami w tym samym domu? - William zmarszczył swój całkiem ładny, prosty nos. - Nie wydaje mi się możliwe, żeby łączyło was cokolwiek innego.

Sibyl wzruszyła ramionami, przepaszając w ten sposób Adama, który się uśmiechnął. W rzadkich sytuacjach, gdy zdobywał się na uśmiech, nie można było nie ulec jego urokowi. Wydawał się wtedy chłopięco przystojny, a oczy mu się skrzyły.

Jednak uśmiech znikł tak samo szybko, jak się pojawił.

- Czyli nigdzie jej nie ma? - spytał Adam. - Powinienem być zrobić to, co zamierzałem od samego początku. Iść tam i postawić parę zasadniczych pytań. W każdym razie na wszelki wypadek obserwowałem cię, jak siedzisz na skwerze.
- Jak to „na wszelki wypadek”? - zainteresował się William. Jego gładkie, jasne włosy lśniły. Oczy miały bardzo gniewny wyraz.
- W razie gdybym musiał przyjść Sibyl z pomocą – wyjaśnił Adam. - Nie zemdląta, kiedy pan podszedł, więc uznałem, że pana zna. Inaczej szybko bym się tam zjawił i spytał, co pana tu sprowadza. William wytrzeszczył na niego oczy.
- Sibyl czekała tam na kogoś? Na kogo? Wy oboje czekacie. Kto zginął?

Adam zbladł.

- Mów, człowieku! - zażądał William.

Nie można już było nic więcej zrobić, jak tylko postarać się o to, żeby to nie Adam był odpowiedzialny za zdradzenie Williamowi tego, czego Meg na pewno nie chciałby kuzynowi wyjawiać.

-- Meg ubiega się o posadę - powiedziała szybko Sibyl. - Jako panna do towarzystwa. Dziś rano poszła na rozmowę z ewentualnym pracodawcą.

- Wiedziałem, że już dawno powinienem być tu przyjechać. Od razu jak tylko wielebny Baggs opowiedział mi o swoim spostrzeżeniu. - William rozpoczął nerwową przechadzkę. Jak dotąd nie skojarzył braku jednego z mieszkańców domu pod numerem siódmym z inicjatywą Meg. Spojrzał prosto na Sibyl. - Ona straciła rozum. Muszę z nią natychmiast porozmawiać. Bądź łaskawa ją zbudzić, a ja poczekam w salonie.

- Nie mogę - szepnęła Sibyl. - Meg otrzymała tę posadę. Wyjechała w towarzystwie... swojej nowej pani i... i... i... jeszcze nie wróciła.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Co za niezręczna sytuacja. Że też Ila musi się tak popisywać... zwłaszcza przed panną Smiles... no, i przed Desiree, uznał w duchu Jean-Marc, a głośno powiedział:

- Usiądźcie, proszę. - Przesadził Ilę z kolan na krzesło po swojej prawej stronie, bez powodzenia starając się zachować przy tym resztki godności. - Desiree, ty po mojej lewej stronie, panna Smiles obok ciebie.

Ale nie tylko Ila tu zawiniła, naturalnie jeśli nie liczyć jej obraźliwej reakcji na pojawienie się księżniczki. O powtórzeniu takiego przedstawienia nie było mowy.

Sam się zdziwił, że wzbiera w nim gniew. Nie na Ilę. Do diabła, szukał spełnienia. Pragnął być mężczyzną, który jest pewien swego celu. Chciał... Chciał, żeby coś nabrało dla niego znaczenia i żeby był ktoś, dla kogo jego powroty i odejścia, i uczynki są ważne, bo i on jest ważny.

Odsunął od siebie te dziwne myśli i uśmiechnął się do siostry. Siedziała obok niego z opuszczoną głową. Panna Smiles w żółtej sukni, lecz bez narzutki i czepka, zajęła miejsce obok. Jean-Marc wyczuł, że jest zmęczona.

Przybrała pozę spokojnej pewności siebie. Kobieta, która się nie narzuca. O, co za intrygująca myśl.

- Ila - odezwał się. - Jeszcze nie miałaś okazji poznać panny Smiles. Jak ci mówiłem, panna Smiles będzie odtąd towarzyszyć Desiree. Panno Smiles, to jest lady Upworth.

- Panna Smiles jest dla mnie bardzo dobra - oznajmiła księżniczka, mierząc Ilę surowym spojrzeniem. - Ma we mnie bardzo niewdzięczny materiał, ale stara się i jest bardzo uprzejma.

- Nie mów za dużo i pamiętaj o r - zwrócił jej uwagę Jean-Marc.

- Panna Smiles ma przed sobą mnóstwo pracy, choć niemało już osiągnęła. Wiedziałem, że twoim włosom dobrze zrobi dorosła fryzura. W tej sukni też jest ci do twarzy. Kto by pomyślał, że ciemny kolor pasuje do młodej osoby? Jestem bardzo zadowolony - mówił, unikając spojrzenia Ili.

- Dziękuję - powiedziała Desiree i uśmiechnęła się. Nie przypominał sobie, kiedy zdarzyło się to poprzednio. - Z przyjemnością myślę o lekcjach muzyki z drugą panną Smiles. Czy to nie szczęście, że znaleźliśmy tak utalentowane osoby, które mogą nam pomóc? - ciągnęła księżniczka.

- Czyż to nie urocze? - włączyła się Ila. Wydawała się jednak niespokojna, bo jej głos brzmiał podejrzanie wysoko. - Cieszę się, Desiree, że dobrze się czujesz w towarzystwie tych osób. Ale powiedz, proszę, że i ja mogę pomóc. One będą potrzebować rad, których zawsze chętnie udzielię.

Jean-Marc uznał, że jest to prosta droga do katastrofy.

- Porozmawiamy o tym później - zawyrokował. - Tymczasem Desiree jest oszołomiona nowościami. Już i tak musi uważać na zbyt wiele, a na naukę nie ma dużo czasu. Sam udzielię panie Smiles wszelkiej koniecznej pomocy.

- Naturalnie - powiedziała rozczarowanym i dość kwaśnym tonem Ila. - Och, jak pięknie pachnie ta zupa. Mam wilczy apetyt. Jean-Marc, przy tobie zawsze jestem taka głodna.

Nie wątpię, pomyślał hrabia.

- Jean-Marc - odezwała się Desiree. - Panna Smiles nie była przygotowana na nocleg w Riverside. Martwi się, że jej siostra umiera z niepokoju.

Odłożył łyżkę.

- Myślałem, że panna napisała list do siostry.

- Tak, ale nie wiedziałam, milordzie, że zamierzasz tutaj spędzić noc. Sądziłam, że przed zmrokiem wrócimy do Londynu.

Te rude włosy były fascynujące.

- To Verbeux zaprosił pannę na ten wyjazd. Z pewnością polecił też panie szczegółowo poinformować siostrę o naszych planach.

- Verbeux nie zdradził nam szczegółów - wtrąciła pospiesznie Desiree. Między nią a Verbeux toczyła się ostra rywalizacja. - Zresztą powinnam była to przewidzieć. Powiedział tylko, że mamy pojechać z tobą do Riverside. Naturalnie ja mam tu wszystko na miejscu, więc nie pomyślałam o panie Smiles.

Jean-Marc zadumał się nad zachowaniem Verbeux. Ten krętacz wyłudził od niego

zgodę na zaproszenie Desiree i panny Smiles, a potem po prostu kazał im jechać. I nawet nie powiedział im dokładnie, czego należy się spodziewać. Szkoda, że Verbeux został w Londynie, by doglądać domu przy Mayfair Square.

- Jean-Marc - odezwała się znów księżniczka - pomóż panie Smiles. Ona jest bardzo troskliwą osobą i martwi się o innych.

Był bardzo zadowolony z tego, że siostra zaakceptowała nową towarzyszkę, lecz obudziła się w nim podejrzliwość. Desiree nigdy przedtem nie wykazywała chęci zaprzyjaźnienia się z kimkolwiek. Wszystkich traktowała z dystansem i opryskliwość.

- I bardzo dużo wie o różnych sprawach - ciągnęła księżniczka. - O cokolwiek ją pytam, odpowiada mi z dużą znajomością przedmiotu. I jest bystra. I pomoże mi z... z moimi akwarelami, prawda, panno Smiles?

- Tak - odpowiedziała Meg, która niewiele słyszała z tego, co powiedziała jej podopieczna. Bez wątpienia w tej chwili nie była zdolna do niczego innego oprócz myślenia o swojej siostrze.

- Chciałbym, żeby można było pojechać do Londynu jeszcze dziś wieczorem - powiedział łagodnie Jean-Marc - ale robi się ciemno. Jazda o tej porze nie wchodzi w grę. Proszę się jednak nie martwić. Cała wina leży po mojej stronie. O świcie wyślę posłańca, który uspokoi panny siostrę. Napiszę list z przeprosinami. A tymczasem sprawy układają się jak najlepiej. Proszę się odprężyć. Dzięki panie jestem szczęśliwszym człowiekiem. Razem z pewnością przeprowadzimy Desiree przez sezon i osiągniemy sukces.

- Uważaj, Jean-Marc - wtrąciła Ila zniżonym głosem, pochyliwszy się głęboko ku hrabiemu. - Jeszcze nie wiesz o niej dostatecznie dużo. Za bardzo jej ufasz. Poznałeś ją zaledwie kilka godzin temu. Skąd możesz wiedzieć, że ona naprawdę zna wicehrabiego Kilrood i jego żonę?

W chwili gdy Ila próbowała zaniepokoić hrabiego, Desiree pochyliła się w jej stronę, aby nie uronić ani jednego słowa. Na swoje nieszczęście lady Upworth była mało spostrzegawcza.

- Ila - szepnęła księżniczka - czy sądzisz, że panna Smiles może być niebezpieczną osobą?

Jean-Marc spojrział na Iłę, która zmarszczyła czoło i odszepnęła:

- To całkiem możliwe. Cieszę się, że stać cię na stawianie rozsądnych pytań.

- Dziękuję - odrzekła Desiree. - Może powinniśmy się postarać, żeby ją stąd usunięto.

Jean-Marc wyprostował się na krześle i skrzyżował ramiona, a tymczasem lady Upworth i Desiree, pochylone ku sobie, dyskutowały, co zrobić z Meg Smiles. Miał zamiar udzielić potem siostrze surowej reprimendy, tymczasem jednak Ila była zanadto rozradowana, aby mógł przerwać mocno wątpliwe zwierzenia siostry.

Pochwycił wzrok panny Smiles. Oczy jej lśniły, a kąciki ust się uniosły.

- Może sprowadzić konstabla, jak myślisz? - spytała cicho księżniczka.

To były bardzo wyraziste oczy, chciał zobaczyć je z bliska.

- Wątpię, czy byłoby tutaj łatwo znaleźć konstabla. - Ili aż podskoczyły loki z podniecenia. - Ale...

Panna Smiles miała ładne zęby i akurat teraz można było im się przyjrzeć. Wymienili radosne uśmiechy. Jean-Marc pomyślał, że musi zanotować w pamięci, jak niebezpieczne jest zatrudnianie obcych.

Rzęsy panny Smiles były bardzo ciemne i podwinięte. Gdy mrugała, pięknie podkreślały blask jej oczu.

Meg, zadowolona, że jest pilnie obserwowana, również przyglądała się hrabiemu. Traktowała to jak chwilę wspólnej zabawy. Naturalnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co myśli Jean-Marc, dla niej była to zgoła niewinna rozrywka. Lecz i chwila godna zapisania w pamięci. Ho, ho, jaka kobieta nie zapamiętałaby twarzy człowieka otoczonego aurą tak niezwykłej mocy.

Hrabia prawdopodobnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że patrzą na siebie. Wzrok miał wbity w jeden punkt, zapewne ze znużenia. Tak poważny człowiek nie mógł chyba być zainteresowany dziewczęcym strzępieniem języków ani zwracać uwagi na osobę, której na pewien czas dał posadę.

- ...porozmawiam o tym z Jean-Markiem - powiedziała Ila do księżniczki.

- Nie. To ja z nim o tym porozmawiam.

Meg uznała, że nie wolno nie doceniać bystrości jej podopiecznej.

Gdy panna Smiles odwróciła głowę, Jean-Marc poczuł żal. Najchętniej wstałby od stołu, wziął ją za rękę i wyprowadził gdzieś, gdzie mogliby pogawędzić.

Pogawędzić? Co za pomysł! Chciał znaleźć się sam na sam z kobietą, która podniecała go z nieznanym mu dotychczas powodów, i spędzić ten czas na rozmowie! Czyżby był chory?

Służba zabrała zupę i podała następne danie. To jednak nic go nie obchodziło.

Pokręcił głową. Twarz znów mu spoważniała i przybrała nieprzenikniony wyraz, tak w każdym razie zdawało się Meg. Tego wieczoru nie mogła liczyć na uwolnienie się od niepokoju o Sibyl, postanowiła więc ukoić skołataną nerwy abstrakcyjnym myśleniem. Korzystając z tego stanu wyjątkowego skupienia, mogła też zanalizować osobę hrabiego, naturalnie dla czysto teoretycznych celów.

Jean-Marc postanowił być uczciwy wobec siebie. Chciał z nią zostać sam na sam. Tylko tyle, przynajmniej na razie. Poznali się za ledwie tego ranka, dał jej posadę, ponieważ przekonała go, że potrafi spełnić jego oczekiwania... a wieczorem już pragnął zostać z nią sam na sam.

Może wreszcie spotkałem kobietę, która mogłaby odegrać ważną rolę w moim życiu, pomyślał. Chyba oszalałem, ale to jest stosunkowo łagodna forma szaleństwa i być może nigdy się od niej nie uwolnię. Naturalnie taka znajomość mogłaby być tylko nieoficjalna. Cokolwiek więcej byłoby niestosowne. Ale i tak czerpałbym z niej dużo przyjemności.

- Och, Ila, ty wstrętne prowokatorco. Myślałam, że mówisz poważnie, a ty po prostu żartujesz - powiedziała głośno jego siostra. - Ależ mi głupio. A ja chciałam ci dogodzić, bo nie miałam pomysłu, jak zmienić twoją opinię o panie Smiles. Jak mogłaś tak mnie nabrać?

Prawdziwa prowokatorka w tym zajściu, Desiree, odwróciła się tymczasem do Meg i powiedziała:

- Musisz nam wybaczyć. My, próżni ludzie, bawimy się tak, jak umiemy.
- To prawda - potwierdziła zaczerwieniona lady Upworth. - Och, biedna panna Smiles musiała tu przyjechać tak, jak stała. Nie martw się, moja droga, pożyczę ci coś z mojej garderoby. Każę służącej zanieść trochę rzeczy do twojego pokoju. - Dała znak lokajowi, aby wydać mu dyspozycje. Mężczyzna z kolei szepnął coś służącej, a ta natychmiast opuściła pokój.

Meg podziękowała i próbowała sobie wyobrazić, co lady Upworth rozumie przez „trochę rzeczy”. Nie wydawało jej się, by dama mogła mieć cokolwiek w jej

rozmiarze. Dyskretnie przyjrzała się wspaniałej figurze lady Upworth, a potem zerknęła na siebie.

Jean-Marc podążył za jej spojrzeniem i nabrał pewności, że wie, czego dotyczą w tej chwili myśli Meg. Zapewne uważała, że ubranie Ili może być tu i ówdzie za duże. Osobiście jednak był innego zdania.

Lokaj, który się przy nim zatrzymał, szepnął mu coś do ucha. Machinalnie skinął głową, po czym znów nastąpiła zmiana zastawy.

- Proszę nie wstawać bladym świtem, panno Smiles - powiedział. - Nie ma powodu do pośpiechu. Siostra dostanie wiadomość z samego rana, może więc się panna spokojnie nacieszyć razem z nami pobyt w Riverside.

Meg uświadomiła sobie, że właśnie została wyproszona na spoczynek. Z kolacji ledwie coś skubnęła, prawdę mówiąc, nie była jednak głodna. Wstała i trzy razy dygnęła. Hrabia położył łokieć na stole i wsparł podbródek na dłoni. Przyglądał się, bynajmniej tego nie ukrywając, a na wargach igrał mu uśmiezek.

Meg odwróciła się i skierowała do drzwi. Hrabia się z niej śmieje.

Gdy tylko drzwi za nią się zamknęły, księżniczka wstała od stołu. Zmierzyła Iłę chłodnym spojrzeniem.

- Zakładam, że nie chciałaś mnie obrazić, gdy przyszłam na kolację. Panna Smiles jest piękna, ma niezwykłą urodę, i to cię widocznie zaniepokoiło. Byłaś tak zmieszana, że nie wiedziałaś, co mówisz. Wybaczam ci to.

Ila zwróciła się do Jean-Marca.

- Musisz mieć nad nią więcej kontroli, bo staje się coraz trudniejsza. Mimo jej wysokiej pozycji społecznej niewielu mężczyzn zechce tolerować taką arogancję.

- Zmykaj spać, Desiree - powiedział Jean-Marc. - Zaczęła się praca i jutro będziesz miała trudny dzień. Dobrze wypocznij.

Postusznie opuściła pokój, ale zdążyła jeszcze usłyszeć, jak brat mówi:

- Moja siostra była dostatecznie miła, by ofiarować ci honorowe wyjście z sytuacji, którą sama stworzyłaś. Powinnaś być jej za to wdzięczna. Co zaś do reszty - jesteś u mnie w gościnie, a nie po to, by pouczać księżniczkę.

Desiree pospieszyła do swoich pokoi. Pannę Smiles zastała w sypialni. Siedziała

pod oknem, trzymając Karpia w ramionach. Okryła się kocem, który był w skrzyni, twarz wtuliła w futerko kota i coś do niego szeptała. Mruczenie Karpia Desiree usłyszała od progu.

- No, proszę - powiedziała. - Co za niewdzięczność. Przyszedłeś tutaj zaledwie kilka minut przede mną, a mój zdradliwy kot tuli się do ciebie, zamiast poczekać na swoją panią.

Zaskoczona Meg wstała i bez słowa postawiła kota na podłogę.

- Och, wcale nie o to mi chodziło. Jestem zmęczona. Nie przywykłam do długotrwałej konwersacji, zwłaszcza z kimś tak głupim jak lady Upworth.

Meg nie odpowiedziała. Śledziła wzrokiem księżniczkę. Tymczasem pantofelki Desiree poleciały w jedną stronę, pończochy w drugą. Grzebyk znalazł się na toaletce, a zaraz za nim szpilki, którymi Meg przytrzymała upięte włosy księżniczki. Desiree rozplatała warkocze i gniewnymi ruchami wyszczotkowała sobie włosy, raz po raz krzywiąc się z bólu. Potem odwróciła się do Meg i powiedziała:

- Rozepnij mi suknię, proszę. - Wkrótce i suknia dołączyła do reszty garderoby leżącej na podłodze.

Ubrana w dziecięcą nocną koszulkę, ozdobioną pod szyją zaokrąglonym kołnierzykiem z koronkowym wykończeniem, księżniczka wzięła na ręce Karpia, potem znieruchomiła ze zmarszczonym czołem.

- Och, wielkie nieba, jak mogłam zapomnieć? - Odstawiła kota na ziemię i zaczęła czegoś szukać.

- Co Wasza Wysokość robi?

Księżniczka ze zniecierpliwieniem machnęła ręką.

- Nie rozumiesz? Kot musi załatwić potrzebę, ot co. Wyczekam na odpowiednią chwilę i wyjdę na dwór bocznymi drzwiami, do których prowadzą schody dla służby. Zostań tutaj.

- Nic z tego - sprzeciwiła się Meg. Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek była tak zmęczona, lecz podążyła za swoją podopieczną, która przy końcu korytarza skręciła na schody prowadzące do bocznego wyjścia. Desiree postawiła Karpia na ziemi, a Meg zamknęła oczy, spodziewając się wnet rozpaczliwych skarg na kota, który znikł w ciemnościach.

- *Vite. Vite* - powiedziała z naciskiem księżniczka.
- Wątpię, żeby Karp rozumiał pojęcie pośpiechu lub jakiegokolwiek inne ze specyficznymi ludzkimi pojęciami.
- Na pewno rozumie. - Desiree zaczęła podskakiwać i Meg stwierdziła ze zgrozą, że księżniczka jest bosa. - *Vite, Karp, vite. O, widzisz, jaki posłuszny? Robi wszystko, co mu się mówi. Nie, Karp, jeszcze nie jesteś gotowy. Na pewno zrobisz więcej. Vite. Nie wyjdiesz drugi raz aż do rana, więc korzystaj z okazji.*
- Wasza Wysokość się przeziębii - powiedziała Meg. - Z bosymi nogami!
- Phi! Jestem silna jak wół... i tak samo pospolita. Spytaj mojego ojca.
- Karp załatwił swoje sprawy - powiedziała Meg, unikając wypowiedzi na temat ojca, który może być tak okrutny wobec dziecka. - Wracamy na górę. Karpia ją wezmę.

Kot miał zimne futerko, ale jego język i nos były ciepłe i szorstkie jak zawsze.

Księżniczka szybko ułożyła się w łóżku i schowała Karpia pod kołdrę. Meg nie miała serca zaprotestować.

- Czy Wasza Wysokość chce, żebym z nią chwilę porozmawiała? Albo poczytała? Może, na przykład, przeczytam coś z Biblii?
- Dziękuję, że dzisiaj ze mną byłaś - odparła Desiree. Oczy same jej się zamykały.
- Już prawie śpię. Widziałas, gdzie są twoje pokoje. Dobranoc.

Znów ją wyproszono. Meg dygnęła, mimo że nikt już tego nie widział, i wycofała się do siebie. Starła się nie myśleć o tym, jak zmartwiona musi być Sibyl. Najlepiej byłoby, gdyby siostra poszła pod numer siedemnasty i zapytała o nią, Meg jednak poważnie wątpiła, czy jest to możliwe, bo Sibyl bałaby się jej narazić.

Weszła do swoich pokoi przez miły salonik, również pełen różów, zaakcentowanych obecnością bukietka fiołków na stoliku. Zmarznięta po eskapadzie Karpia ucieszyła się, że napalono w kominku. Wyciągnęła rękę do ognia.

- Nie ma sposobu, żebym dzisiaj wróciła do Sibyl. - Ale tłumaczenie sobie tego, nawet na głos, nie zmniejszyło jej niepokoju ani na jotę. Postanowiła przygotować łóżko, a potem trochę pomedytować. Wreszcie mogła zrobić z medytacji prawdziwy użytek, zaczęła bowiem swoje ćwiczenia z czystego kaprysu, wyłącznie

po to, by pogłębić wokół siebie aurę tajemniczości.

Również w sypialni płonął ogień w kominku. Tu królowała blada zieleń i złoczone francuskie meble. Meg przyjrzała im się z mimowolnym podziwem i nawet poczuła ukłucie żalu, że spędzi tutaj tylko jedną noc.

Potem jej uwagę zwróciły stroje zostawione na wielkim łożu. Podeszła do nich tyleż zaciekawiona, co pełna złych przeczuć. Wcześniej postanowiła, że będzie spała w koszulce.

Koszula nocna i peniuar, które tam leżały, były w subtelnym, brzoskwiniowym odcieniu. Jedno i drugie miało szlaczek ze srebrnych listków wokół głębokiego dekoltu w kształcie litery V. Peniuar był zapięty na srebrne guziczki, a przy szyi miał troczki ze srebrnego atłasu. Na podłodze przy łożku stała jak na warcie para pantofelków w tym samym brzoskwiniowym odcieniu.

Meg dotknęła peniuaru. Nieraz szyła z tak luksusowych materiałów, ale nigdy sama ich nie nosiła.

W tych obszernych szatach na pewno mogła znacznie wygodniej rozmyślać niż w koszulce. A ponieważ lady Upworth uprzejmie pożyczyła jej te rzeczy, Meg doszła do wniosku, że przynajmniej je przymierzy.

Była przyzwyczajona do samodzielności, więc przebranie się nie zajęło jej wiele czasu. Koszula muskała ciało tak delikatnie, że wydawała się uszyta z jedwabiu, a nie bawełny. Peniuar był kosztowny i ozdobny. Zapięła guziczki i zawiązała atłasową kokardę, która znaczyła dość głęboko wyciętego dekoltu.

Pochyliła się, by włożyć pantofelki ze srebrnym oblamowaniem i natychmiast znów stanęła wyprostowana. Ta koszula i peniuar nie były skromne.

Szybko umyła się w misce, wyszczotkowała włosy, wyjęła z torebki mantylkę i przeniosła się do saloniku. Nie można osiągnąć prawdziwego stanu jedności z abstrakcją podczas snu. A pokusa snu stanowiła największe możliwe zagrożenie dla skupienia myśli. W saloniku było ciemno, lecz nie tak bardzo, by Meg nie mogła nic zobaczyć.

Ciepło dodatkowo utrudniało jej zachowanie bystrości umysłu. Meg usiadła po turecku na dywanie w pewnym oddaleniu od kominka. Pożyczone szaty ułożyły się dookoła niej.

- Nie będę walczyć z moją myślą - powiedziała. - Mmmmm... - Dźwięk zawibrował

jej w gardle. - Wędruj, gdzie chcesz, a ja przywołam cię, gdy będziesz na to gotowa.

W mantylce udrapowanej na głowie i ramionach wyobraziła sobie, jak jej wnętrze wypełnia się białym światłem. Światło ją ogrzało, odprężyło...

I nagle znikło. Co też Sibyl musi teraz myśleć? Na pewno nie śpi. Jedyna nadzieja w Adamie, stanowczym i zdecydowanym. Może uprze się, by iść pod numer siedemnasty. Meg mocno zacisnęła zęby. Adam zażądałby dokładnych wyjaśnień co do miejsca jej pobytu i prawdopodobnie przy okazji narobiłby wielkiego zamieszania.

Sibyl cierpi, ale wkrótce przyjdzie ranek i postaniec ją uspokoi. Hrabia powiedział prawdę, w nocy rzeczywiście nie ma sposobu na powrót do Londynu.

Białe światło wróciło i tym razem rozlało się po jej ciele bez przeszkód. Otworzyła dłonie, oparła je wierzchem o kolana i zaczęła rozluźniać ciało. Przez cały czas powtarzając magiczny dźwięk, zaczęła pracę nad stopami: mocno uszczypnęła każdy napięty mięsień, przez chwilę trzymała, a potem pozwalała mu bezwładnie opaść. Towarzyszyło temu wrażenie ciepła i wielkiego ciężaru.

Meg była przekonana, że pewnego dnia te cudownie odprężające rytuały będą praktykować wszyscy.

Znów zawiodła ją koncentracja i musiała zacząć od początku.

- Jestemmm - powiedziała, zaczerpując tchu. Wypuściła powietrze i powtórzyła: - Jestemmm. - Jednocześnie ponowiła wdech. - Jestemmm. - Wdech. Wydech. - Jestemmm. - Wdech.

Lekki ból, użyty jako bodziec, na którym można się skupić, zawsze pogłębiał jej więź z jaźnią. Nadal krzyżując nogi pod zwiewnymi szatami, Meg położyła się na plecach. Czuła napięcie mięśni w nogach, rozboleły ją plecy. Zachowała jednak dyscyplinę i znów zaczęła pracować nad stopami. Zacisnąć, przytrzymać, puścić. Wolno przesuwiała dłonie coraz wyżej.

- Jestemmm.

Pewnością siebie i pogodą ducha, które zyskiwała w coraz większym stopniu, mogła zwrócić na siebie uwagę kogoś, kto szuka cichej żony. Najpierw powinna zwabić go tajemniczą aurą i naturalnie swoimi walorami fizycznymi, a potem dać mu poczucie bezpieczeństwa i pewności, że jest mu wierna, tak by urzekł go

spokój, jaki od niej promieniuje.

W zamian za to mąż stanowiłby gwarancję, że ani jej, ani Sibyl nie grozi życie w ubóstwie. Naturalnie obie nadał robiłyby to, co robią, dla zapewnienia sobie finansowej stabilizacji, ale nie musiałyby martwić się tym tak jak teraz.

- Jestemmm - powiedziała, kontrolując oddech. Gdy wypuszczała powietrze z płuc, wyobrażała sobie, jak wraz z nim wylewa się z niej cała czarna rozpacz.

Szeroko rozłożyła ramiona.

- Jestemmm. - Owionął ją chłodny prąd powietrza.

Przed zamkniętymi oczami ujrzała skupioną twarz hrabiego Etrangera. Nie znała tego człowieka. Taka była prawda. Ale chciałyby go poznać. Naturalnie była mu potrzebna tylko jako towarzyszka dla księżniczki. Poza tym hrabia miał swoje zainteresowania, choć Meg nie sądziła, by lady Upworth stanowiła ich znaczącą część. Tego człowieka pochłaniały bardziej zagadkowe i prawdopodobnie dużo ważniejsze sprawy. Wprawdzie odnosił się do niej uprzejmie, a kilka razy przyglądał jej się z widocznym zainteresowaniem, lecz z drugiej strony śmiał się z niej i musiała o tym pamiętać. Wszak nie dorównywała mu pozycją. Bardzo tego żałowała, bo gdyby mogła zapragnąć absolutnie wszystkiego, czego można zapragnąć na tym świecie, wybrałaby właśnie hrabiego Etrangera.

Leżała nieruchomo, jej ciało pulsowało. Sama myśl o hrabim ożywiła ją ponad miarę. Byli sobie obcy, ale okoliczności, w jakich się spotkali, mogły szybko doprowadzić do powstania między nimi więzi.

- Jestemmm. - Przy następnym oddechu usunęła blok, który ścisnął jej skronie. - Jestemmm.

Owionął ją chłód. Rozchyliła dekolt peniuaru i koszuli nocnej, by obnażyć ramiona, po czym uniosła biodra z podłogi dla ochłodzenia rozgrzanych pleców.

Stojąc w uchylonych drzwiach, Jean-Marc obserwował Meg Smiles tak zafascynowany, że aż go to niepokoiło. Leżała na plecach, z głową osłoniętą czarną koronką, nogi miała rozłożone pod obszerną, lecz prawie przezroczystą szatą, ręce rozrzucone na boki, a ciało wygięte w łuk.

Niemal skamieniał z wrażenia.

Przyszedł tutaj pod wpływem kaprysu. Osaczono go, a ona była osobą na tyle

oddaloną od otaczającego go świata, że mógł liczyć na jej bezstronność.

Wiedział, że jest intruzem, że przeszkodził w jakimś bardzo prywatnym rytuale. Nie miał prawa wchodzić, dlatego stanowczo powinien niepostrzeżenie się oddalić.

Meg obnażyła ramiona. Peniuar rozchylił się dostatecznie, by wyeksponować jej piersi. Tak, były duże, a w migotliwym świetle lśniły. Nie należało wykluczać, że wkrótce obejrzy je dokładnie.

Meg mogła być ekscentryczna, ale na pewno nie należała do ślicznotek, które mógł wziąć dla zabawy...

Coś zakłóciło jej skupienie. Poczwała, jak przestrzeń wokół niej zacieśnia się, maleje. W pokoju pojawiło się ledwie wyczuwalne, lecz niewątpliwe źródło ciepła. I nowy zapach, tak jakby przeciąg, który ją owionął, przyniósł z sobą woń płynącej niedaleko rzeki i traw falujących na jej brzegu.

Nadal leżała w bezruchu i po chwili usłyszała wąty odgłos. Westchnienie, a może po prostu głośniejszy oddech. Zdrętwiała.

Jean-Marc domyślił się, że jego obecność została odkryta.

Meg opuściła plecy na podłogę. Czwała coś niezwykłego wzdłuż kręgosłupa, jakby palce muskały jego okolice, z każdym delikatnym dotknięciem wzmagając w niej podniecenie. Miała wrażenie, że jest to dzieło odmienionej świadomości, takiej, która pozwala odczuwać dotyk bez udziału skóry.

Nieruchoma poza w blasku ognia, rozłożone dłonie wyrażające nieznanne błaganie, niewinna zmysłowość... Jean-Marc był pod wielkim wrażeniem.

W otaczającej ich ciszy Meg wyczuła jego obecność.

Nie była dłużej sama. To on przyszedł.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Proszę mi wybaczyć. Nie miałem prawa pannie przeszkodzić. Meg wolno otworzyła oczy. Stał o dwa kroki od niej, barczysty

mężczyzna bez twarzy, okryty czymś białym... koszulą. Bez surduta. Jak mogłaby go poprosić, by z nią został, nie narażając się na posądzenie o brak skromności?

- Po co pan przyszedł, milordzie?

- Powinna być panna zła. Przecież mnie nie znasz. Moja obecność lulaj musi być wstrząsem.

Jego cichy głos odrobinę się łamał, prawie niezauważalnie, lecz niewątpliwie hrabia ulegał jakimś emocjom. Za bardzo jednak analizowała jego zachowanie. To musiało być wysoce niestosowne. Zachowywała się nierozważnie, może nawet sama pchała się prosto w pułapkę zastawioną przez światowego człowieka na nią, niedoświadczoną pannę.

- Panno Smiles, czy mogę... - O co właściwie chce ją spytać? Po co tutaj przyszedł? Czyżby szukał flirtu z panną, która nie jest w stanie mu zaszkodzić? Cóż, naleganie na stały związek z pewnością mu z jej strony nie groziło.

Meg ściągnęła poły peniuaru i usiadła.

- Proszę mi powiedzieć, po co pan tu przyszedł. - Zdjęła mantylkę, choć krępowo ją, że ma rozpuszczone włosy. Wydawało jej się to zanadto intymne.

- Przechodziłem obok - odparł. - Nawet nie wiem, dokąd się wybierałem, póki nie stanąłem tu pod drzwiami. Czy mogę z panną posiedzieć?

Chciała, żeby z nią posiedział, z Meg Smiles, sierotą prawie bez środków do życia, krawcową wstydzącą się swojego rzemiosła, kobietą, którą zatrudnił, ponieważ ubarwiła swój życiorys i wykorzystała jego trudną sytuację.

- Nie, naturalnie nie - odpowiedział sobie na głos Jean-Marc. - Pójdę. - Jeśli panna Smiles zrezygnuje z posady zaraz po ich powrocie do Londynu, będzie to wyłącznie jego wina.

- Proszę ze mną posiedzieć - odezwała się nieoczekiwanie. Hrabia przystanął, a potem zbliżył się do niej.
- Czy ma panna kłopoty z zasypianiem?
- Czasami.

Nie skorzystał z krzesła, lecz usiadł naprzeciwko niej na podłodze, po turecku, tak samo jak ona i tak samo jak ona milczał. Czy to możliwe, żeby nagle zabrakło mu słów?

O czym rozmyślał?

- Panno Smiles, wyrażam ubolewanie z powodu swojego głęboko niestosownego zachowania. - Nagły wybuch śmiechu pomógł mu odzyskać spokój. - Jest panna bystra i z pewnością zaraz zakwestionuje moją szczerość. Zamiast iść sobie i zapomnieć, że tu zabłądziłem, siedzę przed tobą na podłodze. Przeszkodziłem ci w... Przeszkodziłem ci, a na dodatek przestraszyłem. Wybacz mi, proszę, sam nie rozumiem swojego postępuku. - Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

Pocieszyłaby go, gdyby mogła. Ale każda taka próba byłaby z jej strony zuchwałością.

Zapadło milczenie.

Słyszała jego cichy oddech. Domyślała się kształtów muskularnego ciała pod białą koszulą. Obserwowała grę cieni na smukłych dłoniach i blask ognia odbijający się we włosach. Podłużne, twarde mięśnie nóg zachęcały do zakazanego dotyku. Upajała się jego widokiem i była szczęśliwa.

- Jaki rytuał panna praktykuje?

Rytuał? Takie pytanie nigdy nawet nie przyszło jej do głowy.

- Rytuał? Uczę się korzyści płynących z abstrakcyjnego myślenia połączonego z panowaniem nad własnym ciałem. Aby doświadczyć pełnej harmonii, trzeba wyciszyć umysł i serce.
- Doświadczenie pełnej harmonii? Myślenie abstrakcyjne? - Co za tajemnicza panna... Naturalnie słyszał o takich sprawach, sądził jednak, że interesują one wyłącznie mężczyzn.

Cicho się roześmiała i powiedziała:

Nie twierdzą, że udało mi się zapanować nad własnym umysłem albo znaleźć pełną harmonię. Są momenty, kiedy w ogóle nie ma o tym mowy. Ale potrzebuję chwil samotności, aby móc porozmyślać w skupieniu.

- Rozumiem. - Nawet był w stanie uwierzyć w to, co powiedział. Mogę dać pannie jeszcze jedno zadanie. Nauczyć mnie znajdowania harmonii. Naturalnie nie od razu, lecz kiedyś, w przyszłości.

- Chętnie spróbuję.

Jean-Marc nie odważył się na nią spojrzeć. Mogłaby domyślić się jego tęsknot. Chyba za dużo wypił po przykrew wymianie zdań z Ilą.

Panna Smiles musnęła jego włosy. Zrobiła to tak delikatnie, że bardziej poczuł jej ruch niż dotyk. Zawahała się, a po chwili cofnęła dłoń.

- Nie, nie - powiedział, chwytając ją za nadgarstek. - Proszę nie rezygnować tak szybko z chęci pocieszenia. Proszę potrzymać mnie za rękę. Może udzieli mi się trochę spokoju i harmonii.

Meg zadrżała. Hrabia ujął ją za rękę i przyłożył jej lewą dłoń do swojej prawej. Jeśli chciał ją obrabować z resztek rozsądku, to mu się udało.

- Zimna - zauważył, niewątpliwie mając na myśli jej dłoń. Spletli palce i trwali tak w bezruchu. Jean-Marc mocno trzymał jej dłoń.

- To pan jest ciepły - powiedziała, choć nie była pewna, czy usłyszy.

Wolną ręką pogłaskał ją po uniesionym przedramieniu. Bardzo wolno, z największym skupieniem. Meg owładnęła prawdziwa burza doznań.

- Weź moje ciepło w zamian za swoją harmonię - zaproponował i wiedziała, że przekroczył już wszelkie dopuszczalne granice, ciągnąc tę z pozoru niewinną grę.

- Nasza wspólna obecność w tym miejscu jest niestosowna, milordzie, prawda?

- Nie jest, dopóki oboje nie dojdziemy do takiego wniosku. Jeśli zapomnimy o tym, kim jesteśmy, jak bardzo się różnimy, i nawet o tym, jak bardzo jesteśmy jednakowi, jeśli uznamy, że chcemy wzajemnie się obdarować, to nasze postępowanie jest nie tylko dopuszczalne, lecz również jedyne słuszne.

Powinniśmy też zapomnieć, że poznaliśmy się zaledwie dzisiejszego ranka. -
Spojrzał w sufit i nabrał tchu.

- Jestem człowiekiem rozdartym między dwoma krajami, między tym, czego się ode mnie oczekuje, a tym, za czym sam tęsknię. Odpowiedzialność, jaką ponoszę, bardzo mi ciąży. Owszem, chciałbym zadowolić tych, którzy tego ode mnie oczekują. Ale moje serce jest gdzie indziej i nie wiem, co mam robić.

- Milordzie - zapewniła cicho Meg Smiles - jestem z tobą w tej walce.

Uwierzył jej.

- To są bardzo osobiste zwierzenia. Jeszcze przed nikim nie odkryłem do tego stopnia moich prawdziwych uczuć.

- Dlaczego dzieli je pan ze mną? Z obcą osobą?

- Czy jesteś obca? - Uśmiechnął się pod nosem. - Jeśli liczyć w godzinach i minutach, to pewnie tak jest. Ale tutaj... - dotknął piersi

- ...mam takie uczucie, jakbym od dawna szedł właśnie do ciebie. Wiem to na pewno. Jesteś mi bliska. Bliska, choć stanowisz zagadkę. Chcę cię poznać... Meg, chcę cię poznać jak najlepiej.

Zwrócił się do niej po imieniu, które w jego ustach zabrzmiało uroczo, choć zaskakująco. Zakręciło jej się w głowie. Potem będzie żałować swojej spontaniczności, ale w tej chwili bez zastrzeżeń wierzyła w szczerą Jean-Marca.

- Masz gęste włosy - pochwalił, a ona przygryzła wargę, widząc, że spuścił głowę prawie tak jak mały chłopiec. - To była uwaga osobista. Przepraszam jeszcze raz. Ale mimo to powiem ci, że bardzo mi się podobają twoje włosy. Mam ochotę wsunąć w nie dłoń, by poczuć ich miękkość. Popatrz na mnie, moja droga Meg... nie masz się czego obawiać.

Postanowiła nie myśleć teraz o miksturze madame Suzanne ani o flakonikach z mazidłami, którymi przyczerniła rzęsy i podkreśliła rumieńce na policzkach w tak doskonały sposób, że mogły rywalizować z naturą. Czy powinna powiedzieć hrabiemu, że ma nadzieję zwrócić na siebie uwagę uczciwego człowieka szukającego wiernej żony?

- Meg, czy chcesz, żebym już poszedł?

Tym razem to ona spojrzała w sufit. Zaczęła się modlić o radę. Hrabia zwracał się

do niej po imieniu, jakby byli przyjaciółmi od dawna... a przecież w ogóle nie mieli szans nimi zostać. Stanowczo powinna przyjąć taktowną sugestię i odpowiedzieć twierdząco.

Ale nie chciała, żeby poszedł.

- Meg? - Pochylił się nad nią i poczekał, aż spojrzy mu w oczy. - Pójdę natychmiast, jeśli właśnie tego chcesz. - Powinien się wstydzić swojej przewrotności. Złożył decyzję w jej ręce, bo liczył, że poprosi go o pozostanie.

- A czy pan tego chce?

Ach, więc jednak nie można jej było tak łatwo podejść.

- Nie. Chcę zostać z tobą tak długo, jak jest to możliwe. Najchętniej zostałbym z tobą aż do świtu, siedzielibyśmy tutaj i rozmawiali. A gdybyśmy zasnęli przytuleni do siebie, to byłbym najszczęśliwszym z mężczyzn.

Meg zabrakło słów. Jego szczerość była rozbrajająca. Propozycja, by zasnęli przytuleni, nieodwracalnie zburzyła jej spokój.

- Meg...

- Milordzie, możesz zostać tutaj tak długo, jak sobie życzysz. Nie będę dzisiaj spała, ponieważ za bardzo martwię się o siostrę. Chętnie przyjmę pańskie towarzystwo.

Oczy go nagle zapiekły, co jeszcze mu się nie zdarzyło. Mężczyźni nie płaczą i on też nie miał zamiaru, ale ta panna raz po raz poruszała go do głębi.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, że mówię do ciebie „Meg”?

- Nie. - Uśmiechnęła się. - To miłe.

- A mnie będzie miło, jeśli będziesz do mnie mówić „Jean-Marc”. Przyznaję, że publicznie mogłoby to budzić zdziwienie, ale kiedy jesteśmy sami, zwracamy się do siebie jak przyjaciele i powiernicy. - Wyraźnie tracił równowagę umysłu, ale nawet go to cieszyło. Pogodził się z tym, że uległ oczarowaniu. A oczarowała go panna, którą zatrudnił do towarzystwa dla siostry. Nie interesowało go jednak, kiedy się poznali ani w jakich okolicznościach... połączyła ich więź, którą kobietom i mężczyznom rzadko udaje się osiągnąć, nawet jeśli znają się całe życie. - Meg, powiedz, jak mam na imię.

Meg zaczęła głaskać kciukiem jego dłoń. Jego prośba była nadzwyczajna. I on sam był nadzwyczajny.

- Jean-Marc. Takie męskie imię. Pasuje do ciebie.
- Dziękuję. Bronię się przed przyjęciem na siebie obowiązków wobec Desiree. To nie jest zła dziewczyna, ale niektórzy członkowie rodziny jej nie rozumieją, a nawet źle ją traktują. Imponuje mi tym, że kiedy chce, potrafi być delikatna. Polubiła cię.
- Ja też ją lubię. Chcę być dla niej przyjaciółką i pocieszycielką w chwilach smutku.
- Nie masz nic przeciwko chodzeniu na wieczorki muzyczne, przyjęcia i różne podobne niedorzeczności?

Zaśmiała się cicho.

- Teraz się przekonasz, jaka jestem płytka. Bardzo się cieszę na to, że zobaczę tylu eleganckich ludzi. Poza tym uwielbiam muzykę. Muzyka mnie urzeka.
- Lubisz tańczyć? Wzruszyła ramionami.
- Tańczyłam na wsi, na wieczorkach i tam bardzo mi się to podobało. Ale chciałabym któregoś dnia zatańczyć walca... z kimś, z kim mogłabym pofrunąć. Głupie pragnienie, ale ja wierzę w siłę pragnień.
- Ja też. - Często tylko pragnienia i nadzieja stawały między nim a rozpaczą. - Uszczęśliwiłaś mnie. Cieszę się, że masz ochotę towarzyszyć mojej siostrze. - Omal nie powiedział jej o nowych strojach, ale przypomniał sobie, że należy to pozostawić Verbeux, tak jak uzgodnili.
- Moja siostra też polubi Desiree. Sibyl jest stanowcza, ale spokojna. Wszyscy bardzo ją lubią. Nigdy nie traci cierpliwości i umie wprawić w dobry nastrój opornego ucznia.
- To dobrze - powiedział, ale jego myśli powędrowały w inną stronę. Meg miała bardzo zmysłowe usta. Dolną wargę pełniejszą od górnej. Swym szelmowskim uśmiechem mogła podbić serce każdego mężczyzny. - Opowiedz mi coś o swoich strapieniach, żebym nie czuł zakłopotania, że ci się zwierzyłem.
- Przy mnie nigdy nie powinieneś czuć zakłopotania. - Zabrzmiało to arogancko, ale nie mogła już nic na to poradzić.

- Dołożę węgla do kominka. Usiądź bliżej ognia. - Przykląkł, nabrał szuflą czarnych kostek z mosiężnego kubła i wrzucił je do paleniska.

Meg zastosowała się do jego życzenia i przysunęła się bliżej. Jean-Marc roztarł ręce i usiadł na dywanie, ramieniem oparty o plecy Meg.

Teraz, gdy znalazł się tak blisko niej, pochłonął całą jej uwagę.

- Moja siostra i ja mamy kłopoty finansowe - powiedziała po krótkim wahaniu. - Trochę zarabiamy lekcjami muzyki, które daje Sibyl, i moim szyciem. Reszta pochodziła z funduszu powierniczego, który założył dla nas ojciec. Dom musiał zostawić naszemu kuzynowi, Williamowi Godly-Smythe'owi, ale dla nas były pieniądze, sądziłyśmy więc, że starczą na długo, jeżeli będziemy jednocześnie pracować.

- A nie starczą? - niesprawiedliwości przy zapisach zdarzały się bardzo często.

- Starczą. Ale coś źle obliczyłyśmy. Nasz ojciec zakładał, że wyjdziemy za mąż. On był dobrym, prostolinijnym człowiekiem. Zawsze wierzył, że wszystko pomyślnie się ułoży. Nie przyszło mu do głowy, że pospolita kobieta, a w tym przypadku pospolite kobiety z małym posagiem mają małe szanse znalezienia męża. W każdym razie sumy, które otrzymujemy, są coraz mniejsze, więc musimy jakoś wiązać koniec z końcem. Dlatego zgłosiłam się z prośbą o posadę.

- A ja ci ją dałem. Dobrze się stało... dla nas obojga.

- To prawda.

- Oprzyj się o mnie, Meg. Będzie ci wygodniej.

Serce zabiło jej jak szalone. Czegoś takiego jeszcze nie doświadczyła, ale chciała doświadczyć. I jeszcze wiele więcej. Aż ją przerażało, z jaką łatwością jest gotowa złamać zasady i konwencje.

- Proszę, nigdy więcej nie nazywaj się pospolitą kobietą - szepnął jej do ucha. - Chodź bliżej. Nie bój się mnie. Nie zrobię ci krzywdy. Chcę tylko dać ci pocieszenie i prosić o to samo w zamian.

Meg nie była w stanie się poruszyć.

Jean-Marc nieco się przesunął i objął ją ramieniem.

Pożyczony strój nocny wydawał jej się teraz bardzo niestosowny. Bolała ją dłoń

ściskająca pod szyją poły peniuaru, ale gdyby je puściła... Właściwie miałyby po prostu głęboki dekolt i pokazała trochę kobiecych wdzięków.

Tymczasem Jean-Marc ułożył sobie jej głowę w zagłębieniu przy obojczyku.

Meg ostrożnie puściła peniuar i przesuwał się centymetr po centymetrze, znalazła się bokiem do Jean-Marca. Tak było jej wygodniej. Oparła policzek o jego tors.

- Chcę widzieć twoją twarz. Jeśli nasze wspólne, skradzione chwile mają być rzadkie, to chciałbym dobrze zachować w pamięci właśnie taki twój obraz. Popatrz na mnie, Meg.

Zastanawiała się tak długo, że bał się, czy nie odmówi. Ale nagle odchyliła głowę i zobaczył jej twarz otoczoną rudymi włosami. Ucieszył się, że dodał węgla do kominka, bo większy płomień podkreślił linię jej kości policzkowych i stuszował cień na policzkach. Być może niektórym panna Smiles nie wydałaby się piękna, ale to była ich strata. Blask ognia igrał w jej włosach i głaskał pełne, białe piersi dobrze widoczne w bardzo głębokim wycięciu dekoltu.

- Niełatwo byłoby nam udawać, że nie pociągamy się wzajemnie - odważył się wyznać. Wierzył w to i nie zamierzał tłumić swoich uczuć. Zachwycała go jej otwartość, stopniowo budziło się też w nim coraz wyraźniejsze pragnienie. Był przekonany, że Meg nie odmówi mu zwykłego pocałunku.

Meg wtuliła się w niego obojętna na wszelkie ostrzeżenia, jakich mógł jej udzielić wewnętrzny głos. Jean-Marc głaskał ją po obojczyku, jego palce przesuwały się delikatnie tam i z powrotem, tak blisko piersi...

- Czy mogę cię pocałować? - spytał. Nie zdziwiło go, że odruchowo się wzdrygnęła. - Jeśli odmówisz, zrozumieć powody i nie będę nalegał.

Miał tak ciemne oczy, że nie potrafiła z nich wyczytać dosłownie niczego. Wyciągnęła rękę i oparła dłoń u podstawy jego szyi, w wycięciu kołnierzyka koszuli. Niepewnie powiodła palcem po kości obojczyka, potem po rysującym się obok mięśniu. Jej ostrożność wskazywała, że to wszystko jest dla niej nowe.

- Chcę, żebyś mnie pocałował - odpowiedziała. - Ale wątpię, czy sprawi ci to przyjemność.

Jean-Marc z trudem pohamował śmiech. Szybko objął ją i odnalazł jej usta, żeby nie zdążyła się rozmyślić.

Usta Meg pozostały nieruchome, lekko rozchylone, lecz obojętne. Delikatnie pieścił je wargami, szepcząc czułe słowa zachęty, a jednocześnie przewędrował rękami po jej ciele i zatrzymał je tuż poniżej piersi, tak że na kciukach poczuł ich miękki ciężar.

Był tylko mężczyzną, a nie świętym.

Drobny ruch warg Meg podniecił go ponad wszelką miarę. Wiedział, że jego opanowanie zostało wystawione na ciężką próbę. Nie mógł, jednak powstrzymać ani Meg, ani siebie. Z nadzieją, że jej nie wystraszy, wolno powiódł koniuszkiem języka po wnętrzu dolnej wargi.

Meg zadrżała. Uczucie było przyjemne. Tymczasem język Jean-Marca wsuwał się coraz głębiej do jej ust. Jean-Marc poruszył się i ukląkł przed nią, dając jej znak, żeby poszła za jego przykładem. Czuła jego pragnienie i całkiem jej się to podobało. Chciała bardziej wsunąć mu ręce pod koszulę. Móc dotykać muskularnego ciała.

Chyba była nienormalna. Jedna z parafianek jej ojca zadała sobie kiedyś trud poruszenia kilku kłopotliwych tematów. Meg dowiedziała się wtedy, że kobieta nie interesuje się mężczyzną. Z pewnością też nigdy nie ośmielała go żadnymi oznakami uczucia.

Tymczasem ona właśnie zachęcała Jean-Marca do dawania jej coraz większej i większej przyjemności.

Zgodnie zwarli się w pocałunku. Jean-Marc ujął ją za biodra i mocno przyciągnął do siebie.

- Czuję, że się ode mnie oddalasz - szepnął przy jej czole. - Wróć, Meg. Potrzebuję cię.

- Wcale się nie oddalam - zaprotestowała i skubnęła wargami skórę na jego szyi. Rozpięła mu koszulę i pogłaskała go po torsie. Miał tam dużo ciemnych i bardzo miękkich włosów. Otarła się o nie policzkiem.

- To nie do zniesienia - syknął przez zęby. Powściągliwość kosztowała go zbyt wiele, a skutek i tak był żałosny. - Na pewno rozumiesz, Meg, jak bardzo chciałbym cię dotknąć. Chciałbym poznać twoje piersi. Są już prawie nagie i...

- Dobrze - powiedziała. Sama też tego chciała. Nawet zdążyła już sobie wyobrazić, jak Jean-Marc je pieści.

Chwilę potem poczuła, jak peniuar zsuwa jej się z ramion. Jean-Marc pochylił się nad jej piersiami i zaczął je całować. Westchnęła raz i drugi. Miała naturę namiętnej kobiety, choć jeszcze o tym nie wiedziała, a on był na najlepszej drodze do tego, by uzależnić się od niej jak od opium.

Puścił ją na chwilę, lecz tylko po to, by zdjąć koszulę. Potem ujął ją pod biodra i postawił na krześle.

- Byłaś kiedyś z mężczyzną?
- Nigdy. - Wsunęła mu palce we włosy. - Żyłam cicho i spokojnie, jak miałabym inaczej? Nie rozumiem.

Mogła nie rozumieć, ale przytuliła jego głowę do piersi. Jean-Marc walczył z instynktem, który w każdej chwili mógł wziąć nad nim górę.

Peniuar i koszula zsunęły się z bioder Meg. Opierając się na Jean-Marcu, strąciła nogą jedno i drugie na podłogę. Pierwszy raz w życiu stanęła naga przed mężczyzną.

- Czy wiesz co trzeba o ciąży? - spytał. Zmarszczyła czoło, zrobiło jej się jeszcze bardziej gorąco.
- Tak, naturalnie - powiedziała.
- Wątpię, czy wiesz zbyt wiele. Jeśli mężczyzna i kobieta są ze sobą tak jak powinni, połączeni, to zawsze jest możliwość, że kobiecie zaczną rosnąć brzuch, że poczną dziecko.
- Nie, jeśli nie są małżeństwem.

Jean-Marc wydał z siebie trudny do zinterpretowania dźwięk i znów ją objął.

- Rzeczywiście, Meg, lepiej nie, jeśli nie są małżeństwem. Ale czasem, tak jak teraz, mężczyzna i kobieta pragną się znaleźć w najbardziej intymnej z intymnych sytuacji. Ty jeszcze tego nie wiesz, ale zaufaj mi, a wszystko będzie dobrze. Nie twierdzę, że to, co zamierzam zrobić, nie jest niestosowne, ale na pewno nie zagrazi ani tobie, ani mnie. Czy mi wierzysz?
- Obejmij mnie tak jak przed chwilą.

Jean-Marc pocałował zagłębienie między jej piersiami.

- Czy wierzysz mi, że nie skrzywdzę ani ciebie, ani siebie?
- Tak.

Zsunął spodnie, usiadł okrakiem na krześle i posadził ją sobie na kolanach, a potem zaczął pieścić.

Meg zaparło dech. W całym ciele czuła pulsowanie krwi. Również tam, gdzie jeszcze nikt przed Jean-Markiem jej nie dotykał. Mocno zacisnęła dłonie na jego ramionach.

- Nie bój się, moja miła, wszystkiego cię nauczę. - Nie opierała się nawet wtedy, gdy położył jej rękę na tej części męskiego ciała, którą dotąd знаła jedynie z ilustracji.

Nie miał wprawy w postępowaniu z niedoświadczonymi pannami. Wszystkie jego kochanki poznały niejedno łożo. Często zdarzało im się przejmować inicjatywę i bezlitośnie brać to, czego domagały się ich nienasycone ciała. Naturalnie przy okazji dbały również o jego potrzeby. Choć często był potem póżływy, zawsze odczuwał satysfakcję.

Teraz jednak nie mógł oderwać ust od warg Meg Smiles, nawet wtedy, gdy próbowała na chwilę przerwać pocałunek, by zaczerpnąć tchu. Płonęli oboje, choć tak bardzo różnili się doświadczeniami. I wkrótce Meg wśród jego pieszczot poznała rozkosz, o jakiej nawet nie śniła, a on doznał spełnienia zaraz potem.

Przez chwilę oboje siedzieli oszołomieni tym, co się stało.

- Dziękuję - szepnęła w końcu Meg, tuż przy jego wargach. - Było mi tak przyjemnie. Cieszę się, że przeżyłam coś tak wspaniałego, i wiem, że już nigdy nie będę taka jak dawniej.

Ona mu dziękuje? Przeżyła coś wspaniałego? Ha! Był przekonany, że jej przeżycia są niczym w porównaniu z tym, co go przed chwilą spotkało. A to ci panna. Kto by się tego spodziewał?

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Wszyscy członkowie rodziny mogli uważać ją za osobę chłodną i zamkniętą w sobie, Desiree nawet dopuszczała myśl, że tak jest naprawdę, starczyło jej jednak wrażliwości na to, by wyczuć odmienność zachowania panny Smiles tego ranka.

- Chciałabym znów mieć zaplecione warkocze - powiedziała. - Tamta fryzura była bardzo niewygodna. Myślałam, że jest tylko na jeden wieczór.

Panna Smiles, znów ubrana w żółtą suknię, gorliwie układała włosy swojej podopiecznej.

- Będę mówiła do ciebie „Meg” - odezwała się znowu księżniczka.

- Wydaje mi się mało prawdopodobne, by spotkało się to z aprobatą.

- Twoją aprobatą?

- Moja aproba ma tu niewiele do rzeczy, Wasza Wysokość. - Meg Smiles spojrzała w lustro. - To nie ja powinnam aprobować twoje decyzje. - Oczy podejrzenie jej lśniły i były mocno podkrążone.

- Potrafię sama zdecydować, jak cię nazywać, Meg. Nie. spałaś w nocy, prawda?

Meg odwróciła się, ale Desiree dostrzegła raptowny ruch jej ramion.

- Co ci się stało?

- Nic - odparła Meg, usiłując zyskać na czasie, by wymyślić przekonujące kłamstwo. - Wstrzymywałam kichnięcie. A co do spania, rzeczywiście miałam problemy. Myślałam o mojej siostrze i przez to nie mogłam zasnąć.

- Z samego rana wyruszył posłaniec do Londynu, więc nie masz powodu dłużej się martwić. Twoja siostra już wie, że jesteś absolutnie bezpieczna. A jeśli niczego nie zjesz, to będziesz głodna podczas podróży.

- Nie jestem głodna. - Zabrzmiało to niezbyt grzecznie. - Ale dziękuję. W każdym razie Wasza Wysokość ma teraz bywać w towarzystwie jako dojrzała kobieta, więc nie może publicznie pokazywać się z rozpuszczonymi włosami.

- Jak siedemnastoletnia panna może być uważana za dojrzałą kobietę? - zdziwiła się księżniczka.

No, właśnie. Jak to możliwe?

- Nie do mnie należy interpretowanie konwenansów. O ile wiem, kobiety są teraz uważane za dojrzałe dużo później niż kiedyś.

Hrabia zaniósł ją do łóżka i natychmiast zasnął u jej boku. Ona nie spała, ale wcale tego nie żałowała, bo za nic nie wybaczyłaby sobie, gdyby ominął ją moment jego przebudzenia. A tak mogła się przyjrzeć, jak poruszają się jego ciemne rzęsy, głowa zmienia pozycję na poduszce, a on gwałtownie przewraca się z boku na bok, jakby go coś dręczyło. W chwili gdy otworzył oczy, wrażenie bezradności uleciało.

Nie odezwał się do niej ani słowem. Naturalnie miała oczy zamknięte i udawała, że śpi, bo inaczej nie wiedziałaby, co mu powiedzieć. Była głupią, naiwną panienką, która pozwoliła się wciągnąć w haniebną grę miłosną schlebającymi jej zalotami wyrafinowanego i... wspaniałego mężczyzny.

Wina leżała po jej stronie. Parafianka ojca ostrzegła ją przecież, że gdyby zdarzyło jej się upaść - właśnie takiego wyrazu użyła - to sama sobie będzie winna, bo mężczyźni to zwierzęta, każdy stara się spłodzić potomstwo, więc nie można czynić im zarzutów. Postanowiła przyjąć za dobrą monetę to, co hrabia powiedział jej w nocy o pieśczołach, które wymieniali, choć nie mogła się pozbyć złych przeczuc, bo przecież nie miała pewności, czy nie skłamał.

Mais oui, tu się dzieje coś dziwnego, doszła do wniosku Desiree.

- Meg, czy jesteś chora?

- Miałam za dużo nowych wrażeń - odparła sucho i natychmiast odwróciła wzrok. Rzeczywiście doświadczyła czegoś zupełnie nowego. - Proszę mi wybaczyć. Zazwyczaj jestem bardzo zrównoważona.

- A ja nie. Jestem... sekutnicą. Zapytaj Jean-Marca.

- Jeżeli jesteś uważana za sekutnicę, Wasza Wysokość... no, to znaczy tylko tyle, że starasz się bronić w trudnych sytuacjach. Przecież wcale nie musisz naginać się do cudzych życzeń, nawet jeśli zdecydowano za ciebie, że sprawi ci to przyjemność, tak jak w przypadku eskapady do Londynu.

- Och. - Desiree obróciła się na stołeczku obitym pluszem i ujęła Meg za rękę. - Ty

mnie rozumiesz. Jesteś najzycielszą z istot na ziemi. Czy mi pomożesz? Proszę!

Meg drgnęła zaskoczona.

- W czym?
- Jeśli to możliwe, uniknąć tego, do czego chcą mnie zmusić. A jeśli nie, to przynajmniej dotrzeć do końca sezonu bez narzeczonego.
- A jeśli poznasz wyjątkowo atrakcyjnego mężczyznę?
- Tacy nie istnieją. Chcę zadowolić Jean-Marca, który jest najlepszym z moich krewnych, więc spróbuję udawać, że mam szczerą chęć. Polegam na tobie, że pomożesz mi zniechęcić wszystkich zalotników. To naturalnie będzie wymagało różnych intryg, ale żaden mężczyzna nie jest tak rozumny jak kobieta, więc dwóm kobietom na pewno nikt nie da rady. - Nagle klasnęła w dłonie, czym zaskoczyła Meg. - Myślę, że przy okazji będziemy miały dobrą zabawę, zwłaszcza jeśli wyjawisz mi wszystkie sekrety, które dotąd starannie przede mną ukrywano.

Zdezorientowana Meg pokręciła głową.

- Och, ty gąsko - powiedziała księżniczka. - Przecież wiesz: ich sekrety. Wielce poważanego gatunku męskiego. Oczekuję, że dowiem się przynajmniej, w jaki sposób wszyscy mężczyźni są jednakowi i czym się różnią od kobiet. Naturalnie udało mi się już zerknąć na jedną czy dwie ilustracje. Ale to nie były dobre źródła. Te cymbały zawsze zakrywają swoje najważniejsze szczegóły... a wydawcy książek z ilustracjami irytują mnie jeszcze bardziej, bo umieszczają czarne kwadraciki na... no, właśnie: na. - Księżniczka zachichotała w wyjątkowo niestosowny sposób. - Chcę dostać ilustracje bez kwadracików. To będzie kolejne twoje zadanie. Zdobyć szkice męskich postaci bez tych czarnych kwadracików, zrobione ze wszystkich stron i z dokładną informacją o przeznaczeniu każdej części ciała. Musi być jakieś szczególne przeznaczenie, niemiłe przeznaczenie, które nas mierzi, bo inaczej bez wątplenia mężczyźni obnosiliby się z tymi częściami, zamiast je chować. Powiem ci, że moim zdaniem oni wszyscy są niezmiernie dumni z tego, co czyni ich mężczyznami, a możesz mi wierzyć, że to jest właśnie pod tymi czarnymi kwadracikami.

Meg dzielnie walczyła z atakiem śmiechu i do pewnego stopnia udało jej się go opanować.

- Musimy się pospieszyć. Powinnyśmy już być na dole.

- Przypuszczam, że cię zgorszyłam. - Desiree wydawała się bardzo zadowolona. - Ale jeśli mam być pomocna mężowi we wszystkich sprawach, włącznie z tymi, o których chcę zdobyć wiedzę, to muszę być wcześniej dobrze przygotowana.
 - Musimy przemyścić Karpia do powozu.
 - Musimy dobrze się bawić. Bawić, bawić i jeszcze raz bawić. Ludzie z towarzystwa będą na mnie patrzeć i śmiać się ze mnie za moimi plecami. Gdy jakiś mężczyzna okaże zainteresowanie moją osobą, to natychmiast dojdą do wniosku, skądinąd słusznego, że interesuje go dobrodziejstwo inwentarza, jakie dostaje wraz ze mną. Jeśli mam cierpieć, to niech i on pocierpi. Zresztą może wcale nie będzie cierpieć. Może flirt ze mną będzie go bawił równie mało jak mnie.
 - Dość tego, Wasza Wysokość - powiedziała Meg, która poczuła się przytłoczona potokiem słów swojej podopiecznej. - Twój brat nie powinien na nas czekać. Może wpaść w gniew.
 - To bardzo prawdopodobne - przyznała księżniczka.
 - Karp...
 - Karp już siedzi w skrzyni pod siedzeniem stangreta. Czy mój przyjaciel nie jest najcudowniejszym kotem świata?
- Meg bez wahania zgodziła się z księżniczką.
- Owszem. Czy lady Upworth wraca z nami?
 - Coś ty - powiedziała Desiree i westchnęła. - Zdaje się, że jesteś naiwna w tych sprawach. Ila jest na zawołanie Jean-Marca. To jej kłopot, nie jego. Sama stara się być tu zawsze, gdy wie, że Jean-Marc przyjedzie. Często czeka na niego, jeśli zdaje jej się, że Jean-Marc może wrócić. Ona chce go poślubić, ale on nie chce się z nią ożenić.
 - Wasza Wysokość nie może być tego pewna.
 - Mogę, mogę. Mam wśród służby oddanych sprzymierzeńców. Opowiadają mi, jak Upworth próbuje wkraść się w łaski Jean-Marca, jak wślizguje się do jego sypialni, jak słysząc stamtąd śmiechy zza zamkniętych drzwi. Możesz być pewna, że lady Upworth mogłaby nam wiele powiedzieć na temat tego, co zakrywają czarne kwadraciki.
 - Księżniczko...

- Wiem, jestem niepoprawna. Ale jak inaczej mogłabym żyć? Wiesz, podobno wczoraj wieczorem Upworth i hrabia się pokłócili, no i ona wyszła z jego pokoju, więc mój przyrodni brat bez wątpienia będzie dzisiaj zły, że nie mógł zrobić tego, bez czego mężczyźni nie mogą się obejść. Podobno długo chodził po sypialni, a potem po prostu znikł bez śladu. - Księżniczka wzruszyła ramionami. - Pewnie wzięł konia i dokądś pojechał. To go czasem uspokaja.

Meg przycisnęła dłonie do spódnicy. Hrabia przyszedł do niej dlatego, że odrzuciła go kochanka. Uczynił z niej upadłą kobietę, bo nie chciał się obejść bez męskich przyjemności nawet przez jedną noc. Teraz z pewnością żywi dla niej głęboką pogardę.

- No, dobrze - powiedziała Desiree. - Czas ruszać. Uśmiechnij się, jeśli możesz. Chcę, żebyś była ze mną przez cały czas. Nie powinnaś sprawiać wrażenia, że nie jesteś zadowolona z posady.

- Jestem zadowolona.

- Mimo że mnie nie lubisz? - Księżniczka skrzywiła się, widząc jasnoróżową suknię, którą wynalazła dla niej Meg. Suknia była już trochę niemodna, a materiał nie najwyższej jakości, ale lepszej nie było na podorędziu.

- Nie jest prawdą, że nie lubię Waszej Wysokości. Przeciwnie: lubię, nawet bardzo. A teraz proszę się obrócić. Muszę sprawdzić, jak Wasza Wysokość wygląda ze wszystkich stron.

Nieelegancko parskając, księżniczka wykonała polecenie.

Meg wzięła kilka muślinowych róż i wetknęła je w koronę Desiree uplecioną z warkoczy. Para delikatnych, brylantowych kolczyków mieniła się na bezbarwnej skórze księżniczki.

- Jeszcze jedno. Jeśli Wasza Wysokość komukolwiek o tym powie, to stanowczo się tego wyprę. Proszę postać przez chwilę nieruchomo. - Meg nałożyła proszku antymonowego na szczoteczkę do czyszczenia guzików i potarła nią długie, lecz bezbarwne rzęsy Desiree.

Księżniczka tupnęła, ale nie ważyła się mrugnąć. Meg nałożyła jej także trochę różu na policzki i jeszcze odrobinę na wargi. Potem płócienną chusteczką wytarła wszystkie zbędne drobiny.

- Teraz proszę się obejrzeć.

Desiree obróciła się i pochyliła przed lustrem. W tej pozie znieruchomiła.

- Jestem zupełnie niepodobna do siebie.
- Podobna, podobna.
- Nie. Wyglądam... prawie ładnie.
- Bo Wasza Wysokość jest ładna. Nie mogłabym zwrócić na to uwagi, gdyby było inaczej. Ja tylko wydobyłam urodę z cienia.

Księżniczka odwróciła się do niej, marszcząc brwi.

- Czy to nie jest jakieś oszustwo?
- W pewnym sensie. - Meg nie mogła skłamać. - Ale takich oszustw dopuszcza się większość kobiet twojego stanu. A ty masz piękne oczy i ładną cerę.

Księżniczka wzięta z krzesła różową narzutkę i Meg pomogła jej włożyć to okrycie.

- Powodują tobą dobre intencje, ale i tak nie będę się łudzić. Przez moje małżeństwo papa chce zyskać w Anglii odpowiednie koneksje. Nie potrafię powiedzieć, dlaczego uważa, że wysoko postawiony Anglik mógłby być mną zainteresowany. - Narzutka księżniczki była wykończona łabędzim puchem, podobnie jak jej atlasowy czepek.

Meg jeszcze wiązała troczki swojego czepka, gdy opuściły pokój i ruszyły na dół.

Służba z Riverside Place zgromadziła się, by pożegnać pana i jego siostrę.

Gdy hrabia ukazał się w jaskrawym świetle poranka, Meg skłoniła głowę, by uniknąć jego spojrzenia. Chciała wcześniej poszukać hrabiego, ale wiedziała, że nie wolno jej tego zrobić.

Gdy stanęła przy powozie, padł na nią wielki cień. Przysłoniła oczy i podniosła wzrok. Hrabia w ciemnoszarym surducie siedział na wielkim kasztanie. Koń wydał się Meg olbrzymi, a co gorsza, złowieszczo parskał i potrząsał ogonem.

- Dzień dobry, Desiree - odezwał się w końcu, a księżniczka zatrzymała się na schodkach do powozu. - Niechże cię obejrzę. Uroczo - powiedział. - W różowym jest ci do twarzy. Gdy tylko wrócimy na Mayfair Square, trzeba natychmiast wydać dyspozycję, by zjawiły się tam modniarki.
- Nie wiem po co - odparła niechętnie księżniczka i wsiadła do powozu.

Hrabia odwrócił głowę i zerknął na Meg.

- Czyżby źle panna spała?

Skóra zaczęła ją palić. Nieco odchyliła głowę i odpowiedziała:

- Spałam całkiem dobrze, dziękuję. Hrabia zniżył głos.

- Nieprawda. Rano wiedziałem, że nie śpisz, ale nie chciałem cię postawić w krępującej sytuacji, skoro postanowiłaś ze mną nie rozmawiać.

Nie odpowiedziała.

ładny pasztet, pomyślał Jean-Marc. Ten dzień miał zdecydować, czy jego nieroztropne zachowanie wobec tej panny nie było jeszcze większym błędem, niż sądził w chwili, gdy ją opuszczał.

- Panno Smiles, ładnie ci w żółtym. - Nikogo w pobliżu nie było, ale wolał nie ryzykować tego, że ktoś może ich podsłuchać. - Powinnaś nosić ten kolor częściej.

Pochyliła głowę. Dłonie mocno zacisnęła na rączce torebki.

Jean-Marc czekał nieruchomo, tylko jego koń się niecierpliwił.

Wreszcie Meg podniosła głowę i krew odpłynęła jej z twarzy. Jeszcze bardziej wysunęła podbródek. Patrzyła prosto w oczy hrabiego, a on dostrzegł w nich wyzwanie. Meg nie chciała jego troski ani współczucia... którego zresztą wcale dla niej nie żywił. To była uroczą istotka, która niepotrzebnie skomplikowała mu życie. Ale w końcu czyja to wina?

Meg postanowiła, że nie ucieknie przed jego wzrokiem. Jean-Marc nie odwrócił spojrzenia ciemnych oczu. Zastanowiło ją, jak długo będą toczyć ten pojedynek i kto z postronnych zauważył ich dziwaczne zachowanie.

Wreszcie hrabia Etranger wyjął stopę ze strzemienia i zeskoczył z konia.

Natychmiast pojawił się stajenny i odprowadził wierzchowca.

- Proszę pozwolić, że pomogę panie wsiąść. - Stał za nią, nieco z boku i podtrzymując jedną ręką jej przedramię, drugą prowadził ją po schodkach. Gdy przystanął, nie mogła się uwolnić, nie zwracając powszechnej uwagi. - Panna jest nierozsądna - szepnął. - Jeśli nie wykazesz ostrożności, wszyscy dookoła nas coś sobie pomyślą... i będą mieli rację. Trochę opanowania. Zbyt wielką wagę przywiązuje panna do drobiazgów. I pamiętaj, że jeśli wspomnisz o tym komuś

choćby słowem, to zniszczysz swoją reputację. To obejmuje również twoją siostrę i wszystkich znajomych spod numeru siódmego. Rozumiesz?

- Rozumiem... Dziękuję, rozumiem. Nie masz się czego obawiać, milordzie, nie będę się skarżyć.

- Uważasz, że masz się na co skarżyć? - Wyraźnie był rozdrażniony. - Jesteś pierwszą kobietą, która mi coś takiego powiedziała. Mniejsza o to. Potem dopilnujemy, żebyś zrozumiała, jak najzgrabniej załatwia się takie kwestie. I przyjmiesz to, co mam do powiedzenia.

Gdy usadowiła się w powozie, sądziła, że hrabia wsiądzie za nią.

- Pojadę na koźle - powiedział jednak i zamknął drzwiczki.

- Czy po powrocie pomożesz mi ukryć Karpia w moich pokojach? - spytała księżniczka. - Jean-Marc wydaje się bardzo zły. Chyba wpadłby we wściekłość, gdyby dzisiaj odkrył obecność Karpia.

- Pomogę - obiecała Meg i spojrzała na dziedziniec. Służba tłoczyła się za progiem, wszyscy stali w pozach pełnych szacunku. - Naturalnie, że pomogę.

W oczach Meg lśniły łzy. Desiree przyjrzała się swej towarzyszce i zacisnęła usta. Musiałaby być ślepa, by nie zauważyć, jak jej przyrodni brat spogląda na Meg, lub przegapić sposób, w jaki pomaga jej wsiąść do powozu. Zupełnie, jakby był z kochanką... albo z kobietą, którą chce uczynić swoją kochanką. Albo może z kobietą, której już nadskakuje, lecz bez powodzenia? Księżniczka nie wiedziała, co zachodzi między mężczyzną a kobietą w intymnej sytuacji, była jednak zdecydowana to odkryć. Sądziła, że Meg już to wie, nie przypuszczała jednak, by stało się to za sprawą Jean-Marca. Desiree była zdania, że w tej dziedzinie konieczna jest długotrwała nauka.

W spontanicznym odruchu ujęła Meg za rękę i poczekała, aż jej mentorka spojrzy na nią smutnymi, zmęczonymi oczami.

- Będziemy się razem dobrze bawić, Meg - powiedziała. - Cieszę się, że poznam twoją siostrę.

Meg skinęła głową i uśmiechnęła się.

- Sibyl jest bardzo utalentowana i bardzo ładna.

- Ty też. Zdaje mi się, że Jean-Marc podziela moje zdanie. Serce Meg zabiło

mocniej.

- Nie wiem, co Wasza Wysokość ma na myśli.
- Na pewno wiesz. Mogę mieć braki w edukacji, ale jestem spostrzegawcza. Cały czas zwracasz na niego uwagę. On cię pociąga.
- Proszę... - Meg próbowała uwolnić dłonie. Desiree nie pozwoliła się zniechęcić.
- Jeśli nawet miałam jakiegokolwiek wątpliwości, to je rozwiataś. Mój brat jest bardzo skrytym człowiekiem, ale kiedy patrzy na ciebie, jego uczucia widać jak na dłoni.

Meg usiłowała ukryć się za tarczą niefrasobliwości.

- Mniejsza o to, Wasza Wysokość. Tęsknisz za kochanym człowiekiem w swoim życiu, więc wynalazłaś taką osobę dla mnie. Traktuję to jako dobry znak. Niby protestujesz przeciwko temu, co się dzieje, ale jednak nadchodzące tygodnie cię ekscytują.

Księżniczka wyduła wargi. Uniosła brwi i pokiwała głową jak matrona, która wszystko wie.

- Chcesz odwrócić moją uwagę, Meg. Nie udało ci się. Zdecydowałam, że muszę cię mieć przy sobie albo nalegać na natychmiastowy powrót do Mont Nuages. Papa byłby wściekły, gdybym wróciła, a ja źle znoszę jego humory. Dlatego ostrzegam cię i nalegam, żebyś traktowała mnie poważnie. Nie będę używać pięknych słów. Przeciwnie, powiem wszystko bez ogródek. Spoczywa na tobie wielka odpowiedzialność. I to jest najważniejsze, bez względu na plany Jean-Marca.
- Plany? - Meg poczuła, że trudno jej nabrać powietrza. - Nie rozumiem, ale sądzę, że będzie najlepiej, jeśli zostawimy ten temat.
- Och, zrobimy to. Niedługo. Może zresztą nie będziemy już musiały do niego wracać, jeśli nie zaprzeczasz, że to, co wiem, jest prawdą.
- Nie mam tu nic do powiedzenia. A Waszą Wysokość stanowczo poniosła wyobraźnia.
- Wyobraźnia nie musi tu szczególnie pracować. Wszystko widziałam w oczach brata. Musisz pokrzyżować mu plany, bo inaczej dojdzie do katastrofy. Hrabia Etranger ma reputację dość rozpustnego mężczyzny. Słyszałam, jak tak o nim

mówiono, czemu zresztą towarzyszyły niemiłe uśmieszki i szepty dotyczące obiektu jego zainteresowania. Jean-Marc jest błyskotliwym człowiekiem. Ma talent do dyplomacji... wykorzystuje go zresztą w służbie kraju. Chce cię wykorzystać, a ty możesz okazać się bezsilna wobec jego bezlitosnych metod perswazji. Wprawdzie byłabym wdzięczna, gdybyś podzieliła się ze mną swoją empiryczną wiedzą na temat czarnych kwadracików, ale zaklinam cię, nie dawaj mu okazji, by zażądał twojego ciała.

Scandalous

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Jean-Marc przystanął w sieni domu pod numerem siedemnastym, by odprowadzić wzrokiem swoją siostrę i Meg. Desiree uniosła nieco spódnicę i biegiem pokonywała schody. Meg zdołała zachować trochę więcej godności, lecz mimo to prawie nadązała za podopieczną.

Spodziewał się, że po przyjeździe na Mayfair Square panna Smiles znajdzie wymówkę, by natychmiast udać się pod numer siódmy, i zapewne więcej nie wróci. Ulga, jaką poczuł, widząc, że nic takiego się nie stało, była bez wątpienia przedwczesna. Panna Smiles mogła odejść w każdej chwili.

Verbeux wyłonił się z gabinetu i powiedział:

- Wrócił pan.

Co za zuchwalec. Wydawał się wolny od jakichkolwiek złych przeczuc, choć musiał liczyć się z gniewem chlebobawcy. Przecież metoda, jaką się posłużył, by wystać Desiree i Meg... należało pamiętać, by publicznie mówić o niej wyłącznie „panna Smiles”... do Windsoru, była rażącą manipulacją.

- Porozmawiamy w cztery oczy. Niezwłocznie. - Nie pierwszy raz Verbeux na zbyt wiele sobie pozwolił. Działo się tak zawsze, gdy był zdania, że ma wspaniały pomysł i musi o tym przekonać swego pana.

Tymczasem sytuacja się zmieniła. Jean-Marc potrzebował Meg Smiles w tym domu nie tylko dlatego, że oczekiwał po niej rzetelnego przygotowania księżniczki do sezonu i że panny się polubiły, co wobec niechęci Desiree do nawiązywania kontaktów stanowiło zadziwiające osiągnięcie. Miał również swoje powody, by pragnąć obecności Meg. Chciał uzyskać pewność, że będzie ją często spotykał. Właściwie nie widział dla nich przyszłości, więc wiązanie się z nią w jakikolwiek sposób było nieuczciwe i w dodatku niebezpieczne, lecz mimo to zdecydował się postąpić nieuczciwie, jeśli tylko dostanie taką szansę.

- Bolesne? - spytał cicho Verbeux. Jean-Marc drgnął.

- Do diabła, człowieku, wyrażaj się jaśniej. Verbeux ostentacyjnie wzruszył ramionami.

- Chce jej pan? Pana sprawa.

Nie, nie sprawi temu typowi satysfakcji i nie pozwoli wyciągnąć z siebie informacji, do której Verbeux nie ma prawa.

- Patrzył pan na nią. - Verbeux zerknął znacząco ku schodom. - To do pana niepodobne.

- Mam wrażenie, że rozmowa w cztery oczy jest niezbędna.

- Ma pan gościa. Pan William Godly-Smythe. Puckly Hinton. Jean-Marc wziął od służącego bilet wizytowy.

- Godly-Smythe? Puckly Hinton? Nie znam człowieka.

- Nie.

- Skąd on się tu wziął?

- Z Puckly Hinton.

- To wiem. Ciekawi mnie, kto to jest.

- Godly-Smythe. - Lekkie usztywnienie pozy Verbeux świadczyło o tym, że zdaje on sobie sprawę, iż przeciąga strunę. - Kuzyn panny Smiles, z tego co mówi. Napuszony.

Czyżby kuzyn, który odziedziczył dom panny Smiles? - zastanawiał się Jean-Marc. Przeżył niemiłą chwilę, póki ostatecznie nie odrzucił przypuszczenia, że gość w jakiś sposób dowiedział się o tym, co zaszło między nim, Jean-Markiem, a Meg Smiles.

- Tam? - spytał, wskazując gabinet.

- Chyba najlepszy pomysł. Dyskretne miejsce.

Jean-Marc rozejrzał się po galeriach. Z drugiego piętra obserwował ich Pierre, zaufany Verbeux. Jak zwykle sprawiał wrażenie oczekującego na najmniejsze skinienie pana. Rench stał u podnóża schodów z wzrokiem wbitym w jeden punkt i skrzyżowanymi ramionami, które kończyły się dłońmi odzianymi w białe rękawiczki. Jean-Marc poczuł nagle, jak bardzo potrzebuje spokoju.

- Dopilnuj, żeby nam nie przeszkadzano - powiedział do Verbeux.

Służący podszedł do drzwi gabinetu i szeroko je otworzył. Wszedł do środka i zamasztywym ruchem wskazał sztywno wyprostowanego blondyna.

- Pan Puckly Hinton z wizytą do milorda.
- Godly-Smythe. Puckly Hinton to miejscowość - sprostował tamten, mierząc wzrokiem Jean-Marca.

Verbeux nie przejął się tym potknięciem..

- Oto hrabia Etranger - powiedział i oddalił się płynnym ruchem, jak tyżwiarz po zamarzniętym stawie.
- Czy łączą nas jakieś sprawy? - spytał Jean-Marc dla zyskania czasu.
- Od niedawna tak - odrzekł Godly-Smythe. - Gdzie jest moja kuzynka, panna Meg Smiles?

Mógł unikać jednoznacznych odpowiedzi, a w razie gdyby Godly-Smythe spytał go o posadę Meg, odpowiedzieć, że ma ważniejsze sprawy na głowie niż pamiętanie imion i nazwisk służby. Tak... no, nie. Jeśli miał do czynienia z krewnym Meg, to mimo że serdecznie jej współczuł takiej rodziny, musiał ze względu na nią okazać mu przynajmniej pewien szacunek.

- Spytałem, gdzie...
- Zaiste, sir, zaiste. - Wielkie, przejrzyste oczy tchnące niemal dziecięcą szczerością zupełnie nie pasowały do kuzyna Meg. Co za natręt. - Pańska kuzynka otrzymała u mnie posadę panny do towarzystwa. Obecnie przebywa z moją siostrą.
- Przyszedłem zabrać ją do domu. Członkom naszej rodziny nie wypada przywdziewać liberii służby. Nie umiem sobie wyobrazić, w jaki sposób nakłoniono Meg do przyjęcia takiej posady.

Kto inny pewnie chodziłby z kąta w kąt. Godly-Smythe pozostał nieruchomy. Krępy mężczyzna, któremu szyja wylewała się z nad hal-sztuka, stał z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Jean-Marc wolałby groźniejszego przybysza. Odniośł jednak wrażenie, że ma przed sobą egotycznego ekscentryka.

- Milordzie - powiedział Godly-Smythe. - Z całym szacunkiem domagam się natychmiastowego wydania mojej kuzynki.

Meg usłyszała to kłopotliwe żądanie, stojąc w sieni u podnóża schodów. Spojrzała błagalnie w sufit. Verbeux dodał jej otuchy skinieniem głowy. Wcześniej poszedł do pokojów księżniczki poinformować, że przybył pan William Godly-Smythe i wystąpił z żądaniami wobec pana hrabiego.

Meg nie miała innego wyjścia, jak stanąć twarzą w twarz z Williamem i skłonić go do natychmiastowego opuszczenia domu pod numerem siedemnastym. Pomogła już księżniczce przenieść Karpia z powozu do pokoju i posadzić go na ukrytej przed oczami obcych poduszce. Teraz musiała zakończyć swoje kontakty z tym domem. Po ostatniej nocy, po kompromitującym wystąpieniu kuzyna, nie było już sposobu na zadowalające ułożenie spraw.

Tymczasem William kontynuował. Zaczął właśnie, o zgrozo, wyłuszczać hrabiemu, czego od niego oczekuje.

- To może być podstawą do złożenia pozwu - oświadczył dudniącym głosem. - Moja kuzynka nie jest osobą światową. Pan jechał z nią powozem bez przyzwoitki. Widziano was. W dodatku zatrzymał ją pan w swojej posiadłości na noc.

Meg delikatnie zapukała do drzwi i weszła, nie czekając na zaproszenie. Dygnęła przed panem hrabią, popatrzyła na Williama i przekonała się, że jej niechęć do kuzyna jeszcze wzrosła od czasu ich spotkania przed trzema laty.

William podszedł do niej wielkimi krokami, z wyciągniętymi ramionami i wyrazem współczucia na twarzy. Ponieważ nie zareagowała wyciągnięciem rąk, chwycił ją za ramiona i cmoknął w czoło. Potem odsunął ją od siebie i badawczo jej się przyjrzał.

Rude włosy. Jeśli William wspomni coś na ten temat, przyjdzie jej umrzeć ze wstydu.

Ale on uśmiechnął się i spojrzał jej prosto w twarz. Jego oczy wzbudziły w niej odrazę. Były bładoniebieskie jak u małego dziecka i bardzo duże, a poza tym sprawiały wrażenie pustych. Nie wątpiła, że za chwilę usłyszy coś o swoich włosach i Jean-Marc dowie się, z jaką oszustką ma do czynienia.

- Powinienem być przyjechać do ciebie i Sibyl już dawno - powiedział William. - Zawiniłem. Gdybym przyjął na siebie odpowiedzialność za wasz dobrobyt, z pewnością nie zbłądziłabyś, Meg.- Wcale nie zbłądziłam.

- Co więcej, przekonałbym się, w jak piękną kobietę się przemieniłaś. Piękną i narażoną na niebezpieczeństwa, a więc potrzebującą opieki.

Hrabia był dla niej w tej chwili jedynie zamazaną sylwetką. Wiedziała jednak, że stoi ze skrzyżowanymi ramionami i słucha z największym napięciem.

- Meg, mężczyźni polujący na atrakcyjne, niedoświadczone panny to nie nowina. Dlaczego nie zawiadomiłaś mnie listownie o tym, że ten człowiek się do ciebie zwrócił?

Wreszcie spojrzała na Jean-Marca. Trudno było zgadnąć, o czym myśli, ale nieznacznie się do niej uśmiechał.

- Chcę, żebyś powiedziała mi teraz... przy tym uwodzicielu niewinnych panien... co dokładnie zrobił ci ostatniej nocy.

Jean-Marc przeszedł kilka kroków i usiadł na krawędzi biurka. Z tego miejsca widział zarówno Meg, jak i Williama.

- Nie ma potrzeby, żeby panna wystuchiwała takich podłych oskarżeń - powiedział do niej. - Proszę wrócić do księżniczki. Powiadomię pannę, kiedy skończę rozmowę z jej kuzynem.

- Nie ma mowy - sprzeciwił się William. - Meg jest dobrze wychowaną panną o nieposzlakowanej opinii. Wprawdzie od najwcześniejszych lat była sierotą bez matki, ale damy z parafii jej ojca dopilnowały, aby odebrała właściwą edukację. Tak ona, jak i jej siostra.

Meg wiedziała, że jeśli straci panowanie nad sobą i powie temu nadętemu indorowi, co o nim sądzi, to napyta sobie i Sibyl jeszcze większych kłopotów.

- Cieszę się, kuzynie, że doceniasz wysiłki mojego ojca - powiedziała beznamiętnie.

- Nie stało się nic, co mogłoby zaszkodzić nieposzlakowanej opinii panny Smiles - zapewnił Jean-Marc. - Poza tym wczoraj nie jechałem z nią powozem we dwoje. Towarzyszyła nam moja siostra.

- Nic o tym nie słyszałem. - William był w wojowniczym nastroju. - Pomógł pan Meg wsiąść do powozu na oczach wszystkich mieszkańców placu. Ale nikt nie widział pańskiej siostry.

Gdyby nie obecność Meg, Jean-Marc z przyjemnością chwyciłby tego człowieka za surdut, uniósł go z podłogi i wyrzucił za drzwi.

- Nie mam obowiązku się przed panem tłumaczyć, ale powiem, że księżniczka

wsiadła do powozu w stajni. A teraz proszę łaskawie opuścić ten dom.

- Gdzie spędziłaś noc, Meg?

Jean-Marc współczuł panie Smiles z powodu tak wścibskiego i natrętnego krewnego, aczkolwiek również w jego rodzinie nie brakowało podobnych typów.

- We włościach pana hrabiego pod Windsorem - odrzekła Meg. - Przygotowanie księżniczki wymaga dużo pracy. Zaczęłyśmy dopiero wczoraj.

- Wczoraj poznał pan Meg - zwrócił się William do hrabiego, pogardliwie się uśmiechając. - I od razu był pan tak pewien jej predyspozycji do objęcia tej posady, że wziął ją do Windsora, gdzie spędziła noc?

- Właśnie. - Jean-Marc czuł obrzydzenie do tego człowieka, w duchu przyznawał jednak, że jego posądzenia niewiele mijają się z prawdą. - Moja siostra pilnie potrzebowała damy do towarzystwa. Panna Smiles nie miała zobowiązań i chciała rozpocząć pracę od razu. Dlatego obie strony były bardzo zadowolone z osiągniętego porozumienia.

William szeroko rozłożył ręce i rechotliwie się roześmiał.

- Czy wyglądam na głupca? - Wskazał Meg i przybrał pozę, która służyła wyeksponowaniu muskulatury jego nóg i ramion. - Ona nie ma pojęcia o życiu w eleganckim świecie. Nie poznałaby, kto jest członkiem towarzystwa, nawet gdyby zamknięto ją w pokoju, gdzie nie byłoby nikogo innego.

Jean-Marc uznał, że tego już za wiele.

- Sir - powiedział - o ile mi wiadomo, nie ma pan żadnych praw w związku z osobą panny Smiles, muszę zatem prosić cię o opuszczenie tego domu.

Godly-Smythe nie zrezygnował. Jego pewność siebie była w najwyższym stopniu irytująca.

- Jestem jej najbliższym męskim krewnym - oświadczył.

- Ona nie jest małoletnia - zwrócił mu uwagę Jean-Marc. Zerknął na zasmuconą twarz Meg i spytał: - A może jednak się mylę?

- Ani trochę - powiedziała z gniewną miną.

- Czyli jest tak, jak myślałem. Proszę stąd wyjść!

- Do diabła! Nie wyjdę. Bez Meg nie wyjdę.

Meg bała się tego, co może za chwilę nastąpić. Wprowadził pomysł, jaki przyszedł jej do głowy, był ryzykowny, mógł bowiem świadczyć o osłabieniu jej władz umysłowych, ale nawet gdyby Jean-Marc lub kuzyn William zaczęli się nad tym zastanawiać, to odrobina medytacji nie mogła jej zaszkodzić. Spodziewała się, że w ten sposób uda jej się odzyskać spokój, a przy okazji uciszyć mężczyznę. Nagle zamknęła oczy i głęboko odetchnęła.

Jean-Marc przyglądał się zafascynowany, jak Meg składa dłonie na talii, a jej twarz staje się gładka i pozbawiona wyrazu.

Godly-Smythe podszedł o krok, ale Jean-Marc go zatrzymał. Zdecydowanie pokręcił głową.

- Co jej się stało? - spytał kuzyn. - Ona jest chora.
- Nie - odparł Jean-Marc.

Meg bez słowa usiadła na dywanie. Skrzyżowała nogi pod spódnicami. Jean-Marc musiał postąpić z dużą siłą, by powstrzymać kuzyna Williama.

- Już kiedyś widziałem coś podobnego - wyjaśnił. - A w każdym razie słyszałem o tym.

W bezbarwnych oczach Williama Godly-Smythe'a pojawił się teraz, popłoch. Usiłował uwolnić ramię z uścisku hrabiego.

- Do diabła, człowieku, puść mnie! To jest zwykły atak hysterii, prawdopodobnie spowodowany osłabieniem umysłu po wypadku. Muszę jej pomóc, żeby się ocknęła.
- Nie należy gwałtownie wrywać z transu - powiedział Jean-Marc, hamując się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. - Wprowadził nie słyszałem o praktykach tego typu u kobiet, ale wydają mi się one całkiem możliwe.
- Trans? - szepnął William Godly-Smythe. - Ona jest w transie? Meg bardzo powoli zgięła się w pasie i oparła czoło o podłogę, ramiona szeroko rozłożyła i otworzyła dłonie.

Była niepowtarzalna, pod wieloma względami.

- Ktoś rzucił na nią urok - powiedział Godly-Smythe, spoglądając oskarżycielsko

na Jean-Marca. - Co pan z nią zrobił?- Jestemmm - wymruczała Meg. - Jestemmm. - Jej ramiona wykonały gwałtowny ruch, a potem znieruchomiały.

Godly-Smythe zadrżał.

- To jest diabelska sztuczka.
- Skądże znowu - odparł Jean-Marc. - To jest do pewnego stopnia dar, a do pewnego wynik ćwiczeń. Prawdopodobnie panna Smiles w tajemnicy przed wszystkimi studiowała nauki Wedy. Niektórzy nazywają to jogą. Ona jest w stanie osiągnąć wyższy poziom świadomości.
- Wielki Boże. - Zabrzmiało to jak modlitwa zrozpaczonego człowieka. - To nie może być naturalne. Niezwłocznie ją zbudzę.
- Chce pan zaryzykować utratę kuzynki? - Mógł pogardzać tym typem, ale nie zmniejszało to jego irytacji.
- Dlaczego miałbym ją utracić, jeśli ją zbudzę?
- Bo jej tu teraz nie ma - odrzekł Jean-Marc, wskazując Meg. -Chyba się nie mylę, jeśli pamięć mi służy. Podczas takich praktyk dusza opuszcza ciało.

Godly-Smythe gwałtownie szarpnął się do tyłu i wreszcie odzyskał swobodę ruchów.

- Co pan mówi? - spytał wstrząśnięty, wlepiając wzrok w Jean-Marca.
- Że przeszkadzanie ciału w czasie, gdy dusza, czy jak to nazwać, znajduje się poza nim, może uniemożliwić jej powrót. - Niech mu wszelkie bóstwa wybaczą taki bezczelny wymysł. - Jeśli będzie pan próbował się do tego mieszać, może pan mieć życie panny Smiles na sumieniu.
- Czy ona nas słyszy? - spytał cicho Godly-Smythe. - Czy ona tutaj jest? - Ukradkiem rozglądał się na wszystkie strony.
- Tak i nie. Przynajmniej moim zdaniem, A jest zapewne gdzieś wysoko.
- Wysoko w tym pokoju? - Godly-Smythe wlepił wzrok w sufit. Wyjął z kieszonki monokl i dalej niespokojnie się rozglądał, jakby szukał jakiegoś bytu ukrytego przed nim za pomocą optycznego triku. - Po co miałyby się uciekać do takich sztuczek?

- Mało znam pannę Smiles, o ile mi jednak wiadomo, jest to przeciwdziałanie sytuacji, która skrajnie niekorzystnie oddziałuje na psychikę. Osoba biegła w tej sztuce umie wprowadzić się w trans na zawołanie, ale najczęściej posługuje się tym środkiem dla uniknięcia przykrości. Obawiam się, że w tym konkretnym przypadku winę ponosimy my obaj.

Godly-Smythe nadął się, jakby zamierzał dalej tokować. Zatrzymał jednak wzrok na nieruchomej postaci Meg i zbladł.

- Co mogę powiedzieć biednej, drogiej Sibyl?
- Nic, jak sądzę. Po co ją martwić?

Meg poruszyła się. Miała nadzieję, że zaplanowała powrót w odpowiedniej chwili.

- Jestemmm - wymruczała. Medytacja rzeczywiście pozwoliła jej nieco odzyskać spokój i dystans do rzeczywistości.

Usiadła, ale odwrócone dłonie pozostawiła na kolanach, a oczy nadal miała zamknięte.

- Czy znowu jest tutaj? - spytał kuzyn William.

Nie wolno jej było zachichotać, bo wszystko by zepsuła.

- Hrabio Etranger? Czy ona wróciła?
- Panno Smiles, czy jesteś tutaj?

Podniosła powieki i spojrzała prosto w oczy Jean-Marca, który przykucnął i oparł ręce na kolanach. Zachwycające było u niego zestawienie śmiertelnie poważnej miny z ognikami rozbawienia w oczach.

- Panno Smiles? - powtórzył.
- To ja jestem Meg Smiles.

Odczekawszy, aż Jean-Marc weźmie na swoje ramiona ciężar ryzyka, William podszedł do Meg.

- Powinienem natychmiast iść do Sibyl. - Zamachał rękami w powietrzu. - Nie bój się, nie zdradzę jej niczego, co tu widziałem. Powiem jej... Powiem...
- Powiedz, że niedługo wrócę. - Meg uśmiechnęła się do Williama. - Dziękuję za

troskę, kuzynie. Muszę jeszcze poczekać, aż odzyskam siły i powiem księżniczce, dokąd idę.

William nerwowo się uśmiechnął.

- Dobrze, dobrze. - Uciekł z pokoju, zanim ktokolwiek spróbował odprowadzić go do drzwi.

Meg nie wazyła się spojrzeć na swojego chlebodawcę. Wpatrzona w dywan, rozmyślała, w jaki sposób może z wdziękiem wstać. Widziała czubki wysokich butów Jean-Marca, wciąż zakurzone od jazdy na koźle powozu.

- Twoja siostra na pewno bardzo chce cię zobaczyć, Meg - powiedział półgłosem.
- Czy będziesz tak miła i powtórzysz jej, że z przyjemnością poznamy ją jutro rano?

- Tak. - Czyżby hrabia jednak nie zamierzał jej zwolnić? Nawet po takim przedstawieniu?

- Desiree jest trudna. Nigdy nie było łatwo do niej dotrzeć. Mimo to w tak krótkim czasie zdążyła cię polubić. I wydaje się znacznie bardziej beztroska niż zwykle. Pomóc ci wstać? - Podał jej rękę.

Meg przyjęła pomoc i była zadowolona, że jest wygimnastykowana, bo zdołała szybko zmienić podnieść się na nogi.

- Jesteś trzpiotką, wiesz? Przekrzywiła głowę.

- Może.

Roześmiał się i puścił jej dłoń. Ponieważ milczał, Meg próbowała coś powiedzieć, ale wszystkie słowa uciekły jej z głowy.

- Moja siostra nigdy nie miała przyjaciółki od serca - odezwał się po chwili. - Prawdę mówiąc, nie szukała przyjaciół, ale nawet nie mogę jej za to winić. Ludzie, którzy powinni być dla niej oparciem, nigdy nim nie byli. Zbyt długo pozostawała osamotniona. Gdyby spotkała mężczyznę, który umiałby ją docenić, jej życie mogłoby stać się lepsze. Nie wiem tylko, czy to w ogóle jest możliwe. To musiałby być ktoś, kto zauważy jej inteligencję. Ona zasługuje na udane życie.

- Ma znacznie więcej zalet niż tylko bystrość umysłu. Jest delikatna i szczodra i lubi się bawić. Sama mi to powiedziała. Poza tym jest dowcipna.

- Nie uwierzę.

- Sądzę, że dotąd nikt nie próbował jej bliżej poznać. Gdyby było inaczej, nie musiałabym teraz opowiadać, co zaobserwowałam w ciągu niecałych dwóch dni.
- Tak. - Jean-Marc chciał spytać Meg, czy i kiedy wróci, gdy pójdzie pod numer siódmy. - Nie wątpię, że masz rację. - Lepiej nie poruszać tej kwestii. Niechcący można sprowokować odpowiedź, jakiej wcale nie chce się usłyszeć.
- Zgodnie z tym, co przed chwilą powiedziałaś, milordzie, muszę iść do Sibyl. - I co dalej? - zastanawiała się. Jak miała odejść, nie wiedząc, czego spodziewa się po niej hrabia? Podeszła do drzwi.
- Meg. Przystanęła.
- Nie byłoby dobrze, gdyby służba usłyszała, że tak się do mnie zwracasz, milordzie.
- Meg?

To było żądanie, choć Jean-Marc opatrzył je znakiem zapytania.

- Słucham, milordzie. - Nie miała wyboru. Musiała odwrócić się i na niego spojrzeć. Znów wyciągnął do niej rękę, wypielegnowaną, lecz silną. Wolno podeszła i położyła mu palce na dłoni.
- Nie żałuję - powiedział i unióś jej palce do ust. Pocałował je delikatnie, z zamkniętymi oczami.

Ogarnęło ją wzruszenie. Obawiała się, że Jean-Marc uzna ją za zbyt śmiałą, ale odwróciła ich splecione dłonie i przykryła je swoją drugą.

- Ja też nie żałuję. - Przycisnęła usta do jego nadgarstka.
- Jesteś czarodziejska, Meg. I tajemnicza. I trochę zepsuta. - Odchylił jej głowę. - Mógłbym się od ciebie uzależnić.

Nie była w stanie odwrócić od niego wzroku, nawet gdy zaczął przysuwać się do niej tak, że poczuła na twarzy jego oddech.

- Zastanawiam się, czy już ci wspominałem, jakie piękne są twoje oczy. Mają kolor dobrego koniaku. Ale na pewno już to wiesz.
- Nic podobnego. Mówiono mi, że mam brązowe oczy, a brązowe są pospolite.
- Twoje nie są pospolite.

- Twoje też nie. Są tak ciemne, że prawie czarne. Podobają mi się.
- A to ci pasztet. Wreszcie spotkałem kobietę... Nie, mniejsza o to. Chcę cię pocałować.
- Dlaczego nie potrafię zachować stosownego dystansu? Dlaczego nie potrafię powiedzieć „nie” i szybko uciec?
- Nie potrafisz?

Meg spojrzała w twarz Jean-Marca, która była teraz tak blisko, i pokręciła głową.

- To bardzo dobrze - szepnął i położył jej ciepłe dłonie na talii. Otarł się policzkiem o jej skroń. Meg westchnęła.

A tymczasem Jean-Marc już trzymał ją w objęciach i podciągał, tak że musiała wspiąć się na palce.

- Wiem, że poznaliśmy się zaledwie wczoraj. Czy wierzysz... Czy wierzysz w to, że dwoje ludzi może czuć do siebie pociąg od pierwszej chwili?
- Nie wiem - skłamała - ale zastanowię się nad tym pytaniem. A tymczasem powinnam już iść.
- Powiedz mi jedno. Twój trans jest prawdziwy czy udawany? Trudno jej się było skupić, gdy Jean-Marc ją obejmował.
- Początkowo musiałam się tego uczyć, dużo ćwiczyłam. Z czasem zaczęłam tego potrzebować... wznoszę się na wyższy poziom świadomości, gdzie umysł osiąga dystans i spokój.
- A dzisiaj? Czy to, co stało się przy twoim kuzynie, było czystym przypadkiem? Może reakcją na nadmierne napięcie? - Poczła na plecach nacisk jego szeroko rozłożonych palców. Znalazła się jeszcze bliżej niego. Gdy ich wargi się zetknęły, przeszył ją miły dreszcz. - Meg, nie stchórz teraz.
- Nigdy nie tchórzę. Tylko czasem jestem przezorna. - Zaczęła głaskać go po twarzy. - Byłam w trudnej sytuacji. Z przyzwyczajenia wykorzystuję wtedy to, czego się nauczyłam. Możliwe jednak, że tym razem chodziło mi o odwrócenie uwagi kuzyna Williama. Jego obecność mnie przytłacza.

Jean-Marc spojrzał na nią poważnie.

- Twój kuzyn wspomniał o jakimś wypadku. Nie chcę być wścibski, ale wolalbym wiedzieć, o co mu chodziło.
- Och, o nic - odparła Meg z nadzieją, że tym tonem zniechęci go do dalszych pytań.
- Coś musiało się zdarzyć. Nadzieja okazała się płonna.
- Proszę, wytłumacz mi, bo zacznę wyobrażać sobie najgorsze. - Delikatnie ujął zębami płatek jej ucha. Poświęcił tej pieszczocie niemało uwagi, toteż wkrótce Meg poczuła, że uginają się pod nią kolana. Zaczęła się zastanawiać, czy może zostać na swojej posiadzie, czy będzie to dla Jean-Marca znakiem, że jego zaloty są mile widziane.
- Mów o wypadku, Meg, jeśli łąska.
- Nic się nie stało - odparła ostrzej, niż zamierzyła. - Lekko potrącił mnie powóz. Wysłałam z Burlington Arcade i myślałam, że mogę bezpiecznie przejść przez Picadilly Circus. Nie spodziewałam się, że powóz nadjedzie z takim impetem. Ale miałam szczęście. Skończyło się paroma siniakami. To wszystko.

Uznał, że w razie potrzeby jeszcze będzie miał okazję zgłębić ten temat. Tymczasem jednak był za bardzo rozproszony zapachem cytryny i ziół, otaczającym Meg. Zamierzał ją pocałować.

Nie mógł dłużej czekać. Najpierw po prostu przytknął wargi do jej ust. Innym razem wystarczyłaby mu iskierka zachęty z jej strony, teraz jednak był nie tylko podniecony, lecz również pełen gniewu. Chciał wyzwolić się przynajmniej od tego drugiego uczucia.

Usta Meg miały cudowny smak. Nie ulegało wątpliwości, że pocałunek obojgu im sprawia przyjemność.

Meg objęła go za szyję. Czują opiekuńczą siłę mężczyzny, którego obecność niezmiennie robiła na niej wielkie wrażenie. Nocna lekcja była owocna. Poczawszy lekki napór ust Jean-Marca, rozchyliła wargi i rozpoczęli pieszczoty, które wydawały jej się tak naturalne, jakby była do nich stworzona, zarazem jednak odbierały jej siłę, obezwładniały ciało. Jean-Marc podtrzymywał ją i całował coraz głębiej, aż ich oddechy stały się w końcu tak głośne, że musiał je słyszeć chyba cały świat.

Położyła mu ręce na ramionach, których muskulaturę wyczuwała przez materiał

surduta, i wydało jej się, że widzi go tak samo jak ostatniej nocy. Jego nagie ciało stanowiło dziwny, urzekający widok zachęcający do najrozmaitszych dotknięć, których jeszcze nie śmiała spróbować.

Wreszcie Jean-Marc cofnął usta, choć Meg czuła, że robi to wbrew woli. Za to odchylił jej głowę i zaczął okrywać pocałunkami szyję, a potem muskając ją wargami coraz niżej, dotarł do piersi widocznych w staniku sukni.

Nagle wyprostował się i cofnął, choć zanim to się stało, jeszcze ujął jej dłoń i przez chwilę przytrzymał. Pokręcił głową z miną cierpiącego człowieka.

Meg dotknęła jego ramienia i powiedziała:

- To, co było między nami, stanowi przeszłość. Zawsze będę to pamiętać, ale muszę zadowolić się wspomnieniem. I ty też, Jean-Marc.

Szaleństwo, które go ogarnęło, było niebezpieczne. Szaleństwo i bunt. Jak długo jeszcze był w stanie spełniać jednocześnie życzenia ojca i własne? Oczekiwania ojca go ograniczały, jego potrzeby pchały go w przeciwnym kierunku.

- Nie mogę ci obiecać, że mi to wystarczy - zwrócił się do Meg. - Naturalnie dostosuję się do twoich życzeń, ale jeśli uznasz, że nasza znajomość ma się opierać na chłodnej uprzejmości, będę tego głęboko żałował.

Kobiece serce nie powinno śpiewać w odpowiedzi na deklarację, skłaniającą raczej do lęku. Tymczasem Meg była niebezpiecznie blisko wyznania, że podziela uczucia Jean-Marca.

- Meg.

- Słucham, milordzie.

- Idź już. - Gwałtownie odsunął się od niej. - No, idźże! Idź.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Sibyl wolałaby być sama, gdy Meg wróci do domu. Miały sobie wiele do opowiedzenia, a Meg nie mogła nawet zacząć swojej historii w obecności Latimera More'a i lady Hester Bingham. Tamci dwoje koniecznie chcieli wszystko usłyszeć.

- Zbliży się Meg - powiedziała lady Hester ze swojego posterunku przy oknie w salonie sióstr Smiles. - Nie do wiary. Idzie tak zwyczajnie, jakby co drugi dzień zniknęło się jednego popołudnia i wracało następnego. I nie powtarzaj mi, Sibyl, co powiedział posłaniec, bo mnie to nie zadowala.

- Meg i Sibyl niewątpliwie potrzebują naszego wsparcia, milady - powiedział Latimer. - Z serca je ofiarujemy dwóm ulubienicom całego domu.

Gdy Sibyl otrząsnęła się ze zdumienia po tej zadziwiającej przemowie Latimera, wybąkała:

- Dziękuję. - Wysoki, przystojny szatyn bez wątpienia zawrócił w głowie niejednej kobiecie, sam jednak zwracał uwagę jedynie na sprowadzane z zagranicy starocie, którymi handlował.

Lady Hester spojrzała na niego przez lorgnon w złotych oprawkach. Szkła nieco powiększały jej ładne, niebieskie oczy.

- Czy masz słabość do Meg, Latimer?

Sibyl głośno jęknęła, słysząc tak obcesowo postawione pytanie. Latimer odchrząknął i powiedział:

- Panny Smiles są ze mną w przyjaźni. Są też przyjaciółkami mojej siostry Finch. Nic dziwnego, że czuję się w pewnym stopniu odpowiedzialny za ich byt, podobnie jak ty, milady.

Lady Hester przyjęła tę przyganę z uśmiechem.

- Ładnie powiedziane. Nie sądziłabym, że jesteś do tego zdolny.

- Dziwne, twój kuzyn wrócił spod numeru siedemnastego i od razu dokądś poszedł - powiedział Latimer do Sibyl. - Szkoda, że zamierza znów wrócić. - Zamilkł,

ale po chwili dodał: - Przepraszam.

- Nie masz za co - odrzekła Sibyl. - Ja też nie jestem tym zachwycona. A musimy jeszcze zająć się tą panną Lawinią Ash. Wciąż nie bardzo rozumiem, co ją skłoniło do przyjścia bez zapowiedzi. Nigdy o niej nawet nie słyszeliśmy, a ona mimo to oczekuje, że Meg zaproteguje ją hrabiemu, dobre sobie. Nawet nie przyjdzie jej do głowy, że to, czego chce, może być trudne do spełnienia. Waham się, czy to powiedzieć, ale... ech...

- To dość niezwykła osoba - dokończył za nią Latimer. - A mówiąc bez ogródek, po prostu dziwaczna.

- Panna Lawinia Ash - oświadczyła lady Hester, pompatycznie nawet jak na siebie - stanowi uosobienie najlepszych wzorców wychowania, jakie można zaproponować naszym pannom o wysokiej pozycji społecznej. Jak sama ci powiedziała, opiekuje się jedynie najlepszymi spośród najlepszych. Hrabiemu, jak sądzę, trudno będzie uwierzyć w swoje szczęście, gdy zobaczy, kogo do niego przysłano. Często słyszy się ostatnio lamenty nad poziomem wychowania, który dramatycznie podupadł. A to dlatego, że niewiele jest takich osób jak panna Lawinia Ash, która silną ręką trzyma elitę angielskiej kobiecości w rozkwicie.

- Raczej niełatwo się po niej domyślić nauczycielki tańca - zwróciła uwagę Sibyl.

Latimer skinął głową.

- Same kości - powiedział. - Nie ma w sobie nawet uncji czegoś miękkiego.

- A co, jeśli wolno spytać... - lady Hester zwróciła na niego Iorgnon - wiadomo ci o wychowaniu młodych dam w naszych najlepszych zakładach? Nic. Dlatego nie wtrącaj się, proszę.

Latimer dyskretnie się uśmiechnął.

- Meg już jest na miejscu - powiedziała lady Hester. Wygładziła spódnice swojej ciemnofioletowej sukni, niewątpliwie świadczącej o odwrocie od głębokiej żałoby, jaką do niedawna nosiła. - Wszystkich proszę o spokój. Zachowujcie się jakby nigdy nic. Po prostu wykażcie uprzejme zainteresowanie jej eskapadą... chciałam powiedzieć doświadczeniami, jakie zdobyła w związku z nową posadą.

Sibyl usłyszała, jak otwierają się frontowe drzwi i Tuman wita Meg nosowym pozdrowieniem. Rozległ się również drugi głos, cichszy.

Tymczasem w sieni Meg omal się nie rozplakała na widok przejmująco smutnej miny Adama Chillwortha.

- Miło cię widzieć - powiedziała i natychmiast zorientowała się, że zabrzmiało to tak, jakby była obcą osobą witającą kogoś niewidzianego od lat. - Na dworze jest chłodno. Lepiej dobrze się otul. - Sprawowanie opieki nad Adamem stało się częścią jej życia.

Skinął jej prawie niezauważalnie, przez cały czas bacznie obserwując jej włosy, wreszcie pochylił głowę i znikł za progiem.

Meg spojrzała w mętne oczy Tumana, który skrzywił się i powiedział:

- Lady Hester i Latimer More są na pierwszym piętrze z panną Sibyl. - Prawym kciukiem wskazał górę po lewej stronie, co miało oznaczać pokoje sióstr Smiles. Potem tym samym kciukiem pokazał pokoje Latimera More'a na parterze i dodał: - Tam czeka gość, sądzę, że w tej chwili odpoczywa. Kobieta z buzią w ciup, chuda jak tyczka. Przyszła do panny Meg, ale lepiej niech panna Meg najpierw załatwi swoje sprawy z nimi. - Znów wskazał pokoje na piętrze.

Zerknąwszy na drzwi pokoi Latimera, Meg podziękowała kamerdynerowi i szybko weszła na górę, przygotowana na potok łez Sibyl.

W drzwiach salonu stały lady Hester, Sibyl, a tuż za nimi Latimer More.

- Meggie - szepnęła Sibyl łamiącym się głosem. - Och, Meggie, już zupełnie nie wiedziałam, co z sobą robić. Chodź tu, niech na ciebie popatrzę.

- Powinnaś się wstydzić, młoda panno - odezwała się lady Hester. - Naturalnie cieszymy się z powrotu marnotrawnej córki, ale przecież jesteś panną, która odebrała właściwe wychowanie. Powinnaś być rozsądniejsza. Nie mam pojęcia, co my teraz zrobimy. Och! Och, twoje włosy! Co ty zrobiłaś z włosami? Och, dajcie mi sole.

Sibyl zdołała przecisnąć się przez drzwi i zarzucić swe szczupłe ramiona na szyję Meg. Zaczęła jej chlupać w ramię.

- Meggie, kocham cię. Wiem, że cokolwiek zrobiłaś, myślałaś o nas obu, ale...

- Ale przygnębia ją bez miary myśl, że jej siostra niszczy swoją reputację dla kilku srebrników.

- Przypuszczam, lady H. - Latimer celowo zwrócił się do niej w sposób, którego

nie znosiła - że ostatnio nie czytałaś Biblii? Marnotrawna córka i srebrniki. Pomieszały się coś te obrazy. Osobiście uważam, Meg, że włosy masz tak samo urocze jak zawsze. Ale rudy kolor bardzo zwraca uwagę. Jest śmiały. No, czemu nie? Chodźcie, wy dwie. Barstow pogrążona jest w czarnej rozpacz i w ogóle nikt w tym domu nawet nie próbuje zrobić czegokolwiek użytecznego, więc zaparzę dla nas herbatę. Co ty na to, Meg?

Gdy Meg odrobinę ochłonęła po tym powitaniu, powiedziała:

- Chętnie, Latimer. Bardzo ci dziękuję. - Uśmiechnęła się do niego, a on odwzajemnił jej uśmiech. Był naprawdę atrakcyjny i miał wiele wdzięku, przynajmniej wtedy, kiedy chciał.
- Proszę usiąść, milady - powiedziała Sibyl do lady Hester, pociągając nosem i kurczowo trzymając rękę Meg.

Lady Hester rozpostarła spódnicę i zajęła miejsce na rozlatującym się szeslongu okrytym wiewiórką brokatową kapą w kolorze różowym, ze spleśniałymi zielonymi listkami i nędznymi resztkami herbacianych róż, które prawie znikły z powierzchni tkaniny.

- Pospiesz się z tą herbatą, Latimer. Jestem bliska omdlenia, tyle troski przysporzyła mi ta pannica. Teraz siądź tu przede mną, Meg Smiles. Chcę ci zadać kilka pytań.
- Meggie powinna najpierw napić się herbaty - zauważyła niepewnie Sibyl. - Z pewnością wiele przeżyła i jest wyczerpana. W puszczyce na kredensie są ciasteczka, Latimer.

Latimer postawił czajnik na płycie przy kominku i przygotował na tacy spodeczki oraz filiżanki. Wyprostował się jednak raptownie, gdy lady Hester powiedziała:

- Najbardziej niepokojące w tym wszystkim jest pytanie, co ją tak wyczerpało. Co ty na to, Meg? To stanowczo...
- To nie jest nasza sprawa, milady - zwrócił jej uwagę Latimer. - Chyba że Meg sama będzie chciała nam coś opowiedzieć, jeśli czuje się zaniepokojona... albo uradowana. Z całym szacunkiem zwracam też uwagę, że doszukuje się pani nieszczęścia tam, gdzie być może wcale go nie ma.
- Niewdzięczny chłopiec - odparła lady Hester. - Jakież to typowe dla mężczyzn, wszystkich mężczyzn. Nigdy nie zawahacie się przed narzucaniem waszej woli

słabszej płci.

- Czy dobrze się czujesz. Meggie, moja droga? - spytała Sibyl.
- Bardzo dobrze. - Z konieczności gładko skłamała. - Gdzie się podział nasz kuzyn?

Sibyl uśmiechnęła się.

- William wpadł powiedzieć nam, że wkrótce stawisz się w domu, i zaraz wyszedł, tłumacząc, że ma ważne sprawy do załatwienia. Wróci, gdy będzie mógł.
- Przykra sprawa - powiedziała Meg. - William zrobił z siebie kompletnego ośła przed hrabią Etrangerem.
- Co prowadzi nas prosto do pytania, na które musimy dostać odpowiedź - włączyła się lady Hester. - Wszyscy widzieliśmy, że hrabia pomagał ci wczoraj wsiąść do powozu. Byliście sami. A potem pędem odjechaliście i wróciliście dopiero niedawno. Rozumiemy, że spędziłaś noc w majątku hrabiego pod Windsorem.
- Tak, w Riverside Place. Sibyl najdroższa, bardzo cię przepraszam. Wiedziałam, że się o ranie martwisz, ale myślałam, że jedziemy tam tylko na popołudnie i przed zmrokiem wrócimy. Kiedy dowiedziałam się, iż będziemy tam nocować, było już za późno na powrót.
- Wiem - powiedziała Sibyl. - Nic się nie stało pod warunkiem, że jesteś cała i zdrowa.
- Jestem cała i zdrowa - potwierdziła Meg. - Zaszło kłopotliwe nieporozumienie, ale wszystko się wyjaśniło i, jak widzisz, jestem taka sama jak wczoraj.
- Czy z hrabią w Windsorze byłaś sama? - spytała lady Hester, która wciąż nie pozwalała się zniechęcić.
- Och, nie - odparła Meg. - We dworze jest mnóstwo służby. Poza tym była obecna lady Upworth, dobra znajoma hrabiego. I moja nowa podopieczna, księżniczka Desiree z Mont Nuages.

Z każdym słowem Meg czy lady Hester stawały się bardziej okrągłe. Wreszcie dama pokręciła głową i powiedziała z wyraźnym szacunkiem:

- Byłaś w takim gronie?- Tylko jako panna do towarzystwa księżniczki.

- Chyba nie jadłaś z nimi kolacji przy jednym stole.

Gdyby serce jej nie krwawiło, Meg całkiem dobrze bawiłaby się tą sytuacją.

- Jadłam. Księżniczka pierwszy raz zajęła miejsce przy stole, mając ułożone włosy. To bardzo miła panna. Zadumana, cicha, czasem daje się ponieść nerwom i nie panuje nad ciętym językiem, ale jest na swój sposób bardzo poczciwa.
- Hm. Innymi słowy, jest pospolitą panną ubraną w kosztowne ozdóbki. Jej pospolitość nie ma zresztą znaczenia i tak będzie miała licznych kandydatów do ręki.

Meg spojrzała na Sibyl. Obecność Latimera mogła znieść, ale przy lady Hester trudno było szczerze opowiedzieć o czymkolwiek.

Latimer obchodził damy z herbatą i ciasteczkami, a każda z nich brała z tacy spodeczek i filiżankę.

- Nie wątpię, że chciałabyś odpocząć, Meg - powiedział. - Tyle wrażeń musiało cię bardzo zmęczyć.
- Święta prawda - przyznała.
- Och, odpoczynek jest ci naturalnie bardzo potrzebny - dodała lady Hester. - Opowiedz nam o hrabim. Jest synem z nieprawego łóża księcia Georges'a z Mont Nuages, prawda?

W Meg obudził się instynkt obrończyni.

- To nie moja sprawa ani sprawa milady interesować się takimi szczegółami.
- Ho! - Lady Hester przyłożyła lorgnon do oczu.
- Hrabia Etranger jest szlachetnie urodzonym dżentelmenem. Pełni funkcję ambasadora swojego ojca w Anglii i musi sprostać odpowiedzialnym obowiązkom.
- Czy jest przystojny? - Milady jak zwykle nie pozwoliła się zbić z tropu. - Słyszałam, że tak. I że lubi kobiety.
- Chce się z tobą zobaczyć jakaś pani Lawinia Ash - wtrącił Latimer, marszcząc brwi. - Czeka w dawnym pokoju Finch. Dość krępująca osoba. Dopiero co się tu pokazała. Sybil mówi, że nie...
- Nie przerywaj mi z łaski swojej - skarciła go pani domu. - Na tę sprawę będzie

czas później. Słyszałam o tej Upworth. Ila. Nawet ją znam. Poślubiła starego lorda Upwortha. Miał wtedy prawie sto lat i podobno był niespełna rozumu. W każdym razie nigdy nie widziano go inaczej jak na wózku. Nie miał wiele pieniędzy, ale wystarczyło tego, żeby zaopatrzyć Iłę. Poza tym zostawił jej tytuł. Ona naturalnie rozgląda się teraz za mężem. Ten rodzaj kobiet zawsze szuka innego mężczyzny, żeby... mniejsza o to, po prostu innego mężczyzny. Dla Etrangera z pewnością stanowi nie lada gratkę. Towarzyszka zabaw. Jak oni się zachowywali, gdy byli razem, Meg?

- Niewiele ich razem widziałam.
- Ale kiedy ich widziałaś? - Dama znacząco uniosła brwi. - Zawsze można zauważyć ukradkowe spojrzenia lub dyskretnie gesty, które wiele mówią.

Meg pochyliła głowę i zaczęła bawić się tyżeczką.

- Chyba sama nie zadurzyłaś się w hrabim? Nawet niedoświadczona panna taka jak ty wie, że mężczyzna jego pokroju nigdy się tobą nie zainteresuje... chyba że ma nieposkromione apetyty i lubi baraszkować ze służbą.

Meg wciąż nie była w stanie podnieść wzroku, choć wiedziała, że ją to dekonspiruje.

- Hm, masz śliczną figurę, to prawda. Mężczyźni jego pokroju nie zwykli nie zauważać takich szczegółów. W dodatku ta suknia jest stanowczo zbyt śmiała. I twoje włosy! Och, moja droga, czyżbyś już zbłądziła?
- Proszę przestać, milady - powiedziała Sibyl, zaskakując tym Meg. - Jak możesz mówić o mojej siostrze w ten sposób? Meg jest urocza. To najlepsza siostra i przyjaciel. Nie powinna słyszeć z niczyich ust takich domysłów.

Latimer przestąpił z nogi na nogę.

- Może teraz poprosić pannę Ash, Meg? Ona już długo czeka. Wzburzona Meg skupiła na nim uwagę.
- Kto to jest panna Ash? Nie znam nikogo takiego.
- Czy ten człowiek dostał od ciebie, czego chciał? - spytała obcesowo lady Hester.
- Jeśli tak, to natychmiast mi powiedz, a ja dopilnuję, żeby Hunter zajął się tą sprawą. Jeśli go poproszę, pójdzie do hrabiego i namówi go na ugodę za jakąś okrągłą sumkę, bo inaczej cały Londyn dowie się o jego haniebnych czynach. Dość

tego, milady - powiedziała Latimer stanowczo, choć łagodnym tonem. - Za bardzo się pani wzburzyła. Proszę pozwolić, proszę, że odprowadzę panią na górę.

Wyjdę, kiedy sama uznam za stosowne...

Latimer odstawił jej filiżankę i zaofiarował ramię. Wrócimy do tej rozmowy jutro, żebyśmy mogli w spokoju o wszystkim pomyśleć. Znam twoje dobre serce, milady. Na pewno za nic nie chciałybyś krzywdy Meg, lecz jednak krzywdzisz ją, nie mogąc zdobyć się na roztropność.

Początkowo wydawało się, że ten apel chybił celu, lecz po chwili lady Hester Bingham majestatycznie uniosła się z szeslongu, przyjęła ramię Latimera i pozwoliła, by wyprowadził ją z pokoju.

- Och, Meggie! - krzyknęła Sibyl i podbiegła do siostry. - Od śmierci taty nie byłam tak przerażona. Myślałam już nawet, że rozbójnicy napadli na powóz.

- Wybacz mi, proszę. I nie wiń naszych nowych chlebobawców. To było nieporozumienie. Sibyl, jeśli nadal tego chcesz, zaczniesz uczyć Desiree gry na fortepianie i śpiewu. Hrabia prosił, żebym powtórzyła ci, że oczekują cię jutro z rana. - Nie było sensu ukrywać części prawdy. - Ponieważ mam być prawą ręką księżniczki i wsparciem dla niej w trudnych chwilach... wspominałam chyba, że ona jest nieśmiała... w każdym razie z tego powodu zamieszkałam pod numerem siedemnastym, w pokojach księżniczki.

Sibyl złapała się za głowę.

- Meggie, nie możesz zamieszkać pod numerem siedemnastym. Po co?!

- Powiedziałam ci już po co. Poza tym nie przenoszę się tam na długo. - Głęboko odetchnęła, by opanować smutek, który ogarnął ją na myśl o rozstaniu z Jean-Markiem. - Oni wyjadą po sezonie. - A ona nigdy więcej go nie zobaczy.

- Ależ, Meggie - protestowała Meg. - Mieszkać pod numerem siedemnastym? Nikt tego nie zrozumie.

- Niewiele mnie obchodzi, co kto zrozumie właściwie lub opacznie. Przynajmniej sprawię ludziom radość, gdy urozmaicą swoje nudne życie plotkami.

Sibyl odwróciła głowę.

- Będzie mi cię brakowało.

Tych słów Meg się spodziewała i obawiała.

- Nie oddalimy się od siebie. Poza tym będziemy się codziennie widywać. No, i niedługo wrócę.
- Wiem. I wiem, że jestem głupia. Prędzej czy później znajdziesz męża, a wtedy i tak z konieczności zostanę sama. Powinam korzystać z okazji i nauczyć się samodzielności.
- Nie, nie. - Meg zaprowadziła Sibyl do szelongu i pomogła jej usiąść. - Najdroższa, mimo moich błyskotliwych intryg bardziej prawdopodobne jest, że to ty pierwsza kogoś poślubisz. Mnie interesuje w tej chwili tylko znalezienie dla nas środków do życia, podjęłam więc kroki, które mają nam zapewnić większe finansowe bezpieczeństwo. Liczę się z tym, że pieniądze, które zarobimy, zajmując się księżniczką Desiree, mogą być jedyną korzyścią z mojego eksperymentu. Naturalnie zamierzam nadal szukać odpowiedniego, uczciwego mężczyzny, żeby łatwiej nam się żyło. Pomyśl, Sibyl, gdybym znalazła jakiegoś poczciwego, zamożnego dżentelmena, który pomógłby mi przedstawić cię innemu dżentelmenowi... Zaslugujesz na wszystko co najlepsze, siostrze, a ja chcę stworzyć okazję, żeby mogło cię to spotkać.

Sibyl niespodziewanie przesłała siostrze szelmowski uśmiech i gorąco ją uściskała.

- Gdybyś mogła, cały świat przerobiłabyś po swojemu - powiedziała. - Żaden wymarzony mężczyzna nie będzie sobie mną zaprzętał głowy. Myślisz, że to się może zdarzyć, bo mnie kochasz i uważasz, że jestem lepsza, niż naprawdę jestem. Zrobię jednak co w mojej mocy, żeby wesprzeć cię w twoich wysiłkach. To byłoby wspaniałe, gdyby udało ci się spotkać miłego dżentelmena, którego mogłabyś pokochać. Poza tym cieszę się, że poznam księżniczkę Desiree. Nie martw się już więcej o mnie. Ważne jest tylko to, żebyś była bezpieczna.

Meg uśmiechnęła się serdecznie.

- Jeśli połączymy siły w walce, nikt nas nie pokona. Będziemy niezwyciężone.
- Tak - potwierdziła Sibyl. - Czy jest jeszcze coś, co chciałabyś mi powiedzieć o numerze siedemnastym albo o księżniczce? Może z czasem byłaby w stanie opowiedzieć Sibyl o Jean-Marcu, nie na pewno nie teraz.

Numer siedemnasty jest wyjątkowo pięknym i eleganckim domem. Księżniczka ma urocze pokoje, jestem więc przekonana, że i moje będą podobne. Te, które mi

przydzielono w Riverside Place, w majątku hrabiego kulo Windsoru, no, więc te pokoje... -Zająknęła się, bo oczami wyobraźni zobaczyła Jean-Marca w tamtejszym salonie, a potem w jej małej, przytulnej sypialni. - To są śliczne pokoje. Wygodne, jasne i niewątpliwie przygotowane z myślą o sprawieniu kobiecie przyjemności. - Przyjemności? Meg, owszem, znalazła tam przyjemność, lecz również niepokój, tęsknotę... i rozczarowanie swoją osobą.

- To brzmi wspaniale.

- Jestem pewna, że będziesz mogła mnie odwiedzić - ciągnęła Meg. Nic chciała dłużej myśleć o miejscu, w którym była razem z Jean-Markiem. Ani o pocałunku, który wymienili przed jej odejściem spod numeru siedemnastego. - Kuzyn William zachował się żenująco, Sibyl. Zażądał, żeby mnie odesłano, a potem, żeby razem z nim wyszła.

- Nie do wiary! - szepnęła Sibyl. - To straszne. Podziwiam cię, że stawiałaś mu opór.

- Hrabia zwrócił mu uwagę, że nie ma prawa mną rządzić, co zresztą jest prawdą.

Meg poczuła na sobie spojrzenie siostry, a gdy ich oczy się spotkały, nie uległo już wątpliwości, że zainteresowanie Jean-Marca sprawami Meg nie uszło uwagi Sibyl.

- William udawał ważniaka, ale zrobił z siebie kompletnego osła.

- Tak, on nie jest człowiekiem, który wie, kiedy należy się z honorem wycofać. Jak skłoniłaś go do wyjścia?

- Nie zrobił tego z honorem. - Meg pochyliła głowę i uśmiechnęła się. - Musiałam... Uznałam za konieczne przenieść się na wyższy poziom świadomości.

Sibyl otworzyła szeroko oczy.

- Nie zrobiłaś tego!

- Zrobiłam. I podziałało to na mnie bardzo uspokajająco.

- Tam, pod numerem siedemnastym?

- Właśnie tam, w gabinecie hrabiego. Zamknęłam oczy i pomyślałam o Puckly Hinton. Naturalnie wiosną. Potem usiadłam po turecku na podłodze... nogi, rzecz jasna, skrzyżowałam pod suknią... i oparłam czoło o dywan. To było bardzo przyjemne.

Sibyl zaczęła chichotać, a wkrótce jej chichot przeszedł w wysoki, dźwięczny, niepowstrzymany śmiech, od którego zaróżowiły jej się policzki, a do oczu napłynęły łzy.

- Wobec tego - wykrztusiła w końcu - prawdopodobnie nie musimy się przejmować twoją posadą pod numerem siedemnastym. Z pewnością zostałam zwolniona.
 - Skądże. - Meg również zachichotała. - Hrabia chciałby, żebym nauczyła go szlachetnej sztuki abstrakcyjnego myślenia, bo to pomogłoby mu wychodzić obronną ręką z trudnych sytuacji. Sama rozumiesz. I co ty na to?
 - Tylko ty, Meg, tylko ty jesteś zdolna do czegoś takiego.
 - Uważasz mnie za przewrotną oszustkę, co?
 - Uważam cię za najwspanialszą siostrę, jaka może istnieć. - Sibyl opadła na oparcie szeszlangu i skrzyżowała ramiona. - I mówisz, że rano mam poznać księżniczkę.
 - Tak.
 - Hm. Powinnyśmy uwolnić Latimera od obowiązków wobec biednej panny Lawinii Ash. Ona przysłała już dość dawno, a gdy dowiedziała się, że niebawem wrócisz, oświadczyła, że jest wyczerpana podróżą, i zażądała, by pozwolono jej odpocząć. Latimer się nad nią zlitował i oddał do jej dyspozycji dawny pokój Finch.
- Meg nie była w nastroju do spotykania się z panną Lawinią Ash ani z nikim obcym.
- Kto to jest?
 - Nie wiem, ale zdaje się, że zna Finch, która podsunęła jej myśl, żeby porozumiała się z tobą w sprawie posady nauczycielki tańca księżniczki. Lady Hester utrzymuje, że to prawdziwa perła i hrabia powinien chwycić okazję, jaka się nadarza.
 - Nauczycielka tańca? - W ostatnim czasie zdarzyło się stanowczo zbyt wiele jak na jej możliwości. - Przysłana przez Finch?
 - Ma list.
 - Rozumiem. - W zasadzie nauczycielka tańca byłaby nie od rzeczy, zwłaszcza że zaproszenia na bale i przyjęcia dla księżniczki miały wkrótce zacząć napływać. -

Dlaczego zwróciła się z tym do mnie, a nie do hrabiego?

- Bo tak zaleciła jej Finch.

Finch jeszcze nie mogła wiedzieć, że zostałam panną do towarzystwa księżniczki, pomyślała Meg.

- Wobec tego najlepiej będzie, jeśli ją przyjmę.

Rozległo się głośne, energiczne pukanie i Sibyl pospieszyła do drzwi.

- O, panna Ash - powiedziała. - Właśnie miałyśmy zaprosić panią na górę.

- To bardzo miło z waszej strony. Usłyszałam o powrocie pani siostry i pomyślałam, że spytam, czy mogłybyście mnie teraz przyjąć... u może lepiej, żebym przyszła później?

Meg przetłknęła ślinę i odwróciła się do ognia. Później prawdopodobnie będzie spała pod numerem siedemnastym. Zamierzała przecież wrócić na wieczór do... Zamierzała wrócić do księżniczki.

- Proszę wejść - zachęciła nieznaną Sibyl. - Właśnie gawędziłyśmy z siostrą. Meg, to jest panna Lawinia Ash. Ma list polecający od Finch, która wspomniała, że księżniczka będzie potrzebować nauczycielki tańca.

Meg spojrzała na pannę Ash.

- Dzień dobry - powiedziała. Wielkie nieba! - Dlaczego pani nie usiądzie?

Panna Ash rozważyła wszystkie możliwości zajęcia miejsca, pozostała jednak w pozycji stojącej. Wzrostem dorównywała Adamowi Chillworthowi, może nawet była wyższa, lecz za to przeraźliwie chuda. Wychudzoną miała twarz, ramiona, klatkę piersiową i biodra. Czarny jedwabny czepek, wykończony od wewnątrz koronką, nadawałby jej bladej twarzy wygląd zakonnicy... gdyby nie dwie jaskrawe plamy rózu na policzkach. Czarna suknia z krepy miała niemodny krój, podobnie jak narzutka, której jedyną ozdobą były agatowe guziki, a spod zbyt krótkich spódnic panny Ash wyglądały pięknie wypastowane, lecz wiekowe trzewiki, stanowiące zakończenie dla kilku centymetrów patykowatych goleni.

- Hm, rozumiem, że ma pani doświadczenie w nauczaniu tańca - powiedziała Meg. Jeśli miała rekomendować tę kobietę, to musiała przynajmniej zadać jej kilka pytań.

Panna Ash jednak zdecydowała się spocząć, usiadła więc z szeroko rozchylonymi nogami na dużym stołku. Plecy miała tak sztywne, że Meg nie była pewna, czy to nie sprawia jej bólu.

- Nauczam tańca od wielu lat - powiedziała. Jej głos brzmiał tak, jakby dobywał się z głowy i wychodził przez cienki nos. - Wiele młodych dam przeszło przez moje ręce. Bardzo wiele, wszystkie z najlepszych rodzin.

- A jednak postanowiła pani opuścić szkołę i przyjechać do Londynu, by poświęcić się dawaniu lekcji jednej tylko uczennicy?

Wargi panny Ash miały domieszkę szarawego odcienia i były poprzecinane licznymi bruzdami.

- To chyba nie powinno dziwić - wyrzuciła z siebie, a jej niebieskie oczka sypnęły iskrami. Wnet zaczerpnęła tchu, splótła dłonie na kolanach i uśmiechnęła się, ale widać było, że kosztowało ją to wiele wysiłku. - Sądzę, że decyzję odmieniającą życie można wybaczyć każdemu, nawet w moim wieku. Zapewniam, że jestem bardzo dobra w tym, co robię.

Uśmiech panny Ash nie przemówił do Meg, przypominał jej bowiem podwinięte wargi spłoszonej owcy, odstawiające długie zęby.

- Rozumiemy to, prawda, Meg? - włączyła się do rozmowy Sibyl, jak zawsze uczynna.

- Owszem. Proszę mi wybaczyć to pytanie, ale czy jest pani zaznajomiona z ostatnimi tańcami?

Meg zapracowała w ten sposób na następny pokaz owczych zębów, spuszczenie wzroku i pociągnięcie nosem.

- Sama na pani miejscu zadałabym to pytanie - przyznała Lawinia. - Wiedz, moja droga, że nie ma takiego tańca, którego bym nie znała. - Zamrugła i wtedy Meg zauważyła, jak niefrasobliwie panna Ash nałożyła puder na twarz. Rzadkie rzęsy miała nim mocno przyprószone.

Zaraz jednak Meg pomyślała, że zamiast czepiać się drobiazgów, powinna docenić odwagę panny Ash. Zdecydowała się przecież na bardzo śmiały krok. Naprawdę nie należało odnosić się tak krytycznie do pospolitej, lecz przecież dzielnej kobiety.

- Chciałabym jutro rano złożyć wizytę panu hrabiemu - ciągnęła panna Ash. -

Wtedy też spodziewam się przepytać jego siostrę.

- Przepytać księżniczkę? - wydusiła z siebie Meg. Oczka spojrzały na nią surowo, zaraz jednak złagodniały.

- Och, nie, moja droga. Widzę, że źle mnie zrozumiałaś. Ona naturalnie będzie chciała sprawdzić, jak do siebie pasujemy. Mężczyźni kierują się w takich kwestiach logiką. Podejmują decyzje na podstawie rozważań, natomiast kobiety, szczególnie młode, zawsze przynajmniej do pewnego stopnia ulegają emocjom. - Znów panna Ash obdarzyła Meg przenikliwym spojrzeniem, czekając na jej reakcję. - Dlatego trzeba to wziąć pod uwagę. Tyle tylko miałam na myśli. Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że jeśli pani odniesie takie samo wrażenie jak wicehrabina Kilrood, to z chęcią mnie zarekomenduje.

W tym rzecz, uznała Meg.

- Z pewnością mogę spytać hrabiego, czy panią przyjmie - powiedziała i natychmiast poczuła, że spodziewa się zbyt wiele. - Na przykład wczesnym popołudniem. Czy to by pani odpowiadało?

Panna Ash zmarszczyła czoło.

- Jeśli nic więcej nie można osiągnąć...

- Co do mnie, zaraz muszę iść. - Pochwyciła zatroskane spojrzenie Sibyl. - W tej chwili tylko odwiedzam siostrę, która będzie uczyła księżniczkę gry na fortepianie i śpiewu. Może więc będziecie mogły odpowiednio uzupełnić edukację mojej chlebodawczyni we dwie. Z samego rana przyślę wiadomość w tej sprawie. Gdzie pani się zatrzymała?

- Ja... u kuzynki w Chelsea. Ale ona nie lubi ludzi. Oprócz mnie nie przyjmuje nikogo. Wrócę tutaj z rana i będę czekała na wiadomość. - Wstała. - Proszę się o mnie nie martwić. Jestem przyzwyczajona do niewygód. Poczekam w sieni, póki nie zdecydujecie... póki po mnie nie poślecie.

- No, cóż...

- Tymczasem opuszczam panie. Z przyjemnością posłucham jutro, jak panna Sibyl gra na fortepianie. Moim zdaniem młodzi pianiści zwykle zanadto się spieszą bez względu na to, jak dobrze grają i jak bardzo umiarkowane jest tempo utworu. Przekonałam się, że bardzo niewiele napisano muzyki, która w zamierzeniu ma inny charakter niż umiarkowany. Do zobaczenia rano.

Panna Ash nisko się skłoniła i wyszła.

- Co się stało z naszym cichym, spokojnym życiem? - odezwała się Sibyl, gdy zostały same. - Wszystko się zmienia, a mnie się to nie podoba. Nie chcę, żebyś wróciła dziś na noc pod numer siedemnasty. Po co masz to robić, skoro jesteś na wyciągnięcie ręki? W razie potrzeby można po ciebie posłać. Ale naturalnie chodzenie tam każdego ranka byłoby uciążliwe.

- Panna do towarzystwa mieszka ze swoją chlebodawczynią, Sibyl. Proszę cię, traktuj to jako naszą wielką szansę. Będziemy poznawać ludzi i kto wie, może po wyjeździe hrabiego i jego siostry uda nam się zdobyć następną pracę.

- Ktoś zapragnie cię poślubić, jestem tego pewna. I bardzo się z tego cieszę, Meggie, naprawdę. Po prostu zawsze tracę kontenans, kiedy myślę o tym, co sama mam ze sobą zrobić.

- Nie zostawię cię samej - przyrzekła Meg. - Już ci to raz powiedziałam, a teraz powtarzam. Proszę, uwierz mi. To są również dla mnie trudne chwile, ale jestem przekonana, że koniec będzie dla nas pomyślny. - A ona już nigdy nie będzie tą samą osobą. - Przebiorę się i zapakuję kilka rzeczy.

Sibyl pozostawiła to bez odpowiedzi. Opuściła mieszkanie, gdy tylko Meg udała się do sypialni. Jeszcze niedawno Hunter Lloyd miał zwyczaj częstego chodzenia po domu. Sibyl liczyła, że może się na niego natknąć, bo był to człowiek, któremu ufała, i wiedziała, że zawsze jej wysłucha, powstrzymując się od krytycznych komentarzy. A gdyby go o to poprosiła, z pewnością udzieliłby jej rady. Hunter stopniowo zyskiwał coraz większą famę jako adwokat, więc był ostatnio tak zajęty, że przychodził do domu właściwie tylko na noc, a wychodził do miasta, gdy reszta domowników jeszcze spała.

- Nad czym tak myślisz, Sibyl? - odezwał się do niej z sieni Latimer More.

Sibyl przechyliła się poręcz schodów i zobaczyła jego twarz zwróconą ku górze.

- Meg zaraz wraca pod numer siedemnasty. Powiedziała mi, że panna do towarzystwa musi mieszkać ze swoją chlebodawczynią.

Latimer odwrócił wzrok.

- To brzmi głupio i samolubnie, ale już mi jej brakuje.

- Wcale nie samolubnie - zaprzeczył Latimer.

Przyjrzała się rysom jego pociągłej twarzy i włosom, które w tym oświetleniu miały lekko rudy połysk. Spokojny, niezależny człowiek, który jednak umiał okazać przyjaźń.

Latimer dzielił z siostrą Finch mieszkanie siedem A, zanim Finch poślubiła wicehrabiego Kilrood, który wówczas mieszkał pod numerem ósmym.

- Tęsknisz za Finch? - Przeraziła ją jej własna obcesowość. - Chciałam powiedzieć...

- Tęsknię, ale cieszę się, że jest szczęśliwa. Poza tym mam swoją pracę.

Mężczyzna zawsze może znaleźć pocieszenie w pracy, pomyślała Sibyl.

- Naturalnie.

Latimer znów na nią spojrzał.

- Proszę, nie czuj się urażona, ale gdybyś kiedykolwiek czegoś potrzebowała, to mam nadzieję, że uczynisz rai ten zaszczyt i pozwolisz pomóc.

- Wcale nie czuję się urażona. - Sibyl doceniała jego życzliwość, ale gdy myślała o tym, że zostanie w tym domu na łasce losu i będzie sama zawsze, gdy tylko zamknie drzwi mieszkania, zrobiło się jej ciężko na sercu. Musiała znaleźć w sobie więcej siły, stać się bardziej niezależna. - Dziękuję ci, Latimer. Mam też nadzieję, że dasz mi znać, jeśli poczujesz się kiedyś samotny. - Znowu powiedziała coś raczej niestosownego.

Uśmiechnął się i twarz mu się rozjaśniła. Latimer More był bardzo atrakcyjnym mężczyzną, a gdy pozwalał sobie na chwilę beztroskiego zadowolenia, uśmiech jeszcze dodawał mu wdzięku.

- Czy jesteście gotowe przyjąć pannę Ash? - spytał. - Chyba już dosyć się naczekała.

Sibyl zmarszczyła czoło.

- Sama do nas przyszła na górę. I już wyszła, Nie podziękowała ci? To doprawdy nieładnie z jej strony.

Teraz z kolei Latimer spochmurniał, szybko jednak odzyskał pogodę ducha.

- Zagrzebałem się po uszy w papierach. Bez wątpienia nie chciała mi

przeszkadzać. Dobrej nocy, Sibyl.

- Dobranoc. - Sibyl spojrzała w górę, ku mieszkaniu Huntera. Nie miała jednak odwagi specjalnie go szukać. Czas było wracać do mieszkania.

Meg przebrała się w czerwoną jak maki suknię z neapolitańskiej tkaniny jedwabnej i okryła ramiona dopasowaną narzutką ozdobioną marszczeniem i wykładanym kołnierzem. Materiał nie był najwyższej jakości, ale modniarka, czyli Meg we własnej osobie, zrekompensowała to sobie zgrabnym krojem. Zerknęła na Sibyl i uśmiechnęła się, wsuwając papeterię do zniszczonego płóciennego sakwojażu.

- Co robiłaś? - spytała z ciekawością. - Zdawało mi się, że z kimś rozmawiałaś.
- Z Latimerem. Bardzo zajęty, ale życzliwy, no i przystojny. Bardzo pociągający.
- Naprawdę? - Meg znieruchomiła. - Zawsze uważałam, że jest niczego sobie, ale mało rozmowny.
- Tęskni za Finch.
- Aha. - Meg wzięła swoje okulary i puzderko z przyborami do szycia. - Rozumiem. Finch przyszła mi z pomocą, gdy był w finansowych tarapatkach. Ale nie tylko o to chodzi. Oni w ogóle są sobie bliscy.
- Tak samo jak my - odrzekła Sibyl.

Meg dalej krzątała się po ich wspólnej sypialni. Wzięła szczotkę do włosów, grzebień, niewielki zestaw ozdób do włosów, które zebrała przez lata, i nawet kilka sztuk biżuterii, pochodzących jeszcze z domu w Puckly Hinton.

Sibyl przyglądała się temu z zaciśniętymi ustami i bała się, że zaraz zacznie płakać. Jej siostra dawno już nie była taka szczęśliwa i zabierała wszystko, co było dla niej cenne, do domu obcego człowieka po drugiej stronie placu... Zupełnie jakby nie miało to dla niej znaczenia, że może już nigdy nie wrócić pod numer siódmy. - Ech, pilnie potrzebuję nowych pantofelków i nowych trzewików - powiedziała.

Sibyl zamrugała powiekami i zauważyła:

- Wobec tego musisz je kupić, jak tylko dostaniemy trochę pieniędzy. Meg spojrzała na siostrę.
- Sibyl, proszę cię, staraj się być nieco bardziej zadowolona. Ja jestem szczęśliwa. To będzie takie podniecające. Wyobraź sobie: ty przygrywasz na fortepianie, a

panna Ash daje księżniczce lekcje tańca. Będziemy świetnie się bawić. Zobaczę, może przy okazji sama się czegoś nauczę. Przecież do tej pory tańczyłam tylko u nas na wsi.

- Stanowczo powinnaś potańczyć - powiedziała Sibyl. - Kiedy dżentelmeni zobaczą, jak wirujesz na parkiecie w ramionach przystojnego mężczyzny, będziesz miała długą kolejkę wpisujących się do karnetu.

Meg spoważniała.

- Nie będę miała karnetu, Sibyl. Jestem służącą. Moja obecność na balach będzie w najlepszym wypadku czymś niezwykłym i uzasadnionym tylko tym, że hrabia nie chce być przykuty do boku siostry.

- Ale ktoś może poprosić cię do tańca?

- Pewnie tak, tyle że będę musiała odmówić.

- Nie przesadzaj - zaproponowała Sibyl. - To byłoby niegrzeczne. Dopóki będziesz schodzić z parkietu przed księżniczką, wszystko będzie w najlepszym porządku.

- Może masz rację. W każdym razie powinnam już iść. Myślę, że zapakowałam wszystko, czego potrzebuję. Sibyl, dobrze teraz uważaj, co ci powiem. Proszę cię, dbaj o to, aby twoja fryzura nie była zbyt surowa. Z kilkoma białymi kwiatami wpiętymi w kok zawsze będziesz wyglądać ładniej. Poza tym pamiętaj, że jest ci do twarzy w jasnoniebieskim. Lubisz ten kolor?

- Lubię wszystko, co ci się podoba. Może być jasnoniebieski. Czy mam przyjść jutro o jedenastej?

- Doskonale. Teraz pójde sprawdzic, co jeszcze zdązę zrobić z księżniczką, zanim przyjdzie czas na spoczynek.

Sibyl chciała zaproponować Meg, żeby jednak wróciła na noc do domu, ale się powstrzymała.

- Hrabia bardzo się cieszy z najdrobniejszych postępów siostry. Powinnaś zobaczyć jego twarz, kiedy Desiree weszła do jadalni z nowo ułożonymi włosami. On ma doprawdy szatański uśmiech, a co gorsza zaraźliwy.

- Czyżby?

- O, tak. Pochwalił księżniczkę za suknię, którą dla niej wygrzebałam w

garderobie. Jutro sprowadzimy modniarki, żeby można było wybrać materiały i szybko uszyć co trzeba. - Zaczepnęła tchu. - Wiesz, on nawet mnie prawi komplementy. Wyobrażasz sobie?

- Wyobrażam. - Biedna Sibyl, choć było jej wstyd, nic nie mogła na to poradzić, że jeśli chodzi o bliskość z siostrą, to czuła się zagrożona przez tego nieznanego mężczyznę. - W czerwonej sukni też mu się spodobał, Meg. Idź już. Na pewno czekają na ciebie.

- Tak sądzisz?

Sibyl spojrzała siostrze w oczy, a potem przeniosła wzrok na jej rude włosy. Meg miała przyczerwione rzęsy, a policzki i wargi pokryte różem. Promieniowała.

- Oczywiście. Jak mógłby na ciebie nie czekać?

Meg nabrała powietrza, a choć Sibyl zwykle nie zwracała uwagi na takie szczegóły, tym razem nie mogła nie zauważyć, że siostra ma wspaniałą figurę.

W nie domkniętych drzwiach do mieszkania niespodziewanie pojawiła się Barstow w szeleszczącym szarym uniformie, przypominającym kolorem jej włosy. Na twarzy miała wyraz głębokiej dezaprobaty.

- Coot jest wyczerpany nieustannymi najściami - powiedziała. - Ten człowiek od hrabiego Etrangerera znów czeka na dole. Jest arogancki. Ale czego można się spodziewać po obcokrajowcach? Twierdzi, że przyszedł odprowadzić pannę Meg. Odprowadzić! Widział to kto? Powiedziałam mu, że panna Meg nie ma zamiaru nigdzie wyjść o tak późnej porze, ale nie chciał mnie słuchać.

- Dziękuję, Barstow - powiedziała Meg. - Jesteś kochana i bardzo się cieszę, że u nas pracujesz.

Otrząsnąwszy się z zaskoczenia, gospodyni oświadczyła z godnością:

- Hm. Pracuję u lady Hester. Wiem, co znaczy życzliwość i naturalnie zawsze będę panną Meg wspierać, nawet jeśli nie podoba mi się jej zachowanie. I te włosy... Tylko moja zacność i szacunek dla panny Sibyl powstrzymują mnie przed powiedzeniem pannie Meg, że farbowanie włosów przystoi jedynie w domach rozpusty. Niech panna Meg rozmówi się z tym człowiekiem.

Sibyl nie ważyła się odetchnąć, póki kroki Barstow nie ucichły piętro wyżej. Dopiero wtedy głośno wypuściła powietrze i szybko zakryła twarz dłońmi, żeby

trochę zagłuszyć ten nieelegancki odgłos.

- Cieszę się, że dobrze się bawisz moim kosztem - powiedziała Meg, choć sama również szeroko się uśmiechała. - Jestem przekonana, że Barstow ma olbrzymie doświadczenie w kwestii domów rozpusty. Och, muszę się pospieszyć.

Tak, pomyślała Sibyl, musisz się pospieszyć, a ja bardzo chciałabym wiedzieć, czy ten twój entuzjazm ma związek jedynie z posadą.

- Mówiłaś, zdaje się, że ten hrabia jest przystojny...

- O, tak. - Meg splótła dłonie na piersi. - Kiedy go pierwszy raz zobaczyłam, mogłam myśleć tylko o tym, jak wyobraziłaś sobie ideał mężczyzny. Jean-Marc z pewnością mógłby nim być. Ma wszystkie potrzebne cechy, wymarzone ręce, nogi, ramiona i nawet dołki w policzkach, kiedy się uśmiecha. To jest wcielenie twojego ideału.

Sibyl przetłknęła ślinę. Poczwała niepokojące ściskanie w żołądku.

- Jean-Marc?

Meg nagle znieruchomiła i okryła się rumieńcem.

- Przed chwilą nazwałaś hrabiego po imieniu. To dość niezwykle, jak sama wiesz. Meg, chyba nie zaszło między wami nic, co usprawiedliwiłoby taką poufałość.

Meg pierwszy raz uświadomiła sobie, że stoi wobec bardzo przykrej konieczności okłamywania siostry.

- Księżniczka tak o nim mówi - odparła. - Dlatego i mnie się wymknęło jego imię. Dziękuję, że zwróciłaś mi na to uwagę. Będę uważać, żeby to się nie powtórzyło. Wiesz, Sibyl, pomyślałam, że idąc rano do księżniczki, możesz równie dobrze przyprowadzić z sobą pannę Ash. Na pewno zdążę wcześniej porozmawiać z panem hrabią na jej temat. Dam znać, gdyby nie chciał się z nią spotkać.

- Ktoś na ciebie czeka - powiedziała Sibyl. Jeszcze nigdy nie czuła większego ciężaru w sercu, nawet po śmierci ojca. - Musisz iść. - Tak. - Meg rozejrzała się dookoła, szeleszcząc spódnicami, a na jej twarzy odmalował się wyraz podniecenia. - Jeśli o czymś zapomniałam, łatwo będzie temu zaradzić. Pomachaj mi na do widzenia, Sibyl.

Ruszyła do drzwi prawie biegiem. Sibyl chwyciła ją za ramię.

- Meg. Popatrz na mnie przez chwilę. Proszę cię.
- Co się stało?
- Jesteś bardzo podekscytowana swoją posadą.
- Wcale tego nie ukrywam.
- Czy z powodu okazji, jakie mogą ci się nadarzyć?
- Z powodu... - Meg raptownie zamrugała powiekami. - Tak, naturalnie.

Sibyl miała inną teorię.

- Bądź bardzo ostrożna, moja droga. Światowych mężczyzn, jak mi mówiono, zawsze pociągają niedoświadczone, urodziwe panny. Flirt z wpływowym, przystojnym mężczyzną może ci się teraz wydawać bardzo zajmujący, ale kiedy ten człowiek przestanie interesować się twoją osobą, a ty stracisz dobrą reputację, to nie będziesz już mogła na wiele liczyć. Proszę, pamiętaj, co ci powiedziałam.
- Mówisz tak, jakbym już rozważała możliwość flirtu.

To nie jest dobra chwila na szczerą rozmowę, pomyślała Sibyl.

- Tak. I sądzę, że mam rację. Nie mów nic więcej, ale pamiętaj, że często znam twoje myśli i w tej chwili odnoszę takie wrażenie, jakby spieszyło ci się właśnie do tego człowieka. Jeszcze nigdy w życiu tak się nie bałam, ale będę się za ciebie modlić. Poza tym naprawdę bardzo się cieszę, że jutro sama go poznam. Na pewno nie zaszkodzi, jeśli się dowie, że masz kochającą siostrę, która troszczy się o ciebie.

Zniecierpliwienie słowami siostry było dla Meg zupełnie nowym odczuciem. Mozolnie zaczęła dzwigać sakwojaż w kierunku schodów. W pewnej chwili zatrzymała się gwałtownie

- Nie musisz się o mnie martwić. To ja jestem tą silną siostrą, pamiętasz? Do zobaczenia rano.

Sibyl dobrze wiedziała, że zbyt celnie trafiła swymi przypuszczeniami, by Meg mogła znieść je bez skrępowania.

- Pomogę, jeśli wolno - powitał je niski męski głos z bardzo wyraźnym francuskim akcentem. To pan Verbeux znalazł się na piętrze i odebrał bagaż z rąk Meg. - Przysłał mnie pan hrabia. Proponował powóz. Powiedziałem, że pani woli odbyć

spacer.

- Dziękuję - powiedziała cicho Meg, jakby nagle opuścił ją entuzjazm. Gdy stanęli w sieni, zwróciła się do Verbeux: - Chciałabym przedstawić panu moją siostrę, pannę Sibyl Smiles. Od jutra ma zacząć z księżniczką lekcje śpiewu i gry na fortepianie.

Sibyl dygnęła.

- Dobry wieczór - powiedziała. - Dziękuję za wzięcie mojej siostry pod opiekę. Wolalabym, żeby nie wychodziła sama o tej porze.

Meg zafascynowana przyglądała się temu, jak Verbeux patrzy na Sibyl.

Wolnym ruchem ujął jej rękę, przytknął wargi do dłoni i zastygł w bezruchu na tak długo, że Meg zaczęła się zastanawiać, czy Sibyl zacznie chichotać, czy raczej spróbuje się wyswobodzić.

Nie zrobiła ani jednego, ani drugiego.

Meg zobaczyła Francuza w zupełnie nowym świetle. No, owszem, był interesujący jako cudzoziemiec, ale nigdy nie spodziewałaby się, że to zwróci uwagę Sibyl.

- *Enchante* - powiedział w końcu.

Znów wziął sakwożaż Meg i skierował się za nią na dwór. Ale jeszcze odwrócił się do Sibyl i dodał:

- Proszę się upewnić, czy drzwi są dobrze zamknięte.

- Naturalnie - odparła, ale zamiast tego znów spojrzała na siostrę. W tej chwili Meg zrozumiała, że Sibyl przeniknęła jej uczucia.

- Wiem, co myślisz - zwróciła się do niej. - I wiem, że się o mnie lękasz... o mnie i o siebie. Niech Bóg ma nas w swojej opiece.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Tu Spivey.

Moi drodzy czytelnicy, musicie okazać mi cierpliwość w trudnych chwilach.

Niewielu ludzi wykazałoby tolerancję w takich warunkach. Trudno jest znieść napięcie, gdy nie widzi się rozwiązania.

Meg Smiles jest zwykłą flądram! Kto by to pomyślał? Podczas gdy mnie nie było, kiedy traciłem siły na latanie i różne takie, ona pojechała do Windsoru z hrabią i jego siostrą. Łatwo jest zrozumieć, dlaczego człowiek taki jak hrabia w ogóle zadaje sobie trud zatrzymania na niej wzroku. Po prostu ma ochotę na małą przygodę. Dotarłem tam później, niż zamierzałem, lecz dostatecznie wcześniej, by doświadczyć straszliwego wstrząsu, możecie mi wierzyć.

Doprawdy bardzo się cieszę, że nie byliście narażeni na oglądanie tej haniebnej sceny. Sam też nie powinienem był tam siedzieć, niestety musiałem przekonać się osobiście, co w trawie piszczy. Bylibyście w najwyższym stopniu zdumieni. Wprawdzie ci dwoje tak naprawdę nie... no, wiecie, czego nie zrobili. Ale głupia Meg pewnie myśli, że... no, wiecie, że zrobili.

Wiercie mi, lepiej, że nie znacie szczegółów.

Jedno jest oczywiste. Na widok naszej Meg Smiles hrabiemu krew burzy się w żyłach. Do mnie należy jednak sprawić, by burzyła mu się dostatecznie długo i musiał zgodzić się na usankcjonowany związek. Zważywszy na to, co zaszło, hrabia prawdopodobnie chce uczynić z Meg swoją kochankę. Nawet zadowoliliby mnie takie rozwiązanie problemu, bo również Sibyl prędzej czy później zamieszkałaby u hrabiego, lecz, niestety, natknąłem się na wyjątkowo irytujący problem: wielebny Smiles.

Jak wiecie, byłem tam i pilnowałem własnych interesów, no, i może trochę przy okazji narzekałem (ale tylko pod nosem i cicho) na to, jak trudno pozbyć się lokatorów z własnego domu. Widocznie jednak wspominałem też o siostrach Smiles. Hop, zanim zdążyłem przenieść się na odczyt o tym, jak stąpać twardo po ziemi, zjawia się i przedstawia ten cały Smiles. Widocznie podsłuchiwał moją

rozmowę z samym sobą, bo zaczął mnie błagać, żebym pilnował cnoty jego drogiej córeczki.

A to ci ambaras. Smiles jest jednym z nowych tutejszych świętoszków... nazywamy ich kaczychami, bo mają takie pierzaste wyrostki w miejscu, gdzie być może w majestacie chwały wyrosną im skrzydła, jeśli zostaną powołani Tam Wysoko. W każdym razie mówi się, że Smiles ma dużą szansę wspięcia się do góry, więc nie bardzo mogę mu się narażać, prawda? Kiedy wreszcie załatwię, co mam załatwić pod numerem siódmym, i uznam, że chcę zrobić następne podejście do wspaniałych, niebiańskich skrzydeł, mogę go potrzebować. Chciałbym, żeby szepnął w mojej sprawie słówko. Z drugiej strony, nie wiem, czy nie poczekam, aż sami zaoferują mi skrzydła. Wtedy zrobię sobie przyjemność i im odmówię na znak, że powinni byli mi zaliczyć test na anioła za pierwszym razem. Powiedzieli, że jestem za bardzo przyziemny. Nieprzygotowany do przejścia wyżej. Nigdy nie potrafiłem znieść osób kierujących się uprzedzeniami.

Smiles jest zanadto świętoszkowaty, by urwać się na wagary ze swoich zajęć tu, na dół (to jest wbrew regulaminowi), więc obiecałem mu, że będę pilnował Meg. I będę... przez całą jej drogę prosto do łóżka hrabiego. Zresztą Meg już... hm, wykazała poważne zainteresowanie tą materią. Będę informował was na bieżąco, jak postępują sprawy.

Jeszcze nie miałem okazji powiedzieć wam, jak stoi sprawa L. Ash, pedagoga z dawnej szkoły mojej krewnej. Skąd miałem wiedzieć, że L. Ash nie jest mężczyzną? Przecież nauczyciele tańca zawsze są mężczyznami, tak w każdym razie sądziłem. Niestety, nie miałem już potem czasu na znalezienie zastępstwa.

Czy macie jakiegokolwiek pojęcie o tym, jak niewygodnie jest nosić gorset? I halkę? I takie straszne, długie reformy czy jak to nazwać?

I spódnice? Och, to jest doprawdy okropne. I ona też jest okropna, ta panna Lawinia Ash. Te jej zęby! Słowo daję, bycie blisko niej to prawdziwy koszmar.

Na szczęście w swoim czasie świetnie sobie radziłem na parkiecie. Ta kobieta zna nowsze kroki, więc wypadam znakomicie. Ale nie będę udawał, że nie obawiam się komplikacji. Kuzyn, ten Godly-Smythe, jeśli dalej będzie się wtrącał, może stać się solą w oku. A jeśli panna Meg Smiles okaże się jeszcze bardziej nieobliczalna niż do tej pory i zanadto przyspieszy bieg wypadków... ech.

Przynajmniej wrócę dzisiaj na noc do wygodnego łóżka... pierwszy raz od dawna

znajdę się w swoim łóżku. Tę pannę mam z głowy, bo słodko śpi. Obudzę ją jutro rano. Na dzisiejszy wieczór dom jest znowu mój, z przyjemnością wyśpię się na twardym pościeliu w mojej tralce, z której widzę wejście do domu.

Lubicie rzeźbione łóżka? Nie mieliście okazji w takim spać? Głowa do góry, jeszcze kiedyś wam się to uda. Trochę kłopotów może sprawić dostanie się do tralki... trzeba poznać właściwą formułę, odpowiednio się skurczyć i tak dalej, ale warto zdobyć się na ten wysiłek.

Scandalous

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Jean-Marc zamknął za sobą drzwi gabinetu i oparł się o nie plecami.

- Do diabła, Verbeux, ten dom przypomina bazar... albo przytułek dla szaleńców.
- Dużo do zrobienia. Mało czasu.
- To prawda. - Ale wcale nie musiał z tego powodu polubić hałasu, zamieszania ani ciągłych pytań.
- Na szczęście jest panna Meg i panna Sibyl... nawet panna Ash.
- Verbeux zadrżał. - Lepiej na nią nie patrzeć ani jej nie słuchać.
- Meg daje sobie z nią radę... Meg Smiles daje sobie z nią radę.
- Jean-Marc uznał, że może już bezpiecznie odejść od drzwi i usiąść za biurkiem. - Natomiast Sibyl Smiles jest o wiele za delikatna, by móc stawić czoło takiej przytłaczającej arogancji. Nie żałuję, że przyjąłem Ash, ale przyznaję, że dawno już nie miałem tak długich dwóch tygodni w życiu. - Nie tylko z powodu nauczycielki tańca, pomyślał. Ilekroć wychodził z domu lub do niego wracał, natykał się na Meg. Był pragmatykiem. Przypuszczał, że podnieca go w niej przede wszystkim świadomość sięgania po zakazany owoc.

Musiał zachować dystans i unikać kontaktów z Meg, chyba że akurat było potrzebne jego zdanie lub decyzja w jakiejś sprawie.

- Artystom trzeba poświęcać zbyt wiele uwagi - powiedział Verbeux, stając po prawicy Jean-Marca. - Muzycy. Tancerze. Architekci. Pisarze. Malarze. Aktorzy. Trudni ludzie. Wymagający.
- Ale za to barwni. Dostarczają nam rozrywki, aczkolwiek prawdę mówiąc, wolałbym być nieco mniej niepokojony we własnym domu. Mam nadzieję, że przynajmniej część kreacji mojej siostry będziemy mogli wkrótce obejrzeć. I kreacji Meg Smiles też.

Verbeux wyduł wargi i mruknął coś pod nosem. Potem niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

- Verbeux?
- Tak, proszę pana.
- Zobaczymy suknie księżniczki Desiree i suknie Meg Smiles?
- Suknie księżniczki.
- Nie dopilnowałaś uszycia garderoby dla panny Smiles?
- Próbowałam. Do diabła!
- Dlaczego muszę wszystko robić sam? Dlaczego zatrudniając ludzi, którzy powinni dbać o to, żebym nie musiał sobie zawracać głowy błahostkami, wyrzucam pieniądze w błoto? - Wstał i ze złością cisnął na blat pióro, które trzymał w ręce. - Chodź za mną, Verbeux. Zobaczysz, jak załatwia się takie sprawy.

Trochę złości wyładował, robiąc przeraźliwy hałas. Właśnie wrócił z konnej przejażdżki i jeszcze nie zdążył się przebrać. Nic zaś nie mogło się równać złowrogim brzmieniem z odgłosem ciężkich butów stukających o podłogę..

Służące chyżo usuwały mu się z drogi.

Verbeux szedł po schodach tuż za nim. Niech go piorun, wydawał się rozbawiony.

Jean-Marc otworzył na oścież drzwi do skrzydła księżniczki i zawołał:

- Chcę z tobą porozmawiać, Desiree! I z panną Meg Smiles! Łaskawie przygotujcie się na odwiedzinę! - Tak, taka demonstracja siły mogła trochę uspokoić zszarpane nerwy mężczyzny. Na wszelki wypadek Jean-Marc przystanął, żeby nie wpaść w gromadę mniej lub bardziej rozebranych kobiet. - Hej, damy, słyszycie mnie?

Desiree wyszła z sypialni na korytarz. Odziana w jakąś paskudną białą nocną koszulę stanęła przed nim wsparta pod biodra.

- Kto by cię nie słyszał, Jean-Marc? Krzyczysz dostatecznie głośno. Bez wątplenia nawet papa cię słyszy, a oboje wiemy, gdzie on jest.
- Dość tego, młoda damo. - Desiree była od urodzenia czupurna i niewychowana.
- Kosztujesz mnie wiele wysiłku, więc nie będę tolerował twojej niestychanej zuchwałości.
- Nie musisz niczego tolerować. To ty tutaj wtargnęłaś. Wcale cię nie zaprosiłam.

I to ty krzyczysz bez najmniejszego powodu. Nie jest to przejaw dobrego wychowania, prawda? Och, nie mam siły się z tobą handryczyć. Dlaczego zachowujesz się jak... Powiedz, Jean-Marc, co się stało.

Dałby wiele, by dowiedzieć się, do czego zamierzała porównać go księżniczka, ale przecież nie mógł się do tego przyznać.

- Chcę się widzieć z panną Smiles. Ciebie włączyłem do tego, bo akurat jesteś na miejscu. Spodziewam się, że ona też tu jest.

Wachlując się, jakby nagle owionęło ją nieznośne gorąco, Desiree odpowiedziała:

- Pochlebiasz mi, Jean-Marc. To dla mnie zaszczyt, że zostałam włączona. - Przyłożyła palec do warg i obejrzała się za siebie. Szepnęła: - Meg jest niezwykła. Może nawet tajemnicza. Uduchowiona. Z pewnością nie przypomina nikogo znanego mi wcześniej, za to cudownie mi pomaga i pilnuje, żebym nie bała się tego, co mnie czeka. Jest jednak nieśmiała. Wiem, że trudno to zauważyć, ale tak jest. Proszę cię więc, nie krzycz na nią więcej.

Próbował ocenić, ile było w tych słowach szczerości, a ile gry. Wyglądało na to, że Desiree rzeczywiście mówi to, co myśli, dlaczego jednak miała by liczyć się z uczuciami służby?

- Dziękuję ci za tę głęboką analizę - powiedział i przeszedł obok niej. - Wszyscy niech wrócą do swoich zajęć, proszę. Nie ma czasu do stracenia. Panno Smiles! Panno Meg Smiles! Proszę się natychmiast pokazać.

- Milordzie - powiedział bardzo cicho Verbeux. - Może ona jednak naprawdę jest nieśmiała. Chyba nie chce jej pan śmiertelnie przestraszyć.

Meg pojawiła się na korytarzu.

- Dzień dobry, milordzie - powiedziała. Była blada i... tak, wyglądała na wstrząśniętą.

- Dzień dobry - odrzekł. - Czy zgadza się panna ze mną, że każda chwila jest droga?

Wbiła wzrok w podłogę.

- Spędzamy czas bardzo pracowicie.

- I ignorujecie moje zalecenia? - Meg spojrzała mu w oczy. - Co masz, milordzie,

na myśli? Przez dwa tygodnie zrobiliśmy znaczne postępy. Powiedział pan, że jeśli nie jest to konieczne, szczegóły pana nie interesują.

To prawda, pomyślał Jean-Marc. Zrobił to jednak przede wszystkim dlatego, żeby oddalić od siebie pokusy.

A jednak panna Smiles go pociągała. Wszystko jedno, czy miało to coś wspólnego z zakazanym owocem. Wiedział, że znów musi się z nią znaleźć sam na sam.

Tymczasem zobaczył w jej oczach łzy. Och, do diabła! Dlaczego ona musi płakać akurat wtedy, kiedy powinien być stanowczy?

- Łaskawie zechciej panna porozmawiać ze mną bez okazywania nadmiernych emocji.

Meg westchnęła, po czym rozejrzała się za chusteczką. Desiree podała jej swoją, a potem stanęła przed bratem.

- Sam widzisz, do czego doprowadziłeś. Przez twoją obcesowość panna Smiles płacze.

- Nie, nie - zaprotestowała Meg, patrząc na tę scenę jak przez mgłę. - Wcale nie płaczę. - Księżniczka była bez wątpienia rozgniewana.

- Cieszę się - rzucił sucho Jean-Marc. - Proszę mi wobec tego odpowiedzieć na pytanie. Czy powiedziano panie, że ma sobie sprawić nową garderobę, żeby mogła wypełniać swoje obowiązki przy księżniczce?

- Tak. Naturalnie odmówiłam.

- Panna odmówiła? A skąd przyszło panie do głowy, że z jej pozycją wolno czegokolwiek odmawiać?

Meg przytknęła chustkę do ust. Osiągnięcie wyższego stanu świadomości było niezbędne. Natychmiast! Jeśli miała przeżyć to straszne doświadczenie, musiała odzyskać równowagę. Skłoniła głowę, zamknęła oczy i zaczęła regulować oddech.

- Odpowiedz panna!

Co za koszmar, pomyślała Meg. Czuła się prawie tak jak wtedy, gdy zobaczyła konie pędzące prosto na nią.

- To olbrzymi wydatek - powiedziała cicho. - Jestem tu tylko panną do towarzystwa, więc obciążanie cię, milordzie, taką sumą jest nie do pomyślenia.

Jean-Marc potarł policzek, starając się zachować spokój.

- Martwienie się o moje finanse nie należy do ciebie. Będzie panna miała nową garderobę i na tym koniec rozmowy.
- Nie ma mowy - odparła z nadzieją, że głos jej nie drży.
- Ma panna towarzyszyć księżniczce w największych wydarzeniach towarzyskich londyńskiego sezonu. Czy wyobrażasz sobie, że pozwolę ci tam iść... gdy na szali jest reputacja Mont Nuages... że pozwolę ci tam iść w jakichś tanich szmatkach?

Desiree wydała okrzyk zgrozy.

Zapadła śmiertelna cisza. Modniarka i jej pomocnice, które zdążyły już wylec na korytarz, znikły w jednej chwili.

Meg miała wrażenie, że całe ciało jej płonie. Ugięły się pod nią kolana. Mimo to uważnie przyjrzała się Jean-Marcowi, jego gniewnym oczom i zaciśniętym ustom. On wcale nie był zły na nią, lecz na siebie. Irytowało go w najwyższym stopniu, że ją widzi, i przypomina mu to intymną sytuację, w jakiej się znaleźli. Tak, z pewnością chodziło właśnie o to. Ojciec nieraz jej mówił, że ma dar właściwej oceny ludzi. Hrabia nie był okrutnym człowiekiem, nie na tyle okrutnym, by w normalnym stanie ducha zachowywać się w taki sposób wobec kogoś stojącego o wiele niżej niż on.

Jean-Marc był wściekły na siebie, że tak postąpił. Skąd u niego takie maniery? Dlaczego krzyczy na kobietę, która nie zrobiła mu nic złego? Dlaczego w ogóle krzyczy na kobietę? Co go opętało?

- Nie będę pana krępować - odparła. - Muszę kupić sobie nowe pantofelki i półbuciki. Jeśli się postaram, reszta mojej garderoby na pewno nie będzie zwracała uwagi... z pewnością nie wyda się niestosowna. Moje stroje nie są tanie, lecz niedrogie. I na pewno nie są szmalami. Poza tym jestem tylko panną do towarzystwa. Nikt nie będzie mi się przyglądał.

Nie dość, że nie zrobiła mu krzywdy, to jeszcze była uroczą istotą. Życliwą i pełną ciepła.

- Proszę, aby panna poszła ze mną - powiedział.

Nie czekając na odpowiedź, opuścił pokoje Desiree i udał się do pokoju muzycznego, gdzie panna Sibyl Smiles zazwyczaj miała lekcję z księżniczką.

Słumione dźwięki pianina dobiegały go jednak z małej sali balowej. Bez wątplenia trwały przygotowania do lekcji tańca.

Verbeux wiedział, kiedy należy zniknąć, a ponieważ Jean-Marc nie słyszał za plecami jego kroków, uznał, że służący zajął się swoimi sprawami.

Pokój muzyczny miał wystrój, w którym dominowały kolory czerwony i złoty. Sufit zdobiły kunsztowne sztukaterie przedstawiające różne instrumenty i tłuste aniołki pochłonięte niebiańskimi zabawami. Jego ojciec nie szczędził pieniędzy, przygotowując dom dla swego naturalnego syna... i Desiree. Ale to o niego chodziło, właśnie on miał zostać nakłoniony do przyjęcia roli następcy tronu.

Z okien w pokoju muzycznym ciągnął się widok na ogród za domem. Jean-Marc zapatrzył się w zieleni i zaczął przygotowywać duchowo na dalszy ciąg rozmowy. Usłyszał za plecami ciche kroki.

- Zamknij drzwi, proszę - powiedział i odwrócił się.

Panna Smiles posłusznie wykonała polecenie. Gdyby był jej bratem lub ojcem, ostrzegłby ją, że nieroztropne jest okazywanie zaufania mężczyźnie, a już na pewno takiemu, który wcześniej nastawał na jej dobre imię. Na szczęście jednak nie był ani jednym, ani drugim.

- Słyszę, jak gra panny siostra. Jest bardzo utalentowana i ma mnóstwo wdzięku.

- Tak - przyznała Meg i uśmiechnęła się. Musiała bardzo kochać siostrę.

- Czy panna też gra na fortepianie?

- Słabo.

- Wątpię, czy to prawda. A co z Desiree? Czy bardzo razi nieudolnością? Czy jest jakieś pole, na którym objawia choć trochę zdolności i wdzięku?

- Księżniczka objawia różne zdolności i ma wiele wdzięku. Wystarczy tylko traktować ją z odpowiednią dozą życzliwości. Co do mnie, zawsze będę się cieszyć, że mogłam chociaż krótko uczestniczyć w jej życiu.

Ta istota potrafiła go rozbroić jak nikt inny. Dlaczego nie odplaciła mu pięknym za nadobne? Dlaczego nie dała mu szansy, by poczuł się mniej podły?

- Sibyl uważa księżniczkę za bardzo utalentowaną adeptkę gry na fortepianie. Odkąd tu przychodzi, wiele razy mi powtarzała, że jej nowa uczennica jest wręcz

błyskotliwa i pomaganie jej stanowi prawdziwą przyjemność. Poza tym księżniczka ma czysty i bardzo ciepły sopran. Brakuje jej swobody, gdy śpiewa, ale to dlatego, że nie jest przyzwyczajona do występowania przed innymi. Czy tak?

- Prawdę mówiąc... nigdy nie słyszałem, żeby śpiewała albo na czymś grała. Ale to bardzo dobra wiadomość. Urządzimy u nas wieczorek muzyczny i postaram się, aby goście zaczęli domagać się jej występu. Panna Sibyl również powinna coś zagrać. Odnoszę wrażenie, że Desiree czerpie od was obu wielką siłę. Jeszcze nigdy nie widziałem, żeby tak życzliwie się do kogoś odnosiła.

- Może nie miała ku temu okazji. Jej Wysokość jest niezwykle rozumna, milordzie. Muszę przyznać, że zawstydzą mnie rozległością swojej wiedzy. Z pewnością znajdzie wybitnego męża, a pan będzie z niej dumny. Zaufaj mi, milordzie, po prostu mi zaufaj.

- Panna dodaje mi otuchy? - Wyciągnął do niej rękę. Nie zareagowała, więc ujął jej dłoń i zaprowadził Meg do wygodnej kanapy, która stała niedaleko kominka i była ustawiona tak, by słuchacze mogli jednocześnie wygodnie słuchać i patrzeć na klawiaturę. - Usiądź i odpocznij. Pracujesz stanowczo za ciężko, zabraknie ci sił. Bądź co bądź, nie jesteś szczególnie krzepka.

Usiadła na krawędzi eleganckiego, czerwono-złotego mebla. Zwrócił uwagę, że jej palec machinalnie obrysował złoty wzór.

- Nie, nie tak - zaprotestował. - Pomogę ci. - Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, szybko ujął ją pod kolana i obrócił na kanapie tak, że poczuła za plecami i pod głową miękkie poduchy. Nie odprężyła się jednak ani trochę.

- Naprawdę powinnam wrócić do Jej Wysokości. Poczyniliśmy duże postępy w przygotowaniu garderoby, ale muszę być nieustannie czujna.

- Dziękuję ci za tę czujność. Teraz jednak mamy do omówienia inne tematy. Większość z nich będzie dość kłopotliwa... prawdopodobnie dla nas obojga. Podziwiam zdecydowanie, z jakim panna obstaje przy swoim w kwestii garderoby. Większość kobiet nie posiadałaby się z zachwytem, mając przed sobą perspektywę otrzymania nowych strojów.

- Marnotrawstwo mnie krępuje. Jestem przekonana, że zaproponował mi to pan z serca, ale dam sobie radę sama.

- Jutro pojedzie panna powozem do miasta i kupi sobie buciki. Mam otwarty

rachunek w stosownym salonie.

- Proszę mi zapłacić, milordzie - powiedziała, skubiąc zieloną spódnicę - wtedy sama kupię to, co potrzeba.

- Nie powinna panna wydawać zarobionych pieniędzy na buciki - orzekł. - A dla mnie buciki panny są koniecznością. Proszę, pozwól, że ci je kupię. - Bardzo pragnął coś jej podarować, potrzebował tego. Gdyby tylko się zgodziła, obsypałby ją prezentami.

Meg zaczęła oddychać wolniej, poczuła, jak powieki same jej opadają. Bez trudu osiągnany spokój stanowił niebłahy dar. Tymczasem jednak hrabia czekał na odpowiedź, a ona doszła do wniosku, że czasem warto poddać się czyjejś woli.

- Jeśli nalegasz, milordzie, to wyrażam zgodę.

- Dobrze, wobec tego jesteście umówieni. Dziękuję. Poczynię niezbędne przygotowania. Jesteś niezwykła. Masz łzy w oczach, lecz mimo to trwasz przy swoim. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, Meg.

Poczuła dziwne ukłucie w sercu. Ostatnio zdarzało jej się to niepokojąco często.

- Za twoją sprawą zacząłem się nad sobą zastanawiać, a to czasem bywa przykre - powiedział. - Nie miałem prawa odzywać się do ciebie takim tonem jak przed chwilą.

Była przekonana, że gdyby mu tak łatwo wybaczyła, popełniłaby wielki błąd.

- Jesteś odważna - ciągnął. Wcale jej się tak nie zdawało.

- I piękna, ale to już wiesz. - Z każdym słowem był coraz bliżej poważnych kłopotów.

Meg parsknęła śmiechem.

- Słodkie słówka, milordzie. Nie będę się z panem sprzeczać, bo z moją pozycją doprawdy nie wypada, ale jestem... Nic więcej nie powiem.

- Umówiliśmy się, że prywatnie będę do ciebie mówił Meg, a ty do mnie Jean-Marc.

Położyła łokieć na poręczy kanapy i podparła głowę.

- I jak z tym będzie? Czy wybaczysz mi i wypowiesz moje imię? Błady uśmieszek

Meg nie uszedł jego uwagi.

- W pewnych sytuacjach jesteś zręcznym i doświadczonym graczem, milordzie, a ja nie mam twojej wprawy. Wiele może mi brakować, ale na pewno jestem stała w uczuciach. Zawsze taka sama. Nie damę czegoś po to, by zaraz odebrać. Bałabym się wprawić kogoś w zakłopotanie... zwłaszcza gdyby był to dla mnie ktoś szczególny.

- Czy to możliwe, żebym był dla ciebie kimś szczególnym? Meg zmarszczyła czoło, ale na niego nie spojrzała.

- Nie powinien pan zadawać mi takich pytań. Moja reputacja jest dla mnie ważna. Wątpię, czy kiedykolwiek będę miała zalotników i wyjdę za mąż, ale mimo to chcę się cieszyć dobrą opinią. Dla takiego mężczyzny jak ty, milordzie, nic nieznaczące flirty z nic nieznaczącymi kobietami są chlebem powszednim. Dostarczają rozrywki, są przelotnym urozmaiceniem życia i naturalnie niczemu nie szkodzą.

Miała rację. Nawet nie mógł jej zapewnić, że ich związek byłby inny.

- Jeżeli znajdę sposób, żeby twoja reputacja nie ucierpiała, to czy zgodzisz się spędzać ze mną więcej czasu?

Och, jak ją kusił. Poznała go również od drugiej strony i nie zamierzała ponownie ulec takiej niemoralnej pokusie.

- Myślę, że byłoby lepiej, gdybyśmy unikali sytuacji sam na sam.

- Teraz jesteśmy sam na sam i nikt nam nie przeszkodzi. - Popłoch, jaki odmalował się na jej twarzy, rozbudził w nim złość. - Spokojnie. Wszyscy myślą, że udzielam ci reprimendy.

- Nie powinieneś... ech, mniejsza o to.

- Przecież przyznałem, że zachowałem się niewłaściwie. Nie oczekuję, że natychmiast o tym zapomnisz, ale czy mogę mieć nadzieję, że kiedyś mi wybaczysz?

Utkwiła spojrzenie w jego twarzy. Odcień jej oczu wciąż się zmieniał.

- Już ci wybaczyłam, milordzie - powiedziała cicho. - Jak mogłabym inaczej.

- Czy to znaczy, że wciąż trochę mnie lubisz?

- Jest pan bezwstydnym. Bezwzględnie dąży do celu, który sobie wytknął.
- Masz rację. Pragnę cię. - Bardziej otwarcie nie mógł tego powiedzieć. - Masz też rację, gdy mówisz, że nie możesz spodziewać się po mnie trwałego związku, na jaki zasługujesz. Poszukajmy wobec tego takiej możliwości, żebyśmy mogli wzajemnie ofiarować sobie pokrzepienie.

W oczach Meg wyraźnie zabłysła nadzieja. Cóż, ta panna naprawdę nie miała pojęcia, jak bezwzględnie postępują mężczyźni z wyższych klas, przyzwyczajeni do tego, że to oni rozkazują. Naturalnie gdyby sprzeciwił się ojcu i postanowił żyć po swojemu, mógłby sam wybrać żonę i nikogo by to nie obchodziło.

Meg Smiles nie pasowała do życia, jakie wiódł w tej chwili. Nie jako żona.

- Czy ten pomysł ci się podoba, Meg? Będziesz moją powiernicą, osobą, do której mogę się zwrócić, pewien, że nigdy mnie nie zdradzi?
- Nigdy cię nie zdradzę, milordzie - powiedziała, nagle usiadła i pochyliła się ku niemu. - Nigdy!

Pomyślał, że jeśli nie obejmie jej i nie pocałuje, ten dzień będzie dla niego stracony.

- Dziękuję ci. - Ukląkł przed nią i wtedy ich twarze znalazły się o centymetry od siebie. - Jesteś dla mnie prawdziwym darem. Niezwykłym darem. Jakie było prawdopodobieństwo, że kiedykolwiek się spotkamy?
- To było nieuniknione - odparła. Wiedziała, że Jean-Marc tego nie zrozumie, ale musiała podzielić się z nim swoim przekonaniem. - Już samo to, że mamy tak różne pochodzenie i nie powinniśmy się spotkać, a jednak się spotkaliśmy, dowodzi tego, że tak miało być. Teraz jednak muszę wrócić do Jej Wysokości.

Jean-Marc zamknął oczy i oparł czoło na jej ramieniu.

- Proszę, nie zostawiaj mnie, Meg. Pociesz mnie. Chcę poczuć, jak mnie dotykasz.

Powinna taktownie odmówić. Nie był to odpowiedni czas ani miejsce na takie zachowanie.

- Meg, potrzebuję cię. Proszę, nie odmawiaj mi tej drobnostki. Na policzku poczuła dotyk jego kręconych włosów, a na szyi ciepło

warg. Wsunęła mu palce we włosy i przytuliła do nich twarz. Ciemne kosmyki

spadały mu na kołnierz. Dłoń Jean-Marca oparta na jej biodrze była śniada i mocna. Meg dokładnie widziała jej budowę. Dalej był przegub, a spod mankietu koszuli wysuwała się jeszcze część przedramienia świadcząca o sile tego mężczyzny.

Meg nieśmiało ujęła dłoń Jean-Marca i przycisnęła ją sobie do ust. W odpowiedzi zaczął okrywać jej szyję i ramię czułymi pocałunkami.

- Chciałbym się tobą zaopiekować - szepnął z ustami tuż przy jej policzku. Potem językiem zaczął delikatnie pieścić jej wargi. Meg odpowiedziała tym samym. Jean-Marc westchnął. - Nie powinnaś już nigdy martwić się o swoje jutro - dodał. - I Sibyl też nie. Chcę, żebyście obie czuły się bezpiecznie.

Meg w tej chwili myślała wyłącznie o wrażeniach, jakie budzi w niej dotyk Jean-Marca.

- Meg, obiecaj mi, że zgodzisz się na coś bardziej trwałego między nami. Naturalnie po debiucie Desiree.

Pieszczotliwie objął dłońmi jej piersi prężące się pod cienką suknią. Meg wiedziała, że to jej nie wystarcza, że pragnie więcej. Co gorsza, czuła się absolutnie bezradna wobec tej potrzeby, która dawała o sobie znać coraz gwałtowniej. Pragnęła znowu doznać tej niezwykłej więzi, która już raz ich połączyła.

- Nie pozwolę ci odejść, Meg. Nigdy. Postaram się, żebyś pragnęła innie tak bardzo, jak ja pragnę ciebie. Już czas, żebyś zaznała wszystkiego, co najlepsze.

Nie pozwoli jej odejść?

- Co chcesz mi powiedzieć, Jean-Marc?

Znów żarliwie ją pocałował.

- Mówię jasno, moja droga. Nie umiem ci się oprzeć, więc nie będę się opierał. Widzę, że i z tobą jest podobnie. To prawda, że znamy się niedługo, ale osobiście wierzę w zauroczenie od pierwszego spojrzenia. Między nami właśnie tak się stało.

Meg zdrętwiała. Była głupia, otumanili ją zaloty mężczyzny, którego nie potrafiła wybić sobie z głowy. Wprawdzie nie miała wielkiego doświadczenia w takich sprawach, rozumiała jednak dobrze, że propozycja Jean-Marca nie jest uczciwa. Chciał, żeby wyrzekła się całej swojej wiary w świętość i wyłączność związku między mężczyzną a kobietą.

Jean-Marc zorientował się, kiedy Meg pojęła istotę jego propozycji. Nie mógł nie zauważyć też jej reakcji. Fatalnie rozegrał swoje karty, o wiele za szybko i bez przygotowania. Nie dowiedział się o tej pannie prawie niczego. A ona, owszem, była namiętna, ale miała też silny charakter.

Uniósł jej głowę i z uśmiechem spojrzał jej w oczy.

- Zgorszyłem cię.
- Przez ciebie, milordzie, zawiodłam się na sobie. - Wygładziła suknię i poprawiła fryzurę.
- Jesteś urzekająca, Meg. Patrzenie na ciebie to prawdziwa uczta. Kiedy się poznaliśmy, zobaczyłem skromną pannę, która odważyła się zwrócić do mężczyzny. Ale tak było, zanim dotknąłem twojego ciała. Zanim dotknąłem ciebie, Meg. I zanim ci się naprawdę przyjrzałem. Takich włosów jak twoje nigdy nie widziałem. A oczy? No właśnie, oczy. Okalają je najczarniejsze rzęsy na świecie. Nie jestem poetą, ale ty budzisz we mnie poetę. Ten kolor twoich warg i policzków... Nieodparty, moja najdroższa. Widzę, że mnie zaraz odepchniesz, ale to na nic. Sama powiedziałaś, że niektóre wydarzenia w życiu człowieka są nieuniknione. I my jesteśmy sobie pisani.

Chciała, żeby zamilkł. Drżącymi palcami poprawiła szpilki we włosach, jakich Jean-Marc nigdy nie widział, i znów wygładziła suknię. W sakiewce, którą nosiła przy pasku sukni, miała różne przybory, które mogły okazać się przydatne, gdy pomagała modniarkom w pracy nad garderobą księżniczki. Miała tam również zapasowe szpilki do włosów i sole trzeźwiące, które przydawały jej się czasem, gdy nie miała czasu skorzystać z dobrodziejstw abstrakcyjnego myślenia. Właśnie teraz poczuła, że jest na nie odpowiednia chwila.

- Jeśli tak sobie życzysz, nie będę teraz nalegał. Chciałbym, żebyś zjadła dziś ze mną kolację. Nikt nie powie złego słowa na to, że chcemy porozmawiać o postępkach Desiree i tych wszystkich wydarzeniach towarzyskich, które nas czekają. Musimy się pospieszyć, bo niedługo będzie za późno, żeby wysłać zaproszenia na nasz wieczorek muzyczny.

Meg umierała ze wstydu. Zrobiła na hrabim takie wrażenie, że uznał ją za kobietę pozbawioną zasad. Jak mogło jej się zdawać, że się w nim zakochała?

Była pewna, że zaraz przestanie jej bić serce. Naturalnie nigdy nie było mowy o miłości między nimi. Pozwoliła się zwieść uczuciom zadurzonej panienki, która

spotkała pierwszy obiekt westchnień.

- Zjemy dzisiaj razem kolację, Meg.

W wyrazie jego twarzy nie było nic łagodnego. Spoglądał na nią posepnie, a w miejscu, gdzie wyraźnie rysowały mu się kości policzkowe, śniada skóra była nieco jaśniejsza. Sprawiał wrażenie bardzo spiętego. Meg nie tylko to widziała, lecz również czuła. Zarazem jednak Jean-Marc nawet w najtrudniejszych chwilach nie przestawał być niezwykle przystojny. Chyba żadna kobieta nie mogłaby udawać, że jest całkiem obojętna na jego urodę.

- Każę podać posiłek w moich pokojach. Nikt nam tam nie przeszkodzi.

- Rzecz jasna, nie mogę się zgodzić - odparła i zacisnęła dłoń na flakoniku z solami. - Doskonale pan wie, że w pańskim domu zaszumiałoby od plotek. Te plotki szybko dotarłyby pod numer siódmy. Nawet gdybym miała za nic swoją reputację, to nie mogłabym sprawić takiego wstydu Sibyl. Dziękuję za zaproszenie. Jestem pewna, że zdołamy załatwić wszystkie ważne sprawy bez tej kolacji. A teraz powinniśmy już się rozstać, przy czym sądzę, że będzie rozsądnie, jeśli nie opuścimy tego pokoju razem.

Jean-Marc wstał. Nie znajdował argumentów wobec tak żelaznej logiki. Prostolinijność Meg Smiles była doprawdy godna najwyższego podziwu. Mimo to był zdecydowany postawić na swoim. W końcu Meg ugnie się przed jego wolą. Zbyt wiele walk stoczył z zahartowanymi w bojach mężczyznami, gdy na szali znajdowały się sprawy wagi państwowej. Córka wiejskiego pastora nie była dla niego godnym przeciwnikiem.

Mina Jean-Marca była coraz bardziej zacięta. Meg pomyślała, że chyba nie uda jej się uniknąć omdlenia. Któż mógłby ją za to winić?

Zaczęła wydobywać sole z sakiewki i nagle poczuła, że coś ostrego przecina jej skórę u nasady kciuka i wbija się w rękę przy przegubie dłoni. Na palcach poczuła ciepłą, lepłą ciecz. Starając się nie zwracać na siebie uwagi, włożyła do sakiewki drugą rękę, znalazła chusteczkę, którą dała jej księżniczka, i zacisnęła ją z całej siły w zranioną rękę.

Wstała i dygnęła. W kciuku i całej dłoni boleśnie czuła pulsowanie krwi. Zrobiło jej się słabo.

- Desiree ma wkrótce lekcję tańca z panną Ash. Chętnie porozmawiam z panem

w sali balowej podczas tej lekcji. Desiree będzie zachwycona, że poświęcił pan czas na przyjrzenie się jej postępom. Muszę tam iść. Niezwłocznie. - Była pewna, że jeśli nie wyjdzie, Jean-Marc zauważy, że coś złego się z nią dzieje.

Hrabia chwycił ją za ramię, a gdy próbowała się oswobodzić, ujrzał jej zranioną rękę.

- Mój Boże! Coś ty sobie zrobiła? Cała chusteczka była nasiąknięta krwią.
- Muszę iść - powtórzyła Meg.

Jean-Marc uniósł jej ramię, nie zwracając uwagi na strużkę krwi, która z przedramienia ściekała wprost na dywan. Zacisnął dłoń na przegubie Meg i podszedł razem z nią do dzwonka przy marmurowym kominku. Kilka razy energicznie pociągnął za czerwony sznur.

Potem wyciągnął koszulę ze spodni i oderwał kawał płótna. Ostrożnie ujął jej zranioną rękę i wyjął z dłoni chusteczkę, która częściowo przylgnęła do rany.

Meg ze zgrozą spojrzała na długą, cienką ranę, ciągnącą się od czubka kciuka przez dwa stawy aż po zewnętrzną stronę przegubu.

Hrabia owinął skaleczenie płótnem i zacisnął palce na ręce z taką siłą, że Meg omal nie krzyknęła.

- Zobaczmy teraz, jaką broń nosisz przy sobie - powiedział, szeroko otwierając sakiewkę.
- Nie noszę broni - szepnęła.

Popatrzył na nią surowo, odrobinę za głośno zaklął, po czym posadził ją na stołku.

- Pochyl głowę, bo inaczej zemdlejesz - polecił i na wszelki wypadek położył jej dłoń na karku. - Zostań w tej pozycji.

Znów zajął się jej sakiewką. Gdy wydał okrzyk, podniosła głowę, ale Jean-Marc szybko z powrotem położył jej dłoń na karku.

Uniósł drugą rękę, w której trzymał otwartą brzytwę z kościaną rączką. Ostrożnie sprawdził palcem krawędź i przekonał się, że jest świeżo naostrzona. Broń desperata.

- Chcesz mi powiedzieć, że ta brzytwa nie jest twoja?

Meg podniosła głowę. Jean-Marc pokazał jej groźnie wyglądające narzędzie. Na ręczce miało ślady krwi... jej krwi.

- Meg?
- Nie jest moja, rzecz jasna. Nie mam pojęcia, jak znalazła się w mojej sakiewce. Noszę nożyczki na wypadek gdybym musiała coś uciąć. Ale tego czegoś nigdy nie widziałam.
- Gdzie, u diabła, jest Rench?
- Nie chcę żadnego zamieszania - powiedziała, wstając. - Proszę. Niczego takiego, co zwróciłoby na mnie uwagę.

Ta reakcja bardzo go zdziwiła.

- Dlaczego? Zamierzam tylko dopilnować, żeby ranę oczyszczono i zabandażowano i żeby ustało krwawienie. .
 - Sama się tym zajmę. - Nogi jednak odmówiły jej posłuszeństwa i musiała usiąść na stołku. - Błagam, milordzie, proszę nie wzbudzać żadnych podejrzeń wśród służby.
 - Dziwnie brzmi to, co mówisz - stwierdził, jeszcze raz przyglądając się jej ręce. - Podejrzeń? Jakby ktoś próbował dokonać przestępstwa?
 - Nie!
 - Z pewnością to właśnie miałaś na myśli. Czy to ty otworzyłaś tę brzytwę i włożyłaś sobie do sakiewki?
 - Ja... nie.
 - Czy kiedykolwiek miałaś brzytwę?
 - Nie. - Ledwie słyszała swoje odpowiedzi.
 - Czy kiedyś używałaś brzytwy?
 - Nigdy.
- Nabrał powietrza do płuc.
- Czy kiedykolwiek widziałaś tę brzytwę?

- Nie.
- Naturalnie. To znaczy, że ktoś specjalnie ukrył tę brzytwę tak, by była duża szansa, iż się zranisz. Czy to wydaje ci się możliwe?
- Dziękuję za bandaż. Potem naprawię pańską koszulę, milordzie, nawet nie będzie śladu rozdarcia.

Puścił jej ramię i ujął w dłonie jej twarz.

- Meg, to, co stało się tobie, stało się również mnie. Może nie był to zamach na twoje życie, ale ktoś chciał cię poważnie zranić. Kto twoim zdaniem mógł tego chcieć?
- Nie wiem. - Była śmiertelnie zmęczona.
- Tak czy owak zrobiliśmy postęp, bo rozumiesz już, że to nie był zwykły wypadek, prawda?

Najbardziej ze wszystkiego obawiała się dociekań, które mogły nastąpić.

- Masz rację, milordzie. Ktoś musiał tam włożyć tę brzytwę. Nie wiem kto ani dlaczego, ale to mnie przeraża.
- Nie masz powodu być dłużej przerażona. Jestem z tobą. Nic złego już ci się nie stanie, kochanie.

Odwróciła głowę.

- Nie pozwolę ci się zniechęcić - powiedział. - Zwykłem dostawać to, czego chcę, a teraz chcę ciebie. Nieważne, jeśli jeszcze nie jesteś na to gotowa. Dam ci tyle czasu do namysłu, ile będziesz potrzebować. Tymczasem zamierzam dowiedzieć się, kto włożył brzytwę, i zająć się sprawcą.

Drzwi otworzyły się bez ostrzeżenia i do pokoju wpadł Verbeux ze słabo ukrywanym wyrazem zniecierpliwienia na twarzy.

- Tak? - spytał, zatraskując za sobą drzwi.

Niestosowne zachowanie służącego należało ukrócić, ale to było zadanie na dużo później.

- Dlaczego nie przyszedł Rench?

- Bo pan go przestraszył. Przestraszył pan wszystkich w tym domu. Wściekłością. Przeklinaniem. Rench posłał po mnie. Niech pan nie ma mu tego za złe.
- Dobrze. Bardzo dobrze. Masz doświadczenie w opatrywaniu rannych w bitwie. Pannę Smiles zaatakował jakiś szaleniec, który prawdopodobnie chciał poważnie ją zranić. Na szczęście próba się nie powiodła. Owszem, jest skaleczenie, ale nie zagrażające życiu. Przynieś, proszę, wody.

Meg znalazła dość siły, by wstać, zdecydowanym ruchem owinąć sobie rękę i ruszyć do drzwi.

- Doceniam twoją troskę, milordzie, ale nie jest ona konieczna. Sama oczyszczę sobie to skaleczenie, a potem dołączę do wszystkich w sali balowej. Proszę nie myśleć o tym więcej. To musiał być wypadek. Na pewno znajdzie się racjonalne wyjaśnienie tego zdarzenia, wspomni pan moje słowa.
- Sami znajdziemy przyczynę - odparł. - A panna ma dzisiaj odpocząć.

Z korytarza dobiegły ich jakieś głosy i szuranie. Chwilę potem drzwi gwałtownie się otworzyły i do pokoju wpadła księżniczka. Panna Ash z poczerwieniałą twarzą weszła za nią długim, dziarskim krokiem.

- Muszę z tobą porozmawiać, Meg - powiedziała Desiree, mierząc kątem oka brata. - Panna Ash uważa, że najwyższy czas na lekcję tańca, ale możemy chyba przedtem chwilę porozmawiać, prawda?
- Wasza Wysokość - wtrąciła panna Ash wibrującym, nosowym głosem. - Dyscyplina i rozkład zajęć są najważniejsze. Mamy przed sobą kilka godzin ciężkiej pracy, więc musimy już zacząć.
- Zaraz przyjdę do sali balowej - odparła księżniczka i odwróciła się plecami do panny Ash. - Chyba dowiedziałam się czegoś ciekawego, Meg. Dyskutowaliśmy już tę kwestię wcześniej, ale przeprowadziłam dalsze studia, jeszcze trochę poczytałam i widzę wokół mnie wiele znaków. Sądzę, że niebezpiecznych, dlatego należy je natychmiast obnażyć.
- Obnażyć? - powtórzył Jean-Marc. - A cóż by to miało znaczyć?
- No, to może zdemaskować. Pewnie użyłam niewłaściwego słowa. Rozszyfrować, zbadać i odpowiednio zaklasyfikować.
- Muszę iść się umyć - powiedziała Meg. W ręce czuła bolesne pulsowanie,

któremu towarzyszyło coraz silniejsze pieczenie.

- Idź szybko - poleciała Desiree. - Chcę, żeby Ash nauczyła mnie dziś po południu walca. To będzie świetna zabawa.

- Co to za obsesja z tą szybkością? - burknęła Ash. Płasnęła się po kwietnym bawełnianym czepku i mocniej zawiązała troczki pod brodą. Była w tej samej czarnej sukni, którą nosiła codziennie. - Umiarkowanie. Oto, co jest stosowne. Walc? Też coś! Powiem wam, że nowy król nie aprobuje walca. Sama słyszałam. To jest człowiek, który potrafi docenić wszystko, co nie wymaga zbędnego pośpiechu.

- Niewątpliwie - stwierdziła księżniczka z wesołością, która bardzo zaniepokoiła Jean-Marca. - O ile wiem, król całymi dniami je, żeby docenić dania, które trafiają na stół, ponadto ubiera się godzinami, doprowadzając służbę do rozpacz, słyszałam też, że mnóstwo czasu spędza w sypialni, choć trudno mi powiedzieć, co tam robi, bo moi informatorzy nie chcieli tego ujawnić. W każdym razie cokolwiek to jest, wszystko zajmuje mu mnóstwo czasu. Podobno dlatego, że król pije w dużych ilościach mocne alkohole. Naturalnie nie widzę w tym wiele sensu. Mówię o tym tylko po to, by wykazać, że król jest raczej powolny, więc wygłasza takie opinie we własnym interesie. Nic też dziwnego, że nie życzy sobie obecności żony podczas koronacji. Królowa Karolina jest dla niego o wiele zbyt energiczna. Przypuszczam, że królowa zechce tańczyć walca podczas tych uroczystości.

- Dziękuję ci, Desiree - wtrącił Jean-Marc rozbawiony, a zarazem poirytowany. - Zrobisz tak, jak każe ci panna Ash.

Meg zobaczyła, jak panna Ash demonstruje garnitur owczych zębów.

- Och, wiem, że panna Ash nie będzie w stanie nauczyć mnie walca. Tylko żartowałam. Walca znają jedynie nauczyciele obeznani z ostatnimi krokami.

Jean-Marc nie usatysfakcjonował siostry kolejnym pokazem złości.

- Uciekaj już - rzekł. - Przyjdę popatrzeć, jak sobie radzisz. A panna nie - dodał, gdy zauważył, że również Meg chce wyjść z księżniczką. - Panna nie jest dziś w odpowiedniej dyspozycji, żeby krzątać się po domu.

- Czemuż to? - zainteresowała się Desiree, zerkając na Meg. Powoli i dokładnie zmierzyła swoją towarzyszkę wzrokiem. - Skaleczyłaś się w rękę? Co jeszcze tutaj zaszło? - Przeniósł wzrok na brata.

- Nic - odpowiedziała Meg, odrobinę za głośno. - Absolutnie nic. Księżniczka

przekrzywiła głowę i przeszła brata wzrokiem.

- Zaczerwieniłeś się, Jean-Marc.
- Wcale nie. Idź na lekcję.
- Chcesz, żebym przestała się dopytywać, co tu zaszło.
- Milcz, młoda damo. Niepokoisz pannę Smiles.

Meg bardzo chciała powiedzieć Desiree, że z jej dociekań więcej może być szkody niż pożytku, ale nie miała sposobu.

Tymczasem księżniczka, ubrana w jedną ze swych starych, dość infantylnych sukienek, wolno obeszła hrabiego. Przyglądała mu się stanowczo zbyt natrętnie.

- Jest tak, jak myślałam - oznajmiła Desiree. - Coś ukrywasz, Meg. Poznałaś prawdę, ale nie chcesz mi jej zdradzić.
- Nie rozumiem Waszej Wysokości - powiedziała Meg, chociaż bardzo przeszkadzało jej przykre ściskanie w żołądku.
- To dlatego, że Desiree plecie trzy po trzy - uznał Jean-Marc. - Powiedziałem ci, siostrzo, żebyś poszła na lekcję. Wypełnij moje polecenie z łaski swojej.
- Wypełnię, wypełnię, możesz być pewien. Już idę. Meg, cieszę się, że z powodzeniem zakończyłaś misję.
- Nadal nie rozumiem, Wasza Wysokość. Księżniczka uśmiechnęła się szeroko.
- Cieszę się, że udało ci się zajrzeć pod czarne kwadraciki - powiedziała. - Teraz musimy doprowadzić tylko do ich usunięcia. Jeśli ci, o których mowa, nie będą mieli sposobu na ukrycie swoich wskaźników, to będziemy dokładnie widziały, o czym myślą. No, tak. I czego możemy się po nich spodziewać w najbliższym czasie.

Księżniczka stanowczo zbyt wiele się naczytała, uznała Meg.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Desiree opuściła pokój na moment przed tym, nim odwołano hrabiego. Wcześniej jednak Jean-Marc zdążył wymusić na Meg, że pozwoli, by rękę opatrzył jej Verbeux. Służący szybko wywiązał się ze swojego zadania w pokoju muzycznym, korzystając z pomocy drobnej pokojówki imieniem Fanny.

- Och, to musi boleć - zmartwiła się dziewczyna. - Czyż ona nie jest dzielna, Verby?

Tą poufałością naraziła się na bardzo chłodne spojrzenie Verbeux.

- Rana nie jest głęboka - stwierdził. - Ostrze weszło pod niedużym kątem. Głębiej i wyżej, i... - palcem wskazującym przejechał w poprzek przegubu Meg - ...mogłaby wykrwawić się na śmierć.

- Och! - krzyknęła Fanny i zasłoniła oczy.

Meg wzruszyła ramionami, starając się nie dopuszczać do wyobraźni obrazu takiej rany, jaką opisał Verbeux.

- Dziękuję - powiedziała, gdy służący znów zajął się bandażowaniem. - Miałam szczęście.

Verbeux spojrzał na nią z powagą.

- Miejmy nadzieję - odparł.

Meg wykorzystała sytuację, by dokładnie przyjrzeć się Verbeux. Od czasu ich pierwszego spotkania jego zainteresowanie Sibyl stało się mniej wyraźne, a jednak Meg zwróciła uwagę, że ilekroć drogi tych dwojga się krzyżują, Verbeux posyła za jej siostrą ukradkowe spojrzenia. Sibyl tylko nieznacznie się rumieniła i przyspieszała kroku.

Verbeux był pewny siebie, lecz chłodny. Jego maniery upewniały wszystkich w przekonaniu, że jest wykształconym i myślącym człowiekiem. Nosił ubrania dobrej jakości, skrojone tak, by męska sylwetka korzystnie się w nich prezentowała. Meg nie wypytywała siostry o jej uczucia, ale łatwo było zauważyć, że Verbeux robi na

niej wrażenie.- Panie Verbeux, czy podoba się panu w Anglii? Wydał się zaskoczony tak osobistym pytaniem.

- Anglia jest przyjemna, ale wolę mój kraj ojczysty.
- Au! - Verbeux za mocno zaciągnął bandaż, ale gdy jęknęła, podniósł głowę i bez komentarza poprawił opatrunek. Jego ostre spojrzenia bardzo krępowały Meg.

Fanny poklepała ją po ramieniu, cmoknęła i powiedziała:

- Ho, ho, ale panna Meg jest dzielna.

Meg znów poczuła na sobie przeszywające spojrzenie Verbeux. Gdy jednak służący zupełnie niespodziewanie uśmiechnął się rozbrajająco, musiała odwzajemnić jego uśmiech.

- Naprawdę jest pani dzielna - orzekł.

Tak zaskoczył Meg tą uwagą, że nawet nie odpowiedziała. Fanny nie miała podobnych kłopotów.

- Oj tak, tak, Verby - ucieszyła się. - I taka uważająca.

Tą uwagą zasłużyła sobie na następne karcące spojrzenie Verbeux, który tymczasem odciął resztę bandaża.

- Posprzątaj tutaj i wracaj do swoich zajęć. Fanny z uśmiechem wzięła się do pracy.
- Co pani czuje w tej ręce? - spytał.
- Pulsowanie niemal ustało. Czy krwawienie będzie jeszcze długo trwało?

Verbeux opuścił mankiety i sprawdził, czy ma elegancką spinkę z masy perłowej w halsztuku.

- Nie sądzę. Są sposoby, żeby przyspieszyć krzepnięcie krwi i gojenie rany. Znam je. Proszę przyjść do mnie, gdyby jeszcze odczuwała pani ból.
- Dziękuję. Powinnam wrócić do swoich zajęć. Jest jeszcze mnóstwo do zrobienia. Nie możemy pozwolić na opóźnienia w planach bez względu na przyczynę.
- Życzę miłego popołudnia.

Meg odczekała, aż wyprostowana sylwetka Verbeux zniknie z pola widzenia. Bardzo lubiła uczestniczyć w lekcjach tańca i śpiewu. Księżniczka Desiree była naprawdę utalentowana.

Zanim Meg wyszła z pokoju muzycznego, Sibyl wetknęła tam głowę i powiedziała:

- Przyszedł Baggsy, Meggie. Przed chwileczką słyszałam, jak Rench go wpuszcza. Naturalnie chce zobaczyć się z nami.
- Wielebny Baggs... Po co on tak często przyjeżdża do Londynu?
- Nie wiem. Chodźmy szybko do sali balowej. Wolałabym, żebyśmy nie były skazane tylko na niego.
- A ja wolałabym z nikim o naszych sprawach nie rozmawiać - powiedziała Meg.

Sibyl pokręciła głową.

- Proszę cię, na jego widok dostaję dreszczy, zwłaszcza jeśli skupi na mnie uwagę. Pójdiesz tam dla mnie?
- Naturalnie. - Meg wstała. Musiała jednak prawie biec, żeby dotrzymać kroku siostrze.

W małej sali balowej księżniczka ćwiczyła kroki pod bacznyim wzrokiem panny Ash.

- Głowa wyżej - zakomenderowała nauczycielka i zbliżyła się do księżniczki, żeby lekko smagnąć ją długą trzcina po głowie. - Wyżej, wyżej, wyżej! - powtarzała, jakby tresowała szczeniaka.

Desiree odwróciła się do Meg i Sibyl, zrobiła zeza i szelmowsko się uśmiechnęła. Meg z trudem pohamowała wybuch śmiechu. Do sali wszedł Rench i zaanonsował:

- Wielebny Baggs do panny Meg Smiles... do obu panien Smiles. Już idzie na górę, ale pewnie chwilę potrwa, zanim tu dotrze. Nie wydaje się pozostawać w najlepszym zdrowiu. Jeśli panny nie chcą go widzieć, mogę go jeszcze zawrócić.
- Nie, nie! - powiedziała Sibyl. - To byłby brak szacunku. Proszę mu powiedzieć, że czekamy.
- Zdaje się, że już jest - odrzekł Rench.

Wielebny Baggs istotnie doczłapał już do celu drobnymi krokami, które Meg dobrze zapamiętała. Był ubrany w czarną sutannę z koloratką, a przed sobą

trzymał kapelusz. Był pulchny i rumiany jak zawsze, i naturalnie zasapany.

- Witajcie, Meg i Sibyl - powiedział, skłaniając głowę w ich stronę. - Wreszcie was znalazłem. Byłem pod numerem siódmym i stamtąd przysłano mnie tutaj. Bądź co bądź, wasz ojciec był dla mnie bardzo dobry i wasza matka też, więc jest moim obowiązkiem dopilnować, żebyście były bezpieczne i miały to, czego wam trzeba.

Meg i Sibyl popatrzyły po sobie. Ich ojciec zmarł przed kilkoma laty, a matka jeszcze wcześniej. Meg naturalnie pamiętała życzliwość ojca wobec pastora, pierwszy raz jednak wielebny wykazał zainteresowanie losem dzieci swojego dobroczyńcy.

- Wiem, co sobie myślicie - ciągnął wyniosłym tonem. - Jeśli wasz los nie jest mi obojętny, to dlaczego tak długo zwlekałem z zaofiarowaniem pomocy? Moja wina, przyznaję. Wstyd mi z tego powodu. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że nie jestem tak zręcznym administratorem parafii, jakim był wasz ojciec, dlatego musiało minąć sporo czasu, nim poczułem, że mogę na trochę opuścić Puckly Hinton.

- Był pan w Londynie kilka tygodni temu - przypomniała mu Meg. - Tak w każdym razie powiedział nam kuzyn William.

Wielebny Baggs ze smutkiem pokiwał głową.

- Rzeczywiście, byłem. I próbowałem się z wami spotkać, ale mi się nie udało. William z pewnością powiedział wam, że widziałem na własne oczy to okropne zdarzenie przy Burlington Arcade. Tak mną to wstrząsnęło, że dosłownie skamieniałem. Nic nie mogłem pomóc, zresztą wydawało mi się, że mnie nie poznasz, więc uznałem, że najlepiej będzie, jeśli się oddalę i postaram jak najrychlej opowiedzieć o tym Williamowi.

- Tak - powiedziała Meg. Nie miała zamiaru dziękować wielebnemu. - Miło nam pana widzieć, ale ufam, że nie poczyta pan nam za afront, jeśli wrócimy do swoich zajęć. Nie sądzę, żeby naszemu chlebodawcy spodobało się, że czas pracy przeznaczamy na prywatne rozmowy. Po powrocie do Puckly Hinton proszę łaskawie przekazać Williamowi nasze wyrazy szacunku i zapewnić, że u nas wszystko w porządku.

- Wasz kuzyn jest wyjątkowo szczodrym i bogobojnym człowiekiem - oświadczył wielebny Baggs. - Jego wielkoduszność wobec zwykłego sługi bożego nie pozostanie niezauważona. On jest... - zniżył głos - on jest poważnie zaniepokojony

tym przedsięwzięciem.

Ruchem oczu wskazał księżniczkę i pannę Ash, które taktownie odsunęły się na większą odległość, nie tak wielką jednak, by nie można było z niej słyszeć rozmowy.

- Nic mnie nie obchodzi... - zaczęła buńczucznie Meg, ale Sibyl szybko jej przerwała.

- Meg i ja jesteśmy bardzo wzruszone troską kuzyna Williama. Zapewniamy jednak, że kuzyn nie ma powodów do niepokoju. Dziękujemy, ale nasza pozycja tutaj nie budzi żadnych zastrzeżeń.

Wielebny wydał wargi i zmarszczył czoło.

- Jest mi dość niezręcznie, moje panny, ale przyszedłem do was również po to, by prosić o pomoc. Mam spędzić w Londynie trochę czasu w sprawach kościelnych. Na to jednak nigdy nie ma dość... dość pieniędzy. Proszę mi wybaczyć, że wspominam o tym, ale nie mam gdzie się zatrzymać i żywiłem nadzieję, że pomogą mi panny znaleźć niedrogą kwaterę. Czy na przykład nie byłoby pokoju pod numerem siódmym?

Przejęta zgrozą Meg gorączkowo szukała sposobu, by skutecznie zniechęcić wielebnego.

Sibyl poprawiła spódnicę i zaczęła bawić się koronką przy mankiecie sukni.

Meg zauważyła, że panna Ash zmienia punkt obserwacyjny. Podeszła do pianina i przestała Meg nieprzyjazne spojrzenie.

- Powinien pan zwrócić się do lady Hester - powiedziała Sibyl. - Latimer More jest uczynnym człowiekiem, a ma w swoim mieszkaniu wolną sypialnię. Może będzie chciał skorzystać z możliwości zmniejszenia czynszu. Tak, stanowczo powinien pan udać się do lady Hester.

- Tak zrobię - oznajmił podekscytowany wielebny. - Koniecznie i niezwłocznie. Jak wspaniale byłoby znaleźć się w pobliżu dwóch drogich dziewcząt tak bliskich mojemu sercu. Zwłaszcza w tym niegościnnym mieście. Dziękuję, dziękuję. - Raz po raz skłaniając głowę, wycofał się do drzwi, wykonał zwrot i zniknął.

- Och, Sibyl - jęknęła Meg. - Jesteś taka dobra. Nie możesz znieść myśli o tym, że ktoś jest w potrzebie. Ale żeby podsunąć mu myśl szukania miejsca pod numerem

siódmym? Lady Hester z pewnością gonie odeśle, Latimer też nie. Oboje będą myśleć, że powinni go przyjąć ze względu na nas.

Sibyl skrzyżowała ramiona na piersiach i przybrała niespodziewanie buntowniczą minę.

- Nasze wychowanie nie pozwala okazać braku szacunku duchownemu. Jak mogliśmy zignorować jego prośbę, jeśli powiedział, że nie ma gdzie się zatrzymać?

- Mogła pani zrobić lepszy użytek ze swej nie zamykającej się buzi i oświadczyć, że nie jesteście w stanie mu pomóc. - Słowa panny Ash zabrzmiały zaskakująco brutalnie w niedużej, błękitno-srebrnej sali tanecznej.

- Panno Ash - zwróciła się do niej księżniczka - jak możesz być tak bezceremonialna?

- Jak? Powiem ci, moja droga, jak - odparła panna Ash i zaczęła krążyć wielkimi krokami dookoła pianina. - Dosłownie wychodzę z siebie. To nedorzeczny wytwór jakiegoś kurzego mózdzku. Co właściwie pani sobie myślała? - zwróciła się do Sibyl.

- Och, proszę mi wybaczyć to pytanie. Przecież widać, że pani w ogóle nie myśli. Kobiety powinny znać swoje miejsce i go pilnować. Uległość jest u nich nad wyraz pożądaną cechą. Bardzo stosowną. Ale żeby komuś na tyle brakowało rozumu, by wystać pod numer siódmy jeszcze jednego zawałidrogę?! Phu! Doprawdy wychodzę z siebie.

Panna Ash na chwilę zamilkła, słysząc było jedynie jej sapanie. Podczas nerwowej przechadzki opadające pończochy zwinęły się na jej nogach w grube obwarzanki tuż nad kostkami. Odślonięte w ten sposób łydki były niewiarygodnie chude, białe, krzywe i owłosione. Od nauczycielki tańca biła nieopanowana wściekłość.

Sibyl podeszła do Meg i wzięła ją za rękę. Wtedy odkryła bandaż.

- Meg? - szepnęła.

- Drobne skaleczenie. Pan Verbeux mi je opatrzył, ale zupełnie niepotrzebnie. Opowiem ci o tym później.

- Ty tępoto! - pieniała się Ash. - Wygląda na to, że zmarnowałaś mnóstwo czasu, w dodatku czasu ważnej osobistości. - Urwała i jakby nagle się ocknęła. Spojrzała koralikowymi oczami na Meg i Sibyl, a jej blada twarz z wolna pokryła się intensywnym pąsem. - Nie ma pani prawa zwracać się w ten sposób do Sibyl - wybuchnęła Meg. - Sibyl może mówić, co jej się podoba. To nie jest pani sprawa.

- Nic się nie stało, Meggie.
- Nie masz racji, Sibyl. To jest niedopuszczalna impertynencja. -Zwróciła się do nauczycielki tańca: - Co panią obchodzi, kto mieszka pod numerem siódmym?
- Sądzę - odezwała się księżniczka już nieco spokojniej - że panna Ash jest nam winna wyjaśnienie.

Ash rozłożyła długie, chude ramiona i powiedziała:

- Och, sama nie wiem, co mnie naszło. Bardzo was przepraszam, ale poczułam się nagle w obowiązku roztoczyć nad wami opiekę. Ten człowiek chce nadużyć waszej życzliwości, a wy mu na to pozwalacie.
- Mimo to nadal nie rozumiem takiego zachowania wobec Sibyl - nie ustępowała Meg.
- Trudno to będzie pani zrozumieć. Panie jesteście zanadto... Och, wieciecie życie pod opieką innych, więc łatwo was wykorzystać. Przejęta tą obawą, po prostu się zapomniałam. Jak widzicie, jestem z wami szczerą, to wszystko.

Księżniczka nawet nie próbowała ukryć fascynacji rozwojem wydarzeń.

Sibyl, w odróżnieniu od niej, była głęboko wstrząśnięta. Meg zdołała opanować złość.

- Nie powinniśmy więcej o tym rozmawiać. Księżniczko, proszę kontynuować lekcję tańca. Mam nadzieję, że posłucham też dziś śpiewu Waszej Wysokości.

Ash pociągnęła nosem, ale uniosła głowę i trzcinką wskazała miejsce, w którym ma stanąć jej uczennica.

- Meg - szepnęła Sibyl - panna Ash jest wyjątkowo dziwna, nie sądzisz? Jakby na chwilę stała się kimś zupełnie innym. Była naprawdę wściekła, a przecież dobrze wychowana kobieta nie powinna okazywać uczuć w gwałtowny sposób. I takie wyrażenia w jej ustach. Minie trochę czasu, zanim dojdę do siebie.
- Jest dziwna - przyznała Meg - ale nie zapominajmy o jej wieku. Może bołą ją stawy i dlatego łatwo wpada w irytację. Nie powinniśmy o tym myśleć, tylko robić, co do nas należy. Zagraj im coś, Sibyl.

Sibyl zawahała się prawie niezauważalnie, a potem podeszła do pianina i usiadła na ławie. Zagrała parę taktów tańca, a panna Ash pokazywała księżniczce kroki do

kotyliona. Była sztywna, jakby poślęta kij. Mechanicznie stawiała kroki i zdawało się, że ani jej ciało nie poddaje się muzyce, ani dusza nie przeżywa jej w najmniejszym stopniu.

Meg nie zauważyła nadejścia Jean-Marca, dopóki nie stanął tuż przy niej. Pochylił się do jej ucha i szepnął:

- O ile pamiętam, miałaś dzisiaj odpoczywać.
- Pan Verbeux powiedział, że mogę wrócić do swoich obowiązków. Rana mocno krwawiła, ale nie była głęboka.
- Zdajesz sobie sprawę, że nie możemy zignorować tego, co zaszło?

Meg tymczasem zdołała już zepchnąć myśli o przykrym incydencie na obrzeża świadomości.

- Nie umiem sobie wyobrazić, jak mogłabym dojść, skąd pochodziła ta brzytwa. Nikt się do niej nie przyzna. Jestem pewna, że włożono ją do mojej sakiewki przypadkiem.
- Czyżby?
- Chcę usiąść i popatrzeć na lekcję. - Podeszła do jednej z kanapek obitych niebieskim adamaszkiem, rozmieszczonych w różnych miejscach sali. Usiadła i położyła zranioną rękę na oparciu. Ból już prawie całkiem minął.
- Bardzo ładnie, Desiree - powiedział hrabia i poklepał siostrę po ramieniu, po czym usiadł obok Meg. - Zobaczmy, jak ci pójdzie walc. Wspomniałaś, że chciałyś go spróbować. Panno Ash, walca, jeśli można.

Ash wyraziła dezaprobatę marsową miną, ale posłusznie zajęła wyjściową pozycję w parze z księżniczką.

Sibyl podniosła głowę i uśmiechnęła się. Przełożyła nuty i przemknęła wzrokiem po nowej stronie. Meg nie poznała żywego utworu, ale płynnie toczące się dźwięki wywołały na jej twarzy uśmiech. Rytmicznie się zakołysała, próbując odpędzić myśli o siedzącym tuż obok Jean-Marcu.

Ani jego postępowanie, ani to, jak na nie zareagowała, nie było godne pochwały. Ilekroć widziała hrabiego, przypomiwała sobie ze szczegółami ich sam na sam pierwszego dnia znajomości. Zachowała się jak zwykła dziewczka, nie mająca krzty szacunku dla swojego ciała i duszy. Zresztą, wciąż zdarzały im się chwile, gdy

wymieniali prawie niezauważalne poufałości, dotknięcia, spojrzenia, co też było naganne. Mimo to Meg nie mogła przestać myśleć o Jean-Marcu i marzyła o tym, żeby znów znaleźć się z nim sam na sam.

- Pozbawiony duszy taniec - szepnęła jej do ucha, przyglądając się siostrze z panną Ash. - Wydaje mi się, że Desiree lubi muzykę. Ładnie się porusza. Choć, prawdę mówiąc, Ash jako mężczyzna też jest godna podziwu. Tak naturalnie przyjęła na siebie tę rolę. Tyle że to nie jest stuprocentowa kobieta.

Meg powstrzymała się od komentarza.

- No, no, Desiree - powiedział głośno hrabia. - Masz wrodzony talent, *cherie*. Chciałbym, żebyś popatrzyła, jaką postawę należy przybrać podczas tańca. Pokażemy ci to z panną Smiles. Pilnie się przyglądaj.

- Nie - szepnęła Meg. Po ciele przebiegł jej dreszcz. - Nie mogę.

- Możesz, możesz. Już zapomniałaś, jak ćwiczyłaś walca w moim gabinecie?

Zamknęła oczy.

- Jak mogłabym zapomnieć?

- Dobrze więc, teraz poćwiczmy razem. - Podniósł głos. - Sibyl, myślę, że księżniczka więcej się nauczy, jeśli walc będzie nieco wolniejszy i elegantszy. Co pani o tym sądzi?

- I ja tak uważam - wtrąciła się Meg.

- Ja też - powiedziała Sibyl.

- To naturalne, że ona się zgadza - burknęła panna Ash, bynajmniej nie usiłując ukryć rozdrażnienia. - Zgadza się ze wszystkim, co usłyszy od byle jakiego mężczyzny.

Jean-Marc zaśmiał się cicho. Wstał, skłonił się przed Meg i podał jej ramię. Meg zaczerpnęła tchu, położyła mu lewą rękę na przedramieniu i pozwoliła się zaprowadzić na parkiet.

Jean-Marc dyskretnym ruchem obrócił ją ku sobie.

Uśmiech znikł mu z warg. Sibyl zagrała pięknego walca, wolniejszego i o wiele płynniejszego.

Meg zaszumiło w głowie. Ostro widziała tylko twarz Jean-Marca, reszta stanowiła wielobarwną plamę.

Skłonił głowę i delikatnie położył jej rękę na talii, a ona ułożyła lewą rękę na jego ramieniu.

Otoczyła ich muzyka.

Jean-Marc pomyślał, że chętnie zatrzymałby sobie tę chwilę na pamiątkę. Ujął prawą rękę Meg, walcząc z sobą, by nie przyciągnąć partnerki bliżej.

Zaczęli wirować. Meg była lekka i wyczuwała każdy jego ruch.

- Uśmiechnij się - powiedział. - Dlaczego jesteś taka poważna? Giętkie ciało Meg poddawało się jego woli tak, jak przewidywał.

- Meg, spytałem cię, dlaczego jesteś taka poważna. Jej wielkie, złotawe oczy zwilgotniały.

- Może dlatego, że i ty jesteś poważny, milordzie.

- Ja nie jestem - zapewnił, choć i on nie miał nastroju do uśmiechów. - Jak to możliwe, Meg, że dotąd nie porwał cię jakiś przystojny mężczyzna? Z pewnością niejeden prosił cię o rękę.

Zerknęła na niego spod ciemnych rzęs i poczuł się zakłopotany. Zachowywał się jak zakochany szczeniak, który chce wyciągnąć od swojej panny zapewnienie, że jest pierwszy i jedyny.

- Nikt mnie nie prosił o rękę - odparła. - Nie miałam okazji nawiązać takiej znajomości. Ale wcale się tym nie przejmuję.

Jean-Marcowi zdawało się, że jest inaczej, i nawet go to cieszyło, chociaż nie bardzo rozumiał dlaczego. Meg była świeżą, zmysłową istotą.

- Raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy - mrucał pod nosem i poruszał się w rytm muzyki. Przynajmniej w tej sytuacji mógł trzymać pannę Smiles w ramionach, nie budząc niczyich podejrzeń.

- Kiedy się pan uśmiecha, bardzo młodnieje - powiedziała. - I wydaje się taki beztroski.

- Nie wierzę ci.

- Naprawdę. Można by teraz wziąć pana za człowieka wyjątkowej łagodności.

Jean-Marc wreszcie się uśmiechnął, i to bardzo radośnie. Gdy wykonywali obrót w dalszym kącie sali, wykorzystał sytuację i zniemacka ścisnął mocno talię Meg.

- Och, milordzie, to było zdradzieckie - powiedziała i oczy jej zabłyśły. - Proszę uważać, bo i ja miewałam opinię podstępnej istoty, choć nikomu krzywdy nie robiłam.

Uniósł brwi.

- O, to wydaje mi się intrygujące. Muszę zachęcić pannę, żeby i ze mną spróbowała jakiejś sztuczki. Czy panna wie, jak uroczo falują ci piersi, gdy nabierasz tchu?

Jej zdumiona mina sprawiła mu niemałą satysfakcję.

- Co pana nagle opętało? - spytała.
- Ty, Meg. - I w tej chwili zobaczył nad ich głowami zwiastun nadchodzących chmur, które musiały się zgromadzić, gdyby nie udało mu się przekonać panny Smiles, żeby pozostała w jego życiu na takich warunkach, jakie mógł jej zaoferować. Pamiętał jednak, jaki wstrząs wywołała u niej ta propozycja.

Prawie nie zdawał sobie sprawy z tego, że Sibyl dograła walca do końca i zaczęła następny utwór. Poniewczasie uświadomił sobie, że tańczą zbyt długo jak na zwykły pokaz. Ech, do diabła z tym wszystkim!

- Wydajesz mi się bardzo niepewna siebie. Bezbronna i taka niewinna.

Spuściła wzrok i powiedziała:

- Nie jestem niewinna.

Palcami prawej dłoni musnął jej żebra. Poczuł, że Meg drży.

- Jesteś naiwna. Myślisz, że odebrałem ci dziewictwo, prawda?
- Milordzie, proszę przestać! - Mocniej zacisnęła dłoń. - Proszę, nie mówmy o tym.
- Powiem jeszcze tylko jedno, a potem dostosuję się do twojego życzenia. Nadal jesteś dziewicą. Powinnaś była mi zaufać. Powiedziałem ci przecież, że są sposoby na znalezienie rozkoszy bez odbierania dziewictwa.

Potknęła się, więc poderwał ją z ziemi tak zręcznie, że nie zgubili rytmu. Wirowali jak szaleni jeszcze chwilę, aż w końcu Meg zabrakło tchu.

- Nie zlituję się nad tobą, póki nie powiesz, że mi wierzysz.
- Wierzę. - Rumieniec na jej policzkach był doprawdy zachwycający.
- Meg Smiles, ty mnie dręczysz. - Rozumieli się w tańcu, jakby przetańczyli już niejedną bal. - Czy wiesz, że nie ma już dla mnie spokojnych nocy, bo przez sen wyciągam ramiona i sprawdzam, czy nie ma cię przy mnie? A gdy przekonam się, że nie, budzę się z mocno bijącym sercem, cały zlany potem. To jest zupełnie tak, jakby odbierano mi piękny sen i zastępowano go koszmarem.

Wciąż tańczyli walca. Jean-Marc byłby gotów jeszcze długo trzymać pannę Smiles w objęciach i czuć, jak jej ciało poddaje się muzyce.

Odchyliła głowę. Gdy spojrzał jej w twarz, poczuł w sobie niezwykłą siłę. Pomyślał, że mógłby biec wiele godzin bez przerwy, wyrwać drzewa z korzeniami i przewracać skały.

- Co takiego masz w sobie, Meg, że przy tobie tracę zmysły? Czy i ty czujesz coś podobnego?

Oblizła wargi koniuszkiem języka i mocniej przycisnęła zabandażowaną dłoń do jego ramienia.

- Czujesz coś takiego?
- Przecież sam nie wiesz, milordzie, co to takiego, więc jak mam się zorientować, czy odczuwam coś podobnego?
- Nie igraj ze mną. Odpowiedz. Czy czujesz coś do mnie? Coś więcej niż zwykły pociąg?

Pochyliła głowę, zaraz jednak dumnie ją wyprostowała.

- Nigdy nie żywiłam takiego uczucia do nikogo innego, milordzie. I nigdy już nie będę taka sama jak przed naszym spotkaniem.
- Powiedz mi, że się z tego cieszysz.
- Cieszę się. Jestem też pełna obaw, bo gdy już nie będziemy mogli się widywać, pęknie mi serce. Wiem też, że głupio robię, mówiąc panu o tym, bo to stawia mnie

na straconej pozycji.

Następny utwór, który Sibyl zagrała, okazał się szybszy i miał nieco marszowe brzmienie. Jean-Marc zatrzymał Meg, uśmiechnął się do niej i znów rozpoczął taniec, tym razem jednak bardziej zadzierzyscie. Trzeci utwór. Ale nie było sensu przerywać w tej chwili. Tańczyli więc dalej.

- Mógłbym tańczyć z tobą bez końca - powiedział. - Nie opowiem ci dokładnie tego, co czuję. Musisz jednak wiedzieć, że poświęcam ci w tej chwili całą moją uwagę.

Splonęła rumieńcem. U nasady szyi pojawiła jej się kropelka potu i wolno zaczęła spływać ku wycięciu dekoltu. Jean-Marc dyskretnym ruchem włożył palec pomiędzy jej piersi, a gdy poczuł na nim wilgoć, wyjął go spod sukni i wsunął sobie pod koszulę. Meg nawet nie wydawała się szczególnie wstrząśnięta, raczej podniecona.

- Co robisz? - spytała.

- Wyobrażam sobie, że nasze ciała się stykają i że czuję, jaka jesteś gorąca. Naturalnie wolałbym poczuć prawdziwy dotyk twoich piersi. Leżelibyśmy w objęciach i wymieniali pieśszoty. I dawalibyśmy sobie rozkosz. Jestem tobą odurzony, Meg. - Powinien trochę uważać na to, co mówi, ale w ogóle nie obawiał się, że Meg mogłaby obrócić te słowa przeciwko niemu.

Meg z trudem panowała nad swoim ciałem, któremu bardzo podobała się bliskość Jean-Marca.

- Dobrze tańczysz, milordzie.

- W takiej sytuacji naprawdę możesz mi mówić po imieniu. Tylko przy tobie czuję się w pełni mężczyzną. Jeszcze raz proszę, żebyś pozwoliła mi w przyszłości wracać do ciebie. Wiem, że to jest egoistyczna propozycja, Meg, ale nie mogę znieść myśli, że będziemy musieli się rozstać na zawsze. Obiecuję troskliwą opiekę i tobie, i Sibyl. Powinnaś mieć dla siebie ładny domek, w którym będę mógł znaleźć spokój i ukojenie. To byłby mój jedyny prawdziwy dom, na jaki mogę mieć nadzieję. Może w pobliżu Riverside. Czy podoba ci się okolica Windsoru?

- Bardzo - odrzekła Meg. Jean-Marc chciał, by została jego kochanką, bo nie nadawała się na jego żonę, mimo że sam pochodził z nieprawego łoża.

Zauważyła, że Jean-Marc wstrzymał oddech. Uścisk jego dłoni stał się na chwilę

mocniejszy.

- Czy mam rozumieć, że się zgadzasz? Zostaniesz ze mną?
- Pomyślę o tym - zapewniła go, bliska płaczu. Nigdy nie sądziła, że przejdą jej przez gardło takie słowa. - Proszę, nie nalegaj.
- Nie będę - obiecał, ale w jego głosie było słychać nadzieję na ostateczny triumf. Doprawdy, powinna być zachwycona, że hrabia zapragnął kogoś znacznie niżej postawionego. - Dajesz mi szczęście, Meg. Sama myśl o tym, że zastanowisz się nad czymś, co jest sprzeczne z twoimi przekonaniem... Meg, potrzebuję cię. Pozwól mi coś dla siebie zrobić, pozwól dać ci coś, na co zasługujesz.
- Powiedziałeś, milordzie, że nie będziesz nalegał.
- To prawda. Tańczmy więc, Meg. Zapomnijmy o wszystkim, co mogłoby zniszczyć nasze marzenia, i tańczmy.

Ta prośba nie była trudna do spełnienia. Jean-Marc trzymał ją prawdopodobnie bliżej siebie, niż dyktowały reguły tańca, ale Meg była przekonana, że nikt tego nie zauważy. Jego pochylona głowa prawie dotykała jej skroni, gdy wirowali, wirowali i wirowali. Po incydencie z brzytwą powinna być osłabiona, tymczasem jej stopy raz po raz unosiły się nad podłogą, a ona wcale nie miała tego dość. Jean-Marc co chwila wracał do swych subtelnych pieszczot. Głaskał ją kciukiem po żebrach i od czasu do czasu dyskretnie muskał jej piersi.

- Niewątpliwie przynajmniej jedna z obecnych tu osób nie powstrzyma się od komentarzy na nasz temat - powiedział w końcu. - Obawiam się, że powinienem zwrócić ci wolność, Meg. Ale nie na długo, najdroższa. Nie na długo, bo inaczej będę musiał cię porwać. Tymczasem zainteresuję się nieruchomościami w okolicach Windsoru... może również domami w samym Londynie.
- Chyba nie ma powodów do takiego pośpiechu, milordzie?
- Owszem, są. Być może dotyczą one przede wszystkim mnie. Tak, myślę, że sprawiłoby mi przyjemność posiadanie małego, wygodnego azylu, gdzie mógłbym odciąć się od świata... najlepiej z tobą.
- Jean-Marc!
- Wiem, wiem. Z pewnością... - Gwałtowna pauza zaskoczyła Meg. - Och, ty nic nie wiesz. Jestem naciskany ze wszystkich stron. Muszę wkrótce podjąć decyzje,

które raz na zawsze zmieniają moje życie. Tak czy owak stracę coś lub kogoś kochanego. Byłoby okrucieństwem, gdybym miał stracić również ciebie. Ale dość tego na dzisiaj. Muszę dać ci czas na dokładne przemyślenie tej rozmowy.

- Dziękuję.- Spełnię każde twoje życzenie, najdroższa. Nie powinno ci już nigdy niczego zabraknąć. A w tej chwili, Meg, najbardziej na świecie pragnę cię pocałować.

Uciekła przed jego wzrokiem, kręcąc głową.

- Musimy skończyć ten taniec.
- Mogę znaleźć pretekst, żebyś poszła ze mną, kiedy będę opuszczał salę balową.
- Nie. - Och, jak bardzo chciała powiedzieć mu „tak”.
- Chodź ze mną, Meg. Chcę cię objąć i całować.

Spojrzenie na jego usta okazało się grubym błędem. Mimo woli rozchyliła wargi.

- Pragniesz tego tak samo jak ja - powiedział natychmiast. - Widzę to. Moglibyśmy położyć się w ciemności i patrzeć w ogień. Nie musiałabyś spełniać moich życzeń. Leżelibyśmy tylko obok ciebie. Widok twojego ciała...

- Widok twojego ciała mnie podnieca - dokończyła za niego. - Oboje wiemy jednak, że to jest niebezpieczne.
- Popatrz na mnie. Meg odwróciła głowę.
- Powiedziałem, żebyś na mnie spojrzała. Proszę.

Ustąpiła. Jean-Marc pochwycił jej wzrok, potem w skupieniu przyjrzał się jej ustom, szyi, piersiom. Rozchylił usta i bezwiednie obwiodł je językiem. Meg miała wrażenie, że w sali zrobiło się nagle duszno.

Przez moment wpatrywali się w siebie i kołysali w rytm muzyki, mimo że stali w miejscu.

- Torturujesz mnie - szepnął Jean-Marc.
- To ty mnie torturujesz, Jean-Marc. - Odsunęła się od niego i ostentacyjnie dygnęła. - Czas zobaczyć, czego nauczyła się od nas Jej Wysokość - powiedziała głośno, choć nie była pewna, czy głos jej nie drży.

Jean-Marc skrył jedną rękę za plecami i elegancko się skłonił. Meg przestała mu ostatnie spojrzenie i podeszła do pianina, gdzie czekała na nią Sibyl z bardzo dziwnym wyrazem twarzy.

- Teraz ty zatańczysz ze mną, Desiree - zdecydował hrabia.
- Z przyjemnością - odpowiedziała księżniczka, która swoją uwagę podzieliła pomiędzy brata i pannę Smiles, wędrując wzrokiem od jednego do drugiego. - Bardzo pięknie tańczyliście. Poruszaliście się lekko, jakbyście byli zrośnięci. A ty wydajesz się uskrzydłony tym tańcem, Jean-Marc. Wołałabym jednak spróbować czegoś odrobinę szybszego, Sibyl.

Jean-Marc ustawił się z siostrą na parkiecie i po chwili porwał ją do tańca przy dźwiękach romantycznego utworu granego przez Sibyl.

Meg zerknęła na napiętą twarz siostry i usiadła na ławie obok niej.

- Och, to było zabawne - powiedziała wesoło. - Mało ćwiczyłam taniec, ale z panem hrabią czułam się tak, jakbym przetańczyła całe życie. Co robi Ash? Zdaje mi się, że zasnęła.
- Nie interesuje mnie Ash - odparła Sibyl bardzo sztywno.
- Meg - zawołała przez ramię księżniczka - moje życie staje się coraz ciekawsze. Wyczuwam wokół pasjonujący klimat intrygi.
- Skup się na tańcu, Wasza Wysokość - odparła Meg. Księżniczka spisywała się na parkiecie znakomicie i dobrze było widać, dlaczego Jean-Marc przypisał jej wrodzony talent. Miała piękną, wyprostowaną postawę, a kosmetyki z umiarem zaaplikowane przez Meg sprawiły, że jej twarz jaśniała, a oczy lśniły.
- Meg - odezwała się Sibyl płaczącym tonem, pochylając się nad klawiaturą niżej niż zwykle. - Tu się dzieje coś niedobrego. Za dużo tego jak dla nas. Chciałabym z tym skończyć i wrócić do naszego spokojnego życia.

Przerażona nie na żarty Meg otarła zdrową rękę o spódnicę. Zraniona dłoń znowu ją piekła, ale w tej chwili było to mało ważne.

- Dlaczego? - spytała. - To prawda, że zmienił nam się rozkład dnia. Jednak posada tutaj bez wątpienia da nam możliwość podjęcia później podobnej pracy w innym miejscu. I już nigdy nie będzie brakowało nam pieniędzy. Poza tym nie porzuciłam jeszcze nadziei, że któreś z nas uda się znaleźć męża i to definitywnie

położy kres naszym kłopotom.

- Wiedziałam - oznajmiła Sibyl złamanym głosem. - Zmieniłaś się, Meg. I to mnie przeraża.

Meg nie miała pojęcia, jak pocieszyć siostrę. Patrzyła na palce Sibyl biegnące po klawiaturze i łzy skapujące tu i ówdzie na klawisze.

- No, nasza debiutantka ma zagwarantowane powodzenie - zawołał Jean-Marc z drugiego końca sali. - Tańcz jak anioł. Muszę już iść. Panno Smiles, czy jesteś pewna, że nie możemy teraz omówić tej sprawy?

Nawet z oddalenia zauważyła błysk nadziei w jego oczach.

- Jestem pewna - odparła. - Pozostaje nam jeszcze wiele do zrobienia dziś po południu, jeśli jutro rano mamy wybrać się po zakupy.

Hrabia uderzył pięścią o dłoń drugiej ręki i chciał powiedzieć coś jeszcze. Musiał jednak się rozmyślić, bo skinął wszystkim głową i opuścił salę balową. Desiree nadal wirowała na parkiecie, teraz już sama.

- Co się stało, Sibyl? - spytała cicho Meg. - Co cię tak rozstroiło?

- Moja droga Meggie - odparła Sibyl. - Tak się o ciebie boję. On chce cię mieć. Widziałam nieraz mężczyzn, którzy pragnęli jakiejś kobiety. Dobrze wiesz, że nigdy nie zostaniesz jego żoną, a on mimo to chce robić z tobą to, co powinni robić tylko małżonkowie.

- Pst - uciszyła ją Meg. - Jesteś przewrażliwiona. Nie będę zaprzeczać, że pan hrabia okazuje mi znacznie więcej uwagi, niż należałoby się spodziewać. Nie masz się czego obawiać, nie jestem głupia.

Sibyl spojrzała jej w oczy.

- Nie jesteś głupia. Jesteś panną delikatnych, lecz również gwałtownych i potężnych uczuć. Och, Meg... ty się w nim zakochałaś!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Audienca, pomyślała Desiree. Jej przyrodni brat zażądał audiencji. Jest doprawdy nadopiekuńczy. To prawda, że przed przyjazdem do Londynu spędzili ze sobą bardzo niewiele czasu, ale wtedy nie odgadłaby, co może ją czekać w Anglii.

Meg nie chciała usiąść, stanęła tak daleko od biurka Jean-Marca, jak tylko mogła. Desiree musiała nawet specjalnie odwrócić krzesło, żeby w ogóle ją widzieć w kącie, ukrytą za czarną, koronkową mantylką.

- Meg, proszę cię, usiądź - odezwała się. - Jean-Marc się spóźnia, rozumiem, że to cię irytuje, ale on zaraz przyjdzie. Czy nie sądzisz, że bez tej mantylki byłoby ci wygodniej?

- Wcale nie jestem zirytowana - odparła Meg. Nie ulegało jednak wątpliwości, że coś ją wzburzyło. - A w mantylce jest mi wygodnie, dziękuję za troskę. W moim obecnym stanie ducha częstsze medytacje stanowią absolutną konieczność. Czego znowu pan hrabia może od nas chcieć? Ledwie zaczęliśmy dzień, a jego już coś rozeźliło.

- Rozeźliło? - Księżniczka uznała, że to dziwna hipoteza. - Dlaczego sądzisz, że jest rozeźlony? Przecież jeszcze go nie widziałaś. No, naturalnie możesz mieć rację. Czy wiesz, że wczoraj przyjechała Ila Upworth? Chyba musiała to zrobić dość wcześnie, kiedy wszyscy mieli swoje zajęcia. Słyszałam jednak służącą, która mówiła, że Ila koniecznie chciała poczekać na Jean-Marca w jego pokojach, ale zabroniła go o tym uprzedzić. Bez wątpienia zamierzała mu zrobić niespodziankę. Osobiście sądzę jednak, że Jean-Marc nie lubi niespodzianek. A ty?

- Tego to ja nie wiem. - Smutek, jaki ją ogarnął na wiadomość o przyjeździe lady Upworth, stanowił jeszcze jeden dowód na to, jak bardzo niebezpieczne stały się jej uczucia do Jean-Marca. - Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość, ale wołałabym posiedzieć teraz w milczeniu.

Desiree zastanawiała się, jak poruszyć kwestię, która wydawała się wręcz oczywista w czasie, gdy jej brat tańczył z Meg. Już wcześniej podejrzewała, że Jean-Marc zwrócił uwagę na jej pannę do towarzystwa. Teraz była pewna, że tych dwoje coś łączy.

- Wejdz, wejdz, Jean-Marc - zawołała głośno.

Rzeczywiście wszedł, jakby w odpowiedzi na jej wołanie. Zatrzasnął za sobą drzwi i nie patrząc na żadną z dwóch panien, podszedł do biurka.

- Łaskawie powstrzymaj się od krzyków, Desiree. To jest odpychające u młodej panny... w ogóle u każdej kobiety.

- Tere-fere - powiedziała księżniczka. - A u młodego kawalera czy w ogóle u każdego mężczyzny nie?

- Dość tego - zagrzmiał Jean-Marc. - Tylko popatrz na to... na tę kupę bredni bez ładu i składu. Nie przewidzieliśmy nawet w drobnej części, jak wielkie podniecenie zapanuje w Londynie przed oczekiwaną koronacją króla Jerzego. Nawet ci, którzy rzadko przyjeżdżają tu na sezon, zrobili w tym roku wyjątek. Powiedziano mi, że nie wypada mi scedować tych zaproszeń na ciebie, panno Smiles.

Meg drgnęła na dźwięk swojego nazwiska. Do tej pory Jean-Marc nawet nie pokazał po sobie, że ją zauważył.

- Nie, nie sprzeciwiaj się panna i nie oferuj mi pomocy. Milcz dalej w swoim kącie. Niech cię nic nie obchodzą moje męki, pozwól mi cierpieć, żebym nie mógł skupić się na ważnych sprawach, które wymagają mojej uwagi.

- O, na dużo ważniejszych sprawach - skomentowała teatralnym szeptem Desiree. - Jak się dzisiaj miewa lady Upworth?

Jean-Marc zmierzył siostrę niechętnym spojrzeniem.

- Skąd wiesz o jej obecności?

- Ktoś o tym wspomniał. Podobno ukrywała się w twoich pokojach przez większą część wczorajszego dnia. Chciała ci zrobić niespodziankę. Czy to nie urocze z jej strony?

Meg uśmiechnęła się.

Jean-Marc zaczerpnął tchu i zaraz wypuścił powietrze. Wyraźnie się odprężył i nawet uśmiechnął.

- Moja siostra postanowiła wyprowadzić mnie z równowagi, rozumie panna? - zwrócił się do Meg. - Doprawdy już najwyższy czas, żeby inny mężczyzna zaczął ponosić za nią odpowiedzialność. Musi być albo dostatecznie miękki, żeby nie

zwracał na nią uwagi, gdy zamienia się w zręczliwą wiedźmę, albo dostatecznie twardy, żeby trzymać ją w ryzach. To... - Upuścił na biurko stertę kopert - ...są zaproszenia dla ciebie, czarownico. Wygląda na to, że wieść o twojej dość kłótlivej naturze nie dotarła jeszcze do wielu ludzi, którzy byliby głęboko nieszczęśliwi, gdyby nie udało im się gościć na swoim wieczorku, koncercie, przyjęciu, balu, salonie i tak dalej księżniczki Desiree z Mont Nuages. Bez wątpienia sama myśl o tym podnieca cię do szaleństwa. Co do mnie, jestem zrozpaczony, ponieważ będę musiał pojawić się w każdym z tych miejsc, w najlepszym razie na chwilę. Naturalnie niezależnie od tego panna Smiles będzie ci wszędzie towarzyszyć i służyć wsparciem.

Meg była bardzo zadowolona ze swojej czarnej mantylki. Wprawdzie miała szansę zyskać wśród domowników opinię ekscentryczki, ale to nawet lepiej. Inni będą się trzymać od niej z daleka, a ona łatwiej zachowa pogodę ducha, no, i będzie miała sposób na ukrycie, przynajmniej do pewnego stopnia, problemu, który powinna była przewidzieć wcześniej. Jej włosy zaczęły blaknąć.

- Pełna harmonia, czyż nie, panno Smiles? - zwrócił się do niej Jean-Marc. - Koniecznie proszę nas jednak uprzedzić, gdyby panna zamierzała wpaść w trans na dywanie.

Zignorowała ten sarkazm.

- Proszę się nie obawiać, milordzie. Z największą radością zajmę się zaproszeniami dla Jej Wysokości. Mam dużo wolnego czasu wieczorami.

- Naprawdę?

Patrzył prosto na nią. Mimo mantylki nie wytrzymała tego spojrzenia i spłonęła rumieńcem. Aluzja nie uszła jej uwagi.

- Tak. Rzecz jasna dopilnuję również, żeby pański kalendarz, milordzie, był aktualny. Zakładam, że pan Verbeux jest w stanie mi powiedzieć, co koliduje z pana obowiązkami. Nie ma potrzeby, żeby tracił pan na to czas osobiście.

Odchylił się na oparcie krzesła i splótł ręce za głowę.

- Jestem przekonany, że i panna, i Verbeux bardzo się cieszą perspektywą układania mi życia. Zwłaszcza Verbeux czeka na tę okazję od dawna. No, dobrze, panno Smiles, układaj! Postaram się dobrze bawić. Proszę dopilnować, żebym zawsze wiedział, czy mam być ubrany " na bal, na konną przejażdżkę czy na

wieczorek z głupkowato uśmiechniętymi pannami, na których muszę zrobić duże wrażenie znajomością ich ukochanych romantycznych poetów. Phi, gdyby było to konieczne, jestem nawet gotów przeczytać coś tej pani Radcliffe. Oczekuję, że panna będzie nieomylnym przewodnikiem.

Meg wyszła ze swojego azylu w kącie i podeszła do biurka. Pochyliła się nad kopertami, których było chyba ze sto, wszystkie z pięknego czerpanego papieru, z wykaligrafowanymi adresami.

Jean-Marc usiadł prościej i przytrzymał zdrową dłoń panny Smiles na blacie.

- Jak tam zranienie? - spytał. - Boli?
- Skóra na brzegach jest mocno zaczerwieniona - odparła, nie podnosząc wzroku.
- Ale podobno tak ma być. Pan Verbeux zmienił mi opatrunek i twierdzi, że rana wydaje się czysta. Póki ręka się całkiem nie zagoi, trochę będzie mi pomagać Sibyl.
- Dobrze - mruknął i pochylił się ku niej. Przez woalkę mantylki poczuła jego oddech. - Mam nadzieję, że pamięta panna o naszej niedawnej rozmowie. O tym, jak mnie rozpała. Jesteś oryginalna, moja droga. Nie ma drugiej takiej jak ty. A ja uczynię cię moją. Nie zapominaj o tym. Muszę to zrobić.
- Lady Upworth zapewne będzie miała coś do powiedzenia na ten temat.

Zaśmiał się cicho.

- Jesteś zazdrosna? Podoba mi się to, ale lady Upworth nic tu nie ma do rzeczy. Traktuję ją uprzejmie, bo... bo jesteśmy starymi znajomymi. Nie kosztują mnie wiele pozwolić jej tu zostać na sezon. Ufam, że w tym czasie spotka odpowiedniego mężczyznę, aby wypełnił pustkę w jej życiu, która niewątpliwie jest dla niej problemem.

Meg milczała. Myśl o obecności lady Upworth w tym domu przez cały sezon wprawiła ją w bardzo zły nastrój.

Jean-Marc pochylił głowę, dwoma palcami uniósł woalkę i spojrzał jej w oczy. - Ona nic dla mnie nie znaczy - szepnął. - Tylko ty mnie interesujesz.

- O czym tak szepczecie? - spytała księżniczka. - Co knujecie? Nie widzę powodu, bym miała nie uczestniczyć w wyborze domów, które zaszczyćmy naszą obecnością.
- Ja widzę - odparł Jean-Marc. - Twoje zdanie nie będzie brane pod uwagę. Jeśli

chcesz, możesz pomóc mi w podejmowaniu decyzji co do wydarzeń, w których będziesz centralną postacią. Lady Holland, która kilkakrotnie spotkała naszego ojca, wielkodusznie zaoferowała mu Holland House jako miejsce balu na twoją cześć.

Meg zaparło dech z wrażenia.

- Po co tyle hałasu? - spytała Desiree. - Dużo przepychu, mało dobrego smaku.
- A ty, moja droga, będziesz musiała okazać dużo wdzięczności za to, że spotkał cię taki zaszczyt. Ale najpierw pomyślimy o czym innym. Była już mowa o wieczorku muzycznym i proponuję, żeby od niego zacząć. Jak uczynić go absolutnie wyjątkowym wydarzeniem, to już moja sprawa. Zaproszenia od ciebie muszą zawsze gwarantować wydarzenie niepowtarzalne i fascynujące. Chyba panna Smiles się ze mną zgodzi, prawda?
- O, tak. - Wizja wieczorku muzycznego bardzo przemówiła jej do wyobraźni. - Może wymyślimy temat tego wieczorku? Wszyscy musieliby się przebrać. Niechby to było na przykład coś wschodniego. Czytałam, że można wystarać się o niesamowite kostiumy orientalne. A ludzie uwielbiają się przebierać i kogoś udawać.

Jean-Marc spojrzał na nią i powiedział:

- Niewątpliwie. To wspaniały pomysł, panno Smiles. Co o tym sądzisz, Desiree?
- Jeśli to wymyśliła Meg, musi mi się podobać.

Jean-Marc nie przestawał się dziwić sympatii siostry do Meg, nie ulegało jednak wątpliwości, że wyjątkowo dba ona o swoją pannę do towarzystwa, która nie pierwszy raz dowiodła, że jest bezcennym znaleziskiem.

- Cieszę się. Panna Smiles poinformuje modniarkę, że na ten wieczór są wam potrzebne kostiumy.
- Sama się zajmę ich przygotowaniem. Naturalnie uszyć coś dla siebie będzie mi bardzo łatwo. Chętnie udzielę rady i tobie, milordzie jeśli sobie życzysz.

Czy sobie życzysz?

- Bardzo proszę, panno Smiles. Z wielką ochotą skorzystam z rady Mam nadzieję, że nie zapomniła panna o planowanej na dzisiaj wyprawie na Bond Street po zakupy.

Na Bond Street?

- Z pewnością nie musimy jechać na Bond Street, milordzie. Są inne miejsca, gdzie można dostać potrzebne artykuły dużo taniej. - Naturalnie na Bond Street można odwiedzić madame Suzanne i kupić następny flakonik tej mikstury do włosów.

- Mój stangret dostał już instrukcję, żeby zawieźć panny na Bono Street. Proszę dać znać, gdy będziecie gotowe do wyjazdu. Czy panna ma jakąś biżuterię?

Nienawidziła takich osobistych pytań.

- Mamy wspólnie z Sibyl agatowy naszyjnik po matce. I trochę perel, w tym kolczyki. Wszystko doskonale pasuje do okazji.

- To dobrze. Wobec tego bierzmy się dalej do pracy - orzekł wstając.

Rozległo się pukanie i do pokoju wszedł Rench.

- O, widzę pannę Smiles - powiedział, przekrzywiając głowę na bok, jakby go bolała. - Przyszedł jakiś Adam Chillworth. Spod numeru siódmego. Czy chce go panna przyjąć?

Na dźwięk tego nazwiska Meg ogarnęła nostalgia za przyjaciółmi

- Tak. - Zwróciła się do Jean-Marca: - Naturalnie pod warunkiem że nie masz nic przeciwko temu, milordzie. I jeżeli będziemy mieli gdzie porozmawiać.

- Wprowadź, proszę, pana Chillwortha - powiedział Jean-Marc zbierając koperty w stosik. - Uważam za stosowne poznać ludzi, którzy się o pannę troszczą. No, i proszę nie zapomnieć o pilnych przygotowaniach do wieczorku muzycznego. Verbeux zaangażuje Pierre'a do pomocy przy organizowaniu balu w Holland House. Tu też nie ma chwili do stracenia. Wysłałem już lady Holland moje najserdeczniejsze podziękowania.

- Jejku, co za nedorzecznosci - westchnęła Desiree.

- Jeśli znasz prostszy i równie skuteczny sposób na poznanie mężczyzny, który może być dla ciebie odpowiednim kandydatem na męża, to możesz mnie oświecić w tej materii.

- Pan Chillworth - zaanonsował Rench.

Meg podeszła go powitać, wdzięczna Adamowi, że nie zdziwił się na widok jej mantylki.

- Miło mi cię widzieć, Adamie. Tęsknię za wszystkimi przyjaciółmi.
- Ano, rozumiem - odparł. - Jesteśmy niedaleko, po drugiej stronie placu. Zawsze możesz do nas wpaść albo przysłać liścik, żebyśmy cię odwiedzili.
- Wiem - przyznała Meg. - Ta świadomość bardzo dodaje mi otuchy. Jak się wszyscy miewają? Hunter i lady Hester, i Latimer... i służba?
- Wszyscy mają się dobrze - odrzekł, przyglądając jej się przez koronki mantylki. - Tęsknimy za tobą, choć naturalnie wiemy, że wrócisz. Mam ci coś powiedzieć, ale Sibyl ostrzegła, że może cię to wzburzyć.

Czy jej się zdawało, czy też akcent Adama był jeszcze wyraźniejszy niż zwykle?

- Nie sędzę, żebyś mógł powiedzieć coś, co mnie wzburzy. - Nagle przypomniała sobie o manierach. - Ale pozwól, że przedstawię ci hrabiego Etrangerera z Mont Nuages, i jego siostrę, Jej Wysokość księżniczkę Desiree.

Adam stracił nieco swobody, ale podszedł do hrabiego i księżniczki i skłonił się przed każdym z osobna.

- To dla mnie zaszczyt - powiedział. - Musicie być porządnyimi ludźmi, skoro zauważyliście, jaką perłą jest nasza Meggie. Macie szczęście, że u was pracuje. Z pewnością da wam powody do dumy. Meggie nie ma sobie równych.

Meg chrząknęła, żeby przerwać Adamowi te dość krępujące wyrazy uznania.

Natychmiast urwał i spojrzał na nią tak, jakby oczekiwał wskazówek.

- Domyślam się, że chcesz porozmawiać na osobności, Adamie - powiedziała.
- Nie rozumiem dlaczego - wtrącił natychmiast Jean-Marc. - Z pewnością nie chodzi o nic, co trzeba by przed nami ukryć.
- Och, nie - zachnął się Adam. - Naturalnie nie. - Spojrzał za plecy Meg, tam, gdzie stała księżniczka, i już nie oderwał od niej wzroku.
- W takim razie - skostatował Jean-Marc - proszę usiąść z nami, a ja zadzwonię na służbę, żeby podano napój odświeżający.

Adam mruknął coś, co zapewne było zgodą na tę propozycję, ale ani na chwilę nie

przestał patrzeć na księżniczkę. Ona zresztą również przyglądała mu się z największą uwagą. Akurat miała na sobie nową suknię, otaczała ją chmura różowego jedwabiu, z marszczeniami przy szyi i ramionach. Marszczenia zdobiły również spódnicę. We włosy Meg wplotła księżniczce różowe kwiaty z tego samego jedwabiu. Była to prawdziwa uczta dla oczu.

- Jak podoba się Waszej Wysokości w Londynie? - spytał Adam, zaskakując Meg wytwornością. - Mam nadzieję, że nie czujesz się przytłoczona wielością wydarzeń, Wasza Wysokość. Prawdę mówiąc, nie wygląda pani na osobę, która lubi przesadne zamieszanie, jeśli wie pani, co mam na myśli.

- Och, wiem - ucieszyła się Desiree, a Meg ze zdumieniem zauważyła, jak bacznie jej podopieczna przygląda się przystojnemu Adamowi. - Mam spokojną naturę. Rzeczywiście nie przepadam za takim pośpiechem i hałasem.

Adam nieznacznie się skrzywił.

- Nie dziwię się. Dla tych z nas, którzy lubią po prostu swój dom i nieduże, ale dobre towarzystwo, tłok bywa bardzo męczący.

- O, tak, - przyznała księżniczka. - Co pan robi, jeśli wolno spytać?

Meg zobaczyła, że Jean-Marc niespokojnie drgnął.

- Jestem malarzem, proszę pani... to znaczy Wasza Wysokość. A przynajmniej próbuję nim być. To dość trudne dla nieznannej osoby, która nie ma odpowiednich znajomości.

W Meg obudził się instynkt opiekuńczy.

- Adam jest bardzo utalentowanym portrecistą. Wiem o tym, chociaż nigdy nie chciał mi pokazać żadnego swojego obrazu. Jest bardzo tajemniczy. Przyjaciółka lady Hester Bingham, właścicielki domu pod siódmym, mówi, że Adam malował portrety dzieci jej znajomej i podobno były niezwykle. Właśnie takiego słowa użyła: „niezwykłe”. Adam odwrócił głowę.

- Dziękuję ci, Meggie, moja droga, ale nie jesteś tu bezstronna.

- Czyż nie uważasz się za utalentowanego malarza?

- Jestem skromnym człowiekiem i sam też nie mam zwyczaju prawić innym komplementów. Naturalnie miewam swoje dobre chwile.

- Podczas pobytu w Londynie muszę zamówić sobie portret - orzekła Desiree. - Papa się tego domagał. Ale wiem, że trzeba przy tym godzinami siedzieć nieruchomo i wcale mi się to nie marzy.

- Są sposoby, żeby zmniejszyć niewygodę - powiedział Adam.

- Wobec tego proszę namalować mój portret.

Meg zerknęła na Jean-Marca, który skierował w stronę sufitu błagalne spojrzenie.

- Będzie mógł, prawda, Jean-Marc? - spytała księżniczka. - Proszę. Jestem przekonana, że przy nim będę czuła się swobodnie.

- Zobaczymy - odrzekł brat, choć zabrzmiało to tak, jakby był bliski kapitulacji. - Naturalnie musimy zobaczyć jakieś prace pana Chillwortha... no, i dowiedzieć się, czy interesuje go takie zlecenie.

- Zrobi pan to? - spytała księżniczka. - Pokaże nam swoje prace i przyjmie zlecenie?

- Niewykluczone - odpowiedział Adam i nagroził księżniczkę rzadkim u siebie, lecz jakże uroczym uśmiechem. - Jeśli propozycja jest poważna, to pan hrabia na pewno zwróci się do mnie oficjalnie.

- To prawda - przyznał Jean-Marc zbyt skwapliwie, by Meg mogła wziąć to zapewnienie za dobrą monetę.

- Meggie, przyszedłem tutaj, bo wydaje mi się, że jesteś potrzebna Sibyl.

Ta nieoczekiwana zmiana tematu sprawiła, że Meg natychmiast nabrała czujności.

- Czy coś się stało? Spodziewamy jej się tutaj za godzinę.

- Bez wątplenia zamierza przyjść tak, jak było umówione... naturalnie jeśli uda jej się uwolnić od towarzystwa twojego szacownego kuzyna, pana Williama Godly-Smythe'a.

- Williama? - zdziwiła się Meg. - Myślałam, że on jest w Puckly Hinton. Tak w każdym razie twierdził wielebny Baggs.

- Wielebny Baggs to zupełnie inna sprawa. Ma zamieszkać w pokojach Latimera More'a na czas załatwiania w Londynie różnych kościelnych spraw. Powiedziałbym, że to dość niezręczna sytuacja dla wszystkich zainteresowanych.

Meg nie podjęła tego tematu. O Baggsie mogła pomyśleć później.

- Dlaczego sądzisz, że powinnam iść pod numer siódmy?

- Ja nie sądzę. Ja to wiem. - Zerknął na dwie pozostałe osoby obecne w pokoju. - Im mniej powiem, tym lepiej. W każdym razie twój kuzyn wbił sobie do głowy, że ponosi odpowiedzialność za ciebie i Sibyl. Sibyl przeprosiła go na chwilę pod jakimś pretekstem i przybiegła do mnie. Najpierw próbowała zaalarmować Huntera, ale wiesz, jak trudno zastać go w domu.

- Tak - potwierdziła Meg, coraz bardziej zaniepokojona. - Ale co ona ci powiedziała?

- Och, to w sumie dość proste. Kuzyn wszystko przemyślał, no i wynalazł sposób, żebyście nie musiały wykonywać pracy, która zdaniem Williama jest niestosowna dla członków jego rodziny. Proszę o wybaczenie - zwrócił się do hrabiego, który sztywno skinął głową. - Postanowił poślubić Sibyl i zabrać was obie z powrotem do Puckly Hinton.

Scandalous

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jean-Marc zaproponował, że będzie towarzyszyć Adamowi i Meg, ale ta zdołała go przekonać, że w ten sposób tylko podniósłby i tak wysokie mniemanie o sobie aroganckiego kuzyna. Poza tym William mógłby się poczuć bardziej zagrożony. Meg uważała, że najłatwiej wyperswadować mu misję, do której poczuł się powołany, reagując uprzejma, lecz stanowczą odmową.

- Ten Godly-Smythe wszedł dzisiaj rano do naszego domu z wściekłym rykiem - powiedział Adam. - Śmiertelnie przeraził Sibyl. Poradziłem mu, żeby poszedł na spacer i trochę ochłoniął. Przez chwilę miałem nawet wrażenie, że się na mnie rzuci... ale w końcu chyba się opamiętał.

Meg spojrzała w górę, na profil Adama.

- Cieszę się, że mój kuzyn ma przynajmniej trochę rozsądku. Bez wątpienia przyjrzał ci się i doszedł do wniosku, że ma niewielkie szanse w takiej potyczce. - Byli coraz bliżej furtki. Meg westchnęła. - On nie ma nad nami żadnej władzy, mimo to uparcie wtrąca się do naszych spraw, twierdząc, że jest naszym najbliższym krewnym i jako mężczyzna czuje się za nas odpowiedzialny. Szkoda, że nie wykazywał tej odpowiedzialności, gdy musieliśmy z Sibyl opuścić Puckly Hinton, bo czułyśmy się intruzami w naszym własnym domu. Nigdy nie zrozumieję zasad, jakimi kierują się mężczyźni, utrzymując, że kobieta nie może odziedziczyć nieruchomości. Właśnie z tego powodu popadłyśmy w kłopoty, Adamie. Ale nawet największe kłopoty nie skłonią nas do korzystania z odruchów miłosierdzia Williama Godly-Smythe'a.

-- No, pewnie - potwierdził zapalczywie Adam.

- On prawie nie zwrócił uwagi na to, że wyjeżdżamy z Puckly Hinlon. Nie rozumiem, skąd u niego taka nagła zmiana.

Adam zerknął na nią.

- To nie moja sprawa, ale na waszym miejscu zachowałbym daleko posuniętą ostrożność. A teraz z innej beczki. Wybacz mi to pytanie, Meg, ale dlaczego zmieniłaś kolor włosów?

Zachichotała, ujęta jego powściągliwością.

- Nie mogę ci wytłumaczyć. To byłoby dla mnie za bardzo krępujące.
- Krępujące? Teraz dopiero mnie zainteresowałaś, ale postaram się okazać cierpliwość. Mam nadzieję, że w końcu mi powiesz.

Meg zadumała się głęboko, zaciskając zęby. Czy mogła zwrócić się z taką prośbą do mężczyzny?

- Hm... A czy możemy zawrzeć pewną umowę? - Przystanęła, więc Adam również przystanął i spojrzał jej w twarz. - Jeśli obiecuję ci powiedzieć któregoś dnia, jakie miałam plany, to czy załatwisz mi coś na Bond Street? Powiem ci dokładnie, gdzie znaleźć potrzebne miejsce, i dam ci liścik do właścicielki.
- Co to za sklep?
- No, w pewnym sensie apteka, chociaż niezupełnie. Może... no, nie, po prostu miejsce, gdzie można kupić określone substancje.

Adam wydawał się całkiem zdezorientowany.

- Przepraszam, że cię poprosiłam. Nie powinnam była tego robić.
- Daj mi ten liścik. Gdziekolwiek to jest, na pewno znajdę i przyniosę ci to, czego potrzebujesz.

Meg odetchnęła z ulgą.

- Dziękuję ci bardzo. Czy mógłbyś tam iść jeszcze dzisiaj?
- Dla ciebie zawsze - odparł, choć widać było, że chce mu się śmiać.

Dotknęła jego policzka, ale natychmiast cofnęła rękę.

- Dziękuję, Adamie. Wkrótce dam ci karteczkę. Jeszcze raz dziękuję.
- Podziękowałaś mi już kilka razy.
- Najlepiej zostaw potem to coś w naszym mieszkaniu. Na stoliku Tumana są zapasowe klucze.
- O to się nie martw.

Ruszyli dalej, po chwili musieli jednak znowu przystanąć, żeby przepuścić wóz z

węgłem.

- Popatrz na narcyzy. - Wskazał skwer pośrodku placu. - Ale odważne. Zima była chłodna, jeszcze teraz nie ma wiele słońca, a one czują swój czas i wychodzą. Chyba tylko po to, żeby podnieść nas na duchu.

- Robią to. - Meg spojrzała na Adama. Próbował odwrócić jej myśli od przykrych spraw. Kusiło ją, żeby podzielić się z nim swoimi ostatnimi kłopotami, naturalnie pomijając intymne szczegóły, opowiedzieć tylko o swoich uczuciach i obawach. Adam niezłomnie wspierał siostry duchowo, odkąd przyjechały do Londynu, niejedną wieczór spędzili na rozmowach przy kominku. Był skomplikowanym i dumnym człowiekiem. Kiedyś Meg chciała, by obdarzył ją czymś więcej niż tylko przyjaźnią, ale w końcu musiała porzucić takie nadzieje. Adam oddał duszę i ciało sztuce.

Weszli po schodkach i Adam otworzył drzwi swoim kluczem. Gdy znaleźli się w sieni, spojrzali w górę i powiedzieli:

- Pójdę z tobą, jeśli sobie życzysz.

- Gdybym nie była pewna, że zemdlejesz, pocałowałabym cię za tę propozycję. - Meg uśmiechnęła się i zrobiło jej się lżej na duszy.

Dziękuję, ale nie. Nie boję się mojego kuzyna. Po prostu okropnie mnie nuży, chociaż powinnam traktować go uprzejmie i wierzyć w jego dobre intencje. - Wzięła ze stolika pióro, zanurzyła je w kałamarzu i pochyliła się nad kartką, by napisać liścik.

Niespodziewanie Adam pogłaskał ją po policzku i pięknie się uśmiechnął.

- Nie ma na świecie drugiej takiej osoby jak ty, Meggie. Równie życzliwej i szczodrej. - Cofnął rękę i gestem zaprosił ją do wejścia na schody. - Nie zapominaj, że i ty, i Sibyl jesteście dla mnie ważne. Jesteście ważne dla wszystkich mieszkańców tego domu. Gdybyście potrzebowały jakiegokolwiek pomocy, przyjdźcie prosto do mnie. Rozumiesz?

Meg zaczęła się wspinać na schody.

- Rozumiem. I jestem ci bardzo wdzięczna. Czy chciałbyś namalować portret księżniczki, Adamie?

Znieruchomiał, a gdy się odwróciła, ujrzała w jego oczach wyraz zadumy.

- Ano, chyba mógłbym. Ciekawa twarz. Nie pierwszy raz malowałbym kogoś, kto...
- Kto co?
- Och, mniejsza o to. Gdyby naprawdę była szansa na to zlecenie, chętnie się go podejmę. Do widzenia, Meggie. Pamiętaj, że jestem do twoich usług.

Przez chwilę, póki Adam nie znikł jej z oczu piętro wyżej, zastanawiała się, co miał na myśli. Był jednak najwyższy czas przyjścia z odsieczą Sibyl.

Scena rozgrywająca się w salonie mieszkania pod numerem siedem była jeszcze bardziej przynębiająca, niż przewidywała Meg. Kuzyn William stał w rozkroku przed niewielkim kominkiem, z rękami założonymi za plecy i marsowym grymasem na twarzy. Sibyl znajdowała się w drugim końcu pokoju. Zdążyła już włożyć ciężką, czarną pelerynę dobrze chroniącą przed zimnem.

- Dzień dobry - powiedziała Meg do kuzyna. Potem uśmiechnęła się szeroko do Sibyl i zwróciła się do niej: - Zaplanowano wieczorek muzyczny na cześć księżniczki. Będzie wspaniała zabawa. Ponieważ ma to być wieczorek kostiumowy, postanowiliśmy, że będą obowiązywać kostiumy orientalne. Ale o tym możemy porozmawiać później. Mam nadzieję, że udzielisz mi kilku rad.
- Meg - odezwał się złowieszczym tonem William - nalegam, żebyś skupiła uwagę na tym, co mam do powiedzenia. Ty i Sibyl też. Sibyl tymczasem odmawia zgody na moją propozycję, chociaż przyszedłem do niej ze szczerego serca... i do ciebie również.

Meg postanowiła niczego nie udawać.

- Widzę, że przyszedłeś z propozycją. W ogólnych zarysach orientuję się, czego ma ona dotyczyć. Doceniam to, a Sibyl bez wątpienia podziela moje uczucia. Niestety, chociaż rozumiemy, że cię to rozczaruje, twoje życzenia nie pokrywają się z naszymi.

William poprawił kołnierz, a jego twarz przybrała odcień ciemnopurpurowy.

- Co się z tobą dzieje, Meg? - wybuchnął. - Niby zawsze byłaś dość... zdecydowaną panną, ale nigdy nie przejawiałaś takiej gwałtowności. Gwałtowność doprawdy nie przystoi kobiecie.

Meg spuściła wzrok.

- No, owszem, rozumiem - ciągnął William tonem, w którym zadźwięczała nuta żalu. - Jesteście same w wielkim mieście, które nie jest odpowiednim miejscem dla dobrze wychowanych panien ze wsi. Widzę, że tobie szkodzi to nawet bardziej niż jej i trudno się dziwić. Masz silniejszą wolę, więc to ty decydujesz o wszystkim i starasz się chronić siostrę. Jeśli w ogóle jest możliwe, żeby panna kogokolwiek chroniła w takim niestosownym miejscu.

- Pomagamy sobie wzajemnie - powiedziała cicho Sibyl i przysunęła się bliżej Meg. - Prawda?

Meg ujęła siostrę za rękę.

- Naturalnie. Nikt więcej z rodziny nam nie został. Z szacunku dla pamięci o mamie i tacie musimy prowadzić uczciwe życie i wzajemnie się wspierać.

William oparł się o gzyms kominka i spojrzał w ogień.

- Jak się goi twoja ręka, Meg? Natychmiast schowała zranioną rękę za plecy.

- Wielebny Baggs poznał szczegóły wypadku, pytając służbę hrabiego. Na szczęście trzeźwo ocenił sytuację i wysłał do mnie posłańca. Natychmiast tu przyjechałem. Dodam, że w nocy nie jest to bezpieczne.

- To jest zaledwie skaleczenie. - Czasem drobne kłamstwo może okazać się konieczne. - Niepotrzebnie tak się narażałeś.

Staął wyprostowany. Meg zdecydowanie go nie lubiła, musiała jednak przyznać, że jest postawny.

- Nie mogłem postąpić inaczej - odparł. - Bywają chwile, gdy mężczyzna musi stawić czoło swoim demonom i zastanowić się nad życiem. Zrobiłem to i nie jestem zadowolony. Popełniłem błąd, pozwalając odejść tobie i Sibyl z waszego domu w Puckly Hinton. Och, takie jest prawo i pod tym względem wszystko odbyło się prawidłowo, ale nie powinienem był spocząć, póki nie namówiłbym was do pozostania.

Sibyl mocno uścisnęła rękę Meg i Meg zrozumiała, że jej wrażliwa siostra pragnie pocieszyć Williama. Na wszelki wypadek odpowiedziała jeszcze mocniejszym uściskiem, żeby zmusić ją do milczenia.

Nagle William promiennie się uśmiechnął.

- Na szczęście to wszystko jest już za nami. Zrozumiałem swoje błędy i jestem

zdecydowany wam zadośćuczynić. Pod twoją nieobecność Sibyl czuła się skrępowana, lecz teraz z pewnością chętnie mi odpowie. Poprosiłem ją, żeby została moją żoną, i zaprosiłem razem z tobą do Puckly Hinton. No, tak. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Jak mogłem zwlekać z przywiezieniem wam takiej wiadomości? Wyznaję, że już od pewnego czasu wsłuchiwałem się w głos serca, który podpowiadał mi takie rozwiązanie. Sibyl nie jest silna, Meg, więc poprowadzisz dom, co niewątpliwie sprawi ci przyjemność. Nie jesteś panną, która lubi próżnować. No, i obie będziecie odnosić towarzyskie sukcesy. Naturalnie waszym obowiązkiem będzie utrzymywanie kontaktów z wszystkimi damami w okolicy, mającymi pewną pozycję. Obie jesteście wykształcone, może nawet za bardzo, ale wasz ojciec hołdował dość niecodziennym przekonaniom... w każdym razie jako wykształcone panny będziecie szanowanymi paniami domu. No, a ja będę z was dumny.

Ani Meg, ani Sibyl nie mogły wydobyć z siebie słowa. Sibyl jeszcze mocniej ścisnęła Meg za rękę.

- Widzę, że odebrało wam dech i mowę. - William roześmiał się i opuścił z palców na pięty i z powrotem, bardzo z siebie zadowolony. - Doskonale to rozumiem. Ta propozycja musiała na was zrobić wrażenie. Wasze życie radykalnie się zmieni, a przecież jeszcze niedawno nawet nie marzyłyście o tak wspaniałej odmianie.

- Williamie...

- Nie. - Wyciągnął przed siebie otwartą dłoń i pokręcił głową. - Nie dziękujcie mi. Tylko wprawiliście mnie w zakłopotanie. Wystarczy mi, że zobaczę waszą radość, bo jej częśćka stanie się moim udziałem. Och, jakże się cieszę. Wreszcie mi ulżyło. Jakie to cudowne uczucie naprawić własny błąd. Znow będziemy prawdziwą rodziną. - Przesłał Sibyl ciepłe spojrzenie. - Może wspominał o tym zbyt szybko, ale nie potrafię się powstrzymać. Czuję ciepło w sercu na myśl o dzieciach, które narodzą się z naszego związku, i o ich dorastaniu pod opieką kochających rodziców.

Meg odwróciła się do Sibyl. Chciała poznać reakcję siostry na te oświadczenia, szczerą reakcję. Sibyl miała zmarszczone czoło i górną wargę nieznacznie wywiniętą do góry. Jej dłonie były wilgotne.

- Czy mam odpowiedzieć w twoim imieniu? - spytała cicho Meg, a Sibyl szepnęła, że tak, po czym wolno pokręciła głową.

- Dziękujemy ci, kuzynie, za twoją propozycję - zaczęła Meg. – Doceniamy troskę o nas, ale jest ona doprawdy zbędna. Mamy pracę, a więc i dochody, i zamierzamy dalej żyć w ten sposób.

- Niewątpliwie bardzo was zaskoczyłem. Usiądźcie, moje drogie, koniecznie usiądźcie i ochłońcie. To nie jest sen. Już nikt wam mnie nie ukradnie. Sen stał się rzeczywistością. Pewnie zastanawiacie się, dlaczego tak długo zwlekałem z decyzją o ożenku. Wprawdzie wiele dam widzi we mnie atrakcyjną partię, ale dotąd nie mogłem związać się z żadną z nich. Wreszcie zrozumiałem przyczynę. To ciebie, Sibyl, pragnąłem otoczyć moim nieprzemijającym uczuciem.

Sibyl puściła rękę Meg, podeszła do kuzyna i stanęła krok przed nim.

- Nie słuchasz - powiedziała stanowczo, wprawiając tym Meg w zdumienie. - Ja wcale nie chcę cię poślubić. Bardzo ci dziękuję za tę szczodłą propozycję, ale nie mogę jej przyjąć.

Meg omal nie zaczęła klaskać.

William chwycił Sibyl za palce i uniósł jej dłoń do warg. Przymknął powieki i złożył na niej pocałunek. Biedna Sibyl dosłownie zdrętwiała.

- Williamie - odezwała się Meg.

- Nie - przerwała jej Sibyl. - Nie, Meggie, sama muszę załatwić tę sprawę. Williamie, bardzo ci dziękuję za tę niezwykle pochlebną propozycję, ale jeszcze raz powtarzam, że nie mogę jej przyjąć.

- Ależ musisz - zaprotestował, wolno podnosząc głowę. - Nalegam.

- Byłoby najlepiej, gdybyś natychmiast opuścił ten dom - odparła Sibyl.

- Dlaczego? Co cię naszło? Przecież jesteś panną, która zna swoje miejsce. Nigdy nie próbowałaś burzyć porządku rzeczy. Przyjąć mnie jest twoim obowiązkiem.

Ta oburzająca zuchwałość długo dźwięczała Meg w uszach. William wierzył, naprawdę wierzył w to, co powiedział.

Tymczasem jego głos stał się znacznie wyższy niż przed chwilą.

- Właśnie, że pojedziecie ze mną do domu. Obie! Jeszcze dzisiaj. Rozumiecie?

- Sibyl - wtrąciła Meg. - Naprawdę musimy już iść pod numer siedemnasty. Ja

mam jechać na Bond Street, a na ciebie czeka księżniczka.

- Księżniczka - powtórzył William, krzywiąc się z pogardą. - Jak oni muszą się śmiać z wiejskich panien, którym przywidziało się, że mogą służyć wysoko postawionym osobom. Prawdę mówiąc, nie rozumiem, dlaczego korzystają z tak niestosownej pomocy. Nie, inaczej. Wyobrażam sobie, ale wolałbym tego nie wiedzieć.

Meg spojrzała mu prosto w twarz.

- Musimy już iść, kuzynie. Przepuść nas, proszę.

- Co zostało zrobione w sprawie brzytwy? - spytał zniecierpliwiony William. - Czy wszyscy mieszkańcy domu zostali przesłuchani? Czy naprawdę sądzisz, że spokojnie wrócę do domu, mając świadomość, że grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo? Nie ma najmniejszej potrzeby, żebyście pracowały jak pospolite kobiety pozbawione środków do życia.

- Nie jesteśmy kobietami pozbawionymi środków do życia - przypomniała mu Meg. Zamierzała dodać coś o kurczących się dochodach z funduszu powierniczego, ale duma jej nie pozwoliła. - I nie ma nic wstydliwego w tym, że ktoś zarabia pieniądze, uczciwie pracując.

William nadął się ponad miarę.

- Przynosicie hańbę rodzinie. Nikt z waszych przodków nie upadł tak nisko, żeby iść na służbę.

Nie miało sensu się z nim spierać.

- Nie było naszym zamiarem wprowadzić cię w zażenowanie, Williamie - powiedziała Meg. - Poinformowano nas jednak, że jeśli nasze fundusze powiernicze jeszcze przez kilka lat mają dawać dochód, to musimy natychmiast obniżyć czerpane z nich sumy, i tak też się stało. To z kolei spowodowało, że zaczęliśmy szukać sposobu wyrównania różnicy. Nawet lekcje muzyki dawane przez Sibyl i moje szycie nie pokrywały braków. Ponieważ nie jesteśmy kobietami, które poddają się niesprzyjającym okolicznościom, postanowiliśmy działać. Tak też zrobiliśmy i bardzo nas cieszy przekonanie, że udało nam się wziąć nasz los w swoje ręce.

William wyraźnie zdrzął. Meg nie sądziła jednak, by był to u niego objaw niespełnionej namiętności. Kuzyn po prostu wpadł w wielki gniew, widząc, że jego akt wielkodusznej dobroczynności został odtrącony, a one nie rzuciły się przed nim

na kolana, by dziękować za tę łaskawość.

Ktoś zapukał, więc Meg powiedziała „proszę” i ich oczom ukazał się Tuman, który rozejrzał się po pokoju swoimi wyłupiastymi oczami, skinął głową i rzekł:

- A więc panny przyjmują?

Verbeux obszedł kamerdynera i jak zwykle pewny siebie i elegancki stanął w salonie.

- No, nie - wybuchnął William. - Wyjdź pan! Wyjdź pan natychmiast! To jest rozmowa o sprawach rodzinnych.

Verbeux spojrzał na Meg.

- Przysłał mnie hrabia Etranger, panno Smiles.

- Słyszysz mnie pan? - grzmiał William. - Rozmawiamy o poważnych sprawach. Do diabła z Etrangerem!

Meg i Sibyl jednocześnie się zachnęły.

Verbeux tylko się uśmiechnął, nie okazując najmniejszego zamiaru opuszczenia pokoju.

- Wynoś się, człowieku! - pieklił się William. - Bo jak nie, to wezwę konstabla i każę cię wyrzucić.

- Można by spytać, na jakiej podstawie - chłodno zwrócił mu uwagę Verbeux. - Mam towarzyszyć pani pod numer siedemnasty, panno Sibyl. Jest tam Ash. Potrzebne są decyzje w sprawie wieczorku muzycznego. Czas nagli. Zaproszenia będą roznosili posłańcy.

- Och, naturalnie - powiedziała Sibyl bez wątpienia wdzięczna za to, że ma pretekst do ucieczki. - Natychmiast idę.

- Nie wyjdiesz, dopóki ci na to nie pozwolę - sprzeciwił się William.

Verbeux zwrócił się do Meg.

- Mam towarzyszyć pani na Bond Street. To też pilne. Tak zdecydował pan hrabia. Musimy niezwłocznie wyjść. Umówione terminy.

Meg zrozumiała komunikat Verbeux wygłoszony jego lakonicznym stylem.

Uśmiechnęła się do kuzyna i powiedziała:

- Proszę, bądź pewien, że Sibyl i ja jesteśmy głęboko wzruszone twoją troską. Naturalnie nigdy nie zapomnimy twojej wielkoduszności. Chętnie zresztą skorzystam z zaproszenia i w niedługim czasie przyjadę do Puckly Hinton w kilkudniowe odwiedziny. Bardzo ci dziękuję, Williamie. Znowu mam poczucie, że jestem tam mile widzianym gościem.

- Ja... ja...

- O, tak - podchwyciła Sibyl. - Kilkudniowe odwiedziny w Puckly Hinton to doprawdy uroczy pomysł. Może latem?

William z beznamiętną twarzą podszedł do drzwi i otworzył je na oścież.

- Zamąciły wam w głowie te wszystkie arystokratyczne banialuki. Ale prędzej czy później odzyskacie zdrowy rozsądek, przynajmniej do pewnego stopnia. Tymczasem wybaczam wam całkowity jego brak i będę dalej obserwował wasze poczynania. Wystarczy jedno wasze słowo i przyjdę na pomoc. A wypowiecie je na pewno. Pamiętajcie! Wciągnięto was w bardzo niestosowną sytuację. Czuję tutaj...
- uderzył się w pierś - że nie jesteście bezpieczni z tymi ludźmi, którzy z pewnością nie mają wobec was czystych zamiarów.

- Musimy iść - orzekł Verbeux, więc zarówno Sibyl, jak i Meg sięgnęły po swoje torebki.

William jeszcze przystanął na progu.

- Możesz powiedzieć swojemu panu - zwrócił się do Verbeux - że jeśli coś stanie się mojej kuzynce w czasie, gdy jest w jego służbie, to jemu przypiszę za to całkowitą odpowiedzialność. Bądź co bądź, to właśnie w jego domu ktoś umieścił brzytwę w takim miejscu, by zadać jej ranę. A może nawet by ją zabić?

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Tu Spivey.

Och, nie jest dobrze. W gruncie rzeczy jestem tylko człowiekiem. Chciałem powiedzieć, że jestem tylko zwykłym duchem... nie, wcale nie zwykłym. Jestem wyjątkowo skomplikowanym duchem i dość już wycierpiałem. Musicie być wyrozumiali w czasie, gdy otwieram się na to, co czuję.

A jaj!

Nie, nie, nie, tego nie zniosę. Nie mogę. Pogryzłem sobie knykcie do krwi... To znaczy pogryzłbym, gdyby... gdyby... Och, do lamusa z tym wszystkim i niech to piorun strzeli.

A jaj!

Jak bardzo tęsknię za tym, by móc stawiać normalne kroki i normalnie załomotać do drzwi. Miałbym wtedy satysfakcję wyrzucenia na bruk kilku służących i przyglądania się, jak żebrzą, żeby przyjąć ich z powrotem. To byłoby niezapomniane przeżycie wykopać drewniany kikut spod kuternogi albo dać dziewczynce z zapałkami szylinga tylko po to, by natychmiast wyrwać go jej z ręki.

Chcę odczuć satysfakcję, triumfować.

Zasługuję na to, żeby ułożyć wszystko po swojej myśli, i to szybko.

Będzie tak, jak mówię, i niech diabli wezmą... Au, przejęczyłem się. Będzie tak, jak mówię, a diabłu sprawi to niekłamaną przyjemność.

No, przynajmniej znów się pozbierałem. Jestem wyczerpany, zawiedziony, zniweczono moje doskonałe rozwiązanie, ponieważ... ponieważ ktoś nie był świadom wszystkich możliwych konsekwencji... ale przynajmniej się pozbierałem.

William Godly-Smythe chciał poślubić Sibyl i zabrać ze sceny obie głupiutkie panny Smiles... jednocześnie i ostatecznie. To byłoby doprawdy fortunne wydarzenie. Nie byłoby najmniejszej obawy, że któraś z nich może pozostać.

Ale Meg Smiles poznała swojego *l'amore* i liznęła smaku namiętności. Wydaje jej

się, że jest zakochana. I jeśli nie uda mi się odwrócić tego, co wydaje się nieuniknione, to bez wątpienia wkrótce będziemy świadkami... Hm. Zapomnijcie o tym, co zacząłem mówić. To nie było ważne. Nie chcę ponosić odpowiedzialności za skalenie waszych uszu lub oczu obnażaniem ohydy takiego... ohydneho obnażania się. Wierzcie mi. Oszczędzę wasze delikatne zmysły.

Dlaczego nie wiedziałem o istnieniu Williama Godly-Smythe'a, zanim zdecydowałem się na inny, o wiele trudniejszy sposób?

Nie wiedziałem i na tym koniec. Teraz jednak jestem jeszcze bardziej niż przedtem zdecydowany doprowadzić mój plan do końca i osiągnąć cel. Pośpiech, oto właściwe słowo. Pośpiech, moi drodzy. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby przekonać naszych przyjaciół, że ich ukochany sezon to istny wir. Dzięki temu łatwiej mi będzie łączyć w parę nasze gruchające gołąbki tak często, jak tylko to możliwe. Tu liścik, tam wiadomość, gdzie indziej sugestia...

Wiecie, zaczynam się zastanawiać, czy Etranger nie jest przypadkiem mniej beznamiętny, niż mi się początkowo zdawało. Na myśl o tym przechodzą mnie ciarki, ale dopuszczam nawet taką możliwość, że ma w swej naturze szczyptę - czy odważę się to powiedzieć? - romantyzmu. Aż drętwieję z zimna na dźwięk tego słowa, ale to może być dla ranie użyteczne, czyż nie? Stanowczo muszę zbadać, czy nie jestem w stanie wyciągnąć z tego jakiejś korzyści.

Ahoj, panie Marlowe.

Nawet nie zauważyłem, że nadlatuje. Ten człowiek lata jak zółw, jest ciężki w środku i macha wszystkim, czym może.

Dziękuję, mam się dobrze, sir. Czy ostatnio pomógł pan komuś napisać zgrabną sztukę? Aha, nieświadomie? Nie, nie widziałem ostatnio pana Szekspira. Nie, z pewnością nie powiem mu, że pan go szuka, jeśli pan sobie tego nie życzy.

Do widzenia, sir. Uwaga na przewrócone drzewa, hm? Ha, ha, rzeczywiście niewiele brakowało, sir. Do zobaczenia.

No, poleciał. Nad dachami, daleko, daleko. Mam nadzieję, że jak najdalej ode mnie. Christopher Machacz, tak go nazywamy. Ale cieszę się, że lepiej pisał, niż lata.

Miejcie dla mnie cierpliwość. Będę wam donosił o rozwoju wydarzeń.

A jaj!

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Meg wcisnęła plecy w ciemnozielone poduchy i popatrzyła na ulicę przez szybę powozu hrabiego Etrangerera. Gdyby zastanowiła się nad wydarzeniami oczekującymi księżniczkę Desiree, z pewnością doszłaby do wniosku, że w najbliższym czasie nieraz będzie podróżować w ten sposób. Prawdę mówiąc, nie przemyślała dokładnie bardzo wielu kwestii.

I oto panna Meg Smiles z Puckly Hinton jechała na Bond Street zielonym powozem, który lśnił w popołudniowym słońcu. Za szybą przechodziły tłumy ludzi, niektórzy spieszyli gdzieś w interesach, inni spacerowali dla przyjemności. Wszyscy mieli twarze pełne wyrazu, a ci, którzy przystanęli, by porozmawiać, pomagali sobie gestykulacją.

Verbeux pomógł jej wsiąść do powozu, a sam usadowił się obok stangreta. Meg była zadowolona, że nie jechał w środku, bo nie czuła się przy nim swobodnie.

Na Bond Street powóz przetoczył się szybko obok kilku eleganckich sklepów. Przed wystawami stali ludzie, bogaci i biedni, a wszyscy wskazywali piękne towary. Gdy konie zaczęły zwalniać, Meg poczuła niepokój. Nigdy nie lubiła niespodzianek, a to, co miało za chwilę się stać, bez wątpienia należało traktować jak niespodziankę. Do którego sklepu ma wejść? Gdyby sama wybierała miejsce, gdzie kupi pantofle, na pewno nie znajdowałoby się ono na tej ulicy. Jeśli nie liczyć sekretnej wyprawy do madame Suzanne, nie kupiła tutaj ani jednego towaru, zresztą nie było jej na to stać.

Zatrzymali się.

Teraz nie odważyła się wyrzeć na ulicę.

Drzwi powozu otworzyły się i stangret przystawił schodki. Meg usłyszała gwar podekscytowanych głosów, przymrużyła więc powieki, gdy mimo silnego słońca zobaczyć, co wywołało takie poruszenie. Verbeux zajrzał do środka, wyciągnął ramię i powiedział:

- Jeśli pani pozwoli...

Pomógł jej zejść na chodnik, gdzie cisnęli się ludzie, szepcząc coś między sobą i

wyciągając szyje.

Meg obejrzała się za siebie, zerknęła na wspaniały herb zdobiący powóz, a potem znów na gapiów.

- Co oni mówią? - spytała Verbeux - Kogo chcą zobaczyć? Parsknął śmiechem.
- Panią. Chcą panią zobaczyć i dowiedzieć się, kto jest tak ważną osobą. Proszę spojrzeć, właściciel i jego subiekci już czekają. Pan Birk nigdy nie wychodzi przed sklep, chyba że chce powitać wyjątkowego klienta.
- Ci ludzie musieli się bardzo rozczarować - szepnęła Meg i ruszyła w stronę mężczyzny, który prawdopodobnie był panem Birkiem i stał razem z dwoma innymi mężczyznami i drobną kobietą. Wszyscy rozptywali się w uśmiechach i prześcigali w ukłonach.
- Jak oni mogą patrzeć na mnie i myśleć, że jestem Bóg wie kim? Co to za pomysły? - Serce biło jej mocno, a skóra paliła, gdy szła do sklepu przez szpaler gapiów.
- To jest książę - usłyszała Meg kobiecy głos. - To znaczy, że ona musi być księżniczką.
- Ludzie widzą to, co chcą zobaczyć - stwierdził Verbeux. - Niech się pani nie odzywa.
- Ale oni biorą mnie za kogoś, kim nie jestem.
- Niech to pani schlebia. I proszę być cicho. *Bonjour*, panie Birk.
- Dzień dobry, milordzie. To dla nas zaszczyt. Jestem pewien, że milord będzie zadowolony z naszych przygotowań.

Verbeux nie sprostował pomyłki sklepikarza. W ogóle zresztą powstrzymywał się od jakichkolwiek uwag. Wszedł za Meg do małego, lecz eleganckiego wnętrza i posadził ją na jednym z dwóch foteli obitych niebieskim brokatem, które niezwłocznie wskazał im pan Birk. Zaraz potem drzwi zamknięto, a gapie przylepili nosy do szyby.

Pan Birk, mężczyzna w trudnym do określenia wieku mimo gęstej, siwej czupryny, skinął na swoich subiektów, którzy przystąpili do pracy. Drobną kobietą przyniosła na srebrnej tacy dwie szklanki lemoniady. Verbeux podał jedną Meg, a drugą wziął sam.

- Według zamówienia - powiedział pan Birk, spoglądając na kartkę - miałem przygotować pantofelki we wszystkich modnych obecnie odcieniach. Przystano mi jeden damski pantofelek na wzór, mamy więc teraz dla pani do przymiarki kilka gotowych już par. Gdy upewnimy się, że pasują na pani stopę jak ulał, moi szewcy będą pracować dzień i noc, by jak najszybciej spełnić zamówienie. Są również trzewiki w różnych kolorach, no i bogaty wybór galanterii, która powinna ucieszyć pani oczy.

- Niech się pani napije - powiedział Verbeux. Zaskoczona Meg prawie podskoczyła na fotelu.

- Dobrze. - Przytknęła szklankę do warg, ale kilka kropli napoju upadło na dywan. Zdumiona wlepiła wzrok we właściciela sklepu. - Z pewnością nie jest...

- Jest, jest - zapewnił ją Verbeux. - Bardzo dobra lemoniada. - Okularki sprawiały, że jego oczy miały wyjątkowo autorytatywny wyraz. - Proszę obsługiwać dalej, panie Birk.

Rozpoczęta się wielka krzątanina. Na stopy Meg wkładano pantofelki z najprzedniejszej kozłęczą skórki, dopasowywano do nich kłamy i kokardy... i uważnie przyglądano się jej reakcjom. Wreszcie wszyscy wydawali się zadowoleni, wszyscy z wyjątkiem Meg, która powoli zaczynała wpadać w złość. Odstawiła szklankę na tacę i spytała:

- Ile odcieni jest modnych w tym roku, panie Birk? Sklepiarz wyduł wargi w zadumie.

- Około dziesięciu uważa się za krzyk mody. Dalsze dziesięć, piętnaście to niezbędne uzupełnienie.

- Nie ma mowy - powiedziała Meg, wstając.

- Tak ma być - sprzeciwił się Verbeux z uśmiechem na twarzy. - Dziękujemy panu. Mam obowiązek powiedzieć, że srebrne pantofelki muszą być gotowe i dostarczone na Mayfair Square w ciągu trzech dni.

- Będą - zapewnił pan Birk. - Podobnie jak większość pozostałych par.

- Trzy dni? - Meg zmarszczyła czoło, naciąganie rękawiczek sprawiało jej bowiem ból, mimo że zraniona ręka już się goiła.

- Musimy zdążyć przed wieczorkiem muzycznym. Pan hrabia zdecydował się

działać szybko. Narobimy hałasu. To będzie pierwsze wielkie wydarzenie sezonu.

- Ale kostiumy?
- Kilka modniarek więcej - odrzekł Verbeux.
- Księżniczka...
- Będzie gotowa - dokończył za nią. - To pani zadanie.

Zakręciło jej się w głowie. Trzeba było przygotować kostiumy, dopilnować, żeby księżniczka przynajmniej nauczyła się uśmiechać bez względu na okoliczności. Może należało zastosować metodę Verbeux i powiedzieć Jej Wysokości, żeby była cicho, chyba że obieca być uprzejma i radosna. Tyle jeszcze było do zrobienia. Naturalnie zawsze wiedziała, że ich przygotowania muszą zakończyć się sprawdzianem, nie sądziła jednak, że nastąpi to tak szybko. Zbyt szybko.

- Chodźmy - powiedział Verbeux i wtedy zobaczyła, że również on nieznacznie marszczy czoło. Czyżby i w jego twarzy odbijały się jej niepokoje? Wyprowadził ją ze sklepu, a Meg ze zgrozą zauważyła, że dookoła zgromadziło się jeszcze więcej gapiów. Niektórzy otaczali powóz i konie.
- Nie będę brała udziału w takich przedstawieniach - szepnęła ze złością. - Proszę również, aby wrócił pan do pana Birka i powiedział mu, że zaszło nieporozumienie. Nie chcemy tych pantofelków.
- Już je pani przyjęła.

Meg przystanęła, zmuszając Verbeux do tego samego.

- Nie potrzebuję i nie chcę tylu par, ile zostało zamówione. Nie stać mnie na to.
- Cicho - rzekł Verbeux z uśmiechem na wargach i ostrzegawczym błyskiem w oczach. - Niech pani za dużo nie mówi. Wszystko zostało zapłacone.
- Czy to ma mi poprawić samopoczucie?
- Hrabia jest człowiekiem, na którym ciąży duża odpowiedzialność. Pani ma mu pomóc we wprowadzeniu księżniczki na salony, towarzysząc jej wieczorami. Stosowne stroje stanowią konieczność.
- Mam stroje, które całkiem dobrze się do tego nadają. Głośno westchnął i powiedział:

- Nie zna pani wielkiego świata. Potrzebuje przewodnika. Proszę ufać chlebobdawcy i wykonywać wszystkie jego polecenia. To jest pani praca. Temat zamknięty.
- Z jakichże to powodów trzeba okazywać panu hrabiemu tyle względów?
- Impertynencja - odrzekł Verbeux. - Robi pani zamieszanie.
- Już zrobiłam, nie sądzi pan? I dalej będę tak postępować wobec pana hrabiego. On jest rozsądnym człowiekiem. Wie, co znaczy cudza godność.

Zajęła miejsce w powozie, udając, że nie słyszy okrzyków:

- No, daj mu, pani. Obie wiemy, jacy są mężczyźni, prawda? On też ci potem da. - Rozległ się rechotliwy śmiech.

Znów Verbeux zamknął ją w pudle powozu, a sam wspiął się na kozioł. Meg usłyszała podniesiony głos stangreta i zorientowała się, że przepędza ludzi blokujących drogę koniom.

Była już spokojniejsza, ale bardzo zmęczona, więc przymknęła powieki. Tylko braki finansowe sprawiały, że nie porzuciła jeszcze tej posady. Tak jej się zdawało. Ale czy rzeczywiście tak było? Czuła zamęt i w głowie, i w sercu.

Otworzyła oczy. Myśl o rozmowie z Jean-Markiem dodała jej animuszu. Miała poważny pretekst, żeby go odszukać. Tymczasem powóz szarpnął i do gwaru dolatującego z zewnątrz dołączył stuk końskich kopyt. Meg miała przed sobą dwie możliwości. Albo przyjmując propozycję Jean-Marca i zostać jego kochanką, skazując się na życie w niestawie, choć nie bez wspaniałych wzlotów, albo mu odmówić, zachować godność i cieszyć się tym, że ich drogi już się nie skrzyżują. Cieszyć się?

Nagle dobiegły ją przenikliwe krzyki. Za szybą zobaczyła odskakujących i przewracających się ludzi. Na ich twarzach malowało się przerażenie. Jednocześnie rozległ się inny przeszywający dźwięk. Meg z całej siły chwyciła się za krawędź siedzenia. Konie rżały jak oszalałe, a w tle było słychać okrzyki przerażenia ulicznego tłumu.

Powozem wstrząsnęto i pudło potoczyło się naprzód z ogromną prędkością. Twarze ludzi za szybą pojawiały się pod dziwacznymi kątami. Meg była pewna, że za chwilę zdarzy się coś strasznego.

Zaczęła się modlić. Błagała Boga, żeby powóz, zwolnił. Z każdym

niekontrolowanym podskokiem pojazdu przybywało jej siniaków na ciele. Krzyk zamarł jej w gardle. Była przekonana, że za chwilę z pięknego powozu zostaną drzazgi. Nic nie mogło jej uratować.

Usłyszała grzmiący głos Verbeux:

- Trzymaj je, ty głupcze!

Stangret wyraźnie nie radził sobie z końmi. Z zewnątrz dochodziły złowrogie skrzypy, brzęki i trzaski.

Powóz zachwiał się gwałtownie, a jego dach znalazł się niebezpiecznie blisko jezdni. Meg bezwładnie poleciała w kąt siedzenia i z całej siły uderzyła ramieniem w drewno pudła. Dłużej nie była w stanie powstrzymać łez. Powóz przechylał się coraz bardziej. Było oczywiste, że już tylko dwoma kołami dotyka podłoża.

Twarze za szybko zawirowały. Meg próbowała skupić wzrok na którymś z przechodniów, ale nie mogła zachować nieruchomej pozycji. W brzuch wbiła jej się klamka drzwi powozu. Pozbawiona tchu, zaczęła ustami chwytać powietrze. Całe rodziny zatrzymywały się na chodniku i wysoko podnosiły dzieci, aby lepiej widziały nieuchronnie zbliżającą się katastrofę.

Następna postać i następna, i jeszcze następna... Meg mgliście je rejestrowała. Młoda, roześmiana matka z jaskrawą chustką na głowie, trzymająca na rękach niemowlę. Kilku fircyków, jeden modniejszy od drugiego, każdy z laseczką i pogardliwą miną. Potem poważna, pociągła twarz widziana z profilu, taka, jakby jej posiadacz nie chciał angażować się w uliczne wydarzenia, lecz mimo to ukradkiem spoglądał w stronę powozu.

Usłyszała głośny trzask bicia stangreta, zaraz potem następny. Powóz przechylił się na drugą stronę i poleciała w drugi kąt siedzenia. Zdążyła jeszcze zobaczyć efektowne salto, jakie wywinął Verbeux, spadając z kozła w tłum.

W stłuczonym ramieniu czuła dotkliwy ból.

Znów przemknęło jej przed oczami wiele twarzy, z których jedna wydała jej się znajoma. Nie była jednak tego pewna, bo twarz znikła równie szybko, jak się pojawiła. Spłoszone konie ponownie szarpnęły na oślep, a ludzie zaczęli pierzchać przed nimi na wszystkie strony.

Zwierzęta rżały i rzeżyły, a piana z ich pysków oblepiała szyby powozu.

Pudło zatrzęsło się, pojazd na moment przystanął i ruszył w tył, wciskając głowę Meg w oparcie siedzenia. Po chwili jednak konie znów rzuciły się naprzód, a broda Meg znalazła się tuż przy piersi. Tępy ból promieniował jej od karku i ogarniał skronie.

Krzyknęła i chciała zaczerpnąć powietrza ustami. Nie była już w stanie uchwycić się czegokolwiek. Powóz przechylał się z boku na bok. Przy kolejnym szarpnięciu Meg wylądowała na podłodze.

- Jean-Marc! - krzyknęła i przycisnęła zaciśniętą pięść do ust. Niekontrolowane podskoki pudła rzucały ją po podłodze z kąta w kąt. Teraz dopiero doceniła miękkość tapicerowanych siedzeń, na poziomie których znajdowała się wcześniej. Turlając się po podłodze, miała takie uczucie, jakby okładano ją kijami. Ilekroć jednak zapominała o ranie dłoni i próbowała się zasłonić lub przytrzymać niesprawną ręką, krzyczała z bólu.

Potężny ryk, ni to ludzki, ni zwierzęcy zagłuszył gwar ulicy i powóz się zatrzymał. Meg zerwała się z podłogi. Próbowała wydostać się na ulicę. Zobaczyła mężczyznę w kapeluszu, trzymającego się za głowę. Zdawało się, że jęczy. Obok stała kobieta z pociągniętą twarzą i skrzyżowanymi ramionami, beznamiętnie spoglądająca w dal. Tymczasem powóz przechylił się jeszcze mocniej. Meg ujrzała dachy domów i rosnącą połać nieba.

Konie ruszyły tak samo nagle, jak stanęły i powóz z głośnym łoskotem opadł na wszystkie cztery koła. Meg ku swemu przerażeniu stwierdziła, że pędzą teraz w skos ulicy, prosto na sklepowe wystawy. Podkowy zaklekotały na chodniku.

Krzyknęła w głos i w tej samej chwili zobaczyła nadbiegającego mężczyznę. Rzucił się ku koniom i chyba zdołał wskoczyć na grzbiet jednego z nich, bo powóz skręcił ku środkowi ulicy.

Jean-Marc! Pojawił się jakby na skutek gorącej modlitwy Meg. A teraz na grzbiecie oszalałego ze strachu konia mógł zginąć. Gdyby tak się stało, poświęciłby się dla niej. Nie! Nie była w stanie znieść myśli, że mogłaby żyć dalej z tą świadomością, żyć, choć jego nie byłoby już na świecie.

W serce Meg wstąpiła nadzieja. Jeszcze wszystko mogło dobrze się skończyć. Prawe koła głośno zsunęły się z chodnika na jezdnię. Ocaleje i ona, i Jean-Marc.

Lewe koła zawisły na chwilę w powietrzu, cały świat stracił równowagę.

- Jean-Marc! - Nie mógł jej usłyszeć. Nikt nie mógł jej usłyszeć. Bezwładne pudło nieuchronnie chyliło się ku ziemi. Z przeraźliwym hukiem powóz przewrócił się na bok, a jego szyby roztrzaskały się na setki odłamków. Meg ciężko uderzyła plecami o bruk.

Cały świat poszarzał i skrył się za szarą mgiełką. Kurz wciskał jej się do nosa i oczu. Zakastała. Wsłuchiwała się w cudowną ciszę, która zapadła dookoła, i nie miała siły się ruszyć.

- *Mon Dieu!* - zagrzemiał znajomy głos. - Odsuń się, człowieku. Uciekaj stąd. Nie pomagasz, to nie przeszkadzaj! Uciekaj!

A więc był tak niedaleko. Meg zamrugnęła powiekami. Promienie słońca wpadały przez dziurę w oknie powozu. Jak dziwnym uczuciem jest leżeć na Bond Street i wpatrywać się w oślepiające słońce przez otwór znajdujący się nad głową.

- Do stu piorunów! Zabiję następnego, który wejdzie mi w drogę i będzie przeszkadzał. Verbeux, trzymaj konie. Tylko ich nie dotykaj. Rozumiesz mnie?

- Jak pan każe. - Głos Verbeux brzmiał bardzo dziwnie. - Thomas, pomóż mi, proszę.

Thomas, pomyślała Meg uszczęśliwiona, to stangret. A więc i on był bezpieczny.

Na szczycie pudła rozległo się dudnienie i chwilę potem jej oczom ukazały się głowa i ramiona hrabiego. Jean-Marc przez chwilę siłował się z drzwiczkami, zanim zdołał je otworzyć i opuścić na bok pudła.

- Nie ruszajcie tego, póki nie powiem, że już można - burknął przez ramię i zaraz odwrócił się do Meg.

- Odezwij się... Powiedz coś.

- Co mam powiedzieć?- W porządku. Jak się czujesz? Co z tobą?

- Co ze mną? Jestem poobijana jak stara lalka, a ty mnie pytasz, milordzie, jak się czuję. Dziękuję, bardzo dobrze.

Jean-Marc ostrożnie usiadł na krawędzi drzwi i opuścił nogi w głąb pudła. Miał nadzieję, że zuchowate odpowiedzi Meg dobrze wróżą.

- Tylko spokojnie. Każdy nieostrożny ruch może pogorszyć twoją sytuację.

- Pogorszyć? Jak może być jeszcze gorsza, milordzie? Proszę popatrzeć na mnie.

Jej ubranie było porozrywane i przysypane warstwą pyłu. Czepek gdzieś się zapodział, a włosy wspaniale imitowały wronie gniazdo.

- Moja droga Meg. Zaraz będziesz bezpieczna, a ja postaram się, żeby zajęto się tobą z największą starannością. - Zabierze ją do domu... do swojego domu... każe ją położyć do łóżka i oddać pod opiekę swojego osobistego lekarza.

Meg przymknęła powieki.

- Meg - powiedział pełen lęku. - Proszę cię, nie zasypiaj. Najpierw musi obejrzeć cię doktor.

- Nie stać mnie na doktora, milordzie - odparła. - Wciąż stawia pan mnie w krępujących sytuacjach.

Prawdopodobnie uderzyła się w głowę.

- Pst. Zaraz cię stamtąd wydostaniemy. Verbeux, słyszysz mnie?
- Tak, milordzie.
- Szybko daj koc.
- Tu Birk ze sklepu Buty Birka, milordzie - rozległ się okrzyk. - Mamy koce. Czy podać je milordowi?
- Natychmiast - odpowiedział Jean-Marc, nie patrząc nawet na sklepikarza.
- Koce? - nerwowo zachichotała Meg. - Mam tutaj spać? Czy doktor będzie się do mnie wspinał tak samo jak ty, milordzie?
- Wpada panna w histerię. Chcę cię okryć i zapewnić ci ciepło, póki nie znajdziesz się w innym pojeździe.

Jakaś ręka podała koce. Jean-Marc wybrał dwa największe i opuścił się do zrujnowanego pudła. Z wielką ostrożnością stanął obok Meg, a potem ukląkł na jednym kocu zwiniętym w walek.

Meg próbowała odwrócić głowę, ale delikatnie położył jej dłoń na policzku i musiała na niego spojrzeć.

- Biedaczko. Czemu znowu dotknęła cię taka podłość?

- Wypadek - szepnęła. - Konie splotyły się i poniosły.
- Nie - odparł, pochylając się, by spojrzeć jej prosto w oczy. - To nie był wypadek. Wkrótce sama się przekonasz. Czy widzisz mnie dobrze?

Uśmiechnęła się. Naprawdę!

- Czy to pytanie wydaje ci się zabawne?
- Nie. Jestem tylko trochę oszołomiona. Lubię patrzeć na ciebie. - Powieki znowu jej opadły.

Jean-Marc nie mógł oderwać od niej wzroku. Co za obłąkanie. On, mężczyzna, który dawno ma za sobą wszelkie romantyczne złudzenia cięłego wieku... jeśli w ogóle kiedykolwiek je miał. Mężczyzna, którego inni uważają za cynika i posądzają o pogardzanie każdym, kto okaże choćby najmniejszą oznakę słabości.

Meg powiedziała, że lubi na niego patrzeć. Być może bredziła tak na skutek urazu głowy.

Wziął drugi koc, podłożył ramię pod jej plecy i przytulił ją do siebie.

Powiedziała coś cicho i usiadła prościej. Znowu się uśmiechnęła.

- Tego, co jest między nami, nie da się zapomnieć... nawet jeśli będziesz nalegać, żebyśmy zapomnieli.

Zmrużyła oczy i zacisnęła usta. Wreszcie poznał kobietę, która mogłaby być dla niego ważna i która w dodatku miała dość rozsądku, by nie mógł nią łatwo komenderować... jeśli w ogóle umiałby to robić.

- Czy na to nalegasz?
- Milordzie? - zawołał Verbeux - Muszę z panem porozmawiać.
- Zaraz - odkrzyknął Jean-Marc i znowu zwrócił się do Meg: - Czy nalegasz, żebyśmy udawali, że nic nas nie łączy? Czy będziesz próbowała mnie zmusić, żebym o tobie zapomniał? Wiedz, że to niemożliwe.
- Życie jest okrutne - odrzekła już bez uśmiechu. - Mam wybrać mniejsze zło i zdecydować, czy mieć cię, milordzie, na tyle, na ile mogę, czy zrezygnować ze wszystkiego. Naturalnie nie chcę pana zmuszać, żebyś o mnie zapomniał. Ja też nigdy cię nie zapomnę.

- Milordzie! - zawołał Verbeux. - Ktoś tu nabruździł.
- Wiem - odparł Jean-Marc głośno. - Powiedziałem, żebyś nie dotykał koni, tylko je uspokoił. Rozumiesz?

Po krótkiej przerwie Verbeux odpowiedział:

- Rozumiem doskonale. Czy panna Smiles jest ranna?
- Dochodzi do siebie. Myślę, że wszystko będzie dobrze. - Bardzo dobrze. Otulił ją kocem i objął. - Nie mogę zmienić tego, co jest, Meg. Zaslugujesz na to, by dobrze poznać sytuację, w jakiej się znajduję. Wtedy zrozumiesz, dlaczego musimy wykraść dla siebie tyle, ile się tylko da.

Po prostu nie jestem dla niego wystarczająco dobrą partią, pomyślała, dla hrabiego, syna księcia nadaję się jedynie na kochankę.

- Muszę cię teraz stąd wydostać. Każę przytrzymać pudło powozu i wtedy podam cię Verbeux. Musimy pilnować, żebyś nie ucierpiała jeszcze bardziej.
- Nie ucierpiałam ani trochę, jestem tylko wstrząśnięta tym, co się stało.

Skupiła wzrok na jego twarzy, patrzyła mu w oczy, gdy mówił, i na usta, gdy zamilkł. To jeszcze podsyciło jego namiętność.

- No, dobrze, Meggie. Wyciągamy cię stąd. Zauważył, że znowu uniosły jej się kąciaki ust.
- Czyżbym cię rozbawił?
- Aha. Zbieram różne drobne wspomnienia, żeby je z sobą zabrać. Mam dużo wspomnień.

Był tylko mężczyzną, w dodatku roznamiętnionym. Pocałował Meg. Zamierzał wykorzystać jej brak czujności tylko troszeczkę, ale gdy rozchyliła wargi i zamknęła oczy, natychmiast przestał o tym myśleć. Objął ją mocno i przez chwilę słychać było tylko ich westchnienia.

Oboje mieli za sobą straszne chwile, więc szukanie pocieszenia w objęciach Jean-Marca nie wydawało jej się w tej chwili niczym nagannym.

Zaparło jej dech. Znowu skradł jej serce. Bardzo chciała mu to powiedzieć, wiedziała jednak, że tego właśnie jej nie wolno. Ludzie śmieliby się, gdyby rozeszła

się plotka o pannie na posadzie, bardzo przeciętnego urodzenia, zakochanej w członku książęcej rodziny. Zaraz przypomniano by jej, że jest naiwna i stanowi przykład tego, jak łatwo nierozsądna kobieta może ugiąć się przed wolą mężczyzny zajmującego wysoką pozycję.

Jean-Marc klęczał przed nią, tulił ją do siebie i wiedział, że drugiej takiej kobiety nie spotkał i nigdy nie spotka. Namiętność i pożądanie stąpiły się w jedno. Meg nigdy nie będzie wiedziała, że jest jedyną kobietą na świecie, która zna jego prawdziwą twarz. Ich gorączkowy pocałunek budził w nim pragnienie i tęsknotę. Gdyby mógł, wziąłby ją i zatrzymał przy sobie, ale prawdopodobnie nigdy nie pozwoliłby sobie na wtajemniczenie jej we wszystkie swoje sprawy.

Przerwali pocałunek.

- Ludzie zaczną się zastanawiać, co tak długo tu robimy - powiedziała, oblizując wargi koniuszkiem języka.

- A niech się zastanawiają. - Uśmiechnął się do niej szeroko. - Przecież wiesz, Meg, że muszę dostać od ciebie jeszcze wiele pocałunków, prawda?

Położyła mu palce na wargach i zmierzyła go chmurnym spojrzeniem.

- Chyba wiem, milordzie, co ci się marzy. I wiem, co mnie się marzy. Ale nie wiem, co zgotuje nam przyszłość.

Jean-Marc wstał i wziął ją na rękę.

- Niech ludzie trzymają powóz, Verbeux - zakomenderował. - A ty przygotuj się do odebrania ode mnie panny Smiles. Tylko ostrożnie.

Spojrzeli sobie w oczy.

- Bardzo ostrożnie - powiedział cicho Jean-Marc, tak żeby tylko Meg go usłyszała. - Bo ta panna jest dla mnie bezcenna. Nigdy nikogo nie kochałem, Meg. Nie wiem, czego doznaje człowiek, który kocha. Ale gdy jestem przy tobie, czuję coś, czego nigdy nie czułem, i przyznaję się, że przygotowuję mnie to o rozpacz.

- Rozpacz? Czyżbym była dla ciebie źródłem cierpienia, milordzie?

- Jesteś moim olśnieniem, a gdy musimy się rozstać, to olśnienie odchodzi razem z tobą.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

- Nie bądź taka strapiona - powiedziała lady Upworth do Meg. - Nie jestem twoim wrogiem, a w dodatku mam duże doświadczenie w opiece nad chorymi.
- Dziękuję za życzliwość, milady - powiedziała Meg, choć bardzo jej się nie podobało, że ta kobieta się nią zajmuje. Nie umiała zresztą wymyślić innego powodu tej krzątania niż chęć przypodobania się Jean-Marcowi.
- Cały dom jest wstrząśnięty - ciągnęła lady Upworth. - Musiałaś śmiertelnie się przerazić, moja droga.
- Owszem. - Nie miało sensu udawać, że było inaczej. - Zdawało mi się, że ta potworna jazda nigdy się nie skończy.
- Kto może cię nienawidzić do tego stopnia, żeby dopuścić się czegoś podobnego?

Meg zerknęła na rozmówczynię, ale nie odpowiedziała. Wystarczy, że będzie mogła podzielić się swoimi myślami i odczuciami z Jean -Markiem.

- Jesteś dla mnie bardzo dobra, milady, ale moja siostra z pewnością chętnie się mną zaopiekuje. Poza tym poradzę sobie sama.

Lady Upworth uśmiechnęła się.

- Moja droga, jesteś zanadto samodzielna. Czyż nie mam racji, panno Smiles? - zwróciła się do Sibyl, która skinęła głową. Biedna Sibyl nie tylko nie odstępowała łóżka Meg ani na chwilę, lecz nawet nie odrywała od niej wzroku.

Tymczasem Meg ubrana w swoją ulubioną nocną koszulę i peniuar z miękkiego, białego batystu, który własnoręcznie ozdobiła haftem, dzielnie znosiła nacieranie maścią niezliczonych skaleczeń. Okruchy szkła z szyby powozu powbijały jej się w kark, inne wpadły za dekolt sukni i pocięły ramiona.

- Czy sądzisz, milady, że mogłabyś wyperswadować panu hrabiemu pomysł sprowadzenia do mnie doktora? - zwróciła się do swojej pielęgniarki.

Wybuch śmiechu lady Upworth zaskoczył Meg.

- Widzę, że nie znasz dobrze hrabiego. Jeśli się na coś zdecydował, to wątpię, czy istnieje na świecie siła, która może go od tego odwieść. Teraz proszę spokojnie leżeć w łóżku. Skaleczenia będą ci dolegać, ale wszystkie wyglądają czysto, a szkło jest powymywane. Najbardziej ucierpiały twoje nerwy, panno Smiles. Miałaś bardzo ciężkie przeżycie.

- Dziękuję - powiedziała Meg i posłusznie ułożyła się na poduchach. Wdzięczność dla lady Upworth walczyła w niej z niechęcią do tej kobiety.

- Hrabia życzył sobie zobaczyć cię, gdy tylko skończymy - powiedziała lady Upworth. - Czy mogę mu przesać wiadomość, że już jesteś gotowa?

Nie miała innego wyjścia, jak wyrazić zgodę.

- Chyba tak.

Sibyl wyszczotkowała jej włosy i zaplotła warkocze. Meg była przekonana, że wygląda jak niegrzeczna dziewczynka, ale przynajmniej miała gwarancję, że w półmroku panującym w sypialni obitej czerwono-złotą tkaniną nie można dobrze jej się przyjrzeć.

- Zadzwoń na służbę - powiedziała lady Upworth i tak też zrobiła.

Pukanie do drzwi rozległo się zbyt szybko, by mogło stanowić odpowiedź na wezwanie. Do sypialni weszła pokojówka i dołożyła węgla do kominka. Pokój był stanowczo zbyt okazały jak dla zwykłej panny do towarzystwa, ale Meg musiała w duchu przyznać, że jej się podoba.

- Jestem Millie, panienko - powiedziała służąca, dygając przed Meg. - Mam powiedzieć, że doktor idzie na górę.

- Pfu! - powiedziała Meg. - Och, przepraszam, milady. Lady Upworth znów się roześmiała.

- Jesteś wyjątkowo powściągliwa - zauważyła. - W podobnej sytuacji powiedziałabym coś znacznie gorszego. Czy mogę posiedzieć tutaj podczas wizyty doktora?

Odmowa byłaby niegrzeczna.

- Tak, proszę.

Następne pukanie do drzwi było głośniejsze i bardziej zdecydowane. Wszedł

wysoki, zwalisty mężczyzna z siwymi włosami, a Millie, korzystając z otwartych drzwi, szybko zniknęła.

- Jestem doktor Weller. Najpierw dam pani coś na uspokojenie. Z pewnością nie muszę przypominać, że trzeba się pogodzić z ograniczeniami przynależnymi słabej płci i przez pewien czas pozostać w łóżku.

Meg nie mogła podnieść oczu, obawiała się bowiem zdradzić ze swoją opinią o uprzedzeniach, jakim niewątpliwie hołdował doktor.

- Cisza, jak słyszę. Tego należało się spodziewać. - Postawił pękatą torbę na stoliku przy łóżku i zagłębił w niej rękę, by wyjąć flakon wypełniony nieapetycznie wyglądającą zieloną cieczą. Spojrzał na Sibyl.

- Proszę jej dawać łyżkę tego specyfiku raz na dwie godziny. To sprawi, że będzie spała. Gdyby się zbudziła, należy dać jedną łyżkę dodatkowo.

Sibyl wydała z siebie żalosne westchnienie. Meg natychmiast przysięgła sobie, że nie weźmie do ust ani kropli tego paskudztwa.

- Teraz zobaczę pani obrażenia.

- Opatrzyłam wszystkie zranienia, panie doktorze - powiedziała lady Upworth i mrugnęła do Meg. - Musi pan wiedzieć, że pielęgnowałam w ostatniej chorobie mojego nieżyjącego już męża. U panny Smiles nie odkryłam żadnych złamań kości. Nie uskarża się też na bóle wewnętrzne. Tylko na karku i ramionach są powierzchowne rany cięte od szkła, na które panna Smiles upadła, kiedy powóz się przewrócił.

Doktor Weller wydał z siebie pomruk, a Meg poczuła wielką wdzięczność dla Ili. Doprawdy omyliła się cc do lady Upworth. Tymczasem medyk kazał jej się pochylić i zbadał niezliczone przecięcia skóry na karku.

- Wszystkie skaleczenia wyglądają czysto - orzekł. - Czy jest pani pewna, że nic cię wewnątrz nie boli?

- Nic a nic, panie doktorze - pośpiesznie zapewniła Meg. Za wszelką cenę chciała uniknąć dalszego badania.

Rozległo się ciche pukanie. Jean-Marc wsunął głowę do pokoju i spytał:

- Czy mogę wejść?

- Tak - powiedziała Meg, lecz natychmiast zorientowała się, że zabrzmiało to stanowczo zbyt entuzjastycznie. Wiedziała również, że obecność Jean-Marca w domu o tej porze nie jest czymś zwyczajnym.
- Wszystko będzie dobrze - wyjaśnił doktor Weller. - Zostawiłem pacjentce lekarstwo własnego pomysłu, milordzie. Będzie po nim spała. Sen jest najlepszym lekarstwem dla słabych umysłów.
- Czyżby? - zdziwił się Jean-Marc. - W takim razie nie wiem, czy panna Smiles będzie miała jakiś pożytek z pańskiej mikstury, doktorze. Ale dziękuję.

Doktor Weller nie zareagował na ironię Jean-Marca.

- Chora ma dużo drobnych ran ciętych na plecach. Trzeba pilnować, żeby pozostały czyste.
- Pozostaną - obiecał Jean-Marc, przez cały czas patrząc jedynie na Meg.
- Wobec tego już pójdę - stwierdził doktor Weller i znieruchomiał, czekając na odprowadzenie do drzwi. - Wobec tego już pójdę - powtórzył.
- Do widzenia - powiedział Jean-Marc, pochylając się z zasępioną miną nad Meg.
- Jestem pewien, że zna pan drogę do wyjścia.

Doktor opuszczał pokój z twarzą mocno poczerwieniałą i nerwowo drgającym wąsikiem.

- Panna Smiles jest dzielna - pochwaliła lady Upworth. - Mnie nie byłoby na to stać.
- Meg zawsze była dzielna - włączyła się Sibyl. - To ona opiekuje się nami dwiema. Jak ten doktor śmiał powiedzieć coś o słabym umyśle, o tym, że wszystkie kobiety mają słabe umysły!

Wybuch siostry zaskoczył Meg, zarazem sprawił jej przyjemność. Poczwała dumę. Sibyl mogła być nieśmiała, ale gdy trzeba, umiała się zdobyć na szczerość.

- On należy do innego pokolenia - odezwał się Jean-Marc, a choć się nie uśmiechnął, w oczach miał wesołe ogniska. - My, postępowi mężczyźni, dobrze wiemy, że powinno się doceniać kobiety.

Lady Upworth zachichotała.

- Jak to mądrze z twojej strony. I jak politycznie. Pochlebstwo zawsze stanowiło najlepszy sposób na oczarowanie kobiety.

Jean-Marc przyjrzał się Ili.

- Czyżby tak łatwo mnie było rozszyfrować? Ech, pewnie tak. -Ila ostatnio wciąż go zaskakiwała. Niby wciąż wyrażała wdzięczność za to, że się nią opiekuje, ale nie próbowała już korzystać z okazji do flirtu... co więcej, odkąd wróciła do Londynu i zamieszkała w jego domu, traktowała go życzliwie, lecz nie usiłowała się do niego zbliżyć. Ciekawe, co knuje? Jean-Marc był pewien, że Da ma jakiś plan.

- Widzę, że czeka nas pracowity wieczór - zwrócił się do Meg nieco skrępowany. Z włosami zebranymi w warkocze panna Smiles wydawała się bardzo młoda. - Zaszły dzisiaj pewne wydarzenia, w związku z którymi trzeba poczynić odpowiednie kroki. Te wydarzenia mają bezpośredni wpływ na dzisiejsze przeżycia panny, sądzę jednak, że złożysz tę sprawę w moje ręce. Nie widzę powodu, żeby cię w to angażować.

- A ja widzę - odparła i usiadła wyprostowana na łóżku. - Stanowczo widzę. I chcę wziąć w tym udział.

Ognista panna. Ilekroć z nią był, owijała go sobie wokół palca.

- Chcesz wziąć udział? - Próbował zakpić, ale zabrzmiało to tylko pobłaźliwie. - Może to nastreczyć pewne trudności. Chyba że pozwolisz mi prowadzić przesłuchania w swojej sypialni.

- To bardzo dobry pomysł. Sama mam kilka pytań, które chcę ci zadać, milordzie.

- Pytaj od razu.

- Wolalabym później, jeśli nie robi to panu różnicy.

- No, dobrze. Zobaczymy. - Nie pozwoli tej turkaweczce, żeby nim rządziła.

Podszedł do drzwi porozmawiać ze służącym, który stał na straży przed pokojem.

- Kto tam jest? - spytała Meg. - I dlaczego przed moimi drzwiami?

- Ponieważ mam obowiązek zapewnić ci bezpieczeństwo. - Spojrzał na Sibyl, a potem na Ilę. - Tylko jedna z was dwóch jest nadal potrzebna. Jestem pewien, że obie macie pilne obowiązki, które na was czekają.

- Nie ma dla mnie nic ważniejszego na świecie od mojej siostry. - Sibyl Smiles

uśmiechnęła się. - Ale wiem, milordzie, że jeśli na trochę wyjdę, zapewnisz jej troskliwą opiekę. Czy zgodzisz się na to, Meg-gie? Księżniczka czeka na mnie w pokoju muzycznym. Nie powiedziano jej o twoim strasznym wypadku, ale powinnam ją poinformować i dopilnować, żeby nie traciła czasu. A potem muszę jeszcze iść pod numer siódmy po nuty.

- Naturalnie powinnaś wypełniać swoje obowiązki. Czy możesz powiedzieć Desiree, że ze względu na zbliżający się wielkimi krokami debiut powinna pilnie ćwiczyć uśmiechy.

Jean-Marc skrzyżował ramiona.

- Uśmiechy? Czy nie ma nic ważniejszego niż dopilnowanie, by moja siostra szczerzyła zęby?

Meg nawet na niego nie spojrzała.

- Powiedz jej, że ma śliczny uśmiech, który z pewnością wystarczy, by zadośćuczynić za wszystko, czego jeszcze nie opanowała do perfekcji. Niech spogląda w lustro i ładnie się uśmiecha się, myśląc o powodach, jakie mogłyby skłonić ją do zrobienia użytku ze swego języka w najmniej odpowiednim momencie. Gdzie jest Ash?

- Powiedziała, że nie czuje się dobrze - wyjaśniła Sibyl, a Jean-Marc na wspomnienie Panny Fikołek, jak ją nazywał, poczuł się nieswojo. - Panna Ash jest delikatnej konstytucji, która uniemożliwia jej odwiedzanie chorych.

Meg odrzuciła na bok kołdrę.

- Zostawcie mnie teraz, proszę. Nie ma czasu na to głupie wylegiwanie się.

- A jednak warto się czasem wylegiwać. - Jean-Marc przykrył ją z powrotem.

Meg natychmiast znowu odrzuciła kołdrę i energicznie opuściła nogi na podłogę.

- Nie mam zamiaru. Wracam do swoich obowiązków.

Jakie ładne kostki, pomyślał, układając ją i cierpliwie przykrywając ponownie. A potem pochylił się nad łóżkiem, żeby zapobiec następnemu aktowi niesubordynacji. Sibyl ruszyła do drzwi.

- Idę dopilnować, żeby księżniczka miała właściwe zajęcia. Wrócę, jak będę mogła, Meggie. Bądź rozsądna.

Jean-Marc przechwycił Meg w chwili, gdy zamierzała stanąć.

- Proszę przestać, bo nabiorę przekonania, że poniosłaś uszczerbek na swoim słabym umyśle i znowu poślę po konowatę.
- Z tym po prostu nie można się zgodzić - zareagowała ostro Ila.
- Jean-Marc, masz wyjątkowo przykry zwyczaj obrażania kobiet.
- Przepraszam - powiedział, choć nie było widać po nim skruchy.
- Z pewnością rozumiesz, że mam na względzie jedynie twoje zdrowie, Meg.
- Dziękuję. - Wiedziała, że lady Upworth zauważyła przejęzyczenie hrabiego, liczyła jednak na zamaskowanie gafy szybką odpowiedzią. Spojrzała w twarz Jean-Marca, znajdującą się niepokojąco blisko, i wycofała się na środek materaca. Poprawiwszy strój, ostentacyjnie podciągnęła kołdrę pod brodę. - Przyznaję, że trochę uległam panice, z podjęciem swoich zadań rzeczywiście mogę poczekać do jutra rana.

Jean-Marc wyprostował się.

Lady Upworth przysunęła krzesło do łóżka i usiadła.

- Verbeux jest w drodze. Bieżące sprawy powinniśmy załatwić bardzo szybko.

Minęło kilka minut. Przez ten czas wszyscy troje starannie unikali swojego wzroku.

Jean-Marc dołożył węgla do kominka.

Lady Upworth wyciągnęła rękę i poklepała Meg po dłoni.

- Mam nadzieję, że przynajmniej zobaczyła pani coś ciekawego na Bond Street - powiedziała. - Zbliżająca się koronacja ściąga do Anglii bardzo dostojne osoby. Proszę tylko pomyśleć, ile blasku dodadzą one najbliższym tygodniom.

Meg była myślami bardzo daleko od koronacji.

- Nic nie widziałam - odparła. - Byłam zanadto zajęta pantofelkami. - Spojrzała wymownie na hrabiego, który puścił tę uwagę mimo uszu.

Wreszcie zapukano do drzwi i wszedł Verbeux.

- Posłałeś po mnie, milordzie?

- Już dość dawno temu - stwierdził z naciskiem Jean-Marc, wycierając dłonie w chusteczkę. - Rozumiem, że miałeś do wyjaśnienia jakąś sprawę najwyższej wagi.

Verbeux zerknął przelotnie na Meg, po czym znacznie dłużej zatrzymał wzrok na lady Upworth. Dama odwzajemniła spojrzenie i dumnie uniosła głowę. Meg wyczuła napięcie między tym dwojgiem i bardzo ją to zaintrygowało.

- Czy dobrze się pan czuje, Verbeux? - spytała dość niepewnie. - Ten upadek wyglądał strasznie.

- Na szczęście wylądowałem na nogach. - Nagły wybuch chrapliwego śmiechu Verbeux zaskoczył Meg.

- Nie powiedziałaś mi, że skądś spadłeś - odezwała się lady Upworth.

- Nie - przyznał trochę zbyt skwapliwie Verbeux. - Czy chcesz, abyśmy porozmawiali na osobności, milordzie? - spytał.

- Och, nie. - Jean-Marc wykonał szeroki gest. - Wchodzimy w nową epokę. Już wkrótce damy zapukają do drzwi naszych klubów i zażądają prawa wstępu. Nie ma sensu ich oszczędzać i odmawiać im udziału w codziennej nudzie. Dlatego załatwimy wszystko tutaj.

- Milordzie? - Verbeux przybrał zdumioną minę.

- Słyszałeś moje zdanie. Co chcesz mi powiedzieć?

- Pierre - oznajmił Verbeux, w widoczny sposób zmieszany. - Pierre musi być przy tym obecny.

- Twój człowiek? - Jean-Marc nie przypominał sobie, by miał okazję odezwać się do niego więcej niż kilka razy w życiu. - A co on ma wspólnego z naszymi sprawami?

Verbeux najwidoczniej powziął jakąś decyzję. Wrócił na korytarz i po chwili Jean-Marc usłyszał jego cichą rozmowę ze służącym. Szelest atlasowej sukni przypomniał mu o obecności Di, która z napięciem wpatrywała się w drzwi. Gdyby był człowiekiem podejrzliwym, przesadne zainteresowanie Ili osobą Verbeux musiałoby mu się wydać co najmniej zastanawiające. Miłosne życie Verbeux, jeśli nawet istniało, pozostawało jego sekretem. Verbeux i Ila? Nie, to nieprawdopodobna para.

- Muszę poczekać na Pierre'a - oznajmił Verbeux po powrocie.

- Jak sobie życzysz. Musimy omówić wszystkie fakty. Kto mógł być zainteresowany skrzywdzeniem panny Smiles? Należy raczej sądzić, że te zamachy były skierowane przeciwko komu innemu. - Nie zamierzał rozwijać tematu w tym towarzystwie.

- A może miały zwrócić twoją uwagę, Jean-Marc - podsunęła Ila. Spojrzał na nią w zadumie.

- Wszystko możliwe. - Ila nie była naiwna. Bardzo go irytowało, że bez wzbudzania niepotrzebnych podejrzeń nie może jej wyprosić.

Tymczasem Meg doszła do wniosku, że rzadko nadarza się okazja do poruszenia tematu służącego, który ma służącego.

- Czy to jest francuski zwyczaj, żeby dżentelmen usługujący dżentelmenowi miał swojego dżentelmena?

Lady Upworth nie zdążyła ukryć uśmiechu.

- Skądże znowu - zapewnił ją Jean-Marc. - Przygotowując Pierre'a do służby, Verbeux pomaga swojej bliskiej rodzinie. Z uprzejmości. Pierre w końcu odejdzie od Verbeux ze wspaniałymi referencjami i wtedy z pewnością znajdzie odpowiednie dla siebie miejsce. Nie wątpię też, że Verbeux zechce wtedy rozciągnąć swoją życzliwość na następnego fortunego kandydata.

Dobrze zbudowany młody człowiek z wahaniem wszedł do pokoju. Twarz miał przyjemną, lecz bardzo zafrasowaną, wzrok spuszczone.

- Postać pan po mnie, panie Verbeux - powiedział, raz po raz przygryzając dolną wargę. Ręce trzymał przed sobą i, o zgrozo, wyłamywał sobie palce.

Meg poczuła ssanie w żołądku. Pierre był solidnym człowiekiem, tego wieczoru zupełnie jednak nie przypominał siebie samego. Zdawał się kurczyć w nieskazitelnej liberii wzorowego służącego. Miała ochotę mu powiedzieć, żeby przestał znęcać się nad swoją wargą.

- Na miły Bóg, człowieku! - odezwał się Jean-Marc. - O co chodzi? Co się z tobą dzieje?

Pierre popatrzył na Verbeux, który sapnął, a potem powiedział:

- Weź się w garść. Wytłumacz wszystko.

- Milordzie. - Pierre głęboko się skłonił i zastygł w bezruchu przed Jean-Markiem.
- Chodzi o brzytwę.
- Co z nią?
- Należy do pana Verbeux.
- To niemożliwe. - Lady Upworth uniosła się z krzesła, ale opadła na nie z powrotem.

Jean-Marc nie wierzył własnym uszom.

Meg skorzystała z sytuacji i zdołała wstać z łóżka. W prostym peniuarze, na bosaka wyglądała jak dziecko. Stała w miejscu, z którego widziała wszystkich obecnych.

- Dlaczego ludzie zajmujący pewną pozycję mają zwyczaj mówić tak, żeby niczego nie powiedzieć? - Wskazała Jean-Marca. - Ty, milordzie, znasz nie więcej faktów ode mnie, a jednak snujesz dziesiątki fantastycznych domysłów. Brzytwa? Czy mówimy o tej brzytwie, którą się skaleczyłam? - Wysoko podniosła obandażowaną dłoń.
- Tak, proszę pani - powiedział w końcu Pierre.
- Proszę nie nadweręzać swojego zdrowia, panno Smiles - ostrzegł ją Jean-Marc.
- Jesteś niedysponowana. Wracaj, proszę, do łóżka.

Przez chwilę sądził, że Meg się sprzeciwi, ale widocznie posłuchała głosu rozsądku, bo wspięła się z powrotem na materac. Tam spowita w koszulę nocną i peniuar przyjęła swą niezwykłą pozycję ze skrzyżowanymi nogami i dłońmi opartymi wierzchem o kolana. Wkrótce zaczęła wolno, rytmicznie oddychać.

- Mów, co masz powiedzieć, Pierre - rozkazał Verbeux. - Szybko!
- Tamtego rana się spóźniłem. Czyściłem brzytwę, kiedy odwołano mnie do innego zajęcia. To był przypadek. Wyszedłem z brzytwą w ręku i zauważyłem to, gdy było już za późno. Ale przecież nie mogłem tak stanąć przed panem Verbeux. Sakiewka leżała otwarta na ławie. Niewiele myśląc, włożyłem do niej brzytwę. Chciałem ją wyjąć zaraz potem, jak tylko pan Verbeux mnie zwolni. Ale zanim wróciłem, sakiewka zniknęła. Zacząłem jej szukać, nie wiedziałem jednak, do kogo może należeć.
- No, widzicie! - Skąpana w bieli Meg rozłożyła ramiona, jakby chciała zaśpiewać arię. - Przypadek. Pech. Och, Pierre, nie rób takiej zropanzonej miny. Ludzie

popętniają błędy. No, więc i tobie się to zdarzyło. Hokus-pokus i zapomnijmy o całej sprawie.

Jean-Marc zeszywniał z wściekłości. Ta panna musi się nauczyć, gdzie jest jej miejsce.

- Decyzja w tej sprawie nie należy do panny - powiedział surowo. - Verbeux, wiesz, co należy zrobić.

Służący nie odpowiedział, ale jego zboląta mina tylko podsyciła gniew Jean-Marca.

- Co należy zrobić? - spytała Meg, bez uśmiechu.

- Trzymaj panna język za zębami.

Ila miała czelność wziąć Meg za rękę i przestać jej współczujące spojrzenie.

- Tu? - spytał Verbeux. - Teraz?

- Tu i teraz. Nie pozwolę kwestionować moich decyzji, czy to jest zrozumiałe?

- Pierre - powiedział Verbeux, zaciskając dłonie - pomogę ci znaleźć inne miejsce. Porozmawiamy o tym później.

- Och, nie! - krzyknęła Meg. - Co za okrucieństwo! Przecież to ja skaleczyłam rękę. Jeśli Pierre ma odejść, to i ja powinnam zrobić to samo.

- Nedorzeczność - stwierdził Jean-Marc. - Oto jest doskonały przykład na to, dlaczego kobiety nie powinny być obecne przy podejmowaniu decyzji, które należą do mężczyzn. Na mnie i tylko na mnie spoczywa obowiązek chronienia panny i wszystkich w tym domu.

- Dlaczego wobec tego nie masz, milordzie, obowiązku chronić Pierre'a? Chronić go przed bezdusznym traktowaniem, które nie przystaje do jego rzekomej winy?

- Panno Smiles, jesteś niepoprawna. Stanowczo na zbyt wiele sobie pozwalasz... często.

Nagle Meg opuścił duch walki. Jean-Marc miał rację, pozwoliła sobie na zbyt wiele i teraz ogarnął ją wstyd. Mimo to nie porzuciła zamiaru wsparcia Pierre'a, który stał ze zwieszoną głową, przypominając wcielenie nieszczęścia.

- Proszę mi wybaczyć, milordzie - powiedziała. - Słusznie zostałam skarcona. Nie jestem przyzwyczajona do pozycji, którą w tej chwili zajmuję, ale to naturalnie nie

usprawiedliwia niewłaściwego zachowania. Jednakże nadal błagam, by zechciał pan zatrzymać w służbie tego człowieka. Odejdę niezwłocznie, ale proszę nie karać go jeszcze bardziej, bo on już poniósł ciężką karę.

Jean-Marc pomyślał, że Meg wprawia go w najwyższe zdumienie nawet wtedy, gdy wcale nie ma takiego zamiaru.

- Niech to piorun strzeli! - warknął. - Czy chciałbyś dać Pierre'owi jeszcze jedną szansę, Verbeux?

- Tak, milordzie.

- No, więc dobrze, ale najmniejsze potknięcie i więcej szans nie będzie. - Zwrócił się do Pierre'a: - Możesz odejść.

Młody człowiek skinął głową i bąkając podziękowania, szybko opuścił pokój.

- Panna pozostanie na swoim miejscu - rzekł Jean-Marc do Meg. - Moja siostra cię potrzebuje, a ty obiecałaś, że będziesz jej towarzyszyć przez cały okres pobytu w Londynie. Rozmowy o naszych sprawach dokończymy gdzie indziej, Verbeux. Panna Smiles musi odpocząć. Albo pomedytować, albo poćwiczyć abstrakcyjne myślenie... albo cokolwiek innego.

- Dziękuję, milordzie, że zmieniłeś zdanie. Obiecuję nie odzywać się, podczas gdy będziecie omawiać swoje sprawy niecierpiące zwłoki. Wcześniej dał pan do zrozumienia, że i mnie one dotyczą.

- Tak było - potwierdziła lady Upworth. Jean-Marc oparł się o jedną z nóg łóżka.

- Widzisz, Verbeux, na czym polega błąd obdarzenia kobiety zaufaniem? Taka kobieta nie tylko natychmiast zaczyna stawać okoniem, ale w dodatku zawiera wrogie sojusze z inną kobietą.

Verbeux uśmiechnął się pod nosem.

- Chciałbym rozumieć piękniejszą płęć tak dobrze jak ty, milordzie.

Jean-Marc zmarszczył nos.

- W kobietach nie ma nic zagadkowego - oświadczył. - Czy potrzebujemy teraz Thomasa?

- Nie sądzę. Oto co znalazł. - Verbeux wyjął coś z kieszeni kamizelki i wsunął to w

dłoń Jean-Marca. - Zamiar jest oczywisty.

- Czy możemy zobaczyć? - spytała Meg rozdrażniona kolejnym pukaniem do drzwi.

- Milordzie... - W pokoju pojawił się służący. - Pan Rench wysłał na górę gościa. Powiedział, że wszyscy są tutaj, więc czemu nie...

- Właśnie - powiedział Jean-Marc.

- Pan Hunter Lloyd spod numeru siódmego - zaanonsował sługa i cofnął się, by przepuścić Huntera.

- Przepraszam, że przychodzę niezapowiedziany - zwrócił się do hrabiego, choć patrzył na Meg. - To od nas wszystkich spod numeru siódmego. - Wyciągnął przed siebie wielki bukiet kwiatów związany żółtą aksamitką.

Meg poczuła łzy cisnące jej się do oczu.

- Dziękuję, Hunter. - Nie była w stanie zapanować nad przyływym uczuciem. - Jesteście przemili. Czy wszyscy mają się dobrze? Tęsknię za wami. - Wiedziała, że te słowa dyktuje jej serce, nie rozum, ale w tej chwili o to nie dbała.

Hunter też nie zachował zwykłej dla siebie rezerwy.

- My też tęsknimy za tobą, Meg. Będziemy się cieszyć, kiedy wraz z Sibyl do nas wrócicie. Moja ciotka ogromnie się o was martwi. Nawet Barstow jest tak poruszona, że niewiele brakuje, by zaczęła o tobie dobrze mówić. - Uśmiechnął się. Hunter był naprawdę niezwykle przystojnym mężczyzną.

- Weź z łaski swojej te kwiaty, lla - powiedział Jean-Marc.

Gdy Meg na niego spojrzała, poczuła się niepewnie. Znowu był zły, a chociaż wydawało się to niemożliwe, nasuwała się myśl, że przyczynę jego złości stanowi obecność Huntera.

Lady Upworth posłusznie wzięła kwiaty i pięknie ułożyła je w dzbanie z wodą do mycia.

- To tylko tymczasem - wyjaśniła Hunterowi z rozbijającym uśmiechem. - Pan musi być synem lady Hester Bingham.

- Siostrzeńcem - sprostował. Wyjął z kieszeni pakiecik i podał go Meg. - O to

prosiłaś.

- Ach, słusznie. - Lady Upworth spuściła wzrok i z wdziękiem wróciła na swoje miejsce. - O ile sobie przypominam, jest pan adwokatem. - Tak, milady. - Rozejrzał się po pokoju, choć nie udało mu się zrobić tego tak dyskretnie, jak zamierzał. - Czy chcesz, żebym cię zabrał do domu, Meg? W takich chwilach na pewno czułabyś się lepiej wśród starych przyjaciół.

Jean-Marc nie dał jej czasu na odpowiedź.

- Na razie dom panny Smiles jest tutaj - stwierdził chłodno. - I również tutaj panna Smiles jest wśród przyjaciół. Z pewnością docenia jednak pańską troskę. Proszę się nie krępować i zachodzić, by dowiedzieć się o jej zdrowie.

Hunter nie stracił kontenansu. Wstał i przeszył hrabiego spojrzeniem zielonych oczu. Spojrzenie to musiało nieraz zrobić duże wrażenie w sądzie.

- Czy prosisz mnie, milordzie, żebym wyszedł?

- Sugeruję tylko, że panna Smiles powinna odpocząć w samotności.

- Hunter - odezwała się zaniepokojona Meg. - Powiedz, proszę, lady Hester, że wkrótce ją odwiedzę. Adam obiecał pokazać próbki swoich prac, ale dotąd tego nie zrobił. Czy zechciałbyś mu o tym przypomnieć? Może będzie mógł namalować portret księżniczki Desiree.

Hunter przyjrzał jej się z dużym skupieniem i Meg uspokoiła się, widząc, że ją rozumie. Nie tylko była zachwycona jego obecnością, lecz również chciała mu przekazać, że ma powody, by tymczasem nie zmieniać miejsca pobytu.

- Zrobię to na pewno. - Podeszedł do niej, ujął jej rękę i ucałował. A potem spojrzął na nią znacząco. - Czy jest ci tu, hm, dobrze? Czy czujesz się, hm, bezpieczna?

- Tak, tak - zapewniła go szybko. - Nie martw się o mnie.

- W takim razie zdrowiej. - Nadal dyskretnie rozglądał się po pokoju, choć trudno było odgadnąć, czego szuka. - Obiecuj mi to, Meggie.

Nie przypominała sobie, by Hunter kiedykolwiek wcześniej zwrócił się do niej w taki sposób. W każdym razie sprawił jej tym zdrobnieniem prawdziwą przyjemność.

- Obiecuję.

Hunter skłonił się przed lady Upworth, która skwapliwie podała mu rękę. Jeśli nawet poczuł się tym zaskoczony, to niczego po sobie nie pokazał, lecz po prostu ją pocałował, zatrzymując usta przy dłoni dostatecznie długo, by wywołać na wargach damy uśmiech satysfakcji.

Verbeux szeroko otworzył drzwi przed Hunterem. A gdy ten opuścił pokój, wbił wzrok w lady Upworth, która kokieteryjnie do niego zamrugowała.

- Cóż... - Jean-Marc odchrząknął. - Najwyraźniej oczarowała panna wszystkich mieszkańców domu pod numerem siódmym. - Nic go jednak nie obchodziło, że sąsiedzi uważają Meg za swoją własność ani że pan Lloyd jest wobec niej taki zaborczy. To się wkrótce musiało zmienić.

- Czy mogę zobaczyć, milordzie, co dał ci Verbeux? - odezwała się Meg. - Tuz przed przyjściem Huntera.

Stało się jasne, że nie należało liczyć na jej nieuwagę.

- Och, to nic takiego. - Jean-Marc chciał oszczędzić Meg nadmiaru wrażeń. - I nie ma to nic wspólnego z tobą. Powinnaś pospać. Może ten eliksir Wellera jednak nie jest najgorszym pomysłem?

- Udam, że tego nie słyszałam - odparła. - Graj czysto, milordzie. Co dał panu Verbeux?

Wzruszył ramionami. Rozsądny mężczyzna wie, kiedy ustąpić zdeterminowanej kobiecie.

- Gdzie dokładnie to znaleziono, Verbeux?

- Pod nachrapnikiem.

Meg nie miała pojęcia, o czym mowa.

- No, to już wiesz - powiedział Jean-Marc.

- Niczego nie wiem.

- Wielkie nieba - odezwała się lady Upworth.

- Tym - powiedział Jean-Marc, wyciągając przed siebie gwóźdź na otwartej dłoni - skaleczono jednego z moich koni. Jednego z tych koni, które ciągnęły dziś powóz.

O tutaj... - Dotknął policzka niedaleko ust. - Pod skórzanym nachrapnikiem, który, jak może zauważyłaś, noszą wszystkie moje zwierzęta.

Meg rozarta ramiona, nagle przejęta chłodem.

- To jest gwóźdź od podkowy. Prawdopodobnie dostał się pod nachrapnik przypadkiem.
- Czyżby przypadkiem?
- Nie możesz być pewien, milordzie, że jest inaczej.
- Mogę. Wytłumacz, Verbeux.
- Nie ma czego tłumaczyć. Gwoździem przebito skórę nachrapnika. W chwili gdy Thomas kazał koniom ruszać, uprzęż się napięła. Gwóźdź wbił się w koński pysk. Głęboko. Zwierzę oszalało z bólu. Spłoszyło się. Nie ma mowy o przypadku.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Tu Spivey.

Oto jak starannie ułożone plany mogą spalić na panewce.

Dzieje się coś dziwnego... jeszcze dziwniejsze jest to, że nie widzę poszlak, które zaprowadziłyby mnie do ludzi chcących skrzywdzić Meg Smiles. Naturalnie mam jednak pewien koncept, może nawet dwa. Jestem wszak błyskotliwym człowiekiem. Muszę tylko wysilić moją niemałą inteligencję i stać się czujnym obserwatorem, ale to potrafię jak nikt inny.

Wyobraźcie sobie, że muszę teraz odwrócić to, do czego pierwotnie zamierzałem popychać hrabiego Etrangerera i Meg Smiles. Ponieważ wynik coraz bardziej staje się oczywisty, nie pozostaje mi nic innego, jak wysłać na schadzki tego okropnego Williama Godly-Smythe'a i Sibyl. Wtedy Meg Smiles szybko odjedzie razem z nimi, rozleniwiona jak tłusty kot, i potulnie zamieszka tam, gdzie jej straszny kuzyn postanowi osadzić obie swoje nierozumne krewne.

Wynika z tego, że trzeba powstrzymać to, co - jak się obawiam -nieuchronnie musiałyby zajść między hrabią Etrangerem i Meg Smiles. Gdybym był przekonany, że panna Sibyl Smiles będzie towarzyszyć siostrze nawet do miejsca, gdzie ta zamieszkałaby jako kochanka hrabiego Etrangerera, wszystko byłoby w najlepszym porządku. Osobiście wątpię jednak w taki rozwój wypadków.

Ash mnie rozczarowuje... zupełnie się nie nadaje... ale nie mam wyboru, muszę wykorzystać ją najlepiej jak można. Już wiem, co każe jej zrobić.

Nawiasem mówiąc, aż trudno mi opisać, jak bardzo jestem zdegustowany koniecznością występowania w roli nauczyciela tańca tej głupiej księżniczki. Hrabia mówi o mnie... to znaczy o Ash... Panna Fikołek. Taki brak szacunku. Irytujący człowiek.

W każdym razie zamierzam uczynić z Ash dyplomatką. Zgodzicie się chyba, że nie jest to proste zadanie. Jednakże tak nakazuje konieczność.

A wracając do tajemnicy, która spowija niektóre wydarzenia... Istnieje pewien sekret, którego do tej pory nie udało mi się zgłębić. Rozszyfrowanie go pozwoli

odkryć, kto stoi za tymi wszystkimi nieszczęśliwymi przypadkami. Muszę wiedzieć, w kogo są one wymierzone. Nie jestem wcale przekonany, czy właśnie w Meg Smiles. Ona stanowczo zbyt mało znaczy, by przyciągać tyle uwagi.

Jak wiecie, jej kuzyn jest zasadniczym typem. Nie potrafię pojąć, dlaczego Meg nie schlebia, że ktoś taki chce poślubić jej siostrę i wziąć je obie pod opiekę. Wygląda na to, że zaczęła snuć zbyt ambitne marzenia. Może nawet wyobraża sobie, że się zakochała - nienawidzę tego pustego słowa - tak, zakochała się w hrabim. Ha, śmiać mi się chce, gdy pomyślę o takiej zuchwałości. Ta biedaczka nawet nie wie, do jak rycerskiego zachowania musiałby być zdolny obiekt jej uczuć. Skąd mogłaby wiedzieć?

Nieważne, uczucia tej gołąbeczki już mnie nie interesują. Jeszcze dziś wieczorem spodziewam się zostać wezwany, by zapobiec nieszczęściu. Mimo że William Godly-Smythe chce się ożenić z Sibyl, a nie z Meg, to z pewnością nie wzięłyby pod opiekę upadłej kobiety. Tak w każdym razie sędzę. A on musi ją wziąć. Pokoje przy Mayfair Square pod numerem siedem B muszą raz na zawsze zostać opróżnione z lokatorów.

Widzieliście, jak ten Hunter dba o Meggie? Przyniósł jej kwiaty. Pewnie niemało kosztowały. Och, co ja narobiłem. Cóż to za okrucieństwo losu, że muszę bronić rodziny, która okazała się niegodna mojej lojalności.

Dość tego. Mam dla was kilka instrukcji. Nie są uciążliwe. Gdybyście zauważyli jakąkolwiek oznakę tego, że hrabia i panna Meg Smiles, hm, zamierzają tego wieczoru cieszyć się swoim towarzystwem w sposób niezauważalny dla innych... dajcie mi znać. Na wszelki wypadek, jeżeli akurat będę zajęty innymi sprawami. Posłuchajcie się umysłem. Skupcie się na przestaniu swoich myśli prosto do mnie. Naturalnie nie jesteście w stanie dobrze wykonać takiego zadania... wcale tego od was nie wymagam. Proszę tylko, żebyście stali się wyczuleni na moją obecność, wzywając mnie swym wewnętrznym głosem.

Jeśli przed moim wkroczeniem na scenę sprawy posunęły się za daleko, to znalazłem sposób, by wszystko zniweczyć raz na zawsze. Tak jest, raz na zawsze.

Doceniam waszą pomoc.

Nie będę wchodził w szczegóły, w każdym razie chcę, żebyście wiedzieli o głębokim zawodzie, jaki mnie spotkał w zeszłym roku, kiedy zostałem postawiony w wyjątkowo niezręcznej sytuacji. Właśnie wtedy pierwszy raz zdałem sobie

sprawę z tego, że muszę walczyć o zachowanie godności mojego domu i rodziny. Zdawało mi się, że sprawy układają się pomyślnie... póki pewna młoda kobieta nie przemieniła się w istotę całkowicie pozbawioną poczucia przyzwoitości. Nie robiła sobie nic z tego, że zabawia się na stole w... No, nie. Zapomniałem się na chwilę. Ona zabawiała się z pewnym mężczyzną... ale w końcu wyszło to nawet na dobre, ponieważ stanowiło część mojego planu. Jednakże przyglądanie się takim figielkom wzburzyło mnie ponad miarę.

Były również inne wydarzenia, którym musiałem się przypatrywać, aby osiągnąć swoje cele. Aż drzę na tę myśl. Musiałem obserwować je godzinami, aby mieć pewność, że nie wymyśliłem tego, co widzę.

Proszę, słuchajcie mnie uważnie. Moje zesztoroczne starania spęły na niczym, bo wprawdzie udało mi się wyeksmitować Finch More spod numeru siedem A, lecz pozostał tam jeszcze jej brat Latimer, ale najgorsze było to, że nie miałem wpływu na tych, których pomocy nieodwołalnie potrzebowałem, a co gorsza nie mogłem im zaufać. Takim samym ludziom jak wy, drodzy czytelnicy, tylko nie tak byстрыm i wiarygodnym.

Wymagam od was starannego wypełniania moich instrukcji. Zwracajcie uwagę na wszystko, co waszym zdaniem powinienem wiedzieć. Ja będę w tym czasie zajęty zbieraniem informacji gdzie indziej. Gdy zaobserwujecie potencjalnie zgubne zachowanie hrabiego Etrangerera i Meg Smiles, zamknijcie oczy i pomyślcie o mnie... wtedy przyjdę.

I błagam nie zhańbcie się podglądaniem czynów, którymi wszyscy w równym stopniu się brzydzimy.

Pamiętajcie, zbliżenie między szlachetnie urodzonymi ludźmi ma jedynie cel prokreacyjny. Jeśli mężczyzna czuje naturalną potrzebę częstszego doświadczania cielesnych przyjemności, dobrze wie, dokąd się udać.

Panie - natychmiast oddalcie się, proszę, gdy wyczujecie, że sytuacja nieuchronnie zdąży ku intymności.

Panowie - rozumiem waszą naturalną potrzebę poszukiwania podniet, ale takie podglądanie jest poniżej waszej godności. Chcę być z was dumny, panowie, chcę być z was dumny.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Jean-Marc przewracał strony książki, nie wiedząc nawet, co czyta. Postanowił pozostać w Londynie do wieczorku muzycznego, czyli jeszcze przez trzy dni, i potem niezwłocznie wywieźć Desiree oraz Meg wraz z kilkoma najbardziej zaufanymi służącymi na kilka dni do Windsoru. Szykowało się coś niedobrego. Co? Żeby się dowiedzieć, potrzebował czasu... Czasu i oddalenia od londyńskiego gwaru, który ułatwiał tym nikczemnikom realizację ich planów.

Ataki nie mogły być skierowane przeciwko Meg. Najchętniej stanąłby do konfrontacji, obawiał się jednak o bezpieczeństwo zarówno panny Smiles, jak i księżniczki.

Verbeux wsunął się do gabinetu i oparł o drzwi.

- Myślę i myślę - odezwał się - ale muszę to powiedzieć. Zdrada stanu.

Jean-Marc zerwał się na równe nogi.

- O czym ty mówisz, człowieku? Zdrada stanu? Czy dobrze słyszałem?

- Księżę... Ludwik. Brat księcia Georges'a. Pański wuj.

- Wiem, kim jest księżę Ludwik - syknął Jean-Marc. - Niech go piorun strzeli!

- Nie lubi go pan. Czy dlatego, że ma pan zająć jego miejsce?

- Nie lubię? - Jean-Marc wolno usiadł z powrotem na krześle. Skrzyżował ręce za głową i położył je na oparciu swojego ulubionego, choć zniszczonego już wysokiego, tapicerowanego krzesa, które jego ojciec przewidująco przysłał do Londynu.

- Nie lubi pan.

Na sielankowej scenie z plafonu wśród drzew płonęło ognisko. Jean--Marc bez powodzenia próbował się zdobyć na abstrakcyjne myślenie. Po chwili znów zerwał się z krzesa.

- Źle powiedziane - stwierdził. - Nienawidzę tego człowieka. Nienawidzę go za

jego głupotę. Gdyby poczekał do śmierci księcia Georges'a i nie postępował tak, jakby już władał państwem, wciąż byłby następcą tronu. A ja nie stanąłbym wobec obowiązku, który ojciec, znalazłszy się w przymusowej sytuacji, postanowił złożyć na moje barki.

Zadumany Verbeux wpatrywał się w ogień.

- Księżę musi działać.
- Tak. - Jean-Marc nie zamierzał rozprawiać z nikim o swoich nadziejach, że ojciec w końcu zauważy nietuzinkowe przymioty swojej córki i uzna ją za doskonałą kandydatkę do objęcia tronu. Ponadto wbrew przekonaniu ojca, że jego dni na tym świecie są policzone, raczej nie należało się spodziewać rychłej śmierci.
- Księżę Ludwik ma wielu zwolenników - powiedziała Verbeux.
- Więc? - Jean-Marc spojrzał na niego niechętnie.

Verbeux niewątpliwie ubierał się w dużym pośpiechu, włosy miał potargane, a pod jego surdudem brakowało kamizelki. Widok osobistego służącego w stanie dalekim od nieskazitelnego bardzo rozpraszał Jean-Marca.

- Więc, Verbeux? - powtórzył.
- Myślę, że próba sprzeciwienia się woli księcia Georges'a byłaby zdradą stanu.
- Mogłaby być.
- Byłaby, gdyby ktoś próbował pana zabić. Jean-Marc nieznacznie się uśmiechnął.
- Wyobraźnia trochę nas ponosi, czyż nie?
- Nie, do pioruna. - Verbeux ściągnął brwi. Światło odbiło się w jego okularkach, przez co oczy stały się niewidoczne. - Nie mówiłem, bo nie byłem pewien. Nie było powodu pana niepokoić. - Wskazał w stronę sypialni. - W zeszłym tygodniu. Kieliszek na tacy przy łóżku. Sądziłem, że ktoś był nadgorliwy. Pan nie pije przed spaniem.
- Mogę zacząć - mruknął Jean-Marc.
- Myślałem, że to madera. Ale brzydko pachniało. Jean-Marc zaczął słuchać uważniej.

- I co?
- Zaniósłem do aptekarza. Długo trwało. Właśnie dostałem odpowiedź. Tojad.
- Tojad? - Jean-Marc skrzywił usta. - Mordownik? Verbeux skinął głową.
- Myślisz, że ktoś próbował mnie otruć?
- Jestem pewien. - Verbeux przygładził dłonią włosy. - Ten kieliszek wystarczyłby. Od tamtej pory sprawdzam wszystko, co przed panem stawiają. A tu nagle powóz.
- Nie było mnie w powozie.
- Ale powóz należy do pana. Mógł pan być.
- To tylko domniemanie. - Którego nie można lekceważyć. - Próbujesz podsunąć mi myśl, że wuj stara się mnie zgładzić?

Verbeux zaczerwienił się.

- To mało prawdopodobne. Ludwik może błędzić, ale nie jest mordercą. Poza tym on mnie lubi, a ja nigdy darzyłem go sympatią. No i wie, że nikt bardziej ode mnie nie ucieszyłby się z wiadomości, że udało mu się powrócić na pierwsze miejsce w kolejce pretendentów do korony.
- Nie chodzi o samego księcia. - Służący próbował poprawić kamizelkę, a gdy odkrył, że jej nie ma, na jego twarzy odmalowała się zgroza. - Proszę wybaczyć, milordzie. Moje, hm, odzienie.
- Mało ważne.
- Naturalnie. To fanatycy. Zwolennicy księcia Ludwika. Spodziewają się łask. Zaszczytów. Wszystkiego. Są wzburzeni. Mogli chcieć się pana pozbyć... planują następną próbę pałacowego przewrotu.

Jean-Marc podszedł do pięknego, chińskiego kredensu z czerwonej laki. Stały w nim kryształowe karafki. Z jednej nalał brandy do dwóch kieliszków.

- Proszę. - Podał naczynie Verbeux. - Ukój nerwy. A ja ukoję swoje.
- Dziękuję. - Verbeux zajrzał do kieliszka i zrobił taką minę, jakby nie był pewien, czy może się napić.
- Wielki Boże - wybuchnął Jean-Marc. - Widzisz morderców w każdym kącie. Nie

chcesz mojej brandy, to nie. - Wychylił do dna zawartość swojego kieliszka i nalał sobie drugą porcję.

Verbeux skinął głową i również upił nieco trunku.

- Z całym szacunkiem, milordzie, twoje samopoczucie jest dla mnie sprawą najwyższej wagi. Ochrona pana osoby należy do moich obowiązków.
- Najlepiej chronię się sam.
- To prawda. Nie wolno mi jednak stracić czujności. Moim zdaniem ci ludzie są zdesperowani.
- A czy możesz mi konkretnie powiedzieć, kim oni są?
- Jeszcze nie, ale dowiem się tego.
- Siadaj - powiedział Jean-Marc. - Jesteś dobrym człowiekiem, Verbeux, ale stanowczo masz zbyt mało dystansu do siebie.

Ku jego zaskoczeniu Verbeux przyjął zaproszenie i opadł na krzesło obite skórą. Pozbył się podejrzliwości wobec brandy i sączył ją teraz z wyraźną przyjemnością.

Przez dłuższy czas obaj wpatrywali się w ogień na kominku i pracowicie wypolerowane mosiężne podpórki na drewno. Popijali brandy w milczeniu, chociaż Jean-Marc spodziewał się, że lada chwila Verbeux zacznie rozwijać swoją spiskową teorię. Ale służący go zaskoczył.

- Polubił pan Meg Smiles - odezwał się. Wyglądało na to, że trunek rozwiązuje mu język. - Interesująca osoba, choć daleko jej do piękności, prawda?
- Daleko - przyznał Jean-Marc, walcząc z przemożną chęcią powiedzenia, że mimo to nigdy dotąd nie spotkał równie fascynującej kobiety.
- Niezwykła. - Najwidoczniej złożony charakter Meggie nie uszedł również uwagi Verbeux. - W pewnym sensie nie z tego świata.
- Nawet bardzo. Niekonwencjonalna. Czy znałeś kiedykolwiek kobietę, która uprawiałaaby coś takiego jak abstrakcyjne myślenie?
- Nie, milordzie. Słyszałem, że panna Smiles codziennie spędza czas na medytacji. I ma swoją mantrę. Powtarza w kółko te same słowa. Wprawia się w trans. Czytałem o tym. Dziwactwo.

- Harmonia - odparł Jean-Marc, nie dbając o to, że w ten sposób daje służącemu temat do rozmyślań.
- Tylko harmonia? - spytał Verbeux. Wstał i podszedł do chińskiego kredensu. Dolał sobie brandy do kieliszka i wyciągnął rękę z karafką ku Jean-Marcowi. - Więcej, milordzie?
- Mnie wystarczy. Rzeczywiście, nie tylko harmonia. W niej jest coś więcej. Trudno zrozumieć działanie przypadku. Nasze drogi w ogóle nie powinny się skrzyżować.
- Panna Smiles jest odpowiedzią na pańskie modlitwy. Księżniczka kwitnie. Uśmiecha się. Nieczęsto, ale zdarza jej się. I słucha wskazówek... wskazówek panny Smiles.
- Wiem. Moja przyrodnia siostra wkrótce zamieni się w łabędzia, a ja jestem za to winien wdzięczność Meg i Sibyl Smiles. Nie jestem tylko pewien, jaką rolę odgrywa w tym wszystkim Panna Fikołek.
- Ash stanowi kontrast. Przy niej wszyscy wydają się atrakcyjni.
- To prawda. - Jean-Marc musiał się uśmiechnąć. Schylił się po pogrzebacz i poruszył rozżarzone węgle. W tym pokoju czuł się tak dobrze, jakby zajmował go latami. Dywan był kunsztownym dziełem rzemiosła, dopasowanym do plafonu. Ciemnozielone, aksamitne draperie zasłaniały okna. Duże biurko Jean-Marca stało naprzeciwko obu okien. Całą ścianę, w której znajdowały się drzwi do sypialni, zajmowały półki z książkami.

Verbeux odchrząknął i w pośpiechu dopił zawartość kieliszka. Można byłoby pomyśleć, że zbiera się na odwagę.

Jean-Marc rozsiadł się wygodniej i nie spuszczał oka ze służącego, milczał, czekając, aż ten powie, co go trapi.

Verbeux poruszył się niespokojnie.

Robiło się późno. Jean-Marc nie był jednak zmęczony. Wręcz przeciwnie. Myśli krążące po głowie skutecznie odbierały mu spokój.

- Pan nie chce mieć udziału w rządzeniu Mont Nuages. Nigdy pan nie chciał - powiedział w końcu Verbeux. Zdjął okulary i zaczął się nimi bawić, kotłując je między kolanami. Jean-Marc zwrócił uwagę, że jego kamerdyner jest przystojny.

- To prawda. Nawet nie jestem do tego przygotowany. Kiedyś może skorzystałbym z takiej możliwości. Teraz mam inne marzenia.

- Jakie marzenia?

Jean-Marc powstrzymał się przed nazwaniem tego pytania impertynencją.

- Jestem półkrwi Anglikiem. Angielskie problemy bardzo mnie interesują. Mógłbym oddać wielkie usługi swemu krajowi jako ambasador w Anglii. Nieformalnie i tak spełniam tę misję. Poza tym chciałbym uprawiać ziemię. I w jednym, i w drugim na pewno byłbym dobry.

- Nawet bardzo dobry. Niech więc pan to robi. Jean-Marc zerknął na Verbeux znad krawędzi kieliszka.

- Tak po prostu?

- Musiałby pan dać księciu Georges'owi powód do zmiany decyzji... no, i uświadomić mu, że tu, w Anglii, może mieć z pana znacznie więcej pożytku.

- Chciałbym wierzyć, że o tym ostatnim już się przekonał.

- To nie powstrzyma go przed wycofaniem pana stąd i powierzeniem panu innych zadań.

- Podejrzewam, że zaraz mi powiesz, co skłoniłoby księcia Georges'a do zmiany poglądów.

- On chce, żeby pan dobrze się ożenił. Niewątpliwie z księżniczką. Pana małżeństwo ma zapewnić rodowi odpowiednie koligacje i sojusze.

Jean-Marc zadumał się nad słowami Verbeux.

- Podobnie jak Desiree ma poślubić kogoś użytecznego dla państwa.

- Naturalnie. Zdaniem księcia Georges'a to jest największy pożytek, jaki można mieć z księżniczki Desiree.

Mimo silnej pokusy Jean-Marc nie podzielił się ze służącym swą najskrytszą myślą o przyszłości siostry.

- Musi pan ożenić się niezgodnie z jego oczekiwaniami.

- O ile wiem, chwilowo nie mam małżeńskich planów. W każdym razie nie w

dającej się przewidzieć przyszłości.

- Niech pan zmieni plany. Lady Upworth była bardzo chętna do zajęcia pozycji u pańskiego boku. Myślę jednak, że przeszkodę mogłaby stanowić sprawa jej pierwszego małżeństwa, które zostało anulowane. Księżę Georges nie zniósłby plotek, jakie nieuchronnie wywołałby taki związek.

Jean-Marc pilnował się, by nie zdradzić swojego zainteresowania prawdziwymi uczuciami Verbeux wobec Ili, powiedział więc:

- Obawiam się, że pomysł ten nie wchodzi w grę również z powodu reputacji wspomnianej damy.

- Jakiej reputacji?

Jean-Marc wzruszył ramionami, udając, że pytanie służącego nie wzbudziło w nim żadnych podejrzeń co do związku tych dwojga.

- Niektórzy nazywają ją Wdzięczną Wdówką. I nie chodzi o to, że jest wdzięczna za okazaną jej kiedykolwiek życzliwość, lecz raczej za to, że została wdową.

- Jej mąż był dużo starszy. Był również dość długo chory. Wraz z jego śmiercią wreszcie odzyskała wolność. To jest jak najbardziej zrozumiałe.

- Ta dama lubi rozrywki. - Jean-Marc wiedział, że wkracza na bardzo grząski grunt. - Jest nie dla mnie. A skoro już o tym mówimy, to widziałem, jak przyglądasz się panie Sibyl Smiles. Wygląda to na więcej niż przelotne zainteresowanie. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że i ona czuje do ciebie słabość.

Verbeux głęboko odetchnął.

- To przemiła panna. I niewinna. Jak dla mnie nazbyt niewinna. Potrzebuje kogoś delikatniejszego. To nie dla mnie.

- Czyżby, Verbeux? - Jean-Marc zafascynowało wyobrażenie Verbeux brutalnie traktującego kobietę. - Masz więc kogoś innego?

- Może, ale rozmawiamy w tej chwili o panu. Jest ktoś, kogo pan podziwia, i obaj o tym wiemy. Ktoś, kogo chętnie wzięłby pan do swojego łóżka.

- Jesteś zanadto obcesowy.

- Jestem szczery. Wiem, o jaką stawkę toczy się gra. A to co znowu, na miłość

boską?

Rozległo się lekkie plaśnięcie i między Jean-Markiem a Verbeux wylądował największy kocur, jakiego Jean-Marc kiedykolwiek widział. Bury, zielonooki, z białymi łatkami.

- Kot, niech go diabli! - wykrzyknął Jean-Marc. - Skąd on się wziął? I do kogo należy? Niewątpliwie ma apetyt, to widać na pierwszy rzut oka. Służbie nie wolno trzymać zwierząt. Czy widziałeś kiedyś tego kota?

- Nie... I jak on się tu dostał, skoro drzwi są zamknięte? - zdziwił251

się Verbeux. Jean-Marc odniósł wrażenie, że w oczach służącego odmalował się nieklamany niepokój. - Nie podoba mi się jego wygląd.

- Pewnie wślizgnął się, kiedy drzwi były otwarte. Koty lubią się chować. Wynieś go zaraz.

Verbeux nie pałał entuzjazmem do tego zadania.

Kot powoli wstał, wygiął grzbiet w łuk, podszedł do Jean-Marca i zaczął się lubieżnie ocierać o jego nogi. Głośno mruczał i od czasu do czasu na niego spoglądał, co wyglądało tak, jakby się uśmiechał.

- Dokończ to, co mówisz. - Jean-Marc usiadł i pochylił się, żeby pogłaskać zwierzę. - Kotem zajmę się później. Porozmawiam z Renchem. Nie, Verbeux, nie ty. Ja. Służba musi się nauczyć, że kontroluję wszystko, co dzieje się w domu.

- Mój plan jest prosty - powiedział Verbeux. - Zrobi pan coś, co wprawi w gniew księcia Georges'a i odbierze wartość pańskiej ewentualnej sukcesji.

Jean-Marc parsknął śmiechem.

- Co mam zrobić? Wypowiedzieć wojnę Anglii?

- W zasadzie już panu wszystko wyjaśniłem. Głośny ślub z kimś znacznie niżej urodzonym sprawi, że księżę Georges straci do pana zaufanie jako do dziedzica korony. Długo jednak nie będzie trwał w gniewie. Wkrótce znajdzie powody do zadowolenia, że jest pan tutaj i reprezentuje Mont Nuages... Za to na pewno nigdy nie zgodzi się, aby rządził pan Mont Nuages, jeśli uzna, że pańska żona jest tego niegodna.

Jean-Marc spojrzął w oczy kotu i powiedział:

- Nie lubię wykorzystywać kobiet.
- Wykorzystywać? Dając jednej z nich dom, o jakim nie śniła? Niech się pan żeni, ma dzieci, uprawia ziemię, służy swojej ojczyźnie jak się panu podoba, lecz mieszka tu, gdzie jest pańskie serce, w Anglii. Niech się pan ożeni z Meg Smiles.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Nawet w narzutce włożonej na koszulę nocną i peniuar Meg nie mogła obronić się przed zimnem. Kucnęła przy potężnej zbroi, która stała między parą drzwi prowadzących do apartamentów Jean-Marca. Miała wrażenie, że nogi raz na zawsze odmawiają jej posłuszeństwa.

Powinna była uciec z tego korytarza już dawno. Nadejście Verbeux zmusiło ją do szukania schronienia. Początkowo nie wiedziała, kto idzie, ale gdy służący znalazł się w gabinecie, poznała jego głos.

Obaj mężczyźni mieli donośne głosy. Meg usłyszała stanowczo zbyt wiele. Verbeux wystąpił ze zdumiewającą sugestią na jej temat, a Jean-Marc odpowiedział coś, czego wyraźnie nie usłyszała. Z tonu wywnioskowała jednak, że odniósł się do pomysłu krytycznie. Nie powinna jednak być tym ani zaskoczona, ani rozczarowana.

Znalazła się tutaj w pogoni za Karpem. Kot wszedł do jej sypialni w poszukiwaniu swojej pani. Księżniczka, która wkradła się do Meg godzinę wcześniej, bardzo zaniepokojona wieścią o wypadku na Bond Street, wsunęła się do jej łóżka i zasnęła. Tymczasem kot wskoczył na stolik przy łóżku, popatrzył na śpiącą i pędem opuścił pokój. Meg ruszyła za nim przerażona, że ktoś odkryje obecność ukochanego Karpia księżniczki i zwierzę zostanie przeniesione w inne miejsce. Ku jej rozpaczycy Karp wślizgnął się za Verbeux do gabinetu.

- Lepiej zajmij się swoimi sprawami, Verbeux - powiedział Jean-Marc. - Nie, kota zostaw mnie. Chyba wiem, do kogo należy. Byłbym ci wdzięczny, gdybyś nikomu nie wspominał o tym, że go widziałeś.

- Czy pan zastanowi się nad moją sugestią? - spytał Verbeux.

- Mam bardzo dużo spraw, nad którymi muszę się zastanowić. - To była jedyna możliwa odpowiedź. - Dobranoc.

Chwilę potem Verbeux wyszedł na korytarz. Musiał być zmęczony i wyglądał dość niechlujnie. Szybkim krokiem opuścił apartamenty pana hrabiego.

Meg wolno wstała, krew znowu zaczęła jej żywiej krążyć w nogach, co natychmiast

objawiło się przykrym mrowieniem. Najlepszym rozwiązaniem dla niej był powrót do sypialni, ale zostawienie Karpia u hrabiego nie byłoby rozsądne.

Zresztą była kobietą z krwi i kości, chciała zobaczyć Jean-Marca i usłyszeć od niego coś miłego. Czyż mogła nie skorzystać z nadarzającego się pretekstu?

Lekko zapukała do drzwi i prawie natychmiast odbiegła. Ale głośnie „wejść” zatrzymało ją po kilku krokach. Sprawdziła stan swojej fryzury - wciąż miała warkocze - omiotła wzrokiem swój dziwaczny strój i dumnie się wyprostowała, weszła do środka. Przez głowę przemknęło jej jeszcze wspomnienie pakiecika, który dostała od Huntera. Był to niewątpliwie preparat do włosów zakupiony u madame Suzanne. Postanowiła użyć go natychmiast, gdy tylko nadarzy się okazja.

- Meg? - Jean-Marc siedzący z Karpem na kolanach podniósł głowę. Nie uległo wątpliwości, że bardzo się zdziwił. - Wejdz i zamknij za sobą drzwi. Co ty sobie myślisz? Masz bosa stopy. Przeżyłaś silny wstrząs i musisz...

- Milordzie, czy mógłbyś nie mówić nic więcej? Czy pozwoli pan, że po prostu wezmę kota i pójdę?

Zmierzył ją groźnym spojrzeniem.

- Nie. Nie mogę pozwolić, żebyś dyktowała mi, co mam robić. Wdzierasz się do moich pokojów, wyglądając jak... jak... - Wymownie machnął ręką. - Jak sierota, która w końcu znalazła schronienie przed ulewą, ale jeszcze nie całkiem wyschła, i oczekujesz ode mnie, że spokojnie pozwolę ci wyjść bez słowa wyjaśnienia. Nie, do diabła! Rób, co ci mówię. Usiądź na tym krześle - wskazał mebel naprzeciwko swojego - i bądź cicho. Teraz ja będę mówił.

- Bardzo mi przykro, że Karp się tutaj wkradł. Włóczenie się nie jest w jego zwyczaju. Mam nadzieję...

- Mam nadzieję, że zamierzasz zastosować się do mojego polecenia. Czy kot jest twój?

- Nie... to znaczy tak. Jest mój.

- Nie jest twój. A ty nie umiesz kłamać. Sam zgadnę. Kot należy do Desiree.

- Nie mogę tego powiedzieć.

- A więc należy do Desiree. Ona zawsze lubiła zwierzęta, ale nigdy nie było jej wolno żadnego trzymać.

- To smutne.
- Skoro tak uważasz. W każdym razie porozmawiam z nią jutro o tym stworzeniu. Dzisiaj kot śpi tutaj. - Karp ciężko zeskoczył na podłogę i zwinął się w kłębek przed kominkiem. Jego niesamowite spojrzenie wędrowało od Jean-Marca do Meg i z powrotem.
- To bardzo miłe z twojej strony, milordzie - powiedziała Meg. -Wiem, że księżniczka będzie panu wdzięczna za opiekę nad kotem.
- A jeśli powiem ci, że musisz mnie przekonać do tego, żeby kot został?

Meg zjeżyły się włosy na karku.

- Chcesz, milordzie, żebym cię przekonała?
- Owszem. Jak się czujesz? Bez wątpienia jesteś cała posiniaczona.
- Czuję się doskonale, dziękuję. - Błędna odpowiedź. - No, powiedzmy, że dobrze. Stłuczenia nie są poważne. Przeszkadzają mi skaleczenia na karku, ale wkrótce się zagoją. Z ręką też jest lepiej.

Zacisnął dłonie na poręczach krzesła.

- Oto cała litania obrażeń, za które czuję się odpowiedzialny.
- Nie jesteś za nie odpowiedzialny, milordzie. Wystarczy, że się wyśpię, a rano będę jak nowo narodzona.
- Chcesz zostać na dzisiejszą noc ze mną? Odebrało jej mowę.
- Będę się bardzo starał, żebyś była zadowolona, Meg.
- Dziękuję za tę propozycję, milordzie, ale chyba nie jest ona stosowna. Ponieważ jednak jesteśmy sami, a chciałabym z panem porozmawiać o pewnych sprawach, byłabym wdzięczna, gdybym dostała pozwolenie mówienia.

Jean-Marc poruszył się na krześle, eksponując swoje kształtne dłonie z długimi palcami.

Chyba nie zamierzał odpowiedzieć, więc Meg podjęła wywód.

- Jest taki dzień, gdy księżniczkę zaproszono w trzy miejsca jednego wieczoru, milordzie. Pan Verbeux przekazał mi, że życzy pan sobie, by Jej Wysokość była

obecna we wszystkich trzech domach.

- Tak jest.
- To niemożliwe.
- Księżniczka przyjmie wszystkie trzy zaproszenia.
- Po co, milordzie?
- Miałaś do mnie mówić Jean-Marc. A co do pytania: żeby nie stracić żadnej okazji do pozyskania wymarzonego męża. Naturalnie może się tak zdarzyć, że jakies zaproszenia trzeba będzie odrzucić. Dam ci o tym znać w stosownej chwili.

Karp wstał, przeciągnął się efektownie, ziewnął i ułożył się u stóp Jean-Marca. Spojrzał mu prosto w oczy.

- Impertynencka bestia - mruknął hrabia.

Meg wybuchnęła śmiechem, a gdy zorientowała się, co robi, było za późno, by stłumić objaw radości.

Jean-Marc uśmiechnął się od ucha do ucha, a ona pokręciła głową.

- To tylko kot. Najwyraźniej uważa, że jesteś interesujący, milordzie.
- Najwyraźniej. Jeśli nie masz już więcej pytań, to chciałbym wrócić do tego, o czym zacząłem mówić.
- Jeszcze wieczorek muzyczny. Jest mało czasu...
- Zaproszenia już doręczono, zaczynają przychodzić odpowiedzi. Wszyscy przyjmują zaproszenie. Musisz skupić uwagę na kostiumach. Nie zapomnij, że obiecałaś zająć się także moim. Coś wschodniego? Jestem ciekaw, co dla mnie wymyślisz.

Meg ogarnęły sprzeczne uczucia. Zmieszanie, wielka radość, strach, wszystko to dawało o sobie znać jednocześnie. Za nic jednak nie chciała być w innym miejscu niż właśnie tutaj, w tym pokoju, sam na sam z tym mężczyzną. Co gorsza, doskonale wiedziała, że jest nierozsądna.

- O czym myślisz? - spytał.
- O pantofelkach, milordzie. - Zrobiło jej się zbyt ciepło, więc rozpięła pod szyją

zieloną narzutkę. - Poprosiłam pana Verbeux, żeby odwołał to absurdalne zamówienie na mnóstwo trzewików i pantofelków. Starczyłoby tego dla dwudziestu kobiet na kilka lat.

- Tak zrobiąś?
- Owszem, ale pan Verbeux odmawia, bo nie chce się sprzeciwiać pana poleceniom.

Karp wskoczył hrabiemu na kolana, położył mu przednie łapy na torsie i zaczął lizać go po policzku. Jean-Marc stanowczo odsunął zwierzaka i powiedział:

- Właśnie dlatego Verbeux jest u mnie w służbie. Stawia moje życzenia przed wszystkim innym. I nigdy ich nie kwestionuje. Wszystkie zamówione przeze mnie towary zostaną wkrótce dostarczone. A panna będzie je nosić, bo takie jest moje polecenie.
- Jeśli upierasz się, milordzie, by kupować rzeczy w tak nierozsądnym nadmiarze, to muszę za nie zapłacić. Zechciej więc, proszę, wstrzymać wypłatę mojej pensji, dopóki dług nie zostanie wyrównany. Pozostaje jeszcze kwestia srebrnych pantofelków. Pan Verbeux twierdzi, że są dla mnie na wieczorek muzyczny. Ja wcale ich nie potrzebuję.
- Owszem, potrzebujesz. Twoja kreacja jest już w przygotowaniu.
- Nie jest.
- Stanowczo jest... Nie kłóć się ze mną, Meg, bo ci z tym nie do twarzy.

Meg wbiła wzrok w dłonie. Potem dotknęła swojego rozgrzanego policzka i odgarnęła wilgotne kosmyki włosów.

- Zmykaj na razie - zwrócił się Jean-Marc do Karpia i z wielką ostrożnością usadził go na poprzednim miejscu przed kominkiem. Podszedł do Meg, ujął ją pod łokcie i pomógł jej wstać.
- Jest ci za gorąco, moja droga. Pozwól, proszę. - Zdjął jej z ramion narzutkę i powiesił ją na oparciu swojego krzesła.
- Przyszłam po Karpia. Chcę go wziąć i iść.
- Oboje wiemy równie dobrze, że chcesz stąd iść tak samo, jak ja chcę, żebyś poszła. Nadszedł czas, żebyś udzieliła odpowiedzi na moją propozycję. Muszę

wiedzieć, że zawsze będę mógł do ciebie przyjść.

Meg raptownie zamrugła oczami, w końcu mocno zacisnęła powieki.

- No, no. Czy to może być takie trudne? Czyżbyś nie chciała być ze mną?
- Wie pan, że chcę.
- Cóż więc pozostaje oprócz szybkiego załatwienia najpilniejszych spraw i zajęcia się naszym porozumieniem.

Opuściła głowę.

- Jest dużo tematów do rozmowy. Doszło do niebezpiecznego wypadku i boję się o ciebie, milordzie. Mogę już nigdy nie zasnąć, jeśli będę wiedziała, że grozi panu niebezpieczeństwo.

Jean-Marc ostupiał.

- Zapewniam cię, że jestem przyzwyczajony do troszczenia się o siebie. Poza tym chcę przypomnieć, że to ty byłaś w tym powozie.

Jej uśmiech i hart ducha wzbudziły w nim podziw.

- Nic mi już nie grozi, milordzie. Ja...
- Jean-Marc. Nie mogę znieść takich oficjalnych zwrotów, kiedy jesteśmy sami.
- Nie ma powodu sądzić, że coś mi zagraża, Jean-Marc.
- Miałaś przykry wypadek, zanim się poznaliśmy. Opowiedział mi o nim szczegółowo służący, który rozmawiał z wielebnym Baggsem. Ktoś wepchnął cię pod powóz. Chciał cię zabić.

Zadrzała.

- Tak sądziłam, ale byłam w błędzie. Musiałam się potknąć.
- Potem wyniknęła sprawa z brzytwą.
- Przecież wiesz, jak to się stało. - Skrzyżowała z nim spojrzenia. To przez niego znalazła się w uczuciowym chaosie.
- Wiem, co powiedział Pierre. Nie wiem jednak, dlaczego przyznał się do winy, skoro nikt go nie podejrzewał. Ja nie potrafiłbym poznać brzytwy Verbeux.

- Pierre postąpił uczciwie. Bał się, że może stracić pracę, lecz mimo to powiedział prawdę. Zasluguje na pochwałę, a ja po prostu miałam pecha.
- Nie powiesz chyba, że dzisiejsza katastrofa powozu to też tylko pech.
- Nie, nie powiem. - Przytknęła do obu skroni skrzyżowane palce.
- Meg? - Jean-Marc pochylił się nad nią i spojrzał jej prosto w oczy. - Czy źle się czujesz?
- Czuję tu uścisk... - Dotknęła czoła. - Chciałabym zostać sama i pomyśleć.- Musisz zostać ze mną, przynajmniej... Czy możesz zostać ze mną? Proszę.

Łzy pokazały jej się w oczach, usta zaczęły jej drżeć.

- Meg, Meg, czyżbym aż tak bardzo cię uraził?

Nie spodziewał się tego, co nastąpiło. Meg ujęła go za ramiona i stanęła tuż przed nim. Obie ręce wsunęła mu pod surdut i położyła płasko na torsie.

- Jesteś mi winien wyjaśnienie, ale najpierw powiedz, czy słusznie sędzę, że masz wrogów.

Kłamać należało jedynie wtedy, gdy to było konieczne.

- Jestem przekonany, że potrafisz dotrzymać tajemnicy. Przyznaję, że prawdopodobnie są ludzie, którzy woleliby wiedzieć mnie martwego. Jednakże to nie ja byłem dzisiaj w powozie. Nie wydaje mi się możliwe, żeby ktoś dokonał na mnie zamachu.
- Czasem ludzie działają pod wpływem nagłego odruchu. Ktoś zobaczył powóz, doszedł do wniosku, że jesteś w środku, i nagłe postanowił zaatakować, chociaż wcześniej tego nie planował.

Jean-Marc schylił głowę.

- Jak to się stało, że znalazłeś się tam w porę, żeby zapobiec nieszczęściu?

W ustach nagle mu zaschło.

- Zobaczyłem, że konie się spłoszyły.
- To wiem, ale skąd się wzięłeś na Bond Street? Zamknął oczy i położył jej ręce na ramionach.

- Naturalnie po to, żeby cię pilnować. Zresztą sama wiesz, chciałaś tylko usłyszeć to z moich ust.

- Może. To prawda, że przyjemnie jest usłyszeć takie słowa. Wiesz, że nie ukrywam swoich uczuć do ciebie. Dzięki tobie czuję się niezwykcyjna, dla ciebie chcę być wszystkim. Byłabym jednak nieuczciwa, gdybym nie powiedziała ci również, że ogarnia mnie groza, gdy pomyślę, co mnie czeka, jeśli przyjmę twoją propozycję.

- Nie rozmawiajmy o tym dłużej. Jesteś teraz ze mną. Bezpieczna. I ta noc jest nasza... jeśli na to pozwolisz.

- Jakiej odpowiedzi ode mnie oczekujesz?

- Twierdzącej. - Ujął jej twarz w dłonie. - Oczekuję, że powiesz „tak”, a potem oddasz mi się pod opiekę.

- Pod opiekę? - Przesłała mu przeciągłe spojrzenie. - Co to ma znaczyć, Jean-Marc?

- Że będę podejmował decyzje za nas oboje i obiecuję ci w tej chwili głową i sercem - położył sobie rękę na torsie - obiecuję ci, że nigdy cię nie skrzywdzę. Zawsze będziesz przy mnie bezpieczna.

Bardzo chciała mu wierzyć, obdarzyć go zaufaniem, przyjąć go.

- Muszę spytać cię jeszcze o jedno. Księżniczka. Czy istnieje możliwość, że to ją ktoś chce skrzywdzić?

Desiree? Objął Meg i przyciągnął do siebie.

- Trudno mi w to uwierzyć. Jest tylko młodą panną. Owszem, z tytułem, ale nikt nie traktuje jej poważnie, nie wyłączając naszego ojca.

Meg mocno się do niego przytuliła.

- Znowu trudno mi tego słuchać. Nawet nie wiesz, jaka ona jest wspaniała.

- Powoli zaczynam się dowiadywać.

- I nie możesz zwrócić na to uwagi rodzicom, żeby i oni wiedzieli?

- Jej matka nie jest moją matką. Verbeux twierdzi, że księżna Marie to dobra kobieta, ale zastraszona. Boi się męża. Natomiast z ojcem zamierzam odbyć

poważną rozmowę o Desiree. Najpierw jednak chcę, żeby znalazła sobie mężczyznę, który zaimponuje nawet mojemu ojcu.

- Och, jestem ci bardzo wdzięczna za to, że chcesz jej pomóc. Czy znasz swoją matkę?

Zawahał się.

- To jest temat na inną rozmowę. Nauczyłem się o niej nie myśleć i to pomaga mi żyć. Ta noc nie będzie trwała wiecznie. - Rozpiął jej peniuar i położył dłoń na piersi.

- Jeśli ktokolwiek się dowie, że tu byłam, moja reputacja w tym domu, a co gorsza, mój autorytet legną w gruzach. Muszę się pilnować, żeby nie zawieść księżniczki.

- I to ma dla ciebie największe znaczenie? - Delikatnie pieścił pierś przez gładką tkaninę. - Meg, czy chodzi ci tylko o moją siostrę?

- Nie - westchnęła. - Chodzi mi o to, że tego chcę. Chcę być z tobą i dać ci tyle przyjemności, ile ty mi dajesz. Chcę, żebyś nauczył mnie tych wszystkich cudownych rzeczy, które, jak sądzę, umiesz, ale nie chcę sprowadzić na siebie hańby.

- Nie sprowadzisz - obiecał jej, modląc się w duchu, by rzeczywiście tak było. Podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku.

Ubranie zaczęło go krępować. Zdjął surdut, potem kamizelkę i rozluźnił halsztuk. Pamiętał jednak, że nie wolno mu się zanadto spieszyć. Uśmiechnął się do Meg.

- Widzisz, mnie też jest za ciepło. - Z tymi słowami zdjął halsztuk, koszulę i stanął przed nią ubrany tylko w swoje ulubione żółto-brązowe spodnie do konnej jazdy.

Spojrzała na jego tors i rozchyliła wargi. Meg Smiles miała namiętą naturę. Zdawało mu się, że czuje vibracje ogarniające jej ciało. Ciepło w jego wnętrzu zamieniło się w żar. Znienacka objął ją i wycisnął na jej wargach pocałunek. Ich usta odszukiwały się i błagały o więcej pieśczoł, domagały się ich i brały je. Meg śmiało wsunęła język do ust Jean-Marca, a wtedy on przygarnął ją z taką siłą, że aż krzyknęła.

Puścił ją, ujął za rękę i pociągnął za sobą do sypialni. Zdmuchnął wszystkie świece i odstonił ciężkie draperie. A gdy biała poświata załała cały pokój, starannie zamknął drzwi.

- Czy ufasz mi, Meg? Czy odważysz się robić to, czego zapragnę? Spojrzała na niego, marszcząc czoło. Meg nie ma pojęcia, o czym mówię, pomyślał i z wielką czułością ucałował jej dłonie.

- Chodzi o to, że miłość między mężczyzną i kobietą może przybierać bardzo różne postaci. Również intymne wyrazy miłości bywają bardzo różne. Och, Meg, czy chcesz, abyśmy stali się jednością? Abyśmy obdarowali się naszym wzajemnym uczuciem, na zawsze znacząc się jego piętnem?

Meg niewiele zrozumiała z zawitej przemowy Jean-Marca, wiedziała jednak, że niczego nie jest w stanie mu odmówić. Nie odpowiedziała, lecz wyciągnęła do niego błagalnie ramiona i zrobiła to, co wydawało jej się oczywiste. Uklękła przed ukochanym mężczyzną i skłoniła głowę.

- Kochanie - powiedział. - Nie chcę dłużej czekać.

Szybko rozebrał się i stanął przed nią nagi. Patrząc na jego ciało, Meg mimo woli otworzyła usta. Stał przed nią wysoki i wyprostowany, z szerokimi barkami, potężnie zbudowanymi ramionami i nogami. Jedwabiste, ciemne włosy pokrywały mu tors, a niżej układały się w wąską ścieżkę.

- To się często zdarza? - spytała Meg z rozbrajającą naiwnością.

- To zdarza się wtedy, kiedy obiekt mojego pożądania wypełnia mój umysł i moje ciało. Gdy pożadam tak, że staję się jednym wielkim pragnieniem. Nie mógłbym tego powstrzymać, nawet gdybym się starał. - Z pewnym zakłopotaniem spojrzał na swoją nabrzmiałą męskość. Meg była taka niewinna.

- Mogłabym na ciebie patrzeć i patrzeć bez końca. Ale wiesz... ja też jestem wrażliwa. Tu... - Dwoma palcami wskazała wypukłe peretki brodawek

- No, no, pozwól, że sam się tym zajmę. Chodź do mnie. Przyciągnął ją do siebie i szepnął prosto do ucha:

- Bycie bezwolnym w rękach kochanka bywa niezwykle ekscytujące, Meg. Czy chcesz się o tym przekonać?

Nie czekając na odpowiedź, poprowadził ją do wykuszu i oparł o pochyłą część ściany prowadzącą ku okiennemu otworowi.

- Wygodnie ci?

- Tak, tylko trochę zimno.

- Och, zaraz coś na to zaradzimy. - Ujął rąbek jej koszuli i uniósł tak wysoko, że w ciemności błysnęła biel jej kolan, a potem ud. - Zaraz coś zaradzimy - powtarzał, gładząc delikatną, nagą skórę. - Czy już cieplej?

- O, tak - szepnęła. - Ciepło i przyjemnie.

- To dobrze. Chcę, żebyś zawsze pamiętała tę noc i zawsze żyła chęcią dorównania pięknu tego pierwszego odkrycia. - Jej brzuch był lekko zaokrąglony i jędrny. Wąska talia podkreślała zarys bioder.

- Dotykaj mnie - szepnęła Meg. - Proszę, dotykaj mnie jeszcze.

- Tak, kochanie, tak. - Gorączkowo ściągnął z niej koszulę i rzucił na podłogę. Meg instynktownie zakryła sobie piersi. Rozczulił go ten gest niewinności.

Opadł na kolana. Całował jej brzuch i przytulał do niego policzek, głaskał pośladki i językiem pieścił uda, sięgając krągłego łona. Meg pojękiwała cicho.

Wreszcie chwycił ją w ramiona i przeniósł na obitą pluszem ławę u podnóża łóżka.

Meg oddychała coraz szybciej.

- Moja mała - szepnął tak, aby poczuła na szyi jego oddech - czy bardzo mnie pragniesz? Gdybyś widziała, jak pięknie wyglądają twoje piersi w świetle księżyca. A włosy błyszczą jak obsypane srebrem. Teraz wolno mi zrobić wszystko, czego zapagnę.

Delikatnie dotykał ustami jej piersi, a ona podsuwała mu je do pocałunków, prężąc plecy.

Dozował pieszczotę powoli, wiedząc, że Meg pragnie jej coraz bardziej. Wreszcie gwałtownie rzuciła ciałem, a gdy jej cudowne piersi zakołysały się, Jean-Marc poczuł, że zaczyna ostatecznie tracić głowę. Jego pieszczoty stały się gwałtowniejsze. Ocierał się o nią torsem i raz po raz całował w usta, delikatnie gryząc i wsysając jej miękkie wargi.

Przyszło mu do głowy, że mogą przecież spółdzić dziecko. Trochę się nawet przestraszył.

Dziecko? Ich dziecko. Istotę podobną do niego...

- Jean-Marc - powiedziała cicho Meg. - Chciałabym, żebyśmy to zrobili.

Księżycowa poświęcała głaskała każdy wzniesienie i zagłębienie jej ciała. Zaczął całować wszystkie zacienione miejsca, załomy i zakamarki, a Meg kotysała biodrami, ocierając się o niego rytmicznie.

Nie mógł dłużej czekać. Oboje pragnęli tego równie mocno. Wtargnął do jej wnętrza, a ona głośno krzyknęła. Ale Jean-Marc nie miał zamiaru się cofnąć. Swoim zdecydowaniem sprawił, że poczuła się wypełniona tak bardzo, jakby za chwilę miała się rozpaść na kawałki.

- Jean-Marc!
- Pst, najdroższa.
- Chyba mnie rozerwałeś.

Na chwilę znieruchomiał i położył głowę obok jej głowy.

- Tak, zrobiłem to - szepnął. - I teraz jesteś moja. Nigdy cię nie puszcę.

Uniósł się nad nią, oparł ciężar ciała na łokciach i zaczął się poruszać w jej wnętrzu, a jego ciało lśniło w księżycowej poświacie.

- To nie może się znowu zdarzyć, prawda?
- Może - odpowiedział. - Naturalnie, że może się zdarzyć, i to wielokrotnie.

Raz jeszcze gwałtownie się poruszył i zamarł, a Meg poczuła, jak wypełnia ją nieznane dotąd uczucie szczęścia i spokoju.

- Tylko nie próbuj mnie zostawić, Meg - powiedział Jean-Marc tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Nie pozwolę na to.

Wcale nie miała zamiaru go zostawić. Wszystko ją bolało, lecz jednocześnie nigdy nie czuła się tak błogo.

- Chciałabym robić to codziennie.
- Wielkie nieba! Nienasycona kobieto. Poczekaj, aż poczujesz, jak bolą cię mięśnie. Możesz wtedy zmienić zdanie.

Zaniósł ją do łóżka, położył tyłem do siebie i przykrył ich oboje. Zaczął pieścić jej piersi i całować ramiona, ale Meg krzyknęła boleśnie.

- Przepraszam, kochanie - powiedział. - Zapomniałem.

- Mam jeszcze mnóstwo miejsc, które nie są pokaleczone. Często się nimi do woli.

Nie wydawało mu się, by kiedykolwiek kobieta dała mu tyle zadowolenia. Naturalnie wiedział, że postąpił niegodnie. Wziął naiwną pannę, która niewiele wiedziała o tym, jak urządzone jest ten świat. Teraz jednak trzymał ją w ramionach i czuł, że powoli ogarnia ją senność, a jej ciało staje się bezwładne i ciężkie. Pragnął ją trzymać właśnie tak jak w tej chwili.

Przestała być dziewicą, pozostała niezamężną kobietą. Jej życie zmieniło się raz na zawsze. Również Jean-Marc, hrabia Etranger, czuł, że w jego życiu zaszła zmiana. Pierwszy raz zdarzyło mu się wziąć kobietę, która nie miała wobec niego żadnych planów. Z drugiej jednak strony sam prosił się o kłopoty, choć powinien unikać wszelkich komplikacji.

Zupełnie zapomniał o wielkim kocurze, dlatego niespodziewane przenikliwe miauknięcie przyprawiło go o ciarki.

- Cicho - powiedział do Karpia - połóż się i śpij.

W odpowiedzi kot wskoczył na łóżko, zajął miejsce na pościeli i zaczął posykiwać.

- Co się stało? - spytała sennie Meg. - Karp? Czego chcesz?

- Wszystko jedno, i tak tego nie dostanie - rzekł Jean-Marc. Pochylił się nad nią i pocałował ją w policzek. - Śpij dobrze, kochanie. Gdy odpoczniemy, przyjdzie kolej na ciebie, by zmusić mnie do pieszczot.

- Zmusić? - Wybuchnęła śmiechem.

Karp syknął znacznie głośniej niż poprzednio, a potem zaczął miauczeć i prychać.

- Boże drogi! On nigdy nie wydaje z siebie takich dźwięków.

- Nie ruszaj się. - Jean-Marc przekręcił się, żeby zapalić lampę przy łóżku.

Meg uniosła głowę i rozejrzała się po pokoju. Kot siedział w nogach łóżka ze zjeżoną sierścią.

- Hej, staruszkule, połóż się spokojnie - powiedział Jean-Marc. Ale Karp nie chciał leżeć. Zeskoczył z łóżka i podszedł do drzwi łączących sypialnię z gabinetem. Tam prychnął jeszcze głośniej niż przedtem, zaczął wymachiwać przednimi łapami, jakby walczył z niewidzialnym przeciwnikiem. Meg i Jean-Marc widzieli jego

wyciągnięte pazury.

- Nie zwracaj na niego uwagi. - Jean-Marc znów przytulił Meg. - Myślę, że jest o nas zazdrosny.

Meg wybuchnęła śmiechem, ale głos jej zamarł, gdy usłyszała krzyk, który nie mógł być tworem jej wyobraźni.

- Słyszałeś ten dźwięk?

- Nic nie słyszałem. Wtuliła się w Jean-Marca.

- Wstuchaj się dobrze.

- Słucham.

- Skup się na tym hałasie. Och, znowu go słyszę. Ktoś cierpi. Komuś robią krzywdę.

- Musimy trochę popracować nad uspokojeniem twojej wybujałej wyobraźni.

Krzyk doszedł ich jeszcze tylko raz.

- Widzisz, mówiłem ci, to nic takiego.

- Właśnie przyznałeś, że słyszałeś to samo co ja. Krzyk. Jakby ktoś ranił mężczyznę.

- Niemożliwe.

- Czyżby? Sam widziałeś, co robił Karp. Zachowywał się tak, jakby gryzł i drapał. A gdzie on się podział? No, powiedz mi! Gdzie poszedł Karp? Wydostał się stąd przez zamknięte drzwi?

- Nie żartuj. - Jean-Marc usiadł i zaczął wołać: - Karp, chodź tutaj, Karp, kotku.

- On cię wcale nie słyszy - powiedziała Meg. - Za bardzo jest zajęty łowami na to coś albo tego kogoś, kto wcześniej szpiegował nas w tym pokoju.

- Chcesz powiedzieć, że ten dom jest nawiedzony? - Jean-Marc się roześmiał. - Przez niezdarne gościa, który pozwolił się zdemaskować kotu?

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Miłość subtelnej kobiety byłaby czymś wspaniałym, myślał Verbeux. Po drugiej stronie placu spala urocza Sibyl Smiles. Chętnie poszedłby do niej, położył się obok i zaczął ją pieścić, nie wiedział jednak, jak mógłby to zrobić tak, by jej nie przerazić lub, co gorsza, nie wzbudzić jej odrazy.

Przykra mu była nawet sama myśl o niechętnym spojrzeniu Sibyl Smiles. Wszak ilekroć się spotykali, patrzyła na niego swoimi czystymi, niebieskimi oczami, w których odbijało się nie wyrażone wprost zaproszenie. Sibyl z pewnością nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wielka moc bije z jej oczu. A on dziękował Bogu, że jest dostatecznie opanowany, by poprzestać na uśmiechach w odpowiedzi. Postanowił w przyszłości całkiem ignorować Sibyl, dla jej własnego dobra.

Mimo eleganckiego wystroju swoich pokoi nie mógł znieść zamknięcia w czterech ścianach. Postanowił porozmyślać w czasie przechadzki na świeżym powietrzu. Wieczór był chłodny, więc przed wyjściem Verbeux włożył pelerynę.

Gdy stanął na korytarzu, zamknąwszy za sobą drzwi pokoju, odniósł wrażenie, że cały dom szepcze i naigrawa się z niego. Idąc do schodów, minął apartamenty chlebobdawcy. Cóż, marzenia jednego doświadczonego człowieka bywają łatwo zrozumiałe dla innego. Pozostawało tylko poczekać, by przekonać się, czy hrabia zdoła omotać i uwieść Meg Smiles. Verbeux znowu zaczął się modlić. Od wyniku starań Jean-Marca zależało, czy hrabiemu uda się uciec przed przyszłością, którą zaplanował dla niego ojciec.

Verbeux dotarł bez przeszkód do drzwi dla służby, opuścił dom i przeciąwszy ogród, znalazł się przy furtce prowadzącej do budynków stajennych. Konie zajmowały tam parter, natomiast na pięterku

były pokoje dla służby przydzielone tym, którzy mieli współmałżonków.

Wsunął dłoń za plecy, drgnął niespokojnie i błyskawicznie odwrócił się z pistoletem w dłoni.

- Dokąd idziesz? - Ila, lady Upworth, wyglądała w księżycowej poświacie jeszcze piękniej niż za dnia.
- Proszę wracać do domu - szepnęła ochryple. - Nie pytam, milady, gdzie byłaś. To nie moja sprawa. Jest pani szalona, że o tej porze się wataśa.

- Wysłałam z domu za tobą.

Verbeux schował pistolet za pasek spodni.

- Co to ma znaczyć? Co to za gra? - Ujął ją za ramiona i potrząsnął. - Mów prawdę, milady. Na kłamstwie łatwo się poznam.

- Powiedziałam prawdę. Wysłałam za tobą i wiem już, że masz jakiś problem. Potrzebuję twojej pomocy, Verbeux. Zapłacę ci, ile zechcesz. Dostaniesz wszystko.

Odwrócił głowę.

- Uważa mnie pani za głupca? Mam uwierzyć w taką opowiastkę? Przecież mogła pani przyjść do moich pokojów. I ta pora... Proszę wracać do domu.

- To nie opowiastka. Byłam w drodze do twoich pokojów, kiedy wyszedłeś. - Chwyciła go i z całej siły do niego przywarła. - Nie odsyłaj mnie. Błagam cię. Och, proszę, nie odsyłaj mnie. To prawda, zwracam się do ciebie, bo jestem w potrzebie, ale chciałam, żebyś zaczął mnie zauważać od dnia, gdy się poznaliśmy. Próbowałam przyciągnąć twoją uwagę, pokazując ci się z Jean-Markiem, ale ty jesteś zbyt lojalny, by pożądać tego, co uważasz za własność swojego pana. Ostatnio wydało mi się jednak, że zacząłeś być mną trochę zainteresowany, czyżbym się pomyliła?

Lady Upworth była ciepła i kobieca. Naturalnie nie myliła się. Hrabia miał prawo uważać ją za swoją, jeśli tylko jej chciał. Nie myliła się też, mówiąc, że on, Verbeux, przygląda jej się od dłuższego czasu, zachęcony jej powabem.

- Byłam nierozsądna. Nie zostało mi prawie nic ze spadku po moim zmarłym mężu.

Nie mógł się zdobyć na to, by ją odepchnąć.

- Jak to możliwe, milady? I co pani zdaniem mógłbym w tej sprawie zrobić?

- Narobiłam dużo karcianych długów. Wiem, że to wyda ci się zdumiewające, ale od dawna już mam niewiele przyjemności w życiu. Jean-Marc pewnie by mi pomógł, ale niestety stracił zainteresowanie moją osobą. Nie mam o to do niego żalu. I mężczyznom, i kobietom upodobania się zmieniają. Ważniejsze jednak jest to, że Jean-Marc nie aprobuje pewnych zwyczajów... na pewno nie godzi się na uprawianie hazardu przez kobiety, w dodatku w bardzo podejrzanych miejscach.

- Nie mogę ci pomóc, milady - powiedział Verbeux. Musiał jednak przyznać, że

lady Upworth trafiła go tam, gdzie sądził, że nie można go trafić. Obudziła w nim dobrze skrywany instynkt opiekuńczy. Wcale nie cieszyłby się, widząc tę kobietę zrujnowaną i pozbawioną środków do życia.

- Mógłbyś, gdybyś tylko chciał - szepnęła i wydało mu się, że płacze. - Nie jestem zła - mówiła dalej - ale jestem, a przynajmniej byłam podatna na słabości. No, i nie mam pieniędzy. Nie proszę cię jednak o pieniądze. Proszę cię o przyjaźń i pocieszenie. Hrabia pozwoli mi u siebie mieszkać, liczę też, że poznam kogoś, kto się ze mną ożeni. Wtedy będę ocalona. Ale jest coś, czego bardzo potrzebuję, a ponieważ nie mam nic do stracenia, proszę cię o to.

Verbeux czekał, co nastąpi, ale lady Upworth zamilkła.

- Słucham - ponaglił ją.

Tymczasem w nocnej ciszy rozbrzmiały głosy. Kilku mężczyzn wchodziło na dziedziniec stajni z alejki między zabudowaniami.

- Cicho! - szepnął Verbeux. - Za mną.

Otoczył damę ramieniem i wciągnął za krzak bzu, w ciemny kąt ogrodu. Na wszelki wypadek, gdyby lady Upworth miała na sobie coś lśniącego, okrył ją swoją peleryną i oboje zamarli w bezruchu.

Mężczyźni byli podchmieleni. Zanosili się głośnym rechotem i hałaśliwie uciszali. Verbeux stanowczo nie życzył sobie spotkania z takimi obwiesiami, będąc w towarzystwie kobiety.

Wreszcie się oddalili, a Verbeux ze swej kryjówki dostrzegł już tylko zarysy ich sylwetek.

- Poszli - szepnęła lady Upworth, gdy głosy i stuk kroków ucichły.

- Dziękuję, że pomogłeś mi się ukryć.

Nie odpowiedział. Zareagował przecieź odruchowo.

- Czy nadal mam ci powiedzieć, czego chcę?

- Tak.

- Chcę ciebie, Verbeux. Jesteś najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek poznałam. Poza tym myślę, że mnie pragniesz. Widziałam, jak na

mnie patrzysz. Jest w tobie coś dzikiego, co przemawia do mojej wyobraźni. Nie jestem zła, ale jestem namiętna. Szukam mężczyzny, który może zaspokoić moje potrzeby. Ty jesteś tym człowiekiem.

Ta bezceremonialność go rozpałała.

- Chcesz seksu, milady? Tutaj, w ciemnym kącie ogrodu? Na Boga - syknął przez zęby. - Oszalałaś?

- Och, nie. - Poczł jej ciepły oddech na szyi. A zaraz potem delikatny pocałunek. Jej wargi były zaborcze, lecz miękkie.

- Całkiem nowe doświadczenie - powiedział i odłożył pistolet na ziemię. - Wzięty przez kobietę. Wykorzystany przez kobietę. Piękną kobietę. I tylko dlatego, że ta kobieta mnie pożąda.

- Nie żartuj ze mnie, bo postaram się, żebyś swoje odcierpiał... potem, kiedy znowu będziesz mnie chciał. Każę ci czekać długo, naprawdę długo.

Dlaczego nie miał skorzystać z okazji, która sama pchała mu się w ręce? Lady Upworth była piękna, a jemu zwykle brakowało czasu, by zaspokoić swe niemałe potrzeby seksualne.

- Wcale nie wydajesz mi się śmieszna, milady. Jestem od tego daleki.

- Ila - poprawiła go. Wykonywała jakieś skomplikowane ruchy pod peleryną, najwidoczniej się rozbierała. - Znowu mamy księżyc. Popatrz.

Machinalnie podniósł głowę, a ona roześmiała się i powiedziała:

- Nie tam. Na mnie.

Postulznie opuścił głowę, a Ila rozchyliła połę peleryny. W księżycowej poświacie zabłystry białe wzgórza jej piersi, brzuch i uda.

- Milady!

- Ila, jeśli możesz. - Zręcznymi ruchami palców rozpięła mu koszulę. Pocałowała go w tors, koniuszką języka dotknęła jego sutek, potem nabrzmiętymi piersiami zaczęła się ocierać o jego brzuch. Schylając się coraz niżej, pieściła go i całowała, nie omijając żadnego fragmentu ciała. Verbeux się cofnął. Potem podniósł ją i wycisnął na jej ustach pocałunek.

- Nie ma dla ciebie żadnych granic - powiedział.
- Podoba ci się to?
- Tak. Czy nie obawiasz się, że ktoś cię zastanie w takiej sytuacji?
- Nie. W tej chwili mam ciebie i tylko to mnie interesuje. Ale to dopiero początek. Teraz podnieś mnie, podnieś mnie wysoko.

Verbeux zawahał się, ale ujął ją w talii i poderwał z ziemi.

- Wyżej - powiedziała, głośno wzdychając. - Wyżej, do pioruna! Jeszcze wyżej.

Postusznie unosił ją coraz wyżej, dopóki nie uchwyciła się górnej krawędzi muru. Udami oplótła mu szyję.

- Teraz twoja kolej, Verbeux - szepnęła ochryple. - Zrób to, a nie pożałujesz. Obiecuję ci, że ze mną nie będzie ci nudno. Tak, tak, obiecuję.

Zgodnie z jej oczekiwaniami Verbeux okazał się wprawnym kochankiem. Tak wprawnym, że o mało nie puściła muru..

- Dostyc - jęknęła. - To zbyt wiele. Nie wytrzymam.
- Zbyt wiele, milady? Chcesz powiedzieć, że dam ci zbyt wiele? Ironia jej się nie spodobała.
- Miałeś mnie nazywać Ha - syknęła, wisząc na nim bezwładnie.
- Dość tego. - Powoli opuścił ją na ziemię.
- Ty też masz jakieś imię, Verbeux. Czy nie sądzisz, że powinnam je poznać?
- Imiona nie mają tu nic do rzeczy. Może kiedy indziej. Zaciśnięta dłoń na jego włosach i żartocznie rzuciła się na jego

usta. Niech wie, że nigdy nie będzie w tym związku panem, że to nie on będzie dyktował reguły.

- *Sacre Dieu*. - Verbeux zdecydowanym ruchem ją odsunął. -Przestań, milady, bo będę musiał użyć siły.

Ila parsknęła śmiechem. Odchyliła głowę i śmiała się coraz głośniej.

- Użyj jej, Verbeux. To na pewno mi się spodoba. Siła. Tego właśnie pragnę.

W odpowiedzi ujął ją za biodra i lekko uniósł. Ila jęknęła i oparła stopy o mur za plecami Verbeux. Cofał się i napierał na nią jeszcze wiele razy.

- Czy o to ci chodziło? - spytał, wyraźnie daleki od zmęczenia.

W odpowiedzi rozrzuciła ramiona, zachwycona tym, że mogła się tak całkowicie zapomnieć. Dobrze wiedziała, co widzi teraz Verbeux, wspinając się na szczyt ich wspólnej rozkoszy. Samo wyobrażenie tego, co musiał widzieć, doprowadzało ją do ekstazy.

Poruszał się w niej, dopóki nie zaczęła błagać, by przestał. Wreszcie sama chwyciła go za ramiona i postawiła stopy na ziemi.

- Ila - szepnął, okrywając ją peleryną.

Przeszył ją dreszcz. Nie spodziewała się, że tak egzotycznie może zabrzmieć jej imię w czyichś ustach.

- Będę chciał cię znowu. Często.

- Wiem. I ja ciebie chcę.

Przyciągnął ją do siebie i głaszcząc po plecach i pośladkach, namiętymi pocałunkami okrył jej ramiona i szyję.

- Chodźmy do mnie. Teraz, Ila. Pomogę ci się ubrać i zabiorę cię do swojego pokoju.

Zajął się nią, jakby była małym dzieckiem, a gdy uporządkował również swoje odzienie i podniósł z ziemi pistolet, ujął ją za rękę i poprowadził przez ogród na tyłach domu numer siedemnaście.

Szła za nim chętnie. Szła ze ściśniętym gardłem przekonana o tym, że nigdy nie osiągnie pełnego szczęścia i spełnienia.

Pokoje były eleganckie, kosztownie umeblowane, a na ścianach wisały obrazy. Verbeux nie odezwał się do niej ani razu, póki nie znaleźli się w sypialni. Tutaj znowu ją rozebrał, rozpuścił i wyszczotkował jej włosy, położył ją do łóżka.

Twarz miał napiętą, a oczy tak ciemne, że prawie czarne, gdy kładł się przy niej i leżał bez ruchu tak długo, że omal nie zaczęła krzyczeć. Nie chciała i nie mogła traktować tego związku poważnie. Ale gdy patrzył na nią tak jak w tej chwili, jej postanowienie słabło. Jeszcze nigdy nie doznała uczucia, że jest w ramionach

mężczyzny, który pragnie od niej czegoś więcej niż tylko ciała.

Znowu zaczął się z nią kochać, ale tym razem był niezwykle delikatny. Pozostawił ją z jeszcze większym chaosem uczuć i przejmującą tęsknotą.

A przecież nie mógł się domyślić, że ma przy sobie kogoś innego niż twardą, wyrachowaną kobietę.

- Jesteś cudowny - powiedziała.
- Ila, śpij, *cherie*. Musisz być zmęczona.
- Zaraz zasnę - odrzekła. - Najpierw powiem ci, czego chcę. Nie martw się, zamierzam często zaznawać wspólnie z tobą rozkoszy.

Znieruchomiał. Obok łóżka stała zapalona świeca, więc uniósł głowę, by spojrzeć jej w oczy. Przenikliwość jego spojrzenia sprawiła, że Ila się wzdrygnęła.

- Potrzebuję twojej współpracy, Verbeux.
- Współpracy? Przytaknęła z ciężkim sercem.
- Jeśli nie chcesz, żebym zwróciła Jean-Marca przeciwko tobie, to musisz mi pomóc.

Tym razem to on się wzdrygnął.

- Cóż mogłabyś zrobić?
- Mogłabym mu powiedzieć, że wzięłaś mnie siłą, a potem próbowałaś skłonić do milczenia. Mogłabym mu powiedzieć, że chciałaś mnie przed nim oskarżyć o sprowokowanie tej sytuacji.

Verbeux zmarszczył czoło, ale wbrew jej oczekiwaniom nie okazał gniewu.

- Mów dalej - zachęcił ją.
- Jean-Marc uległ wdziękom Meg Smiles. Ona mnie nic a nic nie obchodzi. Po prostu jest. Ale stoi mi na drodze. Muszę go mieć. Dlatego pomożesz mi sprawić, żeby stracił dla niej zainteresowanie. Albo postaramy się wspólnie, żeby Meg Smiles nie przeszkadzała mi w realizacji planu.

Verbeux puścił ją i usiadł z podkurczonymi kolanami.

- Kochasz hrabiego. Ila z trudem łąpała dech.

- Odpowiedz mi - powiedział cicho, lecz stanowczo. - Czy go kochasz? Jeśli tak, to czemu uciekasz się do takich środków? Po co to wszystko? Nie musiałaś mnie nawet dotknąć, żeby mnie oskarżyć.

- Nie musiałam - przyznała, a po policzkach spłynęły jej łzy. - Nie kocham Jean-Marca. Powiedziałam, że muszę go mieć. Kocham ciebie.

Scandalous

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Dla gości, zaproszonych na wieczorek muzyczny, miał być dostępny niemal cały dom. Sibyl stała w reprezentacyjnej sieni i wytrzeszczała oczy. Wytrzeszczanie oczu nie jest ze swej natury eleganckie, Sibyl wiedziała jednak, że to właśnie robi.

Lokaje w upudrowanych perukach i zielono-złotej liberii stali w rzędzie, czekając na inspekcję, którą miał przeprowadzić Rensch. Służące w białych, trzeszczących od krochmalu fartuszkach starały się krzątać bez wyrazu zmieszania na twarzy. Kucharka, rzadko widywana w górnej części domu, zniecierpliwiona czekała na następną grupę pomocy kuchennych zatrudnioną na ten wieczór. Modniarki biegały tam i z powrotem po schodach, niosąc beły różnobarwnych, lśniących materiałów. Dekoratorzy rozwieszali zielone wieńce na balustradach, inni zdobili je mnóstwem róż.

Z piętra rozlegały się dwa wspaniałe glosy, jeden męski, drugi kobiecy, śpiewające osobno lub w duecie.

Sibyl nie wiedziała, na czym zatrzymać wzrok. Świat oszalał. Jak mogła myśleć inaczej, skoro i ona, i jej siostra znajdowały się w tym domu, otoczone przez ludzi, których nigdy nie spodziewała się poznać, i pięknymi rzeczami, wykwintnymi daniami, wspaniałościami, które nie przytrafiają się w życiu prostych córek duchownego.

Wieczorem powozy miały stać przy krawężnikach wokół całego Mayfair Square i przy wielu przecznicach dochodzących do placu. Powozy kolejno będą przystawać, z tyłu każdego będzie zeskakiwać na ziemię ubrany w liberię chłopiec zwany tygrysem, by wbiec po frontowych schodach pod numer siedemnasty, zapukać i w ten sposób przygotować oficjalne przywitania swoich państwa. Gdy tylko drzwi za dostojnymi gośćmi się zamkną, podjedzie następny powóz i cały rytuał się powtórzy.

- Dzień dobry, panno Smiles. Bo mamy naprawdę dobry dzień, nie sądzi pani?

Sibyl przyglądała się hrabiemu Etrangerowi nieco za długo, nim przypomniała sobie, że powinna dygnąć i odpowiedzieć:

- Zaiste, milordzie.
- Czy miała już panna ostatnią przymiarke swego kostiumu? Sibyl uśmiechnęła się niepewnie.
- Mam nadzieję przyjrzeć się przybywającym z jakiegoś nie rzucającego się w oczy kąta, milordzie. Do tego kostium z pewnością nie jest mi potrzebny.

Hrabia Etranger pokręcił z dezaprobatą głową i zaczął przechadzać się tam i z powrotem, spoglądając na Sibyl za każdym razem, gdy ją mijał.

- Proszę udać się niezwłocznie do pokojów księżniczki. Dam znać służbie, żeby przygotowano pannie kostium.
- Och, nie. - Nie mogła wmieszać się między gości. - Chciałam powiedzieć, że dziękuję. Nie wypada mi brać udziału w tym wieczorze.
- Będzie dziś występować twoja uczennica.
- Wiem, na pewno znakomicie sobie poradzi. Ma do tego talent.
- A panna będzie jej przewracać strony i cieszyć się całym wieczorem od początku do końca.
- Ale...
- To jest polecenie, panno Smiles. Proszę iść na górę. Dygnęła jeszcze raz i posłusznie ruszyła ku schodom, nie mogąc opanować przyspieszonego bicia serca.

Gdy dotarła do pierwszej galerii, przystanęła i spojrzała w dół. Hrabia skłonił się, co wprawiło ją w zakłopotanie. Odpowiedziała skinieniem ręki i znowu wytrzeszczyła oczy. Wpuszczono Adama Chillwortha, który szedł w stronę hrabiego ze zwojami płótna pod pachą i wielką teczką trzymaną w lewej ręce.

Hrabia wciąż na nią patrzył dość zaintrygowany. Sibyl przypomniała sobie, żeby zamknąć usta, zaraz jednak nerwowo przytknęła do nich dłoń, gdy dźwięczny głos Adama zadudnił:

- Widzę cię, Sibyl. Jest ktoś, kto chce się z tobą spotkać. Pod numerem siódmym. Ten wasz kuzyn.

Najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Natychmiast. Pokręciła głową w odpowiedzi Adamowi, ale wtedy przyzwał ją gestem hrabia. Nie miało sensu udawać, że tego

nie zauważyła, zwłaszcza że Adam nie ustępował:

- Tak, Sibyl, zejdź na dół. Ten William doprawdy jest udany. Poczekaj, aż usłyszysz, jakie ma plany wobec ciebie i Meg.

Sibyl wolno zeszła tą samą drogą, którą przed chwilą wchodziła, starając się nie okazać przerażenia, które ją ogarnęło. Cóż ten William sobie wyobraża! Dumnie się wyprostowała i spróbowała zakołysać biodrami tak, jak robiła to lady Upworth. No, może niezupełnie tak.

- Przyniosłem prace do pokazania, milordzie - powiedział Adam. - Portrety tych, których nie było stać na zapłacenie, albo tych, którym się nie spodobały.

Hrabia spojrzał Adamowi prosto w oczy.

- Jest pan szczerym człowiekiem, Chillworth. Podoba mi się to. Obejrzymy pańskie prace w bibliotece. Panno Smiles, proszę z nami. Aha, Rench. - Majordomus akurat przechodził tamtędy po drodze do kuchni. - Przekaż wiadomość modniarkom. Muszą przygotować kostium dla panny Sibyl Smiles. Na dziś wieczór. Jest ich tu dziś tyle, że mogłyby wyekwipować na wieczór oddział wojska, więc coś do włożenia dla jednej drobnej panny nie powinno stanowić problemu.

Rench skłonił głowę, z jego miny należało jednak wnioskować, że nie podoba mu się to polecenie.

Tymczasem hrabia Etranger przepuścił przed sobą Sibyl do biblioteki, a za nimi wszedł Adam.

- Obejrzę pańskie obrazy - powiedział - a pan tymczasem przekazuje pannie Smiles wiadomość, żeby mogła jak najszybciej iść i dopilnować swoich spraw. Mamy tu dzisiaj bardzo gorący dzień.

Adam i Sibyl wymienili spojrzenia.

- Nie zwracajcie na mnie uwagi - dodał hrabia.

Jakby nagle ogłuchł, pomyślała Sibyl, z trudem mogąc oderwać oczy od człowieka, który rozkochał w sobie Meg. Co więcej, nie wykazał dość roztropności, by ukryć przed nią swoje uczucia do Meg. Sibyl nieraz zauważyła, jak spojrzenie hrabiego zatrzymuje się na twarzy Meg i jak śledzi każdy jej ruch.

- No, więc wielebny Baggs - zaczął Adam - zatrzymał się u Latimera. Ale to już

wiesz. Jest szalenie uciążliwy. Nawet nie próbuje ukryć, że ma pilnować ciebie i Meg z polecenia waszego kuzyna Williama. Twierdzi, że spełnia swój obowiązek, ponieważ William martwi się o was, a do Londynu będzie mógł się przenieść dopiero za kilka tygodni.

- Są dobre - odezwał się hrabia, uważnie przyglądając się portretom. - Bardzo dobre. Niekonwencjonalne, ale przykuwają wzrok.

- Dziękuję. - Adam obdarzył hrabiego jednym ze swoich rzadkich olśniewających uśmiechów.

- Przenieść się? - zdziwiła się Sibyl. - Czy powiedziałaś, że kuzyn William zamierza przenieść się do Londynu? Jak to możliwe? Gdzie zamieszka? I jak będzie mógł stąd sprawować pieczę nad ziemią w Puckly Hinton? Przecież ta nieruchomość daje mu utrzymanie.

Nieśmiałe pukanie sprawiło, że wszyscy spojrzeli na drzwi. Na progu stanęła Meg. Ubrana w kremową muślinową suknię i dopasowane kolorystycznie pantofelki, z pięknie ufryzowanymi włosami, wyglądała tak, że Sibyl zaparło dech.

- Proszę wejść - powiedział hrabia i Sibyl znów zauważyła, że mierzy jej siostrę spojrzeniem od stóp do głów. Napięły mu się mięśnie policzków, gdy patrzył, jak Meg podchodzi do biurka.

- Jesteś śliczna, Meg - rzekł z uznaniem Adam. - Jak anioł. Ktoś kiedyś powinien ci podarować sznur pereł do tej sukni. Na przykład w dniu ślubu. Wyglądasz jak panna młoda.

Meg spłonęła rumieńcem.

- Dziękuję, Adamie, ależ z ciebie pochlebca.

- Pan Chillworth jest szczerym człowiekiem - wtrącił hrabia, prężąc tors. Szybko odwrócił wzrok i zajął się znowu studiowaniem portretów.

- Właśnie przyniesiono modniarkom wiadomość, że mają ci przygotować kostium na wieczór - powiedziała Meg do Sibyl. - Chcą, żebyś zaraz do nich przyszła.

- Twój kuzyn William zapowiada przeprowadzkę do Londynu - zwrócił się do niej Adam. - Pomyślałem, że powinienem cię o tym poinformować. Znowu pojawił się pod numerem siódmym. Twierdzi, że wielebny Baggs był świadkiem następnego

wypadku, gdy powóz przewrócił się na Bond Street, i natychmiast po niego poszła. Meg pokręciła głową.

- Trzymał kapelusz - mruknęła. - Widziałam go, ale tak jak bym nie widziała. A potem zapomniałam.
- Nic dziwnego. Jesteś silna, ale mimo wszystko jesteś kobietą. Za dużo wrażeń jak na twoje upodobanie do spokoju. Pan Godly-Smythe mówi, że kupi tutaj dom i weźmie was pod swój dach, żebyście wreszcie były bezpieczne.

Hrabia wciąż siedział przy biurku, ale dłonie miał zaciśnięte w pięści. Pochylił się nad następnym obrazem Adama. Sibyl zwróciła uwagę, że pobiełały mu knykie.

- Och, Meg - wyjąkała.
- Nie może - odparła krótko Meg. - Ma sprawy w...
- Mówi, że sprzeda posiadłość - przerwał jej Adam. - Nie ma innego wyboru, jeśli chce pomyśleć o was dwóch. Chyba że jednak zdecydujecie się wrócić do domu. Chce się z wami spotkać. Prosił, żebym wam to powtórzył.

Tylko najwyższym wysiłkiem woli Jean-Marc powściągnął język. Wydarzenia w rodzinie Meg i Sibyl nie były jego sprawą i mogły nigdy nie być... jeśli Meg nadal będzie go traktować z taką rezerwą. Trwało to od chwili, gdy ten przekłety kocur zaczął się wydzierać w sypialni. Meg była przekonana, że ktoś podglądał ich pieszczoty, i nie odeszła natychmiast tylko dlatego, że Jean-Marc nie chciał jej wypuścić z objęć. Ale gdy zasnął, najwidoczniej się wyślizgnęła, a przy następnym spotkaniu traktowała go jak godnego szacunku, lecz obcego człowieka.

Było jej wstyd. Ta myśl doprowadzała go do pasji. Meg Smiles wstydziła się ich pieszczot, a teraz usiłowała odzyskać utracone poczucie godności. Co musi zrobić mężczyzna, żeby zdobyć kobietę, bez której nie może żyć?

- Idź, proszę, na górę, Sibyl - powiedziała Meg. - Nie martw się. William ani nie ma nad nami władzy, ani nie sprzedaje domu, po prostu blefuje. Za dużo by stracił na sprzedaży. Milordzie, bardzo przepraszam za to roztrząsanie naszych rodzinnych spraw. Czy mogłabym poprosić Jej Wysokość na dół, żeby obejrzała prace Adama?
- Jeśli tak sobie panna życzy. - Pozwoliłby jej na wszystko. Wystarczyło tylko, żeby poprosiła albo nawet dała mu do zrozumienia, że czegoś potrzebuje.

- Sibyl, proszę, niech panna znajdzie Desiree i zaprosi ją do biblioteki. - Zwrócił się do Meg: - Co o tym sądzisz?

Po odejściu Sibyl Meg wolno zbliżyła się do biurka. Policzki miała lekko zarumienione, a jej włosy wydawały się jeszcze bardziej rude niż zwykle. Gdy opuściła wzrok i spojrzała na niego nieśmiało spod przymkniętych powiek, omal jej nie objął.

- Młoda matka. - Wskazał pulchną brunetkę trzymającą dziecko. - Szczególnie udane jest dziecko.

- Tak - przyznała, pochylając się nad płótnem.

Trzymała się krawędzi biurka, a ponieważ i on podobnie zajął jedną rękę, ich dłonie prawie się stykały. Sądził, że Meg zaraz się odsunie, ale tego nie zrobiła.

Z głową przechyloną na bok nadal studiowała portret matki z dzieckiem. Odrobinę rozchyliła wargi. Słońce, wpadające przez okno, nadawało jej skórze piękny blask. Również oczy jej lśniły.

- Adamie, ty naprawdę masz talent - powiedziała, obrysowując palcem przesuwającym tuż nad płótnem linię ust dziecka.

- To prawda - zgodził się z nią Jean-Marc. Wskazał na pulchne rączki niemowlęcia, położył rękę na dłoni Meg i pochwycił jej spojrzenie. - Moim zdaniem pan Chillworth może namalować bardzo udany portret mojej siostry. Jak panna uważa?

Meg głęboko oddychała. Dekolt jej uderzająco prostej sukni był głęboki, bardzo korzystny dla osoby, która miała w nim co pokazać.

- Na pewno namaluje ją pięknie - odparła w końcu i spojrzała na ich stykające się ręce. Jean-Marc miał śniadą skórę, pociemniałą od słońca i wiatru, jeszcze ciemniejszą przez kontrast z jej mleczną karnacją. Jean-Marc przypomniał sobie w tej chwili, jak miękkie jest ciało Meg, jak czuł ją przy sobie, gdy się obejmowali, i jak fascynowało go, że są fizycznie tak różni. Nadal był nią zafascynowany.

Meg cofnęła rękę i zwróciła się do Adama:

- Czy William jest teraz pod numerem siódmym? Jeśli tak, to będzie długo czekał, bo mamy tu gorący dzień. Gdyby po twoim powrocie jeszcze z tobą rozmawiał, powiedz mu, że zamieniłeś ze mną kilka zdań, ale Sibyl i ja wrócimy pod numer

siódmy dopiero jutro. Dziś Sibyl zanocuje u mnie. A wy nie możecie dopuścić do tego, żeby William zatrzymał się pod numerem siódmym.

- Nie ma mowy - obiecał Adam. - Zostaw to mnie, Meggie. Uśmiechnęła się.
- Nie wyrzucaj go przez okno i nie rób nic podobnego, Adamie. Mógłby cię wtedy zatrzymać konstabl, a tego bym nie chciała.

Księżniczka Desiree wtargnęła do biblioteki z niebywałym impetem. Podbiegła kilka kroków, wykonała obrót i znów podbiegła. Za każdym razem, choć miała przed sobą wszystkich po kolei, uśmiechem obdarzała tylko Adama.

- Mam dziś wieczorem oczarować wszystkich jako nimfa. Będę się uśmiechać bez końca, żeby dogodzić mojej drogiej Meg. Mam nadzieję, że te szwaczki nie zdążą skończyć mojego głupiego kostiumu. Bardzo niestosowna rzecz. Pięknie wyglądałby na Ili albo na Meg, ale dla mnie jest jak złoty talerz do owsianki. Jestem taka zwyczajna, że jego blask mnie zaćmi.

- Same niedorzeczności - ośmieliła się zauważyć Meg. - Kostium pięknie leży na Waszej Wysokości i proszę nie mówić o nim ani słowa więcej, bo to ma być niespodzianka.

Adam wyglądał jak rażony piorunem. Niezwykłe wejście księżniczki obserwował z zapartym tchem.

- Mam ważne sprawy do załatwienia - powiedział Jean-Marc. Pociągnął za taśmę dzwonka. - I potrzebuję pomocy, panno Smiles. Niech służąca posiedzi tutaj z panem Chillworthem i księżniczką. - Zwrócił się do Adama: - Ustalcie, jak ma wyglądać ten portret. Decyzja tak czy owak należy do Desiree, więc mogę sobie nie zadawać trudu udzielania jakichkolwiek rad.

- Dziękuję ci, Jean-Marc. Myślę, że powinnam zostać namalowana w tym głupim kostiumie. Co o tym myślisz?

- Jak sobie życzysz. - Gestem wskazał Meg, by poszła za nim. Przyszedł Rench i natychmiast ruszył szukać przyzwoitki dla księżniczki Desiree.

- Och! - wykrzyknęła księżniczka, nagle bardzo poważna. - Mam doskonały pomysł. Pan Chillworth powinien wziąć udział w dzisiejszym wieczorze. To dałoby mu okazję obejrzenia mnie w kostiumie i zdecydowania, czy do mnie pasuje. Czy to nie dobry pomysł, Jean-Marc? Meg spodziewała się sprzeciwu. Tymczasem hrabia powiedział:

- Jeśli również pan Chillworth uważa to za dobry pomysł, nie mam nic przeciwko temu. O, jest Millie. Nie zanudź pana Chillwortha, Desiree. Nie masz za wiele czasu.

Przeszedł przez sień i wszedł do rzadko używanego saloniku, a Meg za nim. Okna były otwarte, toteż wpadały przez nie miłe wiosenne powiewy, a wszędzie, gdzie tylko można, ustawiono wazony z różami. Na wieczór również ten pokój był potrzebny.

- Zanim drzwiami, proszę. Musimy uważać na moją siostrę. Mam wrażenie, że zaczyna zauważać przystojnych mężczyzn, a może nie mieć jeszcze dostatecznej przenikliwości, by uniknąć zadurzenia w wyjątkowo niestosownych osobach.

Meg chciała powiedzieć, że Adam Chillworth jest osobą stosowną pod każdym względem, ale ugryzła się w język. Nie wolno jej było niepotrzebnie przedłużać tego sam na sam.

- Czy istnieją podstawy, by wasz kuzyn mógł uważać, że ma nad wami jakąś władzę? - spytał.

- Nie. - Nie była przygotowana na to pytanie. - William nie ma prawa dyktować nam, co mamy robić. Nie rozumiem, dlaczego nagle zaczął się z takim uporem wtrącać do naszych spraw. To prawda, że okazywał pewne względy Sibyl, gdy była młodsza. Ona go nie chce, a ja ją rozumiem. Jego opowieści o przeprowadzce do Londynu to niewątpliwie tylko blef. Tutaj nie byłby nikim ważnym. W Puckly Hinton ma majątek... majątek mojego ojca... i jest uważany za poważnego dżentelmena. Za nic by z tego nie zrezygnował.

Jean-Marc słuchał w milczeniu. Gdy Meg umilkła, nie przestał jej się przyglądać. Meg starała się nie odwzajemniać tej uwagi, ale bezskutecznie. Zdawało jej się, że czuje jego dłonie na ciele, tak jakby naprawdę jej dotykał.

- Podejdź tutaj.

Musiła mu odmówić. Musiała skończyć z wszystkim, co było osobiste.

- Meg.

- Pan von Werther i panna Clarisse Bisset ćwiczą w pokoju muzycznym. Kucharka krzyczy na wszystkich, nie wyłączając pomocy najętych tylko na dzisiejszy wieczór. Kwiaciarze są dosłownie wszędzie. Róż jest tyle, że można się udusić. Jej Wysokość...

- Nie pleć. Podejdz do mnie, bo inaczej to na tobie wymuszę. Nie masz się czego obawiać z mojej strony, Meg, jeśli nie liczyć tego, że zadajesz mi ból, co może wpłynąć na mój humor.

Podeszła energicznym krokiem, pilnując się, by nie okazywać uczuć.

- Naturalnie, milordzie. Jestem do pana dyspozycji.
- Czyżby, *cherie*? Miło mi to słyszeć. Czy jesteś przygotowana do wypełnienia swoich obowiązków dziś wieczorem?

Stanowczo nie była przygotowana do tego, by towarzyszyć księżniczce i zachowywać się prawie jak jej matka.

- Tak. Jestem gotowa.
- Nie masz pytań co do moich oczekiwań?
- Nie, milordzie.
- Szkoda. Bo ja mam wiele pytań co do twoich oczekiwań wobec innie, Meggie. Czy już zapomniałaś, że kochaliśmy się trzy noce temu?

Przyłożyła palec do warg. Przyspieszone bicie serca bardzo jej przeszkadzało.

- Nie mów mi, że mam milczeć. Czy oczekujesz, że ja zapomnę, jak się kochaliśmy? Jak wyglądasz naga? Co czuję, gdy jestem w tobie?
- Nie chcę, milordzie, żebyś był zły. Nie powinniśmy byli robić tego, co zrobiliśmy. Ale nie winię pana z tego powodu bardziej niż siebie. Mimo że jestem zhańbiona, nie wolno mi wpaść w panikę. Muszę zrobić wszystko, żeby znaleźć wyrozumiałego męża, który obdarzy innie życzliwym uczuciem i zaopiekuje się Sibyl, póki siostra pozostaje w stanie wolnym.

Jean-Marc wstał. Podeszedł do niej tak blisko, że ich ciała prawie się zetknęły. Wbił wzrok w buty, marząc, że ma już tę rozmowę za sobą.

- Czy jestem dla ciebie ważny? - spytał.
- Tak - szepnęła, choć chciała by okazać się silniejsza i odpowiedzieć przecząco.
- Ty dla mnie też. Nie wiemy, co przyniesie nam przyszłość. Nie mogę złożyć ci obietnic, które pragnęłabyś usłyszeć, ale mogę zaproponować ci, Meg, że zostanę twoim przyjacielem. Kochankiem. Chcę być mężczyzną, który przychodzi do ciebie

po pocieszenie i odwzajemnia się tym, że dodaje ci otuchy. Będę też łożył na utrzymanie Sibyl. Podaruję ci dom. Będzie twój i tylko twój, więc już nigdy nie będzie ci niczego brakować.

Wiedziała, że i tak nie będzie jej niczego brakować oprócz poważania... i męża.

Obszedł ją, a gdy znalazł się za jej plecami, usłyszała, że przekręca klucz w zamku.

- Nie możemy pozwolić, by nam przeszkodzono. Nie wyjdiesz, dopóki nie przyznasz, że chcesz tego, co mam ci do zaoferowania.
- Chcę ciebie - powiedziała, krzyżując ramiona. - Nie chcę tego, co masz mi do zaoferowania. Ani rzeczy, ani pieniędzy.
- Chcesz mnie? - Stał za nią i gwałtownie ją do siebie przyciągnął. - Będiesz mnie miała. Nigdy nie będę tak bardzo pragnął innej kobiety.
- Żebym była kochanką? Kurtyzaną niskiego pochodzenia? Kobieta, do której uciekasz, kiedy pragniesz innej niż ta, która jest godna być twoją żoną?

Jean-Marc odwrócił ją twarzą do siebie. Ścisnął jej nadgarstek i pochylił się nad nią.

- Wybacz mi - powiedziała, z trudem powstrzymując łzy. - Nie chcę, żebyś wpadł w złość.

Puścił jej nadgarstek i odchylił jej głowę.

- Ale chcesz, żebym się z tobą ożenił.
- Wiem, że nie możesz tego zrobić. Dlaczego chcesz zasiać w mojej głowie taką myśl? To okrutne.
- Nie myślałaś dotąd o tym? - Jego chłodny uśmiech ranił jej serce. - Jesteś kobietą. Kobiety zawsze o tym myślą.
- Niech ci będzie. Tak. Myślałam. Myślałam o tobie i śniłam o tobie, i czułam twoją obecność, chociaż wcale nie było cię w pobliżu. Wszędzie, dokąd idę, widzę ciebie. Najbardziej na świecie chciałabym się dowiedzieć, że nigdy nie będę musiała żyć bez ciebie. Ale nie oczekuję niemożliwości.

Zamknął oczy, zanim ją pocałował. Surowe rysy jego twarzy dowodziły walki, jaką toczył z samym sobą. Pocałunek nie był gwałtowny, choć takiego Meg się

spodziewała. Ale Jean-Marc nie zmiądzzył jej warg ani nie próbował się na nią rzucić.

Położył sobie jej dłonie na torsie, przykrył je swoimi dłońmi i tak trzymał. Ich wargi zetknęły się tak delikatnie, jakby było to muśnięcie motyli skrzydeł. Powtarzał ten pocałunek wiele razy, wolniej i wolniej.

Meg oparła się o niego, ale w końcu Jean-Marc odsunął się na tyle, by móc spojrzeć jej w twarz.

- Dobrze. Dostaniesz to, czego chcesz. Może nawet tak będzie lepiej. Pomogłaś mi podjąć trudną decyzję. Nie byłem pewien, czy powinienem zdecydować się na śmiały krok i narazić się ojcu, żeby postawić na swoim. Ty mnie do tego namówiłaś.

Słuchała tej przemowy, ale nie była pewna, czy rozumie.

- Jak ci powiedziałem, wolę mieszkać w Anglii - podjął po chwili. - Jeśli będziesz moją żoną, na pewno tutaj zostanę. Mój ojciec nigdy cię nie zaakceptuje. Z czasem dojdziemy z nim do porozumienia. Poczekamy z ogłoszeniem naszej decyzji do końca sezonu Desiree. Do tego momentu musimy zachować dyskrecję. To nie jest trudne.

Była pewna, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, wybuchnie płaczem.

- Meg? Czy mnie rozumiesz?

Skinęła głową i wbiła wzrok w sufit. Łzy popłynęły jej po skroniach i dalej, między włosy. Położył jej ręce na ramionach.

- Co się stało? Masz to, czego chcesz. Powiedziałem, że się z tobą ożenię.

Gdyby rozluźniła mięśnie, upadłaby bez wątpienia.

- Nigdy nie zrozumieję kobiet.

- Nie - zdołała wyjąkać. - Nie zrozumiesz.

- Co twoim zdaniem zrobiłem teraz źle?

Meg zaczęła się śmiać. Po chwili przytknęła do ust trzy palce.

- Dziękuję za te oświadczenia. Chcesz jak najlepiej i nawet powinnam je przyjąć, ale nie mogłabym patrzeć na to, jak dzień po dniu coraz bardziej mnie

nienawidzisz. A znienawidziłbyś mnie szybko. Słuchał tego z chmurną miną. Wreszcie zaklął pod nosem.

- Meg, jestem głupcem! Jeszcze nigdy nie oświadczałem się kobiecie. Zrobiłem to zupełnie nie tak jak należy.
- Byłeś szczery. Nie planowałeś małżeństwa ze mną, ale mogłoby ono ci pomóc postawić na swoim w sporze z ojcem. Poza tym jest ci ze mną przyjemnie.
- Tak. Jesteś dla mnie ważna.
- Wierzę ci. Ty dla mnie też jesteś ważny. Chyba jednak nie możemy się pobrać.
- Meg...
- Nie. Jestem zaszczyciona, ale muszę odmówić. Chciał ją objąć, ale gdy go odepchnęła, nie nalegał.
- Czy już nigdy nie zamierzasz być ze mną? Odrzucasz mnie dlatego, że niezręcznie wyraziłem swoje zamiary?

Meg podeszła do drzwi i przekręciła klucz, by je otworzyć.

- Powiedziałam, że nie zostanę twoją żoną. Nie powiedziałam, że odrzucam twoją drugą propozycję... jeszcze nie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Tu Spivey

Cieszcie się, że nie jesteście zdani na łaskę stworzeń, które wyczuwają każdy ruch w ciemności. Jeden czy dwóch członków towarzystwa, w którym ostatnio się obracam, z niejaką satysfakcją wspomniało przy mnie o specjalnym zmyśle kota, który, jak mówią, jest przydatny zwłaszcza wtedy, gdy duch jest takim niezgrabą, że przyciągnie uwagę tego stworzenia.

Banialuki! Nie jestem niezgrabą, nie jestem niedouczonej, bo również taką obelgę ciśnięto pod moim adresem. To szponiaste bydlę po prostu wyczuło moją obecność... Nie... Nie, z pewnością nie może być tak, jak twierdzą te głupki. A może jednak? Czyżby koty były w stanie widzieć tych z drugiej strony? No, no, w przyszłości muszę mieć oczy szeroko otwarte, żeby uniknąć następnych ataków.

Jestem poważnie ranny. Naturalnie w ogniu walki wykazałem się niebywałym heroizmem. Ale kocur mnie pogryzł, nawet więcej: pogryzł i podrapał.

Muszę już iść. Wstrząsnął mną przypadek lady Upworth, ale jeśli ta dama chce księcia, będzie mi to bardzo na rękę.

Najpilniejszym zadaniem jest zmienić poglądy panny Sibyl Smiles na jej wspaniałego kuzyna, Williama Godly-Smythe'a. W tym celu ta okropna osoba nazwiskiem Ash musi wypełnić bardzo ważną misję. Och, napawa mnie obrzydzeniem to, że znowu muszę z nią pracować.

Wolałbym w ogóle nie myśleć o drugiej pannie Smiles. To hańba, mówię wam, hańba! Takie rozpustne zachowanie u córki duchownego... Ani słowa więcej na ten temat. Bądź co bądź, czemu miałbym się nią przejmować?

Miłego dnia. I nie uśmiechajcie się tak. Myślicie, że mnie przechytrzyliście, co? Ale musicie się jeszcze dużo nauczyć o potajnym działaniu, jeśli chcecie być lepsi ode mnie. Mniejsza o to, możecie dalej ignorować moje ostrzeżenia. Rzucajcie swoje czyste myśli na wiatr. Wślizgujcie się cichaczem do przybytków rozpusty, gdzie lubieżnicy zażywają rozkoszy, i upajajcie się podstępny podglądactwem. Gapcie się do woli i niech obciąża to wasze sumienia.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Rzędy ozdobnych, złotych krzesel, wyściełanych ciemnoniebieskim aksamitem, stały w małej sali balowej. Było przedtem wiele gorących dyskusji na temat ewentualnego użycia do tego celu dużej sali balowej na trzecim piętrze, ale Meg przekonała Jean-Marca, że jeśli znajdą się niewychowani goście, którzy zaczną rozmawiać podczas koncertu, ci na dalszych miejscach nie będą słyszeć wykonawców.

Panna Smiles miała rację, pomyślał, ponieważ okazało się, że zdecydowana większość gości woli przybierać pozy, sprawdzać, kto ich obserwuje, śmiać się i flirtować, niż słuchać muzyki.

Gdzie ona się podziała?

- Milordzie - odezwał się Verbeux, który nieoczekiwanie stanął u jego boku. - Zwycięstwo. Przyda się to na przyszłość. Cały Londyn będzie mówił o tym wieczorze.
- Naprawdę? - Jean-Marc spojrzawszy kątem oka na służącego, który odział się w białe szaty i włożył wieniec laurowy na głowę. - Na miłość boską, człowieku, kogo ty udajesz?

Verbeux uśmiechnął się z wyższością i powiedział:

- Cezara, naturalnie podczas wizyty we wschodnich prowincjach.
- Cezara? Do pioruna! Szkoda, że sam nie pomyślałem o czymś podobnym. W tym, hm, stroju czuję się dość głupio.
- Czy wolno mi będzie powiedzieć, że jesteś, milordzie, niezwykle przystojny jako wódz pustynnego plemienia. A może ma to być łowca niewolników na łupieżczej wyprawie?

Jean-Marc dalej szukał wzrokiem Meg.

- Twój kompan Pierre Jakmutam wydaje się dzisiaj znacznie bardziej na pokaz niż zwykle. Cały czas kręci się przy tobie.

- To dla niego ważne, żeby nabrał pewności siebie.

Verbeux nie spojrzął w stronę Pierre'a.

- On ciągle przeprasza za ten wypadek. Rozumiem, że ręka panny Smiles już całkiem wydobrzała.
- Nie wiem. Panna Smiles jeszcze nosi bandaż, ale nie wspomina nic o bólu. Nie mogę zresztą powiedzieć, żeby ten twój Pierre mi się podobał. Służalczy typ.
- Jest młody. - Verbeux i tym razem nie zerknął na Pierre'a w kostiumie wędrownego grajka. - Nie warto zwracać na niego uwagi.
- Bądź tak dobry i idź już. A przy okazji dopilnuj, żeby zabrano krzesła z połowy parkietu. Niektórzy wydają się niecierpliwie czekać, kiedy będzie można potańczyć.

Verbeux skłonił się i oddalił, a za nim jego cień. Pierre może być młody, ale wyraźnie nie bał się już kary, bo trzymał się prosto i sprawiał bardzo zuchowate wrażenie.

Wybitny pianista z towarzyszeniem kwartetu smyczkowego bohatersko grał jakiś utwór, chociaż szmer głosów zagłuszał go coraz bardziej. Kostiumy były olśniewające. Setki jedwabi, piór, lśniących aksamitów, klejnotów błyskających pod kryształowymi żyrandolami i prawie przezroczystych tkanin wszelkich kolorów, szeleszczących wokół zgrabnych nóg. Szejkowie i mandaryni bratali się z członkami pustynnych plemion, a odaliski z haremu, część z nich zdecydowanie w późniejszym wieku, z zapamiętaniem wczuwały się w swoją rolę. Wypieki na policzkach i lśniące oczy gości świadczyły o niezaprzeczanym sukcesie wieczoru. Lokaje ubrani jak egipcjscy niewolnicy roznosili smakołyki na srebrnych tacach. Strumieniami lały się napitki słabsze i mocniejsze.

Podeszła do niego Ila. Też odaliska, ale jaka! Uśmiechnęła się, choć Jean-Marcowi ten uśmiech wydał się smutny. Była piękną w śmiałej szacie ze szkarłatnego woalu gazy, która przy każdym kroku eksponowała zarys jej zgrabnych nóg. Stanik szaty był również z woalu, rysowało się pod nim coś kusego, co ledwie zakrywało piersi. Na ramionach i przegubach dłoni dzwoniły złote bransolety, a przy wszystkich lamówkach kostiumu pobrzękiwały złote monety. Gdy znalazła się przed nim, zręcznie cofnęła stopę w złotym pantofelku i dygnęła.

- Uroczo wyglądasz. - Jean-Marc podał jej rękę. - Czy dobrze się bawisz?
- Nie.

Spojrzał jej w oczy i zrozumiał, że mówi prawdę.

- Czy mogę ci pomóc, Ila? Sądziłem, że ten wieczór będzie dla ciebie okazją do spotkania starych przyjaciół i poznania nowych. Musisz rozpocząć nowe życie. Tak mi powiedziałaś.
- Naprawdę? Uprościłam sprawę. Jeszcze nigdy nie było mi tak ciężko... samotna wdowa na takim wieczorze.
- Jesteś tu domownikiem.
- Znosisz moją obecność i udzielasz mi schronienia. Wybacz. Nie powinnam narzekać, skoro zawdzięczam ci tak wiele.

To nie była Ila, jaką znał.

- Zmieniłaś się. Lepiej pokaż teraz swój piękny uśmiech i rozejrzyj się dookoła. Mężczyźni oczu nie mogą od ciebie oderwać. Wystarczy jedno twoje skinienie, a nie będziesz mogła opędzić się od zalotników.
- Ty już do nich nie należysz. Jeszcze nie tak dawno byłeś jednym z nich, ale przestałam ci się podobać.
- Chodź ze mną. Pozwól, że przedstawię cię kilku osobom z Mont Nuages. - Nie mógł pozwolić, żeby wciągnęła go w rozmowę o ich wygasłym romansie, a już na pewno nie tu i teraz.
- Jean-Marc, nie interesuje mnie tutaj nikt oprócz ciebie. Myślałam, że jeśli przestanę ci się narzucać i poczekam, aż będziesz gotowy sam do mnie przyjść, to wszystko znów się ułoży. Powiedz mi, co zmieniło twoje uczucia wobec mnie.

Znów rozejrzał się po sali, ale nie zauważył ani Desiree, ani Meg.

- Niewiele się zmieniło. Widocznie nasz związek nigdy nie był tym, czym ci się wydawał. Dziwię się nawet, że teraz go idealizujesz. W swoim czasie wydawałaś się zainteresowana jedynie dzieleniem ze mną rozkoszy... czysto fizycznych rozkoszy.
- Możemy wrócić do tego stanu.
- Proszę, przestań! Nie chcę cię urazić... ale nie chcę też mówić tego, do czego nie mam przekonania.

W tym momencie powrócił Verbeux. Spojrzał na Jean-Marca, potem na Ilę i

odezwał się:

- Może mały spacer? Oboje. Znajdziemy zaciszne miejsce. Pomyślą, że jesteście tam. Ci, co są tam, pomyślą, że jesteście gdzie indziej.

Ta zuchwałość służącego zaskoczyła Jean-Marca.

- Jestem gospodarzem i nie mogę odejść. Myślę jednak, że lady Upworth jest niedysponowana i potrzebuje zacisznego miejsca. Zaprowadź ją, jeśli możesz, w takie miejsce i postaraj się, żeby była zadowolona. - Z tymi słowami odwrócił się od nich i wmieszał w tłum gości.

Meg obserwowała go ze swojego miejsca za marmurową kolumną. Wysoki, postawny dobrze wyglądał w szacie spływającej do ziemi, której szkic skopiowała z książki w bibliotece. Pod luźnym okryciem wierzchnim miał tunikę z szerokim skórzanym pasem, za którym połyskiwał jatagan. Czarne nakrycie głowy, opadające aż na ramiona, przytrzymywał zwój grubego sznura. Zdawał się zupełnie obojętny na poruszenie, jakie wywoływał, i na zazdrosne spojrzenia mężczyzn, którym trudno było znieść szept podziwu wymieniane za wachlarzami przez kobiety, obok których przechodził hrabia.

Czy ten mężczyzna naprawdę widział coś godnego uwagi właśnie w niej? Meg lubiła oceniać się konkretnie. Wiedziała, że może wydać się pociągająca, choć daleko jej do piękności. Oznaczało to, że hrabia jest przenikliwym obserwatorem. Musiał pojąć, że jej prawdziwą wartość stanowi wnętrze. Była niezwykła! Ha. Poczucie humoru i umiejętność dostrzegania zabawnych sytuacji rzeczywiście stanowiły wielki dar, a Meg wiedziała, że w najbliższych tygodniach i jedno, i drugie będzie jej potrzebne.

Siedząca obok niej księżniczka Desiree uśmiechała się nieustannie, jakby kąciki ust miała przytwierdzone do uszu, i z uporem przekonywała wszystkich, że nie rozumie ani słowa po angielsku. Dżentelmeni przedstawiali jej się jeden za drugim. Księżniczka obdarzała każdego uśmiechem i pozwalała całować się w rękę. Gdy tylko ożywiony nadzieją młody człowiek zniknął, wycierała dłoń w fałdy obszernego, zdobionego perełkami różowego kostiumu z woalu.

- Wasza Wysokość - szepnęła Meg. - Nadchodzi brat.

Jednocześnie zbliżał się jednak jasnowłosy młodzieniec uśmiechający się sam do siebie. Pochylił się, by ucałować dłoń księżniczki, a potem spojrzał na Desiree lśnięcymi, niebieskimi oczami.

- Pan jest...? - odezwała się, przesyłając szelmowskie spojrzenie Meg.
- Anthony FitzDurham, Wasza Wysokość. Z FitzDurhamów z Dorsetshire i Birnam, ale na dzisiejszy wieczór po prostu sułtan. -Teatralnym gestem wskazał swoje bufiaste, białe spodnie, koszulę zdobioną plecionkami i turban z wielkim piórem. - Wasza Wysokość wygląda wspaniale, jeśli wolno mi tak powiedzieć. W różowym jest pani do twarzy. Bardzo zręcznie uszyty kostium, sprawia takie wrażenie... - Zaczerwienił się po uszy, najwyraźniej wstrząśnięty popełnioną gafą.

Księżniczka wskazała krzesło obok siebie, ale musiała jeszcze powtórzyć ten gest, zanim młodzieniec ochłonął dostatecznie, by usiąść. Desiree pochyliła się do niego i szepnęła mu coś do ucha. Chłopak najpierw zmarszczył czoło, potem szerzej otworzył oczy, wreszcie wybuchnął śmiechem.

Oto co wynika z tego, jeśli panna do towarzystwa ma mało doświadczenia w pilnowaniu podopiecznej ze skłonnością do łamania reguł. Księżniczka była doprawdy nieznośna. Powinnością Meg było udzielać jej wskazówek i otaczać ją opieką.

- Wasza Wysokość - powiedziała. - Słówek, jeśli można. Głowy pana FitzDurhama i jej podopiecznej znalazły się niestosownie blisko.
- Księżniczko - powtórnie zwróciła się do niej Meg.
- Słucham, droga Meg.
- Szeptanie nie jest przyjęte w towarzystwie.
- Och. - Księżniczka przestała się uśmiechać. - Sądziłam, że nie powinnam głośno mówić o tym, jaką stratą czasu jest przebranie mnie w kostium konkubiny, który ma mnie uczynić pociągającą. Wszystkie te jedwabne taśmy pod woalem, zbliżone odcieniem do mojej skóry... hm, można by pomyśleć, że to naprawdę jest moja skóra, a ja...
- Wasza Wysokość nie jest przebrana za konkubinę - powiedziała Meg, intuicja podpowiedziała jej bowiem, że takie przebranie byłoby stanowczo niestosowne. - To jest kostium nimfy, który na Waszej Wysokości naprawdę pięknie leży.
- Jestem tego samego zdania - popart ją pan FitzDurham.
- To jest konkubina - upierała się Desiree. - Chociaż konkubina powinna mieć stanowczo więcej ciała pod tą rzekomą skórą, czyż nie? Tu powinno być bardziej

okrągło. O, i tu, i tu, i tutaj chyba też. - Niesforna panna obrazowo przedstawiła to gestami. - Konkubina jest niemoralna. Czy pan wiedział o tym, panie FitzDurham?

Meg spojrzała w sufit, a po drodze zauważyła, że stanął przy niej wódz pustynnego plemienia. Przyjrzała się jego twarzy przez wycięcie w srebrzystym jaszmału.

- Można by powiedzieć, że przebraliśmy się wzajemnie - rzekł cicho Jean-Marc. - Rozumiem, że to ty jesteś odpowiedzialna za tę dziwną szatę na moim grzbiecie. Co do mnie, jestem bardzo dumny z twojego kostiumu. Błyszczysz przy każdym ruchu, zresztą jak zawsze.

- Dziękuję. - Postanowiła, że nie sprawi mu satysfakcji i nie okaże zakłopotania.

- Być może popełniłem błąd. Stanowczo za bardzo rzucasz się w oczy dzisiejszego wieczoru. Nie podoba mi się myśl o tym, jak patrzą na ciebie inni mężczyźni.

- Wątpię, czy to robią, ale może w przyszłości pozwolisz mi, milordzie, osobiście dobierać sobie garderobę. Włożyłam to coś, żeby sprawić panu przyjemność, a właściwie po to, żeby pana nie urazić. Strój jest piękny. Dziękuję.

Dyskretnie odciągnął ją na bok, tak że znaleźli się w stosunkowo izolowanym miejscu.

- Nie dziękuj. - Oparł ramię o filar. - Pomyślałem, że ucieszy cię nowa szata, kiedy będziesz robić to, co masz zwyczaj robić. Mówię o abstrakcyjnym myśleniu czy jak to nazwać. To... - dotknął kryształowej szpilki wpiętej w jaszmał przy jej skroni - można wyciągnąć, kiedy chcesz zasłonić oczy.

- Dziękuję za troskę. - Wydało jej się nagle, że znalazła się bardzo daleko do tłumu w sali balowej.

- Wolałbym jednak, żebyś nie musiała zakrywać oczu. Kiedy w nie patrzę, przynajmniej mam szansę odgadnięcia twoich myśli.

Meg otworzyła wachlarz i wykonała nim kilka ruchów, by pokonać nagłą falę ciepła. Potem pochyliła się, żeby spojrzeć, co porabia księżniczka.

Jean-Marc odwrócił się i skupił uwagę na nieszczęsnym panu Fitz-Durhamie.

- Dobry wieczór, sir. Ufam, że dobrze się pan bawi. Zabrzmiało to wyjątkowo sztywno, jakby był... ojcem Desiree. FitzDurham zerwał się na równe nogi i wykonał głęboki ukłon.

- Tak, milordzie, dziękuję. Bardzo dobrze, dziękuję bardzo. - Odchrząknął i dalej walczył z sobą. - Ma pan wspaniałą siostrę. Taka uroda i dowcip rzadko idą w parze.

Meg była zadowolona, że rozłożyła wachlarz, bo mogła ukryć uśmiech.

Jean-Marc po mistrzowsku zachował powagę na twarzy.

- W pełni się zgadzam - przyznał. - Desiree jest doprawdy niecodzienna. A czy my się znamy?

Pan FitzDurham powtórnie się przedstawił, po czym dodał:

- Moim ojcem jest Burris FitzDurham. Wybitny sędzia, w Szkocji znany także jako producent całkiem znośnej whisky.

Meg umiała poznać, kiedy coś robi na mężczyźnie wrażenie, a tym razem Jean-Marc wyraźnie był pod wrażeniem.

- Wiele słyszałem o pańskim ojcu. Same pochwały. No, i jest pan zbyt skromny, jeśli chodzi o whisky FitzDurham. Zawsze mam na podorędziu kilka jej butelek. Jest znakomita.

- Dziękuję, milordzie. Z czasem zamierzam zająć się właśnie tą częścią spraw naszej rodziny. - Spojrzał z nagłą pewnością siebie na Jean-Marca. - Czy mogę złożyć wizytę Jej Wysokości, milordzie?

Meg zauważyła, że Jean-Marc od dłuższego czasu zerka na Desiree, wyczekując podpowiedzi z jej strony, ale panna wydawała się potulna i zadowolona ze wszystkiego. Meg pomyślała, że księżniczka ma zadatki na dobrą aktorkę.

- Hm, może pan. Moja siostra spędza zbyt mało czasu z młodymi ludźmi. Na razie jednak, jeśli wolno mi przeprosić...

FitzDurham niezwłocznie się wycofał, kłaniając się na odchodnym. Sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego z siebie.

- O, tak - odezwała się księżniczka, gdy nie było już niebezpieczeństwa, że ktoś podsłucha. - Desiree potrzebuje więcej dzieci do zabawy, bo brakuje jej towarzystwa do toczenia kółka i jedzenia podwieczorków. Ma tylko Karpia i pluszowego misia.

Jean-Marc nie okazał irytacji.

- Jesteś stanowczo za bystra, żeby wyszło ci to na dobre. A przy okazji przypomniałaś mi o sprawie, która umknęła mojej uwagi. Byłem ostatnio zbyt zajęty, by porozmawiać z tobą o Karpiu. Ale widzę, że już mówisz o nim całkiem jawnie, prawda? Przy mnie do tej pory o nim nie wspominałaś. Skąd wzięłaś tego olbrzyma i po co ukrywasz go w tym domu? Myślałem, że zdaniem twojej matki i naszego ojca trzymanie zwierząt domowych jest niestosowne.

Księżniczka zbladła. Wysoka fryzura wydawała się w tej chwili zbyt ciężka na głowie tak eterycznej panny.

- Milordzie - odezwała się Meg - proszę nie winić swojej siostry. To ja...

- Nie. - Desiree wstała, by objąć Meg. - Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miałam, ale nie mogę pozwolić, żebyś brała na siebie moje winy. To ja znalazłam Karpia. Na dworze. Był chory. Zaopiekowałam się nim i wyzdrowiał. Jest moją jedyną miłością. Kocha mnie i mieszka ze mną. Proszę, bardzo proszę, nie każ mi go oddać. On...

- Cicho - przerwał Jean-Marc beładne wyjaśnienia siostry. - Nie gorączkuj się tak, moja droga, bo to nic nie da. Zmieniasz się, stajesz się bardziej subtelna. A może po prostu mniej wstydzisz się pokazywać swoją prawdziwą naturę. Zatrzymaj to przekłete zwierzę, ale pilnuj, żeby nie wtargnęło znowu do moich pokojów tak jak ostatnio. Przeżyliśmy wstrząs z Verbeux.

- Och, jesteś kochany. Dziękuję ci. Będę bardzo uważać, żeby nie wychodził z moich pokojów - obiecała Desiree. Cała drżała i powtarzała bez końca: - Dziękuję, dziękuję.

- Spokojnie. - Pochylił się i cmoknął siostrę w policzek. - Nie musisz mi więcej dziękować. Widzę, że naprawdę lubisz tego zwierzątko. Zawsze miałem szacunek dla ludzi dbających o zwierzęta. Poza tym to jest bardzo ładny kot, więc świetnie rozumiem, dlaczego tak ci się podoba. A teraz zajmij się swoimi gośćmi. Wkrótce dla nich zagrasz.

- Czy muszę? - Nagle opuściła kąciki ust, ale szybko znów je uniosła. - O, przyszedł pan Chillworth. Wiesz, on jest nieśmiały, więc nie byłam pewna, czy się pojawi.

- Ja byłem. Hm, idzie w naszą stronę. - A dokąd miałby iść? - zdziwiła się księżniczka. - Zna tylko mnie... no, i naturalnie Meg.

Jean-Marc pochwycił spojrzenie Meg, ale jeśli nawet miał coś do powiedzenia o nagłym ożywieniu siostry, to przezornie zachował milczenie.

Chillworth prezentował się nieskazitelnie. Miał na sobie szatę, którą Jean-Marc przypisałby jakiemuś ludowi z Indii. Wyglądał zresztą bardzo efektownie w białej koszuli rozpiętej pod szyją i białych spodniach. Pierś przecinały mu skórzane taśmy, obie spięte na wysokości pasa. Na plecach Adam miał strzelbę. Piekielnie niestosowne, pomyślał Jean-Marc. Co innego jatagan, co innego strzelba.

Gdy Chillworth podchodził, Desiree klasnęła w dłonie.

- Pięknie pan wygląda. Myślę, że dziś wieczorem objawił się pański prawdziwy duch. Swobodna istota, zawsze starająca się rwać więzy.

Chillworth odpowiedział jej uśmiechem pełnym zakłopotania.

- Co pan o tym sądzi? - Desiree wstała i wykonała obrót. Jej suknia była małym dziełem sztuki. Wydawała się wykonana z jednego pasa cielistego jedwabiu, z naszytym woalem, który otaczał ciało księżniczki od ramienia po rąbek. Podobną drogę przebywała zdobiąca go różowa koronka z licznymi cekinami. Szata była aż do kolan obcisła, dalej gwałtownie się rozszerzała. Meg na widok tego stroju pomyślała o prawie przezroczystej, bardzo pięknej rybie - Czy warto namalować mnie w tym niemądrym przebraniu?

Jean-Marc przyglądał się reakcji Chillwortha. Tak musi czuć się ojciec, który pierwszy raz uświadamia sobie, że jego córka stała się kobietą, pomyślał. On cały czas widział w swojej siostrze dziecko, ale nagły błysk w oczach malarza dowodził, jak bardzo chybiona była taka ocena.

Chillworth potrzebował sporo czasu, by zebrać myśli i móc powiedzieć coś sensownego.

- Widzę w tym rękę Meggie - rzekł w końcu. - Bardzo zręcznie zrobione. Tak, myślę, że ten strój się nadaje.

- Tylko tyle? - Desiree wyduła wargi. Przybrała nadąsaną minę jak byle kokietka.

- Bardzo dobrze się nadaje - poprawił się Chillworth, a potem przechylił głowę i skupił spojrzenie szarych oczu na księżniczce, napawał się jej widokiem. Jean-Marc przez chwilę nawet żałował, że malarz nie ma tytułu i odpowiedniej pozycji.

Desiree wspięła się na palce i szepnęła coś Adamowi do ucha. Pokręcił głową, więc szepnęła coś ponownie i przestąpiła z nogi na nogę. Chillworth spojrzął na nią, po czym zwrócił się do Jean-Marca:

- Milordzie, czy mogę zatańczyć z Jej Wysokością? Jean-Marc poczuł, jak Meg drętwieje. Najwidoczniej obawiała się

jego odmowy... odmowy i oburzenia z powodu takiej prośby.

- Ma pan moje pozwolenie - odrzekł - ale proszę pamiętać, że ona jest młoda. Proszę pilnować, żeby pana nie zmęczyła.

Desiree porwała malarza na parkiet, a Jean-Marc pogratulował sobie w duchu rozsądnej reakcji na sytuację, która przecież nie kryła w sobie niebezpieczeństwa.

- Proszę się nie martwić, milordzie, że księżniczka tańczy z Adamem - szepnęła Meg. - On jest wyjątkowo uczciwym człowiekiem.

Jean-Marc poprawił jatagan przy pasie.

- Jestem skłonny uważać, że większe niebezpieczeństwo grozi panu Chillworthowi. W najlepszym razie przekona się podczas tego wieczoru, jak można ufać mojej siostrze w sytuacjach towarzyskich. Ona jest taka zmienna. Trzpiotka. Urocza trzpiotka, ale to nie zmienia faktu.

- Ładnie razem wyglądają.

- Mnie też się tak zdaje. Z twoją pomocą Desiree rozkwita. Wprawdzie ma buntowniczą naturę, ale miejmy nadzieję, że przynajmniej nie straci silnej woli.

- Ja mam taką nadzieję. Świat się zmienia. Któregoś dnia kobiety będą odgrywać w nim równie ważną rolę jak mężczyźni we wszystkich dziedzinach. Chciałabym, żeby księżniczka miała w tym swój udział. Jest bardzo rozumna.

- Owszem, jest rozumna. - Jean-Marc wolał nie komentować nietuzinkowych poglądów Meg.

- Milordzie. - U jego boku znów pojawił się Verbeux. - Jest tu lady Hester Bingham.

- A gdzie jest lady Upworth? - spytał Jean-Marc, marszcząc czoło.

- Ehm, zostawiłem ją, żeby mogła odpocząć w samotności. Sama wyraziła takie

życzenie. Lady Hester nalega, żeby pan zgodził się z nią porozmawiać.

Jean-Marc patrzył nie na Verbeux, lecz na Meg. Zachwył na jej twarzy przekonał go, że powinien okazać entuzjazm dla rozmowy z sąsiadką. Odwrócił się i uśmiechnął do wysokiej, jasnowłosej kobiety, niewątpliwie dojrzałej, lecz wciąż mającej pozazdrosczenia godną figurę. Towarzyszył jej Hunter Lloyd, który skłonił głowę.

- Moja siostra i ja bardzo się cieszymy z pani przybycia, lady Hester - powiedział Jean-Marc, zadowolony z trafności oceny, jakiej dokonał. Kobieta istotnie wydawała się bardzo usatysfakcjonowana tym, że wiedział, kogo ma przed sobą. - Bardzo cenię sobie dobrosąsiedzkie stosunki. Wspaniale pani wygląda.

- Oho, widzę pochlebcę. Ale i ty wyglądasz wspaniale, milordzie. Gdybym była znacznie młodsza, zamarłoby mi serce na pana widok. - Lady Hester nie spojrzała na Meg.

- Jak nazywa się ten kolor? - spytał Jean-Marc, przyglądając się strojowi lady Hester. Jej nakrycie głowy było obficie przetykane złotą nicią, a na staniku sukni połyskiwały niezliczone rzędy kryształowych i gagatowych koralików. - Czy może liliowy?

- Stanowczo wiesz, milordzie, za dużo o kobiecych słabościach. Rzeczywiście liliowy. A ja jestem pierwszą żoną szejka. - Uśmiechnęła się, najwyraźniej bardzo zadowolona z siebie. - Co o tym sądzisz, milordzie? Czy zaskakuję pana wiedzą o tych sprawach? Pierwsza żona, co? Pogańskie obyczaje. Zapewniam, że nie tolerowałabym drugiej, trzeciej ani którejkolwiek innej żony mojego męża. Na jeden wieczór mogę się zgodzić na małe ustępstwo.

- Och, z pewnością. Znakomicie pani się sprawdza w tej roli. - Jean-Marc zwrócił się Lloyda: - To dobrze, że towarzyszy pan ciotce. Jesteśmy zaszczyceni waszą obecnością. Meg mówi w samych superlatywach o pani życzliwości i lojalności, lady Hester.

Lady Hester wreszcie spojrzała na Meg i jej twarz złagodniała.

- To jest wspaniała panna. Zdolna, wszechstronna i serdeczna. My, którzy jesteśmy jej przyjaciółmi, bardzo się o nią martwimy. Rzadko spotyka się tak subtelną osobę. Ufam, że pilnujesz, milordzie, by Meg była tu bezpieczna.

Jean-Marc poczuł się zakłopotany, co bardzo go zdziwiło.

- Osobiście dokładam starań, by tak było - powiedział i natychmiast pożałował tych słów. - To samo dotyczy panny Sibyl, gdy jest pod moim dachem - dodał szybko. - Obie są dla mnie nieocenione. Mężczyzna nie jest przygotowany do sprawowania pieczy nad debiutantką.

- Rzeczywiście nie - przyznała dama. - Chciałbym obejrzeć twój dom, milordzie. Jestem bardzo zainteresowana pracami remontowymi. Moim dziadkiem był sir Septimus Spivey, wybitny architekt. Zaprojektował dom pod numerem siódmym i był z niego niezwykle dumny. Tradycja głosi zresztą, że miał tak mało zaufania do swych potomków i ich zdolności do sprawowania opieki nad swoim dziełem, że postanowił nie umierać, póki potomkowie się nie poprawią. Dożył więc sto drugiego roku, zanim był zmuszony się poddać, ale umierając, dał wszystkim krewnym wyraźnie do zrozumienia, że nie jest przekonany, czy już dorośli do zadania, jakie ich czeka. Wieść głosi również, że był bardzo próżnym człowiekiem, który wzniósł się ponad swój poziom niekompetencji.

Jean-Marc zawtórował jej śmiechem.

- Doskonała historia do opowiadania wnukom. Lady Hester spojrzała nań zboląłym wzrokiem.

- Naturalnie jeśli ktoś ma wnuki.

- No, tak. - Jean-Marc przybrał odpowiednio współczującą minę. - Obejrzyjmy wobec tego dom. - Wcale nie miał na to ochoty, ale dla Meg był gotów się poświęcić.

- O, nadchodzi Sibyl - powiedziała lady Hester. - Kto to jest ten strach na wróble wykonujący podskoki obok niej?

Meg gwałtownie się odwróciła i omal nie straciła równowagi.

- Ash - powiedziała z westchnieniem. - Nauczycielka tańca księżniczki. Nie miałam pojęcia, że tu będzie dziś wieczorem.

- Nie ma kostiumu - dodała lady Hester, przytykając lorgnon do niebieskich oczu.

- O ile wiem, ona korzysta z twojego pokoju, Meg, podczas gdy mieszkasz tutaj, ale do tej pory jeszcze jej nie widziałam. Nawet Barstow jej nie widział i dobrze się składa. Zawsze byłaś zbyt wrażliwa, żeby wychodziło ci to na dobre, ale muszę powiedzieć, że okazałaś jej wyjątkową życzliwość.

- Siostra mówi, że gdy Ash nie pracuje tutaj, to siedzi w swoim pokoju -

stwierdziła Meg, ale podskoki Ash dookoła Sibyl bardzo ją zaniepokoiły. -
Przepraszam was bardzo.

Podeszła do siostry.

- Już się martwiłam, gdzie jesteś - powiedziała, nie zwracając uwagi na Ash. -
Ślicznie wyglądasz Sibyl jako boginka.

- Nie jestem właściwie niczym określonym. Było o wiele za późno, żeby
przygotować prawdziwy kostium.

- Wschodnia bogini. - Meg cmoknęła siostrę w policzek. - Zielony szyfon. Jesteś w
nim taka malutka. Zupełnie, jakby miał owinąć cię w całości. I prawie rozpuściłaś
włosy. Bardzo dobry pomysł. - Zwróciła się do nauczycielki tańca: - O, i pani tutaj,
panno Ash. Ale gdzie pani kostium?

- Baniałuki - orzekła Ash, a na jej wychudzonej twarzy odmalowała się głęboka
dezaprobata. - Jestem tu, bo muszę. Przyszłam z poczucia obowiązku. Nalegam,
moje panny, żebyście niezwłocznie ze mną porozmawiały. Rzecz jest najwyższej
wagi. Chodzi o wasze dobro, nie moje. Ktoś ze mną rozmawiał, inaczej nie
wiedziałabym przecież, w jak przelomowym punkcie znalazły się wasze sprawy.

- Co ma pani na myśli? - spytała Meg. - To nie jest odpowiedni czas ani miejsce
na roztrząsanie czegokolwiek, co nie ma związku z dzisiejszym wieczorem
księżniczki. Jeśli musi pani z nami porozmawiać, poczekajmy z tym do jutra.

- Dzisiaj, i to niezwłocznie. - Nagle wydała dziki okrzyk. - Zabierzcie go!
Natychmiast się go pozbądźcie!

- Ojej. - Sibyl zasłoniła usta dłonią. - Tu jest kot, Meggie. Piękny kot. Co on tu
robi? Musimy go uratować, zanim ktoś go zauważy i wyrzuci na ulicę.

- Uratować? - zapiszczała Ash. - Ja bym go wyrzuciła przez okno. On jest zły. Nie
widzicie tego? Ugryzł mnie w kostkę. A teraz na mnie fuka.

Zbliżyła się do nich postać w czerni, za którą postępowali Hunter Lloyd i Verbeux.

- To mój kot - powiedział Jean-Marc, biorąc Karpia na rękę. -Wiedziałem, że
powinienem mu ustąpić i pozwolić, żeby miał swój kostium. On, kiedy nie może
postawić na swoim, najpierw się dąsa, a potem zaczyna robić na złość. Proszę
wybaczyć Karpiovi, panno Ash. Właśnie zamierzam pokazać dom lady Hester. Przy
okazji odniosę kota do swoich pokojów.

Meg spoglądała za nim w osłupieniu, wkrótce jednak otrząsnęła się i uśmiechnęła. Jean-Marc jeszcze raz udowodnił, że jest nieprzeciętnym mężczyzną.

- Muszę zamienić parę zdań z panną Meg i panną Sibyl - upierała się niezrażona Ash. - Jeśli jest pan tak uprzejmy, Verbeux, byłabym wdzięczna, gdyby dopilnował pan, by nam nie przeszkadzano. - Od czasu do czasu przeskakiwała z jednej nogi na drugą i rozcierała te miejsca na ciele, które atakował Karp.

Verbeux posłusznie stanął przed Hunterem, który nosił tego wieczoru biały kapelusz, haftowaną niebieską kamizelkę, białą koszulę i białe spodnie. Meg nie miała pojęcia, w kogo się wcielił, był jednak lak samo efektowny jak zawsze.

- Dobrze. - Panna Ash oparła ręce na biodrach. - Chcę, żebyście mnie obie posłuchały. I to uważnie. Mam wam do powiedzenia coś ważnego w waszym najlepiej pojętym interesie. Dzisiaj odbyłam długą przyjacielską rozmowę z tym przemiłym panem Williamem Godly-Smythe'em i własnym uszom nie wierzyłam. Pan Godly-Smythe poprosił panią o rękę, Sibyl. Elegancki, uczciwy mężczyzna. W dodatku chce wziąć pod swój dach także Meg. I pani odmawia? Omal nie zemdlałam z wrażenia, kiedy mi to powiedział.

- A co to panią obchodzi? - spytała obcesowo Meg.

- Meggie. - Sibyl spojrzała na nią z wyrzutem. - Nie możesz mieć pretensji do ludzi, którzy się o nas troszczą. Mamy szczęście, że spotykamy się z życzliwością.

- Cieszę się, że rozumiecie, jakie macie szczęście - ciągnęła Ash. Spuściła wzrok, a kąciki jej ust opadły jakby za pociągnięciem tego samego sznureczka. - Posłuchajcie zdania dobrze urodzonej kobiety, skazanej na życie bez męża. Takie okazje nie trafiają się często. A kiedy jednak się trafią, trzeba dziękować i szybko brać, co los daje. Jeśli się pospieszycie i zwrócić się do tego chorego z miłości biedaka ze stosowną prośbą, to nie będzie musiał sprzedać domu w Puckly Hintoni kupować nieruchomości w Londynie tylko po to, żeby wam dogodzić. Zresztą w Londynie z pewnością nie byłoby go stać na utrzymanie trzech osób. Idźcie! Nie wahajcie się, zanim sprzeda swój dom i dobytek. Bo jeśli je sprzeda, to wytrwa w miłości do pani, Sibyl, póki będzie go pani interesować w sypialni, ale potem poczuje się nieszczęśliwy i wasze małżeństwo też będzie nieszczęśliwe. Wspomnicie moje słowa.

- Nie sądziłam, że pani kiedykolwiek była mężatką - powiedziała Meg bardzo zaniepokojona zmieszaniem Sibyl.

- Bo nie byłam.
 - A nie chciałyby pani znaleźć męża?
 - Nie wszyscy dostają swoją szansę, ale to nie znaczy, że nie ma we mnie dość serdeczności, bym nie życzyła wam lepiej. Kiedy posada u hrabiego przestanie być aktualna, wrócę do szkoły, ale wy? Gdzie pójdziecie? Macie siebie, to prawda, ale z roku na rok jesteście starsze i same się zdziwicie, jak szybko zostaniecie starymi pannami. Będziecie pewnie siedzieć w tym bezbożnym mieście i żałować, że kiedyś nie podjęłyście innych decyzji.
 - Panno Ash - udało się wtrącić Meg. - Jest pani bardzo życzliwą nam osobą, ale pani nie zna naszego kuzyna. W jego domu byłibyśmy niewolnicami. Wątpię, czy byłoby nam wolno nawet czytać. William nie uznaje kobiet, które chcą poszerzać swoje horyzonty umysłowe. Sam zdecydowałby, które zajęcia są dla nas pożyteczne i źle by nas traktował. Jedynym naszym zadaniem w życiu stałoby się dbanie o jego osobę i dobrą opinię. On nas nienawidzi. Zawsze nas nienawidził, więc nie mamy pojęcia, skąd u niego ta nagła troskliwość.
 - Myślę, że on się zmienił i naprawdę panią kocha, Sibyl. Jest już gotów założyć dom i pomyśleć o synach. Powinna być pani wdzięczna, że taki elegancki kawaler chce obdarzyć panią swoimi względami. Gorąco namawiam, niech pani go przyjmie. Szkoda tracić czas. Niech pani idzie do niego jeszcze dziś wieczorem. Pan Godly-Smythe jest pod numerem siódmym. Czeka na pani odpowiedź. Popadł w taką desperację, że wysłał do was mnie, obcą osobę.
 - Dostał ode mnie odpowiedź - odezwała się Sibyl - jednoznacznie odmowną.
- Ash załamała swe kościste ręce. Wydawała się całkiem obojętna na zaciekawione spojrzenia, które przyciągała.
- Myśl o tęsknocie tego człowieka przejmuję mnie rozpaczliwym smutkiem. Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek była tak pewna swojej misji, gdy czegoś się podejmowałam. Dlatego nie przestanę pani nakłaniać, Sibyl. Niech pani do niego idzie, błagam panią. A pani, Meg, proszę niech nie zapomina, że ten wspaniały człowiek, wielbny Baggs, nóg już nie czuje, tyle kilometrów schodził, próbując nad panią czuwać. Jest skrajnie wyczerpany.
 - On nie jest żonaty - powiedziała Meg całkiem zadowolona z myśli, która nagle przyszła jej do głowy. - Czemu nie wpadłam na to wcześniej? Gdyby pani poślubiła wielbnego Baggsa i zajęła się jego i Williama sprawami, wtedy William by nas nie

potrzebował.

Ash najpierw zrobiła się szarawa na twarzy, potem okryła się niezdrowym rumieńcem. Uśmiechnęła się i machnęła ręką.

- Pani ze mnie żartuje. Taki wspaniały mężczyzna nie chciałby nawet na mnie spojrzeć. Co za naiwność podsuwać takie pomysły.
- Z pewnością jest inaczej. Sama widziałam, jak na panią patrzy. - Nie było to stuprocentowe kłamstwo. - Niech pani to przemyśli, panno Ash. Czy mogę mówić do pani „Lawinio”? W gruncie rzeczy, długo już razem pracujemy. Wkrótce księżniczka ma zagrać na fortepianie dla gości.
- Proszę nazywać mnie Lawinią. Już zapomniałam, kiedy ostatnio ktoś mi to zaproponował. - W oczach Ash pojawił się wyraz zadumy. Odeszła, znalazła sobie krzesło i usiadła.
- Meg, to było podle
- Baggsy naprawdę nie ma żony. Najwyższy czas, żeby się o nią postarał.
- Ale wiesz... Meg, czy zauważyłaś, że przyszedł Hunter... i że się nam przygląda?

Meg rozejrzała się dookoła i stwierdziła, że Hunter rozmawia z Verbeux.

- Przygląda się tobie, a nie mnie. - Pochwyciła wzrok Verbeux i przyzwała go gestem. Podeszedł, a ona zauważyła to, co we wcześniejszym zaaferowaniu uszło jej uwagi. Służący Jean-Marca utykał.

Hunter podeszedł prosto do Sibyl. Po drodze skinął głową Meg. Usłyszała jego głos:

- Pozwól, że zgadnę. Jesteś istotą z głębi mórz. Jedną z tajemniczych istot zaginionego świata.

Sibyl zachichotała.

- Zaginionego świata Wschodu. Jaki jesteś bystry i przenikliwy. - Uśmiechając się do siebie, odeszli.

Meg poczuła się osamotniona. Nie zazdrościła Sibyl tej odrobiny szczęścia, chciała tylko, by i w jej przyszłości rysowało się coś oprócz rozczarowań.

- Pani pozycja jest trudna - odezwał się Verbeux. Zdążyła już zapomnieć o jego obecności.

- Nie wiem, co pan ma na myśli.
- Myślę, że pani wie.

Czy rzeczywiście? Może. Verbeux zawsze był blisko Jean-Marca,

- Gdybym mógł pani przyjść z pomocą, zrobiłbym to - powiedział, czym kompletnie ją zaskoczył. Spojrzał przed siebie. - Pani jest ważna dla hrabiego. On panią chce. Ma dylematy, jakich wielu ludzi nawet sobie nie wyobraża.

- Nie wątpię. Dziękuję za zainteresowanie.

- On chciałby panią gdzieś porwać i zapomnieć o tym wszystkim. Meg spojrzała spod oka i zmarszczyła czoło.

- Pan jest ranny, Verbeux.

- Nie, skądże. - Dłońmi poprawił sobie uczesanie, bardziej przykrywając skronie. - To drobiazg.

Zobaczyła jednak świeżą ranę na boku jego głowy.

- Co się stało? Proszę mi powiedzieć. Nalegam.

- Pani na nic nie może nalegać, panno Smiles. A pani sprzeciwy nie zbijają mnie z tropu. Pani też go chce. Czemu nie miałbym pomóc pani w osiągnięciu celu?

Nie powinna nawet odpowiadać na tak szaloną propozycję.

- Co się panu stało w głowę? Czy ktoś pana uderzył?

- To śmieszne, co pani mówi. Naturalnie nie. Jeszcze dziś wieczorem będzie pani z hrabią...

- Niech pan nas zostawi w spokoju. - Ogarnęła ją złość. - I niech pan poszuka kogoś, kto opatrzy panu rany.

- Zdaje się, że lady Hester zmonopolizowała pana hrabiego - stwierdził Verbeux. Włosy nie były w stanie przykryć siniaka, który widniał mu na policzku. - Pan hrabia będzie uprzejmy, ale nie poświęci jej zbyt wiele czasu. Panno Smiles, myślę, że dla pana hrabiego jest bardzo ważne, żeby wkrótce wyjechać razem z panią.

Meg rozejrzała się dookoła za kimś, kto by ją wspomógł, bo podczas tej dziwnej rozmowy z Verbeux poczuła się nieswojo.

- Wiem, że są sprawy, o których nie wie nawet pan hrabia - odezwał się znowu. - Czy pani mi wierzy?

Przypatrywała mu się z uwagą, przekonana, że musiał uczestniczyć w jakimś akcie przemocy.

- Tak - szepnęła.

- To dobrze. Będę potrzebował pani pomocy. Chcę, żebyście oboje wyjechali jeszcze dziś wieczorem i znaleźli sobie kryjówkę. Tu jest dla was zbyt niebezpiecznie.

- Nie rozumiem. Wprawdzie spotkały mnie pewne niefortunne przypadki, ale nie miały one nic wspólnego z panem hrabią.

Verbeux wzdrygnął się, dotknąwszy twarzy.

- Tak początkowo sądziliśmy. Zapewniono mnie jednak, że przeoczyliśmy pewne znaki i byliśmy w błędzie. Te znaki nie były przeznaczone dla pani. Pani stanęła na drodze. W gruncie rzeczy niektórzy są nawet zirytowani tym, że pani komplikuje sprawy. Tak czy owak, wyjedziecie z księciem dziś wieczorem. Musicie stąd zniknąć. Najtrudniejszym zadaniem będzie przekonanie pana hrabiego.

Meg cofnęła się o krok.

- Chyba za mocno uderzył się pan w głowę. Powinien pan zwrócić się do lekarza.

- Tak pani uważa, ale jeszcze tej nocy może pani zmienić zdanie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

- Dobry wieczór pani - powiedział do Meg dystyngowany dżentelmen w kilcie. Jego gęste, siwe włosy zupełnie nie pasowały do miłej, młodzieńczej twarzy. - Wnoszę, że mam przyjemność rozmawiać z panną Smiles.

Gdy zmarszczyła czoło, uśmiechnął się do niej, odsłaniając garnitur bielutkich zębów.

- Dziwi się pani, skąd wiem. Chciałbym przyznać się do jakiejś tajemniczej metody. Niestety, było to całkiem proste. Zapytałem o panią.

- Rozumiem. - Meg odwzajemniła uśmiech. Poprawiła jaszmak, który prawie całkowicie zasłaniał jej twarz, i przez chwilę bezgłośnie powtarzała swoją mantrę. - Czyż nie mówi się, że najprostsze metody są zwykle najgenialniejsze?

- Czy nie ma pani nic przeciwko temu, że na chwilę razem usiądziemy?

Nie miała pojęcia, jakie reguły obowiązują w takiej sytuacji. Bądź co bądź, wciąż była młodą, niezamężną kobietą.

- Jestem panną...

- ...do towarzystwa księżniczki Desiree? To też wiem. Zapewniam, że nikt nie będzie plotkował na temat wdowca takiego jak ja, który przysiadł na chwilę, żeby ulżyć zmęczonym nogom, i toczy rozmowę z panną do towarzystwa gospodyni wieczoru. Zresztą, gdyby kogoś to interesowało, zawsze możemy powiedzieć, że mam nadzieję zatańczyć z samą księżniczką.

Meg poprawiła dół srebrzystej szaty, jej zdaniem stanowczo zbyt prześwitujący.

- Ma pan odpowiedź na wszystko.

- Pani jest w tej chwili sama, prawda? A jeśli pozwolić sobie na chwilę abstrakcyjnego myślenia...

- Skąd... - Nie bardzo wiedziała, jak zapytać, co nieznajomy wie na ten temat.

- Z obserwacji. Sam mam zwyczaj medytować. Nauczyłem się tego, służąc w

armii w Indiach. Miałem tam przyjemność zgłębiać arkana tego w górach, pod kierunkiem bardzo świątobliwego mędrca.

To zrobiło wrażenie na Meg.

- Zazdroszczę panu.
- W każdym razie bardzo przepraszam, że pani przeszkodziłem, ale chciałem panią poznać. Czy nie czuje się pani w tej chwili nieco osamotniona?
- Może - odrzekła. W rzeczywistości była przerażona. Jak mogła powiedzieć Jean-Marcowi, że jego własny służący kazał mu ją zabrać i uciekać, ponieważ grozi mu niebezpieczeństwo, a ona komuś przeszkadza, więc również może być w niebezpieczeństwie.
- Pani się czymś trapi. Och, proszę mi wybaczyć. Jestem sir Robert Brodie z Edynburga. Książę Georges, ojciec hrabiego, jest moim dobrym znajomym.
- Rozumiem. - Dlaczego Jean-Marc przepadł na tak długo?
- Kim byli pani rodzice?

Meg drgnęła, wyrwana z zamyślenia, i spojrzała na rozmówcę.

- Moim ojcem był waleczny Smiles z Puckly Hinton. Niestety, zmarł już dość dawno. Moja matka odeszła z tego świata jeszcze wcześniej. Jak pan widzi, nie mam się czym pochwalić.

Uniósł brwi, które wciąż zdradzały ślady rudości. Postawny człowiek z wyjątkowo szerokimi ramionami, okrytymi aksamitnym surdudem ze srebrnymi guzami. Muskulaturę nóg podkreślały kraciaste skarpety do kolan. Mankiety i kołnierz surduta były wykończone koronką.

- I jak brzmi werdykt? Podoba się pani ten widok?

Meg spłonęła tak intensywnym rumieńcem, że zapiekły ją policzki. Sir Robert poklepał ją po dłoni i głośno się roześmiał.

- Jestem paskudny, skoro wykorzystuję pani młodość i zadaję takie nieprzyzwoite pytania. Minęło już zbyt dużo czasu, odkąd owdowiałem, więc straciłem nieco zręczności w konwersacji, którą powinien prowadzić mężczyzna towarzyszący urodziwej kobiecie. A pani jest urodziwa, panno Smiles. - Zniżył głos, a uśmiech znikł mu z twarzy.

- Chciałbym porozmawiać z panią nieco dłużej. Naturalnie jeśli pani się zgodzi. Nie jestem starym człowiekiem mimo siwizny. Niestety, źle zniosłem śmierć żony i posiwiałe włosy są tego pamiątką.

- Nie wątpię, że źle pan zniósł takie przeżycie. - Popatrzyła na niego ze współczuciem, a on odwzajemnił się spojrzeniem pełnym żalu.

- Jest pan niezwykle przystojny i wygląda pan młodo. Podobają mi się też pana siwe włosy, nadają panu dystyngowany wygląd.

Sir Robert wybuchnął śmiechem. Zdecydowanym ruchem ujął jej dłoń i spytał:

- Czy mogę? - A gdy skłoniła głowę, delikatnie pocałował ją w rękę, wesoło spoglądając jej w oczy. - Pani jest cudowna. Taka naturalna. Im szybciej przestanie pani brać w tym wszystkim udział, tym lepiej. Pani potrzebuje spokojnego życia wypełnionego miłością i domowym ciepłem. Co pani tu właściwie robi?

- To długa historia. - Pochyliła się i rozejrzała w nadziei zobaczenia Jean-Marca. - Wszystko zaczęło się od tego, że wraz z moją siostrą Sibyl znalazłyśmy się w trudnej sytuacji po śmierci naszego ojca. Musiałyśmy same o siebie zadbać. Ale dajemy sobie radę, dziękuję.

- Mam praktykę tu, w Londynie - powiedział sir Robert. - Jestem lekarzem. To dość przykry wątek w rozmowie, czyż nie?

- Nie lubi pan swojej profesji?

- Bardzo lubię, ale nie wydaje mi się to stosownym tematem rozmowy z młodą, dobrze wychowaną kobietą. Przez część roku wykładam też w Edynburgu, więc mam dwa domy na głowie. To duża odpowiedzialność dla samotnego mężczyzny.

- Niewątpliwie. - Meg podobał się ten mężczyzna, podobał jej się miły, zdecydowany uścisk dłoni, która bez wątpienia nie powinna trzymać jej dłoni, i równie miły uśmiech, i młodzieńczy wygląd, któremu nie szkodziły nawet siwe włosy. Podobały jej się też jego rudawe brwi, niebieskie oczy i... kolana.

- Czy zatańczy pani ze mną, Meg? - spytał. - Pani podopieczna tańczy i z tego, co widzę, jeszcze przez pewien czas tak będzie.

Meg odszukała wzrokiem księżniczkę i Adama na parkiecie. Byli zajęci sobą bez reszty. Tańczyli powolnego walca, który był absolutnie niestosowny.

- Czy mogę prosić? - spytał sir Robert.

- No... myślę, że tak. Ale tylko na chwilę.

Całkiem niedaleko od niej Jean-Marc pieniał się ze złości. Czuł się osaczony, widząc, że Verbeux nie odstępował go na krok i upiera się, żeby niezwłocznie wyjechał z Meg, a tymczasem Meg wiruje na parkiecie z sir Robertem Brodiem i zdaje się bardzo dobrze bawić. Niewiele brakowało mu do wybuchu.

- Nie wiedziałem, że tak łatwo wpadasz panikę, Verbeux. Wyjechać? Dziś wieczorem? I wziąć z sobą Meg Smiles? Człowieku, co cię naszło?

- To. - Verbeux przesunął dłonią po głowie i oczom Jean-Marca ukazała się długa, cięta rana poniżej linii włosów. - Niech pan zwróci uwagę, że mam również siny policzek. I inne ślady, których tutaj nie mogę pokazać. Skopali mnie i nie wiem, czy jeszcze kiedyś będę miał całkiem sprawne kolana.

- Słucham cię z uwagą. Kim, na miłość boską, byli napastnicy?

- Nie widziałem ich. W pokoju było ciemno. Siedziałem z lady Upworth w półmroku. Weszło dwóch mężczyzn w pelerynach. Zgasili lampy. Lady Upworth krzyknęła. Jeden zasłonił jej usta. Powiedzieli, żebym się nie ruszał, bo ją skrzywdzą. A potem przekazali mi bardzo prostą wiadomość. Pan hrabia ma wyjechać i zabrać z sobą pannę Meg Smiles. Powinien się ukryć i nie nawiązywać z nikim kontaktu, dopóki sami po niego nie przyjadą.

- Niech ich piorun strzeli! Opatrz tę ranę i nie mów nikomu o tym, co się stało. Gdyby tamci byli pewni siebie, to zrobiliby, co chcą zrobić, a nie przesyłali ostrzeżenia.

- Nawet nie wiemy, kto to jest - zauważył Verbeux.

- A Ila... Na miłość boską, człowieku, gdzie jest Ila?

- W swoim pokoju. Nic jej się nie stało, ale przeżyła głęboki wstrząs. Ona też nikogo nie widziała, ale słyszała, co ci ludzie powiedzieli. Może zaświadczyć.

- Nie chcę żadnych świadectw. Nigdy mnie nie okłamałeś. Co podejrzewasz? Kim oni są?

- Przyjaciele pańskiego wuja. A któż by inny?

- Jeśli coś mi się stanie... mój ojciec zacznie podejrzewać wuja Ludwika jako pierwszego. Wciąż jednak nie wierzę, że za tym wszystkim stoi Ludwik. Co wspólnego ma z tym Meg?

Verbeux pokręcił głową.

- Dlaczego, u diabła, ona tańczy z Brodiem?
- Kawaler do wzięcia - odparł Verbeux. - Mogła trafić dużo gorzej. A małe ma szanse trafić lepiej, czyż nie?
- Co chcesz przez to powiedzieć?
- Dał pan już jasno do zrozumienia, że nie poślubi pan kobiety dla zadośćuczynienia woli ojca, ale nie chce pan też kobiety, której pański ojciec by nie zaakceptował. Sam pan nie wie, czego pan chce.
- Nie znam kobiet, które akceptowałyby mój ojciec - burknął Jean-Marc. - Gdyby poznał Meg Smiles, może by ją zaakceptował, ale on nawet nie da jej szansy.
- Wolałbym, żeby pan potraktował groźby poważnie i wyjechał. Może wtedy będzie czas na przekonanie księcia Georges'a.
- Przerwę im - zdecydował Jean-Marc, przyglądając się Meg i Szkotowi. - Ona mogłaby być jego córką.
- Proszę się skupić, milordzie, i pozwolić, żebym pomógł ci się z tego wyplątać.
- Mam uciec? Nigdy. Niech po mnie przyjdą i mnie wezmą... jeśli są w stanie. Może zapomniałeś, ale mam pod opieką siostrę.
- Po śmierci będzie pan bezużyteczny.
- Postaram się zapomnieć, że to powiedziałaś. Desiree potrzebuje i mnie, i Meg. Nawet jeśli twój pomysł mnie kusi, to nie mogę po prostu zniknąć, zabierając Meg.

Verbeux skrzywił się, jakby nagle coś go zabolalo.

- Czyli przyznaje pan, że Meg Smiles pana zauroczyła?
- Niczego nie przyznaję. Zostaw mnie. Idź sprawdzić, jak się miewa lady Upworth. Powiedz jej, żeby zachowała spokój. Nie ma się czym martwić.

- Milordzie...

- Zrób, co ci mówię. Znam prawdziwy strach, Verbeux. Nie pozwolę się zastraszyć tą sytuacją. Natomiast dowiem się, kto postanowił zostać moim wrogiem. Pilnuj Ili, a ja będę pilnował Meg.

Verbeux przyglądał mu się tak długo, że Jean-Marc nie był pewien, czy nie zdarzy się bezprecedensowa sytuacja i służący nie odmówi wykonania jego polecenia. Wreszcie powiedział:

- Niech pan nie słucha, jeśli nie chce. Jestem zdecydowany oddać za pana życie, gdyby okazało się to konieczne. - Skłonił się i odszedł, mocno utykając. Nie ulegało wątpliwości, że dookoła toczy się niebezpieczna gra, a jedynym rozsądnym jej motywem wydawała się walka o tron w Mont Nuages.

Jean-Marc skrzyżował ramiona i zebrał się w sobie. Lojalność rzadko uzewnętrzniała się w tak niezłomny sposób.

Tymczasem na parkiecie Brodie dalej tańczył z Meg i było widać po jej reakcjach, że nie jest obojętna na jego urok. Do diabła z tym typem!

- Ładna jest ta panna do towarzystwa twojej siostry - powiedział do niego stary wiarus. - Miło mieć kogoś takiego w domu, czyż nie?

Jean-Marc omal nie zdzielił tego głupca pięścią, ale nagle przypomniał sobie, jak trzymał Meg w objęciach.

- Sir Robert ma mnóstwo pieniędzy - powiedział stary wiarus.

- Czyżby? - Jean-Marc nie wiedział o Brodiiem zbyt wiele.

- Podobno świetny lekarz. I ma reputację hojnego. Od paru lat jest wdowcem. Nie byłoby nic dziwnego w tym, gdyby zaczął się rozglądać za żoną. Byłby dla niej dobry i dałby jej wszystko, czego by zapragnęła. Poza tym dotąd nie miał dzieci, więc pewnie chciałby coś zrobić i w tej sprawie. A ta panna wpadła mu w oko, nie ma dwóch zdań. Ciekaw jestem, czyj to pomysł, żeby przy każdym ruchu pokazywała tyle ciała. Co za... - Pochwycił wściekłe spojrzenie Jean-Marca i parsknął. - O, budzi się instynkt posiadacza, prawda? Ale ona naprawdę ma ładne nogi, a i reszta wydaje się niczego sobie. Sądzę, zresztą, że to wiesz, człowieku.

- Przepraszam bardzo. - Jean-Marc odszedł. Znalazł się w tej części sali, gdzie Sibyl wciąż rozmawiała z Hunterem Lloydem, a panna Ash siedziała na krześle, ale robiła wrażenie osoby przebywającej myślami zupełnie gdzie indziej. Oparł się o filar i wbił wzrok w tańczących. Następne popisy muzyczne tego wieczoru wydawały się coraz mniej prawdopodobne.

Czy to on miał być ofiarą wypadków z brzytwą i powozem, a przynajmniej tego ostatniego? Czy Meg po prostu zajęła jego miejsce? Poruszył się niespokojnie.

Brodie trzymał ją stanowczo za blisko, a ona bynajmniej się nie broniła.

Sprawy nie układały się dobrze. Jeśli nie liczyć młodego dziedzica wytwórni whisky, uwagę księżniczki zwrócił do tej pory tylko malarz z dziurawymi kieszeniami. Program wieczoru uległ poważnym zakłóceniom, chociaż nad tym Jean-Marc mógłby zapanować, gdyby nie odwrócono jego uwagi.

To prawda, że tłok nadal był taki sam jak na początku wieczoru. I było tak samo głośno, jeśli nie głośniejsze. Należało więc sądzić, że goście dobrze się bawią. Rano wszyscy będą plotkować tylko o tym wieczorze.

Niektóre damy i niektórzy dżentelmeni stawali się jego zdaniem zbyt śmiali w zalotach, jeśli zważyć na obecność młodzieży. Postanowił w przyszłości trochę ograniczyć alkohole.

Pianista i kwartet grali z wielką wprawą i niewątpliwie byli doceniani przez gości. Z parkietu usunięto już wszystkie krzesła i większość obecnych tańczyła. Jean-Marc dostrzegł wśród tańczących również barytona i sopranistkę, którzy mieli występować. Baryton bawił się wpuszczaniem cukierków w szeroki dekolt sopranistki i wydobywaniem ich stamtąd za pomocą warg i języka, co sprawiało jego partnerce niewątpliwą przyjemność.

Desiree nie powinna się tutaj znajdować.

Zarumieniona i roześmiana Meg odwróciła się na chwilę od Szkota, a potem coś mu powiedziała, zapewne, że ma dość tańca. Robert Brodie ujął ją za rękę i powoli sprowadził z parkietu, ani przez chwilę nie przestając do niej mówić.

Jean-Marc wpadł w furję.

- Jest panna - powiedział do Meg, gdy podeszła do niego z Brodiem. - Czy już zapomniałaś, że masz tu swoje zadania?

Stała przed nim zakłopotana.

- Tańcząc, przez cały czas obserwowałam księżniczkę, milordzie.
- Mnie się zdawało inaczej.
- Milordzie - odezwał się Brodie - jeśli ktokolwiek ponosi tu winę, to ja. To ja namówiłem Meg do tańca. Nie chciała, ale przekonałem ją, że nie spuścimy księżniczki z oka.

- To jest panna Smiles. Takie spoufalanie się uważam za wysoce niestosowne.

Doktor Brodie wyprostował ramiona. Teraz na jego twarzy nie było uśmiechu. Jean-Marc z niechęcią musiał przyznać, że Szkot jest przystojny.

- Proszę zostawić nas z panną Smiles, jeśli łaska - powiedział.
- Za chwileczkę, milordzie - odparował Brodie. - Panno Smiles, ponieważ nie masz tu krewnych, muszę postawić to pytanie pani osobiście. Czy pozwoli pani, abym złożył jej wizytę?

Jean-Marc zerknął na Szkota i z satysfakcją przeniósł wzrok na Meg, która przeżywała rozterkę. Potrzebowała męża, który zapewniłby utrzymanie jej i Sibyl. Ten mężczyzna mógłby się okazać wymarzoną kandydatem, lecz z drugiej strony nie był kandydatem, którego Meg chciała.

- Tak - powiedziała w końcu. - Zapraszam. Będzie mi bardzo przyjemnie. Będziemy jednak musieli spotkać się w moim mieszkaniu, ponieważ mój chlebodawca zapewne nie patrzy przychylnym okiem na gości zatrudnionych przez siebie osób.
- Spotkacie się pod numerem siedemnastym - orzekł Jean-Marc. Meg musiała przyjąć tego człowieka w takim miejscu, żeby on, Jean-Marc, mógł jej strzec.
- To bardzo miło z pani strony. Może moglibyśmy iść na spacer do parku, Meg. Albo wybrać się na konną przejażdżkę.
- Ona nie jeździ konno - wtrącił Jean-Marc. - I nie ma konia.
- To się świetnie składa - odparł niezrażony tym Brodie. - Nauczę panią, panno Smiles. Mam ładną siwą klaczkę w sam raz dla pani. Kiedy panią odwiedzę, to się umówimy.
- To nie będzie możliwe - oznajmił Jean-Marc, a choć wiedział, że tego pożałuje, to nie był w stanie się powstrzymać. - Naturalnie może pan złożyć krótką wizytę. Ale jesteśmy tutaj bardzo zajęci. Meg jest dobrze opłacana między innymi za to, żeby nie miała wolnych dni.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

Sibyl zostawiła Huntera i szybko podeszła do Meg. Razem patrzyły, jak Jean-Marc zmierza przez salę balową do księżniczki. Pochylił się nad nią, szepnął jej coś do ucha, potem położył jej rękę na talii i lekko popchnął ją przed siebie.

Adam został na miejscu, patrząc śladem człowieka, przed którym ludzie odruchowo się rozstępowali. Respekt, jaki budził, sprawiał, że zauważali go absolutnie wszyscy.

- Uraził uczucia Adama - powiedziała Sibyl.
- Adam jest silniejszy, niż ci się zdaje - odparła Meg, chociaż była wściekła na Jean-Marca. - Pan hrabia pilnuje, żeby siostrze nie stała się krzywdą. Desiree jest bardzo młoda.
- A ty go kochasz - szepnęła Sibyl.

Meg spojrzała na nią, ale nie zaprzeczyła tym słowom, choć zostały wypowiedziane oskarżycielskim tonem.

- Czy widziałaś sir Roberta Brodiego? - spytała, szukając gorączkowo innego tematu. - Bardzo przyjemny człowiek i chyba mną zainteresowany.
- Owszem, on jest tobą zainteresowany - przyznała Sibyl. - Szkoda tylko, że ty nie jesteś nim zainteresowana. Hrabia nie jest dla ciebie, Meggie. On... nie znam się na takich sprawach, ale wydaje mi się, że on cię pragnie. Ale nie chciałby, żebyś została jego żoną, prawda?
- Nie, chyba że byłby to jedyny sposób, by... - Ugryzła się w język. - Proszę, Sibyl, nie każ mi o tym mówić. To są najtrudniejsze chwile w moim życiu, ale obiecuję ci, że nie stracę głowy. A ty zrobisz dobrze, jeśli przestaniesz się oglądać za panem Verbeux. On nie pasuje do ciebie. Jest zbyt doświadczony.

Sibyl dumnie uniosła głowę i spojrzała na Meg z chmurną miną.

- Zasada „wet za wet” do ciebie nie pasuje. Pan Verbeux jest interesującym człowiekiem. Masz rację, wydaje się bardzo doświadczony. Może właśnie to jest w nim intrygujące. Pomyśl o tym. W każdym razie mogę na niego patrzeć, ile chcę. Jestem cicha, lecz nie pozbawiona wyobraźni i całkiem mi się podoba to, co robię.

Nawet jeśli to prawda, że zupełnie do siebie nie pasujemy.

Sibyl rzadko pozwalała sobie na tak śmiałe uwagi. Meg zamrugła z wrażenia i spojrzała na siostrę.

- To dobrze. Chodzi mi tylko o twoje dobro. Byłam niemita i przepraszam za to.
- Nie. - Sibyl pokręciła głową. - To jest trudny okres dla nas obu... och, Meg, księżniczka niczego nie zagrała ani nie zaśpiewała. A tyle pracy to kosztowało.
- Twojej pracy - mruknęła Meg. - Ten biedak nie umie organizować takich rzeczy. Porozmawiam z nim.
- Za późno.
- Wiem. Będą inne okazje.

Niepewnie podszedł do nich Hunter. Twarz miał bardzo poważną.

- Coś się stało, Meg. Czuję to. Proszę, jeśli pobyt tutaj nie jest dla ciebie dobry, wróć pod numer siódmy.
- Nie mogę. Dziękuję ci, Hunter.
- Dlaczego nie możesz? Czy ma to coś wspólnego z... hm, pieniędzmi? Jeśli tak, to doprawdy nie musisz się przejmować.

Sibyl nagle straciła pewność siebie i spuściła głowę.

- Dziękuję ci, Hunter - powtórzyła Meg. - Damy sobie radę, ale nigdy nie zapomnimy tobie i lady Hester waszej dobroci i życzliwości.
- To nie tylko... - Zaczerwienił się lekko. - Wybacz mi, że mieszam się do twoich prywatnych spraw. Widzę moją ciotkę. Pewnie chce już iść.
- Hunter! - zawołała za nim Sibyl, ale już tego nie usłyszał.
- Cicho - uspokoiła ją Meg. - Wszystko będzie dobrze. Może trochę cierpi z powodu urażonej dumy, ale to poczciwy człowiek. Powiesz mu kilka miłych słów i będzie po kłopotcie. On cię lubi, chyba wiesz o tym.

Sibyl energiczniej poruszyła wachlarzem.

- Nie bądź niemądra, Meggie. Hunter myśli o nas jak o siostrach. Niedługo na pewno przyprowdzi do domu narzeczoną. Mam nadzieję, że będzie równie

wyjątkowa jak on.

Meg wołała nic więcej nie mówić. Trzeba być ślepym, by nie zauważyć uczucia w oczach Huntera. W dodatku z pewnością nie było to braterskie uczucie.

- Skoro mowa o braciach i siostrach... - zaczęła. Sibyl spojrzała jej w oczy:
- A mówiłyśmy o tym?
- Pomyślałam, że lepiej pospieszę z odsieczą księżniczce, bo Jean... pan hrabia może być dla niej zbyt surowy. Jeśli jesteś pewna, że nie chcesz tu zanocować, proszę, wróć do domu z Adamem i panną Ash. Zobaczymy się jutro.

Meg zostawiła Sibyl, przecisnęła się przez ciżbę ludzi i z zadowoleniem wyszła na galerię, gdzie było nieco chłodniej. Natychmiast skierowała się do pokoiw księżniczki. Nie ulegało wątpliwości, że Jean-Marc będzie jej miał dużo do powiedzenia na temat niestosownego zachowania tego wieczoru.

Róże z wieńców leżały teraz w większości na podłodze. Goście chodzili tam i z powrotem, śmiali się i potrącali. Meg poczuła prąd chłodnego powietrza od otwartych drzwi wejściowych, a jej uszu dobiegło rzenie koni i turkot odjeżdżających powozów.

Przystanęła, żeby popatrzeć. Większość damskich narzutek była wykończona łańdżim puchem. Przy uszach, na szyjach i przegubach dłoni mieniły się klejnoty. Stroje były już nieco pogniecione, wciąż jednak sprawiały wrażenie wytwornych. Meg ruszyła ku apartamentom księżniczki. W cieniutkiej, srebrnej szacie, zamówionej dla niej przez Jean-Marca, czuła się jak czarodziejka. Pomyślała, że może będzie ją wkładać od czasu do czasu, gdy zechce się oderwać od rzeczywistości. Któregoś dnia ta szata mogła pozostać dla niej jedynym wspomnieniem chwil, które nigdy nie powinny się były zdarzyć.

Co przeczytała kiedyś w tłumaczeniu starej książki, którą pozwolono jej obejrzeć podczas odczytu o umyśle? Że strumień świadomości płynie ku dobru i złu. Rozróżnienie dobra i zła może doprowadzić do wolności i to jest jedyna właściwa droga. Musi ćwiczyć ze znacznie większym oddaniem niż do tej pory, żeby zbliżyć się tylko do dobra

i wolności. Wtedy nauczy się nie tęsknić za tym, czego nie mogła osiągnąć. Może.

Przyjdzie do niej z wizytą sir Robert Brodie. Meg nie miała wątpliwości, że tak się stanie. Polubiła go, chociaż niewiele o nim wiedziała. Spytał ją, czy jest samotna,

ale w rzeczywistości chciał jej powiedzieć, że to on jest samotny i szuka żony, która dzieliłaby z nim życie. Takie życie byłoby dobre.

Takie życie uwolniłoby ją od wszystkiego, zostałyby jej tylko wspomnienia o Jean-Marcu.

Czy nauczy się wreszcie dokonywania właściwych wyborów, czy już zawsze będzie pragnąć hrabiego?

Czy mogłaby z nim być?

Postanowiła jednak skończyć te rozmyślenia i zająć się swoją podopieczną, która mogła w tej chwili odbierać surową reprimendę od brata. Nie uległa wątpliwości, że złość Jean-Marca wzmożła się jeszcze z jej, Meg, powodu. To ona sprzeciwiła się jego życzeniom, a w każdym razie nie przyjęła żadnej z dwóch propozycji.

Jean-Marc nie chciał się z nią ożenić, chyba że byłby to jedyny sposób, by ją przy sobie zatrzymać. Która zakochana kobieta chciałaby w taki sposób wiązać z sobą mężczyznę?

W apartamentach księżniczki panowała cisza. Znalazłszy się w korytarzu, Meg przystanęła i zamieniła się w słuch. Nie doleciał jej żaden odgłos. Może źle oceniła hrabiego, a może on również udał się do swoich pokojów albo zszedł na dół, by pożegnać ostatnich gości. Ale po drodze go nie widziała, a trudno byłoby mu przejść obok niej niepostrzeżenie.

W końcu korytarza otworzyły się drzwi salonu księżniczki i wyszedł z nich na korytarz Jean-Marc. Cicho zamknął drzwi i spojrzał w stronę Meg.

Ruszyła ku niemu, ale wyciągnął przed siebie rękę, jakby ją ostrzegał przed podejściem.

- Karp - szepnęła Meg. Jean-Marc trzymał pod pachą wielkiego, szarego kota. - Nie. Nie zabieraj go.

Jean-Marc obrócił się gwałtownie i odszedł w przeciwnym kierunku, spowity w falującą ciemną szatę.

Meg pobiegła za nim. Księżniczce pękłoby serce, gdyby odebrano jej ukochanego Karpia. Chciała krzyknąć, ale wiedziała, że jej nie wolno. Mogłaby zaalarmować służące, a może nawet samą księżniczkę, jeśli spała, nieświadoma tego, co robi brat.

Tymczasem Jean-Marc doszedł do załamania korytarza i skręcił za róg, ale gdy Meg tam dotarła, nie było po nim śladu. Bliska płaczu, nie zważając na to, że nakrycie głowy zsuwa jej się i rujnuje fryzurę, pospieszyła naprzód. Przy następnym załamaniu korytarza zatrzymała się na moment, by wyrównać oddech.

Jej uwagę przykuł drobny ruch. Jean-Marc skręcił z głównego korytarza i był teraz w krótkim łączniku prowadzącym do wąskich, krętych schodów. Kiedyś wchodziło się nimi do pomieszczeń dla służby, teraz pokoje te pełniły funkcję składu.

Meg stanęła u podnóża schodów i szepnęła:

- Jean-Marc, zatrzymaj się, proszę. - Był już prawie na górze i nawet się nie obejrzał.

Jeśli postanowił dać dowód swojego okrucieństwa, to trudno było się spodziewać, że zmieni zdanie, Meg nie zwykła jednak łatwo się poddawać. Najszybciej jak umiała, wspinała się po nierównych i wydeptanych stopniach. Poruszała się po omacku, z braku poręczy opierając dłoń o ścianę.

Drzwi u szczytu były zamknięte.

Przemknęła jej przez głowę straszna myśl. Pod samym dachem była mansarda z oknami. Jean-Marc mógł po prostu wyrzucić zwierzę przez jedno z nich. Gdyby Karp się zabił, zawsze mógłby tłumaczyć, że przecież miał szansę się uratować.

Nie, tak nie postępował Jean-Marc, jakiego znała.

Otworzyła drzwi i wkroczyła w absolutną ciemność. W każdej chwili mogła rozbić sobie o coś głowę. Przystanęła i zaczęła nasłuchiwać. Usłyszała coś podobnego do odgłosu ssania pokarmu przez niemowlę. Skrzyżowała ramiona i cicho spytała:

- Jean-Marc, co robisz?

Drzwi zatrzasnęły się i usłyszała odpowiedź:

- Czekam na ciebie.

Wtedy uświadomiła sobie, że nie wyczuwa obecności Jean-Marca. Powinna dokładnie wiedzieć, gdzie jest. Przecież od początku była między nimi niewidzialna więź.

- Przyszłam - powiedziała z mocno bijącym sercem. - Przykro mi, że ten wieczór był taki trudny, ale nie miej pretensji do Desiree, że tak się nim cieszyła. Ona

wcześniej nie miała wielu okazji do radości.

- Milcz.

Zadrzała. Jej oczy nie mogły przyzwyczać się do mroku.

- Dostaniesz dzisiaj lekcję. Każdy rodzi się na swoim miejscu i powinniśmy mieć dość rozsądku, by się go trzymać.

- Gdzie jesteś? - spytała. - Dlaczego mówisz do mnie w ten sposób?

- Milcz.

- Gdzie jest Karp?

Poczuła mocne uderzenie w policzek. Popłynęły jej łzy, ale nawet nie z bólu, lecz z wielkiego zdumienia. To było straszne.

- Zamilknij wreszcie i słuchaj, co do ciebie mówię. To nie był Jean-Marc.

Nikt nie wiedział, dokąd poszła. Mogła... mogła nawet tutaj umrzeć, a przez długi czas nikt nie natknąłby się na jej zwłoki.

- Kim jesteś?

Tym razem uderzono ją w drugi policzek. Kimkolwiek był ten człowiek, nie zamierzał odpowiedzieć na żadne z jej pytań, więc równie dobrze mogła znieść jego bicie w milczeniu.

- Umiesz tańczyć?

- Tańczyć?

- Słyszałaś pytanie. Czy umiesz tańczyć?

- Trochę.

- To dobrze. Lubię się przyglądać, jak ładne panny tańczą. Mocne ramiona objęły ją i poderwały z ziemi. W nozdrza uderzył ją oddech mężczyzny przesycony brandy. Lubieżny dotyk obcych rąk wzbudził w niej wstręt.

- Przestań - powiedziała.

Zachichotał i niosąc ją, przesunął dłonią po jej spódnicach. Próbowano się wyrwać, ale w odpowiedzi wsunął jej rękę za stanik.

- Nic dziwnego, że wpadłaś hrabiemu w oko. Każdy mężczyzna byłby wniebowzięty. Są takie miejsca na świecie, gdzie uprawia się melony. Gdyby twoje cycki były melonami, osiągnęłyby ładną cenę. Ale założę się, że smakują lepiej niż melony. Muszę sprawdzić, hm? Co ty na to?

- Puść mnie - wykrztusiła Meg.

Jej prześladowca boleśnie uszczypnął ją w pierś, a potem postawił na jakimś meblu.

- Nie martw się. Ten stół jest duży. Będziesz miała dość miejsca do tańca.

Z trudem zebrała myśli.

- No, tańcz! - rozkazał.

- Po co? Po co to robisz?

- Zaraz zrozumiesz - odrzekł. - Tańcz. Nie mogła nawet podnieść nogi.

Mocne szczyknięcie w pośladek stanowiło dla niej kolejny wstrząs. Szurnęła nogami.

- Nie, nie tak! Podnoś nogi. Zdejmij te pantofelki. Przeszkadzają. - Podniósł ją do góry i zrobił to za nią.

Meg nie mogła opanować drżenia. Zaczęła płakać, szybko jednak obudziła się w niej złość.

- To powinno ci pomóc. Zawsze byłem zdania, że rozgrzewka dobrze robi.

Zapalił pochodnię.

Meg czuła, że za chwilę zemdleje. Ten człowiek chciał ją skrzywdzić, a ona nie widziała żadnej drogi ucieczki.

- Pobawimy się trochę - powiedział i zmniejszył płomień, odłamując kawałek z główki pochodni. - Będziesz skakać nad ogniem.

- Nie, proszę! Zapali mi się kostium.

- Zawsze możesz go zdjąć.

- Puść mnie, proszę.

Płomień zbliżył się do jej bosych stóp. Meg uniosła rozciętą spódnicę kostiumu prawie do kolan. Żar owionął jej nogi.

- Tańcz! - rozkazał mężczyzna, podnosząc głos. - Tańcz, tańcz, tańcz! Zaczął wymachiwać pochodnią przy jej stopach, więc nie pozostało

jej nic innego, jak zacząć skakać.

- Zaraz coś się zapali - wykrztusiła.

- Nie - zaprzeczył spokojnie. Meg nie przypominała sobie, by znała ten głos. - Co najwyżej zapalisz się ty. Ale przecież będziesz uważać, prawda?

Odsunął pochodnię, podszedł bliżej i zmusił ją, by się pochyliła. Jego pocałunek wzbudził w niej odrazę.

Znowu zaczął wymachiwać pochodnią. A ona znów zaczęła skakać. Nakrycie głowy tak podobne do tego, które miał Jean-Marc, zsunęło mu się na twarz, więc mimo płomienia nie była w stanie dostrzec rysów.

- Szkoda. To doprawdy stracona okazja. Cały czas tylko wypełniam rozkazy. Czemu nie miałbym się trochę zabawić? Zdejmij odzienie.

Zmartwiła.

- Rób, co ci mówię.

- Nie. - Musiałby sam zedrzeć z niej szatę, a z pochodnią w ręku nie było to łatwe zadanie.

Szarpnęła się, gdy chwycił za stanik.

- Nie jestem dla ciebie dość dobry, co? - burknął. - Dla ciebie tylko pan hrabia z nieprawego łoża. No, to skacz dalej! Skacz! - Coraz trudniej było jej unikać raz po raz zbliżającego się do nóg płomienia.

- Mam dla ciebie wiadomość. Ale najpierw powiedz: „Jestem tu intruzem”. No, dalej!

Pochodnia uderzyła ją w tydkę. Meg krzyknęła, ale potem powtórzyła zadane słowa.

- Dobrze. A teraz powiedz: „Za wysoko mierzyłam. Przepraszam za całe zło, które wyrządziłam”.

Tym razem szybko wykonała rozkaz.

- Coraz lepiej. Powiedz: „Wyjeżdżam jeszcze dziś wieczorem i znajdę sposób, żeby wyjechał ze mną pan hrabia”.
- Nie wiem, czy...

Tym razem ogień liznął jej kostkę. Znow krzyknęła.

- Znajdę sposób, żeby wyjechał ze mną pan hrabia - powiedział jeszcze raz mężczyzna, a Meg posłusznie powtórzyła.
- Nie martw się. Wszystko jest przygotowane. Wystarczy, że skłonisz go do wyjazdu, nie wspominając mu ani słowem o mnie. Wszystko to twój pomysł. Zrozumiałaś?
- Nie mogę... Au!
- Jeśli nie będziesz grzeczna, zmusisz mnie do zrobienia ci krzywdy. Rozumiesz teraz?
- Tak!
- Grzeczna dziewczynka. Co powiesz na jeszcze jeden pocałunek?

Adamowi nie przyszło do głowy, że powinien odprowadzić Sibyl i pannę Ash, opuścić więc dom hrabiego przed nimi i poszedł prosto pod numer siódmy.

- Nie potrzebujemy pana Chillwortha - powiedziała Lawinia, gdy ubrały się z Sibyl. - Na placu jest mnóstwo ludzi. A my nie wyglądamy aż tak atrakcyjnie, żeby od razu ktoś chciał nas porwać.

Sibyl również nie obawiała się samotnego powrotu do domu, ale nie podobało jej się, że ktoś znacznie od niej starszy potraktował ją jak rówieśnicę.

Rench skłonił im się z wyniosłą miną i natychmiast obdarzył uwagą kogoś znaczniejszego.

- Myślałam, że Meg pójdzie z nami - zauważyła Sibyl, gdy wyszły na chodnik.
- Trzeba ją namówić, żeby na stałe wróciła pod numer siódmy - powiedziała Lawinia. - Do czasu, aż znow zamieszkacie w Puckly Hinton.

Sibyl była zbyt zmęczona, by wszcząć spór.

- Pójdziemy przez skwer - zdecydowała Lawinia. - Kwiaty wieczorem tak ładnie pachną.

Ramię w ramię przeszły więc przez brukowaną jezdnię i znalazły się na skwerze. Lawinia miała rację, zapach rzeczywiście był odurzający.

- Jakie miłe powietrze - westchnęła Sibyl. - Mamy piękny wieczór.

Lawinia fuknęła pod nosem.

- Może powinna się pani zastanowić nad tym, co Meg powiedziała o wielbnym Baggse - ciągnęła Sibyl. - Ze smutkiem myślę o pani samotności.

- Pięknie dziękuję, ale jestem całkiem szczęśliwa, żyjąc samotnie - odparła Ash. Po kilku krokach dodała: - Wielbny na pewno by się mną nie zainteresował.

- Tego nie może pani wiedzieć. Och, Lawinio, niech pani popatrzy. Ten człowiek idzie prosto na nas.

Lawinia znów fuknęła.

- To jest miejsce publiczne. Każdy może tędy chodzić.

Niski, barczysty mężczyzna w pelerynie i cylindrze znalazł się przy nich. Mijając je, uchylił laseczką kapelusza i powiedział złowieszczym tonem:

- Dobry wieczór paniom. Lepiej szybko wracajcie do domu. Po zmierzchu to nie jest odpowiednie miejsce dla kobiet. Kręcą się tu najrozmaitsze szumowiny.

- Dziękujemy - odparła Sibyl, ale głos jej się załamał.

- Słucham? - Mężczyzna pochylił głowę, jakby nie rozumiał. - Pani bardzo cicho mówi.

- Powinnyśmy się pospieszyć, panno Smiles - ponagliła Lawinia.

- Ależ skądże - Nieznajomy otoczył Sibyl ramieniem i zaczął chrapliwie śpiewać.

Sibyl dźgnęła go łokciem w opasy brzuch i chciała się wyrwać, ale mężczyzna chwycił ją mocniej i zaczął ciągnąć głębiej między drzewa.

Jakaś mokra szmata uderzyła ją w szyję. Za kołnierz peleryny pocięła strużka płynu. Od zapachu mocnego alkoholu zrobiło jej się niedobrze.

Mężczyzna przysunął usta do jej ucha i powiedział:

- Pobawmy się razem, kochanie. No, pokaż, jak śpiewasz. „Ta biedna panna z rzeki” - ryknął. - „Tam biała, a tam sina. Ta biedna panna z rzeki”... Dalej, kochanie! Przyłącz się.

Panna Ash została z tyłu, a gdy Sibyl zerknęła za siebie, nie było już po niej śladu.

Ogarnęło ją nieklamane przerażenie. Jeszcze chwila, a nogi same odmówią jej postuszeństwa.

- Pójdziemy w jedno miejsce, które znam - powiedział mężczyzna. - Niedaleko stąd. Ludzie nawet nie wiedzą, że blisko domu mają takie zabawne miejsca. „Ta biedna panna z rzeki... - zaśpiewał jeszcze głośniej - nie miała już paluszków, bo rybki nakarmiła. Tej biednej pannie z rzeki i nóżki wnet odpadną. Razem z jej małym noskiem marzenia poszły na dno”.

Sibyl otworzyła usta i chciała krzyknąć, ale ręka odziana w rękawiczkę zasłoniła jej usta. Ponad trawą unosiła się mgiełka. Opuścili skwer na jego drugim końcu, gdzie właśnie przejeżdżały ostatnie powozy po gości spod numeru siedemnastego.

- Oprzyj się o mnie, kochanie. Nikt ci nie przyjdzie z pomocą. Po co ktoś miałby się wysilać? Z daleka można poznać pijanego, a pijana kobieta nie budzi niczyjego współczucia. Co za pijaczka! - krzyknął. - Co chłop ma zrobić z pijaną babą?

Sibyl znów się szarpnęła i kopnęła go parę razy w goleń. Potem zwiotczała i osunęła się po jego ciele na bruk.

- Nie, nie, nic z tego. - Pochylił się nad nią i dopiero wtedy zauważyła, że na twarzy ma maskę. Już nie wydawał się pijany. - Bądź grzeczna i wstań.

- Nie mogę - zdołała wykrztusić.

- Stać! - rozległ się znajomy głos. - Stać, mówię. Konstable są w drodze.

- Co... - Prześladowca Sibyl upadł na plecy. Jego cylinder potoczył się na bok. - Kłamstwo! Nie dam się nabrać.

William Godly-Smythe rzucił się na obcego. W mroku jaśniała jego koszula. Sibyl przyglądała się ze zdumieniem, jak kuzyn wymierza przeciwnikowi kilka solidnych ciosów.

- Dość! - krzyknął tamten. - Przestań! Dość!!!

Chwilę potem Sibyl usłyszała łoskot ciężkich butów. Napastnik szybko się oddalał,

próbując po drodze wcisnąć sobie na głowę kapelusz.

William troskliwie pochylił się nad Sibyl.

- Powiniennem być wcześniej wkroczyć do akcji - oświadczył. - Co się stało z moją czujnością?

Sibyl zdołała usiąść, a kuzyn opadł przed nią na kolana.

- Moja biedna Sibyl. - Bez wątpienia był głęboko poruszony tym zdarzeniem. - Nie ruszaj się, proszę. Zaniosę cię do domu.

Mimo protestów Sibyl wzięła ją na ręce.

- Nie. Nie możesz iść. Najpierw muszę się upewnić, że nic ci się nie stało. Możesz mieć jakieś złamanie. Gdzie jest Meg?

- Przecież wiesz. Musiała zostać pod siedemnastym.

- Zaniosę cię do domu i dopilnuję wszystkiego, co należy przedsięwziąć. Potem pošlę po Meg.

Sibyl postanowiła zaoszczędzić siły na późniejszą stanowczą rozmowę.

William doszedł pod numer siódmy, wniósł ją na schodki i po chwili znaleźli się w domowym zaciszu.

- Skąd wiedziałeś? - spytała Sibyl i natychmiast dodała: - Pewnie od panny Ash. Jakie to szczęście, że cię sprowadziła. - Nie znosiła tego człowieka, była mu jednak szczerze wdzięczna za pomoc.

- Twierdziła, że musi odpocząć. Dziwna kobieta.

- Dobra kobieta - przyznała Sibyl. - Proszę, Williamie, postaw mnie już na nogi, dalej pójdę sama.

Prośba nie zrobiła na nim żadnego wrażenia. Zaniósł ją prosto do mieszkania B i ułożył na różowym szezlongu. Pomógł jej zdjąć czepek i pelerynę. Sam też odwiesił kapelusz. Potem uważnie przyjrzał się Sibyl i postawił czajnik na blasze przy kominku.

- Dobrze ci zrobi herbata i mokry, ciepły ręcznik do obmycia twarzy. Czy ten nędznik czymś cię zabrudził?

- Obawiam się, że alkoholem - powiedziała Sibyl bardzo zakłopotana tym, że śmierdzi jak gorzelnia.

William zmoczył ręcznik i mimo protestów Sibyl obmył jej twarz i szyję.

Gdy zagotowała się woda, podał jej filiżankę herbaty.

- Wypij to i połóż się. Znajdę jakieś okrycie, żeby cię rozgrzać. Wszedł do jej sypialni i wrócił z kocem, którym ją otulił.

Sibyl z przyjemnością popijała herbatę. Troskliwość Williama budziła w niej jednak sprzeczne uczucia. Była mu wdzięczna, jednocześnie ani trochę nie czuła do niego sympatii.

- Czy wyciągnęłaś wnioski z tej lekcji? - spytał.

- O, tak - odrzekła. - Nie będę już wieczorami chodzić sama po Londynie.

- Oj, nie będziesz. Sibyl... - Podeszedł do niej i usiadł na krawędzi szeslongu. - Sibyl, nie wiem, jak mam ci to powiedzieć. Nie wiem, od czego zacząć. Jestem karykaturą mężczyzny. W takich sytuacjach wszelkie umiejętności mnie zawodzą.

Powinna była zaprotestować, ale nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

- Jesteś najłodszą ze wszystkich panien. Byłaś uroczym dzieckiem, toteż kochałem cię, odkąd sięgam pamięcią. Chcę już zawsze cię chronić. Chcę widzieć twoją twarz zaraz po obudzeniu i na chwilę przed zaśnięciem. Jesteś wcieleniem moich marzeń o kochanej kobiecie. Próbowałem zbliżyć się do ciebie bardzo nieudolnie. Traktowałem cię z góry i stawiałem ci wymagania. Czy możesz mi to wybaczyć? Jak powiedziałem, nie mam wprawy w takich rozmowach. Nie umiem zgrabnie przekazać ci tego, co czuje moje serce.

Sibyl spojrzała w jego twarz i zaczęła się modlić o radę. Nie chciała go urazić, ale nie mogła przyjąć tych oświadczeń.

- Gdy byłem chłopcem, nie umiałem rozmawiać ani flirtować z dziewczętami - ciągnął. - Ta niezręczność była przekleństwem mojego życia. Gdybym wiedział, jak to zrobić, błagałbym cię, byś została w Puckly Hinton, gdy zmarł twój ojciec. Odkąd wyjechałaś, cierpię jak potępiony. Dlatego tak bardzo interesuję się waszym życiem.

- Dziękuję ci. - To brzmiało zdawkowo, ale na nic lepszego nie umiała się zdobyć.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Wziął od niej filiżankę i wraz ze spodeczkiem odstawił na stolik. Potem przytknął jej dłoń do warg. - Kocham cię, Sibyl. Zawsze będę cię kochał. Proszę, powiedz, że zostaniesz moją żoną.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Powozy przestały zajeżdżać przed drzwi domu pod numerem siedemnastym. Hunter Lloyd bardzo cieszył się z tego powodu.

Poza tym miał jednak niewiele powodów do radości.

Kiedyś naprawdę marzył o tym, że zaskoczy legiony swoich przyjaciół i znajomych, którzy nigdy nie spodziewaliby się, że może być kim innym niż solidnym, odpowiedzialnym człowiekiem całkowicie pozbawionym namiętnych uczuć.

Był odpowiedzialny. Ale był również namiętny. Niestety, jego obowiązki nie pozostawiały mu prawie żadnej okazji do głębszego poznania drugiej strony swojej natury.

Do pioruna z tym wszystkim!

Tak piekielnej misji do spełnienia nie miał jeszcze nigdy. Musiał odnaleźć Meg i powiedzieć jej, że Sibyl napadnięto na skwerze, a ten obleśny William Godly-Smythe ją uratował, dlatego teraz Sibyl waha się, czy nie przyjąć oświadczyń tego typu.

Gdy Godly-Smythe przyszedł do niego z takim żądaniem, jego zadowolony z siebie uśmiechomal nie sprowokował Huntera do postępku, który mógłby go zaprowadzić prosto na salę sądową i wystąpienia tam w roli, do której nie był przyzwyczajony.

Gęstniejąca mgła wisiła nisko nad ziemią. Wyglądała złowieszczo, w dodatku głużyła dźwięki, dlatego odgłos własnych kroków robił na Hunterze niesamowite wrażenie. Hunter bardzo żałował, że Adam już zasnął. Prawdopodobnie dręczyła go chandra. Głupiec, zamiast cieszyć się intratnym zamówieniem, zamartwiał się, że wolno mu tylko namalować księżniczkę. Był stanowczo zbyt ambitny.

Hunter wszedł na schodki domu pod siedemnastym i z zadowoleniem stwierdził, że drzwi są otwarte. Nie chciał natknąć się na nadętego

majordomusa ani żadnego innego członka służby. Gdyby ktokolwiek miał wątpliwości co do jego wtargnięcia do domu, był gotów przeprosić. Lubił proste rozwiązania.

W reprezentacyjnej sieni paliło się przyćmione światło.

Czemu wcześniej nie pomyślał o tym, co najtrudniejsze w tej misji. Przecież nie wiedział, gdzie szukać Meg, a nie miał prawa buszować po cudzym domu w środku nocy. W tej sytuacji przeprosiny mogły okazać się niewystarczające.

Musiał jednak znaleźć Meg. Ona z pewnością pomoże siostrze odrzucić natrętne propozycje kuzyna. Nie pozwoli Sibyl ulec i poślubić takiego tępaka.

Hunter doszedł do głównych schodów ozdobionych resztkami wieńców z różami i wolno zaczął się wspinać na piętro. Służba powinna sprzątać salę balową. Mógł tam wejść pod pretekstem poszukiwania zostawionego przedmiotu, a przy okazji spytać, gdzie znaleźć Meg.

Drzwi sali balowej były tylko nieznacznie uchylone. Przez szparę widział wątłe światło.

Hunter wszedł do środka, po czym odruchowo zamknął drzwi.

W głębokim półmroku ujrzał apokaliptyczny obraz. Naczynia stały stłoczone na wszystkich możliwych blatach, a także na dywanie pod ścianą. Talerze z niedojedzonymi potrawami zostały wszędzie tam, gdzie porzucili je goście. Krzesła stały i leżały w zupełnie przypadkowych miejscach. Częściowo pościągane obrusy spowodowały straty w porcelanowej zastawie. Na dywanie upstrzonym masą powstałą z ciast i resztek zwiędłych kwiatów wały się skorupy. Poszarpane ser-pentynty smętnie zwisały. Dookoła unosił się odór alkoholu.

Mimo to nie było tutaj nikogo ze służby.

- Lloyd? - Głos należał do hrabiego Etrangera. - Czego pan chce? Wszyscy poszli do domów. - Hrabia siedział po prawej stronie drzwi. Gdyby ich skrzydło pozostało otwarte, mógłby pozostać dla Huntera niewidoczny.

Szczerść wydawała się Hunterowi najlepszym, a może nawet jedynym rozwiązaniem.

- Muszę zamienić kilka zdań z Meg Smiles. Nie wiedziałem, gdzie jej szukać, więc pomyślałem, że tutaj spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Na pewno położyła się już spać. Ma wyczerpujące obowiązki. Potrzebuje snu.
- Dzieje się coś dziwnego i niedobrego, milordzie. - Hunter nie pozwolił się zbyć. - Dobrze wiem o różnych przykrych wypadkach, które spotkały Meg. Znam ją od dwóch lat. Zapewniam cię, milordzie, że jest cichą panną, która wiezie spokojne życie. To jest zupełnie niewyobrażalne, że ktoś próbuje ją skrzywdzić.

Ubrany w ciemną szatę pustynnego wodza, hrabia Etranger zajmował jedną z wielu kanapek obitych niebieskim brokatem. Ciężką głowę podtrzymywał ramieniem wspartym na poręczy.

- Skąd przypuszczenie, że ktoś próbuje ją skrzywdzić?
- Znasz, milordzie, odpowiedź na to pytanie tak samo dobrze jak ja-
- Może to były jednak tylko wypadki. Wcale nie musi dojść do następnych.

Hunter zmierzył go baczным spojrzeniem. Przystojny człowiek, z niewątpliwym czarem obcokrajowca, pomyślał. W tym typie mężczyzny kobiety doszukują się tajemniczości, zawsze dają się na nią nabrać.

- Sądzisz więc, milordzie, że nie ma już powodu do niepokoju? Uważa pan, że Meg padła ofiarą niefortunnych i dość mało prawdopodobnych zbiegów okoliczności?
- Nie, do diabła! - Głowa ześlizgnęła się hrabiemu z dłoni, zdołał jednak zachować równowagę i nie uderzył nią o poślaczane drewno.

Można było podejrzewać, że hrabia nieco za dużo wypił.

- Słyszał pan o Williamie, kuzynie Meg i Sibyl?
- Straszny człowiek.
- Owszem. Podczas gdy rozmawiamy, ten straszny człowiek przekonuje Sibyl do przyjęcia oświadczyn. Rzecz w tym, że również Sibyl spotkał niefortunny przypadek, kiedy wracała dziś wieczorem do domu. Na skwerze napadł ją mężczyzna i próbował uprowadzić. - Ze zgrozą myślał o tym, co Sibyl musiała znieść. - Godly-Smythe wyratował ją z opresji i wysnuł konkluzję, że musi roztoczyć opiekę nad kuzynkami. Od zaraz. Miał czelność przyjść do mnie i wystać na poszukiwanie Meg. O ile wiem, zamierza postarać się o dom w Londynie i zamieszkać tam z Sibyl, którą chce poślubić. Naturalnie czyni sugestie, że przyjmie pod swój dach również jej siostrę.

- Niedoczekanie jego! - Hrabia Etranger zdołał przyjąć pozycję siedzącą i zaczął przypatrywać się swoim stopom, jakby znajdował w nich coś zaskakującego. - Hm. Meg Smiles pozostaje ze mną... pozostaje tutaj. Zresztą wcale nie lubi swojego kuzyna.

- Nie sądzę, żeby lubienie miało tu cokolwiek do rzeczy. Godly-Smythe chce postawić na swoim, wykorzystując zrozumiałe nadwerężenie nerwów Sibyl, a podejrzewam, że również niełatwą sytuację finansową, w jakiej znalazły się siostry. Któż by zresztą się dziwił, że ten człowiek pragnie poślubić Sibyl?

Hrabia zmierzył go wzrokiem i Hunter pojął, że jego słabość do Sibyl musi być widoczna jak na dłoni.

- No cóż, to prawda. - Etranger zatoczył ramieniem dookoła. - Niech pan popatrzy na tę salę balową. Zgroza.

- Bez wątpienia służba doszła do wniosku, że udałeś się, milordzie, na spoczynek i odłożyła sprzątanie na rano.

- Sam ich stąd wyrzuciłem. Okropnie hałasowali. Głowa mnie boli, pan rozumie. Za dużo tych piekielnych wrzasków i tak zwanej muzyki.

Za dużo bordo, madery lub innego trunku, pomyślał Hunter. Hrabia uniósł dłoń.

- A to co znowu, u diabła? Jeszcze ktoś myszkuje? Miejmy nadzieję, że tutaj nie wejdzie.

Szmery i szelesty dochodziły z galerii. Hunter cofnął się i usiadł na najbliższym krześle. On również nie miał ochoty na jeszcze jedno spotkanie tej nocy.

- Nie wejdzie, jeśli będziemy cicho - szepnął hrabia.

- Albo właśnie wejdzie, jeśli szuka pustej sali - odszepnął Hunter. Etranger zaczął manipulować przy swoim jataganie. Najwyraźniej

broń wgniałała mu się w ciało.

- Gada pan jak jeden z tych pedantycznych kauzyperdów. Ech, do diabła! - syknął

- Jestem kauzyperdą - zwrócił mu uwagę Hunter. - Mam nadzieję, że się nie zraniłeś, milordzie.

- Idą tutaj. Do diabła!

Podczas gdy drzwi wolno się otwierały, Hunter nawet się nie poruszył. Ten intruz nie zamknął ich za sobą.

- Karp! - rozległ się rozpaczliwy głos. - Karpiku, czy jesteś tutaj? Chodź, Karp, chodź. - Nastąpiła seria cmoknięć. - Chodź, maluszk, Meg znajdzie ci świeżego mięska. I nereczkę, taką jaką najbardziej lubisz. Chodź, Karpiku, nie pozwolę, żeby znowu coś ci się stało. Au! Och, chodź, Karpiku, znajdę ci nawet musu. Przecież uwielbiasz mus. Szkodzi ci, ale trochę możesz dostać.

Hrabia Etranger ostrożnie wstał. Hunter był przekonany, że obaj mają jeden cel: nie przestraszyć Meg.

Głęboko pochylona Meg przesuwiała się między sprzętami i cicho nawoływała kota.

Hunter wstał i dotknął ramienia Ettangera, a gdy ten zwrócił ku niemu twarz, wskazał palcem galerię, dając znak, że jego zdaniem powinni po cichu opuścić salę.

Ale właśnie w tej chwili rozległ się głośny brzęk jataganu, którym Etranger zawadził o poręcz szeslongu.

Meg odwróciła się gwałtownie.

- Nie bój się - powiedział cicho hrabia. - Sami swoi, Meg, sami swoi. Pomożemy ci znaleźć tego... Karpia.

- O Boże - zdumiała się Meg i bezsilnie opadła na krzesło. Jean-Marc i Hunter. Obciągnęła szatę na kostkach, choć przy tak słabym oświetleniu pęcherze nie mogły być widoczne. Ale poparzenia piekły paskudnie. Wspomnienie niedawnych wydarzeń przejmowało ją dreszczem. Ten straszny człowiek, który zwabił ją na górę, przerwał swoją napaść równie nagle, jak zaczął. Jeszcze raz kazał jej namówić Jean-Marca do wyjazdu i znikł. Zanim zeszła ze stołu, znalazła pantofelki i pokonała kręte schody, nie było już po nim śladu. Każdy krok sprawiał jej ból, urażał ją nawet rąbek szaty zawadzający o kostkę.

Jean-Marc szybko do niej podszedł i ujął ją palcem pod brodę.

- Powinnaś być w łóżku. Jutro czeka cię wyjątkowo męczący dzień.

Doprawdy, jego zachowanie tego wieczoru przekracza wszelkie granice, pomyślała Meg.

- Na pewno nie zapomnę o swoich obowiązkach - odparła. Wie-działa, że nawet

teraz chce jej przypomnieć o sir Robercie Brodiem. Jego ewentualna wizyta powinna być krótka. W tej sytuacji wydało jej się to nawet zabawne.

- Karp... wybiegł z apartamentów księżniczki. Muszę sprowadzić go z powrotem.
- Kot znowu uciekł. Gdy napastnik opuścił mroczne pomieszczenie, wyszedł z ukrycia i śmignął prosto przed siebie tuż przy nogach Meg.
- Milordzie - wtrącił Hunter - jeśli mogę...
- Naturalnie, że pan może - powiedział Etranger. - Dokończymy rozmowy jutro. Tymczasem bardzo dziękuję, że chce się pan zająć tamtą sprawą.

Hunter nie miał już na sobie kostiumu. Meg przyjrzała mu się i stwierdziła, że wygląda na wzburzonego.

- Czy coś się stało? - spytała.
- Nie... nie.
- Porządny z pana człowiek, Lloyd - powiedział Jean-Marc, nie odrywając oczu od twarzy Meg. - Rano będzie dość czasu, hm?

Hunter wydał z siebie chrząknięcie, które można było wziąć za potwierdzenie.

Meg ogarnęła wielka słabość. Zrobiło jej się zimno. Dotknęła czoła i dłoń zwilgotniała jej od potu.

- Panna jest chora - powiedział Jean-Marc i przykląkł przed nią na jedno kolano. - Meg, popatrz na mnie. Do diabła z tą ciemnością. Meg, popatrz na mnie.

Głowa jej ciążyła, ale udało jej się spełnić tę prośbę.

- Spotkało mnie coś przykrego - powiedziała. - Będziesz nalegał na wyjawienie prawdy, milordzie, więc lepiej powiem od razu. Nie mam siły udawać. Hunter, czy obiecujesz, że nie powiesz niczego Sibyl?

Staął blisko Jean-Marca i pochylił się nad nią.

- No, obiecuję, obiecuję. Co ci się stało?
- Napadnięto mnie. - Odczekała, aż jej oświadczenie wywrze odpowiednie wrażenie. - Szłam do księżniczki. Zobaczyłam wychodzącego z jej pokojów mężczyznę. Myślałam, że to ty, milordzie. Trzymałeś... to znaczy on trzymał pod pachą Karpia. Obawiałam się, że chce pan go zabrać, więc poszłam za panem aż do

starych pokojów służby.

Mężczyzna... nie mam pojęcia, kto to był... rzucił się na mnie. Uderzył mnie.

- Wielki Boże - mruknął Jean-Marc. - Niech ci się dokładniej przyjrzę.

Podniosła głowę.

- Skończyło się na strachu.

- Jesteś posiniaczona. Spójrz pan, Lloyd, to bydlę ją pobiło.

- Postawił mnie na stole i kazał mi tańczyć. Zmuszał mnie do tego, wymachując pochodnią.

Zapadła cisza.

Hunter pogłaskał ją po wierzchu dłoni.

- Nie mogę uwierzyć - odezwał się w końcu Jean-Marc. Dotknął delikatnie jej policzka. - Czy on cię poparzył?

- Tak. - Upiększanie prawdy w niczym by nie pomogło. - Kostki nóg i łydki.

- Do pioruna! - syknął Jean-Marc. - Jesteś poparzona, a chodzisz tutaj i szukasz kota. Co jeszcze... Czy jeszcze coś ci zrobić?

- On... - Meg zwiesiła głowę. - Miał duże nakrycie głowy, zasłaniające również twarz. Nie widziałam jej. Ale jakoś tak mówił... chyba nie był Anglikiem.

- Meg? - Jean-Marc nadal głaskał ją po policzku. - Nie pytałem cię, co on miał na sobie ani jak mówił, chociaż to też jest ważne. Pytałem, czy jeszcze coś ci zrobić?

- Pocałował mnie - szepnęła i zadrżała z obrzydzenia. - Pozwalał sobie na więcej, ale na szczęście trzymał pochodnię, więc... pochodnia mu przeszkadzała.

Hunter mocniej ścisnął ją za rękę.

- Musisz odpocząć - orzekł Jean-Marc. Z trudem powściągał furję. - A ja muszę się dowiedzieć, kto jest bandytą w moim własnym domu. Pańska pomoc będzie nieoceniona, Lloyd. Jestem pewien, że Meg nie musi się troszczyć o dobro siostry, ale pan bez wątpienia i tak wszystkim się zajmie.

- To prawda. Niezwłocznie wrócę pod numer siódmy.

- Dziękuję. Jutro przeniosę się z częścią domowników do Windsoru, ale najpierw porozmawiamy.
- Jak sobie życzysz, milordzie. Teraz Jean-Marc zwrócił się do Meg.
- Zbudzimy Verbeux i każemy mu obejrzeć twoje rany. Przepraszamy pana bardzo, Lloyd, ale musimy iść. - Wziął Meg na rękę i wyniósł ją z sali. Raz po raz spoglądając w jej twarz, skierował się do pokojów Verbeux.

Hunter patrzył, jak hrabia Etranger wspina się na piętro, niosąc Meg. Nie wyglądało na to, aby jego zainteresowanie było spowodowane jedynie poczuciem odpowiedzialności za los pracownicy.

Hunter był zdania, że Etranger nie pozostał obojętny na wdzięki panny do towarzystwa swojej siostry. Jeśli Meg miała odwzajemnić to uczucie, czekał ją twardy orzech do zgryzienia.

Nic jednak na to nie mógł poradzić. Mógł tylko w stosownej chwili zaoferować jej pomoc. Tymczasem szybko zszedł do wyjścia i znalazł się na spowitym mgłą placu. Zapach wilgotnej ziemi i róż wprowadził go na chwilę w stan rozmarzenia, ale błysk czerwieni na skwerze natychmiast go otrzeźwił.

Na drugą stronę placu szybko przechodziła kobieta. Ruszył za nią, starając się, by go nie zauważyła.

Instynkt podpowiedział mu ostrożność. Tymczasem kobieta opuściła skwer, przeszła przez jezdnię i po schodkach dotarła pod drzwi domu numer siedem. To była lady Upworth. Kto raz ją zobaczył, temu trudno było ją zapomnieć, a przecież widzieli się podczas wieczoru muzycznego i nawet zawarli znajomość.

Kobieta stała niezdecydowana pod drzwiami. Hunter postanowił do niej podejść.

- Milady? - powiedział dostatecznie głośno, by go usłyszała, choć miał nadzieję, że jego ton nie zabrzmiał ani wrogo, ani groźnie. - Jestem Hunter Lloyd. Poznaliśmy się u hrabiego Etrangerera.

Lady Upworth gwałtownie obróciła się ku niemu, przyciskając dłoń do gardła.

Hunter stanął przy niej i przesłał jej uśmiech.

- Proszę mi wybaczyć, że zwrócę uwagę na późną porę, milady. Czy mogę pani jakoś pomóc?

- Sytuacja jest dość niezręczna - powiedziała. Brzmienie jej głosu skojarzyło się Hunterowi z pobrzękiwaniem drobnych monet, które wieczorem zdobyły rąbek jej szaty. — Niedawno dowiedziałam się czegoś, co zakłóciło mój spokój. Wprawdzie nie jest to moja sprawa, lubię jednak panny Smiles, a sądzę, że mogę je uchronić przed znalezieniem się w bardzo trudnym położeniu.

Hunter zmarszczył czoło. Lady Upworth miała wyjątkowo ładną twarz. Umiął wprawdzie zapobiec wpływowi urodziwych buź na swój obiektywizm, ale w pięknych oczach kobiety malowała się szczerłość, a jej zakłopotanie wskazywało, że wolałaby raczej zachować w sekrecie to, co sumienie nakazywało jej wyjawić.

- Powinnam porozmawiać z panną Sibyl Smiles. Może orientuje się pan, czy jej kuzyn, pan William Godly-Smythe, jeszcze u niej przebywa.

Otworzył drzwi swoim kluczem i wpuścił lady Upworth do środka.

- Sądzę, że tak. Czy chce pani, abym ci towarzyszył? Sibyl mieszka razem z Meg na pierwszym piętrze.

Lady Upworth chwilę się zastanawiała.

- Jeśli nie sprawię panu kłopotu, to byłabym wdzięczna. Jakie piękne schody - zauważyła, wchodząc na górę. - Kim są ci ludzie, których wizerunki tu wyrzeźbiono?

- Moimi przodkami - odrzekł oschle. - Nie znaczyli wiele, ale projektant tego domu, dziadek mojej ciotki, uważał, że rodzina jest wyjątkowa i godna unieśmiertelnienia w taki właśnie sposób. O... -Wskazał kilka rzeźbionych twarzy tego samego człowieka. - To jest sir Septimus Spivey. Podobno mam coś z niego, a to oznacza, że nie grzeszę urodą. - Roześmiał się i podązał za nią, dopóki lady Upworth znów nie przystanąła.

- Tu są również wizerunki dzieci. To smutne. Przypuszczam, że te maluszki zmarły wkrótce po urodzeniu. A tu - przyjrzała się z uwagą - twarz nie ma rysów. Może pozostawiono ją z myślą o jakimś późniejszym członku rodziny?

- To możliwe. - Hunter ucieszył się, gdy stanęli przed drzwiami mieszkania siedem B. - A tu mieszkają Sibyl i Meg. Widzę światło w szparze pod drzwiami. Przypuszczalnie kuzyn jeszcze nie wyszedł. Zna go pani?

Lady Upworth wysunęła do przodu zgrabny podbródek.

- Sądzę, że tak. Ale on mnie nie lubi i dlatego byłabym wdzięczna, gdyby pan był obecny ze względu na mnie i na Sibyl.

- Proszę bardzo. Hunter zapukał.

Drzwi natychmiast się otworzyły i stanął w nich William Godly-Smythe.

- No, najwyższy czas - powiedział, gestem zapraszając ich do środka. - Jestem zajęty człowiekiem i muszę jak najszybciej zakończyć sprawę, z którą tu przyjechałem. Nie będziemy pana dłużej zatrzymywać, Lloyd, ale Meg... - Zaskoczony spojrzał na lady Upworth. - Pani nie jesteś Meg.

- Na pewno nie - odparła i weszła do pokoju. - Przyszłam z wizytą do Sibyl. Pan Lloyd uprzejmie obiecał dotrzymać mi towarzystwa i odprowadzić potem do domu.

- Dobry wieczór, milady - powiedziała Sibyl. Stała pośrodku pokoju i wyglądała na bardzo zmieszana.

- Poleciałem panu, Lloyd, żebyś przyprowadził tutaj Meg - zachnął się Godly-Smythe, a Hunter ostatecznie upewnił się, że czuje do tego człowieka głęboką niechęć. - Gdzie ona jest?

- Przypuszczam, że śpi - odrzekł Hunter. - Nie mogłem przecież wtargnąć do sypialni i jej porwać. Z pewnością to, co ma pan jej do powiedzenia, może poczekać do jutra.

Godly-Smythe skierował spojrzenie na lady Upworth, która obserwowała go nieprzerwanie od wejścia do pokoju. Po jej twarzy błędził ironiczny uśmiech. Za to kuzyn William wydawał się mocno zakłopotany.

- Jak miło znowu pana widzieć - odezwała się lady Upworth. - Musimy znaleźć okazję do dłuższej pogawędki o dawnych czasach. Bądź co bądź, łączą nas ciekawe wspomnienia.

- Sibyl jest zmęczona - odparł. - Grzeczność nakazuje powstrzymać się od nachodzenia ludzi o tak późnej porze. Powinna pani stąd wyjść.

- I stracić to, co ma pan do powiedzenia? Rumiana twarz Williama Godly-Smythe'a pociemniała.

- Sibyl, powinnaś udać się na spoczynek. Wyśpij się. Porozmawiamy rano... a właściwie przed południem.

- Wciąż pan przegrywa? - spytała lady Upworth. - Skłonności do hazardu trudno się wyrzec.

Coraz bardziej zaintrygowany Hunter pilnie obserwował starcie tych dwojga.

- Jestem człowiekiem z charakterem - oświadczył Godly-Smythe. - A ty, milady, czy nadal trwonisz fortunę?

Lady Upworth parsknęła śmiechem.

- Och, nie. Nawróciłam się, ale nigdy nie zapomnę tej paskudnej sceny u Toby'ego Shorta, kiedy nie był pan w stanie zapłacić, a w dodatku oskarżono pana o oszukiwanie.

- Jak śmiesz, milady?! - obruszył się Godly-Smythe. - Jestem przekonany, że pomyliła mnie pani z kim innym.

Lady Upworth udała, że się zastanawia.

- Może i tak - przyznała w końcu. - W takich spelunkach zawsze jest duży tłok... a w każdym razie był. Dawno już nie próbowałam głuszyć bólu po śmierci mojego drogiego męża w tak hałaśliwym towarzystwie.

Godly-Smythe skinął głową.

- No tak. Myślę, Sibyl, że pójde na dół i poproszę wielbnego Baggsa, żeby użyczył mi na dzisiaj swojego pokoju. Nie byłbym spokojny, gdybym znalazł się z dala od ciebie, moja droga. Gdyby coś cię niepokoiło, nie wahaj się natychmiast do mnie przyjść. - Zmierzył chłodnym spojrzeniem najpierw lady Upworth, a potem Huntera. - Idź pan już na górę, Lloyd, a ja po drodze odprowadzę lady Upworth. To nie jest odpowiednia pora na życie towarzyskie.

Hunter pomyślał, że rzeczywiście powinien opuścić to miejsce.

- Jak pan uważa - powiedział do Williama. Kwestia małżeństwa Sibyl nie interesowała hrabiego, przynajmniej do rana. Siedząc tutaj, nie osiągnąłby niczego.

- Niech pan idzie, Godly-Smythe - odezwała się lady Upworth. - Pan Lloyd odprowadzi mnie do domu. Ja muszę jeszcze przekazać Sibyl dyspozycje pana hrabiego.

Godly-Smythe wyraźnie nie miał ochoty zostawić lady Upworth z Sibyl, ale nie

widział innego wyjścia, jak tylko uśmiechnąć się do kuzynki, skłonić głowę przed lady Upworth i wyjść. Po chwili jego kroki rozbrzmiały na schodach.

- Wiem, że jest bardzo późno - zwróciła się Ha do Sibyl - ale uznałam, że muszę do pani przyjść. Nie chcę nadużywać pańskiej uprzejmości, Lloyd. Proszę położyć się w spokoju. Sibyl i ja mamy sporo do omówienia.

- Poczekam. Nie mogę pozwolić, żeby pani sama wracała do domu.

- Jestem całkiem bezpieczna - zapewniła i spomiędzy fałd narzutki wydobyla pistolet. Natychmiast schowała broń z powrotem. - Nauczyłam się sama dbać o swoje bezpieczeństwo.

Sibyl odetchnęła głośno. Hunter, choć przyzwyczajony do widoku broni, również przeżył zaskoczenie. Pistolet w ręku lady nie był codziennością.

- Rozumiem, milady, że chcesz pomówić z Sibyl w cztery oczy. Poczekam więc w swoich pokojach. Bez względu na to, jak bardzo jest pani nieustraszona, nie pozwolę, by wracała pod numer siedemnasty sama.

Drzwi za Hunterem się zamknęły. Sibyl usiadła i ukryła twarz w dłoniach.

- Proszę posłuchać mnie z uwagą - powiedziała lady Upworth. - Nie wiadomo kiedy pani kuzyn uzna za stosowne wrócić. Nie sądzę, żeby chciał zostawić panią na długo... na pewno nie ze mną.

- Jest bardzo późno, milady. Ledwo żyję.

Sibyl z trudem uniosła głowę. Nie wierzyła już, że jest w stanie podjąć trafną decyzję w jakiegokolwiek sprawie.

- Odwagi. Znalazłyście się w niebezpieczeństwie. Wiele ryzykuję, ale postanowiłam wam pomóc. Powinnyście z Meg niezwłocznie porzucić wasze posady u hrabiego Etrangerera.

Sibyl przeszył zimny dreszcz.

- Czy pani rozumie? Musicie wyjechać stąd jak najdalej.

Sibyl postanowiła być dzielna. Wiedziała, jak w takiej sytuacji zachowałaby się jej siostra.

- Jestem pewna, milady, że masz dobre intencje - powiedziała - ale proszę nie

martwić się o nas. My się o siebie nie martwimy. Co więcej, w naszym życiu zasły korzystne zmiany. Dajemy sobie radę bez trudu.

- Nie - sprzeciwiła się ostro lady Upworth. - Nie słuchasz mnie pani. Jesteście w niebezpieczeństwie, w poważnym niebezpieczeństwie. Mogę wam ułatwić wyjazd. Wiem o waszych kłopotach finansowych, ale w tym też możecie na mnie liczyć. Pieniądzy na pewno wam nie zabraknie.

Sibyl pokonała już zmęczenie. Bacznie przyglądała się rozmówczyni i starała się ocenić stan jej umysłu. Lady Upworth uśmiechnęła się.

- Widzę, że dostrzega pani mądrość, jaka leży w korzystaniu z cudzej pomocy. Zapewniam, że nie darowałabym sobie nigdy, gdybym wam nie pomogła.

Sibyl wygładziła spódnice, zastanawiając się, jak rozwiązać tę niecodzienną sytuację.

- Dlaczego uważasz, milady, że znalazłyśmy się w niebezpieczeństwie? Jesteśmy przeciętnymi istotami bez szczególnego znaczenia. Nikt nic nie zyska, prowadząc na nas nieszczęście.

- Wcale nie jesteście przeciętne. Przeciwnie. Pani posiada taki dyskretny urok, który wiele może zdziałać, a pani siostra jest najbardziej oryginalną osobą, jaką kiedykolwiek spotkałam. Wyobrażam sobie, jak może być pociągająca dla mężczyzn. Ważne jest więc, żeby miała okazję spotkać odpowiednich ludzi.

Sibyl nie mogła jakoś poczuć sympatii do lady Upworth.

- O rękę Meg będzie się starał bardzo odpowiedni mężczyzna. Sir Robert Brodie. Jest lekarzem i żywo interesuje się siostrą.

- Nie ma na to czasu.

- Słucham? - Sibyl zmarszczyła czoło. - Co chcesz przez to powiedzieć, milady?

Lady Upworth zsunęła z ramion narzutkę i usiadła.

- Moim zdaniem nie można liczyć na to, że pierwsze spotkanie doprowadzi od razu do trwałego związku. Sibyl, proszę potraktować moje ostrzeżenie poważnie. Nie mogę ujawnić moich źródeł, ale mam informację, z której wynika, że pani i Meg możecie komuś bardzo zaszkodzić, dlatego wasze życie jest w niebezpieczeństwie.

- Komu? - Sibyl roztarta ramiona. Całe jej ciało okryło się gęsią skórką.
- Jutro hrabia zamierza przenieść się z domownikami do Windsoru. Weźmie również was, i naturalnie mnie, bez wątpienia też wyda w Windsorze przyjęcie lub coś podobnego na cześć Desiree. Wydaje mu się, że w Riverside wszyscy będą bezpieczniejsi, a on znajdzie tam kryjówkę przed wrogami. To złudzenie. Moim zdaniem hrabia jest zdesperowany i stracił jasność widzenia. Poza tym boi się prawdy.
- A jaka jest prawda? - spytała Sibyl, nie mogąc zapanować nad drzeniem całego ciała.
- Całej nie znam. - Lady Upworth machnęła ręką. Wydawała się poirytowana. - Ktoś uknuł intrygę na wielką skalę. Jeden wypadek następuje po drugim. Boję się o nas wszystkich, ale przede wszystkim o panią i Meg. Porozmawiamy więc o tym, co jest dla was najlepsze.

- Nie chcę o tym rozmawiać - odparła stanowczo Sibyl. - Chcę się położyć do łóżka.

Ila wstała. Wyglądała imponująco i doprawdy trudno było kogoś takiego zignorować. Sibyl aż się uśmiechnęła, próbując w wyobraźni przyrównać się do tej damy.

- Nie jestem bogata - powiedziała lady Upworth - ale mam dość pieniędzy, żeby utrzymać panią i siostrę, dopóki ta nedorzeczna historia się nie skończy.
- Jesteś, milady, bardzo uprzejma, ale nie potrzebujemy pieniędzy. - To było wyjątkowo żenujące. Sibyl czuła się upokorzona myślą, że ktoś traktuje ją jak bezradną żebraczkę.

- Proszę opowiedzieć mi o waszej sytuacji i o tym, jak się w niej znalazłyście.

No nie. Ta kobieta była kompletnie pozbawiona wstydu.

- Wolalabym tego nie robić - odparła Sibyl.
- Przy mnie nie musi być pani skrupowana. Ja też nie zawsze miałam pieniądze. Zdobyłam je przez małżeństwo. Skończmy z tą niemądrą dumą. Proszę o proste wyjaśnienie. Wiem, że mieszkaliście w Puckly Hinton, a wasz ojciec był duchownym, podobno dobrze sytuowanym.
- Owszem, to prawda - odpowiedziała po namyśle Sibyl. - Pochodził z zamożnej

rodziny.

- A pani i pani siostra byłyście jego dziedziczkami?

Sibyl domyślała się, że dama zna odpowiedzi na te pytania. Ech, może rzeczywiście nie miało to znaczenia.

- Ojciec zostawił nam fundusze powiernicze, które miały dawać dochód wystarczający na utrzymanie nas obu. Dom i reszta majątku ojca przeszła na najbliższego spokrewnionego z nim mężczyznę, czyli Williama. Takie było zastrzeżenie: dom musi odziedziczyć mężczyzna. Niestety, przed kilkoma miesiącami dowiedziałyśmy się, że nasze dochody zostaną zmniejszone.

- Rozumiem. - Lady Upworth zaczęła chodzić po pokoju w swoim prześwitującym, czerwonym kostiumie. Twarz miała coraz bardziej zaszępioną.

- Dajemy sobie radę - zapewniła ją Sibyl. - Jeśli uzupełnimy odsetki z funduszu o to, co same zarobimy, będziemy zabezpieczone.

- To przykre. Jesteście dobrze wychowanymi pannami i nie powinnyście pracować. A teraz proszę dać mi słowo, że nie powtórzy pani nikomu niczego z tego, co za chwilę usłyszysz.

Lady Upworth była osobą nad wyraz autorytatywną i oczekiwała posłuchu.

- Daj mi słowo - powtórzyła. - Obiecuję, że wam pomogę, a pani będzie zadowolona z okazanego mi zaufania.

- Ufam ci, milady. Wiem, że mimo ciętego języka ma pani dobre serce. - Przerazona tym, co powiedziała, zamilkła.

Lady Upworth zachichotała.

- Czyżby? No, pewnie tak jest. A teraz proszę uważać. Słyszała pani, jak rozmawiałam z Williamem o naszym spotkaniu w jaskini hazardu.

- Tak. - Sibyl słyszała o istnieniu takich miejsc, choć nie miała pojęcia, jak mogłyby wyglądać.

- Są takie haniebne miejsca, gdzie ludzie tracą to, co posiadają. W ciągu jednego wieczoru można stracić wszystko.

- Ale to nie William, prawda? - spytała Sibyl. - Wyobrażam sobie, że byłby ciekaw

takiego miejsca, ale żeby ryzykować majątek, który z takim zadowoleniem przejął...

- Chce pani powiedzieć: majątek, do którego nie miał prawa?
- Miał prawo - odparta bez wahania Sibyl. - Jest mężczyzną i z tego tytułu miał prawo, a my z Meg nie.
- To oczywisty wyzysk, jaki cierpią kobiety. William grał o duże stawki i prawdopodobnie nadal to robi. Ostatnio, kiedy go widziałam w takiej sytuacji, został oskarżony o oszustwo. To bardzo szkodzi reputacji gracza.
- Samo oskarżenie to mało. Trzeba jeszcze mieć dowody.
- Pani uporczywe próby obrony tego człowieka są dla mnie zadziwiające.
- Jest członkiem mojej rodziny.
- Niestety, w tym przypadku nie może być mowy o pomyłce. Oskarżenie było słuszne. Pani kuzyn postawił dom, nasz dom w Puckly Hinton. I przegrał.

William postawił Ramblers? I przegrał? Wielkie nieba!

- To niemożliwe. On nie zrobiłby czegoś takiego.
- Zrobił. Co więcej, właśnie wtedy oskarżono go oszustwo. Rzecz w tym, że on mógł się uważać za właściciela tego domu, dopóki w nim mieszkał. Gdyby postanowił go sprzedać, połowa sumy ze sprzedaży należała się w równych częściach jego kuzynkom.

Sibyl i Meg zdawały sobie sprawę z istnienia takiego zapisu, nie wydawał im się on jednak ważny. Sądziły, że William nie zdecyduje się na sprzedaż domu. Sibyl wiele by dała, żeby móc teraz w spokoju przemyśleć wszystko, co usłyszała, i zastanowić się, co dalej.

- Błagam, milady, proszę nie mówić o tych sprawach nikomu. Zaszleścił czerwony woal, lady Upworth podeszła do Sibyl.
- Powiedziałam przecież, że to, o czym tutaj mówimy, nie może wyjść poza cztery ściany tego pokoju. I powtarzam, Sibyl, jest pani wraz z siostrą w dużym niebezpieczeństwie.
- Ze strony Williama? - szepnęła Sibyl.

- Nie wiem, jaką taktykę przyjmie pani kuzyn dla ratowania swojej reputacji, ale bez wątpienia jest zdesperowany i może narobić jeszcze wiele głupstw.
- Masz rację, milady, co do warunków testamentu naszego ojca. Ten dodatkowy zapis został zrobiony po to, by zniechęcić Williama do oddania domu w cudze ręce.
- Sądzę jednak, że pan Godly-Smythe ma plan. A ponieważ czas na spłacenie karcianych długów jest ograniczony, będzie musiał się pospieszyć. Poprosił już panią o rękę, prawda? To jest pierwszy krok.

Sibyl zniżyła głos.

- Chodzi o to, żeby mój udział w sprzedaży domu przeszedł na jego własność.
- Tak. Pozostaje jeszcze Meg i jej udział.
- William zapewne sądzi, że weźmie Meg pod swój dach, a ona w zamian za jego wielkoduszność zrezygnuje ze swojej części. Moja siostra by na to nie przystała.
- Nawet dla pani dobra, Sibyl? A jeśli uzna, że tak będzie lepiej dla pani?
- Meg jest mądra. Sama zadecyduje, co jest najlepsze. Na pewno nie pozwolę, żeby z mojego powodu zrzekła się swojej części spadku.
- Cóż więc pani zrobi?
- Naturalnie zgodzę się poślubić Williama.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Nie chciał wypuszczać jej z rąk. Dopóki ją trzymał, miał przekonanie, że jest bezpieczna.

Mąciło mu się w głowie. Wypił za dużo bordo. Rzadko mu się to zdarzało. Czasem do podobnych stanów doprowadzała go złość tak wielka, że bał się utraty panowania nad sobą.

- Mogę iść samodzielnie - powiedziała Meg i poruszyła się, jakby chciała, żeby postawił ją na podłodze.

Na to nie mógł się zgodzić.

- Zaniosę cię do Verbeux, Meg. On zdecyduje, czy należy wezwać doktora.

- Doktor jest niepotrzebny - zaprotestowała, usiłując się wyswobodzić. - Kilka głupich pęcherzy. Nie zrobi z nimi nic, czego nie mogłabym zrobić sama.

- Meg, przytul się do mnie. Nie masz pojęcia, jak bardzo potrzebuję twojej bliskości. Jak chcę wiedzieć, że jesteś ze mną.

Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami, ale szybko przymknęła powieki. Jej wargi zaczęły bezgłośnie się poruszać. Odpłynęła. Delikatnie pocałował ją w czoło. Zaczęła coś szeptać niezrozumiale, jej ciało stało się bezwładne i ciężkie.

- Odchodzisz ode mnie - westchnął. - Nie wierzysz mi, że cię nie skrzywdzę. - Wiedział, że nie może mieć o to do niej pretensji.

Nie pozostało mu nic innego jak nieść ją ostrożnie długim korytarzem. Gdy w końcu wszedł do przedsiionka pokojów Verbeux, przystanął zdumiony.

- Pierre? Co tu robisz?

- Czuwam za pana Verbeux - odrzekł Pierre zza biurka swojego chlebodawcy. - Czy mogę w czymś pomóc?

- Tak. Pilnuj panny Smiles, zanim dobudzę Verbeux.

- *Oui, monsieur* - powiedział Pierre i wstał.

- Panna Smiles medytuje, Pierre. W ten sposób uspokaja nerwy. Najlepiej pozwól jej siedzieć w milczeniu.

- Dobrze, milordzie - powiedział Pierre. Miał na sobie surdut i spodnie z przedniego czarnego kaszmiru oraz halsztuk. Istny dandys.

- Chociaż chciałem porozmawiać z panną Smiles o jej ręce - dodał uprzejmie.

- To zrozumiałe, ale nie dzisiaj. Za chwilę wrócę.

- Chyba nie powinieneś niepokoić pana Verbeux, milordzie. Nie czuje się dobrze.

Jean-Marc ostrożnie usadził Meg na kanapce obitej fioletowo-złotym, pasiastym jedwabiem.

- Verbeux jest pijany, tak? Trudno, każdemu się zdarza. Nie pierwszy raz widzę go w tym stanie.

- Czy mówił już milordowi, że ktoś go napadł? - spytał Pierre.

- Verbeux przyszedł do mnie podczas przyjęcia. Był trochę skołowany, ale zapewniam cię, że gorzej z nim bywało. - Z tymi słowami wszedł do sypialni.

Niewielka świeca paliła się jasnym płomieniem nad łóżem z baldachimem.

Jean-Marc podszedł i spojrzał na służącego.

- Co jest... Czy znowu coś się stało? Chyba nie...

- W sali balowej byłem znacznie mniej poobijany. - Verbeux kwaśno się uśmiechnął. - Moi nowi znajomi czekali na mnie tutaj... w mojej własnej sypialni. Chcieli mi przypomnieć, co mam zrobić.

- Dopilnować, żebym wyjechał z Londynu?

- Tak. - Verbeux miał twarz tak bladą, że prawie przezroczystą.

- Niestety, nie mogłem ich zapewnić, że na to przystałeś, milordzie. Chociaż byłem gotów przedyskutować z panem tę kwestię jeszcze raz, nie zrobiło to na nich wrażenia. Stąd wyraźna zmiana w moim stanie. Zapowiedzieli, że następnym razem połamią mi kości.

- Tu, w moim domu. - Jean-Marc pokręcił głową, wzburzony w najwyższym stopniu. - Szubrawcy dostają się do środka, buszują po domu i wychodzą, a nikt ich nie zatrzymuje.

- Wygląda na to, że dobrze znali drogę.
- Nie mogłeś zawołać nikogo na pomoc? Nie krzychałeś, człowieku?
- Raczej trudno krzyżeć ze szmatą w ustach.
- Jutro wyjedziemy do Windsoru.
- To na nic. Znajdą nas.

Jean-Marc nie powiedział, że jest tego samego zdania. Mimo wszystko jednak do Riverside obcemu trudniej było wtargnąć niepostrzeżenie. W Londynie za dużo się działo, zbyt wielu kupców i rzemieślników przychodziło codziennie oferować swoje usługi, by nie wspominać o niezliczonych gościach.

- Niech ci się przyjrę - powiedział Jean-Marc. - Czy zrobili ci coś, czego nie widać na pierwszy rzut oka?
- Najgorsze widać. Poza tym wysmagali mnie pasem po plecach. Potem nasmaruję się maścią.
- Pierre może ci pomóc. Verbeux pokręcił głową.
- On nie jest przyzwyczajony do takich zajęć.
- Przyniosłem do ciebie pannę Smiles. Miałem nadzieję, że obejrysz jej poparzone nogi, ale widzę, że nie jesteś w stanie.
- Poparzone, milordzie? W jaki sposób to się stało?
- Bez wątpienia za sprawą jednego z twoich przyjaciół. Kazał jej tańczyć nad pochodnią. A zdaje się, że miał jeszcze gorsze zamiary. - Poczłł na sobie taksujący wzrok Verbeux. - Tak, jestem wściekły, jeśli nad tym się zastanawiasz. Myśl o tym, że jakiś bydlak dotyka jej swoimi łapskami, budzi we mnie obrzydzenie. I wprawia mnie to w taką wściekłość, że mogę okazać się niebezpieczny... dla innych i dla siebie.
- Łajdaki - stwierdził Verbeux. - Nie mają skrupułów, choć nie rozumiem ich powodów.
- Mówisz tak, jakbyś ich znał.
- Może znam - odparł Verbeux wyzywająco. - Może pan też ich zna.

Jean-Marc odwrócił się plecami do Verbeux.

- Oni nie dadzą za wygraną - odezwał się Verbeux. - To pan na pewno rozumie. Woleliby, żeby pan nie żył. Ale to za duże ryzyko. Możliwość odwetu. Zmuszenie pana do ucieczki jest bezpieczniejszym rozwiązaniem.

- Nie uda im się.

- Dlaczego? Dlaczego miałby pan walczyć o coś, czego pan nie chce?

- Do tej pory odpowiedź na to pytanie była dla mnie niejasna - odrzekł Jean-Marc. - Wreszcie zrozumiałem, o co mi chodzi. Robię to nie dla siebie. Powiem ci, że robię to dla ojca i jeszcze dla kogoś. Dla kogo...? Tego już się nie dowiesz. Wolę nie wymawiać głośno pewnego imienia. Nie wiadomo, kto i gdzie mnie podsłuchuje. Po co narażać siebie i innych na niebezpieczeństwo?

- Robi pan to dla ojca? - powtórzył Verbeux. Wzdrygnął się z bólu i skulił ramiona. - Chce pan chronić człowieka, który nigdy nie okazał panu ani odrobiny uczucia?

- Nie możemy widzieć, co jest w czyimś sercu. On podejmuje decyzje w sposób, jaki go nauczono, i dlatego, że uważa to za swój obowiązek. Jest tylko człowiekiem i może się mylić.

- A więc pan uważa, że ojciec darzy pana wielką miłością?

- Nie będziemy dalej o tym rozmawiać - uciął. Tęsknota, jaka się w nim odzywała, była nie do zniesienia.

Pierre wszedł do pokoju.

- Jest tu lady Upworth. Chce się widzieć z panem Verbeux.

- Do diabła! - zaklął Jean-Marc. - Czego ona może chcieć o tej porze?

- Jest zatroskana stanem zdrowia pana Verbeux - wyjaśnił Pierre.

- Zdaje się, że ostatnio zostałem jej powiernikiem - odezwał się Verbeux. - To nie jest szczęśliwa kobieta.

- Na razie pociesza pannę Smiles - dodał Pierre. Jean-Marc rozłożył ręce.

- Przecież zapowiedziałem, żeby jej nie przeszkadzać.

- Czy mam odesłać lady Upworth?

Ila wcisnęła się do pokoju, przesyłając Pierre'owi spojrzenie pełne głębokiej pogardy. Przelotnie uśmiechnęła się do Jean-Marca i podeszła do łóżka Verbeux.

- Znowu pana napadli, prawda?

- Oćwiczili mu plecy - wyjaśnił Jean-Marc. - Pierre, proszę przynieść maść pana Verbeux i posmarować mu rany.

- Tylko się pośpiesz - powiedziała Ila. Zdjęła narzutkę i odrzuciła ją na bok. - Byłam wystraszona, więc zamknęłam się u siebie. Ale musiałam w końcu wyjść pozałatwiać swoje sprawy. Och, czemu nie przyszłam do pana wcześniej? Pan był dla mnie zawsze taki życzliwy.

- Nie gadaj tyle - burknął Verbeux. Jean-Marc mimo woli się uśmiechnął. Verbeux był najwyraźniej zakłopotany tą demonstracją kobiecej troski.

- Proszę się nie zapominać - ofuknęła go Ila i odrzuciła na bok kołdrę tak szybko, że Verbeux nie zdążył jej przytrzymać. - Proszę położyć się na brzuchu. Natychmiast. Znam się na pielęgnacji chorych. Ostatnia choroba mojego męża była długa, a żadnej pielęgniarki oprócz mnie do siebie nie dopuszczał. Pierre?

Pierre posłusznie podał jej słoiczek, z którego zdjął zakrętkę.

- Obróć się pan, jak kazałam - przynagliła bezceremonialnie Verbeux - bo każe pana przytrzymać i...

- Dobrze, już dobrze. Najpierw ty się odwróć, milady.

Z irytacją rozłożyła ręce, ale spełniła jego życzenie. Verbeux pokręcił głową, potem naciągnął prześcieradło aż po pas i dopiero wtedy przewrócił się na brzuch.

- Jest gotowy - powiedział Jean-Marc, z trudem powstrzymując śmiech.

Ila podeszła do Verbeux i zarzuciła mu nocną koszulę aż na głowę. Widok licznych ran wprawił ją w wielki gniew. Usiadła koło niego i zaczęła smarować mu plecy białą, gęstą substancją.

Jean-Marc zwrócił uwagę na niezwykle delikatność lady Upworth.

Ilekroć Verbeux głośno syknął, przemawiała do niego cichym głosem.

Jean-Marc jeszcze przez chwilę przyglądał się tym dwojgu. Prawdopodobnie nic

jeszcze między nimi nie zaszło... jeszcze nie.

- Co zalecasz na oparzenia? - spytał Verbeux.
- Pierre da panu co trzeba - odrzekł służący. - Rany powinny być przykryte, bo przy kontakcie z powietrzem bardziej bołą. Remedium jest sprawdzone. Stare, ale skuteczne. Na ból dobra jest też whisky. Pomaga o nim zapomnieć.

Palce lady Upworth najwyraźniej czyniły cuda.

Ani Verbeux, ani Ila nie zauważyli wyjścia Jean-Marca.

Pierre, który niewątpliwie podsłuchiwał każde słowo, wręczył mu flakonik.

- Podobno jest w tym srebro. Nie wiem, czy to prawda, ale wielu ludzi przysięga, że to przyspiesza gojenie ran i zmniejsza ból.

Meg siedziała z policzkiem przytulonym do oparcia kanapki. Twarz miała zasłoniętą.

- Znowu zasnęła - powiedział Jean-Marc. - Sen jest jej potrzebny, ale bez wątpienia byłaby spokojniejsza, gdyby zbudziła się we własnym pokoju. Moglibyśmy ją tam razem zanieść.
- Ależ ja nie śpię - odezwała się Meg z naturalnością dziecka.
- Naprawdę? - ucieszył się Jean-Marc. - Wobec tego lepiej stąd chodźmy. - Poderwał ją z kanapki dość bezceremonialnie, choć uważał, żeby jej nie urazić. Nie odstońska twarży, lecz wtuliła się w jego tors. - Gdy lady Upworth wyjdzie, dobrze pilnuj pana Verbeux - polecił Pierre'owi. - On na pewno nie zacznie się skarżyć, nawet jeśli ból będzie silny. Gdyby okazało się, że za bardzo cierpi, nie wahaj się postać po mojego doktora.
- Możesz na mnie polegać, milordzie.

Pierre otworzył drzwi, a Jean-Marc podziękował mu i wyszedł. Szybko ruszył w stronę swoich pokojów. Tam, gdzie miał broń w zasięgu ręki, czuł się znacznie lepiej przygotowany do odparcia ewentualnej napaści.

Meg wydawała się drzemać. Gdy zerknął na bąble pokrywające jej skórę wokół kostek, ogarnęło go przerażenie. Ten szalenciec mógł przecież zapalić jej szatę. Wtedy być może już nigdy nie spoczywałaby w jego ramionach wtulona w niego z niemal dziecięcą ufnością.

Zaniósł ją do swojej sypialni i ułożył na kapie przykrywającej królewskie łożo.

Jemu samemu wydawało się dziwne, że tak bardzo zależy mu na zapewnieniu jej bezpieczeństwa i zatrzymaniu przy sobie. Do tej pory wszystkie związki z kobietami układał w ten sposób, by jak najmniej się w nie angażować.

Mógł iść za sugestią Verbeux i nie przejmować się życzeniami ojca, pozycją Desiree i Mont Nuages. Mógł po prostu ogłosić zaręczyny z Meg i zapowiedzieć zamiar wycofania się z życia publicznego i zamieszkania na stałe w Anglii.

Gospodarowałby wtedy na hektarach ziemi, których doglądał obecnie rządca Riverside Place. Jego wieśniacy z maleńkiego Castleberry byłiby niewątpliwie zadowoleni, gdyby dowiedzieli się, że sam pan przejął władzę w majątku i nie zamierza już wyręczać się pełnomocnikiem. Wiejski kościół wymagał niejednej inwestycji, a w szkole potrzebny był remont. Poza tym zaczęłyby hodować bydło, no i zajęłyby się chatami dzierżawców. Jego życie stałoby się pożyteczne, a mając wsparcie żony, może nawet nauczyłyby się znajdować w tym zadowolenie. Jeśli zaś ojciec chciałby wykorzystać go jako ambasadora, tym lepiej, tego obowiązku zawsze chętnie by się podjął.

Pozostawała kwestia Desiree. Jego dorastająca siostra zapewne snuła teraz jakąś intrygę, która pozwoliłaby jej uciec z tym golcem malarzem. Utalentowanym, lecz nie mającym pieniędzy ani manier. Na to Jean-Marc nie mógł pozwolić, zwłaszcza że miał wobec przyrodniej siostry określone plany, w których nie było miejsca na cielejącą miłość.

Prawdę mówiąc, zresztą szczerze wątpił, czy Adam Chillworth choć raz poważnie pomyślał o małżeństwie z siedemnastoletnią, rozpieszczoną księżniczką.

Przerwał rozmyślenia, przypomniał sobie o oparzeniach Meg. Powinien najpierw oczyścić rany. Meg będzie przy tym krzyczeć, kto wie, może nawet zacznie się wyrywać i, czym jeszcze bardziej sobie zaszkodzi.

Mikstura dana mu przez Pierre'a miała ostry metaliczny zapach.

- Chcę ci opatrzyć rany, Meggie - powiedział. - Proszę, bądź cierpliwa, gdyby się okazało, że to trochę boli.

Rozpięta zdobioną klejnotami klamerkę, zdjęła nakrycie głowy i spojrzała na hrabiego.

- Jean-Marc, co z nami będzie? Zmartwił.

- Powiedziano mi, że mam opuścić ten dom - odwróciła głowę - i zabrać cię z sobą. Podobno jeśli nie spełnimy tego żądania, skutki będą dla nas straszne.
- Mnie powiedziano to samo. W moim przypadku pośrednikiem był Verbeux, a wiadomość przekazali ci, którzy go pobili.
- Verbeux rozmawiał także ze mną. Ale... Tak czy owak, ten człowiek z pochodnią powiedział mi to samo.
- Nie jestem przekonany co do skuteczności takiego rozwiązania, ale z samego rana wyjedziemy - powiedział Jean-Marc. - Wezmę tylko część domowników. Na pewno ciebie i Sibyl. Ash pewnie też. W każdym razie ze wszystkimi muszę najpierw porozmawiać.
- Co chcesz przez to osiągnąć?
- Mam nadzieję odzyskać autorytet wśród mieszkańców tego domu. Każdy, kto pojawi się nieproszony, będzie natychmiast dokładnie przesłuchany i usunięty. Dojdę do sedna tej intrygi. A kiedy się to stanie, jej sprawcy zostaną przykładowo ukarani.
- Życzę ci szczęścia, milordzie, ale ja nie mogę z tobą jechać. Roześmiał się z przymusem.
- Ależ możesz.
- Nie. Potrzebuje mnie tu moja siostra. Muszę zająć się ważnymi sprawami osobistymi. - Lady Upworth zdołała jej przekazać bezcenne informacje, podczas gdy siedziała przed sypialnią Verbeux.
- Skąd wiesz?
- Po prostu... słyszałam. - Nie mogła zawieść zaufania damy. - Nieważne, proszę, nie pytaj o to.

Jean-Marc poczuł przyptyw nowej fali gniewu. Nalał więc sobie kieliszek brandy i przełknął połowę jego zawartości.

Meg wcześniej zdążyła już zauważyć, że Jean-Marc pije dość dużo mocnego alkoholu. Jego nastrój bardzo ją niepokoił. Tymczasem Jean--Marc przytknął jej kieliszek do ust. W ustach i gardle poczuła piekący, aromatyczny smak.

Podłożył jej poduszki pod plecy i bardzo ostrożnie podniósł spódnicę aż do kolan.

Powoli czyścił wszystkie oparzeliny, ale mimo że był delikatny, Meg raz po raz zaciskała zęby.

- Jeszcze chwila i można będzie nałożyć opatrunek.
- To jest upokarzające - powiedziała Meg.
- Niemożliwe. Przecież widziałem znacznie więcej twojego ciała niż tylko nogi od kolan w dół.

Przykryła się aż pod brodę, spłoniona rumieńcem.

Jean-Marc był bardzo zadowolony, że płyn łatwo się rozprowadza, lecz nie spieszył się z tą pracą. Przed smarowaniem każdej oparzeliny czule głaskał nogę Meg i całował miejsca obok, gdzie skóra pozostała nieuszkodzona. Meg często wzdychała w taki sposób, jakby mikstura przynosiła jej natychmiastową ulgę. Jean-Marcowi dodawało to pewności siebie.

Wreszcie wszystkie oparzeliny były opatrzone, a pod nogami Meg leżało czyste, wykrochmalone płótno.

- Musisz tu poleżeć do rana - powiedział. - Zapewnię ci wszystko, czego możesz potrzebować. Jutro z samego rana przygotuję ci wygodne miejsce w powozie i osobiście zawiozę cię do Windsoru.
- Nie słuchasz tego, co mówię. Nie pojedę do Windsoru.
- Pojedziesz. Porozmawiam z Sibyl, a gdy twoja siostra zrozumie, o jak wielką stawkę gramy, na pewno dojdzie do wniosku, że obie powinnyście tam jechać.
- Proszę tego nie robić, milordzie. Bardzo pana proszę. Prawdopodobnie uda się ją namówić, bo uzna, że proponuje jej pan najlepsze ze wszystkich rozwiązań. Ona zbyt ulega męskiemu autorytetowi.
- Wiedziałem, że kochasz swoją siostrę- powiedział z uśmiechem. Ulżyło mu, gdy Meg odwzajemniła uśmiech. - O, teraz lepiej, moja miła. Z niecierpliwością czekam, kiedy będę ci mógł pokazać całe Riverside. Z czasem poznasz również wieśniaków z Castleberry. Żona pastora będzie zachwycona, jeśli włączysz się do udziału w pracach parafii.

Jaki on pewny siebie, pomyślała Meg.

Skłamałaby, gdyby powiedziała, że nie tęskno jej do niego, ale nie mogła z czystym

sercem zgodzić się na jego warunki. To groziłoby niestawą im obojgu.

- Och, Meg. Skomplikowałaś mi życie, ale nigdy nie byłem nikomu bardziej wdzięczny za zburzenie mojego spokoju.

- Masz dziwne sposoby prawienie komplementów, milordzie - odrzekła. - Powiem szczerze. Pan też zburzył moje spokojne życie. Stoję przed problemami, jakich nigdy nie spodziewałam się rozstrzygać, ale każda chwila, którą spędzamy razem, jest cudowna. Czy nie jestem niemądra, że daję panu nad sobą taką władzę?

- Nie. - Bardzo wolno pochylił się nad nią i pocałował ją w usta. Meg zamknęła oczy. Ten pocałunek oznaczał dla niej coś więcej niż tylko zetknięcie się ust. Był zespoleniem ich myśli i uczuć.

Jean-Marc delikatnie pchnął ją na poduszki. Pieścił jej szyję, ożywiając ciało i wszystkie uśpione w nim pragnienia.

Oparł sobie jej głowę na ramieniu i długo studiował każdy rys jej twarzy. Czuła bijącą od niego siłę.

- Wiesz, że nie powinieneś tego robić - szepnęła, gdy wsunął jej dłoń pod spódnicę i zaczął głaskać udo.

- Przecież ty też tego chcesz - odszepnął. Pochylił się i pocałował ją w dekolot.

- Jean-Marc, proszę cię.

- O co?

- Nie wiem. - Na piersiach czuła dotyk jego języka. Było jej coraz trudniej sformułować spójną myśl.

Tymczasem Jean-Marc już rozpinął srebrne klamerki podtrzymujące jej stanik. Meg zerknęła na swoje piersi. Podobały jej się tylko wtedy, gdy dotykał ich Jean-Marc.

- Jean-Marc?

- Nic nie mów. Nie teraz.

Przywarł do jej ust, by nie mogła nic więcej powiedzieć. Dłonią błędzącą pod spódnicą odnalazł miejsca, które najbardziej tęskniły za jego dotykiem.

Głaskał ją, a ona dziękowała za pieszczoty czułymi westchnieniami i ruchem bioder

zachęcała do następnych.

Jean-Marc poruszył palcami, głaszcząc i pocierając najwrażliwsze miejsce jej ciała. Jednocześnie obsypywał ją całą pocałunkami. Meg zupełnie straciła kontrolę nad tym, co się dzieje. Tuliła głowę Jean-Marca do piersi, całowała go po włosach, a ruchem bioder wychodziła na spotkanie jego dłoni.

- Nie przerywaj - jęknęła błagalnie. - Nie, proszę.
- Chyba pozwolę ci jednak odpocząć. Musisz być wyczerpana.
- Będę jeszcze bardziej wstrząśnięta, jeśli mnie teraz zostawisz. Czy możesz raczej zdjąć z siebie odzienie? Proszę.

Przyjrzał jej się z żartobliwą miną.

- Nie lubię odmawiać twoim życzeniom. - Nie przerywając pieszczot, pozbył się garderoby. - Wiesz, ta spódnica, którą kazałem dla ciebie uszyć, jest wyjątkowo nieporęczna.

Zachichotała nerwowo, a on objął jej piersi i uwodził ją ruchami języka. Nagle porwała ją fala wielkiego, pulsującego gorąca. Wyciągnęła ramiona, by Jean-Marc się nie odsunął. Pragnęła, by ich ciała dobrze się zapamiętały.

- Jesteś niezwykła. Zachwycasz mnie swoją odwagą. Szorstkie włosy na jego torsie pieszczotliwie drapały jej piersi. Czy mogła mieć go jeszcze bliżej?
- Meg, nie walcz ze mną.

Jej ciało poddało się bez wahania fali rozkoszy. Uderzyła w nich z ogromną siłą. Dali się jej ponieść i ukołysać.

- Los bywa okrutny - westchnął Jean-Marc. - Jesteś moim marzeniem. - Przytulił twarz do jej szyi.

Meg bała się poruszyć.

- Czy nie poraniłem jeszcze bardziej twoich nóg? Uśmiechnęła się.
- Nóg? Całkiem o nich zapomniałam.

Jean-Marc objął ją jeszcze mocniej. Niemal kurczowo trzymał ją przy sobie.

- Musimy wiele zrobić przed wyjazdem - odezwał się w końcu. - Wolałbym, żebyś

jutro nie oddalała się od Desiree. W miarę możliwości będę pilnował was osobiście.

- W dzień będziemy bezpieczni. Najlepiej, żebyśmy zachowywali się całkiem zwyczajnie i nie budzili podejrzeń. Ale kiedy...
- Nikt nie wejdzie do tego domu bez mojego wyraźnego pozwolenia. - Jean-Marc podniósł władczo głowę. - Nikt.
- Pan FitzDurham i sir Robert...
- Pana FitzDurhama zaproszę do Windsoru. Sir Robert Brodie usłyszy, że nie chcesz go widzieć. Stanowczo nie lubiła, gdy Jean-Marc odzywał się do niej tonem posiadacza.
- W obecnych okolicznościach utrzymywanie przyjaznych stosunków z sir Robertem jest nie tylko uzasadnione, lecz wręcz wskazane -zauważyła.

Jean-Marc zmrużył powieki.

- Nie chcę, żebyś spotykała się z innymi mężczyznami. Jeśli Brodie przyjdzie, sama każesz powiedzieć mu, że go nie przyjmiesz.
- Nie.
- Podjąłem decyzję. Już nigdy ode mnie nie odejdziesz.

Meg poczuła pod powiekami napływające łzy. Jean-Marc toczył własną wojnę, ale sądził, że mimo to uda mu się okiełznać przyszłość i znaleźć spokój dla nich obojga.

- Będę się tobą opiekował. Zawsze.
- Nie potrzebuję opiekuna. Proszę. Pozwoliłam... Nie, z własnej woli złamałam wszelkie konwencje, byle być z tobą. Nie żałuję tego, ale moja siostra nigdy tego nie zrozumie ani nie zgodzi się na taki układ, a ja jej nie opuszczę.

Ogarnęło go jakieś silne uczucie. Ciemne oczy lśniły, rysy twarzy przybrały surowy wyraz.

- Nie ponosisz za mnie odpowiedzialności - powiedziała cicho. W jego uśmiechu nie było nic krzepiącego.
- Jeśli tak myślisz, to się mylisz. Nie widzę powodu, dla którego Sibyl nie mogłaby pozostać tam, gdzie jest w tej chwili. Niczego jej nie zabraknie. A ty będziesz ją

odwiedzać. Jeśli wyjdzie z twojego cienia, to może znajdzie sobie męża. Przy tobie brakuje jej pewności siebie.

Pocałował ją znowu. Meg przez chwilę się opierała, ale wnet odpowiedziała mu żarliwie i znów oddali się pieszczotom.

Sporo czasu minęło, nim Jean-Marc znowu ułożył głowę w zagłębieniu przy jej szyi, a ona głaskała go wierzchem dłoni po policzku.

- Musisz wyciągnąć wnioski z tego, co jest. Jesteśmy razem i będziemy razem. Bardzo możliwe, że będziemy mieli dziecko. Może nawet już je spłodziliśmy. Moje dziecko.

Meg milczała.

- Gdyby się okazało, że jesteś przy nadziei, będę nalegał na ślub. Nie zgodzę się na to, żeby moje dziecko było bękartem. Możesz poślubić mnie teraz albo później. Wybór należy do ciebie. Tak czy owak jesteś moja i nie mam zamiaru wypuścić cię z rąk.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Tu Spivey

Nigdy nie byłem mściwym człowiekiem i teraz też nie jestem, ale muszę bronić swojej czci, czci Spiveyów.

Ten niewdzięczny szczeniak Hunter doprawdy posunął się za daleko. Śmiał powiedzieć, że jego przodkowie niewiele znaczyli! A porównanie swojego wyglądu do mojego uważa za obelgę!

Ech, skoro nie ma szacunku dla błyskotliwych osiągnięć swoich... no, krótko i szczerze mówiąc, dla moich osiągnięć, to trudno. Po co ma się cieszyć komfortem mojego nadzwyczajnego domu? Gdy tylko poradzę sobie z innymi, jeszcze bardziej bulwersującymi kwestiami, przyjdzie kolej na Huntera.

Doprawdy obawiam się, że znów będę zmuszony do przybrania fizycznej postaci... naturalnie za pośrednictwem tej Lawinii Ash. Jak wiecie, już raz mi się to zdarzyło, ale to nie powinno was interesować. Co za straszny pech, że nauczyciel tańca nie jest mężczyzną. Nieważne. Zaprzęgnę ją do służby i zmuszę do jak najdokładniejszego wypełnienia poleceń. Musi być we właściwych miejscach, by położyć kres temu, czemu chcę położyć kres... na przykład związkowi hrabiego Etranger z Meg Smiles, który prawie na pewno skończyłby się pozostaniem Sibyl Smiles pod numerem siódmym, co nie posunęłoby mojej sprawy ani trochę do przodu.

Wystarczy, żeby Sibyl poślubiła Williama i z nim wyjechała, biorąc również Meg, gdziekolwiek William zechce je zabrać i cokolwiek będzie mu w tym przyświecało. Mnie to nie obchodzi. A jeśli naprawdę sądzicie, że zamiar Sibyl, by poślubić Williama Godly-Smythe'a, ogranicza się do zapowiedzi przyjęcia jego oświadczyn, to jeszcze nad tym pomyślcie. Może się mylę, a byłby to pierwszy raz, ale moja intuicja podszeptuje mi, że Sibyl zamierza przechytrzyć swojego kuzyna. Wy, drodzy czytelnicy, żyjecie nadzieją, że hrabia Etranger i ta ładaczka Meg znajdą pełne szczęście. Razem. Jesteście romantykami. Och, od samego dźwięku tego słowa krew... ścięłaby mi się w żyłach. Doskonale wiem, że akceptujecie bezwstydną zachowanie tych dwojga egoistów.

Czas na delikatność już minął, więc bądźcie na to przygotowani. Powinniście się wstydzić. Sami wiecie dlaczego.

Bez wątpienia również podśmiewacie się z haniebných wyczynów naszej przyszłej królowej Karoliny i niecierpliwie oczekujecie widowiska, jakie nowy król Jerzy zrobi w lipcu ze swej koronacji, a także późniejszej fety. Jesteście wszyscy siebie warci, mówię wam to.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Domownicy Jean-Marca kolejno przychodzili do jego apartamentów. Próg gabinetu przekraczali z jak najgorszymi przeczuciami, toteż nie byli w stanie oderwać oczu od swojego pana.

Jean-Marc podejmował decyzje, kto pojedzie do Windsoru, a kto zostanie pod numerem siedemnastym. Miał nadzieję wkrótce wrócić, a poza tym w Windsorze i tak było sporo służby, choć naturalnie gorzej wyćwiczonej i mniej doświadczonej niż londyńska. Ponieważ należało się liczyć z przyjmowaniem gości Desiree również w Windsorze, zabranie kilku osób z Mayfair Square wydawało się rozsądnym rozwiązaniem.

Gdy ostatni kandydat opuścił gabinet, Jean-Marc wstał i podszedł do drzwi sypialni znacznie mniej pewnym krokiem, niżby chciał. Lekko zapukał, poczekał na zaproszenie i nacisnął klamkę.

Meg, odziana w peniuar i jasnożółtą koszulę nocną, które wcześniej przyniosła jej Desiree, leżała w łóżku, oparta o stertę miękkich poduch. Noc, którą dzieliła z Jean-Markiem, wciąż była dla niej zbyt świeżym przeżyciem.

- Czy przeszkadzam? - spytał. - Zdaje się, że medytowałaś. Meg zasłoniła oczy przedramieniem i przez dłuższy czas trwała

w tej pozycji.

- Jesteś niezwykłą kobietą, ale słyszałaś to już ode mnie wiele razy. Czy jesteś na mnie zła, Meg? Czy dlatego czujesz konieczność odgradzenia się ode mnie w ten sposób?

- Nie. - Odkryła oczy. - Skupić całą swoją siłę i cały spokój w centralnym punkcie jaźni, odciąć się od wszystkiego innego to znaczy ozdrowieć.

Podszedł do łóżka.

- Mimo wszystko wydaje mi się, że jesteś na mnie zła.

- Nie zła. Jestem zmieszana. Nie możesz zatrzymać tego, czemu nie ufasz. Jeśli

uważasz, że musisz mnie zatrzymać prawie tak, jak zatrzymuje się więźnia, to z pewnością oczekujesz, że zawiodę twoje oczekiwania albo że postawię swoje zainteresowania przed twoimi. Jak możesz tak myśleć?

Wiedział, że bardzo niezgrabnie wyraził to, co w pewnej chwili stało się dla niego oczywiste, ale nie mógł już cofnąć tych słów.

- Nie chcesz, żebym poczuwał się do obowiązków wobec ciebie. A ja w tych okolicznościach muszę zapewnić ci bezpieczeństwo i przyjąć odpowiedzialność za twoją osobę.

- Tylko dlatego, że jest ci dobrze... jest ci dobrze ze mną i zamierzasz nadal się mną cieszyć. A gdybym poczęła dziecko, chcesz również tego dziecka. To wszystko traktujesz jak wielkie obciążenie. Nie zdecydowałbyś się na to, ale nie widzisz innego sposobu spełnienia swojego pragnienia, przynajmniej na razie. To nie jest dobra sytuacja wyjściowa do wspólnego życia opartego na głębokim wzajemnym uczuciu. Widzę, że zdążam prostą drogą do klęski, ale nie potrafię ci się oprzeć. - Odsunęła włosy z twarzy, mankiety peniuaru zsunęły jej się ku łokciom.

- Wyciągasz zbyt daleko idące wnioski. Może dlatego, że poświęcasz dużo czasu abstrakcyjnemu myśleniu. Nie pozwolę się zmusić do tłumaczenia ci tego, co się samo tłumaczy. - Jeśli nadal zamierzała udawać, że nie wie, jak ważna jest dla niego, to trudno.

- Chcę dalej zajmować się swoimi sprawami. Nie chcę być traktowana jak kaleka.

- Jesteś poparzona. To jest wystarczający powód, żeby otoczyć cię opieką. Wiemy też oboje, że grozi ci niebezpieczeństwo, w dodatku obawiam się, że z mojego powodu. Aczkolwiek nie możemy zapominać, że do pierwszego wypadku doszło, zanim jeszcze mnie poznałaś. Nadal sprawdzam, czy było to oderwane zdarzenie. Tak czy owak, wszystkie te zajścia są wystarczającym powodem, byś pozostała przez pewien czas tutaj, gdzie będziesz bezpieczna. Po tym co się stało, wszyscy domownicy, nie wyłączając księżniczki, uznali konieczność twojego pobytu w tym pokoju.

- A przynajmniej tak ci powiedzieli.- Poza swoimi pokojami nie wazą się wyrazić innego zdania. Myślę, że polecę Desiree, żeby z tobą posiedziała. To ją pocieszy, a poza tym zapobiegnie plotkom.

Pukanie, a właściwie łomotanie do drzwi sypialni wywołało mars na czole Jean-Marca.

Meg usiadła prościej i ciaśniej otuliła się peniurem. Wystarczyło jej jedno spojrzenie na Jean-Marca, by przekonać się, że w nocy spał niewiele i przez cały czas starał się zachować czujność. Nie skłamał, mówiąc, że dostrzeżę grożące jej niebezpieczeństwo.

Do pokoju bez wezwania wtargnął Pierre. Gdy zobaczył Meg, zmieszał się i chciał się wycofać.

- Co znowu, człowieku? - spytał Jean-Marc. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył ducha.
- Duży kłopot, milordzie - powiedział służący, z wahaniem spoglądając na Meg. - Czy moglibyśmy pomówić o tym gdzie indziej?

W tej sytuacji wyłączenie Meg z czegokolwiek mogło bardzo zaszkodzić ich znajomości.

- Mów tutaj. Jestem przeświadczony, że nie chcesz przekazać mi niczego takiego, czego panna Smiles nie mogłaby usłyszeć.

Pierre nie wydawał się przekonany, ale posłusznie podszedł do Jean-Marca.

- Przyszła tu dziewczynka. - Meg zwróciła uwagę, że Pierre nie jest już taki nieskazitelny jak przedtem, a ręce mu drżą. - Jeśli jej wierzyć, to ma do opowiedzenia coś dziwnego i strasznego, ale chce powiedzieć to tylko tobie, milordzie.
- Przyrowadź ją tu natychmiast - polecił Jean-Marc. Pierre przygryzł dolną wargę.
- Dowiedziałem się, o co chodzi. Lady Upworth przysłała przez tę dziewczynkę wiadomość. Milady może być w tarapatkach.
- Dawaj tu szybko tę dziewczynkę. Pierre zniknął, a Meg powiedziała:
 - Kiedy lady Upworth rozmawiała ze mną w nocy, wydawała się całkiem spokojna. Z pewnością nie martwiło jej nic innego oprócz stanu pana Verbeux. - Wbrew sobie zaczęła lubić tę kobietę. - Och, Sibyl powinna już tu być. Dlaczego do tej pory nie przyszła?- Na pewno niedługo nadejdzie - uspokoił ją Jean-Marc. - Może będzie lepiej, jeśli przyjmę to dziecko w gabinecie.
 - Myślę, że będzie jej raźniej, jeśli spotka również kobietę. Poza tym chciałabym wiedzieć, co ona ma do powiedzenia.

Dyskusję zakończył Pierre, który wprowadził urodziwą, ciemnowłosą osobkę, mniej więcej dwunastoletnią. Ubranie miała tanie, lecz czyste i wydawała się raczej zaciekawiona niż przestraszona.

- To jest ta dziewczynka - powiedział Pierre, jakby mogły jeszcze istnieć jakieś wątpliwości. - Ma na imię Betty. Pracuje w piekarni swoich rodziców przy Mount Street. U Lumleya.

- Jak się masz? - spytał życzliwie Jean-Marc. - Jestem hrabia Etranger, a to jest mój dom.

- Wiem - odrzekła Betty. - Dlatego tu przyszłam. Tak powiedziała mi ta pani. I kazała mi porozmawiać z tobą, panie.

- Mów, co masz do powiedzenia, i zmykaj - ponaglił ją Pierre.

- Nie spiesz się - powiedział uspokajająco hrabia Etranger. - Dziękujemy, że do nas przysłaś.

Dziecko miało lśniące piwne oczy i miły uśmiech.

- Dała mi szylinga. Jeszcze nigdy w życiu nie dostałam szylinga.

- O, zanim stąd wyjdiesz, dam ci jeszcze suwerena - obiecał Jean-Marc.

Dziewczynka zachichotała, zachwycona tym nagłym bogactwem.

- To było dzisiaj z samego rana. Mielśmy zacząć pracę o trzeciej, więc wylewałam pomyje na zapleczu. Ojeju, jak się przestraszyłam, kiedy się do mnie odezwała.

- Aha - wtrącił się Jean-Marc. - A czy ta kobieta powiedziała ci, jak się nazywa?

- Miałam ci, panie, powiedzieć, że nazywa się Ilą.

Meg zacisnęła dłonie w pięści, lękając się tego, co miało nastąpić.

- Jestem w przyjaźni z Ilą. Co kazała ci przekazać?

- To było w alejce. Ona siedziała w takim eleganckim powozie, ale woźnicy nie było, tylko że ona nie mogła wyjść, bo była związana. Chciałam jej pomóc, ale ona powiedziała, że nie ma na to czasu, żebym po prostu posłuchała i poszła do ciebie, panie.

- Jest południe - zwrócił jej uwagę Jean-Marc. - To działo się podobno rano. Dlaczego nie przyszłaś od razu?
- To jeszcze nie koniec. A poza tym nie mogłam przyjść od razu, bo musiałam najpierw zrobić wszystko w piekarni, żeby nie dostać lania.
- Twoi rodzice nie zrozumieliby tego? Zawahała się.
- No, nie chciałam, żeby się dowiedzieli, że mam szylinga.
- Dobrze, powiedz nam więc, co wiesz - zachęciła ją łagodnie Meg. Niech Jean-Marc się złości na jej wtrącanie się, ale przynajmniej niech nie zwalnia opowiadania swoimi pytaniami.
- Złapał ją taki jeden - podjęła opowieść Betty. - Coś było o tym, że wracała gdzieś po coś i on ją złapał. Krew jej leciała z buzi.

Meg z trudem stłumiła krzyk.

- To był obcokrajowiec. Mówił trochę jak ty, panie. Wiem, bo go słyszałam. Wrócił, a ja się schowałam. Mówił do tego drugiego. Był bardzo zły, to pewne. A przedtem ta pani powiedziała, żebyś jej, panie, nie szukał. Odpłynię statkiem, ale nie wie gdzie. Powiedziała, że zasłużyła na to, bo robiła krzywdę ludziom, ale chce, żebyś wiedział, co się z nią stało. Czy mogę dostać suwerena?
- Jeszcze chwilę. To była alejka na tyłach Mount Street, czy tak? Betty przestąpiła z nogi na nogę.
- Tak, panie.
- Ten mężczyzna wrócił do powozu. Czy widziałaś też woźnicę? Czy widziałaś, jak odjechali?
- Musiałam wrócić do piekarni.
- Wcześniej powiedziałaś chyba, że się schowałam. A jeśli tak, to na pewno wiesz, co było dalej.
- Powóz pojechał.
- Czy widziałaś dokąd?
- Znikł przy końcu alejki. Było ciemno, a ja musiałam wrócić. Czy mogę dostać suwerena?

Meg omal się nie rozplakała, widząc niepokój na twarzy dziecka.

- Gdzie jest Verbeux? - spytał Jean-Marc. Wydawał się błądzić myślami gdzie indziej.

- Jeszcze w łóżku - odparł Pierre. - Boję się jego reakcji na tę wiadomość, ale będzie musiał się z nią pogodzić.

Jean-Marc rozsunął poły surduta, wsparł ręce na biodrach i wysunął naprzód podbródek.

- Mów jasno. Verbeux przyznał, że ostatnio wysłuchuje zwierzeń lady Upworth, ale to nie jest uczuciowy człowiek. Dlaczego miałby się o nią szczególnie niepokoić?

Pierre mocniej przygryzł wargę. Wydawał się bardzo zakłopotany.

- To nie moja sprawa - mruknął. - Niepotrzebnie powiedziałem.

- Ale powiedziałaś. Teraz wytłumacz.

- Pan Verbeux i lady Upworth wydawali się, hm, w przyjaźni.

- Czyli nie są nieprzyjaciółmi? Oj, Pierre, mów po ludzku. Służący głośno westchnął.

- Widzi mi się, że pan Verbeux lubi lady Upworth. - Odwrócił głowę i machnął ręką. - Ech, pewnie mogę od razu powiedzieć wszystko. Wiem, że oni się lubią. Może nawet więcej.

Jean-Marc nie odpowiedział natychmiast. To oświadczenie wprawilo go w zdumienie.

- Pan Verbeux bardzo ufa mojej dyskrecji. Jeśli się dowie...

- Nie dowie się - przerwał mu Jean-Marc. - Jeśli masz rację, to on bez wątpienia będzie chciał znaleźć lady Upworth.

- Dziewczynka mówi, że to niemożliwe - przypomniał Pierre.

- Ale i tak będzie jej szukał.

- Czy mam opowiedzieć o tym drugim? - włączyła się Betty, spoglądając na Pierre'a. - O tym, co zabrał ją później?

Zapadło milczenie. Najwyraźniej mała chciała usatysfakcjonować Jean-Marca, żeby dostać obiecane suweryna.

- Jeśli jeszcze coś sobie przypomniałaś, musisz teraz to powiedzieć - stwierdził Pierre. - Ciekawe, ile z tego jest prawdą?

Dziewczynka spłonęła rumieńcem.

- Czy chcesz powiedzieć, że porwał ją dwóch ludzi? - dopytywał się Jean-Marc. - Nie martw się, jesteś wśród przyjaciół, nic ci tu nie grozi.

- Przyszedł taki jeden i zabrał ją od tego pierwszego, co ją porwał. To znaczy ten obcokrajowiec porwał ją najpierw. Pewnie wjechał z nią w alejkę i się zgubił. A kiedy byli w alejce, porwał ją ten drugi.

- Przedtem mówiłaś co innego. Powiedziałaś, że obcokrajowiec wrócił do powozu i rozmawiał z kimś po drodze, ale to ten obcokrajowiec odjechał z lady Upworth.

- Zapomniałam. - Betty wbiła wzrok w podłogę. - Czasem mi się trochę myli. To ten drugi, z którym rozmawiał cudzoziemiec, porwał panią. Grubasek, ale szybki. Wskoczył na kozioł i odjechali. Ten drugi został i mówił, zdaje się, okropne rzeczy, ale na szczęście nie rozumiałam. Potem sobie poszedł.

Jean-Marc zamknął oczy, jakby głęboko się zamyślił.

- Czyli lady Upworth... to. znaczy Ila... powiedziała ci, że ten obcokrajowiec chce ją wziąć na statek. Ten, który w końcu został, tak?

- Tak.

- Rozumiem. W takim razie możemy przyjąć, że jednak nie wzięto jej na statek, prawda?

- Chyba tak.

- I szukamy szybkiego grubaska z panią, która ma krew na buzi. Taka para powinna zwracać uwagę.

Betty znowu się ożywiła.

- O, tak. Powinieneś panie spytać, może ktoś ich widział. Ten grubasek wcale na takiego nie wyglądał, ale pchnął tamtego tak mocno, że tamten się przewrócił. I

zapomniałam, że nosił kapelusz. Taki śmieszny, jaki noszą niektórzy kaznodzieje. Mówię o tym grubasku.

Na wyraźne życzenie pana hrabiego Sibyl pierwszy raz przestąpiła próg jego apartamentów, była jednak za bardzo skupiona na swoich sprawach, by uważnie przyglądać się otoczeniu. Och, było tu z pewnością wystawnie, taki przykład męskiej elegancji, ale w tej chwili nie miało to dla niej znaczenia.

- Panno Smiles - powiedział hrabia. - Ulżyło mi, że pani przyszła. O ile pamiętam, miałaś jednak być wcześniej. Ufam, że to nie sprawa niedyspozycji.

Sibyl pomyślała, że nie interesuje go ani jej samopoczucie, ani spóźnienie.

- Gdzie jest Meg, jeśli wolno spytać? Na pewno nie w swoich pokojach, bo sprawdzałam.

- Nie. Jest tutaj. Moja siostra siedzi przy niej w sypialni. Proszę się nie przerażać, ale Meg miała wczoraj przykre przeżycie i zdecydowałam, że dla jej dobra powinna być w miejscu, gdzie jej mogę pilnować.

Sibyl zmartwiła.

- Proszę mnie nie oszczędzać. - Szczękając zębami, ruszyła ku drzwiom do przyległego pomieszczenia.

Hrabia szybko podszedł do niej i ujął ją za łokieć. Zaprowadził ją do krzesła.

- Najpierw chcę z panią porozmawiać o wielbnym Baggsem. Latimerowi More'owi przekazano już, że ma zatrzymać tego człowieka, w razie gdyby wrócił do swojego pokoju pod numerem siódmym, co zresztą jest mało prawdopodobne. W każdym razie ten człowiek jest niebezpieczny. Gdyby zobaczyła go pani lub usłyszała o nim, proszę przyjść prosto do mnie. Proszę nie próbować rozmówić się z nim osobiście.

Co za piramidalna niedorzeczność.

- W jakiej sprawie miałabym rozmówić się z wielbnym Baggsem? I z jakiego powodu? To po prostu niezbyt lotny klecha, ale nieszkodliwy. Niebezpieczny? Co za wymysł!

Hrabia przesiał jej spojrzenie, z którego niedwuznacznie wynikało, że to on tutaj decyduje, co i komu powiedzieć.

- Z łaski swojej proszę się zastosować do mojego polecenia. Jemu nie wolno ufać, to wszystko.

Spojrzała buntowniczo na hrabiego.

- Nie, milordzie, nie wszystko. Proszę mi wytłumaczyć, co Baggs rzekomo zrobił, żebym wiedziała, jak mam postąpić, gdybym go przypadkiem spotkała.

Hrabia spodziewałby się takiego zachowania po Meg, ale nie po Sibyl.

- Ech, siostry Smiles. Trzeba was było w dzieciństwie wychowywać twardszą ręką. Jesteście stanowczo zbyt śmiałe. No, dobrze. Powiem pani. Nie widzę powodu, by oszczędzać pani uszy. Wielebnego Baggsa opisała nam tutaj pewna dziewczynka, która twierdzi, że widziała go, jak porywa lady Upworth.

Sibyl spojrzała w ciemne oczy księcia i zaczęła się bawić rzemykami swojej torebki.- Nie masz na to odpowiedzi, panno Smiles?

- Wielebny Baggs? Roześmiać się nie wypadało. - Uprowadził lady Upworth? - A jednak nie była w stanie się powstrzymać. Parsknęła śmiechem.

Gdy wreszcie opanowała się na tyle, że tylko uśmiechała się szeroko, ulżyło jej, gdy zobaczyła podobną minę hrabiego.

- Ostrzegłem panią - rzekł, spoważniawszy. - Radzę nie traktować moich słów bez troski. Rozesłałem ludzi w poszukiwaniu Baggsa i lady Upworth. Więcej na ten temat później. Mamy inne zmartwienia. Meg została napadnięta przez kogoś, kto poparzył jej nogi. Przykry wypadek, ale nie zagrażający życiu.

- Och, Meg... Muszę natychmiast ją zobaczyć.

- Wkrótce, jeśli można. Napastnik uciekł, a ja zapewniłem jej tutaj wygodne miejsce, w którym mogę ją chronić. Gdy pani już do niej pójdzie, proszę w miarę możliwości zachować spokój. Dodać jej otuchy.

Mówił tak, jakby Meg była jego... Sibyl przyjrzała się jego władczej minie. Ten człowiek nigdy nie wahał się wziąć tego, czego chciał, a ostatnio odebrał jej Meg, z którą Sibyl spędziła całe życie. Nie obchodziło go, czyje uczucia rani, póki zaspokajał swoje zachcianki.

- Dałbym wiele, by wiedzieć, co pani myśli - odezwał się hrabia. Zaskoczona Sibyl odwróciła się ku niemu. Serce biło jej mocniej niż zwykle.

- Coś mi mówi, że jestem dla ciebie, milordzie, trudną rozmówczynią. - Nie była przyzwyczajona do znajdowania się w centrum uwagi, a już z pewnością nie w centrum uwagi bogatych, wpływowych ludzi.

- Sibyl - powiedział cicho, zaskakując ją użyciem imienia - czy zdradzisz mi swoje myśli?

Wstała.

- Muszę iść do Meg. Skłonił głowę.

- Naturalnie. - Zaprowadził ją do drzwi i zapukał. Księżniczka zawołała: „Proszę”, więc oboje weszli. Hrabia z uśmiechem przepuścił Sibyl przed sobą i zwrócił się do Meg: - Panny siostra jest tutaj. Bardzo chce usłyszeć o wszystkim, co się panie przydarzyło.

Sibyl musiała ugryźć się w język, by nie zwrócić mu uwagi, że może mówić sama za siebie.

- Powiedziałem jej, że przeżyła panna wstrząs, ale szybko dochodzi do siebie. Bądź łaskawa wtajemniczyć siostrę w nasz wyjazd do Windsoru. Naturalnie nastąpi on znacznie później, niż pierwotnie planowałem, ale będziemy potrzebować tam również panny Sibyl Smiles... Co, u diabła?

W pobliżu rozległ się świergotliwy kobiecy głos, wykrzykujący niezrozumiałe słowa. Sibyl odwróciła się na czas, by zobaczyć Lawinię Ash wykonującą niezdatny podskok. Nauczycielka tańca wyciągała przed siebie rękę i podskakiwała na boki.

- Co to ma być? - zdumiał się hrabia. - Proszę o ciszę i spokój. Panna Smiles, panna Meg Smiles, nie jest w odpowiednim stanie, żeby znosić takie hałasy.

- Oou - odparła Ash, wykonując nieskoordynowane ruchy. Zaczęła wytrzępywać swoje czarne spódnice, przy okazji demonstrując pończochy zwinięte w obwarzanki na wysokości kostek. - Musiałam przyjść. Oou! Zabierzcie to.

Jakby urażony takim określeniem, zza spódnic Ash wyłonił się Karp. Usiadł na tylnych łapach i pokazał kobiecie zęby. Jego turkusowe oczy wydatnie się zwężyły, toteż wyglądał w tej chwili tak, jakby radośnie się uśmiechał do swojej ofiary, w każdym razie takie wrażenie odniosła Sibyl.

- Wściekłe, złośliwe diablisko, ot co - powiedziała Ash. - On mnie nienawidzi.

- Pst, Karpiku kochany - odezwała się księżniczka Desiree, siedząca na krześle

przy łóżku. - Chodź do mnie natychmiast, ty niegrzeczny chłopczyku. Martwiłam się o ciebie. Gdzieś ty się chował? - Księżniczka niewątpliwie dorosła od czasu, gdy Sibyl pierwszy raz ją zobaczyła. Wpływ Meg ujawniał się w wysokiej fryzurze z luźno spływającymi w dół poskręcanyimi kosmykami przy skroniach. Jej różowa dzienna suknia była uszyta z ciężkiego atłasu zdobionego pasami jedwabiu.

Ash zdecydowanym ruchem zamknęła drzwi gabinetu. Nie spuszczać wzroku z Karpia, weszła głębiej do pokoju, by móc objąć wzrokiem jego całość.

- Wasza Wysokość powinna być w pokoju muzycznym - zwróciła się do księżniczki. - O ile wiem, również modniarki beczynnje czekają na Waszą Wysokość już od dawna.

- Wszyscy zostali powiadomieni, że plan dnia na dzisiaj jest zmieniony - odparła Desiree. - Również ty, Ash.

Lawinia Ash wyprostowała się tak, jakby potknęła kij.

- Rzeczywiście. Tak bardzo ciąży mi moja wielka odpowiedzialność, że o tym zapomniałam. A ty, panno Smiles, jesteś na bardzo niebezpiecznej drodze. Narazasz swoją reputację, jeśli jeszcze ją masz. Namawiam pannę na natychmiastowy powrót pod numer siódmy. Jestem pewna, że panny kuzyn, ten poczciwy pan Godly-Smythe, udzieli jej pomocy. To święty człowiek i w pokorze znieśnie hańbę dla dobra rodziny. To wielkie szczęście dla panny, że nie jest to człowiek, który odciąłby się od krewnej po jej pokazie nader wątpliwej moralności.

Hrabia wyraźnie panował nad sobą z dużym trudem. Karp doszedł tylko do nóg łóżka. Teraz odwrócił się z powrotem do Ash i obnażył zęby.

Lawinia cofnęła się o krok i powiedziała:

- Naturalnie nie jest to moja sprawa. Proszę nie zwracać uwagi na pospolitą kobietę skazaną w życiu na usługiwanie innym. Chcę tylko pokazać, że troszczę się o pannę Meg, i zawsze służę panie radą.

Gdy Meg Smiles powiedziała po prostu „dziękuję” i zamilkła, Sibyl zdumiała się. Jej siostra nigdy nie wahała się udzielić reprimendy komuś, jeśli na to zasłużył.

Hrabia skupił uwagę na Ash.

- Myślę, że chyba powinniśmy jeszcze raz przemyśleć pani najbliższą przyszłość, panno...

- Wszystko jest w porządku - szybko wtrąciła Meg. - Panna Ash jest przyzwyczajona do służenia radą młodym panienkom i zapomniała, że nie jestem już dzieckiem, które inni mogą po swojemu układać.

- Sądzę...

- Ash, proszę cię - przerwała jej Meg. - Przełożmy tę rozmowę na kiedy indziej. Widzisz, że jestem poraniona. - Wskazała swoje kostki i grubą warstwę uzdrawiającego mazidła, która je pokrywała. - Poparzenia. Pan hrabia był tak życzliwy, że z powodów, które wyjaśnię później, zgodził się roztoczyć opiekę nade mną w tym miejscu. Bardzo dziękuję za to, że się o mnie troszczysz.

Ash zacisnęła pięści i uderzyła nimi z całej siły o spódnicę. Majestatycznie zmarszczyła czoło i krzywiąc się, pokazała swoje niepowtarzalne uzębienie.

- Dobrze. Dobrze. - Ku zdumieniu wszystkich kilka razy tupnęła nogą i trzaskając drzwiami, wypadła z pokoju.

- Szalona. - Hrabia pochylił się, by pogłaskać Karpia po głowie. - A ten mądry stwór to wie.

Sibyl uśmiechnęła się do Meg, która wydawała się mocno zmieszana. Nerwowo bawiła się długimi, atłasowymi troczkami zwisającymi z kołnierzyka cytrynowego peniuaru.

Z kolei spojrzenie na księżniczkę przekonało Sibyl, że młoda dama jest bardzo niezadowolona. Trudno było jednak powiedzieć z czego.

- Mieliśmy nadzieję wyruszyć dziś do Windsoru - rzekł hrabia. -Niestety, będziemy zmuszeni odłożyć wyjazd, w najlepszym razie do jutra.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęła księżniczka, podskakując na krześle, i zaczęła bezgłośnie coś szeptać, jakby słowa modlitwy.

- Dlaczego dziękujesz Bogu, Desiree? - zainteresował się hrabia. Księżniczka podniosła z podłogi Karpia i wtuliła twarz w jego pręgowane futro. Sibyl podejrzewała, że chce przede wszystkim ukryć się przed obecnymi.

- Desiree?

- Och, nie mam szczególnego powodu, Jean-Marc. Zaczynam lubić to zamieszanie, które tutaj panuje. Był tu dziś rano pan FitzDurham i powiedział, że chętnie wpadnie również jutro, jeśli to możliwe. Teraz rzeczywiście stało się to

możliwe, pod warunkiem że nie wyruszymy zbyt wcześnie.

Sibyl bardzo chciała zostać sam na sam z Meg.

- Porozmawiajmy o sukniach balowych - powiedziała z ożywieniem księżniczka. - Czy widziałaś tę moją brzoskwińową przesywaną złotą nicią, Sibyl? Początkowo nie byłam jej pewna, ale Meg przekonała mnie, że pasuje do moich włosów.

Sibyl uznała, że spryciara próbuje wyptosić brata z pokoju.

- Na pewno ma rację - powiedziała. - Waszej Wysokości jest ładnie w takim odcieniu. A czy próbowała Wasza Wysokość przymierzyć jeden z tych śmiałych wieczorowych kapeluszy?

- Meg zastanawiała się nad wieńcem ze złotych liści, a... Hrabia głośno odchrząknął.

- Złote liście dookoła głowy, a pojedyncze kosmyki włosów opadają na policzki i kark - włączyła się Meg. - I drugi, mniejszy wianek zamiast korony.

- Przepraszam panie - wtrącił hrabia. - Muszę dopilnować pewnych spraw. Niedługo wrócę.

W chwili, gdy zostały w pokoju we trzy, wszystkie wybuchnęły śmiechem.

- Musiało to ciekawie wyglądać - uznała Meg.

- To było konieczne - stwierdziła księżniczka. - Nie możemy przy nim omawiać ważnych problemów. Jestem załamana i muszę się was poradzić.

Ech, ci młodzi zawsze są zajęci sobą, pomyślała Sibyl.

- Tylko ty, Meg, i ty, Sibyl, możecie mi pomóc, bo obie dobrze znacie Adama Chillwortha.

- Chwilę temu wydawało mi się, że Wasza Wysokość tęskni za panem FitzDurhamem - zawróciła jej uwagę Meg.

- To była... No, same wiecie. Adam Chillworth jest bardzo przystojny, nie sądzicie?

Sibyl i Meg wymieniły spojrzenia.

- Tak - przyznała Meg.

- I bardzo utalentowany. Jestem przekonana, że mój portret, który namaluje, będzie arcydziełem.

Meg pochyliła głowę i poruszyła stopami, jakby ogarnęło ją zakłopotanie.

- I to jest ta młoda dama, która kilka tygodni temu nie interesowała się ani swoim wyglądem, ani dżentelmenami?

- Nie żartuj ze mnie, proszę. Jeśli nie znajdę sposobu, żeby być z panem Chillworthem, moje życie będzie skończone.

Sibyl ledwie opanowała wybuch śmiechu.

- Jeśli nawet Adam byłby dla Waszej Wysokości odpowiednim

kandydatem pod innymi względami, to przecież jest chyba za stary dla tak młodej panny - stwierdziła Meg.

- Niemowlęciem dawno przestałam być - sprzeciwiła się księżniczka. - Jestem dojrzała niż wiele kobiet w poważniejszym wieku. A on wcale nie jest tak dużo starszy.

Sibyl była bardzo zasmucona, że księżniczka zadurzyła się w nieszczęsnym Adamie, który z pewnością nie miał pojęcia o tym, jak wielką ma władzę nad jej uczuciami. Adam żył we własnym świecie, który w całości wypełniało malowanie.

- Cóż - powiedziała księżniczka, stojąc z Karpiem w ramionach. - Widzę, że nie traktujecie mojego cierpienia poważnie. Myślałam, że spróbujecie mi pomóc, ale wy nie wierzycie w głębię mojego uczucia. Naturalnie nie mam do was pretensji. Jesteście zaskoczone moim wyborem, co oznacza, że mnie nie znacie. Nie pozwolę skrzepować się konwenansom. Pójdę teraz do moich pokojów pomedytować. Millie znalazła mi uroczą zieloną mantylkę. Tak, to właśnie zrobię.

Siostry w milczeniu odczekały, aż zostaną same.

- Pomedytować? - zdziwiła się Sibyl. - Och, tylko nie następna!

- Nie skomentuję tego - odrzekła Meg. - Mam ci mnóstwo do powiedzenia, a musimy porozmawiać, zanim przeszkodzi nam Jean- Marc.

Sibyl zajęła krzesło zwolnione przez księżniczkę.

- W jaki sposób się poparzyłaś?

- Pochodnią. To długa i przykra historia, ale już się czuję lepiej.
- Bo hrabia zaniósł cię do swojego łóżka? Meg oblała się pąsem.

Sibyl była wściekła, że łzy cisną jej się do oczu, ale nie umiała ich powstrzymać.

- Wiedziałam, że do tego dojdzie. Widziałam, że go kochasz. Od wielu tygodni ilekroć na ciebie patrzyłam, właśnie to widziałam. A on bardzo cię pragnie. Mogę być niedoświadczona, ale nie jestem głupia. Przyglądając się mężczyźnie, wiem, kiedy pożąda kobiety.
- Przestań! Sibyl, natychmiast przestań. Nie mogę znieść takich słów w twoich ustach.
- Wstydzisz się, bo to prawda. On będzie cię pragnął przez pewien czas, może nawet całkiem długi, ale w końcu zmęczy go bycie z kimś niewinnym z natury, mającym czyste serce i czystą duszę. Bo zawsze taka pozostaniesz, bez względu na to, jak pan hrabia będzie postępował. A jego uwagę zwróci inna, bardziej rzucająca się w oczy kobieta, bardziej błyskotliwa i światowa, brylująca w towarzystwie, no i wysokiego rodu.

Meg nie miała siły się bronić.

- Bez wątplenia masz rację. I naturalnie słusznie odgadłaś, że kocham Jean-Marca. Och, Sibyl, nie jestem jeszcze gotowa, by wszystko ci powiedzieć. Nawet nie wiem, czy kiedykolwiek będę. Proszę cię jednak, byś stała przy mnie tak jak zawsze i próbowała mnie zrozumieć.

Sibyl wyjęła chusteczkę z torebki i wydmuchała nos.

- Jesteś moją siostrą i najlepszą przyjaciółką. Nie mogłabym się zmienić, nawet gdybym chciała. I nie zmienię się. Ale bardzo się o ciebie boję.

Niewątpliwie są do tego powody, pomyślała Meg.

- Nie zamierzałam się w nim zakochać. Ale odkąd go zobaczyłam... z początku pewnie się po prostu zadurzyłam. Rozmawialiśmy kiedyś o cechach atrakcyjnego mężczyzny, a właściwie jakie cechy są atrakcyjne dla ciebie, moja droga Sibyl. Okazał się, wypisz wymaluj, człowiekiem z twojego opisu. Nie mogłam przestać o nim myśleć.
- Jest mężczyzną, obok którego żadna kobieta nie może przejść obojętnie - przyznała niechętnie Sibyl. - Widziałam, jak damy zachwycają się nim podczas

wieczorku muzycznego Desiree. Co zamierzasz zrobić?

Nawet gdyby już podjęła decyzję, nie była jeszcze przygotowana na jej ogłoszenie. Nie wiedziała też, czy potrafiłaby sobie odmówić pozostania z Jean-Markiem bez względu na okoliczności.

- No tak - powiedziała Sibyl, gdy nie otrzymała odpowiedzi. - Mam tylko nadzieję, że gdy postanowisz, co zamierzasz, to najpierw porozmawiasz o swoim wyborze ze mną.

- Już wiem, czego chcę. Chcę być z nim.

Odpowiedź Meg była głośna i dobrze ją było słychać w gabinecie, do którego Jean-Marc chwilę wcześniej wrócił z listem właśnie dostarczonym przez kuriera. Przystanął na progu, a potem cicho usiadł na rdzawym szeszlunku i zamienił się w słuch.

Tym romansiem doprowadził się naprawdę do niezwyklej desperacji. Był gotów nawet podsłuchiwać w nadziei usłyszenia tego, co chciał jak najszybciej usłyszeć. Ale teraz powiedziała już dość. Chciała być z nim. To wystarczało, choć mogłaby dodać, że go kocha.

Pewnie jednak pragnął zbyt wiele.

Sibyl i Meg zniżyły głosy, a on zaczął się zastanawiać, czy nie usłyszały, że wrócił do gabinetu.

Przełamał grubą pieczęć na liście, pieczęć ojca, i wyjął arkusik grubego, kremowego papieru. Natychmiast poznał ten energiczny charakter pisma.

Jean Marc!

Ufam, że czujesz się dobrze i że Desiree nie doprowadziła cię jeszcze do stanu niepoczytalności. Moja córka bywa niekiedy trudna w obcowaniu.

Dziękuję za listy i powiadamianie mnie na bieżąco o czynionych przez siebie postępkach. Z zainteresowaniem i satysfakcją przyjmuję uwagi dotyczące intelektu i osiągnięć Desiree. Zawsze miałem ją za rozumną osobę, ale nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo już dorosła.

Z żalem muszę zawiadomić cię, że mój brat Ludwik jeszcze bardziej wypadł z moich łask. To głupiec z wielkimi i szkodliwymi ambicjami... szkodliwymi dla niego samego. Mam dowód na to, że po mojej śmierci zamierzał przejąć tron, postępując

się dość niebezpiecznymi i bezprawnymi środkami, których zastosowanie mogłoby oznaczać krzywdę moich dzieci. Po rozmowach z ministrami byłem zmuszony wyrazić zgodę na wydalenie mojego krewnego z Mont Nuages. Ufam, że nie będziesz rozpowszechniał tej informacji, póki nie zdecyduję, że minęło już dostatecznie dużo czasu i można bezpiecznie ją ogłosić.

Jean-Marc przeczytał tę część listu kilkakrotnie i za każdym razem dochodził do tej samej konkluzji. Słowo „wydalenie” musiało oznaczać w języku księcia „zabicie”. Czytał dalej.

Teraz o radośniejszych sprawach. Choć nosze w sercu głęboki żal z powodu brata i jego niefortunnej decyzji, to podjąłem decyzję najwyższej wagi i liczę, że powitasz ją z taką samą radością, z jaką ją o niej myślę.

Postaraj się nie być rozczarowany, doszedłem jednak do wniosku, że moja córka, księżniczka Desiree, będzie naturalnym i najlepszym kontynuatorem rodzinnej linii na tronie Mont Nuages. Tymczasem jednak nie należy jej tego mówić. Jest jeszcze za młoda, a ja czuję duży przyptyw energii. Mam nadzieję, że przez kilka następnych lat księżniczka zdąży się przygotować do funkcji, którą ma objąć.

Czy wspomniałem ci, że Ludwik prawdopodobnie popełnił samobójstwo? No cóż, taką oficjalną wersję przyjmujemy.

Moja decyzja co do przyszłości Desiree nie zmienia wcześniej wyrażonego życzenia, by księżniczka jak najszybciej znalazła odpowiedniego kandydata na męża. Mont Nuages potrzebuje takich koligacji. Naturalnie zgodnie z tym, o czym rozmawialiśmy przed twoim wyjazdem, ten człowiek musi być Anglikiem. Pożądany jest książę, ale zadowolili mnie również niższy tytuł, pod warunkiem że kandydat ma nieskazitelne pochodzenie, a jego pozycja gwarantuje korzyści dla Mont Nuages.

Postanowiłem osobiście odbyć podróż do Anglii. Przybędę za kilka tygodni. Będzie to odpowiedni czas, by udzielić błogosławieństwa narzeczonemu Desiree i upewnić się, że rozumie, jakie są zadania przyszłego księcia małżonka.

Następował oficjalny podpis.

- Żadnego prywatnego słowa na pożegnanie? - mruknął pod nosem Jean-Marc i cynicznie się uśmiechnął. Jego ojciec nigdy nie okazał żadnej oznaki uczuć swojemu jednemu synowi.

Prawie natychmiast miejsce urazy zajęło poczucie triumfu. Wiele razy bez

powodzenia próbował zwrócić uwagę ojca na możliwości Desiree. Księżę Georges wreszcie przekonał się do tego pomysłu i od tego dnia traktował go jak własne osiągnięcie polityczne. Jean-Marcowi to jednak nie przeszkadzało. Zależało mu tylko na tym, by Desiree rzeczywiście zajęła przeznaczoną dla niej pozycję.

Z sypialni przez cały czas dochodziły do niego głosy siostr Smiles, to cichsze, to głośniejsze. Złożył list, podszedł do biurka i otworzył szufladę. W jej głębi znajdowała się przegroda ustępująca pod odpowiednio zastosowanym naciskiem. Schował list w skrytce i starannie ją zamaskował.

Potem wrócił na szeslong i położył się, opierając głowę na wałku. Zmęczenie okazało się silniejsze nawet od nękającego go niepokoju. Nie mógł zostawić Meg samej ani w tym domu, ani gdziekolwiek indziej... zawsze musiał być przy niej ktoś, komu można ufać. Tymczasem zaś należało się dowiedzieć, jak przebiegają poszukiwania Di.

Raptownie usiadł. Ojciec swoim listem uwolnił go od odpowiedzialności za przyszłość Mont Nuages, lecz nie tylko to. Teraz nie było już tylu przeszkód co przedtem na drodze do jego małżeństwa z Meg. W odpowiedniej chwili będzie jej można powiedzieć, że różnica pozycji społecznej przestała mieć decydujące znaczenie.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

- Chce, żebym została jego kochanką. - Meg zacisnęła wargi i patrzyła, jak krew odpływa z twarzy siostry.
- Jak mogłabyś być taka głupia? - powiedziała w końcu Sibyl. - Jak mogłabyś nawet rozważyć odrzucenie wszystkiego, w co zawsze wierzyłyśmy, tylko po to, by poznać smak fascynacji ciałem, która minie, gdy hrabia się znudzi i poszuka sobie innej kobiety.
- Hrabia chce chyba, żebyśmy zamieszkali w Windsorze. Ty zostałabyś z nami, droga Sibyl, no i nie musiałybyśmy więcej troszczyć się o utrzymanie.

Sibyl miała tego dnia na sobie zieloną narzutkę z kołeczkami obciążniętymi atłasem i dopasowany kolorystycznie czepek, ozdobiony dwoma pawimi piórami. Komponowało się to pięknie z jej jasnymi włosami. Nerwowo chodziła po sypialni, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

- Przemyśl to, Sibyl. Nigdy więcej nie zabraknie nam pieniędzy na utrzymanie.
- I sprzedałabyś za to swoje ciało?! - Meg nigdy nie słyszała, żeby siostra tak podniosła głos. - Wyrzuciłabyś z pamięci wszystko, czego nauczył nas papa, wszystko, czym zawsze się kierowałyśmy? Zamiast żyć uczciwie, pogoniłabyś za oszukańczym blaskiem związku z takim człowiekiem? Wstydz się, Meg.

Wstrząśnięta wybuchem Sibyl, Meg powiedziała:

- On chce mnie poślubić, ale ja nie uważam, żeby to był dobry pomysł.

Ciepłe, słoneczne światło, wpadające przez okna, zalewało cały pokój.

- On nawet nie jest godzien pogardy, bezduszny manipulator. Jak

możesz wierzyć w to, że hrabia poślubiłby sierotę po duchownym bez żadnych środków do życia? Ci ludzie zawierają małżeństwa wyłącznie dla pieniędzy. Co on mógłby dzięki tobie zyskać?

- Nie chcę z tobą dłużej o tym rozmawiać - powiedziała Meg. Potrzebowała samotności, zaczęła więc szukać spokoju, który umiała przywołać.

- Są jeszcze inne tematy do rozmowy. O co chodziło panu hrabiemu, gdy wspomniał o wielebnym Baggsie? Ten biedak jest często irytujący, ale na pewno nie jest potworem i przestępcą.
 - Obawiam się, że może być. - Meg poruszyła się niespokojnie i opuściła nogi poza krawędź łóżka. - Widziano go, a w każdym razie opis dokładnie pasuje. Jeśli rzeczywiście porwał lady Upworth, to musi się tu dziać coś przedziwnego. Pan Verbeux powinien leżeć w łóżku, bo wczoraj wieczorem napadnięto go i boleśnie pobito, ale o ile mi wiadomo, dołączył do ludzi szukających lady Upworth. Najwidoczniej są w przyjaźni. Nie wiedziałam o tym i nie tylko o tym.
 - Pan Verbeux napadnięty? - Sibyl przerwała przechadzkę i stanęła przed nią. - Zaraz pewnie powiesz mi, że to również jest sprawka wielebnego Baggsa.
 - Straciłam spokój ducha. Najbardziej martwię się o ciebie, chociaż pozostałe sprawy też są niepokojące w najwyższym stopniu. Czy nie zamierzasz opowiedzieć mi o wczorajszych odwiedzinach Williama?
 - Skąd o nich wiesz? Kto ci powiedział?
 - Lady Upworth. Wczoraj wieczorem. Prawdopodobnie niedługo przed tym, jak ponownie opuściła ten dom i wpadła w ręce porywaczy.
- Sibyl rozpostarła spódnicę i usiadła sztywno wyprostowana, chociaż nigdy tak nie siadała. Nie patrzyła na Meg.
- Właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać. Zmieniłam zdanie. Nie widziałam dotąd prawdziwego Williama. A on jest dżentelmenem i do tego wyjątkowo szczodrobliwym. I kocha mnie. No, to już wiesz.
- Meg zaczerpnęła tchu i zsunęła się na podłogę. Natychmiast podeszła do Sibyl.
- On się nie zmienił. Mówisz o mnie, że ulegam... Ale to ty się łudzisz. Nasz kuzyn nie jest dobrym człowiekiem. Nie powinnaś mieć z nim nic wspólnego.
 - Nie wolno ci więcej mówić o nim w ten sposób. Musimy się pobrać, i to jak najszybciej.
 - Och, Sibyl. - Jej siostra nigdy nie umiała ukrywać swoich zamiarów. - Myślisz, że to jest sposób na ocalenie mnie przed tym, co uważasz za bardzo niewłaściwe? Zgodziłabyś się dla mnie na taką ofiarę? Nie, na to nie pozwolę. Z pewnością to wiesz.

Rozległ się trzask drzwi gdzieś na zewnątrz i po chwili na progu sypialni stanął Jean-Marc.

- Czy mogę wejść, moje panie? - spytał.
- Proszę - odrzekła natychmiast Sybil.
- Chcesz jego obecności, bo liczysz na to, że uda ci się szybko wszystko załatwić i postawić na swoim? - spytała cicho Meg. - Nic mu nie mów, proszę.

Jean-Marc uśmiechnął się i zatarł ręce.

- Jesteście z sobą tak blisko. Chciałbym, żeby Desiree miała siostrę.

Meg nie mogła oderwać od niego oczu. Tak go pragnęła, że zapierało jej dech.

- Wychodzę za mąż - oznajmiła Sybil. - Za Williama Godly-Smythe'a. Ślub odbędzie się wkrótce, jak tylko uda się załatwić formalności.
- O! Za Williama Godly-Smythe'a?
- Nie. - Meg czuła się nieswojo w nocnym stroju, który nawet nie należał do niej.
- Nie zrobisz tego, rozumiesz? Przecież go nie lubisz. Nienawidzisz wręcz.

W oczach Sibyl pojawiły się łzy.

- Myślałam, że obie szanujemy cudzy głos serca. Zawsze tak mi mówiłaś.

Jean-Marc wziął krzesło i postawił je niedaleko Sibyl.

- Usiądź, Meg. Nie możesz forsować nóg. Owszem, wiem, że nie jesteś kaleką. - Przysiadł na krawędzi łóżka. - W odpowiedzi na mój list Latimer More spod numeru siódmego zawiadomił mnie, że wielebny Baggs nie spał w swoim pokoju ostatniej nocy. Pan More wrócił do domu o zdecydowanie późnej porze i widział, jak wielebny dokądś wychodzi. Jest pewnie, że później już go pod siódmym nie było.

- Czy miał na głowie kapelusz? - spytała Meg.
- Tak. Gdy pan More wszedł do domu, w sieni stał pan Godly-Smythe i wydawał się zakłopotany jego widokiem, a może tym, że sam został zobaczony.
- To są wnioski Latimera - wtrąciła Sybil. - On nie może być tego pewien.

Jean-Marc spojrzał na Sibyl z dużym zainteresowaniem. Znów stwierdził, że ma

przed sobą zupełnie inną osobę niż znana mu dotychczas. Z jej twarzy biło zdecydowanie, oczy jej lśniły... doprawdy całkiem kto inny.

- Doszło już do wielu niebezpiecznych wydarzeń - powiedziała Sibyl. - Ostatnio napadnięto Meg i pana Verbeux, no i porwano biedną lady Upworth. Czy sądzisz, milordzie, że wielebny Baggs może stać za wszystkimi tymi czynami?

- Skądże znowu - zaprotestowała Meg, a hrabia uznał, że nie będzie jej przerywał. - Ale Baggsy był w pobliżu Burlington Arcade, pamiętasz? I na Bond Street.

- Powiedział, że pilnował nas, bo William się o nas niepokoił. - Sibyl uderzyła dłońmi w poręcz krzesła. - Czy widzieliście, żeby porwał lady Upworth? Czy widzieliście to na własne oczy?

- Widziała go spostrzegawcza dziewczynka - odparł Jean-Marc. - Jego albo kogoś, czyj opis wydaje nam się zbyt do niego pasować, abysmy mogli pomyśleć o kim innym. Naturalnie nie dziwię się pani chęci poznania większej liczby dowodów. Prawdę mówiąc, sam miałem podobne wątpliwości i posłałem Pierre'a do piekarni na Mount Street, własności rodziców Betty, żeby spytał, czy dziecko może jeszcze do nas wrócić.

- Dlaczego nam o tym nie powiedziałeś, Jean-Marc?

Słyszając imię hrabiego w ustach Meg, Sibyl z całej siły zacisnęła dłonie na poręczach krzesła.

Hrabia jednak wydawał się z tego całkiem zadowolony.

- Powiedziałem ci wszystko, co musiałaś wiedzieć. - Meg mogła protestować, ale i tak nieuchronnie się do siebie zbliżali.

- To mnie nie zadowala - odparła, jakby nie zdawała sobie sprawy ze swojego lapsusu. - Sformułuję to pytanie inaczej. Czy sądzisz, że działa tutaj jedna siła, czy raczej dwie? I kto ma być ofiarą... lub kto

ma zostać do czegoś skłoniony? Nie sądzę, żeby chodziło o mnie. Bo niby dlaczego?

- Nie widzę powodu. - Znał jednak informację, która była dla niej niebezpieczna. Naturalnie tego nie mógł jej powiedzieć. Wstał. - Bardzo proszę, abyście zostawiły te sprawy w rękach kompetentnych osób. Zatrudniłem człowieka, który obserwuje

wasz dom. Tymczasem możecie się czuć tutaj jak u siebie.

- Ja nie jestem tobą zauroczona, milordzie.

Zdumiony Jean-Marc spojrzał na Sibyl Smiles, która również wstała i wyprostowała ramiona. Jej twarz nabrała kolorów.

- W odróżnieniu od mojej siostry nie mam nic do stracenia, jeśli pana obrażę. Nic oprócz posady, którą i tak chcę wymówić.

- Sibyl! - Meg wyciągnęła rękę do siostry. - Bez względu na wszystko pan hrabia jest dla nas bardzo życzliwy. Proszę, pomyśl o tym, zanim odezwiesz się znowu.

- Zanim powiem, że nim gardzę z powodu tego, co zrobił z tobą i...

- Sibyl! Ani słowa więcej!

- I co? - spytał Jean-Marc. Wiedział, że nie ma prawa wpadać w gniew, ale bardzo chciał pokazać tej pannie jej miejsce. - Podśledzałem dużą część waszej wcześniejszej rozmowy. Pani jest o mnie bardzo złego zdania. Ale przecież nie znasz ani mnie, ani moich uczuć do Meg.

Sibyl uniosła rękę i przez chwilę Jean-Marc sądził, że zostanie spoliczkowany, ale nic takiego się nie stało, po prostu się od niego odsunęła.

- Chcesz mieć kochankę, milordzie. Obiecał pan jej małżeństwo, ale bez dostatecznego przekonania, by ci uwierzyła. Ona pana pokochała, a pan używa jej miłości przeciwko niej.

- Sytuacje się zmieniają - odparł zbyt wściekły, by dalej nad sobą panować. - Co pani wie o miłości? Nic. Ożenisz się z kimś pokroju Williama Godly-Smythe'a, bo uważasz to za bezpieczny wybór. Beznamiętny wybór. Tymczasem moje oczekiwania dzisiaj są już inne. Moje małżeństwo z Meg nie będzie miało wydzwiku publicznego, czego się wcześniej obawiałem. Dlatego weźmiemy ślub. Wszystko jedno, czy z twoim błogosławieństwem, pani, czy bez niego!

Meg nigdy nie widziała takiej Sibyl, ale nawet taki wizerunek siostry zbladł w zestawieniu z tym, co przed chwilą oświadczył Jean-Marc. Jak to możliwe, że nagle może ją poślubić bez żadnych problemów? Bo przecież to właśnie przed chwilą powiedział. Ona już nie zagraża niczemu, co jest ważne, więc mogą się pobrać.

- Czy nie masz nic do powiedzenia? - zwróciła się do niej Sibyl.

- Nie. - Meg pokręciła głową. Miała wiele do powiedzenia, ale nie przy świadkach.
- To jest absolutny obłąd, tragedia. Muszę opuścić to miejsce. Natychmiast idę do Williama. Powiem mu, że życzę sobie, by wielbny Baggs niezwłocznie dał nam ślub. Dostaniesz zaproszenie na uroczystość.

Jean-Marc zagroził jej drogę.

- Nie mogę pani na to pozwolić. Dla dobra Meg proszę, byś pozostała pani tutaj przynajmniej do czasu, nim uzyskamy więcej informacji o wielbnym Baggsie... i kuzynie Williamie.

Sibyl powtarzała sobie w duchu, że nie pozwoli im zgadnąć, jak bardzo jest przerażona. Nie mogą się tego domyślić. To ona musiała ocalić Ramblers, Meg i samą siebie, zanim William z desperacji podejmie jeszcze bardziej drastyczne kroki. Opanowała się z najwyższym trudem. To było wyłącznie jej brzemie. Williamowi nie wolno się było domyślić, czego się dowiedziała, ani tego, że żadnego ślubu nie będzie. Naturalnie jej plan był szalony i oparty na oszustwie, ale innego sposobu nie widziała. Meg tymczasem nie mogła poznać prawdy, bo inaczej z lęku o nią próbowałaby jej przeszkodzić.

- Panno Smiles - odezwał się Jean-Marc - czy zechce pani zgodzić się na współpracę w tej sprawie?
- William czeka na mnie pod siódmym i wkrótce zacznie mnie szukać. Powiedziałam mu, że idę tylko zawiadomić Meg o ślubie i postaram się ją przekonać, żeby wróciła ze mną.
- Meg z panią nie wróci - rzekł stanowczo Jean-Marc. Nie mógł pozwolić, żeby kochana przez niego kobieta odrzuciła jego opiekę. Najpierw musiało zniknąć grożące jej niebezpieczeństwo. - Jak pani widzi, ona nie jest w odpowiednim stanie, by dokądkolwiek iść.
- Meg, czy pójdziesz ze mną?
- Nie mogę powstrzymać cię przed odejściem, ale towarzyszyć ci nie będę. Boję się o ciebie.
- Niepotrzebnie. - Gdyby jeszcze sama mogła w to uwierzyć. -Wrócę, gdy tylko będę mogła, i powiadomię cię o naszych planach. -Czuła się tak, jakby stała nad brzegiem morza z nogą zaklinowaną między skałami, a przytyw zbliżał się z każdą

chwilą. Ale musiała pokonać lęk.

Jean-Marc przyjrzał jej się skupionym wzrokiem. Było coś... Nie, jak to możliwe, żeby lepiej rozumiał Sibyl Smiles niż jej siostra? A jednak ta nagła zmiana kursu o sto osiemdziesiąt stopni... Ze słów Meg nieraz wynikało, że obie siostry mają bardzo niskie mniemanie o kuzynie. Skąd u Sibyl taka radykalna odmiana? Z pewnością nie porwała jej nagła fala miłości. Narzucało się przypuszczenie, że Sibyl chce wyrwać Meg spod jego wpływów. Nie. W to nie mógł uwierzyć. Zatem działał inny czynnik. Może i Sibyl miała jakiś plan, który warto było poznać.

- Proszę mi wybaczyć, panno Smiles - odezwał się, unikając wzroku Meg. - Byłem niegrzeczny i nawet nie złożyłem pani życzeń. Nie wiem nic o panu Williamie, ale skoro go pani wybrała, to musi być zacnym człowiekiem, życzę wam więc wiele radości.

Meg zamknęła oczy ze zbolą miną. Widział, że głęboko oddycha.

- A więc znów się chowasz, Meg - powiedział w zadumie. - Twoje najtajniejsze myśli można ci wyczytać z oczu, a ty nie chcesz, żebym wiedział, co naprawdę sądzisz. Może jednak twoja umiejętność jest bardziej słabością niż cnotą. - Był niepotrzebnie aż tak surowy, ale chyba niewiele mijał się z prawdą.

Sibyl uśmiechnęła się.

- Ona jest nadzwyczajna. Jeśli tego nie wiesz, milordzie, to wiesz o niej bardzo mało.

- Och, wiem. Przecież nie mogę znieść myśli o życiu bez niej. Sibyl zmarszczyła czoło. Przyjrzała się jego twarzy, jakby szukała tam potwierdzenia jego szczerości.

- Gdybym tylko mogła żywić nadzieję, że jest pan mężczyzną, który nie złamie jej serca.

Chętnie poznałby rodziców panien Smiles. Dwie tak niezwykle panny rzadko można poznać. Na pewno były córkami ludzi mocnego charakteru.

- Nie odpowiadasz mi, milordzie.

Jean-Marc skłonił głowę i poczekał, aż Meg poczuje na sobie jego spojrzenie. Tym razem nie udało jej się dostatecznie szybko zamaskować. Oczy miała lśniące i przejrzyste, widać w nich było cały ogrom wypełniających ją uczuć.

- Nie złamię ci serca - zwrócił się do niej. - Pomożesz mi być tym, czym

powiniennem być dla ciebie. Ale na pewno nigdy cię nie skrzywdzę.

- Nie skrzywdzisz mnie świadomie - powiedziała cicho. - Czy mógłbyś mi pomóc w odwiedzeniu Sibyl od tego, co postanowiła?

Sibyl ledwie mogła znieść ciężar poczucia winy z powodu wprowadzenia Meg w błąd, ale wiedziała, że teraz nie wolno jej okazać słabości.

- Nawet gdyby milord mógł spełnić twoją prośbę, wiedziałby, że postępuje niewłaściwie. Nic jeszcze nie jest ustalone. Jak powiedziałam, wrócę do ciebie natychmiast, gdy tylko będę miała więcej do zakomunikowania.

- Milordzie!

Jean-Marc poznał głos Pierre'a wołającego go z gabinetu, więc podszedł do drzwi i szeroko je otworzył.

- Słucham. Masz dziewczynkę?

Pierre, odziany w obszerny płaszcz, trzymał w rękach cylinder.

- Nie bardzo wiem, jak to powiedzieć, milordzie.

- Podejdź bliżej, żeby wszystko słyszeć - szepnęła Meg do siostry. - Ja stanę obok ciebie.

Sibyl wykonała polecenie i w rezultacie znalazła się tuż obok hrabiego.

Pierre zerknął na nią przelotnie, ale bez zainteresowania.

- Poszedłem na Mount Street, jak mi kazałeś, milordzie. Poszukać dziewczynki, Betty.- Naturalnie, nie powtarzaj tego, co już wiemy.

Pierre przygryzł wargę i zwiesił głowę. Uniósł ramiona, by natychmiast z westchnieniem je opuścić.

- Co to może znaczyć? Ona znała imię milady, wiedziała, że milady ma związek z panem i z tym domem. Opisała kaznodzieję. Nic z tego nie rozumiem, ale czuję, że jesteśmy w coraz większym niebezpieczeństwie.

Jean-Marc resztkami woli powstrzymał się od wydania dzikiego ryku i zwymyślenia służącego za zbaczanie z tematu.

- Pewnie masz rację. Powiedz mi jednak, czego się dowiedziałeś.

- Przeszedłem Mount Street od początku do końca. Są tam piekarnie, ale żadna nie nazywa się „U Lumleya”. I nikt tam nie słyszał o córce piekarza imieniem Betty.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

- Bez względu na to, kto porwał lady Upworth, nie ma jej i już - powiedział Verbeux do Jean-Marca. - Owszem, to dziecko, które znikło, stanowi zagadkę, ale Baggs ulotnił się spod numeru siódmego. To ustaliliśmy. Na pewno też nie spędził tam ostatniej nocy. Moim zdaniem on ma z tym związek. Nie potrafię jednak wskazać przyczyny.

Szli ramię w ramię korytarzem ku apartamentom księżniczki. Rozeszła się już pogłoska o powrocie Verbeux i fiasku poszukiwań, więc Jean-Marc poszedł porozmawiać ze swoim osobistym służącym. Meg skorzystała z tej okazji i powiedziała służącemu, którego zostawiono na straży, że wraz z Sibyl dostały pozwolenie przeniesienia się do jej pokojów.

- Trudna do opanowania, milordzie? - zdziwił się Verbeux. Mowa była naturalnie o Meg. - Jeśli teraz tak jest, to czy wyobraża pan sobie, że w przyszłości sytuacja zmieni się na lepsze?

- To nie twoja sprawa. - Nie zamierzał zdradzać nikomu treści listu od ojca. - Meg!

Pojawiła się w korytarzu prawie natychmiast.

- Nie ma potrzeby krzyczeć, milordzie. To panu nie przystoi.

- Z łaski swojej powstrzymaj się panna od udzielania mi pouczeń. Dlaczego nie usłuchałaś mojego polecenia? - Przynajmniej częściową odpowiedź na to pytanie stanowił jej wygląd. Meg była ubrana w granatową suknię i pantofelki do kompletu, miała też ułożone włosy, niewymyślnie, lecz elegancko. Zaintrygowało go, dlaczego nie zawsze są one tak samo rude. - Co ma panna na swoje wytłumaczenie? - spytał, gdy do niej podszedł.

- Nie muszę się tłumaczyć, milordzie. - Dygnięcie w tym momencie wyglądało jak kpina. - Księżniczka może w każdej chwili mieć gościa, a ja muszę być przy tym obecna. Musiałam odziać się stosownie. - Koniec z gośćmi! - zagrzmiał i rozejrzał się, żeby sprawdzić, kto ze służby jest w zasięgu jego głosu. Przy końcu korytarza pojawił się lokaj i wszedł do sieni apartamentów. - Dobrze, możesz być ty - po-

wiedział do niego Jean-Marc. - Idź powiedzić Renchowi, żeby nikogo nie wpuszczał do domu bez mojego wyraźnego pozwolenia.

Lokaj skłonił się w pas i znikł.

- Sprawa załatwiona. Gdzie jest twoja siostra? Zmieszanie Meg wyraźnie wzrosło.

- Poszła do domu. Nie udało mi się jej namówić, żeby została.

- Dlaczego jesteś taki niemły, bracie? - Desiree wysunęła głowę z saloniku Meg. Wokół szyi miała owiniętego Karpia, który skutecznie uniemożliwił jej eleganckie uniesienie głowy. - Nie będziemy przyjmować gości? Meg mówi, że mogę jej towarzyszyć, jeśli przyjdzie sir Robert. Wydaje mi się to zabawne.

- Aha, i to ma być ten gość księżniczki? - Zmarszczył brwi, ale Meg wytrzymała jego spojrzenie bez mrugnięcia okiem. - Nie będzie nic zabawnego, bo w ogóle niczego nie będzie. Żadna z was nie przyjmuje. Meg, masz odpoczywać, czy to jasne? I proszę wrócić do swoich pokoi. Jestem bardzo zajęty. Porozmawiamy później.

Szybko wyszedł na galerię. Verbeux, który dotrzymał mu kroku, zapewniał, że może już oddać się swoim obowiązkom, Jean-Marc podejrzewał jednak, że kieruje nim jedynie silne pragnienie odnalezienia Ili.

- Co pan zamierza? - spytał Verbeux.

- Czy przyznajesz, że ucieczka z Meg Smiles byłaby dla mnie fatalnym rozwiązaniem?

- Przeciwnie. Gdyby pan tak zrobił, sądzę, że nie doszłoby do tych wszystkich wydarzeń późnym wieczorem. Moim zdaniem chodziło właśnie o to, by pana skłonić do ucieczki.

Jean-Marc przystanął.

- Może. Tak, to nawet bardzo możliwe. Teraz odbędziemy naradę. Muszę być gotów do szybkiego i dyskretnego wyjazdu. Nie pojmuję, dlaczego ten Baggs miałby porwać Iłę, ale ponieważ nie mamy innych śladów, zamierzam go odnaleźć i wy badać. W tym celu będę obserwować dom pod numerem siódmym. Jeśli panna Sibyl Smiles zechce, aby Baggs dał im ślub, to Godly-Smythe po niego pójdzie. A wtedy ja ruszę za nim. Koniecznie muszę zdobyć o nich więcej

informacji.

- Pójdę z panem.
- Ty zostaniesz tutaj i dopilnujesz, żeby w domu było bezpiecznie. Czy jesteś uzbrojony?
- Naturalnie - odrzekł Verbeux. - Nie rozstaję się z bronią. To tylko wczorajszego wieczoru pistolet nie pasował mi do kostiumu, no, i dostałem za swoje. W domu na straży może zostać kto inny. Stanowczo chciałbym iść z panem.

Jean-Marc chwycił go za ramię.

- Tracimy czas. Im mniej zamieszania, tym lepiej. A to oznacza, że jeden człowiek przyciąga mniej uwagi niż dwóch. Rób, co ci mówię.

Nie czekając na odpowiedź, zbiegł do sieni i wziął od Rencha pelerynę.

- Ufam, że rozumiesz moje polecenie - zwrócił się do majordomusa. - Nikomu, ale to nikomu nie wolno wejść do domu bez mojego pozwolenia. Wychodzę, a to oznacza całkowity zakaz wpuszczania kogokolwiek do domu. Zrozumiano?
- Doskonale, milordzie - odrzekł Rench z wyrazem skupienia na twarzy. - Dopóki nie dostanę innego polecenia, nikt tutaj nie wejdzie.
- Znakomicie. - Jean-Marc zarzucił na siebie pelerynę, nie wyszedł jednak frontowymi drzwiami. Znikł w głębi domu i przez ogród skierował się do tylnego wyjścia, budząc żywe zainteresowanie stajennych. Skinął im ręką na znak, że nic się nie stało.

Ścieżka między numerem siedemnastym a osiemnastym, szeroka na tyle, że mogła nią przejść jedna osoba, stanowiła dla Jean-Marca wymarzony punkt obserwacyjny. Miał stąd znakomity widok na cały plac, w tym na dom pod numerem siódmym.

Nudząc się na czatach, raz po raz niecierpliwie zerkał na zegarek.

Hunter Lloyd opuścił dom i wdał się w pogawędkę z mężczyzną, który wyszedł z domu numer osiem należącego do wypróbowanego przyjaciela Jean-Marca imieniem Ross, wicehrabiego Kilrood, oraz jego żony. Dziwna wydawała się Jean-Marcowi myśl, że Latimer More jest bratem wicehrabiny. Kilroodowie przebywali w Szkocji, dlatego mężczyzna obok Huntera musiał być kamerdynerem, chociaż obaj rozmawiali jak równy z równym.

Zaczął padać deszcz, nieduży, lecz bardzo uciążliwy.

Znów otworzyły się frontowe drzwi pod numerem siódmym. Tym razem szczęście się do niego uśmiechnęło i wyszedł z nich William Godly-Smythe. Stał na podeście, uważnie się rozejrzał i naciągnąwszy rękawiczki, zszedł po schodkach. Na chodniku znowu potoczył wzrokiem dookoła, a stwierdziwszy, że pod siedemnastym nic się nie dzieje, szybko się oddalił.

Jean-Marc poczekał, aż William opuści plac, po czym wyszedł z kryjóWKI.

Jednak prawie natychmiast musiał znowu szukać schronienia.

Pojawiła się bowiem Sibyl Smiles. Podciągnąwszy spódnice, zbiegła na chodnik i wkrótce dotarła do wylotu ulicy, w którą skręcił Godly-Smythe. Zerknęła w lewo i w prawo, zawahała się, lecz ruszyła w tym samym kierunku co jej kuzyn, którego rzekomo zamierzała poślubić.

Do diabła ze wszystkim ciekawskimi kobietami! Sibyl stanowiła problem. Jean-Marc wiedział, że jeśli nie chce stracić ich z oczu, nie może dłużej zwlekać. Udając spacerowicza, pewnym krokiem wyszedł na plac.

Deszcz się nasilił. Zanim Jean-Marc skręcił w ulicę i dostrzegł śledzoną parę, krople ściekały mu z runda kapelusza. Modlił się, żeby pannie Smiles nie przyszło do głowy zawrócić. Mogłaby go zauważyć i, co gorsza, zatrzymać. Na szczęście i ona wydawała się zdecydowana sprawdzić, dokąd podąży Godly-Smythe. I również ona nie chciała zostać zauważona. Jej obecność w tym miejscu Jean-Marc potraktował jako dowód na to, że Godly-Smythe idzie po Baggsa.

. Meg zeszła po schodkach do ogrodu, wynosząc Karpia. Znała furtkę w pobliżu rozarium, używaną przez służby wywożące nieczystości, które swoje uciążliwe obowiązki wykonywały wczesnymi rankami.

Marszcząc nos z powodu przykrego zapachu i starając się zapomnieć o oparzelinach, wyszła na chodnik i skręciła tam, gdzie zobaczyła Williama, a potem Sibyl. Jej droga siostra, nieprzywykła do potajemnych misji, obserwowała kuzyna bardzo nieudolnie. Meg modliła się, by William jej nie zauważył. Miała nadzieję, że przy odrobinie szczęścia ją dogoni i dalej będą mogły iść razem. Domyślała się, co zaplanowała Sibyl. Jeśli zażyczyła sobie, by Baggs dał jej ślub, to Godly-Smythe zapewne poszedł po wielebneGO. Nie miała pojęcia, dlaczego kuzyn chce się ożenić z Sibyl, widziała jednak jego determinację. Zupełnie jakby się obawiał, że oblubienica zmieni zdanie. Sibyl musiała mieć jednak jakieś wątpliwości co do

Baggsa i postanowiła sprawdzić, czy wielebny przypadkiem nie uprowadził lady Upworth.

Skręciła w prawo, w ulicę, którą odeszła Sibyl. High Street była szeroka i toczące się nią powozy pryskały na boki wodą i błotem. Przechodnie podążali więc przed siebie w pośpiechu, z pochylonymi głowami, starając się osłonić oczy przed deszczem. Meg nie stanowiła wyjątku. Przesuwająca się w oddali plama zieleni przypominała jej Sibyl. Podciągnęła spódnicę i mocno przyspieszyła kroku, nie zważając na ból i zaciekawione spojrzenia przechodniów.

Verbeux na ogół unikał postępowania wbrew życzeniom hrabiego Etrangera. Wiedział, że jego pan jest kapryśnym człowiekiem i wołał mu się nie narażać, co stanowiło podstawę ich wieloletniej zażyłości.

Tym razem nie miał jednak wyboru. Musiał podążyć za hrabią i być na podporządku w razie, gdyby sprawy wymknęły się spod kontroli. Żaden z nich nie wiedział, co może nastąpić, gdy Godly-Smythe dotrze do celu. Jeśli nadzieje Verbeux miały się ziścić i Baggs rzeczywiście brał udział w porwaniu Ili, to warto było zaryzykować nawet wyrzucenie ze służby.

Miał do hrabiego dużą stratę. Sporo czasu musiał poświęcić na znalezienie Pierre'a, oddanie mu pod straż domu numer siedemnaście i uświadomienie, jaka odpowiedzialność spoczęła na jego barkach.

Na szczęście jego chlebodawca był rosnym człowiekiem. Verbeux dostrzegł go z daleka, gdy skręcał w kolejną ulicę. Długo ciągnęła się prosto, przy odrobinie szczęścia miał więc szansę dogonić hrabiego i Williama Godly-Smythe'a, zanim gdzieś znikną.

Verbeux skręcił w High Street i nie zważając na swą godność, puścił się biegiem. Omal nie krzyknął z radości, gdy przystanąwszy na schodkach, zauważył w oddali znajomą, wysoką postać w czerni, podążającą w stronę parku. Jeszcze nie wszystko było stracone, a w razie gdyby doszło do konfrontacji, mógł sobie nawet zaskarbić wdzięczność pana hrabiego.

Sibyl wślizgnęła się do parku Tapwell przez wyrwę w białym ogrodzeniu. Kolumn przy bramie strzegły niedźwiedź i gryf, ale brama była spięta łańcuchem. Prywatny park należał do eleganckiego, acz nieco już zrujnowanego domu o tej samej nazwie, rysującego się w oddali. Drzewa skutecznie tłumili miejski gwar. Na trawiastych pagórkach wyrastających po obu stronach podjazdu prowadzącego do

domu rosły stare, majestatyczne dęby. William zaczął wspinać się na zbocze po prawej stronie i wkrótce znikł za szczytem pagórka. Sibyl przez cały czas pamiętała, że nie może ujawnić swojej obecności, wybrała więc drogę okrężną.

Bez wątpienia William dobrze znał już tę drogę. Przeciął park i wąską furtką dla dostawców wyszedł na brukowany i dość zapuszczony zaułek. Sibyl szybko podążała jego śladem, nie odrywając oczu od bobrowego kapelusza i jasnych włosów, które wystawały spod ronda.

Musiła jednak zaryzykować i zmniejszyć dystans dzielący ją od kuzyna.

Na skrzyżowaniu Astly Lane z Mona Avenue William skręcił w lewo. Sibyl stanęła tam wkrótce potem i ostrożnie spojrzała w głąb przecznicy. Kuzyn śmiało zbliżał się do dużego zajazdu w stylu Tudorów z górnymi piętrami nadwieszonymi nad ulicą. Kołyszący się z głośnym skrzypieniem szyld głosił „Pod Żabim Oddechem” i William pewnie wszedł do środka. Sibyl zatrzymała się przed drzwiami. Zapach kwaśnego piwa przyprawiał ją o mdłości. Przez drzwi usłyszała jednak, jak mężczyzna będący prawdopodobnie karczmarzem jowialnie wita jej kuzyna.

- Ma pan gości - powiedział tamten. - Przyszedł wielebny Baggs i jeszcze ktoś... - Ostatnie słowa zostały szczególnie zaakcentowane. - Ho, ho. Prawdziwa klasa. Nie podejrzewalibyśmy wielebnego o coś takiego.

- Cicha woda brzegi rwie, hę? - powiedział William i ochryple się roześmiał. - Woda to może jest i cicha - odrzekł karczmarz - ale pański wielebny nieczęsto zamyka gębę.

William parsknął, a, potem Sibyl usłyszała, jak wchodzi po schodach. Odczekała chwilę, po czym weszła do środka. Spłonęła ciemnym rumieńcem, gdy na jej widok pulchniutki karczmarz cmoknął z aprobatą.

Nasłuchując kroków Williama, wspięła się na drugie piętro. Po lewej stronie od schodów znajdowały się wejścia do dwóch pokoi. Z tego, który znajdował się od frontu, dobiegały wyraźne głosy. Trzeci pokój znajdował się po prawej stronie i był prawdopodobnie większy.

Zaczęła się rozglądać za kryjówką. Musiała założyć, że męskie głosy należą do Baggsa i Williama, a kobiece do lady Upworth. Ten ostatni natchnął ją nadzieją.

Pokój po prawej wydał jej się jedynym rozsądnym miejscem do ukrycia. Uchyliła drzwi i zerknęła do środka. Był to salon. Ze zdumieniem stwierdziła też, że meble

w nim pochodzą z ich dawnego domu. Niektóre stanowiły własność Smilesów przez wiele pokoleń. Musiała powtórzyć sobie w myśli, że teraz nie wolno jej płakać.

Wślizgnęła się do środka i już chciała się schować za drzwiami, gdy wpadła prosto na Williama.

- Sibyl - szepnął z wyrazem zgrozy na twarzy. Przytknął palec do warg i wepchnął ją do kąta za drzwiami. - Co ty sobie wyobrażasz? - spytał cicho. - Musisz się jeszcze wiele dowiedzieć o posłuszeństwie, moja droga. Natrafiłem tutaj na nieoczekiwany kłopot. Bądź cicho i nie ruszaj się. Możesz zniweczyć wszystkie moje wysiłki, jeśli nie będziesz mnie słuchać.

Skinęła głową, choć najchętniej powiedziałaaby mu, że już wie o wszystkich jego występkach.

- Znowu ktoś nadchodzi - syknął William. - Co to ma znaczyć, do diabła?

Otulony czarną peleryną, z pochyloną głową, raz po raz zerkając za siebie, wkroczył na podest hrabia Etranger. Wszedł do salonu, odwrócił się i zobaczył Williama oraz Sibyl.

Lufę pistoletu, który ścisnął w dłoni, skierował prosto na Williama.

- Niech pani stąd ucieka, Sibyl - powiedział półgłosem. - Natychmiast.

- Czas twoich rozkazów minął - odrzekł hardo William. I on był zaopatrzony w pistolet. Jego lufę wymierzył prosto w Sibyl. Panna Smiles otworzyła usta do krzyku, ale szybko zakryła je dłonią. - Stań tam, Etranger, przy ścianie, żebym mógł mieć cię na oku.

Kuzyn William zirytował Jean-Marca, ale bynajmniej nie zachwiał jego pewnością siebie.

- Chcesz zastrzelić Sibyl? Zdawało mi się, że jest twoją narzeczoną. Czy coś się w tej sprawie zmieniło? - Podeszedł do krzesła niewidocznego z podestu i usiadł.

- Sibyl, najdroższa, przepraszam - zmytygował się natychmiast William. - Na chwilę straciłem zdolność trzeźwego myślenia. Wybacz mi, proszę.

Nie odezwała się, za to Jean-Marc przesłał jej uroczy uśmiech.

- Czyli nasze dwa gołąbeczki są w pokoju po przeciwnej stronie, co? Ciekawe, co

tam robią tak długo. Na szczęście słyszymy głos lady Upworth, a to znaczy, że żyje, choć może nie ma się najlepiej. Odłóż broń, Godly-Smythe. Jeśli spróbujesz zrobić z niej użytek, zostaniesz zastrzelony, a nas otoczą konstable.

- Zastanawiam się, dlaczego Baggs mnie nie posłuchał - powiedział William, jakby nie słyszał Jean-Marca. - Ta kobieta powinna być zupełnie gdzie indziej.

- To znaczy gdzie? - spytała łagodnie Sibyl. Jean-Marc zerknął na nią z szacunkiem.

- Właśnie, gdzie?

William skrzywił się wściekle, ale nie odpowiedział.

- Zostańcie tutaj, a ja pójde rozmówić się z wielebnym Baggsem. A jeszcze lepiej wróćcie do domu, a ja później wszystko wam opowiem.

- Mamy wrócić do domu? - Jean-Marc wybuchnął śmiechem. - To niewątpliwie ułatwiłoby ci zadanie, ale nie podoba mi się ten pomysł. Pst.

Na schodach rozległy się lekkie kroki.

- Do pioruna! - zaklął William Godly-Smythe. - To się musi skończyć. Powiem karczmarzowi, żeby nie wpuszczał nikogo obcego. - Chcesz jeszcze bardziej zwrócić na siebie uwagę? - spytał Jean-Marc.

Kroki dotarły na podest i ucichły. Ktoś podsłuchiwał rozmowę Baggsa z Ilą. A następnie zamiast skręcić do salonu, poszedł w przeciwną stronę. Skrzypnęły otwierane drzwi, głosy stały się wyraźniejsze, a potem nagle zapadła cisza.

Jean-Marc zerwał się z krzesła i wyjrzał na podest. Zdążył jeszcze zobaczyć rąbek sukni jego ukochanej panny Meg Smiles znikający we frontowym pokoju.

Spojrzał w sufit.

- Wielki Boże!

- Śmiać mi się chcę, gdy na was patrzę - oznajmiła dźwięcznie Meg. - Jesteście komiczni. Co wy właściwie robicie?

Jean-Marc dał znak Williamowi i Sibyl, by pozostali na swoich miejscach, i już chciał wybiec na podest, gdy zauważył ruch na schodach i u ich szczytu stanął Verbeux z pistoletem w dłoni. Postąpił jeszcze kilka kroków i zobaczył hrabiego

trzymającego na muszce Williama Godly-Smythe'a. Jean-Marc przyzwał służącego dyskretnym sygnięciem.

- Niech cię diabli wezmą! Będzie cud, jeśli tutaj nie powybijamy się nawzajem. Godly-Smythe, masz siedzieć na swoim krześle! Panno Smiles, proszę się nie ruszać! Pilnuj ich, Verbeux.

W jednej chwili Godly-Smythe chwycił Sibyl i przystawiając jej pistolet do skroni, zasłonił się nią jak tarczą.

- Chcę was tylko powstrzymać przed podjęciem niebezpiecznych kroków. Nie martw się, Sibyl, moja droga, za nic bym cię nie skrzywdził.

- Więc nie trzymaj mnie w ten sposób. Już wszyscy wiedzą, że tylko udajesz.

Twarz Williama Godly-Smythe'a zmieniała się komicznie.

- No... to prawda - mruknął i puścił Sibyl. - Ale i tak zastrzelę każdego, kto stanie mi na drodze.

- Bądź pan miły i usiądź spokojnie - burknął Jean-Marc. William niechętnie usłuchał polecenia. Przez dłuższą chwilę nie

mógł się zdecydować, kogo trzymać na muszce, kierował więc broń na wszystkich po kolei.

- Chcę zobaczyć Ilę - oznajmił Verbeux. - Słyszę jej głos. Muszę ją zobaczyć.

- Przede wszystkim musisz pilnować tego tutaj. - Jean-Marc wskazał Williama Godly-Smythe'a.

- Chcę porozmawiać z Baggsem - upierał się Godly-Smythe. - Wiem, że wpadł w panikę. Trudno przewidzieć, co może zrobić, kiedy zostanie przyparty do muru. Tylko ja wiem, jak można sobie z nim poradzić.

- Idę do Meggie. - Sibyl zerwała się na równe nogi. - Ten człowiek jest przestępcą. Może jej zrobić krzywdę.

- Boże, chroń mnie od cywili - powiedział Jean-Marc. - A ty, Verbeux, powinieneś mieć więcej dyscypliny.

- Chcę iść do Meggie - nie ustępowała Sibyl.

- Cisza - zakomenderował. - Niech będzie. Najpierw upewnię się, że nikomu tam

nic nie grozi, potem ty, Godly-Smythe, i pani, panno Smiles, wejdziecie do drugiego pokoju, a ja z Verbeux zostaniemy w odwodzie. Ale cyrk - mruknął do Verbeux. - Pilnujmy tej menażerii, bo inaczej zwierzęta się pozagryzają.

- Dobrze, milordzie.

Godly-Smythe w towarzystwie Sibyl wyszli na podest, a Jean-Marc i Verbeux zaraz za nimi. W tym samym szyku wkroczyli do pokoju naprzeciwko, który okazał się sypialnią.

Powitał ich dość niezwykły obraz. Na parapecie siedział wielebny Baggs w kapeluszu z szerokim rondem zsuniętym na tył głowy. Na twarzy miał ślady całonocnego zarostu, a w dłoni dzierżył olbrzymi pistolet wycelowany w Ilę. Ta z kolei, w czerwonym kostiumie odaliski, z rozpuszczonymi włosami, siedziała po turecku na łóżku i trzymała duchowego na muszce srebrnego pistoleciku.

Meg nie była w stanie opanować śmiechu. Bezsilnie opadła na starą, rzeźbioną skrzynię.

- Oni... Oni tak tu tkwią przez całą noc. Bali się poruszyć. Jeśli jedno zaśnie, drugie może je zastrzelić. Pod warunkiem, że samo nie utnie sobie drzemki.

- Baggs - zagrzmiął wściekle William. - Po co ją tu sprowadziłeś?

- Myślałem, że tego chcesz. - Baggs zachwiał się. Powieki raz po raz mu opadały. Za każdym razem duchowny otrząsał się jednak i zerkał jednym okiem na lufę pistoletu, który chwiał się w wyciągniętej ręce.

- Miałeś dopilnować, żeby nigdy więcej o mnie nie opowiadała.

- Mianowicie o czym? - spytał natychmiast Jean-Marc.

- O niczym - odburknął William. - Pilnuj własnego nosa.

- Muszę wam powiedzieć, że wielebny Baggs uratował mi życie.

- Ila zwróciła senne oczy ku Jean-Marcowi i dodała: - Zrobił to niechcący, ale gdyby to tamten mnie porwał, byłabym tam, gdzie podobno powinnam być, prawda? Baggsy jest dobrym człowiekiem. To zwykła ofiara losu ze złotym sercem. Teraz wiemy o sobie wszystko. Wszystko. - Ramię trzymające pistolet zaczęło jej opadać. Drgnęła i znów wymierzyła broń w duchownego.

- Nie możemy powiedzieć, to zbyt niebezpieczne - odparł Baggs, podtrzymując

wyciągnięte ramię. - Z nikim nie będę tu rozmawiał.

- To moja wina. - Verbeux przesunął dłonią po twarzy. - Za bardzo starałem się ocalić własną skórę.

- Verbeux? - Jean-Marc był zdumiony. - Ty? Ty też maczałeś palce w tym wszystkim?

Ila cicho westchnęła.

- Verbeux, w przeciwieństwie do mnie, jest porządnym człowiekiem. Za to ja robiłam wszystko dla zysku. Twój wuj Ludwik obiecał, że kiedy zasiądzie na tronie, zrobi ze mnie swoją księżną. Twierdził, że twoje dni, Jean-Marc, są policzone, a ja wkrótce zostanę na lodzie i nie będę miała do kogo się zwrócić. Jeśli mu pomogę, zostanę sownie wynagrodzona, ale gdybym zawiodła, zginę.

Jean-Marc pomyślał o liście ukrytym w szufladzie. Na cóż te wszystkie intrygi, skoro wuj Ludwik nie żyje?

- A ja myślałem, że mnie kochasz - powiedział z gryzącą ironią.

- Chyba nigdy się z tego nie wyleczę.

- Nie oskarżaj jej, milordzie, zbyt pochopnie - odezwał się Verbeux. - Jest kobietą żyjącą samotnie. Jej środki szybko się kurczyły, więc zrobiła to, co wydawało jej się konieczne, żeby przeżyć. Szkoda, że nie pomogliśmy jej w porę. Ja również straciłem twarz, i to znacznie wcześniej. Mnie też ostrzegano przed pańskim wypadnięciem z łask i obiecano posadę prawej ręki wuja. - Verbeux wydawał się bardzo zawstydzony. - Początkowo odmówiłem.

- Ale w końcu dałeś się przekonać. - Jean-Marc był głęboko rozczarowany.

- Musiałem, ze względu na inną osobę. Nie będę błagał o wyrozumiałość. Nie zasługuję na nią. Przekazywałem informacje o panu. Sprzyjałem pańskiemu związkowi z panną Smiles, żeby ojciec nie wyznaczył pana na następcę tronu. Zwiertzyłem okazję natychmiast po przyjściu panny Smiles pod numer siedemnasty. Zareagował pan na nią, milordzie, w sposób hm... bardzo gwałtowny. Naturalnie nie byłem pewien, czy cokolwiek z tego wyjdzie, dopóki nie wrócił pan z Windsoru po przejazdce, którą sam zaaranżowałem.

Jean-Marc usłyszał cichy płacz Meg. Gdy zwrócił na nią wzrok, otarła oczy wierzchem dłoni.

- To wspaniałe - powiedział Jean-Marc. - Jestem zdradzany, staję się celem zamachów, a wszyscy obecni litują się nad sobą wzajemnie, tylko mnie jakoś nikt nie współczuje!

Ila miała łzy w oczach.

- Verbeux nie wiedział, że gdybyś postanowił wzbudzić gniew ojca, żeniąc się z Meg, byłabym właściwie martwa. Ludwik nie potrzebował mnie do roli twojej niegodnej żony, skoro sam znalazłeś sobie jeszcze bardziej niegodną. Wybacz mi, Meg, ale mówię prawdę, przynajmniej ten jeden raz.

- Ale co to wszystko ma wspólnego ze mną, z Sibyl albo z Williamem i panem Baggssem? Skąd się wzięły te wszystkie napady na mnie? - spytała Meg, żałośnie pociągając nosem.

- Lady Upworth, rozumiem, że nie mogę powiedzieć tego, o czym wcześniej rozmawialiśmy - odezwała się pochlipująca Sibyl.

- Sama to powiem - odparta Ila i mimo protestów Williama Godly-Smythe'a przedstawiła wszystkim zadziwiającą opowieść o jego upodobaniu do hazardu i planie, który zakładał ożenek z Sibyl i wzięcie Meg pod swój dach, by pozbawić obie siostry Smiles zysków ze sprzedaży Ramblers, ich rodzinnej posiadłości. - Sprowadził Baggsa do Londynu, żeby pomógł mu pozbyć się Meg, która mogła zniweczyć jego plan. A wielebnemu udało się zamieszkać pod numerem siódmym, skąd bez trudu obserwował wszystkie poczynania panien Smiles.

- Tego nie możesz wiedzieć - burknął William.

- Przeciwnie - odparta Ila z fałszywą słodyczą. - Baggsy i ja spędziliśmy razem noc, prawda, mój drogi? Poznaliśmy się bardzo blisko.

- Uważaj, milady, co mówisz - powiedział Baggs, a na jego różowiutkiej twarzy zalśniły krople potu. - Moja reputacja jest dla mnie bezcenna.

Rozległ się powszechny śmiech. Baggs, obojętny na to, ciągnął:

- Pan Godly-Smythe zapewnia mi utrzymanie. Myślałem, że czyni to ze szlachetnych pobudek. Myliłem się. Robił to na wypadek, gdyby kiedyś potrzebował kogoś do realizowania podłych intryg. Nie mogę ryzykować utraty parafii, prawdopodobnie nie znalazłbym innej. A pan Godly-Smythe dał mi do wyboru: albo wynoszę się z Puckly Hinton i szukam sobie miejsca gdzie indziej, albo pomagam mu wydobyć się z karcianych długów, usuwając pannę Meg Smiles.

Naturalnie pan Godly-Smythe wolałby pozbyć się obu siostr Smiles, bał się jednak, że w ten sposób skieruje na siebie podejrzenia. Nie miał zbyt wiele czasu na zebranie olbrzymiej sumy pieniędzy, więc...

- Milcz! - Godly-Smythe zdawał się kurczyć w oczach. - Jesteś głupcem. Najgorszym duchownym, jakiego kiedykolwiek spotkałem.

- No tak - wtrąciła Meg. - Ale jak to wszystko łączy się w całość?

- Baggs spowodował wypadek przy Burlington Arcade. - William nabrał nagle takiego wigoru, że twarz dosłownie mu promieniała. - I drugi, przy Bond Street.

- Czy miał coś wspólnego z brzytwą?

- Skądże znowu! - obruszył się wielebny.

- O brzytwie wiemy, że przez przypadek włożył ją do twojej torebki Pierre - zauważył Jean-Marc. - Próba otrucia mnie miała miejsce niedługo przed naszym spotkaniem, Meg. To wygląda na wydarzenia, których nie należy łączyć z pozostałymi.

- Próby otrucia nie było. - Verbeux usiadł i otarł czoło dużą chustką. - Wymyśliłem ją. To było jeszcze jedno drobne kłamstwo mające

na celu zachęcenie cię, milordzie, do wyjazdu. Doszedłem do przekonania, że jeśli poślubisz kogoś nie mającego wysokiej pozycji społecznej, na przykład Meg Smiles, to pana ojciec poszuka innego dziedzica korony. Musiałem to zrobić. Nie mogłem znieść myśli o upublicznieniu pewnego zdarzenia. A pan poddał się namiętności do Meg Smiles. Wyglądało to na idealne rozwiązanie. Nie mogłem jednak pana popędzić.

Meg zerknęła w twarz Jean-Marca i wyczytała z niej jedynie gniew. Jean-Marc był wściekły na tych, którym ufał, a którzy tak haniebnie go zdradzili.

Potem spojrzał na nią.

- Meg, czy mnie poślubisz?

Meg poczuła się nie tylko zażenowana, lecz przede wszystkim głęboko urażona.

- Oszalał pan, milordzie? - odparła. - Najpierw ujawnia pan, jak niewiele dla pana znaczę, jak pospolitą osobą jestem, a potem nagle się oświadcza?

- Kto pobit Verbeux? - spytała Sibyl. - I kto napadł na ciebie, Meg?
- No, właśnie - podchwycił wątek Jean-Marc, dotknięty do żywego reakcją Meg. - My tu sobie gawędzimy, ale bez wątpienia są jeszcze inne osoby lojalne wobec mojego wuja Ludwika, które być może właśnie w tej chwili przygotowują następny zamach. - Nie było żadnych gwarancji na to, że popiecznicy Ludwika złożyli broń.
- Może to być równie dobrze ktoś z nas, kto tylko czeka na odpowiednią chwilę, żeby dokończyć to, co zostało rozpoczęte - stwierdziła Meg.

Był tego samego zdania, choć wolał o tym nie wspominać. Panny Smiles dość już zostały nastraszone.

- Chodź do mnie, Meg - powiedział, a gdy zawahała się, dodał: - Zapomnij na razie o swojej niechęci do mnie. Teraz pomyślmy o tym, żeby przeżyć.

Podeszła do niego. Gdy miała na sobie ciemnoniebieską suknię, jej oczy nabierały intensywniejszej barwy.

- Idź teraz do karczmarza i powiedz mu, żeby wezwał konstabli. Natychmiast. I niech nie wpuszcza nikogo na piętro.

Meg posłusznie opuściła pokój.

- To wszystko kłamstwa - wybuchnął Godly-Smythe. - Nieraz widziałem tę tak zwaną milady w jaskini gry. Postanowiła się bronić, rzucając na mnie potwarz. Kłamię jak z nut. Jestem człowiekiem nieposzlakowanej opinii.
- Milordzie, słyszysz? - zwróciła się do Jean-Marca Sibyl. Wyraźnie usłyszał jakieś dziwne odgłosy na zewnątrz. Sibyl była już w drodze do drzwi.
- Meg! Muszę zobaczyć, czy nie potrzebuje mojej pomocy. Jean-Marc zdążył chwycić ją i zdecydowanie zawrócić.
- Narobi tylko pani więcej zamieszania. Wszyscy mają być cicho. Drzwi otworzyły się na oścież i z łoskotem uderzyły o ścianę. Na progu stanęła panna Lawinia Ash, potargana, ociekająca wodą. Trzymała za ucho Pierre'a, który syczał z bólu i bezskutecznie próbował rozewrzeć jej palce.

Widzicie, drodzy czytelnicy! A nie mówiłem wam, że ja, sir Septimus Spivey, jestem wyższy ponad tych głupców? Upokarza mnie... hm, może raczej należałoby powiedzieć, że mi uwłacza. A więc uwłacza mi to, że jestem zmuszony posługiwać się tą Ash, ale nie mam wyboru. Nie ulega wątpliwości, że jeśli nie wkroczę na

scenę, wszystko może przepaść.

- Chodź tu, Meg - powiedziała głośno Ash. - Chodź tu natychmiast. Konstable oznaczają skandal, a my mamy już dość skandali. Załatwimy wszystko po swojemu i we własnym gronie.

Wszyscy zebrani wbili w nią zdumione oczy. Ash jeszcze bardziej wykręciła Pierre'owi ucho i bez zmruczenia oka wysłuchiwała jego przeraźliwego wrzasku.

- Zamierzam teraz wszystko wyjaśnić i powiedzieć, co się z nim stanie. Słuchajcie uważnie. Nikt z was nie umiał właściwie ocenić sytuacji ani zaradzić wydarzeniom, które miały miejsce, a zostały spowodowane niefrasobliwością.

- Doceniam pani pomoc, panno Ash - przerwał jej Jean-Marc - ale nie będę tolerował grubiaństwa. Proszę mówić, jednak bez obrażania ludzi.

- Lawinio - odezwała się Meg, która wróciła do pokoju. - Puść, proszę, biednego Pierre'a. On zrobił tylko to samo, co my wszyscy. Przyszedł tutaj, bo chciał pomóc.

- Dziękuję, panno Smiles - powiedział Pierre, przygryzając wargę. Meg przyjrzała się jego szerokim ramionom i krzepkiej sylwetce.

- Uszy do góry, Godly-Smythe - odezwała się znów panna Ash.

- Będzie tak, jak sobie życzysz. To mi odpowiada... to znaczy, chcę powiedzieć, że dla wszystkich tak będzie najlepiej. Sibyl wie, że nie ma wielkiego wyboru. Dlatego cię poślubi, a Meg zamieszka razem z wami. To jest absolutnie najważniejsze.

Ila wykonała gwałtowny gest uzbrojonym ramieniem.

- To właśnie poczciwy Godly-Smythe dopilnował zmniejszenia dochodów Meg i Sibyl, gdybyście tego nie wiedzieli.

- Proszę, skończmy z tym, i tak za dużo już zostało powiedziane - jęknął wielebny Baggs.

- Uważam, że panny Smiles powinny to wiedzieć - upierała się Ila.

- Meg nie zamieszka u Williama Godly-Smythe'a - oznajmił Jean-Marc. Nie obchodziły go nikczemności Williama Godly-Smythe'a. Łajdak i tak był skończony. Ale Panna Fikołek irytowała go, a jednocześnie intrygowała. W dodatku przemawiała imponująco autorytatywnym tonem. - W przyszłości Meg będzie tam gdzie ja.

Jak łatwo wygłaszać takie deklaracje, pomyślała Meg. Zbyt wiele jednak zostało powiedziane o jej ostatniej pozycji. Z drugiej strony takie czy inne urodzenie nie decydowało o tym, co kobieta ma w głowie.

- Nigdy nie poślubię Williama. - Sibyl skrzyżowała ramiona i odwróciła głowę od kuzyna. - Nigdy, przenigdy. Nigdy też nie miałam takiego zamiaru. Powiedziałam, że to zrobię, bo chciałam sprowokować go do wyznania swoich win. Jestem pewna, że przestępca nie będzie mógł zatrzymać tego, co ośmielił się roztrwonić. Myślę o naszym domu.

Dajcie mi siłę, bym wytrzymał to wszystko. Och, jak chciałbym już odpocząć w mojej ulubionej tralce i cieszyć się spokojem domu opróżnionego z lokatorów. Zbiorę wszystkie siły i rozprawię się z tą nikczemną kobietą o ułomnej powierzchowności. Przypomnijcie też, że bym wyrównał rachunki z Hunterem Lloydem. Wciąż cierpię, gdy przypomnę sobie uwłaczające mi słowa. Obraża go porównanie do mojej osoby? Pfuj! To ja powinienem się wzdragać na myśl o takim porównaniu.

- Kto... - Meg wydawała się coraz bardziej znużona swoimi wysiłkami. - Kto napadł kogo pod numerem siedemnastym? - Mimo woli spojrzała na Verbeux.

- Pani z pewnością myśli, że to ja stoję za tym wszystkim, ale tak nie jest. Po co miałbym sam się bić? Niestety, nie potrafię powiedzieć, kto to zrobił.

- Wspomniałeś o czymś, czego nie możesz ujawnić - zwrócił mu uwagę Jean-Marc. - To nie jest pora na tajemnice. Wrogowie mojego ojca wiedzą o tobie coś, co jest dla ciebie wyjątkowo kompromitujące, czy tak?

- Dla mnie kompromitujące, a dla kogo innego niszczące. Proszę, nie dopytuj się o to, milordzie.

- Co to za odgłos? - Jean-Marc przytknął oczy i zaczął nasłuchiwać.

Meg poszła za jego przykładem.

- O, tak. Słyszałam go wiele razy, ale nigdy nie zwróciłam na niego szczególnej uwagi, póki...

- Póki ten osioł nie napadł cię w ciemności, kiedy za nim poszłaś.

- Lawinia Ash jeszcze raz mocno potrząsnęła Pierre'em. - Aż trudno mi uwierzyć w to, jak mało jesteś rozgarnięty. Spotykał się ze swoimi zagranicznymi przyjaciółmi,

a oni dyktowali mu, co ma robić. Wiem, bo tam byłem.

- To niemożliwe - zaprotestował Pierre.
- Widzicie, ten głupiec sam wyznaje swoje grzechy - powiedziała triumfalnie Ash.
- On lubi chować się w mroku. Napadł pana Verbeux, bo go nienawidzi, poza tym Verbeux był nieostrożny. Z prawdziwą radością dobrał się też do skóry tej Upworth.
- Słyszałam ten sam dźwięk w pokoju, w którym mnie przypalał - powiedziała Meg. - On tak cmoka, kiedy przygryza wargę.

Ash wymachiwała wolnym ramieniem, jakby było to skrzydło wiatraka.

- Wreszcie zauważyłaś. Miałem nadzieję, że ujdzie mu to płazem. .. to znaczy, obawiałem się, że tak się to skończy. Ale on jest podszyty tchórzem, tak samo jak wy wszyscy. Boi się, że zostanie złapany, więc ucieka, nawet gdy ma zwycięstwo w zasięgu ręki.

Jean-Marc zerknął koso na Pierre'a i zaczął się do niego zbliżać, wyobrażając sobie, jakim torturom należy go poddać.

- Lubisz atakować bezbronne kobiety - powiedział. - Dlatego teraz się przekonasz, co to znaczy być bezbronnym.
- Och, kogo to obchodzi? - burknęła Ash. - Posuwajmy sprawy dalej. Odeślij go z powrotem do ojca, milordzie. Pan Godly-Smythe niech z łaski swojej zignoruje sprzeciwy Sibyl i weźmie ją oraz Meg do siebie. A ty, Baggs, możesz się stąd zabierać i bądź wdzięczny, że okazałem ci miłosierdzie. Verbeux musi stanąć przed księciem Georges'em, gdyż bez wątpienia podlega jurysdykcji Mont Nuages. Przykra sprawa z księżną Marie. - Roześmiała się, lecz nie był to śmiech współczujący. - Teraz lady Upworth. - Ash podrapała się po wielkim nosie. - Co by tu z nią zrobić?
- Pójdę razem z tobą, Verbeux - powiedziała lady Upworth.
- Dobry pomysł - skwapliwie podchwyciła Ash obojętna na to, że nikt nie zwraca najmniejszej uwagi na jej dyspozycje. - Ty, milordzie, najlepiej idź stąd i zajmij się tym, czym dotąd, czyli szukaniem męża dla swojej rozkapryszonej siostry.
- Czy żonie mojego ojca coś się stało? - zainteresował się Jean--Marc, którego uwagę zwróciła wzmianka o księżnej Marie.

Verbeux skoczył ku Ash i przeszył ją morderczym spojrzeniem.

- Rozsiewasz plotki, kobieto. Radzę ci natychmiast przestać, bo jeśli nie, to będę musiał cię powstrzymać.

Ash uśmiechnęła się kpiąco.

- Ciekawe jak? Zabijesz mnie? Och, bardzo się tego boję. Księżna Marie jest podobno dużo młodsza od swojego męża i ma, hm, duże apetyty seksualne.

- Dość tego, powiedziałam.

- Naturalnie. - Ash spoważniała. - Widzisz, młody człowieku, nie powinieneś być dopuścić do tego, by zbyt dużo wiedzieli o tobie ludzie, którzy, mówiąc delikatnie, nie są ci życzliwi. To przez nich znalazłeś się w opałach.

Jean-Marc nie odrywał wzroku od Verbeux, choć ten nie śmiał spojrzeć mu w oczy.

- Ty głupcze - powiedział Jean-Marc. Księżna Marie nie była jego krewną.

- No, to już - oznajmiła Ash. - Wszystko dobrze się kończy.

- Dobrze. - Jean-Marc nadal zastanawiał się, jak unicestwić Pierre' a. - Jeśli cokolwiek pani zapomniała, z pewnością nie jest to ważne.

- Dziękuję, milordzie - odparła. - Nie jest pan takim głupkiem, jak mi się zdawało.

Meg zachnęła się i spojrzała na Jean-Marca. Ten zmarszczył czoło i wpatrywał się w Ash, bardziej zaciekawiony niż zły.

- Jest pani ordynarna, ale poza tym nie wiadomo czemu mówisz...

- .. jak mężczyzna - dokończyła za niego Meg.

- Au! - wrzasnęła Ash. Korzystając z nieuwagi prześladowczyni, Pierre wykręcił się i zatopił zęby w jej ramieniu. Zrobił to z pasją drapieżnika.

- Zwierzę! - ryknęła. - Ohydne zwierzę, które... ojej!... Pierre, tocząc błędnym wzrokiem, wymierzył Ash silny cios pod

żebra, a gdy zgięła się wpół, poprawił uderzeniem w kark. Verbeux próbował go złapać. Za późno.

- Nie odeślcie mnie do księcia - krzyknął Pierre, zanosząc się histerycznym śmiechem. - Nigdy.

Zręcznie wyślizgnąwszy się z rąk Jean-Marca, osobisty służący osobistego służącego przebiegł przez pokój i rzucił się prosto na witraż w wykuszu.

Rozległ się brzęk, na podłogę poleciały kolorowe okruchy, wyglądające tak, jakby wysypywały się z zawieszanej w powietrzu ludzkiej postaci. Impet uderzenia zniszczył łączenia w witrażu. Wygięta ramka objęła ciało lecącego mężczyzny, a ostry kawałek ołowiu przeszył go na wylot. Pierre zginął, zanim jeszcze uderzył w ziemię z maską zdumienia na twarzy.

Krzyki rozległy się i na ulicy, i w pokoju. Sibyl i Meg objęły się mocno. Wielebny Baggs w osłupieniu przyglądał się widokowi, który pojawił się w wyrwie po witrażu.

Mimo wielkiego poruszenia na dole, w pokoju szybko zapadła śmiertelna cisza.

Wreszcie wielebny Baggs wstał, podszedł do wyrwy i wychylił głowę na zewnątrz.

- Zrobiłbym to samo - powiedział - gdybym nie czuł się zbyt zmęczony tym wszystkim. - Cisnął pistolet na łóżko. - I gdybym nie był takim tchórzem.

Tupot na schodach zaanonsował konstabli. Ci, polegając na autorytecie Jean-Marca, zatrzymali Williama oraz wielebnego Baggsa. Obaj udali się z konstablami bez sprzeciwów. Na obronę przyjdzie czas później, pomyślał Jean-Marc. Przez cały czas obserwował Meg, na próżno oczekując od niej jakiegoś znaku. Nawet nie chciała na niego spojrzeć.

Meg wiedziała przecież, jak łatwo byłoby jej się złamać. Gdyby zaś bez namysłu poddała się jego woli, straciłaby do reszty szacunek dla samej siebie.

- Chodź, Sibyl - powiedziała. - Musimy wrócić do domu i porozmawiać.

- Porozmawiać? - Drżący głos najlepiej zdradzał stan ducha jej siostry. - Mnie się podoba pod numerem siódmym, Meggie. Chcę tam zostać.

Meg nie mogła zdobyć się na to, by powiedzieć, że i ona chciałaby dalej mieszkać przy Mayfair Square. Zresztą nie była pewna, czy w obecności Jean-Marca przeszłoby jej to przez gardło.

- Nie poddam się, zapowiadam wam - zagrzmiała Ash. - Nie, nie, nie! Ktoś ponosi odpowiedzialność za to fiasko i dowiem się, kto to taki. Wtedy polecą głowy. Nawet już wiem, jak do tego doprowadzić...

Grmiąc dźwięcznym barytonem, wyszła na podest i znikła na schodach.

- Niewiarygodne - powiedział Jean-Marc. - Wyglądała jak rozwścieczony mężczyzna.

Meg objęła Sibyl, ostatni raz spojrzała na kochanego przez siebie mężczyznę i wyprowadziła siostrę z zajazdu „Pod Żabim Oddechem”.

Verbeux wziął od Ili jej pistolet, podniósł z łóżka broń Baggsa, dołożył do tego również swoją i podał wszystko Jean-Marcowi.

- Pewnie chcesz mieć, milordzie, trochę czasu dla siebie, żeby spokojnie pomyśleć. Może być pan pewien, że wrócimy na Mayfair Square i będziemy czekać na pańskie dyspozycje.

Jean-Marc skinął głową.

Verbeux i Ila wyszli i zamknęli za sobą drzwi. Jean-Marc został sam.

Scandalous

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

- Meg, to ty! Przyjechałaś! - Księżniczka szarpnęła za drzwiczki powozu i osobiście przystawiła schodki. - Wychodź natychmiast, niech na ciebie spojrzę. Och, Meg, nie wyobrażasz sobie, jak się nacierpiałam.

- Od wczoraj, Wasza Wysokość? - spytała Meg. Stała w pełnym słońcu. Wciągnęła w nozdrza zapach świeżo skoszonej trawy i spojrzała ku głównemu budynkowi Riverside, którego fasadę przystaniały wielobarwne róże. W tle migotała rzeka.

- Och, pospiesz się - powiedziała zniecierpliwiona księżniczka. Karp posykiwał i fukał w uprzęży z długiej, zielonej tasiemki, połączonej ze smyczą. - To jest beznadziejne. Absolutnie beznadziejne. W ogóle rzadko się odzywa i ciągle ma taką straszną minę. Mówi, że pan Chillworth może przyjechać do Windsoru i dalej mnie malować, ale nie chce po niego postać ani powiedzieć rai, kiedy to zrobi. Zamienił się w humorzastego, zgorzkniałego człowieka, którego wolalabym nie znać.

- Naprawdę? I o kim właściwie mowa?

- Doskonale wiesz. On cierpi i dlatego odgrywa się na mnie. Musisz go obłaskawić. Ty umiesz to zrobić. Tylko ty.

Wynajęcie powozu i przyjazd tutaj wydawały się Meg bardzo śmiałym przedsięwzięciem. Nie mogła jednak postąpić inaczej. Myśl o tym, że już więcej nie zobaczy Jean-Marca nie pozwoliła jej zmrużyć oka przez całą noc. Chciała, żeby następne noce były spokojniejsze.

- Dzięki Bogu, że nie czekałaś dłużej z przyjazdem - powiedziała Desiree, przeskakując z nogi na nogę. Bardzo ładnie wyglądała w różowo-lawendowej sukni. Znacznie gorzej prezentowały się nieutożone włosy. - Dokładnie wiem, co wczoraj zaszło. Ash była wściekła i powiedziała to Millie, która naturalnie powtórzyła to wszystkim. Dlatego szczerze się obawiałam, że mogę nigdy więcej cię nie zobaczyć. Trudno mi uwierzyć, że ten nieszczęsny łajdak Pierre służył mojemu nikczemnemu wujowi Ludwikowi. Wstyd rai się do tego przyznać, ale właściwie lubiłam wuja. Był dla mnie miły, naturalnie wtedy, kiedy zauważał, że

istnieję. A teraz wuj nie żyje.

Z zachowania księżniczki należało wnosić, że Ash nie wspomniała jej o księżnej Marie i Verbeux. Zresztą Meg też wolałaby raz na zawsze zapomnieć o wszystkim, czego się dowiedziała.

- Twój wuj był bardzo złym człowiekiem. Dla osiągnięcia swojego celu chciał zabić lub pozbawić czci twojego brata. - Nie powiedziała, że to ona miała być narzędziem służącym do sprowadzenia niesławy na Jean-Marca, choć ani na chwilę nie mogła o tym zapomnieć.
- Bardzo mi żal Verbeux. Jest teraz w drodze do Mont Nuages, naturalnie razem z Upworth. Ta kobieta zadziwiła mnie swoją odwagą.
- Zakochała się - powiedziała Meg. Zamilkły.

Po chwili księżniczka odchrząknęła.

- Zdawało mi się, że Verbeux ma słabość do Sibyl.
- Pewnie tak było. Ale musiał wiedzieć, że nie są sobie pisani. Potem nie zwracał już na nią uwagi. Ona też przestała się nim interesować. Chyba obojgu wyszło to na dobre. Sibyl będzie dalej mieszkać pod siódmym.
- Czy nie będzie jej smutno? Może czuć się samotna.
- Na to nie pozwolę - odparła Meg z poczuciem winy, że to nie siostra jest dla niej tego dnia najważniejsza. - Mieszkać będzie tam, gdzie przedtem. Twierdzi, że tam jest teraz jej dom.

Desiree zacisnęła usta tak mocno, że wokół nich pojawiła się biała linia.

- Wiesz - odezwała się znowu - odkąd tu przyjechaliśmy wczoraj wieczorem, mój brat jest nie do wytrzymania. Chodź, pójdziemy poszukać go w Castleberry.

Przez chwilę Meg się ociągała, niepewna, czy podoła zadaniu, które sobie postawiła.

Księżniczka wzięta na ramię Karpia, Meg ujęła za rękę i poprowadziła ją ścieżką przez łąki i pola.

- On jest bardzo trudny - powiedziała z powagą. - Wiem, że niełatwo się z nim dogadać, ale ty masz na niego sposób. Nie pozwalasz mu za bardzo zadzierać nosa.

Nigdy nie widziałam, żeby kto inny tak sobie z nim radził. - Przystanęła i uniosła dłoń. - Koniecznie muszę cię namówić, żebyś z powrotem zrobiła z niego człowieka. Bo chwilowo nim nie jest, a w każdym razie nie był, gdy ostatnio go widziałam. Poszedł do wsi bardzo ożywiony. Wszystko chce natychmiast doprowadzić do porządku. Rozumiesz, w najgorszym razie na wczoraj. Szkołę, kościół, chaty i tak dalej. Piły dla wieśniaków. Bydło. Cotygodniowe audiencje dla ludzi chcących złożyć skargi. Już kazał rozwiesić obwieszczenia w tej sprawie. Obiecał też wielebnemu Smothersowi i jego żonie, że pomoże kościołowi i parafii. Udaje, że jest zły na siebie za zaniedbywanie tych, którzy od niego zależą. Może do pewnego stopnia rzeczywiście to prawda. Ale on jest przede wszystkim zakochany do szaleństwa w tobie i boi się, że cię stracił. Zasłużenie zresztą się boi po tych wszystkich nedorzecznosciach, które wczoraj powiedziano i których Jean-Marc nawet się nie wypiera.

Słuchając księżniczki, Meg czuła szybsze bicie serca. Musiała też przyznać, że w ciągu ostatnich tygodni Desiree przedzierzgnęła się z denerwującej, załęcznionej istoty w pewną siebie, młodą kobietę.

- To było okropnie głupie - ciągnęła Desiree. - Jak ktoś tak uroczy, rozumny, honorowy, utalentowany i przemyły jak ty mógłby być niestosowną kandydatką na żonę, nawet żonę Jean-Marca? Och, pospiesz się, Meg. Nie jesteś matroną, żeby tak się wlec.

Przebiegły na przelaj przez łąkę. Chyliły przed nimi swe kolorowe głowy stokrotki i maki, niebiesciutkie kosańce i złociste jaskry. Kolorowe motyle siadały na kwiatkach i rozkładały skrzydła. Zapach ziół mieszał się z zapachem trawy.

Na drogę wychodziło się przez furtkę, którą księżniczka z wdziękiem sforsowała górą, a i Meg poradziła sobie z tym zadaniem nie najgorzej. Ruszyły dalej, trzymając się za ręce.

Pierwsze chaty znajdowały się w dużej odległości od siebie. W niewielkich ogródkach kwitły kwiaty. Śpiewały ptaki siadające na strzechach. Dzieci z rumianymi buziąmi bawiły się, a matki rozmawiały z sobą przy ogrodzeniach. Wszyscy wieśniacy z uwagą obserwowali idącą z Meg księżniczkę.

Wreszcie weszły między równe rzędy kamiennych chat. Można tu było znaleźć również, sklepy i warsztaty, a pośrodku wsi stał niewielki kościół ze strzelistą wieżą, otoczony zielonym dziedzińcem i cmentarzem.

- Jest - powiedziała zdyszana księżniczka. - Widzę Wellingtona. Muskularny siwek skubał trawę przy kościelnym płocie.
- Koń pana hrabiego nazywa się Wellington? Dziwne imię. Księżniczka wzruszyła ramionami.
- Po prostu Jean-Marc podziwia Wellingtona. Czemu nie? - Otworzyła furtkę i wbiegła na dziedziniec. Meg pokonała połowę drogi do otwartych drzwi kościoła i przystanęła.
- Chodź - ponagliła ją Desiree. - Proszę cię, Meg. Nie masz pojęcia, jak trudna jest sytuacja. Im dłużej czekasz, tym bardziej nieznośny staje się mój brat.

Księżniczka sądziła, że zły humor Jean-Marca jest skutkiem jego niespełnionego pragnienia. Meg nie była tego taka pewna.

- On chce zmienić wszystko, dosłownie wszystko, nie wyłączając mnie. - Rozłożyła ramiona. - Zapomniałam ci powiedzieć. Mam odziedziczyć koronę po ojcu. Jean-Marc się cieszy, choć stara się to ukryć. Papa nie jest życzliwym człowiekiem. Nigdy nie zachowuje się uprzejmie ani nikomu nic nie daje. I nigdy nikomu nie dziękuje, nawet mamie. Biedny Jean-Marc. On chce ciebie, Meg.

Meg wyprostowała się i przestąpiła próg kościoła. Wnętrze miało wiele uroku. Słońce prześwietlające witraże rzucało tęczowe cienie. Panował tu niczym niezmacony spokój. Kłęczniki obite tkaniną, lśniące mosiądze i sztywne od krochmalu płótna na ołtarzu dowodziły troski parafian o swoją świątynię.

Meg natychmiast dostrzegła Jean-Marca. Stał przy końcu głównej nawy, niedaleko ołtarza. Na stoliku przed nim leżała sterta kwiatów, kilka z nich znajdowało się już w wysokim wazonie.

Zaczęła podchodzić doń boczną nawą, próbując zdobyć się na odwagę. Tymczasem Jean-Marc wziął ze sterty wysoką białą różę i włożył ją do wazonu. Przekładał ją tak i inaczej, przyglądał się swojemu dziełu z wyraźnym niezadowoleniem.

Meg odwróciła się do księżniczki, okazało się jednak, że ta znikła.

- Pokuta - usłyszała głos Jean-Marca. - Pokuta, pokuta. - Wyjął wszystkie kwiaty z wazonu i od nowa zaczął je układać. Tym razem chwycił ich całą garść i wciąż dokładał nowe rumianki, róże, kosańce, dalie, chryzantemy i zielone gałązki. Ten chaotyczny bukiet włożył do wazonu, zgniatając łodygi i wpychając je do naczynia niemal na siłę. Zatarł ręce i znów cofnął się, żeby popatrzeć na swoje dzieło.

- Oto bukiet Etrangerera, kompozycja w modnym ostatnio stylu „pomieszenie z poplątaniem”.

Meg uśmiechnęła się i chrząknęła.

Jean-Marc odwrócił się raptownie i wtedy ją zobaczył. Pociągnął za halsztuk, a potem z niezadowolaniem obejrzał pozieleniałe palce.

- Nie wiedziałam, że lubisz układać kwiaty, milordzie.
- Wcale nie lubię. Popełniłem ten błąd, że zaofiarowałem pomoc pani Smothers, żonie wielebnego. No, i popatrz. - Wskazał zapchany kwiatami wazon.

Podeszła do niego i bacznie przyjrzała się wynikowi jego starań.

- Chyba należy zacząć od nowa. Pomogę panu.

Przyglądał jej się stanowczo zbyt długo. Od tego spojrzenia piekła ją już cała skóra.

- Dobrze, czemu nie? - Jeszcze raz wyjął wszystkie kwiaty z naczynia i odłożył je na bok.
- Najpierw kwiaty - powiedziała, podając mu białą różę, którą przedtem z taką uwagą kontemplował. - W dniu wazonu są specjalne kolce do nasadzania łodyg.

Wystarczył jeden precyzyjny ruch, by róża stanęła pośrodku wazonu niczym wartownik. Jean-Marc wydawał się z siebie zadowolony.

Następnym kwiatem był kosaciec. Meg objęła dłoń Jean-Marca i naprowadziła ją w miejsce, gdzie fioletowy kwiat powinien się znaleźć. Następne kwiaty trafiły do wazonu podobną metodą. Meg stała tuż przy Jean-Marcu, lekko przytulona do jego ramienia.

Wkrótce nastąpiła zmiana ról, to Meg stała przed Jean-Markiem, a on sterował jej ręką. Jeszcze kilka gałązek i zadanie zostało wykonane. Oddech Jean-Marca łaskotał ją w policzek i poruszał kosmyki opadające na skroń. Za plecami czuła jego twarde tors

- Wspaniale ułożyłeś te kwiaty - pochwaliła go. - Masz wrodzony talent.
- O, z pewnością - przyznał kwaśno. - Pytanie tylko: do czego?
- Do czego tylko chcesz.

Objął ją ramieniem, a dłoń położył jej na brzuchu.

- Jesteśmy w kościele - zwróciła mu uwagę.
- Tak - potwierdził, nie cofając ręki.
- Przyjechałam wynajętym powozem. Jednym z twoich. Stał przed numerem siedemnastym. Kiedy spytałam stangreta, gdzie można znaleźć odpowiedni pojazd, odpowiedział, że może wozić pasażerów i zabrał mnie do Windsoru. Mam mu zapłacić po powrocie do Londynu. To było z mojej strony zuchwalstwo. Przepraszam.

Zuchwalstwo? Wcale tak nie uważał, tym bardziej że sam polecił stangretowi, by stał w widocznym miejscu i zwrócił szczególną uwagę na to, czy panna Smiles nie wybiera się przypadkiem do Windsoru.

- Cieszę się, że przyjechałaś, Meg.
- Dziękuję. Tak oficjalnie.
- Podoba ci się w tym kościele? - spytał. Meg nawet się nie rozejrzała.
- Owszem, bardzo.
- To dobrze. Mnie też. A jak Castleberry?
- Urocza wioska.
- Wkrótce będzie tu znacznie bardziej dostatnio. A czy podobało ci się w Riverside za poprzedniej wizyty?
- Bardzo. Taki wygodny, elegancki dwór, w którym można poczuć się jak w domu.

Wszystko szło w dobrym kierunku.

- Chciałbym wiedzieć, kiedy miałaś ostatnie krwawienie.

Meg milczała, wstrząśnięta obcesowością tego jakże intymnego pytania.

Spuściła głowę czerwona się jak burak.

- To było niestosowne. Wybacz mi, proszę.
- Powinniśmy wyjść z kościoła i znaleźć odpowiednie miejsce do rozmowy.

- To prawda. - Podał jej ramię, a ona z gracją położyła na nim swoją dłoń.

Desiree czekała na nich na zewnątrz i dla zabicia nudy próbowała nauczyć Karpia chodzenia na smyczy przy nodze. Jean-Marc spojrzał siostrze w oczy i podjął decyzję.

- Idź przodem - powiedział, dwukrotnie skłaniając głowę, co było wcześniej uzgodnionym znakiem. - Sam odprowadzę Meg.

Desiree uśmiechnęła się szeroko, ale starała się nie okazać przesadnej radości. Wzięła kota na ręce i bez słowa odeszła. W Riverside natychmiast zorganizowała wielkie przygotowania.

Jean-Marc był bardzo zadowolony ze zmieszania Meg, bo dzięki temu nie zauważyła, jak bardzo rozemocjonowana jest księżniczka.

- Może pójdziemy nad rzekę - zaproponował. - Tam jest wiele zacisznych miejsc. No, i taki piękny dzień.

Meg zdjęła rękę z jego ramienia i pierwsza ruszyła w tamtą stronę. Przeszli drogą przez wieś i skręcili ku rzece. Nie zamienili ani jednego słowa, jeśli nie liczyć „Dziękuję” Meg, gdy Jean-Marc pomógł jej pokonać przełaz, i jego „Nie ma za co” w odpowiedzi.

Mimo niepokoju nie omieszkał zauważyć, jak bladożółte spódnice sukni Meg ślizgają się po trawie i kwiatach, które chylą głowy pod ciężarem tkaniny, by zaraz potem znowu je podnieść.

Meg trzymała głowę wysoko. Z boku Jean-Marc nie widział jej twarzy, bo zasłaniał ją czepek. Obserwował więc samotny kosmyk włosów wijący się na jej karku.

Zbyt szybko doszli nad rzekę. Meg przystanęła i spojrzała na niego pytająco.

Bardzo chciał wziąć ją za rękę, lecz tylko wskazał jej miejsce pod wierzbą z zanurzonymi w wodzie czubkami gałęzi.

Jean-Marc usiadł na trawie i oparł plecy o pień drzewa. Wyciągnął rękę do Meg.

- Jak tu spokojnie - powiedział. - Usiądź obok.

- Dziękuję, postoję.

- Wobec tego i ja muszę wstać.

- Wolalbym, żebyś tego nie robił. Czy przyszło ci kiedyś do głowy, że kobiecie może sprawić przyjemność, jeśli czasem spojrzy na mężczyznę z góry?
- Mówisz bardzo niezwykle rzeczy. - Zadumał się. - Ale możesz mieć rację.
- Jestem oszustką. Podstępem skłoniłam cię, żebyś dał mi posadę. Finch... to znaczy wicehrabina Kilrood wcale nie poradziła mi, bym się o nią ubiegała. Po prostu wspomniała w liście, że jesteś przyjacielem pana wicehrabiego i że wprowadziłeś się do domu naprzeciwko. Naturalnie napisała również o twojej siostrze i o tym, jaki kłopot mogą ci sprawić nowe obowiązki. Postanowiłam skorzystać z nadarzającej się okazji. Bardzo za to przepraszam.
- Potrzebowałam cię. Bez względu na to, w jaki sposób przyszedł do mnie, okazał się prawdziwym błogosławieństwem. Wkrótce zresztą dowiedziałem się, że referencje były sfalszowane. Uznałem, że to bez znaczenia.
- Ojej!
- Ojej. Ja natomiast skłamałem, opowiadając o Desiree. Twierdziłem, że jest urocza, uległa i marzy o debiucie. A ona nienawidziła tego świata.
- Wiem. Zorientowałam się prawie natychmiast po jej zachowaniu. Uznałam jednak, że za bardzo potrzebuję pieniędzy, żeby tak łatwo zrezygnować.
- Usiądź, proszę, Meg.

Przestała przyglądać się rzece i spełniła jego życzenie. Skrzyżowała nogi pod suknią, jak wtedy, gdy ćwiczyła abstrakcyjne myślenie, i zaczęła bawić się zrywaniem trawek.

- Miałam zamiar skorzystać ze znajomości, które mogłam poczynić dzięki tobie i księżniczce, i poznać odpowiedniego kandydata na męża. Wydawało mi się to jedynym sposobem na wyjście z finansowych tarapatów, więc postanowiłam spróbować. Miałam zamiar wykorzystać cię do cna.

- Czyżby?

Ich spojrzenia się spotkały, potem Jean-Marc przeniósł wzrok na jej usta, brodę, krągłe piersi.

- Tak.

- Rozumiem. A ja wkrótce nabrałem ochotę na wykorzystanie ciebie i zrobiłem to

bez skrupułów. Było mi bardzo przyjemnie. A tobie?

Rumieniec na jej twarzy jeszcze bardziej rozbudził jego wyobraźnię.

- Mniejsza o to, mnie w każdym razie było przyjemnie.
- Mnie też. Na pewno od chwili, gdy zrozumiałam, na czym to polega. A potem chciałam robić to znowu i znowu.

Omam się nie roześmiał, tak szczerze i zabawnie zabrzmiało to wynurzenie.

- Dlaczego dzisiaj do mnie przyszedłeś, kochanie?

Jej wielkie, złocistobrązowe oczy trochę zanadto lśniły.

- Pomyślałam... To jest chyba niemądre, ale chciałam cię spytać, czy jeszcze mnie pragniesz chociaż trochę.

Trzeba uważać, pomyślał. Gdyby teraz zachował się zbyt śmiało, mógłby ją spłoszyć, nie wiedział zaś, czy zaloty nie wyczerpią jego cierpliwości.

Zamierzał postawić na swoim jak najszybciej.

- Widzę, że cię zakłopotalam. Potrzebujesz kogoś znacznie bardziej kobiecego ode mnie. Zamierzałam ci powiedzieć, że gdybym mogła służyć ci pociechą, to...
- To co byś zrobiła?
- To byłabym z tobą na takich warunkach, jakie mi postawisz, nie oczekując od ciebie żadnych trwałych zobowiązań. To tyle. Powinnam natychmiast iść.
- Ach, Meggie, nigdzie nie pójdziesz. Na pewno nie beze mnie. Już cię nie puszczę. - Zobaczył, że cała zdrętwiała, więc położył jej ręce na ramionach i przyciągnął ją trochę bliżej. - Przed chwilą powiedziałaś mi, że przyjmiesz moje warunki. Zgoda. Natychmiast poczynię odpowiednie przygotowania. Pokoje tutaj, dom do twojej dyspozycji w Londynie. Może również jakaś chata na odludziu, na przykład w Szkocji.

Serce biło jej coraz gwałtowniej, w głowie szumiało. Pragnęła go. Zdjęła czepek, ale jeszcze raz posłuchała głosu rozsądku.

- Wszystko we mnie jest kłamstwem - powiedziała. - Jestem bardzo pospolitą kobietą. Moje rzęsy są takie ciemne tylko wtedy, gdy je uczernię. Już Egipcjanki używały proszku antymonowego, a współczesne Europejki korzystają z ich

doświadczeń. Poza tym używam rózu, żeby moja cera wyglądała bardziej świeżo. I usta też maluję.

- Twoje usta - szepnął i przysunął się, najwyraźniej zainteresowany pocałunkiem.
- Tak, twoje usta. Ale zapominasz, że widziałem cię bez proszku antymonowego i bez rózu, a wydawałaś mi się tak samo pociągająca.

Zafascynowana patrzyła na jego rozchylone wargi. Były coraz bliżej...

- Nie! - Zacisnęła usta i odwróciła głowę. Znow zaczęła obserwować rzekę.
- Co się stało? - Czy chcesz mi powiedzieć, że medytacje, zasłony na twarz i nagłe ucieczki w krainę milczenia też są zwykłą sztuczką?
- Nie są - odparła ze złością. - Są najprawdziwsze i stanowią część mojej osoby.

Położył jej rękę na karku. Jak pięknie i erotycznie byłoby ją pieścić wśród tych rozgrzanych, aromatycznych traw.

- Nie wiesz za to, że moje włosy są normalnie bure, no w najlepszym przypadku kasztanowe. Farbuję je. Jak zwykła ulicznica!

Cały parter w Riverside był otwarty dla gości i na życzenie Meg udekorowany polnymi kwiatami. W ciągu zaledwie dwóch dób, które minęły od jej przyjazdu z Londynu, rezydencja zmieniła się w czarodziejski świat świateł, srebrnych girland i tiulowych kul, w których środki wetknięto maki i stokrotki.

Sibyl była oszołomiona tym wystrojem. Przyjechała z Hunterem, a towarzystwa dotrzymywali im także Adam, Latimer i lady Hester, która nieustannie wydawała okrzyki zachwytu nad różnymi cudami Riverside i ślubu, który odbył się w kościele Saint Simian in the Fields. Jej pytanie o zapowiedzi zostało zbyte informacją, że ogłoszono je bezpośrednio przed ślubem, a dyspensa uczyniła ślub ważnym. Jak jej powiedziano, hrabia Etranger, na wskroś romantyk, zrobił żonie wielką niespodziankę, zaplanował bowiem ślub jak w bajce. Swoją suknię Meg zobaczyła dopiero w ostatniej chwili.

Lady Hester, w odróżnieniu od Sibyl, nie wiedziała, że aby zdążyć na czas, suknię panny młodej po prostu przerobiono z innej, korzystając ze szkicu, jaki księżniczka znalazła w nutach. Desiree nie miała pojęcia, skąd szkic się tam znalazł, słusznie jednak uznała, że fason jest wymarzony dla Meg.

Zachwycony Jean-Marc delikatnie ujął oblubienicę pod brodę i uśmiechnął się do

niej.

- Myślę, że powinniśmy zostawić gości, żeby mogli dobrze się zabawić. Nasza obecność sprawia, że zachowują się tu oficjalnie.
- Nie masz racji - powiedziała Meg. - Musimy obserwować księżniczkę z nieszczęsnym Adamem.
- Dlaczego nieszczęsnym? Spojrzała na męża ze współczuciem.
- Bo jemu księżniczka wydaje się interesująca jako model dla artysty, ona zaś myśli, że Adam się w niej zakochał.
- Rozmawiałem z Chillworthem na ten temat.
- Naprawdę?
- Nie ma się czym martwić. Lepiej chodźmy do naszych apartamentów.

Meg poczuła ssanie w żołądku.

- Latimer jest samotny, wiesz.
- Och, to jest przystojny mężczyzna. Bardzo zajmujący. Naprawdę czuję się już zmęczony.
- Kiedyś myślałam, że Sibyl i Hunter będą świetną parą.
- Świat nie szczędzi nam rozczarowań.
- Cieszę się, że przyjechał sir Robert i że jest Anthony FitzDurham. Mamy wreszcie człowieka, który nie może oderwać oczu od księżniczki.
- Co ty powiesz. - Jean-Marc wyciągnął szyję, żeby sprawdzić, gdzie jest nieszczęsny FitzDurham. - Nieważne, będzie na to dość czasu. Czy nie jesteś zmęczona, kochanie?

Rench, który przejął całkowitą kontrolę nad domostwem w Riverside, przecisnął się do nich przez grupkę ludzi.

- Milordzie - powiedział. - Jest tu osoba, która chce się z panem zobaczyć. Udało mi się zatrzymać ją przy drzwiach. Wydaje mi się, że może narobić zamieszania. - Nie martw się. - Jean-Marc klepnął Rencha w plecy z taką siłą, że majordomus się zachwiał. - Powiem jeszcze dwa słowa i pójdziemy z panią hrabiną na górę.

Uwagi Meg nie uszedł błysk w oczach majordomusa ani jego uśmiezek dobrze zorientowanego człowieka.

- Dziękuję, milordzie - powiedział. Jean-Marc zwrócił się do gości.
- Mili państwo. Zostawiamy was teraz, byście mogli bawić się do upadłego.

Rozległ się śmiech.

- Oni wiedzą, dokąd idziemy - szepnęła Meg. - To krępujące.
- Bo są zazdrośni. Mnie to nie przeszkadza.

Wśród radosnych okrzyków opuścili złoty salon. Tymczasem Rench bronił otwartych drzwi przed Lawinią Ash.

- Ach, jesteście - krzyknęła.
- Naprawdę zmienił jej się głos - powiedziała Meg. - Nigdy przedtem czegoś takiego u niej nie słyszałam.
- Celowo zatailiście przede mną wiadomość o ślubie.
- Przepraszamy. - Jean-Marc postanowił potem odbyć poważną rozmowę z Renchem. Doskonale wiedział, kim jest osoba, która chce się zobaczyć z milordem.
- Byłaby pani mile widzianym gościem, panno Ash.
- Wcale nie. Nie dopuściłbym do tego. Powiedziałbym wszystkim, że oboje jesteście związani ślubem z innymi ludźmi.

Meg głośno nabrała powietrza.

- Nie jesteśmy - powiedział Jean-Marc. - Zegnam.
- Wszystko jedno, i tak bym to powiedział. To by was powstrzymało. Skąd wzięłaś tę suknię? - spytała, patrząc na Meg.

Meg poczuła, że trzęsą jej się kolana.

- Uszyto ją dla mnie.
- Kłamiesz. Jest moja. Sam ją zaprojektowałem. Wcale nie dla ciebie.
- Ona oszalała, Meg. Chodźmy.

- Nie ważcie się mnie tak zostawić - krzyczała za nimi Ash. -A niech wam będzie, macie moje błogosławieństwo. Wiedźcie, jaki jestem wspaniałomyślny. Sibyl zamieszka z wami, prawda? - Jej głos grzmiał w całym domu. - Może znajdziecie też miejsce na pracownię dla Adama Chillwortha? I może przyda wam się Latimer More?

- Sibyl zostanie pod numerem siódmym - powiedziała Meg. - Latimer i Adam też. Oni wszyscy mają swoje życie. Co zresztą nie powinno pani obchodzić.

- Niemożliwe - upierała się Ash. - Sibyl musi zamieszkać z wami. Młoda kobieta nie powinna być sama w takim mieście jak Londyn.

Nie zwracając już na nią uwagi, Jean-Marc mocno objął Meg i powiedział:

- Muszę być stanowczy, bo inaczej nigdy nie znajdziesz się w moim łóżu.

- Pst. - Przyłożyła palec do warg. Jean-Marc zaczął wprowadzać ją na schody.

- To bezczelność! - ryczała Ash. - Po tym, co dla wszystkich zrobiłem, dostaję takie podziękowanie. Ale to się skończy, mówię wam. I nie myślcie, że nie wiem, dokąd wy dwoje idziecie. Znowu rozpusta. A ja zostaję tutaj, żeby pilnować tych wszystkich podglądaczy.

- Kompletnie oszalała - powiedział Jean-Marc i przystanął, by wymienić z Meg pocałunek, który całkiem odebrał jej dech.

- ŚmieJCie się, jeśli chcecie - krzyczała za nimi Ash. - Idę sobie. Jeszcze o mnie usłyszycie. Ash wróci do dębu, do znajomego, twardego miejsca odpoczynku. Nic tak nie regeneruje sił jak dobra tralka. Ale wy tego nie wiecie. Jeszcze nie.

Meg w zdumieniu spojrziała na Jean-Marca:

- Tralka?

Sypialnię oświetlały dziesiątki żółtawo płonących świec. Jean-Marc wydał dyspozycję, by było jasno, a na kominku płonął duży ogień. Dwór miał grube ściany, więc wieczorami zawsze robiło się w nim chłodno. Zresztą lubił przyglądać się Meg w blasku ognia.

Zamknął drzwi. Nie mógł nie zauważyć, jak bardzo zdenerwowana jest jego żona. Sprawiała takie wrażenie, jakby nigdy przedtem nie byli ze sobą blisko.

Suknia oblubienicy była z pięknego atłasu w kolorze kości słoniowej, miała głęboki

dekolt i śliczną plecionkę na oblamowaniu stanika. Pasek z tego samego atłasu co suknia przytrzymywała klamra wysadzana brylancikami i perłami. Jean-Marc podszedł do Meg z uśmiechem i rozpiął tę klamrę, a potem zdjął pasek.

- Tu jest bardzo jasno - powiedziała.
- Tak poleciłem. Chcę cię pierwszy raz naprawdę dobrze zobaczyć. Meg spuściła wzrok.

Na rękawach miała efektowne bufki, usztywnione pod spodem siatką. Wstawki z koronki umożliwiały podziwianie jej ramion, koronka zdobiła też metry atłasu tworzącego bajeczne spódnice.

- Pięknie ci w tej sukni, ale będziesz jeszcze doskonalsza, jeśli ją zdejmę.

Staął za nią i zaczął rozpinąć dziesiątki guziczków obszytych atłasem, które przytrzymywały stanik i sięgały daleko poniżej talii. Wreszcie zsunął jej suknię z ramion.

Zatrzymała się na przegubach dłoni.

- To takie dziwne uczucie - powiedziała. - Pozwól, że rozbiore się sama. Będzie szybciej.
- Ale ja wcale nie chcę, żeby było szybciej.

Uwolnił jej ramiona, a suknia niczym biała chmura opadła na ziemię. Gdy Meg wychodziła z jej magicznego kręgu, trzymał ją za rękę.

Stała przed nim w ślicznie haftowanej koszulce i halkach. Musiał poradzić sobie z niejedną taśmą, nim udało mu się w końcu wyswobodzić żonę z wszystkich usztywnionych spódnic. Do zdjęcia została mu jeszcze koszulka, długie majtki, białe, jedwabne pończochy i pantofelki. Wyciągnął jej z włosów złote szpilki w kształcie kamelii, przytrzymujące koczek na czubku głowy. Brylanciki lśniły w środku każdego kwiatu, a także w kolczykach. Miała też brylantowy naszyjnik, który dostała w ślubnym prezencie.

Gdy chciał jej zdjąć koszulkę, Meg odepchnęła jego rękę.

- Ty też zdejmij z siebie odzienie - powiedziała drżącym głosem. - Natychmiast, rozumiesz?
- Och, rozumiem, milady. - Skwapliwie wypełnił polecenie.

Tymczasem Meg pozbyła się kolczyków i rozwiązała troczki koszulki tak, że pod cienkim batysem w blasku ognia ukazał się zarys jej piersi. Zaraz zresztą koszulka znalazła się na podłodze. Jej los podzieliły długie majtki. Wreszcie strzepnęła z nóg pantofelki.

Jean-Marc też był już nagi.

Rozpuszczone włosy opadły Meg na ramiona. Jean-Marc wsunął w nie ręce, zamknął w dłoni gruby pukiel, a potem otworzył dłoń i wycisnął na nim pocałunek.

- Trzpiotka z ciebie. Farbowana krawcowa do towarzystwa. Jej poczucie winy gdzieś się ulotniło.

Przyjrzał jej się bardzo dokładnie, starając się zapamiętać każdy szczegół, od wielkich oczu i spragnionych pocałunku warg, przez urzekające piersi i płaski brzuch, po zaokrąglone uda i ciemny trójkąt u ich zbiegu. Na nogach Meg wciąż miała zapomniane pończochy, a między piersiami krył jej się koniec brylantowego naszyjnika.

- Kocham cię - powiedziała.

Jean-Marc nie był w stanie się uśmiechnąć. Żadne słowo nie chciało mu przejść przez gardło. Cofnął ręce i dotknął jej piersi zamkniętymi ustami, a potem koniuszkiem języka. Meg westchnęła i zacisnęła dłonie, a już chwilę potem obejmowała go i całowała z zaskakującą energią. Jej pieszczoty doprowadziły go niemal do utraty tchu.

- Chodźmy bliżej ognia - szepnęła. - Chcę przyjrzeć się twojej twarzy. Jesteś najprzystojniejszym mężczyzną na świecie.

- A ty, żono, jesteś najpiękniej doprowadzającą do szaleństwa kobietą na świecie. Chciałbym być czułym, delikatnym mężem, który bez pośpiechu wprowadza żonę w tajniki małżeńskiej sypialni, ale obawiam się, że brak mi na to opanowania.

Meg odchyliła głowę i znów go pocałowała. Wkrótce Jean-Marc poczuł, że siły go opuszczają, oboje opadli więc prosto na ślubną suknię Meg.

- Czuły i delikatny mąż - powiedziała i zaczerpnęła tchu. - I bez pośpiechu wprowadzasz mnie w tajniki życia małżeńskiego. No, i inicjację mamy za sobą. Znowu.

- Kocham cię, Meg.

Nie próbowała powstrzymać łez.

- Dziękuję ci. Dawno nie miałam. Jean-Marc uniósł się na łokciach.
- Czego dawno nie miałaś?
- Tego, o co tak obcesowo spytałeś mnie w kościele. Już od ładnych para tygodni.

Scandalous

EPILOG

7 MAYFAIR SQUARE

LONDYN

SIERPIEŃ, 1821 ROK

Witajcie, Czytelnicy!

Zostałem zdradzony przez was wszystkich. Popełniłem błąd, traktując was życzliwie... was, moich krewnych i innych.

Niektórzy powiedzieliby, że powinienem się cieszyć z odejścia choćby jednego lokatora z domu pod numerem siódmym. Dlaczego? To właśnie chciałbym wiedzieć. Dlaczego miałbym świętować, skoro nadal nie udało mi się opróżnić ani jednego mieszkania? Sibyl miała zamieszkać z Meg, to wszyscy wiecie, lecz niestety zawiodłem. Nie, nie zawiodłem. To los sprzyścił się przeciwko mnie.

Bez wątpienia macie teraz zachwycone miny i cieszyicie się swoim rzekomym zwycięstwem. Chcieliście tego głupiego małżeństwa między szlachetnie urodzonym człowiekiem a całkiem niestosowną panną, która jest nikim. I chcieliście mojego niepowodzenia. Cieszcicie się swoim triumfem, jakkolwiek krótkotrwałym. Tym razem nie będę czekał tak długo jak poprzednio z atakiem na lokatorów domu numer siedem. .. następny plan bez wątpienia przyniesie mi sukces. Gdybyście odnosili się do mnie z szacunkiem, wtedy może nawet powiedziałbym wam, kto z kolei zostanie otoczony moimi wyjątkowymi względami. Ale...

Czy zwróciliście uwagę na niespotykane ekstrawagancje podczas ślubu Etrangera? Zamierzam dowiedzieć się, co dokładnie podawano na weselu i ile pieniędzy

hrabia Etranger przełożył do kieszeni kupców zaopatrujących go sprzed tym pokazem rozrzutności. Można by pomyśleć, że w tym wydarzeniu brała udział sptoniona panna młoda i jej rozpalony małżonek, ten ostatni z niecierpliwością oczekujący wielkiego odkrycia. Sptoniona? Phi! Wielkie odkrycie? Ha!

Sądzę, że wiem, kto ponosi odpowiedzialność za nieustanne sabotowanie moich wysiłków. To ta przekłeta autorka. Ona zdradza wam różne fakty za moimi plecami, prawda? I zachęca was do buntu przeciwko mądrości moich zasad. Gdyby nie ona, z pewnością dostosowalibyście się do moich życzeń i zaalarmowali mnie, żebym mógł nie dopuścić do zaistnienia pewnych wydarzeń.

No, cóż. Nie będę dłużej traktował jej z życzliwym, choć chłodnym szacunkiem. Wkrótce przekonamy się, jak sobie radzi, gdy będę wodził ją za nos przy okazji realizacji mojego następnego planu.

I jeszcze jedno. Raz już wam to mówiłem, ale ponieważ wydajecie się dość nieuważni, zwierzę wam się z tego ponownie. Nie wątpię, że w innym przypadku moja „przyjaciółka” znajdzie sposób ośmieszenia tego, co jest faktem czysto osobistej natury. Moje rzeźbione tralki są niepowtarzalne w swym pięknie, a upamiętnieni tam członkowie rodziny to bardzo przystojni ludzie, ze mną włącznie. Nie ma nic dziwnego ani niezrozumiałego w mojej decyzji, by tam zamieszkać, jest to bowiem wymarzony posterunek, z którego mogę trzymać rękę na pulsie domowego życia, że się tak wyrażę.

Do zobaczenia... wkrótce. Nie popadajcie w samozadowolenie.

Spivey.

Frog Crossing Watersville Out West

Najdrożsi przyjaciele!

Nie pozwólcie, by ten człowiek wzbudził w was niepokój. To po prostu pompatyczny i nietaktowny niezdara. Nie bójcie się, przechytrzymy go, choć obawiam się, że nie bez dalszych intryg. Niech się czai w swojej ulubionej tralce. Podczas gdy tam siedzi, wy i ja wyostrymy sobie dowcip i przygotujemy się na jego następne pomysły, cokolwiek zamierza.

Wasza, jak zawsze, życzliwa i wierna autorka

Stella Cameron